



Wiesława
Maciejak

Czas zatoczył koło. Dzieci, wnuki i prawnuki
przez cały wiek rodzili się, kochali, cierpieli, umierali.
Po prostu żyli. Co przyniesie im życie,
co się jeszcze wydarzy, nikt tego nie wie!

A życie się toczy

Prószyński i S-ka

Wiesława
Maciejak

A życie się toczy

Prószyński i S-ka

Copyright © Wiesława Maciejak, 2016

Projekt okładki

Agata Wawryniuk

Zdjęcie na okładce

© Roman Mikhailiuk/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Ewa Witan

Korekta

Katarzyna Kusojć

Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-446-3

Warszawa 2016

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

MARIANNA, CÓRKA WALERII

PROLOG. 1890 ROK

Ponury listopadowy dzień, choć krótki, panu Kazimierzowi Bilskiemu, dziedzicowi z Wólki Podleśnej, bardzo się dłużył. Od rana nieustannie myślał o wizycie u księdza dobrodzieja i wiście, którego partyjkę miał rozegrać na plebanii w zacnym gronie. Jednak tak naprawdę to nie wist, ale panna Aniela, kuzyneczka dobrodzieja, która od kilku tygodni tam bawiła, zaprzętała głowę panu Kazimierzowi.

Młoda osóbką, śliczną i rozpieszczoną, przyjechała z Warszawy. Wkrótce miała poślubić wybranego przez rodziców konkurenta, sporo od niej starszego, za to bardzo bogatego, pana Waclawa. Na nic zdały się protesty i błagania, tym razem rodzice byli wyjątkowo stanowczy. Wysłali ją do kuzyna, wiejskiego proboszcza, gdzie z dala od pokus miała spędzić ostatnie tygodnie panieństwa, a starą, ubogą ciotkę namówili do pełnienia niewdzięcznej funkcji opiekunki i przyzwoitki rozkapryszonej panienki. Rodzice wiedzieli, co robią. Ich uroczą córeczką nieraz przysparzała im zmartwień, wdając się w sytuacje, które zupełnie nie przystoją młodej panie.

Życie na plebanii było bardzo monotonne, nudziła się więc panna Aniela setnie. Znosiła to „zesłanie”, jak w myślach nazywała swój pobyt u wuja, jedynie dzięki częstym wizytom pana Kazimierza. Podobał jej się ten niestary jeszcze mężczyzna, który, choć brakowało mu warszawskiego sznytu, pełen był galanterii. Lubiła patrzeć na jego zgrabną postać, czarne oczy, śniadą cerę i wąsik nad chętnie pokazywanymi w uśmiechu białymi zębami. W jego oczach widziała zachwyt i uwielbienie, co zawsze sprawia kobiecie przyjemność i łechce wrodzoną próżność. W porównaniu z panem Waclawem – bladym, łysawym wymoczkciem o przywędłej cerze, u boku którego spędzić miała resztę życia – pan Kazimierz wydawał się niemal Apollem.

Panna Aniela niecierpliwie wyglądała przez okno, nasłuchując turkotu dryndulki. Zapadł już wczesny jesienny zmierzch. Pobyt u wujcia dobiegał końca, czas wracać do Warszawy. Jeszcze tylko pożegnalna kolacja, a potem w drogę. Patrzyła na tarmoszone wiatrem korony drzew i z rozpaczą myślała o nieuchronnie zbliżającym się terminie ślubu.

Pan Kazimierz nie mógł się doczekać spotkania z urodziwą panną. By wypełnić wlokący się czas, spacerował między dworskimi zabudowaniami. Zajrzał do stajni. Konie zawsze były jego oczkiem w głowie. Patrzył na nie z przyjemnością, nawet na te przeznaczone do ciężkiej roboty. Dbał o wszystkie,

a najbardziej o swojego pełnokrwistego karosza. Podszedł teraz do niego, poklepał pieszczotliwie szyję. Koń trącił go delikatnie w ramię. Złajał stajennego, że rumak ma zwichrzoną grzywę. Zaczął wyobrażać sobie, jak to nazajutrz wybierze się na długą przejażdżkę. Będzie cwałował po pustych, zasnutych mgłami polach, po bezlistnym brzoźowym lasku, po drogach i ścieżkach prowadzących do starego boru, gdzie korony strzelistych sosen zdawały się dotykać nieba i nawet teraz, późną jesienią, czuło się żywiczny zapach. Chłód będzie wciskał mu się pod kurtkę, zimne powietrze osmaga policzki. Przestrzeń i swoboda. Będzie wspaniale!

Znów pomyślał o kuzynce proboszcza. Już za kilkanaście minut pojedzie na plebanie, usiądzie blisko panny Anieli. Przypomniał sobie, jak w czasie którejś z poprzednich kolacji ośmielił się delikatnie dotknąć kolaniem jej nogi. Nie odsunęła się nawet o cal. Siedziała bez ruchu jakby nigdy nic. Czuł ciepło jej ciała, widział rumieniec na policzkach, słyszał przyśpieszony oddech. Przeszedł go miły dreszczyk. Szybkim ruchem rozluźnił węzeł krawata. Szarpnął guzik przy kołnierzyku. Cóż to za kobieta! Jest taka piękna i spogląda na niego łaskawym okiem. Och, gdyby tak móc ją obejmować, całować, pieścić. Pulsowało mu w skroniach, miał sucho w ustach. Przecież to niemożliwe! Panna lada chwila wybiera się za męża! Można tylko pomarzyć, ale to marzenie jest takie ekscytujące!

Przechodził właśnie obok obory. Przez szparę między deskami zauważył światełko. Kto, u diabła, jeszcze tam się tłucze o tej porze i po co? Pan Kazimierz wiedział, że pańskie oko konia tuczy. Otworzył dość gwałtownie małe drzwi i wszedł do środka.

Krowy w oborze spokojnie przeżuwały siano. Obok jednej, na zydelku, siedziała jakaś postać. Latarnia dawała niewiele światła, mimo to Bilski poznał skuloną kobietę.

– To ty, Józefowa?

Podniosła się ze stołka i skłoniła głowę.

– Proszę jaśnie pana dziedzica, pan rządca kazał pomasować Krasuli wymię, bo rano bardzo się targała przy dojeniu. Ale chyba będzie już dosyć.

Spojrzał na nią. Pierwszą młodość miała już za sobą, nadal jednak była jędrna i krzepka. Duże piersi opinała biała koszula. Czarne włosy, zazwyczaj gładko zaczesane i przykryte chusteczką, powymykały się z warkocza. Była zarumieniona, widać, że solidnie się napracowała. W skąpym świetle wyglądała młodo i ponętnie. Dziedzic podszedł bliżej i chwycił ją za rękę. Przyciągnął Józefową do siebie. Cofnęła się gwałtownie.

– Nie, panie, nie! Niech mnie jaśnie pan puści. Tak się nie godzi! Panie, to grzech!

Nie słuchał protestów, przewrócił kobietę na słomę. Broniła się, wrywała, szamotała. Jej opór tylko wzmacniał jego podniecenie. Trzymał ją mocno, aż się

uspokoila. Przez chwilę leżała bez ruchu, nagle poczuł, że jej ciało drgnęło. Już go nie odpychała. Objęła go za szyję, oddychała coraz szybciej i nagle z jej ust wyrwał się krzyk.

Pan Kazimierz podniósł się wolno i zaczął otrzępywać ubranie. Popatrzył na Józefową. Cicho pochlipując, związywała rogi chusteczki, która w czasie szamotaniny zsunęła się z głowy.

– No, no, nie masz czego lamentować, krzywdy ci nie zrobiłem! Przecież ci nie ubędzie, a wygodziłaś mi jak mało która.

– Nie ubędzie, nie ubędzie, ale przybyć może – lamentowała kobieta.

– Nie gadaj byle czego, a zresztą wy, baby, umiecie sobie jakoś dawać radę w takich razach. No, dosyć.

Był zły na siebie, że tak się na nią rzucił. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się nic podobnego. Bywało, że od czasu do czasu wybierał sobie którąś z folwarcznych dziewczuch, bo żona nader skąpo udzielała mu swych łask. Dziewczyny zazwyczaj były chętne, nie musiał ich zniewalać. Wiedziały, że dziedzic ma hojną rękę i szczerze wynagrodzi ich „poświęcenie”. Ale ta tutaj? No, no! Co za baba!

– Józefowa, a ile ty masz lat? – zainteresował się nagle.

– Na trzydziesty drugi mi się obróciło.

Więc była jego rówieśnicą, kto by pomyślał? Miał ją za dużo starszą. Wychodząc, spojrział jeszcze raz na jej zapłakaną twarz i obiecał, że dostanie podarek, z którego na pewno będzie rada.

Pośpiesznie wyszedł z obory.

– Maciek! Psiakrew! Przecież już pora jechać!

Stojący przy ganku stangret szybkim ruchem ściągnął z głowy czapkę.

– Zaprzęgaj dryndulkę, tylko migiem!

Maciek rzucił się do stajni. Gdy po paru minutach pan Kazimierz, odświeżony i wystrojony, wyszedł przed dom, jego ulubiony powozik już czekał. Usadowił się wygodnie. Zapomniał o Józefowej, myślami był przy pannie Anieli. Niecierpliwiał się i pokrzykiwał na Maćka, że przez jego mazgajstwo spóźni się do księdza.

Zapałł wczesny jesienny wieczór, jechali traktem obsadzonym starymi lipami. W bezlistnych konarach huczał wiatr. Po bezksiężycowym niebie sunęły ciężkie chmury. Było zimno. Pan Kazimierz nie czuł jednak chłodu. Rozgrzewała go myśl o pannie Anieli.

Księża gospodyni bardzo się postarała, kolacja była wyśmienita. Zwłaszcza pasztet z zającą udał się znakomicie. Proboszcz kazał przynieść z piwniczki omszałą butelkę i nawet panna Aniela wypila troszkę tego specjału. Czas przy suto zastawionym stole szybko mijał, zrobiło się późno i już mowy być nie mogło

o partyjce wista. Panna Aniela musiała przecież dotrzeć do odległych o kilka kilometrów Skierniewic. Miała tam przenocować u kuzynki, a jutro porannym pociągiem odjechać do Warszawy.

Ksiądz dobrodziej zamierzał odwiedzić siostrzenicę do miasta. Nie bardzo mu się chciało tłuc starych kości taki kawał drogi, więc skwapliwie przystał na propozycję dziedzica Bilskiego, który zaofiarował się towarzyszyć panie, tłumacząc, że jemu przecież i tak prawie po drodze.

Z trudem ulokowano z tyłu dryndulki dość pokaźny bagaż. Panna Aniela usiadła obok pana Kazimierza, a ciotka na koźle, przy stangrecie. Listopadowy wieczór był zimny, prószył śnieg, więc podniesiono budę nad pasażerami, a nogi otulono im futrzanym okryciem. Wujaszek uczynił nad odjeżdżającymi znak krzyża.

– No, to ruszajcie z Bogiem! A uważajcie, bo ciemno i ślisko!

Stangret postraszył bacikiem konia, który niespodzianie szarpnął. Dryndulką zakołysało. Panna Aniela krzyknęła. Pan Kazimierz chwycił ją wpół, ratując przed wypadnięciem. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocno.

Po chwili woźnica opanował sytuację. Koń rażno parł do przodu, stukając kopytami po zamrożonej ziemi, a pan Kazimierz nadal ciasno obejmował kibić panny. Jechali przytuleni, gdy nagle dryndulka znowu podskoczyła i usta Anieli musnęły policzek pana Kazimierza. Przeniknął ich dreszcz. Przywarli do siebie jeszcze mocniej, ich usta się spotkały.

Potem... pan Kazimierz poczynął sobie coraz śmieiej. Rozpiął futro i bluzeczkę panny. Nie bronila się, więc całował, całował, całował. Szeptał jej do ucha jakieś wyznania. Mówił, że wciąż o niej myślał, marzył, śnił. Mimo że droga do Skierniewic nie była zbyt długa, wystarczyło czasu, by namiętne pieszczoty zaprowadziły ich daleko, bardzo daleko, aż poza granice wszelkiej przyzwoitości...

Dzięki podmuchom wiatru i tętentowi końskich kopyt drzemiąca na koźle ciotka nie słyszała niczego, co mogłoby obudzić jej czujność.

Wkrótce dojechali pod dom kuzynki, służba zdjęła bagaże, a pan Kazimierz pomógł wysiąść panie Anieli i zсадził z kozła ciotkę. Ucałował paniom ręce. Na pannę popatrzył przeciągle, jakby chciał jej coś powiedzieć, jednak tylko się uśmiechnął, uchylił kapelusza i odjechał.

Panna Aniela, spoglądając na niknącą w ciemności dryndulkę, westchnęła ciężko i dotknęła rękami rozpalonych policzków. Pobyt u wujcia był okropny, ale jakie zakończenie! Będzie miała co wspominać w długie noce, przy boku niechcianego męża.

Pan Kazimierz też był rozmarzony. Pragnął zachować w pamięci każdą chwilę przeżytą z panną Aniela. Czuł jej zapach, dotyk, smak ust. Ależ to gorąca dziewczyna! A jaka chętna! Żał mu było, że dopiero w ostatniej chwili skorzystał z jej przyzwolenia i że więcej jej nie zobaczy. Ale i tak będzie miał o czym myśleć,

nie mogąc zasnąć w małżeńskim łóżu, obok niechętniej jego karesom żony.

JÓZEFOWA

Józefowa, pochlipując, wracała do swojej izby. A więc takie jest to pańskie kochanie. Dlatego dziewczuchy mają rumieńce, gdy szepczą sobie po kątach, jak to je dziedzic obłapiał.

Nie umiała pojąć, co się z nią działo w oborze. Żyła przecież z Józefem kilka lat, urodziła dwoje dzieci i nigdy dotąd nie zdarzyło jej się nic podobnego. To pewnikiem jakaś diabelska sztuczka. To szatan sprawił, że jej ciało zachowywało się tak dziwnie, że poczuła jakąś niezwykłą błogość, jakby życie z niej uchodziło. Nie! Nie chce o tym myśleć. To grzech! Trzeba się modlić, prosić Pana Boga o wybaczenie. Ojczy nasz...

Weszła do izby i padła na kolana przed obrazem Matki Boskiej. Bijąc się w piersi, powtarzała znajome od dzieciństwa słowa. Przez łzy spoglądała na złociste promienie rozchodzące się od serca Maryi, nie śmiała jednak spojrzeć w oczy Dziewicy. Taki straszny grzech. Jak go zmasać? Modliła się żarliwie, ale nie czuła ukojenia. Nagle przed jej oczami znów pojawiła się twarz dziedzica. Kobieta zadrżała. Starła się skupić na szeptanych słowach i precz odpędzić nieskromne myśli. W najbliższą niedzielę musi pójść do spowiedzi i zrzucić ciężar z serca. Ale jak powiedzieć księdzu dobrodziejowi o tym, co się stało? Taki wstyd!

Urodziła się w zamożnej chłopskiej rodzinie. Rodzice mieli sporo ziemi i nieźle im się żyło. Kiedy jednak umarł ojciec, matka nie poradziła sobie z prowadzeniem dużego gospodarstwa i wychowaniem trójki dzieci. Z rozpaczyny zaczęła coraz częściej popijać. Gospodarka podupadła, aż w końcu za niezapłacone długi wierzyciele ziemię zabrali. Matka zmarła ze zgryzoty, a dzieci poszły na służbę u bogatych sąsiadów.

Waleria, tak było Józefowej na imię, miała wtedy zaledwie dziewięć lat. Zaczęła pasać krowy u gospodarza. Sama, zdana wyłącznie na swoje siły, bardzo odczuwała sieroctwo. Było jej ciężko, z czasem jednak przywykła do nowych warunków. Coraz rzadziej popłakiwała nocą w poduszkę. Stopniowo stała się twarda i wytrzymała. Wyrosła na urodziwą i pracowitą dziewczynę. Nie trzeba było długo czekać na parobka chętnego do żeniaczki, wyszła za Józefa, kiedy ledwo skończyła szesnaście lat.

Mąż był dobrym człowiekiem. Pracował od świtu do nocy, do karczmy zachodził rzadko. Żyło im się biednie, ale spokojnie. Chleba nie brakowało. Wkrótce znaleźli zajęcie w Wólce Podleśnej u dziedzica Bilskiego, ojca obecnego właściciela. Zamieszkali w dworskim czworaku, Waleria zajmowała się krowami, a Józef pomagał w stajni. A że miał zręczne ręce i był chętny do każdej roboty, dziedzic go chwalił i nieraz wynagradzał dodatkowym rubelkiem. W ciągu kilku lat

małżeństwa przyszło na świat dwoje dzieci, najpierw syn Władek, niedługo potem córka. Dali jej na imię Józia – po ojcu.

Kiedyś, rąbiąc drzewo, Józef skaleczył sobie rękę. Rana nie chciała się goić, wdało się zakażenie. Nie pomagały okłady, moczenie w naparze z ziół ani odczynianie uroków przez wioskową znachorkę – Józef umarł. Waleria pochowała go jak należy, a potem przestała płakać i wzięła się w garść.

Gdy Władek skończył dziesięć lat, wysłała go do Żelaznej, gdzie mieszkała jej siostra, Tekla. Wieś duża, zamożna, łatwiej tam było o zarobek. Chłopak znalazł zajęcie u bogatego gospodarza. Pomagał przy koniach, umiał się z nimi obchodzić. Po jakimś czasie dogadał się z takim jednym, co nie chciał iść do wojska, i postanowili razem uciec do Ameryki. Wymknęli się ze wsi cichaczem i wszelki ślad po nich zaginął.

Józię oddała do służby, do sąsiedniej wsi. Widywały się rzadko, bo nie było czasu, żeby go marnować po próżnicy. Została w Wólce sama. Nie myślała o ponownym zamążpójściu, choć może i znalazłby się chętny do ożenku. Cicha, skromna, pobożna, żyła trochę na uboczu. Była za młoda, by w rzadkich chwilach wytchnienia siedzieć ze staruchami i gadać o byle czym, a za stara, by dokazywać z młódkami, więc najczęściej szła do kościoła. Klęczała przed obrazem Najświętszej Pani, pogrążona w modlitwie. Patrzyła w dobre oczy spoglądające na nią przyjaźnie, a od wyciągniętych w jej stronę rąk Maryi spływała jakaś siła niezwykła. Józefowa lubiła zerkać na kolorowe obrazy, dostojne figury świętych pańskich, złocenia, hafty, kwiaty. A gdy w czasie niedzielnej mszy grały organy, wydawało jej się, że dusza wzlatuje gdzieś w górę, ku niebieskiemu sklepieniu.

Był zimny niedzielny ranek, Waleria szła do kościoła. Spadł pierwszy śnieg, wiatr szarpał zapaskę, którą była okryta. Nie zważała na to. Szeptła pacierz i rogiem chusty ocierała łzy. Byle dojść, wypowiedać się, dostać rozgrzeszenie, a potem paść na kolana przed miłosierną Panią i podziękować za łaskę przebaczenia.

Z sercem drżącym z obawy, uklękła przed konfesjonałem. Najpierw wymieniła wszystkie drobne przewinienia, wreszcie zaczęła cichutko mówić o tym, co wydarzyło się w oborze. Gdy skończyła, łzy leciały z jej oczu jak groch. Zza kratki dotarł do niej zagniewany głos księdza:

– A co ty mi tu, babo, za bzdury opowiadasz. Pan dziedzic niezdolny jest do takiego grzechu. To porządny człowiek i pobożny. Znam go od dziecka. A ty tu jakieś bezceństwa mówisz. Musiałaś zachować się nieprzystojnie. Z pewnością zwabiłaś jaśnie pana, a teraz wymyślasz tu jakieś androny. I to na świętej spowiedzi! Wstydu nie masz! Masz czelność mówić takie rzeczy o panu, który cię

żywi i daje dach nad głową. Nie dostaniesz rozgrzeszenia! Ty bezwstydnico! Bij się w piersi!

Ksiądz pokrzykiwał, a Waleria płakała. W głowie huczały jej słowa: „Nie dostaniesz rozgrzeszenia!”.

O Boże! Jak ona będzie żyła?

W końcu jednak, słysząc jej rozpaczliwy szloch, dobrodziej trochę się udobruchał. Kazał za pokutę odmawiać codziennie przez miesiąc różaniec i modlić się, by nieskromne myśli więcej nie przychodziły jej do głowy. Wreszcie zrobił znak krzyża i trzykrotnie zapukał, co oznaczało, że spowiedź skończona. Waleria pokornie ucałowała stulę przewieszoną przez drzwiczki konfesjonału. Baby popatrywały ciekawie na jej zaczerwienione oczy. Zastanawiały się, co też ona za grzechy miała, że spowiedź była taka długa.

Waleria uklękała w najciemniejszym kąciuku, za filarem, i modliła się, by przebłagać Pana Boga za swój występki. Nie widziała, jak przez szeroko otwarte kościelne drzwi wkroczył dziedzic. Stąpał obok swej niezwykle bogobojnej żony, na jego twarzy malowała się duma i pewność siebie. Nie miał wyrzutów sumienia, nie kajał się przed Bogiem za Józefową i pannę Anielę. Czy w ogóle warto do tego wagę przykładac?

Zasiadł w kolatorskiej ławce, tuż obok ołtarza. Dyskretnie rozejrzał się dokoła. Jego wzrok napotkał śliczne oczy siedzącej niedaleko młodej guwernantki. Pomyślał, że warto by się zainteresować tą osobką. A może... I już wyobraźnia jąła podsuwać mu obrazy, które przyspieszały bicie serca. Pani dziedziczka, widząc nieobecny wzrok męża, delikatnie dotknęła jego dłoni. Pan Kazimierz uśmiechnął się pod wąsem, podniósł rękę do czoła i zaczął:

– *In nomine Patris et Filii...*

Czas, jak wiadomo, zaciera pamięć. Waleria coraz rzadziej myślała o swym grzechu, jednak gdy tylko zobaczyła dziedzica, serce zaczynało jej łomotać, a twarz oblewał rumieniec. Nie mogła nad tym zapanować.

Kiedyś, wraz z innymi babami, darła pierze ze świeżo oskubanych gęsi. Aby monotonna robota szła lepiej, nuciły z cicha piosenkę, a że był to adwent, śpiewały na smutną, rzewną nutę. Ręce migwały szybko, choć, jak to podczas pierzaczki, ruchy kobiet były oszczędne, bo białe piórka przy każdym gwałtowniejszym geście wirowały w powietrzu i osiadały na ubraniu, rzęsach, brwiach. Baby wyglądały, jakby je śnieg przysypał. Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich dziedzic. Wszystkie zaczęły piszczeć i wołać, żeby zamykał, i to szybko! Pan Kazimierz wycofał się w popłochu. Ta chwila wystarczyła, by Józefowa zrobiła się czerwona jak mak. Pozostałe spoglądały na nią podejrzliwie.

– A co ty, Józefowa, taka krasna? Dziedzica się przestraszyłaś?

Waleria pochyliła niżej twarz.

Krótkie zimowe dni mijały szybko. Któregoś ranka niosła w wiadrze mleko do dworskiej kuchni. Na ganku natknęła się na pana Kazimierza. Krew uderzyła jej do głowy, policzki pokrył rumieniec. Spuściła oczy i szybko chciała przejść dalej, ale dziedzic zastąpił jej drogę.

– Józefowa, zaczekaj chwilę. Posłuchaj – zniżył głos – zajdź dzisiaj o zmierzchu do obory, no i przygotuj jakieś porządne posłanie. Przyjdę do ciebie. Dobrze mi było wtedy, pamiętasz?

Ścisnęła jej rękę, aż syknęła. Poczowała dziwną słabość, wszystko, o czym chciała zapomnieć, stanęło jej przed oczami jak żywe. Potrząsnęła głową. Nie! Czy pan chce, żeby znów działo się z nią to, co wtedy? Boże! Znów ma popełnić taki grzech? Nie! Nie! Co robić?

– Jaśnie panie! Dzisiaj nie mogę, pan się nie gniewa, naprawdę nie mogę – głos z trudem wydobywał się ze ściśniętego gardła, spuściła wstydliwie oczy – jaśnie pan wie dlaczego.

Dziedzic popatrzył na nią badawczo, chyba zrozumiał, bo poklepał jej policzek.

– No trudno, odłożymy to na później. Ale pamiętaj, za kilka dni ma być, jak powiedziałem. – Puścił jej rękę.

Ruszyła, slaniając się na nogach. Ledwo zdołała donieść wiadro do kuchni. Kucharka popatrzyła na nią podejrziwie.

– A co ci to, Józefowa, chora jesteś? Może wody ci dać?

Waleria chwyciła podaną chochelkę i piła łapczywie. Kiedy wyszła na powietrze, trochę ochłonęła. Dowlokła się do swej izby, padła na posłanie i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

– Boże! Boże! Panienko Najświętsza! Dziewico Przczysta! Dopomóż! Nie chcę żyć w grzechu. Ale jak sprzeciwić się dziedzicowi? Dzisiejsza wymówka wystarczy na krótko. Co robić?

Poczowała, że ścisła coś w zaciśniętej ręce. To ruble! Dziedzic dał jej pieniądze! Rzuciła je z obrzydzeniem na łóżko. Po chwili jednak zebrała rozrzucone monety. Nie chciała ich, parzyły jej ręce, ale wiedziała, co robi. Zaniesie do kościoła i ofiaruje Najświętszej Paniencie.

Trochę uspokojona, wróciła do codziennych zajęć. Pracowała szybko i sprawnie, wciąż myślała, co dalej robić, i wreszcie zdecydowała. Musi uciekać. Od dziedzica, od grzechu! Natychmiast! Tylko dokąd? Jeszcze nie wiedziała, ale dłużej nie mogła tu zostać.

Wieczorem powróciła do swej izdebki, usiadła na brzegu łóżka. Rozejrzała się wokół. Niewiele rzeczy było do zabrania. Spakowała je w tobołek, zdjęła ze

ściany obraz Matki Boskiej, ucałowała i owinęła w starą derkę, żeby się w drodze nie zniszczył. Była gotowa. Wyruszy rano, skoro świt, pójdzie do swojej siostry, Tekli, która mieszka w odległej o jakieś dziesięć kilometrów wsi. To dość daleko, ale im dalej, tym lepiej! Nie będzie tam spotykać znajomych z Wólki. Jest silna, zdrowa i jeszcze nie taka stara. Może jej się poszczęści i dostanie tam jakąś robotę.

Zmówiła wieczorną modlitwę, poprosiła Świętą Panienkę o pomoc i opiekę w drodze i całkiem już spokojna, położyła się spać.

Zerwała się z łóżka na długo przed świtem. Szybko się ubrała i wyszła z izby. Szła ostrożnie, żeby nikt jej nie zobaczył. Na szczęście stróżujący tej nocy stary Walenty poszedł w inną stronę, nie było nawet słyhać poskrzypywania śniegu pod jego nogami. Waleria przemknęła się między zabudowaniami bez przeszkód, dotarła do drogi i rażno ruszyła naprzód.

Było mroźno. Księżyc, lśniący jak cynowa micha, oświetlał zasypane śniegiem pola i strzechy. Srebrzysta poświata otulała wszystko bajkowym blaskiem: i drzewa odziane w białe sukienki, i wiotkie gałązki krzewów powyginane pod ciężarem białego puchu.

Waleria nie widziała zapierającego dech w piersiach piękna. Śnieg na drodze był dobrze ubity, szła dosyć szybko. Jedną ręką przytrzymywała niesiony na plecach tobolek, w drugiej ścisnęła kij, by w razie potrzeby oganiać się od psów.

Wkrótce zaczęło świtać. Zimne powietrze szczypało policzki, ubranie nie chroniło przed mrozem. Waleria, dla dodania sobie otuchy, nuciła: „Zacznijcie nasze wargi chwalić Pannę Świętą...”.

A potem:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki...”.

Żeby sobie skrócić drogę, zeszła z bitego traktu na miedzę. Tu śnieg był głębszy, brnęła z trudem, miejscami zapadała się w zasy powyżej kolan. Znów wyszła na drogę. Minęła jedną wieś, potem drugą. Powoli wstawał dzień.

Anemiczne słońce z trudem pokonało poranne mgły, zrobiło się trochę cieplej. Waleria wyjęła zza pazuchy pajdkę chleba. Kładła do ust małe kęsy, odrywając je zmarzniętymi palcami. Nie zatrzymywała się, bo wiedziała, że jak przysiadzie, to nie da rady się podnieść i zamarznie w tej białej pustce.

Nieraz odwiedzała siostrę, latem na drogę wystarczały jej dwie godziny. A dzisiaj? Szła już z pięć i końca nie było widać.

Koło południa całkiem opadła z sił. Sztywne od mrozu nogi nie chciały jej słuchać, wlokła się resztką sił. Przeżegnała się zgrabiałą ręką i zaczęła odmawiać pacierz. Bezgłośnie poruszała wargami. Szła jak lunaticzka, straciła poczucie czasu.

Nagle usłyszała głośnie ujadanie. Wprost na nią pędziła sfora psów. Było ich

z dziesięć. Przeżegnała się; chyba to już jej ostatnia godzina. Nie zdoła opędzić się od tych bestii. Z psich gardzieli wydobywał się głuchy warkot. Były tuż-tuż, widziała ich jarzące się wściekłe ślepia.

Pierwszy doskoczył największy. W otwartym pysku lśniły białe zęby. Szarpnął ją za spódnicę, inne poszły w jego ślady. Waleria, ostrożnie, żeby nie upaść, cofała się wolno. Nagle poczuła za plecami jakąś przeszkodę. To pień przydrożnego drzewa. Błogosławione drzewo! Wsparała się na nim i zaczęła rozpaczliwie wywijać kijem. Wiedziała, że musi najpierw dosięgnąć tego najgroźniejszego, czarnego kundla, który wydawał się prowodyrem sfory. Z całej siły uderzyła napastnika po grzbiecie. Udało się! Zaskowyczał przeraźliwie, podkulił ogon i upadł. Inne trochę się wystraszyły. Czując dotkliwe ciosy, rozdzielane przez Walerię na prawo i lewo, z wolna zaczęły się wycofywać. Wreszcie zrezygnowały z ataku i poszczekując, pobiegły swoją drogą. U stóp Walerii pozostał tylko czarny, skomlący cicho kundel.

Stała, oparta o drzewo, dysząc ciężko, z oczu kapąły jej łzy. Otarła je wierzchem dłoni i rozejrzała się dokoła. Wydało jej się, że w oddali majaczy jakaś wieża. Czyżby to Żelazna? Spojrzała jeszcze raz. Tak, widać kościół! Więc i chałupa siostry musi być blisko! Dzięki Bogu! Dzięki! Jeszcze przed chwilą nie mogła zrobić kroku, a teraz, widząc kres swojej mordęgi, ruszyła.

Sypał drobny śnieżek, zapadał wczesny, grudniowy zmierzch. Do zagrody Tekli dotarła już w całkowitych ciemnościach. Gdy otwierała skrzypiące drzwi do sieni, uwiązany na łańcuchu pies zaszczekał donośnie. Zgrabiętymi palcami z trudem podniosła skobel, uchyliła drzwi do izby, przekroczyła wysoki próg i weszła do środka.

– Niech będzie pochwalony – wychrypiała.

Tekla siedziała pochylona i szyła przy wątym blasku kaganka. Mrużąc lekko oczy, spojrzała na skuloną, obsypaną śniegiem postać.

– A kogo Bóg prowadzi?

– To ja, Walerka.

– Wszelki duch Pana Boga chwali. Walerka? A skąd ty się tu, niebogo, wzięła? Wchodź, wchodź do środka. Zmarzłaś pewnikiem okrutnie. Siadaj, pozdejmuj te mokre łachy. Zaraz dam ci naparu z lipy na rozgrzewkę.

Waleria odłożyła swój tobołek i ciężko przysiadła na drewnianym zydlu. Tekla zakrzętnęła się przy kuchni. Dzieciaki podeszły bliżej i przyglądały się nieufnie. Nie miała siły do nich zagadać. Mąż Tekli, Maciej, drzemał blisko komina i nie ocknął się, mimo że tamta mówiła dość głośno.

– Masz! Pij!

Podawała siostrze kubek. Waleria wzięła go ostrożnie w zgrabięte dłonie i parząc usta gorącym płynem, piła łapczywie. Po chwili Tekla postawiła przed nią miskę zupy.

– Jedz, jedz, Walerka, później wszystko opowiesz, jak trochę odsapniesz.

Waleria odsunęła miskę, wsparła głowę na rękach, chciała coś powiedzieć, ale oszołomiona ciepłem płynącym od paleniska, przymknęła oczy. Głowa jej opadła na stół.

Tekla przykryła ją zapaską. Niech śpi, pomyślała, rano powie, co ją tu w taki mróz przygnało.

Kiedy Waleria się ocknęła, za okienkiem było jeszcze ciemno. Całą noc przespała z głową opartą na stole. Wolno otworzyła oczy, przeciągnęła się, rozprostowała zdrętwiałe kości. Rozejrzała się po izbie. W skąpym blasku kuchennego ognia widać było wyzierającą z każdego kąta biedę. Niejeden raz tu przychodziła, nigdy jednak ta izba nie wydała jej się tak nędzna. W jednym rogu stało małżeńskie łóżko, w którym sypiała Tekla z mężem i dwójką najmłodszych dzieciaków. Trójka starszych miała wypchany słomą siennik, który leżał wprost na klepisku. Przeciwległy kąt zajmowała duża kuchnia z zadymionym okapem. Na niewielkiej półce stało kilka wyszczerbionych misek. Obok, na wbitych w ścianę gwoździach, wisały jakieś łachy.

Biedna ta Tekla, pomyślała Waleria, a w młodości była taka wesoła i ładna. Najęła się do pracy u bogatego gospodarza, a że silna, to i parobka nieraz zastąpiła. Wpadła w oko Maciejowi Janikowi, gospodarskiemu synowi z sąsiedztwa. Choć rodzina tłumaczyła chłopakowi, że Tekla biedna jak mysz kościelna, nie ma posagu ni kawałka ziemi, Maciej uparł się i nie bacząc na matczyne zakazy, ożenił się z ukochaną.

Matka, zaraz po ich ślubie, wyniosła się do zamężnej córki, bo nie mogła się pogodzić, że taką dziadówkę dostała za synową.

Młodzi gospodarowali na niewielkim splachetku ziemi. Tekli wydawało się, że wychodząc za mąż za chłopca z morgami, Pana Boga za nogi ucapiła. Okazało się jednak, że choć oboje tyrali od świtu do nocy, to z trudem wiazali koniec z końcem. Ziemia była licha i nieurodzajna. Na przednówku zazwyczaj nie mieli co do garnka włożyć. Lata płynęły, rodziły się kolejne dzieci i coraz większa bieda zaglądała do domu. Maciej pomagał czasem we dworze przy owcach, ale niewiele tam zarobił. Żeby przetrwać najcięższe chwile, sprzedali stopniowo wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Tekla nie traciła jednak humoru, zawsze była uśmiechnięta i skora do żartów. Dzięki temu znosili jakoś swoją niedolę.

Waleria rozmyślała nad losem siostry, pogryzając wyjęty z tobołka chleb, gdy do izby energicznie weszła Tekla, niosąc skopek z mlekiem. Ubrana była w gruby serdak, który nie dopinał się na sterczącym brzuchu. Panie Boże! Tekla znów przy nadziei! To już będzie szóste, pomyślała z przerażeniem Waleria. Objęła siostrę serdecznie i ucałowała.

– Walerka, a opowiadaj, co z tobą, co się stało, żeś do nas w taki mróz przyszła?

– Musiałam iść precz z Wólki. Nie mogłam tam dłużej być, życie mi obrzydło. Nie dało się już wytrzymać. Mogę pobyc trochę u ciebie? Jak myślisz, znajdę tu jaką robotę? Wiś duża, dwór bogaty. Może mnie gdzieś zechcą?

– A siedz tu, jak długo chcesz. Położę ci siennik koło dzieciaków, będziesz miała gdzie spać. Popatrz – wskazała ręką na swój brzuch – znów będę miała małe. Co mam robić, Maciej taki kochliwy. Nawet jak napracowany, to mi nie przepuści. Ale co tam. Tyle jego! Jak chowa się piątka, to i szóstka z głodu nie umrze – mówiła z uśmiechem. Jej twarz, mimo biedy, zachowała dziewczęcą świeżość.

– A co u ciebie, kochaniutka? Powiedz!

– Co tu gadać, trzeba jakoś żyć. Pomyśl lepiej, czy nie słyszałaś, że do roboty gdzieś potrzebują.

– Walerka, ty to nigdy nie lubiłaś dużo gadać. Od ciebie słowo to prawie kupować trzeba! – Tekla zamyśliła się na chwilę. – We dworze to nie wiem. Trzeba by do rządcy iść, ale poczekaj! Słyszałam wczoraj pod karczmą Joska, że organiścina wypędziła precz dziewczę, bo był z niej wałkoń i flejtuch. A na dodatek złapała ją, bezwstydnicę, jak przymierzała jej kapelusze i suknie. Teraz podobno bardzo narzeka, nie daje sobie sama rady. Dam dzieciakom trochę mleka, ogarnę się i polecimy do niej zaraz.

Waleria przygładziła włosy, wyjęła z tobołka czystą chusteczkę i zawiązała na głowie. Strzepnęła trochę wymięty wełniak, okryła się zapaską. Była gotowa.

Niewielki dom organisty stał w pobliżu kościoła, w ogródku za drewnianym płotem. Siostry otworzyły furtkę i nieśmiało podeszły do drzwi. Z głębi mieszkania słyhać było donośny kobiecy głos, strofujący dzieci, że zbyt długo wylegują się w łózkach. Śmierdziało spalenizną, chyba wykypiało niedopilnowane mleko. Śpieszący na mszę organista nie mógł znaleźć spinek do mankietów i pokrzykiwał na wszystko, co się ruszało. Na dodatek nieduży chłopaczek potknął się o leżącego na dywanie psa, stłukł kolano i wrzeszczał wniebogłosy. Jednym słowem, sądny dzień.

Strwożone siostry chciały się wycofać, ale pani Matylda, właśnie biegnąca do męża ze znalezionymi spinkami, zauważyła je kątem oka. Spytała w przelocie, czego chcą, a gdy Tekla z pokorną miną powiedziała, że przyszły względem roboty, kazała poczekać.

Kiedy jako tako wszystko się uspokoiło, organiścina zlustrowała uważnie schludną postać, poważną twarz i bystre oczy Walerii. Wygląd kobiety budził zaufanie.

– Przyjmę cię na próbę. Popracujesz trochę, a potem zobaczymy. Tylko

żebyś zaczęła już! Od zaraz!

Dość miała bałaganu, jaki zapanował w domu po odprawieniu nieudolnej służki.

Waleria ukloniła się grzecznie.

– Dziękuję jaśnie pani, będę z całych sił pracować.

– Dobrze. Tylko pamiętaj, roboty tu moc, nie ma czasu się lenić, no i nie licz na dużą zapłatę.

Józefowa pochyliła głowę.

– To od czego pani każe zacząć?

– Zaraz, zaraz, a jak ty masz na imię?

– Waleria. Po mężu Kowalowa.

– A masz jaką rodzinę?

– Dzieci już na służbie, a mąż zmarł. Sama jestem.

– Zacznieś w kuchni. Za parę dni Wigilia, trzeba zrobić porządki, a potem gotowanie, pieczenie! A umiesz ty choć trochę gotować? – Widząc, że Waleria potwierdziła lekkim skinieniem głowy, ciągnęła głośno: – Przyjadą na święta goście, więc nie ma co zwlekać, bierz się do roboty. Aha! W piecach pali Błażek, chłopak od Lepów, drewno też on szykuje. Jak mu każesz, to ci wody nanosi i w innych cięższych robotach pomoże. A do dużego prania przychodzi Jagna Ceroniówna.

Dla Józefowej nastaly dni wypełnione pracą. Rozpocząła przed świtem, kończyła długo po zachodzie słońca. Musiała codziennie sprzątać wszystkie pokoje, w kuchni też było co robić. Ledwo skończyła ze śniadaniem, a już trzeba było się brać do szykowania obiadu. Potem kolacja. Kręciła się jak fryga, by podołać wszystkim obowiązkom.

Pani była z niej zadowolona.

Waleria wiele nie mówiła, pracę znała. W Wólce nieraz przecież pomagała w czasie przygotowań do różnych uroczystości i podpatrując dworską kucharkę, sporo się nauczyła. Więc nie tylko myła, szorowała, prała, ale i przy gotowaniu zaczęła swoją panią wyręczać.

Minęły święta. Waleria powoli przyzwyczajała się do zupełnie innych niż dotąd obowiązków. Właściwie polubiła nową pracę. Pani była łagodna i nawet jak coś się nie udało, nie ganiła zbyt ostro, doceniając niewątpliwe zalety i ochotę do pracy swojej pomocnicy.

Luty dobiegał końca, ale zima nie popuszczała. Dni były już dłuższe, jednak tęgi mróz nadal trzymał, a śnieg leżał na polach grubą warstwą. Organiścina pozwoliła Walerii sypiać w komórce za kuchnią, by nie musiała tracić czasu na drogę. Pomieszczenie było maleńkie, ledwo można się w nim było obrócić, ale Waleria i tak była zadowolona. Miała swój kąć. Tylko chłód bardzo jej dokuczał. Choć przykrywała się wszystkim, co miała, dygotała z zimna.

Którejś nocy, gdy leżała skulona, pomimo zmęczenia bezskutecznie czekając na sen, uprzytomniła sobie, że dawno już nie miała „swojego czasu”. Coś z nią jest chyba nie tak. Ma nabrzmiałe piersi, rano ciągnie ją do wymiotów. Co to może być? Tylko nie to, przeraziła się. Nie, to niemożliwe! Skąd? Czyżby to przez ten jeden, jedyny raz, wtedy w oborze?! Czy to kara boska za tamten grzech? Nie wystarczyło, że stamtąd uciekła, porzuciła znajome miejsce i poszła na niepewne? Boże Miłosiwy!

Przypominała sobie wszystko po kolei. Ciemny, listopadowy dzień, obora, dziedzic, ucieczka z Wólki, pierwsze dni i tygodnie u organiściny. Policzyła dokładnie. Tak, nie ma wątpliwości, będzie miała dziecko. Ale dlaczego Pan Bóg tak okropnie ją karze za tę chwilę, o której już prawie zapomniała? Czy nie dosyć tego, co przeszła, nie dosyć? Panienko Przenajświętsza! Co ona teraz zrobi? Przecież organiścina ją przepędzi! Nie będzie chciała trzymać baby z bękartem. Tekla nie pomoże, bo u niej bieda aż piszczy. Dopiero co przed czasem urodziła martwe dziecko i zupełnie nie mogła dojść do siebie. Ciągłe kwękała i narzekała na ból w brzuchu. Waleria nie знаła tu nikogo oprócz siostry, nie mogła liczyć na niczyją pomoc.

Czeka ją nędza i poniewierka. Nie pójdzie przecież do dziedzica Bilskiego, nie chce go widzieć! A dziecko? Toż to bękart! Wszyscy wytykać ją będą palcami, że w takim wieku postarała się o bachora. Jak ludziom w oczy spojrzeć?! Wstyd i sromota! Z głodu umrze i ona, i dziecko. Chyba będzie musiała żebrać. Nie! Tylko nie żebrać. Może wykonywać najcięższą robotę, byle nie musieć chodzić po prośbie. Byle nie to!

– Boże, uchronń mnie, Boże, pomóż! – szeptała gorączkowo.

Nagle przyszło jej do głowy, żeby skończyć ze sobą. Przecież to takie proste! Założy pętlę na szyję i już nie będzie musiała myśleć o głodzie, nędzy i wstydzie. Przerwie ten marny żywot. Bo po co właściwie żyć? Komu jest potrzebna? Kto po niej zapłaci? Pogrzebią ją pod cmentarnym płotem, tam, gdzie chowają samobójców, a potem już tylko cisza i spokój. A piekło? Przecież takiego, co sobie życie odbiera, czeka wieczne potępienie, męka i ogień piekielny. Przeżegnała się szybko.

– Idź precz, szatanie, nie kuś! Chciałbyś porwać moją duszę na zatracenie? Niedoczekanie! Nie dam się! – Przeżegnała się jeszcze raz i zaczęła odmawiać różaniec.

Do rana nie zmrużyła oka, kręciła się niespokojnie na twardym wyrku. Mijały godziny, a ona wciąż myślała, co robić. Wreszcie wymyśliła. Musi trzymać język za zębami. Upłynie trochę czasu, nim będzie widać, że jest w błogosławionym stanie. W błogosławionym – pięknie to nazywają! Dla niej prędzej w potępionym. A może zdarzy się jakiś cud, a może, tak jak Tekla, urodzi nieżywe dziecko?

Rano pani Matylda, widząc zaciśnięte usta i zapłakane oczy służącej, spytała, czy Waleria nie chora.

– Nie mogłam spać, zęby mnie bolały.

Kobieta, zazwyczaj małowówna, od tej nocy prawie wcale nie wydawała głosu. Żeby zagłuszyć myśli, pracowała jeszcze gorliwiej. Pani Matylda była z niej coraz bardziej rada. W czasie ostatniej wizyty we dworze opowiedziała, jaką to ma dobrą sługę.

– Proszę szanownej pani dziedziczki, ta moja Walercia to skarb prawdziwy. Pracowita, cicha, czysta. Umie co nieco ugotować. W domu spokój i porządek. Każdemu życzę takiej sługi. I językiem nie miele bez potrzeby.

Najgorsze dla Walerii były noce. Nie mogła spać. Schudła, zmarniała. Pani Matylda spoglądała podejrzliwie na jej mizerną twarz i podkrążone oczy. Co jej jest? – myślała. A może jest chora? Żeby tylko dzieci nie pozarażała. Nie wiadomo, co to takiego! Jak trafiła się dobra sługa, to chora. Pilnuje roboty i niewiele wymaga! Gdzie znaleźć taką drugą? Żal by ją było stracić.

Wielki Post dobiegał końca, przyszła pora na wielkanocną spowiedź. Waleria bardzo się bała. Pamiętała, jak nakrzyczał na nią ksiądz w Wólce. Do kościoła weszła ze ściśniętym sercem. Niepewnie uklękła przy konfesjonale, w którym siedział młody wikary. Wysłuchał jej, przez chwilę nic nie mówił, wreszcie zaczął szeptać modlitwę, a potem stwierdził, że to nie ona zawiniła, nie ona powinna się spowiadać. Waleria ze zdziwienia prawie zaniemówiła.

– A dziecko?

– Dziecko? Jest dowodem bożej miłości, przyjmij je z pokorą i wychowaj na porządnego człowieka.

Nie wierzyła własnym uszom. To jakiś młokos, pomyślała, jeszcze się nie nauczył mówić do ludzi, jak należy.

– Proszę księdza, nie dam rady go wychować! Sama, bez roboty! Przecież pani mnie wygna, jak się o wszystkim dowie! Ja go nie chcę! – mówiła z trudem.

– Umyśliłam sobie, że najlepiej oddam do przytułku.

Wikary poruszył się niespokojnie.

– Jeśli Bóg daje dziecko, to pomoże je wychować. Pan Bóg jest miłosierny, zaufaj jego dobroci. Kocha wszystkie stworzone przez siebie istoty, a tobie każe to maleństwo do serca przytulić.

Waleria wiedziała, że trzeba być posłuszną Bogu i księdzu, a jednocześnie nie mogła się pogodzić z niedolą, jaka na nią spadła. Wszystko to było za trudne na jej biedną skolataną głowę.

Ksiądz obiecał, że wstawi się za nią u organistów, nie zdradzając, oczywiście, tajemnicy spowiedzi, żeby pani pozwoliła jej pozostać razem z dzieckiem. Nie będzie łatwo, bo organista winien świecić przykładem. Ludzie mogą wziąć go na języki, że trzyma w domu sługę z nieślubnym dzieckiem. No, ale

z boską pomocą może uda się to jakoś załatwić.

Waleria była zadziwiona. Ksiądz nie tylko dał rozgrzeszenie, lecz nawet żadnej pokuty nie wyznaczył. I o tym dziecku tak jakoś od serca mówił! Nie wiedziała, bo i skąd mogła wiedzieć, że ksiądz sam zakosztował sierocej doli, że jego dzieciństwo upłynęło na tułaczce po bliższych i dalszych krewnych. Wiedział, jak ciężko jest żyć dziecku bez matki i ojca, dlatego chciał to nienarodzone biedactwo uchronić od podobnego losu.

Na świecie zapanowała wiosna. Marcowe wichury przegoniły zimę, stopiły resztki śniegu. Przyroda, pieszczona słonecznymi pocałunkami, z dnia na dzień nabierała kraszy. Na krzakach pokazały się drobne listki i pierwsze nieśmiałe kwiatki. W ogródku przy organistowce zakwitły niezabudki, stokrotki i bratki. Krzewy bzu pokryły się pączkami. Drzewa ustroiły się wiosennie, było kolorowo i pięknie. Od pól unosił się zapach rozgrzanej ziemi i krowiego nawozu. Wszystko wokół rosło i kwitło, a Waleria z dnia na dzień robiła się coraz okrąglejsza. Któregoś dnia pani Matylda, widząc jej pękatą postać, pomyślała, że nieźle podpasła się kobiecina na jej wikcie. Chyba roboty ma za mało.

W końcu czerwca Walerii trudno było ukryć sterczący brzuch. Ścisnęła się pasami lnianego płótna i z naiwną wiarą czekała, że może jednak zdarzy się cud. Cuda jednak zdarzają się bardzo rzadko, a biedakom to raczej nigdy.

Nocą układała się na wznak i czując, jak dziecko się w niej porusza, wpadała we wściekłość. Dużo by dała, żeby go nie było. Nie chciała go, nie chciała z całej siły. Nie pomogły słowa wikarego, szczerze nienawidziła bękarta, jak w myślach nazywała swoje dziecko.

Nadeszła pora żniw. Ciężkie, pełne złocistego ziarna kłosy falowały przy najłżejszym podmuchu wiatru. Waleria, wracając ze sklepiku Joska, trochę nadłożyła drogi, by przejść między nagrzanymi słońcem łanami, przetykanymi tu i ówdzie chabrami i rumiankami. Łapczywie wdychała woń ziemi i roślin. Tylko patrzeć, jak zaczną żąć! Pierwszy raz od lat, od dzieciństwa, nie będzie pomagać żniwiarzom. Dotychczas razem z innymi wiązała snopy, ustawiała mendle. To była ciężka praca, nieraz pot zalewał oczy. A pod wieczór, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, mijał znojny upał, konie ciągnęły ostatnie, wyładowane snopami wozy z siedzącymi na wierzchu dziewczuchami i babami. Żniwiarze kroczyli obok. Mimo zmęczenia kobiety śpiewały, parobcy przekomarzali się z nimi, a woźnice trzaskali z batów. Wszystkich rozpieszczała radość, że robota skończona. Ostatnie promienie słońca raziły oczy, pachniało zżęte zboże, a w powietrzu czuło się wieczorną rosę. Urokowi tych pięknych chwil poddawali się nawet ci prości ludzie,

mimo że obcując na co dzień z naturą, nie byli zbyt wrażliwi na jej piękno.

Waleria szła wolno i rozmyślała. Tydzień wcześniej pani Matylda odkryła jej pilnie strzeżoną tajemnicę. Któregoś ranka, gdy jak zwykle nakrywała stół do śniadania, organiścina ze zdziwieniem popatrzyła na jej sterczący spod płóciennej spódnicy brzuch.

– Walerciu, wiesz, wyglądasz, jakbyś spodziewała się dziecka! Powiedz, a może to prawda? Cóż za niedorzeczne pytanie! – Zaśmiała się perliście.

Spytała ot tak, od niechcenia. Nie oczekiwała przecież twierdzącej odpowiedzi. Kiedy jednak spojrzała na przerażoną twarz służącej, zrozumiała. Pojęła też, co znaczyły słowa wikarego, który kilka dni wcześniej wychwalał pracowitość i pobożność Walerii. Powiedział, że nawet gdyby kobieta pobiła, należałoby jej wybaczyć.

– Walerio, nie odpowiedziałas na moje pytanie!

Głos pani Matyldy zabrzmiał ostro. Służąca, szlochając, przypadła do jej kolan.

– Zawiniłam bardzo, nie powiedziałam o moim stanie, ale jak mnie pani najęła do służby, sama jeszcze nie wiedziałam. Błagam o litość i wyrozumienie. To stało się tam, gdzie przedtem służyłam. Zniewolił mnie. Nie było mnie komu obronić. Nie chciałam żyć w grzechu, więc uciekłam. Dopraszam się zmiłowania, będę wiernie służyć, tylko niech mnie jaśnie pani nie wypędza! Proszę, błagam!

Łkała coraz głośniej.

Pani Matylda miała miękkie serce, żal jej było Walerii, ale co pan organista powie na to wszystko?

– Posłuchaj, Walerio, nawet jeśli pan pozwoli, to co z ciebie będzie za pociecha w pracy, z dzieckiem przy piersi!

– Dam sobie radę, a jak pani nie będzie zadowolona, to mnie przepędzi. Zresztą umyśliłam oddać dziecko do przytułku.

– No, nie wiem... – W głosie organiściny słychać było wahanie.
– Zobaczmy.

Pani Matylda powiedziała o kłopotach z Walerią mężowi, prosząc go o zrozumienie, bo jak mówiła, lepszej sługi nigdzie nie znajdzie. Organista nie bardzo wiedział, co począć, więc poszedł po radę do księdza dobrodzieja. Obecny przy ich rozmowie wikary oświadczył, że co prawda obowiązuje go tajemnica spowiedzi, może jednak powiedzieć, że wina służącej nie jest tak duża, jak by się wydawało.

Uradzili, że nie ma co sprawy rozdmuchiwać. Niech ta kobieta mówi, że ojcem dziecka jest jej niedawno zmarły mąż. Ot, takie niewinne kłamstewko! We wsi nikt poza siostrą nie zna jej przeszłości, więc prawda nie wyjdzie na jaw i uniknie się niepotrzebnych plotek. No i, co najważniejsze, pani Matylda nie straci sługi. Wikary dodał, że Waleria musi sama wychować dziecko, tak jej przykazał,

i nie wolno jej, Boże broń, oddać go do przytułku. Organista wracał do domu niezadowolony. Same kłopoty z tą kobietą. Przekazał decyzję żonie, która powtórzyła jego słowa oczekującej na wyrok, zapłakanej służącej. Waleria mogła wreszcie odetchnąć. Chwała Panu Bogu! Nie wyrzucą jej! A z dzieckiem jakoś sobie poradzi, siły ma przecież dość! Ze łzami wdzięczności ucałowała ręce pani Matyldy.

Jej pora nadeszła w sierpniową noc. Przez cały dzień świat omdlewał od upału, po południu zaczęły się zbierać czarne chmury, a późnym wieczorem przyszła nawałnica. Strugi deszczu leciały na rozgrzaną upałem ziemię, niebo rozrywały błyskawice, grzmot sięgał grzmotu. Piorun powalił stary dąb w pobliżu kościoła, drugi rozdarł rosnącą nieopodal lipę. Najstarsi ludzie nie pamiętali tak gwałtownej burzy.

Waleria ze swojej komórki nie widziała błyskawic. Słyszała huk piorunów i szum ulewy. Była rada, że w tym hałasie nie słychać jej jęków. Rodziła. Postanowiła sama dać sobie radę, pomagała przecież przy niejednym porodzie, wiedziała, co i jak.

Bóle napływały falami. Były coraz częstsze i silniejsze. Leżała skulona, przytrzymując rękami brzuch. Zdawała sobie sprawę, że to już niedługo. Nagle poczuła bardzo bolesny skurcz i zasłoniła usta dłonią, by stłumić krzyk. Ból minął, ogarnęła ją ulga i wtedy dało się słyszeć cieniutkie kwilenie. Dziecko, drobnutkie i zakrwawione, leżało na sienniku. Waleria przecięła i zawiązała pępowinę. Bez ciekawości spojrzała na pomarszczoną buzię. Maleństwo wyglądało jak inne noworodki, tylko włosy miało niezwykle – czarne, bardzo długie i kręcone.

Odпочęła parę minut, zawiązała córeczkę w czyste szmaty, uporządkowała posłanie i zmęczona przysnęła. Gdy zbudził ją płacz maleństwa, przysunęła je do piersi, a ono łapczywie chwyciło brodawkę.

Ładne dziecko. Akuratne! Waleria z goryczą odwróciła wzrok. Nie, nie chciała nawet patrzeć na owoc grzechu. Dziedzicowa córka! Nigdy się nie dowie, kim był jej ojciec. Waleria postanowiła zabrać swą tajemnicę do grobu. Matka mówiła, że dziecko urodzone w burzę życie będzie miało burzliwe. A, co tam! Każdy musi przeżyć swoje życie po swojemu, więc i ta mała też jakoś da sobie radę. A zresztą nie obchodziło jej wcale ani dziecko, ani jego los. Nie będzie się o nie martwić! Waleria przymknęła oczy. Musiała się zdrzemnąć, żeby nabrać trochę siły do roboty, która na nią czeka od świtu.

Ranek wstał pogodny i spokojny, tylko połamane drzewa świadczyły o nocnej burzy. Powietrze było rześkie i kryształowo czyste. W ogromnych kałużach przeglądało się słońce.

Waleria jak co dzień przygotowała dla pana śniadanie. Wstał pierwszy, bo

poranna msza rozpoczynała się wcześniej. Potem zaczęły się budzić dzieci. Najpierw otworzył oczy Ignasz, ruchliwy i psotny trzylatek. Głośno upomniał się o jedzenie i szybko przyniosła mu mleko. Potem wstał starszy o dwa lata Staś, a wreszcie sześciolatka Emilka. Pani drzemała jeszcze, wiedząc, że Waleria dopilnuje wszystkiego, nakarmi i ubierze dzieci.

Co jakiś czas Waleria zniknęła w swojej komórcy, by dać dziecku piersi. Maleństwo leżało skrępowane powijakami. Wyglądało jak kokon, z którego wychylała się drobna twarzyczka. Było wyjątkowo ciche, jakby rozumiało, że lepiej nie ściągać na siebie uwagi.

Koło dziewiątej pani Matylda wstała, weszła do kuchni, by coś przekąsić i wydać dyspozycje co do obiadu. Ze zdziwieniem popatrzyła na służącą.

- Walerciu, co się stało, gdzie się podział twój wielki brzuch?
- Ano, w nocy urodziłam dziewczynę, proszę pani.
- Trzeba będzie ją jak najszybciej ochrzcić.
- Tak, proszę pani. Na Siewną. Dam jej na imię Maria.
- Maria? Skąd ci to przyszło do głowy?
- Nie wiem, proszę pani, ale tak bym chciała. Poproszę dobrodzieja.

Wszędobylskie dzieciaki usłyszały ciche popiskiwanie dochodzące z komórki.

- Walerciu, masz tam małego kotka? Pokaż go nam, pokaż! – prosiły.
- Nie można. Kotek śpi. Idźcie bawić się do ogródka.

Groźna mina Walerii wypłoszyła całą trójkę z domu. Po chwili znalazły na ścieżce wielką dżdżownicę i zapomniały o kotku.

Tego samego dnia w Warszawie, w obecności matki i teściowej, przy fachowej pomocy lekarza i akuszerki, panna Aniela, obecnie pani Wacławowa, urodziła prześliczną dziewczuszkę. Dziecko miało bardzo piękne czarne, wijące się włoski i zupełnie, ale to zupełnie nie było podobne do swego ojca.

Pani Aniela długo wracała do zdrowia po tym wyczerpującym przeżyciu, otoczona czułością męża i rodziców.

Wybrała dla maleństwa piękne imię Julia, w sam raz dla takiej ślicznej dziewczynki. Spoglądała na nią z miłością i doszukiwała się rysów pana Kazimierza. Wciąż miała w pamięci listopadowy wieczór i przeżyte wówczas chwile. Nikomu jednak, nawet matce, nie wyjawiała swej tajemnicy.

MANIA

We wrześniu pola są puste, żniwa dawno skończone. Zaorana pod jesienny siew ziemia lśni tłustymi skibami. Jest ciepło, minęły już dokuczliwe upały. Słońce grzeje jeszcze mocno, ale znacznie wcześniej udaje się na spoczynek. Ranki są chłodne, a rosa czasem nie znika aż do południa. Po niebieskim, lekko zamglonym niebie ciągną stada ptaków, lecących szukać szczęścia w dalekich krajach. Pachnie jesienią. Lada chwila rozpoczną się wykopki, a w powietrzu będą fruwały delikatne nitki babiego lata i da się poczuć woń palonych na ogniskach kartoflanych łęcin.

W taki cichy dzień poszła Waleria do księdza dobrodzieja prosić, by w święto Matki Bożej Siewnej ochrzcił jej córkę. Proboszcza nie było. Wyjechał na kilka dni, więc pod jego nieobecność młody wikary załatwiał wszystkie sprawy parafialne. Skrzywił się, usłyszawszy, z czym przyszła.

– Tego roku święto wypada w piątek, a to nie jest dobry dzień na chrzest, przełożmy więc ten najważniejszy sakrament, powiedzmy, na sobotę.

Waleria chwyciła jego rękę i podniosła do ust.

– Niech ksiądz nie odmawia. To dziecko grzechu. Chciałam je właśnie tego dnia zawierzyć opiece Jasnej Pani. – Patrzyła błagalnie na wikarego.

Wreszcie zgodził się, gdy jednak usłyszał, że dziecko ma otrzymać imię Maria, stanowczo zaprotestował.

– Walerio, co ty wymyśliłaś? Toż to imię Matki Bożej i inna niewiasta nie jest godna go nosić.

Widząc jednak w oczach kobiety łzy, zmiękł trochę.

– Wiesz co? Damy jej na imię Marianna, też pięknie, co ty na to?

Waleria pomyślała chwilę i skinęła głową.

– Ale pamiętaj, przyrzekłaś, że nie oddasz jej do przytułku, tylko sama ją wychowasz. Masz co jeść i gdzie mieszkać. Pani Matylda jest dla ciebie dobra. Nie ma tłumaczenia! Musisz mi to uroczyście przysiąc.

– Przysięgam, przysięgam na swą duszę, będzie, jak ksiądz każe.

Waleria jeszcze raz ucałowała rękę wikarego.

W piątkowy poranek, ósmego września, poszła do kościoła razem z Błażkiem i Teklą, którzy mieli trzymać małeństwo do chrztu. Błażek o mało nie pękł z dumy, że wybrano go do tak ważnej roli. Tekla wyglądała mizernie, po urodzeniu martwego dziecka wciąż nie mogła dojść do siebie. Była blada i smutna, słaniała się na nogach. Z dawnej wesołej kobiety pozostał tylko cień.

Wikary z ciekawością popatrzył na córkę Walerii. Miała delikatną buzię,

ciemne oczy i wyraźnie zarysowane brwi. Spod czepeczka wysuwały się czarne loczki.

– Śliczne dziecko – mruknął pod nosem.

Po ceremonii lekko dotknął buzi niemowlęcia.

– No, Marianno, rośnij zdrowo na chwałę Bożą, niech ci się szczęści w życiu.

Szkoda, że żadne, nawet najszczęśliwsze, życzenia zupełnie nie mają wpływu na ludzkie losy.

Po chrzcie wikary wpisał do księgi parafialnej:

W święto Matki Boskiej Siewnej, 8 września roku Pańskiego 1890, przyniesiono dziecko płci żeńskiej. Matka Waleria Kowal, ojciec NN. Dziecko na Chrzcie Świętym otrzymało imię Marianna, nazwisko po matce Kowal. Ojciec chrzestny – Błażej Chudzik, matka chrzestna – Tekla Janikowa – tutejsi parafianie.

Waleria dotrzymała słowa, nie oddała dziecka do przytułku. Była jednak złą matką, miała dla Mani niewiele czasu i jeszcze mniej uczucia. Patrzyła na nią z niechęcią, dotykała małej z niechęcią, nie mogła i nie chciała tej niechęci przełamać. Dziecko całe dni leżało w czymś, co przypominało hamak. Waleria przemyślnie związała mocne lniane prześcieradło i gwoździami przymocowała je do ściany. Kiedy na parę chwil przychodziła do komórki nakarmić Manię, wprawiała w ruch tę niby-huśtawkę, a delikatne kołysanie sprawiało, że dziecko leżało spokojnie, a jeśli, co się rzadko zdarzało, popłakiwało, dostawało do buzi szczyptę cukru zawiniętą w gałganek. Czując sączącą się słodycz, zasypiało, a Waleria pędziła do swych zajęć. Jednak, jakby na przekór tym wszystkim niedogodnościom, Mania rosła zdrowo.

Któregoś grudniowego popołudnia pani dziedziczka zaszczyciła swą wizytą organiściń. Kiedy Waleria podawała siedzącym w saloniku paniom ciasteczka i herbatę, pani Lipińska obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

– Dobra kobieto, powiedz mi, a zdrowa jesteś?

Waleria zaniemówiła. Pani dziedziczka o zdrowie ją pyta?!

– Tak, proszę jaśnie pani.

– A karmisz jeszcze swoje dziecko?

– Tak.

– A pokarmu masz dosyć?

– Tak.

– Możesz odejść.

Waleria skłoniła się i wyszła, zachodząc w głowę, o co mogło chodzić dziedziczce.

A chodziło o to, że młoda kuzynka pani Lipińskiej, żona właściciela majątku

w Dębowej Górze, niedawno urodziła dziecko i bezskutecznie szukała mamki. Pani Lipińska, osoba bardzo energiczna, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Przypomniała sobie, że służąca organiściny ma małe dziecko, a pani Matylda nie może się nachwalić, jaka to pracowita i czysta kobieta. Postanowiła zobaczyć ją na własne oczy. Oględziny wypadły pozytywnie, więc pani Lipińska zaczęła:

– Droga Matyldo, przyszedłam tu do pani ze specjalną misją, a właściwie prośbą – przemówiła słodkim głosem.

– Pani dziedziczka do mnie z prośbą? Ależ zrobię wszystko, co pani zechce.

– Wiedziałam, że mogę liczyć na pani zrozumienie i dobre serce.

– Tylko co ja, skromna organiścina, mogłabym zrobić dla szanownej pani?

– Nie będę owijała w bawełnę. Zna mnie pani, lubię mówić krótko i węzłowato. Chciałam, żeby ta służąca, jak jej tam, zdaje się, Waleria, została mamką u pani Zofii Dębskiej, mojej kuzynki. Biedaczka nie może znaleźć odpowiedniej kobiety, a ta, widzi mi się, byłaby w sam raz. Za parę miesięcy, kiedy przestanie karmić panicza, będzie mogła wrócić do pani. Moja droga, niech mi pani nie odmawia tej drobnej przysługi.

– Nie wiem – w głosie pani Matyldy słychać było wahanie – nie wiem, co mam odpowiedzieć. Waleria jest u mnie od roku, przyzwyczałam się do niej, jestem z niej zadowolona. Święta się zbliżają, trudno mi będzie znaleźć kogoś na jej miejsce.

Dziedziczka, nienawykła do sprzeciwu, ze zniecierpliwieniem zmarszczyła brwi.

– Moja kochana, rozumiem panią. Ale przecież chodzi zaledwie o kilka miesięcy. Zależy mi na dobrej mamce. Bardzo chciałabym pomóc mojej młodej kuzynce. To jej pierwsze dziecko, uroczy chłopaczek. Ona jest z Warszawy, nikogo tu nie zna, oczywiście poza mną. Sama pani rozumie, mąż nie bardzo się nadaje do takich spraw. Pani Matyldo, proszę spełnić moją prośbę.

W ustach pani Lipińskiej słowo „proszę” zabrzmiało bardziej jak „żądam”.

Biedna pani Matylda jeszcze pamiętała, jaki nieład zapanował w domu po odprawieniu poprzedniej sługi, i już widziała oczyma duszy, co będzie się działo po odejściu Walerii. Ale czyż można odmówić pani dziedziczce?

– Żal mi się Walerci pozbywać, ale trudno, jakoś będę musiała sobie poradzić.

Twarz pani Lipińskiej pojaśniała.

– No, to mi się podoba.

– To od kiedy Walercia miałaby się przenieść do pani Dębskiej?

– Jak najprędzej, moja kochana, jak najprędzej, nawet jutro.

– Dobrze, dopilnuję, żeby była gotowa.

– Zawiezie ją mój stangret, o siódmej. Nie wiem, jak pani dziękować, pani Matyldo. Jestem pani dłużniczką.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – kwaśnym tonem odrzekła organiścina.

Wizyta dobiegła końca, panie się pożegnały. Dziedziczka wolnym krokiem poszła w kierunku oddalonego o kilkadziesiąt metrów dworu.

Pani Matylda zawołała Walerię, by jej powiedzieć o nadchodzącej zmianie. Służąca posmutniała. Dobrze jej było w tym domu. Pracy wprawdzie miała dużo, ale nigdy nie brakowało jedzenia, nikt na nią nie krzychał i nią nie poniewierał. Żał jej było stąd odchodzić, ale swoim zwyczajem powiedziała krótko:

– Będzie, jak pani każe.

Niewielki salonik wypełniały pluszowe kanapy, fotele i stoliki. Było ciepło i przytulnie. Przez okno wpadały promienie słońca, zapowiadające nadchodzącą wiosnę. W pobliżu kominka, na niskich pufach siedziały dwie kobiety. Ta młodsza była bardzo ładna, jasnowłosa i wiotka, a druga, trochę starsza, miała ciemną karnację i bystre czarne oczy. Obok stała kołyska. Spało w niej tłuściutkie, zarumienione od snu niemowlę.

– Walerciu, sprawdź, czy Antoś ma suche pieluszki.

Waleria podniosła się natychmiast.

– Suche, suche i śpi jak aniołeczek.

Wróciła na miejsce obok pani Zofii Dębskiej i wzięła do ręki odłożoną przed chwilą robótkę. Pani Zofia uczyła Walerię haftować. Kobieta w wolnej chwili wyszywała bajecznie kolorowe wzory. Miała niezwykle zręczne palce, najwymyślniejsze ścięgi układała na płótnie równiutko, chlebobawczyni nie mogła się jej nachwalić.

Dobrze było Walerii w nowym miejscu, o wiele lepiej niż u organiściny. Pani Zofia wymagała od niej tylko jednego, by troskliwie, dniem i nocą, zajmowała się Antosiem. W porównaniu z jej dawnymi zajęciami to była prawie zabawa.

– Pamiętaj, Walerciu – powtarzała od czasu do czasu – Antoś jest najważniejszy.

Nie trzeba jej było tego przypominać. Opiekowała się chłopcem bardzo troskliwie. Kołysała go w ramionach, a podczas karmienia cicho śpiewała:

– „Czerwone jabłuszko,
przekrojone na krzyż,
czemu ty, dziewczyno,
krzywo na mnie patrzysz?
Gęsi za wodą, kaczki za wodą,
uciekaj, dziewczyno, bo cię poboda,
ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz,
ja cię nie wydam,
ty mnie nie wydasz...”.

Antoś przytulał się do jej piersi, a Waleria patrzyła na niego z zachwytem i oddaniem. Darzyła chłopczyka ślepą miłością, miłością, jakiej nigdy nie czuła do własnego dziecka. Gdy patrzyła w czarne oczy córki, miała zimny wzrok i poważną, surową twarz. Nigdy do niej nie mówiła, nigdy się nie uśmiechała. Pani Zofia nawet spytała kiedyś, dlaczego jest dla Mani taka oschła. Waleria prawie niegrzecznie odpowiedziała wtedy, że jaśnie pani się wydaje, jest taka, jak potrzeba.

– A dlaczego nie chcesz przynosić Mani do saloniku? – indagowała dalej pani Zofia.

– Bo dobrze jej tam, gdzie jest!

Pani Zofia miała pogodne usposobienie, była delikatna i miła. Przed zamążpójściem mieszkała w Warszawie. Na wsi wszystko było dla niej nowe, zupełnie inne niż w rodzinnym domu. Nie zdążyła nawiązać znajomości z sąsiadami, najpierw z powodu dającej się we znaki ciąży, a po urodzeniu Antosia nie chciała nawet na chwilę oddalać się od niego. Przyzwyczajona do pełnego rozrywek życia w Warszawie, nudziłaby się na wsi, gdyby nie ukochany synek. Zajmowała się nim bardzo troskliwie, był dla niej całym światem. Urodził się zdrowy i dorodny, a odkąd karmiła go Waleria, rósł niemal w oczach. Wyrzynały mu się właśnie pierwsze ząbki i trochę marudził. Nawet przez sen kręcił się niespokojnie. Był o dwa miesiące starszy od Mani. Na szczęście dobrze odżywiona i wypoczęta Waleria miała dość mleka dla obojga, choć to Antoś pierwszy najadał się do syta, a Mania musiała zadowolić się tym, co pozostało w matczyńskich piersiach.

Dziewczynka chowała się zdrowo. Leżała zazwyczaj w alkowie tuż obok dziecinnego pokoju. Przez niewielkie okienko przyglądała się poruszającym wiatrem gałązkom, obłokom sunącym po niebie i śmigającym ptakom. Zdążyła przywyknąć, że zawsze jest sama, a matka przychodzi jedynie od czasu do czasu, właściwie tylko wtedy, gdy trzeba ją nakarmić.

Pani Zofia bardzo dużo czytała. Książki zawsze leżały w zasięgu ręki. Waleria spoglądała na nie z ciekawością. Czasem, gdy pani nie było w pokoju, otwierała okładkę i patrzyła ze zdziwieniem na rzędy czarnych, maleńkich znaczków. Myślała, co też one oznaczają. Ho, ho, jaką to trzeba mieć mądrą głowę, żeby zrozumieć, o co w takiej książce chodzi. Najchętniej oglądała te z obrazkami, lecz bała się pytać, co na nich jest. Zatrzymywała wzrok na górach, morzach, wielkich miastach, pięknie ubranych ludziach. Jakie to wszystko ciekawe! Że też tyle jest różności na świecie. Dla Walerii, która знаła tylko najbliższą okolicę i robotę od rana do nocy, wszystko było niezwykle!

W wielkanocny poniedziałek, gdy państwo pojechali z sąsiedzką wizytą,

siedziała w „dziecinnym” i pilnowała raczkujących na dywanie dzieci. Choć pani Zofia zachęcała ją, by przynosiła Manię do pokoju Antosia, Waleria nigdy tego nie robiła. Teraz jednak, gdy państwa nie było, przełamała swoje opory.

Co chwila patrzyła na Antosia. Właśnie przesuwiał się powoli w jej kierunku i robił śmieszne miny. Obserwowała, jak usiłował do niej dotrzeć. Z zachwytem spoglądała na jego pulchną buzię i trochę nieporadne ruchy. Nie zwracała wcale uwagi na drobniutką, energiczną Manię, podążającą na czworakach w stronę wielkiego pluszowego misia.

Było cicho, ciepło i spokojnie. Waleria pograżyła się w myślach, złożyła ręce i zaczęła się modlić, by podziękować Panu Bogu za dobro, które ją spotkało, za panią Zofię, za Antosia...

Potem odmówiła zadaną w czasie wielkanocnej spowiedzi pokutę. Dobrze, że wikary był wyrozumiały i kazał tylko przez tydzień odmawiać różaniec. A grzech miała ciężki! Nie mogła w każdą niedzielę być na mszy. Państwo jechali do kościoła, ale ona musiała zostawać z Antosiem. Zanim ksiądz zapukał na znak, że spowiedź skończona, zapytał o Manię. Odpowiedziała krótko, że ma się dobrze.

– A czy już duża urosła?

– Ma osiem miesięcy.

Wikary usłyszał w jej głosie ostry ton.

– Opiekuj się nią, Walerio. To przecież twoja córka. Ona ciebie bardzo potrzebuje, nie zapominaj o tym.

– Ale to bękart.

– Dziecko niczemu niewinne.

– Proszę księdza, nie mogę na nią patrzeć, zaraz staje mi w pamięci tamto, w oborze.

– Walerio, jeszcze raz ci powtarzam, kochaj ją, a o tamtym już nie myśl. Dobrze ci jest u pani Dębskiej?

– Bardzo dobrze.

– No widzisz, a przecież to tylko dzięki Mani mogłaś dostać tę pracę. Niezbadane są wyroki boskie. Człowiek nigdy nie wie, co dla niego lepsze. To Pan Bóg kieruje naszym życiem.

– Pewno tak, proszę księdza.

Waleria przyznała wikaremu rację, jednak nie zmieniło to jej uczuć do córki. Patrząc na dziewczynkę, odczuwała niechęć, prawie nienawiść.

Skończyła odmawiać różaniec. Antosiewi właśnie udało się do niej dotrzeć, wyciągnął łapki i coś gaworzył. Wzięła go na ręce i przytuliła, głaskała jego jasne włosy, delikatnie huśtała na kolanach. Malec był w siódmym niebie. A Mania siedziała cicho w kącie i tuliła się do kosmatego misia.

Kiedy zaczęły się letnie upały, Waleria dużo czasu spędzała z Antosiem na powietrzu. Pani Zofia chciała, by malec, który właśnie zaczynał stawiać pierwsze kroki, przez większą część dnia baraszkował na trawniku za domem. Waleria podtrzymywała go, gdy usiłował chodzić. Mania przyglądała mu się uważnie, naśladowała jego ruchy i raczkując nieporadnie, starała się być jak najbliższej chłopca.

Antoś przewracał się co chwila. Kiedy usiadł na pupie, wrzeszczał z całych sił, Waleria musiała podnosić go i uspokajać. Mania też się przewracała, ale radziła sobie sama, nie czekając na matczyną pomoc.

Waleria karmiła Antosia piersią już tylko raz dziennie, przed nocą. W ciągu dnia chłopiec jadał różne dziecięce potrawy. Pani Zofia sprowadziła z Warszawy specjalne książki, by wychowywać synka zgodnie z najnowszymi zaleceniami i niczego nie zaniedbać.

Mania za to jadła wszystko, co matka jej dawała. Dziecku dopisywał apetyt. Zupy, chleb, ziemniaki szybko znikwały w małych usteczkach. Najbardziej jednak lubiła gryźć skórkę chleba. Musiała nieraz długo się namozolić, by ją rozgryźć, ale zadowolona mina świadczyła, że sprawiało to dziewczynce wielką przyjemność.

Życie we dworze toczyło się spokojnie. Waleria zdawała sobie sprawę, że ten stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie, nie chciała jednak myśleć, co potem. Będzie, co Bóg da. Jednak czasem szatan krzyżuje boskie zamiary, wtrąca swoje trzy grosze w ludzkie losy i sprowadza nieszczęścia.

Nastały jesienne słoty, pani Zofia przeziębiła się i kilka dni spędziła w łóżku. Ponieważ nie było widać poprawy, sprowadzono z niedalekich Skierniewic lekarza, który zbadał ją dokładnie, osłuchał, opukał i przepisał lekarstwa. Po następnych kilku dniach stan chorej bardzo się pogorszył. Miała gorączkę i męczył ją suchy kaszel. Przyjechała matka pani Zofii i przywiozła z Warszawy znanego lekarza. Doktor zbadał pacjentkę, pokiwał głową i zawyrokował:

– Płuca są zajęte, ot co, trzeba poważnie wziąć się do leczenia. Pacjentka musi wyjechać na południe, do jakiegoś kurortu. Same leki nie pomogą, konieczna jest zmiana klimatu. Nasza paskudna, mokra jesień, a potem ostra zima mogą bardzo zaszkodzić. Na południe! Na południe! To jedyna rada.

Zajęte płuca! Lekarze tak mówili, żeby nie przerażać chorego i jego bliskich. Matka pani Zofii zrozumiała jednak od razu – to suchoty. A suchoty to wyrok śmierci! W ciągu zaledwie paru dni poczyniła niezbędne do dalszej podróży przygotowania. Kiedy córka poczuła się troszkę lepiej, ruszono w drogę.

Przed wyjazdem pani Zofia wezwała Walerię.

– Walerciu, napisałam list do pani Lipińskiej, by zechciała dać ci jakąś pracę. Do pani Matyldy nie możesz, niestety, już wrócić, bo, jak wiesz, organista wyprowadził się z Żelaznej. Z nami też nie możesz jechać. Moja kuracja będzie trwała długo. Antoś jedzie ze mną, nie chcę się z nim rozstawać. Na miejscu,

w Szwajcarii, znajdziemy dla niego bonę. Byłaś dobrą nianią, tak serdecznie opiekowałaś się moim synkiem, dziękuję ci za to. A teraz pójdź do pana, da ci zapłatę. Bywaj zdrowa, Walerciu.

Waleria, widząc mizerną twarz pani, z trudem powstrzymała zbierające się pod powiekami łzy.

– Niech pani Bóg dopomoże i wynagrodzi za tyle dobroci. Dziękuję, dziękuję za wszystko. Będę się modliła o pani zdrowie.

– Tak, tak, Walerciu, módl się, módl. Przecież muszę być zdrowa, żeby wychować Antosia!

Zacinał dokuczliwy listopadowy deszcz. Wiatr hulał po pustych polach, atakował, jakby chciał wszystko, co spotkał na drodze, przewrócić, przycisnąć do ziemi. Waleria z wielkim trudem szła z Dębowej Góry do Żelaznej. Niby to zaledwie kilka kilometrów, ale na plecach dźwigała spory tobołek, a na rękach niosła Manię owiniętą grubą chustą.

Nie chciała czekać na obiecaną podwodę i ruszyła pieszo. Rządca państwa Dębskich obiecał, że resztę rzeczy każe furmanowi przywieźć przy jakiejś okazji.

Teren wokół Żelaznej był pofałdowany i malowniczy. Droga to wspinała się, to biegła w dół. Waleria minęła Julków. Z ostatniego przed wsią wzniesienia zobaczyła kościelną wieżę. Po lewej stronie, między drzewami, zamajaczyły krzyże. Kobieta przeżegnała się kilka razy i cicho wyszeptała modlitwę za wszystkich zmarłych, a szczególnie pomodliła się za spokój duszy Tekli pochowanej pod rozsypującym się kopczykiem.

Umarła biedula poprzedniej jesieni, niedługo po chrzcie Mani. Zostawiła piątkę dzieciaków. Dobrze, że najstarsza, Małgośka, jakoś sobie radziła z gospodarstwem. To już duża dziewczyna, skończyła przecież dwanaście lat. A zdatna do roboty jak matka. Podobna do Tekli, potrafiła ciężko pracować i nie narzekała, choć robota była ponad jej siły. Lubiła się śmiać i często podśpiewywała, a głos miała mocny i czysty. Co ten biedny Maciej bez niej by zrobił? Waleria westchnęła ciężko i z wolna podeszła do domku rządcy.

Pani Lipińska przekazała mu dyspozycje co do Walerii. Kiedy otworzyła drzwi, mężczyzna popatrzył na nią trochę spode łba.

– Będiesz pracowała przy krowach, w oborze – burknął – a zamieszkasz tymczasem razem z Ceroniami.

Waleria zacisnęła usta.

– Nie rób takiej skwaszonej miny. Ciesz się, kobieto, że w ogóle jaśnie pani zechciała dać ci robotę, ludzi mamy przecież dosyć. Z czasem znajdzie się może jakaś osobna izba.

Z czego miała się cieszyć? Odwykła od harówki w gospodarstwie,

posmakowała lepszego życia. Pomyślała o pani Zofii, o Antosiu. Trudno będzie przyzwyczać się znowu do roboty w oborze. Najgorsze, że musi mieszkać z Ceroniami. Znała ich dobrze. Jagna Ceroniówna przychodziła prac u organisciny i często opowiadała, co się w domu wyprawia. Ceroń popijał, a jak wracał z karczmy, Ceroniowa wrzeszczała i waliła go kijem po plecach. Ciężko będzie wytrzymać. Ale cóż, nie było wyjścia.

Ceroniowie mieli kupę dzieciaków i na dodatek mieszkała z nimi matka gospodarza, więc razem z Walerią i Manią było ich jedenaścioro! Ciasnota, bałagan i hałas, ale pani dziedziczka tak rozporządziła i ani Waleria, ani oni nie mieli tu nic do powiedzenia.

Gospodyni, tęga i wysoka, popatrzyła ponuro na wchodzącą kobietę. Z wyraźną niechęcią wskazała jej ręką kąt między łóżkiem a ścianą. Miejsca tam było akurat na położenie siennika. Dzieciaki obserwowały nieufnie, jak nieznajoma rozkłada swój skromny dobytek i rozdziewa z chusty małą dziewczynkę.

Popłynęły monotonne zimowe dni. Waleria prawie cały czas zajęta była przy krowach, a Mania zostawała z dziećmi Ceroniów. Przyjęły ją jak swoją. Wreszcie nie była sama. Baczenie wszystko obserwowała, nauczyła się porozumiewać z nimi. Trochę słów umiała już powiedzieć, a czego nie umiała, pokazywała gestami. Wkrótce nie różniła się niczym od małych Ceroniaków. Jej czarne oczy śmiały się do nich. W krótkiej koszulinie, umorusana, nie odstępowała tamtych ani na krok. Czasem oberwała kuksańca albo któreś z nich zabrało jej ulubioną skórkę chleba, ale te drobiazgi nie psuły jej radości bycia z nimi.

Kiedy w izbie panował ziąb, dzieciaki zbijały się w gromadkę i przytulone do siebie, coś tam sobie szeptały. Mania lubiła ich bliskość, bijące od nich ciepło, czuła się przy nich bezpiecznie.

No i jeszcze był pies, wielki, kudłaty kundel. Nazywał się Burek. Zazwyczaj biegał na zewnątrz, ale czasem, wykorzystując nieuwagę Ceroniowej, wślizgiwał się do izby. Dzieciaki targały go za uszy i ogon, jeździły mu na grzbiecie. Pies bez protestu pozwalał im na wszystko. Kiedy miały dość, dawały mu spokój, a Burek układał się w pobliżu komina i drzemał. Mania wtulała się w jego zapchlone kudły i też zasypiała, a zwierzak od czasu do czasu lizał jej buzię wielkim ozorem. Powracająca z roboty Waleria przerywała tę sielankę. Natychmiast wyrzucała kundla z izby, a córka za bratanie się z psiskiem dostawała lanie. Jednak ani surowe zakazy matki, ani otrzymywane klapsy nic nie pomagały, Burek pokochał Manię psią miłością, a dziewczynka odwzajemniała mu się całym łaknącym miłości serduszkiem.

Nastała wiosna. Każdego ranka Wojtek Ceroń wypędzał dworskie gęsi na łąkę. Przez cały dzień pilnował, by ptaki nie zbliżyły się zanadto do płynącej

w pobliżu rzeki. Oj, dostałoby mu się, gdyby któraś z białych, utuczonych gęsi przepadła. Wojtek miał już siedem lat. Jego starsze rodzeństwo pracowało we dworze, on zaś w sam raz nadawał się do pasania gęsi. Przy okazji miał baczenie na młodsze siostry, czteroletnią Gabrysię i dwuletnią Anulkę, a teraz jeszcze na płaczącą się pod nogami Manię.

Małe niby to chciały mu pomagać, ale co to była za pomoc! Tylko figle miały w głowie. A to goniły motyle, a to biegły nad rzekę, by popatrzeć na płynącą wodę, a to tarzały się po zielonej trawie. Wraz z nimi dokazywał Burek. Psisko na krok nie odstępowało Mani. Aż dziw, że tak się do niej przywiązał. Wojtek patrzył pobłaźliwie na te zabawy. Czuł się przy dziewczynkach bardzo dorosły. Ot, małe to i głupie, myślał. Będą miały po siedem lat jak on, to zmadrzeją i też będą mogły pilnować gęsi.

Przez całe lato Mania hasała z dziećmi. Ale najchętniej trzymała się blisko Wojtka. Była w tym szczęśliwym wieku, gdy jeszcze nie kazano jej pracować, jednak nie miało to trwać długo. Dwa lata później matka wcisnęła jej do rączki witkę i dała kilka gęsi pod opiekę.

Czteroletnia Mania czuła się już prawie tak dorosła, jak Wojtek. Siadała na łące i oka nie spuszczała ze skubiących trawę ptaków. Obok niej leżał nieodłączny Burek. Raźniej jej było, gdy widziała jego wielki łeb. Często dzieliła się z nim ostatnim kawałkiem chleba. Pies odwdzięczał się ślepym przywiązaniem, czasem pomagał dziewczynce zaganiać gęsi do szopy przed nocą, a w chłodne poranki ogrzewał małą swoim ciepłem.

Na gęsią łąkę przychodziły czasem najmłodsze Ceroniówny, ale one też musiały już pomagać matce, nie zostawało im więc zbyt wiele wolnego czasu. Miała zatem Mania za towarzystwo zazwyczaj tylko gęsi i nieodłącznego Burka, mimo to wcale się nie nudziła. Wyplatała wianuszki z łąkowych kwiatów, opowiadała Burkowi jakieś wymyślane historie i przyglądała się bacznie wszystkiemu wokół. Gdy gęsi pasły się spokojnie, jej bystre oczy obserwowały płynącą wodę, skaczące nad nią żaby, koniki polne, cykające świerszcze, latające nad kwiatkami pszczoły i zwiewne łątki.

Najbardziej lubiła położyć się na plecach i patrzeć w bezkresny błękit. Czasem po niebie płynęły obłoki. Wydawały jej się niezwykłymi stworami, rozpoznawała w nich znajome kształty, a to kota, a to dym unoszący się z komina albo stado puszystych owieczek. Wyobraźnia podsuwała jej coraz to nowe pomysły. Dziewczynka zastanawiała się, skąd te chmurki nadchodzą, gdzie znikają. Co się z nimi dzieje, gdy dopływają tam, gdzie niebo styka się z ziemią? Czasem nagle gęstniały, białe obłoczki zmieniały się w ciemne chmurzyska, które zasłaniały słońce. Robiło się szarawo i ponuro. Gdy zaczynało kropić, Mania nakrywała siebie i psa starą derką, a gęsi, zadowolone z lecącej z nieba wody, zbijały się w gromadkę i głośno gęgały.

Chętnie wpatrywała się w wartki nurt rzeki. Widziała smykające w wodzie rybki i zastanawiała się, czy też im nie zimno, nie smutno. Rzuciła do rzeki patyczki, biegła wzdłuż brzegu i obserwowała, jak podskakują na drobnych falach coraz dalej i dalej. Dokąd płyną? Tego już nie mogła sobie wyobrazić! Jej świat kończył się z jednej strony tuż za gęsią łąką, na skraju której rosły wielgachne drzewa, a z drugiej ograniczały go zabudowania dworskie. Trochę bardziej w prawo widziała kościół i kilka chłopskich chałup. Wszystko wielkie i piękne.

Któregoś letniego dnia na niebie zaczęły zbierać się chmury. Były coraz ciemniejsze, prawie czarne. Zerwała się wichura. Drzewa gięły się i trzeszczały. Z hukiem oderwało się kilka grubych konarów. Spróchniałą wierzbę wichur zwałił wprost do rzeki. Mania przeżyła już niejedną burzę, tym razem jednak było jakoś inaczej.

Najbardziej przerażała ją żółta, złowroga poświata. W jej świetle wszystko stało się straszne i takie dziwne. Ogarnął ją paniczny lęk. Z przerażeniem patrzyła na gęsi, które wpadły w jakiś szal. Wyciągały szyje, głośno syczały, trzepotały wielkimi skrzydłami, rozłożonymi jak do lotu. Nagle niebo rozdarła błyskawica. Manię ogłuszył łoskot przetaczającego się grzmotu. Burek zawył żałośnie. Dziewczynka zapomniała o gęsiach i co siłą w nogach, rozpryskując gołymi piętami kałuże, popędziła do domu.

Już od kilku miesięcy mieszkały z matką w oddzielnej izbie. Waleria z ulgą wyniosła się od Ceroniów. Męczył ją panujący tam nieustanny harmider, kłótnie i nieporządek.

Rządca przydzielił im w dworskim czworaku maleńką izdebkę po starej Pająkowej, której się zmarło jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Waleria wybieliła ściany, poustawiała ubogie sprzęty, nad łóżkiem zawiesiła święty obraz. Nareszcie miały własny kąpiel.

Nie pracowała już przy krowach. Dziedziczka przypomniała sobie, jak to kiedyś pani Matylda nie mogła się nachwalić Walerii za jej zalety, i kazała jej przyjść do dworskiej kuchni. Została pomocnicą kucharki. Małomówna i stroniąca od ludzi, uważana była przez inne kobiety za odludka. Gdy wracała po pracy do swojej izdebki, często słyszała niewybredne uwagi tamtych. Zaciskała wtedy usta jeszcze mocniej i pod fartuchem zwiјаła dłonie w pięści. Przyśpieszała kroku, żeby jak najprędzej znaleźć się z daleka od ludzkich języków. Nieraz goniły ją złe słowa.

– Patrzajcie ją, jaka ważna. Ale nosa zadziera! Myśli sobie, że lepsza od nas.

– Tak, lepsza, chłopca nie ma, a dzieciaka ma!

– Dzieciak? To bękart, moja kumo, to bękart. Wiem od nieboszczki Tekli, że jej chłopca pomarł, na długo zanim się o ten przychówek postarała!

– Wstydu taka nie ma, tfu! Że też dziedziczka trzyma takiego wycierucha przy dworze!

Rozzłoszczona Waleria wpadała do izby, gdzie w kącie kryła się Mania,

przytulona do szmacianej kukielki.

– To wszystko przez ciebie, ty bękarcie, ty diabelskie nasienie. Po coś ty na ten świat przychodziła? Nienawidzę cię, zgiń, przepadnij!

Chwytała dziecko i w furii okładała je pięściami. Wreszcie popychała małą w kąt, a sama siadała na łóżku, zakrywała rękami twarz i łkała rozpaczliwie. Mania przez łzy nie widziała czerwonej twarzy i wykrzywionych wściekłością ust Walerii. Wiedziała, że głośny płacz denerwował matkę, więc skulona w kącie za łóżkiem, starała się powstrzymywać szloch, choć bolały pobite plecy, głowa. Siedziała cichutko, a łzy jak groch płynęły po jej policzkach.

Tego dnia, gdy rozpętała się ta okropna burza, a przerażona Mania przybiegła z łąki do izby, Waleria już tam była. Wróciła wcześniej, bo przy zmywaniu garnków skaleczyła sobie rękę, a że rana mocno krwawiła, kucharka kazała jej pójść z kuchni. Nie nadawała się do żadnej roboty, zostawiała na wszystkim, czego się dotknęła, czerwone ślady. Owinęła więc rękę i siedziała w izdebce, odmawiając różaniec. Dostrzegłszy, że nadciąga burza, postawiła przy oknie święty obrazek, mający odstraszyć pioruny. Gdy niebo zaczęły rozdzierać błyskawice, dla dodania sobie odwagi kreśliła drżącą ręką znak krzyża. Od dzieciństwa bała się burzy. Przetaczające się po niebie głucho dudnienie sprawiało, że włosy jej się jeżyły na głowie.

Nagle w drzwiach stanęła ociekająca wodą Mania.

– A gdzie gęsi?

– Zostały na łące. Matulu, tak się boję, boję!

– Zostawiłaś gęsi? Ty wstrętna dziewucho, ty podły bękarcie, żadnej pociechy z ciebie nie ma! A jak gęsi uciekną? Jeść nie dostaniesz! Będziesz musiała odrobić stratę! Ty diabelski pomioście!

Posypały się wyzwiska. Dziewczynka patrzyła na matkę czarnymi, szeroko otwartymi oczami, jej drobne ciało drżało z zimna i strachu. Waleria zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo podobne są te czarne oczy do oczu dziedzica. Ogarnął ją jakiś szal. Chwycała córkę i biła, biła bez litości. Wśród wykrzykiwanych słów jedno najczęściej docierało do uszu małej: bękart! Mania nie wiedziała, co ono oznacza, ale czuła, że to coś najgorszego na świecie.

Wreszcie Waleria trochę ochłonęła i wybiegła na dwór. Deszcz jeszcze padał, ale burza powoli oddalała się w kierunku Skierniewic. Gęsi, zbite w gromadkę, ze stoickim spokojem czekały na łące. Ulewa wcale im nie przeszkadzała. Kobieta pogoniła je do szopy. Gdy wróciła, nawet nie spojrzała na pochlipującą Manię.

Przyszło ostatnie lato dziewiętnastego wieku. Mania miała osiem lat i jako duża dziewczyna pilnowała już nie gęsi, ale pasących się na wygonie krów. Nie

przypuszczała, jaką wspaniałą niespodziankę szykuje jej los.

Z Warszawy przyjechała do dworu na wakacje panna Wandzia, będąca jeszcze pensjonarką. Miała głowę nabitą nowymi ideami, a to głównie za sprawą starszego brata, zagorzałego socjalisty, który zabierał ją czasem na wiece i zebrania. Chodziła na nie w tajemnicy przed rodzicami, trochę z ciekawości, a trochę z dumy, że brat uchyla przed nią rąbka tajemnicy, otaczającej jego zakazaną działalność. Ogniste wystąpienia mówców robiły na niej spore wrażenie. Pod ich wpływem z dziewczęcą egzaltacją zaczęła marzyć, by odmienić zły świat, by wszyscy byli syci i szczęśliwi. Chciała działać, poprawiać, ulepszać.

Wcześniej też spędzała wakacje u ciotki Lipińskiej, ale dopiero tego roku zaczęła uważniej przypatrywać się życiu prostych ludzi, a szczególnie dzieci. Widziała, jak całe dnie pracują, pasą gęsi, owce, krowy. Nie mają czasu na naukę, a tym bardziej na zabawę. Żyją tylko po to, żeby pracować, pracować, pracować.

Wpadł jej do głowy pomysł, by nauczyć dzieciaki czytać! Po powrocie do Warszawy będzie miała czym pochwalić się bratu. Opowie, jak ciemnemu ludowi niosła „oświaty kaganek”. Kiedy z entuzjazmem przedstawiła ciotce swój zamiar, ta pobłażliwie machnęła ręką.

– No cóż, moja kochana Wandziu, wyczyniaj te swoje eksperymenty, skoro masz na nie ochotę, ale to zwykłe fanaberie. Po co tym dzieciakom mącić w głowach. I tak uczonych z nich nie będzie! Ale jesteś tu gościem, więc rób, co chcesz, bylebyś tylko nie odrywała ich zbyt od pracy.

Panna Wanda zaczęła się zastanawiać, jak wprowadzić w życie swój zamiar. Nie mogła liczyć na pomieszczenie, które nadawałoby się na klasę, ani tym bardziej na to, by lekcje odbywały się o stałej porze. Myślała, myślała, aż wpadła na doskonały, jej zdaniem, pomysł: urządzi szkołę na łące. Tak! Dzieciaki będą pilnowały zwierząt, a ona w tym czasie spróbuje wkładać malcom wiedzę do głów. Genialne! Genialne i proste!

Na strychu znalazła starą tablicę. Zaniósła ją na łąkę i oparła o wielką gruszę. Następnego dnia rankiem zwołała dzieciaki i kazała im usiąść dokoła. Były nieduże, bo starsze zatrudniano przy robotach cięższych niż pasionka.

Zebrało się ich niewiele, bo tylko „dworskie” pasły na łące niedaleko gruszy. Zbliżyły się nieufnie, z rezerwą. Co ta śliczna panienka może od nich chcieć? A gdy usłyszały, że będzie je uczyć czytania, zaczęły spoglądać po sobie niepewnie. Nie bardzo wiedziały, co to znaczy. A kiedy panienka Wanda zaczęła rysować białą kredą dziwne znaki, patrzyły na nią jak na czarodziejkę.

Niewiele rozumiały z tego, co mówiła panna Wanda, ale chętnie patrzyły na jej ładną suknię i miłą twarz. Nieśmiało, cichymi głosami powtarzały: „a, be, ab, e, be, eb, i, be, ib”.

Bardzo szybko panna Wanda przekonała się, że niełatwo być nauczycielką. Dzieci, znużone siedzeniem w jednym miejscu, zaczynały się kręcić i rozglądać, co

chwila biegały sprawdzić, co robią pilnowane przez nie zwierzęta. Zniechęciła się i po kilku dniach zrezygnowała z nauczania, a zaczęła opowiadać im bajki. Patrzyła na ich umorusane buzie, zasmarkane nosy, bose nogi i zachwycone oczy, wlepione w nią jak w święty obrazek.

Mania też słuchała bajek, ale było jej żal, że panna Wandzia już nie pokazuje nowych literek. Któregoś dnia, kiedy dzieci rozbiegły się do swoich zajęć, Mania została. Stała z boku, zawstydzona, ze spuszczonej oczami.

– A ty dlaczego nie biegniesz do krówek?

Mania milczała i kręciła w palcach brzeg fartucha.

– Powiedz, śmiało! – zachęciła ją panna Wandzia.

– Bo, bo... – zaczęła dziewczynka.

– A jak ty masz na imię?

– Mańka.

– Co ty chciałaś, moja Maniu, mów, nie wstydz się!

– Bo ja, bo ja, chciałam się zapytać... – powiedziała prawie szeptem.

– No pytaj, pytaj, nie bój się.

– Proszę pani, a czy dużo jest jeszcze tych literek, co pani o nich mówiła?

– O, jeszcze sporo, ale nie chcecie się uczyć, to już nie będę was dłużej męczyć.

W oczach Mani błysnęły łzy, usta wygięły się w podkówkę.

– Oj, szkoda! Oj, jak szkoda – chlipnęła.

– A ty, Maniu, chciałabyś poznać więcej literek?

– Tak, proszę pani. Oj, bardzo bym chciała.

– Jak jutro rano przyjdę na łąkę, to czekaj tu na mnie.

Dziewczynka aż się rozpromieniła, pochwyciła rękę panny Wandy i przycisnęła do ust.

Cóż to za dziwne dziecko, myślała Wanda, wracając do dworu. Ma takie smutne oczy. I cóż za niezwykle włosy! Wyróżnia się spośród innych nie tylko urodą, ale i powagą. A ta jej ochota do nauki! Dziwne dziecko! Może warto poświęcić jej trochę czasu?

Następnego ranka, gdy panna Wanda przyszła na łąkę, Mania już czekała. Kiedy dziewczynka zobaczyła w rękach pani książki, oczy jej zabłysły. Dotychczas tylko w kościele widziała z daleka książeczkę do nabożeństwa w rękach dziedziczki i grubą księgę, z której modlił się ksiądz dobrodziej.

Przyglądała się z wielką uwagą kolorowej okładce. A kiedy zobaczyła rzędy czarnych znaczków, aż otworzyła usta ze zdziwienia. Panna Wandzia zaczęła na głos czytać baśń Andersena o królowej śniegu. Mania stała koło niej zasłuchana.

– No i co, Maniu, podobała ci się historia Gerdy i Kaja? Zrozumiałaś wszystko?

Dziewczynka przecząco pokręciła głową.

– Nie martw się, jak będziesz sama umiała czytać, to zrozumiesz. A może chcesz mnie o coś spytać?

Mania nieśmiało dotknęła palcem literek.

– I to wszystko jest tutaj?

– Tak. To wszystko jest tu napisane.

– Jak to może być?

– Gdybyś zapamiętała, jak się nazywa każda literka, a potem nauczyła się składać je w słowa, to też umiałabyś przeczytać to wszystko.

– W całej książce?

– Tak! W całej. W tej i w innych.

– A dużo ich jest?

– Choćbyś codziennie od rana do nocy czytała, nie przeczytasz wszystkich.

– Olaboga, to kto przeczyta to wszystko?

– Widzisz, Maniu, są na świecie mądrzy ludzie, którzy bardzo dużo czytają, ale i oni wszystkiemu nie dadzą rady.

Twarz Mani posmutniała.

– No, dosyć na dzisiaj, biegnij teraz do swoich krówek. Jutro znów przyjdę.

Wszystko, o czym mówiła panna Wanda, zapadło Mani głęboko w pamięć. Siedząc z krowami na wygonie, myślała tylko o literkach i czytaniu.

Panienka przyszła na łąkę jeszcze kilka razy. Dziwiła się, że Mania tak szybko zapamiętuje litery i potrafi już łączyć je w sylaby, a nawet krótkie słowa. Niestety, pobyt panny Wandzi u ciotki dobiegł końca. Ostatniego dnia dała Mani „na zawsze” książkę z baśniami.

– Pamiętaj, Maniu, masz stale czytać, codziennie, choćby po kilka słów. Inaczej wszystko zapomnisz. Nawet jeśli nie będziesz rozumiała niektórych wyrazów, nie przejmuj się. Z czasem zrozumiesz. Jak przyjadę za rok, sprawdzę, czego się nauczyłaś.

Pogłaskała czarne włosy dziewczynki. Mania, czując delikatny dotyk ręki panny Wandy, znieruchomiała. Och, jakie to przyjemne! Kiedyś ksiądz wikary kładł od czasu do czasu rękę na jej głowie, ale już od roku nie było go w Żelaznej.

I jeszcze ta książka! Miała swoją książkę! Własną! Nikomu o niej nie powie. Schowa ją dobrze. Jakby się matka dowiedziała, z pewnością natychmiast by zabrała książkę, może nawet spaliła, a Manię pewno sprząłaby na kwaśne jabłko.

Przyrzekła pannie Wandzi, że będzie powtarzała to, czego się nauczyła, i że na pewno nigdy nie zapomni ani literek, ani panienki. Nigdy!

Daremnie jednak czekała następnego lata. Nie wiedziała, bo i skąd, że panienka podróżuje z rodzicami po Włoszech. Minęło następne lato i kilka kolejnych, a panna Wanda nie przyjeżdżała. Gdy wreszcie po dłuższym czasie odwiedziła ciotkę wraz z niedawno poślubionym mężem i maleńkim synkiem, nie

pamiętała już o Mani. Zajęta była dzieckiem i nowymi obowiązkami. Spacerując po alejkach w ogrodzie, nie zwróciła uwagi na wpatrzone w nią czarne oczy kilkunastoletniej dziewczyny, która wraz z innymi dworskimi sadiła kwiaty na klombie.

Nigdy nie dowiedziała się panna Wanda, że Mania opanowała sztukę czytania. Trudno było znaleźć dziewczynie wolną chwilę i musiała pilnie strzec swej tajemnicy. Miała by za swoje, gdyby matka zobaczyła, na co czas marnuje. Jednak kiedy tylko mogła, w ukryciu dukała swoje ukochane literki. Prawie całą książkę umiała już na pamięć.

W tym samym mniej więcej czasie panna Julcia uczęszczała na jedną z najlepszych pensji w Warszawie. Dziewczynka była chętna do nauki, lubiła wszystkie lekcje, a najbardziej ćwiczenia z francuskiego.

Codziennie rano odprowadzała ją na pensję pokojówka, która niosła potrzebne do nauki książki, związane skórzanym paskiem w zgrabną paczuszkę.

Julcia zapowiadała się na prawdziwą piękność. Była jeszcze podlotkiem, a już jej lśniące jak dwa węgle oczy i smolście czarne warkocze zwracały uwagę. Matka patrzyła w nią jak w obrazek, marząc, że gdy dziewczynka dorośnie, wyda ją za męża za przystojnego i zamożnego człowieka.

MANIUSIA

Na skraju wsi stała stara kapliczka. Ufundowali ją dziadkowie dziedziczki, by podziękować Paniencie za łaskę, że morowe powietrze grasujące w okolicy ominęło Żelazną.

W maju dziewczęta stroiły kapliczkę kiśćmi białego i fioletowego bzu, a wokół figurki układały wianki z polnych stokrotek. Każdego wieczoru proste, surowe głosy śpiewały o łąkach, lasach, zieleni, miłości, maju. Zdawało się, że boską chwałę głoszą razem z otaczającą je naturą. Zazwyczaj śpiewy przeciągały się długo, ludzie wracali do domów w zupełnych ciemnościach. Żal było ciepła i kwiatnych zapachów rozchodzących się w łagodnym powietrzu.

Szli wolno, gwarzyli, słychać było śmiechy, a nawet nucone półgłosem piosneczki. Dziewczęta podążały przodem, zerkały na chłopaków, coś szeptały i chichotały, zasłaniając usta rękami. Tamci zaś spoglądali w ich stronę, niby tak sobie, od niechcenia.

Wzrok niejednego zatrzymywał się dłużej na Mani. Miała prawie szesnaście lat, wyrosła na urodziwą pannę. Nie była zbyt wysoka, ale figurę miała kształtną. Czarne warkocze, grube jak męska ręka w nadgarstku, przyciągały uwagę; w śniadej twarzy lśniły wielkie oczy. Chłopcy, choć spoglądali na nią łakomie, trzymali się z dala, bo bali się starej Józefowej, znanej z popędliwości i silnej pięści.

Z ostatniego „majowego” wracali rozdokazywaną gromadą. Nagle ponad ogólną wrzawę wzniósł się młody męski głos:

– Maniusiu, Maniusiu, ty kochanie moje, kiedy ja cię widzę, o inną nie stoję...

Dziewczyny zachichotały.

– To Wojtek, Wojtek od Ceroniów, ciekawe, której to tak wyśpiewuje?

– No, a ile u nas Maniuś?

– Mańka, on dla ciebie tak zawodzi?

Błogosławiona ciemność ukryła rumieniec na policzkach dziewczyny.

– Co wy! Co wy! A dajcie spokój! Ja nie dla niego ani on dla mnie!

Przestańcie!

– Ale z ciebie cicha woda. Tylko matka, kościół, robota, a tu, popatrzcie! Chłopak do niej wyśpiewuje! I to jaki chłopak! Najzdatniejszy z wszystkich dworskich. Już tam on musi mieć za co tak śpiewać.

– Cicho bądźcie, nie gadajcie głupot, bo jak matka usłyszy, to mnie obije.

Dziewczyny chichotały dalej, tylko Mania zamyśliła się i przycichła. Tak po prawdzie, to od kilku tygodni Wojtek ciągle kręcił się blisko niej. Czy to w stodole

przy młócce, czy przy sadzeniu kartofli, w polu czy w oborze, niby niechcący, niby przypadkiem, ciągle znajdował się w pobliżu.

Znała Wojtka od najmłodszych lat, był od niej kilka lat starszy. Aż dziw, że taki dorosły parobek szukał jej towarzystwa. I tak jakoś na nią zerkał, że Mania rumieniła się od tych jego spojrzeń.

Miała Mania swoje ulubione miejsce nad rzeką, w pobliżu jazu spiętrzającego wodę w spory staw, gdzie hodowano ryby dla dworu. Siadała tam czasami na starym pniaku i słuchała szumu spadającej z niewysokiej zapory wody. Przymykała oczy i zaczynała marzyć. Wydawało jej się, że płynie łodzią po wielkim morzu, łopocą żagle, wiatr targa jej włosy, a obok niej stoi piękny księżę. Nie darmo naczytała się bajek z książki panny Wandzi.

W wielkanocną niedzielę, po mszy, poszła nad rzekę. Szła wolno, spoglądając w zamyśleniu na wodę, i dopiero w ostatniej chwili zauważyła Wojtka. Siedział na „jej” pniaku. Spuściła oczy i przyspieszyła kroku.

– Maniusiu, co ty, przede mną uciekasz?

– E tam!

– To zostań! Usiądź! Starczy na pieńku miejsca i dla ciebie, i dla mnie.

Nogi się pod nią ugięły.

– Wojtek, co ty tak siedzisz, roboty nie masz? – spytała całkiem bez sensu, zakłopotana.

– Dziewczyno, przecież dziś niedziela, święto. Nie goni rządca do roboty. Zresztą co ci będę mówił, przecież sama wiesz. No, chodź, Mania – powiedział miękko.

– To na chwilę przysiadę, bo zaraz muszę do domu lecieć.

Siedzieli w milczeniu, oboje trochę speszeni. Nagle Wojtek wyciągnął rękę i wyprostował palce. Na jego dłoni lśnił mały krążek.

– Co to, pokaż!

– Znalazłem na tym polu za kartofliskiem, jak wiosną orałem – wyjaśnił, uprzedzając jej pytanie – wyczyściłem, wygładziłem, zobacz, jak się świeci.

Mania delikatnie wzięła pieniążek. Widać było na nim jakiś napis. Zaczęła wolno składać zatarte litery.

– „Królestwo...”, dalej nic nie widać.

– Umiesz czytać? – spytał, zaskoczony.

– Pamiętasz taką pannę, co zbierała nas pod gruszą?

– Pamiętam, ale przecież nikogo nie nauczyła.

– Może i nikogo, ale mnie tak!

Wojtek popatrzył na nią z respektem.

– No, no, to ty mądra jesteś!

Mania aż pokraśniała od pochwały.

– Wojtek, tylko nie mów o tym nikomu. Żeby się przypadkiem matka nie

dowiedziała. Boby mi dała, oj, dała.

Wojtek wiedział, że z Józefową nie ma żartów.

– To ona nie wie? Nie bój się! Nie powiem. No, no, że ci się udało przed nią taką tajemnicę utrzymać.

Przysunął się do dziewczyny i nieśmiało dotknął jej warkocza.

– Ale ty masz włosy! Żadna nie może się równać z tobą.

– No co ty, włosy jak włosy.

Wojtek nadal gładził jej krucze sploty.

Mania podała mu monetę i niechcący dotknęła jego ręki. Pochwycił ją i już nie puścił. Chciała wyrwać dłoń, ale był silniejszy. Widząc, że nie da rady, przestała się szamotać. Siedzieli wsparci ramionami, z mocno splecionymi dłońmi. To była piękna chwila. Na samo wspomnienie dziewczynie ciepło się robiło koło serca.

A teraz ten majowy wieczór i Wojtkowe śpiewanie. To dla niej. Ona to czuje. Ona to wie!

W niedzielę znów pójdzie nad rzekę. Może go spotka. Bardzo by chciała. Miły jej jest ten chłopak. Ma takie niebieskie oczy. Jak niebo!

Wreszcie nadeszła upragniona niedziela. Wczesnym popołudniem Mania powiedziała matce, że idzie z dziewczynami nad rzekę.

– Ciągle latasz nad rzekę, jeszcze co wylatasz!

– Co wy, matko, pójdę na łąkę, to szczawiu na zupę naskubię.

Poszła z bijącym sercem. Wojtek już tam był. Na jej widok podniósł się z pniaka, bez słowa wziął ją za rękę i lekko ścisnął. Wolno ruszyli w stronę niewielkiego zagajnika. Szli w milczeniu. Między drzewami znaleźli małą, osłoniętą krzakami polankę. Usiedli w wysokiej trawie. Słońce przygrzewało, ptaki wyśpiewywały swe trele, brzęczały roje owadów, a oni siedzieli, nic nie mówiąc, oczarowani swoją bliskością.

– Maniusiu, ojcie chcą, żebym się żenił.

Dziewczyna znieruchomiała.

– Upatrzyli dla mnie Jagnę Smolarzów. Ale ja jej nie chcę. Ja bym tylko ciebie chciał. Ciągle mam cię przed oczami. Spać po nocach przez ciebie nie mogę! A ty? Chciałabyś mnie? Powiedz, chciałabyś? Powiedz!

Mani wydawało się, że śni, że to niezwykle, cudowny sen. Słyszała głos Wojtka, lecz nie wszystko do niej docierało. Wiedziała tylko, że dzieje się coś wspaniałego, pięknego, że jest jej tak dobrze, tak lekko. Przymknęła oczy. Wojtek objął ją i mocno przytulił. Poczwała na policzku jego usta. Chyba nawet w niebie nie mogło być lepiej.

– Maniusiu, Maniusiu! Powiedz! Chcesz mnie?

– Tak, tak! Chcę. Chcę!

W tej chwili nie pamiętała o matce, grzechu, piekle, którym dobrodziej straszył lekkomyślne dziewczyny. Ogarnęła ją wielka błogość. Wojtek gładził jej włosy, całował usta i szyję, przyciskał do siebie, aż tchu brakowało.

– Wojtuś, a przyjdiesz do matki z wódką? – wyszeptała.

– Przyjdę, przyjdę, tylko moja bądź. Nie broń mi się! Nie broń!

Spotykali się często. Dostawała od matki kijem, że szlaja się nie wiadomo gdzie, ale nie robiło to na niej większego wrażenia. Chodziła z głową w chmurach. Myślała tylko o Wojtku, tylko o nim! Nawet w kościele na obrazach zamiast świętych pańskich widziała jego twarz, oczy i spadające aż do brwi złociste włosy. W czasie codziennych zajęć wystarczyło tylko o nim wspomnieć, a już czuła jego rękę, usta.

Manusia – tak ją nazywał. Nikt tak do niej nie mówił. Wojtek, jej Wojtek! Na myśl o nim ciało dziewczyny przebiegał dreszcz. Ciągłe powtarzał, jak mu jest miła, obiecywał, że już niedługo przyjdzie do jej matki. Czekala cierpliwie.

Czasem opadał ją strach, że wszystko się wyda albo że Wojtek nie przyjdzie więcej do ich tajemnego miejsca. Zazwyczaj biegli tam oddzielnie, różnymi drogami, żeby nie zwracać ludzkiej uwagi. Wojtek przeważnie przychodził wcześniej. Gdy z dala dostrzegła złocącą się wśród traw czuprynę chłopaka, biegła co tchu, wpadała w jego otwarte ramiona i zapominała o bożym świecie. Wiedziała, że to, co robią, to grzech, że trzeba się będzie księdzu wypowiadać, ale to potem, tymczasem pozwalala mu na wszystko. Wydawało jej się, że w jego objęciach odpływa gdzieś w dalekie światy. Zapominała o codziennej harówce, surowej matce, pozbawionym miłości dzieciństwie. Miała Wojtka, a on dawał jej miłość, jakiej dotąd nie zaznała. Wciąż powtarzał, że żyć bez niej nie może i że jak tylko miną żniwa, przyjdzie z ojcem pokłonić się Józefowej i prosić o córkę.

A tak po prawdzie, to Wojtek bał się o swoich zamiarach powiedzieć w domu. Wiedział, że rodzice nie lubią Józefowej. Szczególnie matka źle wspominała czas, gdy u nich mieszkała. Trudno było wytrzymać pod jednym dachem z tą kobietą, poważną i surową, stroniącą od ludzi, która na całą rodzinę Ceroniów patrzyła niechętnym wzrokiem. Józefowa była czyściochą, wiecznie prała, sprzątała i z obrzydzeniem spoglądała na niechlujstwo swoich gospodarzy. O tak, matka z pewnością będzie temu ślubowi przeciwna. Zwlekał więc Wojtek z oświadczeniami. Nie wiedział, biedak, że problem rozwiąże się nieoczekiwanie i wcale nie po jego myśli.

Na Matkę Boską Zielną w Żelaznej odbywał się odpust. Cały rok ludzie

czekali na ten dzień. Zjeżdżali się z okolic zamożni chłopci, drobni gospodarze, właściciele pobliskich dworów. Wszyscy, nawet najbiedniejsi, chcieli choć raz w roku zakosztować zabawy.

Przykościelny plac szczelnie wypełniały bryczki, wozy i wszelkiego rodzaju pojazdy. Zewsząd słychać było rżenie koni i pokrzykiwania ludzi. Hałas potęgowali chłopcy strzelający z kapiszonów.

W kościele, pięknie przystrojonym kolorowymi girlandami z kwiatów i gałęzi, klęczał odświętnie przyodziały tłum. Wierni początkowo modlili się żarliwie, jednak w miarę upływającego czasu ich myśli zaczynały krążyć wokół atrakcji czekających przed kościołem. Kramarze się starali, by było co oglądać i kupować. Na straganach leżały stosy świętych obrazków, medalików, różańców, figurek, szkaplerzyków, pierścionków, koralów, piszczących glinianych kogutków, cukierków. Jednym słowem, same wspaniałości. Oczy aż bolały od patrzenia!

Wszędzie piętrzyły się obwarzanki. Były na wszystkich kramach, i te drobne, okrągłe, twarde, i te większe, puszyste, jakby nadmuchane. Nanizane na papierowe sznurki wyglądały jak ogromne różańce. Dziewczęta nosiły je na szyjach, pękając z dumy, zwłaszcza jeśli ofiarodawcą był któryś z chłopaków.

Manusia przechadzała się wśród kramów. Nie mogła niczego kupić, bo matka ani kopiejki nie dała na „głupstwa”. Spoglądała na tandetne błyskotki, które jej wydawały się ósmym cudem świata. Tak bardzo chciała mieć mały, choćby najmniejszy pierścionek, najlepiej taki z czerwonym oczkiem.

Przeszła wzdłuż wszystkich kramów. Tuż za nimi zauważyła sporą grupę chłopów, cisnących się przy stojącym trochę na uboczu niewielkim stoliku, na którym jakiś człowiek szybkimi ruchami rąk przesuwiał karty i głośno zachęcał do wskazywania, w którym z trzech stosików ukrył króla czerwienego.

Wydawało się to dziecinnie łatwe, toteż otaczający stolik gapię jeden przez drugiego próbowali odgadnąć. Kto zapłacił, mógł wskazać. Jeśli zgadł – wygrywał, jeśli chybił – stawkę zabierał karciarz. Prawie wszyscy przegrywali. Kiedy zainteresowanie widzów spadało, oszust dla zachęty pozwalał komuś wygrać.

Niejedyn gracz z rozpaczą, że przez własną głupotę tyle stracił, szukał pociechy w gorzałce. Lała się tego dnia obficie, szły na nią ostatnie, ciężko zarobione rubelki. Tu i ówdzie ośmieleni wódką mężczyźni brali się za łby. Bywało, że krew się polała. Niektórzy, zmęczeni upałem i otumanieni wypitą wódką, spalili pod krzakami, nie bacząc na panujący zgiełk.

Manusia patrzyła na wszystko bez zdziwienia. Odpust zawsze wyglądał podobnie, ale tym razem czekała na Wojtka i tańce, które miały się rozpocząć późnym popołudniem, pod gołym niebem, w pewnej odległości od kościoła, by nie zakłócać spokoju dostojnego przybytku. Wiejska kapela już stroiła instrumenty. To znak, że lada chwila zaczną grać. Będą ludziska wywijać do upadłego.

Dziewczyna wolno przepychała się przez hałaśliwy tłum. Wypatrywała

Wojtkowej czupryny. On też szukał Mani. Spotkali się w chwili, gdy gruchnęły pierwsze tony dziarskiego oberka. Spojrzeli sobie w oczy i Wojtek chwycił ukochaną w pół. Ruszył z nią w tany i już nie puścił, nie odstępował na krok swojej Maniusi. Cały czas był tylko z nią. Jej warkocze powiewały, gdy w tańcu obracał nią jak piórkem. Aż kurz unosił się spod nóg. Dziewczęta patrzyły na nich z zazdrością. Niejedna chciałyby być na miejscu Mani. A ci dwoje tańczyli, nie zwracając na nikogo uwagi, jak zaczarowani, widzieli tylko siebie, swoje oczy.

Wojtek wywijał, jakby chciał się w tym tańcu zatracić. Miał dla Maniusi złą nowinę. Wiedział już, że dla niego to ostatni odpust i ostatnie takie tańce. Chciał jej powiedzieć trochę później o tym, co od poprzedniego dnia ciążyło mu kamieniem na duszy. Sołtys przyniósł mu nakaz. Za kilkanaście dni będzie musiał iść do wojska, do rosyjskiej armii, gdzie służba trwała wiele, wiele lat, a żołnierze wywożeni byli gdzieś na kraj świata, do miejsc, o których nie mieli nawet pojęcia, że istnieją. A tam? Wojna, rany, choroby, kalectwo, tęsknota. Niewielu powracało, a ci, którym się udało, opowiadali o mrozach, głodzie i czyhających niebezpieczeństwach.

Zrobiło się ciemno, ale kapela grała, ludzie mimo zmęczenia nadal tańczyli. Wojtek szepnął Mani coś do ucha, ściskając jej rękę aż do bólu. Kiwnęła głową. Nie namyślała się. Po chwili wymknęli się z tanecznego kręgu i pobiegli do swojego miejsca. Wiedziała, że ludzie zobaczą, jak znikają w ciemnościach. To niech zobaczą! Niczego Wojtkowi nie mogła odmówić.

– Wojtuś, a czego tak pędzisz? Tchu nie mogę złapać!

Jakby nie słyszał jej słów. Widoczne z daleka dwie plamy, jego białej koszuli i jej bluzki, zatrzymywały się co chwila i przywierały do siebie, a potem znów sunęły naprzód. Wreszcie znikły w gęstym listowiu zagajnika.

Zdyszani, padli na trawę. Wojtek pochylił się nad dziewczyną, przycisnął ją mocno do siebie, przywarł do jej ust. Zazwyczaj delikatny i czuły, dziś był gwałtowny, prawie brutalny. Zaskoczył Maniusię, ale i porwał ją swoją siłą.

– Wojtuś, Wojtuś, o, mój miły, o, mój luby!

Słyszał jej zdyszany głos.

– Maniusiu, a będziesz ty na mnie czekała?

– Czekala? Jak to, czekała?

– Do wojska mnie biorą! – wyszeptał. – Maniusiu, pojmujesz? Do wojska. Nie wiem, na ile lat, ale wiem, że na długo, okropnie długo!

Przywarła do niego całym ciałem.

– Wojtuś, miły mój, najmilszy, będę, będę, będę!

Nie zdawała sobie sprawy, o co tak naprawdę ją prosił. Szeptała jak w transie, nie rozumiejąc, że te słowa oznaczają długie lata samotności i tęsknoty. Wiedziała jedno. Będzie czekała, bo Wojtek tego chce, bo prosi ją o to! Wojtuś! Był dla niej taki dobry! Jak mogłaby na niego nie czekać?

Potem, gdy leżeli zmęczeni, do Mani wreszcie dotarło, że to pożegnanie. Nie zobaczą się już długo, może nawet nigdy. Jak to będzie bez niego? Bez jego ust, rąk, mocnego ciała, bez jego pieszczot i czułości. Nie da się żyć bez Wojtka, oj, nie da!

W pierwszą środę września Wojtek wraz z innymi rekrutami powędrował do Skierniewic, gdzie w carskich koszarach oczekiwało go nowe, żołnierskie życie. Po niedługim czasie został przeniesiony wraz z oddziałem do małej miejscowości pod Moskwą, a potem jeszcze dalej, aż pod chińską granicę.

Manusia każdej niedzieli biegła do zagajnika. Nastąpiła jesień, było coraz chłodniej, czasem siąpił deszcz. Wiedziała, że Wojtka nie ma, ale chciała побыć w miejscu, gdzie przeżyła tyle szczęścia i gdzie w spokoju mogła powspominać jego uściski. Siadała na resztkach trawy i głośno szlochała. Było jej smutno i źle. Dopiero dwa miesiące, jak go zabrali, a wydawało się, że od ich ostatniego spotkania całe lata minęły. Jakie gorące było to jego ostatnie kochanie. Na samo wspomnienie czuła dreszcze.

– Wojtuś, Wojtusieńku! Mój piękny królewiczu, jak mi źle bez ciebie – szlochała.

Dziewczęta zaczęły wytykać ją palcami. Gadały, że chodzi jak nieprzytomna, prawie się nie odzywa, często ma zaczerwienione oczy i wciąż biegnie do kościoła. Dokuczały, że to przez Wojtka Ceronia. Że cni jej się za nim.

Żałowała Manusia, że żadne z nich pisać nie umie. Listy trochę by osłodziły rozłąkę. Miała nikłą nadzieję, że Wojtuś znajdzie kogoś, kto w jego imieniu napisze do niej choć parę słów. Przecież on wie, że umiałaby przeczytać. Próżno jednak czekała.

Ludzie wolno wychodzili z kościoła. Nadal było ciemno, choć ksiądz odprawił już adwentowe roraty. W grudniowy ranek słońko długo nie odmykało promiennego oka. Waleria szła, odmawiając różaniec. Niedaleko kościoła kilka kobiet rozprawiało o czymś z przejęciem. Do jej uszu dotarły ich przyciszone głosy.

- Ta Józefowa to wstydu nie ma!
- Widziałyście, kumo, sama urodziła bękarta, teraz babką bękarta zostanie, a i tak nosa zadziera jakby jaka pani!
- Pilnowała, pilnowała swojej krasawicy i nie upilnowała.
- Ciekawe, z kim Mańka ten brzuch sobie zmaistrowała.

- Dziewuchy gadają, że Wojtek Ceroniów rękę do tego przyłożył.
- Rękę? Ale! Do tego przecie nie ręki potrzeba! – Kobiety zarechotały.
- Prawda, kręcił się koło niej przez całe lato!
- A czy to można dziewczuchy upilnować? Rada kiecki zadziera, a potem...

Walerii z wściekłości pociemniało w oczach. Biegiem przebyła krótką drogę do izby. Sąsiadki słyszały, jak wykrzykiwała:

- Zabiję, zabiję sukę! Niech się wreszcie raz ten wstyd skończy!

Z furją wpadła do izby, chwyciła kij oparty o ścianę i bez słowa zaczęła nim okładać Maniusię. Dziewczyna klęczała przy łóżku, odmawiając poranny pacierz. Uderzenia spadły na jej plecy i głowę niespodziewanie. Skuliła się i odruchowo osłoniła rękami brzuch. Waleria w zapamiętaniu biła, gdzie popadnie. Przestała, dopiero gdy kij złamał się na plecach córki. Skulona na podłodze Mania płakała rozpaczliwie.

- Matulu, a za co to, za co?

– Za co? Ty wywłoko! Ty rozpustnico! Już ty wiesz za co, suko! Ty ścierwo zatracone!

Długo obrzucała córkę wyzwiskami. Wreszcie zamilkła, siadła ciężko na stołku i ścisnęła głowę rękami. Jej ciałem wstrząsnął szloch. Urodzi się bękart. Znowu wstyd i hańba, ludzie żyć im nie dadzą. Spojrzała przez łzy na córkę. Mania wyglądała jak kupka nieszczęścia. Zapłakana twarz, potargane włosy, przez rozdartą na plecach bluzkę widać ślady po kiju.

Nagle przed oczami Walerii stanęła tamta noc w komórcie u organiściny, kiedy dotarło do niej, że jest w ciąży. Przypomniała sobie własną bezradność. Była wtedy taka nieszczęśliwa. Chciała umrzeć. Dobrze pamiętała swoją rozpacz. Powróciły słowa wikarego, że to nie ona zawiniła i że dziecko, które ma się urodzić, nie jest karą, lecz bożym błogosławieństwem. A teraz Mania przeżywała to samo.

Poczuła jakby litość dla córki. Zawsze była wobec niej taka surowa, może za surowa. Trzymała ją krótko, jeść dawała oszczędnie, a kija nie żałowała. No i co? Nie uchroniła od złego. Pierwszy raz drgnęło jej matczyne serce.

- Zdejmij ubranie i połóż się.

W oczach Mani pojawił się strach. Czego matka chce? Co znowu zamierza?

Józefowa zmoczyła kawał płótna i położyła go na plecach córki.

– Coś ty, dziewczyno, narobiła! Coś ty narobiła! Myślałam, że cię lepszy los czeka. Jesteś urodziwa, mogłaś sobie znaleźć akuratnego chłopca na męża. A teraz będziesz dziewczuchą z bachorem i nikt się z tobą nie ożeni. Nikt cię nie zechce. Powiedz, czyje to dziecko.

Mania aż przestała płakać ze zdumienia. Jeszcze nigdy matka nie powiedziała do niej naraz tylu słów.

- Wojtka, Wojtka od Ceroniów. Chciał się żenić, obiecywał przyjść do was

z wódką. Wiecie przecież, co się stało. Wzięli go do wojska i nie ma mojego miłego. O, ja nieszczęśliwa!

I znów po policzkach Mani popłynęły łzy. Ośmielona, że matka cierpliwie słucha i nie sięga po kij, mówiła dalej:

– Życie mi zbrzydło. Jak już było pewne z tym dzieckiem, chciałam sobie coś zrobić. Pracowałam ponad siły, dźwigałam worki jak parobek, skakałam z drabiny, ale nic nie pomogło. Matulu! Co teraz będzie? Co mam robić? Chyba tylko do rzeki skoczyć!

– Nie gadaj byle czego. Nie upilnowałam cię – powiedziała z żalem Waleria – a baby wszystko wywęchały. Słyszałam, jak trajkotały pod kościołem. Tylko ja, durna, niczego nie wiedziałam – dodała jakoś smutno.

– Matko, głupia byłam, ale Wojtek był taki dobry dla mnie i „Maniusiu” do mnie mówił.

Józefowa z politowaniem pokiwała głową.

– Pewno, że byłaś głupia, ale taki nasz babski los. Chłop zrobi co swoje i pójdzie, zapomni, a nam na zawsze pamiątka zostaje. Ciężkie życie przed tobą, ludzie na języki cię wezmą, palcami będą wytykać, żadnego poszanowania nie będziesz miała.

– To co mam teraz robić?

– Ano, musisz jakoś przeczekać, a jak urodzisz, trzeba będzie iść stąd precz.

– Umilkła na chwilę. – Tak, trzeba będzie stąd iść. – Westchnęła ciężko.

Manusia nie mogła ochłonąć ze zdziwienia. Skąd u matki tyle dobroci i wyrozumienia? Dziewczyna zapomniała o siniakach i bólu, patrzyła na nią przez łzy.

– Matko! Matulu, matulu! – powtarzała cicho. Ze wzruszenia nie mogła wydusić nic więcej. Wzięła matczyną rękę i z wdzięcznością przycisnęła do ust.

Dla Maniusi nastały trudne czasy. Dziewczęta odsunęły się od niej, baby wyśmiewały jej rosnący brzuch, a parobcy robili głupie miny i nieprzystojnie dogadywali.

Za to matka, taka dotychczas surowa i z byle powodu chwytająca za kij, nie biła i nie wyzywała, a czasem nawet powiedziała dobre słowo. Mania przy każdym pacierzu dziękowała Najświętszej Paniencie za tę odmianę, choć zupełnie nie rozumiała, dlaczego Waleria tak złagodniała.

W piękny majowy wieczór Manusia urodziła synka. Waleria była przy niej. Poród trwał krótko, a dziecko, może dlatego, że dziewczyna przez całą ciążę pracowała ponad siły, urodziło się drobne i słabiutkie. Gdy mały skończył tydzień, zaniósł go do chrztu. Józefowa była chrzestną, a chrzestnym Mateusz, syn Tekli.

I znów, jak siedemnaście lat wcześniej, w tej samej księdze parafialnej

ksiądz dokonał wpisu:

Ochrzczone zostało dziecko płci męskiej, otrzymało imię Wojciech. Matka – Marianna Kowal, ojciec NN.

Po chrzcie Mania zaniosiła Wojtusia do chałupy Mateusza. Jego żona niedawno urodziła kolejne dziecko i za niewielką opłatą zgodziła się opiekować małym.

Dziewczyna wróciła do roboty. Cały dzień marzyła, żeby już przyszedł wieczór, by mogła pobiec do syneczka i choć przez chwilę z nim pobyc, potrzymać na rękach, przytulić, ucałować. Gładziła jego jasne włoski, a mały spoglądał na nią oczami niebieskimi jak Wojtkowe.

Zalewała się łzami z żalu, że nie może przez cały czas mieć małego przy sobie i że Wojtek nie wie, jakiego ślicznego synka mają. Często, kołyszac go delikatnie, opowiadała mu o ojcu, a chłopczyk uśmiechał się, jakby rozumiał jej słowa.

Tylko przez kilka tygodni karmiła Wojtusia piersią.

– Karmisz za rzadko. Mleko się w tobie zapiecze i zachorujesz. Możesz nawet umrzeć od tego – tłumaczyła Waleria.

Mania nieraz słyszała, jak baby opowiadały o takich przypadkach, i wiedziała, że matka prawdę mówi. Nie sprzeciwiła się, kiedy Józefowa ciasno owinęła płótnem jej piersi, żeby mleko przestało napływać. Od tego czasu Wojtusia karmiła żona Mateusza, która pokarmu miała w nadmiarze.

Jesień tego roku nadeszła wcześniej. Józefowa coraz częściej mówiła, żeby przenieść się wreszcie do miasta. Dość już miała ludzkiej złości. Bała się jednak trochę, bo choć biednie żyły w tej Żelaznej, to jednak miały dach nad głową i skromny zarobek, a na przednówku, jak zupełnie nie było czego do garnka włożyć, to dziewczeczka nieraz poratowała niewielką zapomogą albo kazała rządcy wydać dodatkowy worek ziemniaków. A jak przeniosą się do miasta, to kto im pomoże, gdy przycisnie bieda? A Wojtuś? Jak obie pójda do roboty, kto się nim zajmie? A mieszkać gdzie będą?

Myślała, myślała, aż ją głowa od tego bolała. Spać po nocach nie mogła. Wreszcie wymyśliła, że najpierw zatrzymają się u Józki, starszej córki, która wkrótce po zamążpójściu zamieszkała z mężem w Skierniewicach. Dobrze im się ułożyło. Jan dostał pracę przy koniach w skierniewickim browarze, a Józka wychowywała czwórkę dzieci. Waleria niewiele wiedziała o ich obecnym życiu. Dawniej, póki mieszkali na wsi, czasem ich odwiedzała, ale do miasta było o wiele dalej, więc kontakt prawie całkiem się urwał. Ostatni raz się widziały, jak Józka z rodziną i sąsiadami przyjechała wynajętym wozem do Żelaznej na odpust. Mania miała wtedy trzynaście lat. Siostry ledwo się poznały.

Waleria liczyła, że Józia nie odpędzi matki od drzwi i pomoże w pierwszych, trudnych dniach. Kiedy wreszcie podjęły decyzję i zaczęły pakować swój skromny dobytek, stało się to, czego Mania bała się najbardziej.

Wojtuś zachorował.

Gdy, jak co dzień, poszła po niego wieczorem, zobaczyła, że jest rozpalony, a jego drobnym ciałkiem wstrząsa suchy, gwałtowny kaszel. Suche usteczka z trudem łapały powietrze.

Mania chwyciła dziecko na rękę.

– Boże mój, co się stało?

Mateuszowa wzruszyła ramionami.

– Ano, od rana tak ma. Nie wiedziałam, czy stawiać mu bańki, czy nie. Czekałam, aż przyjdiesz.

Maniusia owinęła dziecko ciepłą chustą i wybiegła z chaty. Gnała co sił. Całą drogę płakała i modliła się na przemian.

Kiedy Józefowa zobaczyła wnuka, pokiwała głową.

– Oj, choryś ty, robaczkę, chory. Już patrzysz na księżą oborę.

– Nie, matulu, nie! Ratuj go, on nie może umrzeć. To przecież mój Wojtuś! Matulu, pomóż!

– Zaraz postawię mu bańki, a ty módl się do Świętej Paniienki, by go ocaliła. Wszystko w jej rękach.

Po bańkach dziecku jakby trochę się poprawiło, ranek jednak przyniósł pogorszenie. Wojtuś miał silną gorączkę, nie chciał pić mleka, kwilił tylko cichutko. Józefowa sprowadziła z sąsiedniej wsi znachorkę. Baba popatrzyła na dziecko i powiedziała, że robi, co do niej należy, ale dziecku nic już nie pomoże.

Mania nie odstępowała Wojtusia ani na chwilę, kładła mu chłodne kompresy na czoło, nosiła synka na rękach. Tak minęło popołudnie i noc.

O świcie, zmęczona czuwaniem, zdrzemnęła się chwilę. Obudziła ją cisza. Nie słychać było ciężkiego oddechu maleństwa. Otworzyła oczy i spojrzała na synka. Zobaczyła nieruchome ciało i białą jak płótno twarzyczkę. Okropny krzyk rozdarł ciszę. Józefowa zerwała się z łóżka. Chwyciła córkę i przycisnęła do siebie. Niezręcznie gładziła jej włosy.

– Płacz, płacz, to ci ulży. On już się nie męczy, już jest z aniołkami w niebie. I nie krzycz tak głośno, bo mu to przeszkadza. – Łzy leciały jej z oczu. – Jak się rozwidni, trzeba będzie iść do księdza, żeby Wojtusia pochował.

– Nie! Nie! Nie pozwolę go zakopać. To moje dziecko! Moje! Dlaczego Bóg daje, a potem zabiera? Dlaczego? – Mania łkała rozpaczliwie.

– Cicho! Nie mów tak! Człowiek nigdy nie wie, co dla niego dobre. Wie to tylko Pan Bóg, on jeden wie, dlaczego tak musi być, on wie, co robi. Trzeba się godzić z jego wolą. Uklęknij koło mnie, pomodlimy się za Wojtusia.

Panna Julcia skończyła pensję. Otrzymała najwyższe noty. Rodzice, widząc jej zapał do nauki, postanowili wysłać jedynaczkę na uniwersytet do Paryża, by studiowała tam nauki przyrodnicze. Bali się o nią trochę, przecież to Paryż! A tam czyhają na młode dziewczęta różne pokusy i niebezpieczeństwa.

Ich niepokój łagodził fakt, że córka miała zamieszkać u krewnej pana Wacława, która zobowiązała się czuwać nad młodą kuzynką. Julia ogromnie się cieszyła na ten Paryż. Była młoda i piękna, świat stał przed nią otworem. Pierwszy raz jechała sama tak daleko. Nie czuła lęku, tylko ciekawość życia i wielką radość.

MARYCHNA

Był ciepły majowy poranek. Młode listki pokryły przydrożne drzewa. Ptaki wyśpiewywały trele. Po nocnym deszczu powietrze było rześkie i czyste.

Skrajem drogi szły dwie kobiety, z wysiłkiem ciągnąc mały, załadowany wózek. Każda dźwigała na plecach ciężki toból. Starsza miała smutną, pooraną zmarszczkami twarz, zacięte wargi i surowe oczy. Szła z trudem, niesiony ciężar przekraczał jej siły. Po młodszej nie było widać zmęczenia. Chusteczkę nasunęła na czoło, wielkie, czarne oczy pod pięknie zarysowanymi łukami brwi z ciekawością spoglądały na świat.

Szły w milczeniu. Każdy krok oddalał je od miejsca, w którym dotychczas żyły. Starsza opuszczała je bez żalu. Niewiele dobrego pozostało jej w pamięci z tych lat spędzonych w Żelaznej. Młodsza zostawiła na wiejskim cmentarzyku mogiłkę synka. Wojtuś miałby teraz dwa lata. A ona skończyła już dziewiętnaście. Najwyższa pora, by wyjść za mąż. Była dorodną dziewczyną, a właściwie młodą kobietą. Jej zgrabna sylwetka, piękna twarz i kobiece krągłości kusiły jak dojrzaly, gotowy do zerwania owoc i przyciągały wzrok niejednego chłopca. Jednak żaden z dworskich ani tym bardziej gospodarski syn nie chciał się z nią żenić. Pogardzali nią, zniszczyła sobie opinię. Nieraz słyszała ich obraźliwe słowa.

– Mańka, nie bądź taka ważna, Wojtka chciałś, to dlaczego mnie nie chcesz? To samo co on mam w portkach, a może i lepsze!

– Chodź ze mną tam, gdzie z Wojtkiem chodziłaś! Zobaczysz, jak ci dogodzę!

– Nie wygrażaj mi pięścią, wiem, że lubisz pofiglować!

Mania zazwyczaj nie reagowała na zaczepki. Chodziła z dumnie podniesioną głową, lecz czasem nie wytrzymała i wygrażała im pięścią. Miała dość siły, by obronić się przed natarczywością i bezczelnością chłopaków, lecz gdy nikt nie widział, niejedną łzę uroniła.

Baby też dokuczały jej przy każdej okazji, czasem trudno było wytrzymać. Nie skarżyła się jednak nikomu, nawet matce.

Nie chciała opuszczać Żelaznej. Uprosiła matkę, by odłożyć przenosiny do Skierniewic. Józefowa nie nagliła. Wiedziała, że czas jest najlepszym lekarstwem, że nadejdzie pora, gdy córka otrząśnie się z żalu po stracie synka i przestanie codziennie biegać na jego mogiłkę.

Ale Manię trzymała w Żelaznej nie tylko ta mogiłka. Dziewczyna czekała na Wojtkę. Wierzyła, że wreszcie przyjdzie jakaś wiadomość od niego, że może wróci. A wtedy ona musi być tu, na miejscu, bo gdzież by jej miał szukać.

Któregoś dnia wróciła z roboty zapłakana.

– Matulu, nie ścierpię już dłużej tej poniewierki. Trzeba stąd iść. Nic wam nie mówiłam, ale wczoraj ten parszywiec Szymek Wachów zaczął się, jak prałam nad rzeką. Akurat sama byłam, bo inne kobiety wcześniej skończyły i już poszły. Tłukłam kijanką i wcale nie słyszałam, jak się podkradł. Mocował się ze mną, aż wepchnęłam go do wody. A jak wylazł na brzeg, to się odgrażał, że jak mnie dopadnie, to go popamiętam. Dziś czekał w oborze. Przewrócił mnie, ledwo się obroniłam. Dobrze, że namacałam ręką trzonek od widel. Przyłożyłam mu, aż krwią się zalał. Matulu, idźmy już do tych Skierniewic.

Józefowa powiedziała więc rządcy, że chcą odejść ze służby. Dostały zapłatę i spakowały skromny dobytek.

Szły boso do miasta piaszczystym traktem. Buty dyndały na czubku tobołków. Żal było je niszczyć tak długą drogą. Gdy mijaly Dębową Górę, Józefowa przypomniła sobie panią Zofię i Antosia. Rozrzewniła się. Podobno pani Zofia po wyleczeniu nie wróciła już na wieś, tylko zamieszkała u matki w Warszawie. Ciekawe, jak też Antoś teraz wygląda? To już przecież dorosły mężczyzna!

W dali, za drzewami, zamajaczyły połyskliwe kopuły cerkwi zbudowanej niedawno obok skierniewickich koszar. Chwała Bogu, miasto już blisko. Minęły most na Łupi, zeszły nad rzekę, umyły nogi, włożyły buty, poprawiły chustki na głowach. Teraz mogły się pokazać Józi. Ciekawe, co też powie, jak je zobaczy?

Józia była bardzo zdziwiona, widząc matkę i siostrę z całym dobytkiem, ale przywitała je życzliwie. Zgodziła się, by się u niej zatrzymały. Wieczór upłynął im na wspominkach. Józine dzieci zebrały się w gromadkę u stóp nieznanej babci Walerii, zasłuchane w jej opowieści o dziadku Józefie i życiu na wsi. Wreszcie zmęczona długą wędrówką Waleria, czując, jak ogarnia ją senność, przerwała:

– Na dzisiaj dosyć! Jutro opowiem wam więcej.

Józia przygotowała siennik i Józefowa z Manią położyły się spać. Chciały wypocząć, by od wczesnego rana szukać zajęcia.

Okazało się jednak, że to nie takie proste. Szukających było dużo, a pracy niewiele. Dni mijaly, a one przejadały zaoszczędzone na czarną godzinę ruble. Bały się myśleć, co będzie, jak pieniądze się skończą. Waleria wiedziała, że w ciasnym mieszkaniu Józi długo zostać nie mogą. Z wdzięczności za dach nad głową pomagały jej, jak mogły, w domowej robocie. Czasem którejs sąsiadce zrobiły pranie albo gruntowne porządki. Niewiele jednak tym zarobiły.

Codziennie rano szły pod ratusz, gdzie bezrobotni z całego miasta daremnie czekali na cud, czyli jakąś robotę.

W końcu zaczęły żałować, że porzuciły wieś, i coraz częściej zastanawiały się, czy nie lepiej wrócić. Kiedy już całkiem straciły nadzieję, nagle odmieniło

się na lepsze. Jan przyniósł im wspaniałą nowinę. Zarządca browaru potrzebował służącej. Szukał schludnej i pracowitej dziewczyny. Jan tak wychwalał Manię, tak gorąco ją polecał, że pan Puliński, co prawda niczego pewnego nie obiecując, kazał jej się zgłosić do pani Pulińskiej na oględziny, bo ostateczna decyzja w tej sprawie należała do jego małżonki.

Następnego ranka Mania, wystrojona w świąteczne ubranie, z bijącym sercem, zapukała do drzwi okazałego domu w willowej dzielnicy za rzeką. Pokojówka zaprowadziła ją do kuchni, gdzie pani Pulińska, osoba w średnim wieku, dosyć pulchna, ubrana w elegancki szlafrok i nocny czepeczek, obrzuciła przybyłą wyniosłym spojrzeniem, zadała kilka pytań i... przyjęła ją na służbę.

Mania wracała do matki jak na skrzydłach.

– Wymodliłam, wymodliłam! – Józefowa nie mogła powstrzymać łez. – To co, że niewiele tam zarobisz, jakoś sobie poradzimy.

Na ustach Walerii pojawił się, rzadko tam goszczący, uśmiech.

Trudno było Mani przyzwyczać się do życia w Skierniewicach. Miasteczko było niewielkie, ot, rynek, kilka odchodzących od niego ulic zabudowanych drewnianymi domami, kościół, cerkiew, bóżnica i parę okazalszych budynków. Do tego dużo drewnianych ruder, w których gnieździła się polska i żydowska biedota. Na ulicach panował spory ruch, ludzie kręcili się, jakby nie mieli nic do roboty. Pełno było jakichś obdartusów i żebraków.

Żyło się całkiem inaczej niż w Żelaznej. Mania, która odkąd pamiętała, chodziła boso, kaleczyła sobie stopy na ulicznym bruku. Raził ją miejski gwar, zamęt i smród. Małe podwórka, śmietniki i płynące rynsztokami nieczystości były obrzydliwe dla dziewczyny przyzwyczajonej do szerokiej przestrzeni, nieba widocznego aż po horyzont, do bujnej roślinności, do ludzi, może nie zawsze przyjaznych, ale znanych od najmłodszych lat, i do roboty ciężkiej, lecz wykonywanej od dzieciństwa, więc człowiekowi niestrasznej.

Każdego dnia, jeszcze przed świtem, biegła z ulicy Żabieniec, gdzie mieszkała Józia, na drugi koniec miasta, do swoich państwa, zajmujących cały parter dużej willi.

Dziewczyna pierwszy raz w życiu widziała takie piękne mieszkanie. Było tam kilka pokoi, wypełnionych masywnymi, ciemnymi meblami, podłogi pokrywały dywany, w oknach wisiały koronkowe firanki i aksamitne zasłony. Drzwi ozdabiały pluszowe portiery.

W oszklonych szafach i kredensach stała porcelana, kryształ, bibeloty i książki. Mania popatrywała na te książki łakomym wzrokiem. Czasem, gdy nikogo nie było w pobliżu, przerywała na chwilę sprzątanie, wycierała ręce o fartuch, ostrożnie zdejmowała jakiś tom z półki i zaglądała do środka. Prawdę

mówiła panna Wanda. Litery były takie same jak w jej książce, prawie wszystko potrafiła przeczytać. Zachwycaly ją przepiękne ryciny. Żałowała, że nie może ich dłużej pooglądać.

Pani Pulińska szybko się zorientowała, że zatrudniając tę dziewczynę, dokonała trafnego wyboru. Nowej służącej robota paliła się w rękach. Mania była pojętna, gorliwa i posłuszna. Czasem tylko w jej oczach błysnęło coś jakby niechęć. Drażniło to trochę panią Pulińską, a na dodatek pan Puliński popatrywał na służącą z wyraźnym upodobaniem. Dziewczyna zachowywała się jednak nad wyraz układnie, aż dziwiła się nieraz pani Rozalia, skąd w tej prostej wieśniaczce tyle godności.

Roboty miała Mania bardzo dużo. Musiała palić w piecach, sprzątać pokoje, pomagać przy praniu i gotowaniu, a także usługiwać przy stole. Pani Rozalia nauczyła ją tego. Mania, wystrojona w miejską sukienkę i biały fartuszek, prezentowała się bardzo szykownie. Państwo często urządzali spotkania towarzyskie i eleganckie przyjęcia, więc mogła obserwować gości, jak się zachowują, słuchać, co i jak mówią. Mimo skromnie spuszczonego spojrzenia sporo widziała i starała się wszystko zapamiętać.

Bardzo lubiła, gdy któryś z gości siadał do stojącego w salonie pianina i zaczynał grać, czasem nastrojowe walce, niekiedy rzewne rosyjskie romanse, fragmenty modnych operetek, innym razem jakiś poważniejszy utwór. Podobały się Mani wszystkie melodie i nieraz, gdy była sama, nuciła je sobie cichutko.

Po paru miesiącach przywykła do nowej pracy, a nawet ją polubiła, choć wieczorem często padała z nóg.

Wynajęły sobie z matką ubogie mieszkanie przy ulicy Przyrynek. Było małe, ledwo pomieściły w nim swoje nieliczne sprzęty. Miało jednak podstawową zaletę – nieduży czynsz. Podwórko było wielkie, prowadziły do niego dwie bramy. Od rana do nocy panował tu hałas dochodzący z kuźni. Wciąż wjeżdżały i wyjeżdżały wozy, przyprowadzano konie, które rżały niespokojnie na widok kowala, kręcili się ludzie, hałasowały dzieci.

Matka i córka żyły bardzo skromnie. Oszczędzały na wszystkim. Jadały niewiele. Mania przynosiła nieraz jakieś resztki od państwa Pulińskich. Głód im nie dokuczał, ale ledwo wiązały koniec z końcem.

Józefowa robiła, co mogła, by nie być dla córki ciężarem. Czasem zarobiła kilka kopiejek, najmując się u kogoś do prania, a to szła z sąsiadkami do miejskiego lasu na szyszki, grzyby, jagody lub, jak mówiła, „na patyki”, czyli po suche gałązki. Zbierała je, wiązywała, zarzucała na plecy i w pół przygięta pod ich ciężarem, niosła do domu. Paliła tym suszem pod blachą, dzięki czemu oszczędzały węgiel. Był drogi, o wiele za drogi na ich skromną kieszeń. Kupowała więc tylko od czasu do czasu po parę kilogramów od handlarzy dostarczających go do domów.

Żyły biednie, ale nikt im nie dokuczał, nie przygadywał, nie wytykał ich

palcami.

– A panna to dokąd?

Mania przechodziła przez szeroko otwartą bramę browaru. Odwróciła się i zobaczyła młodego mężczyznę o ciemnych oczach i miłej twarzy.

– Ja... Ja... – zaczęła niepewnie – do pana Pulińskiego.

– A co za interes ma panna do pana Pulińskiego?

– Niosę list od pani.

– Aha, chyba że tak, no to niech panna idzie. Pan Puliński jest w kantorku. Pójdzie panna prosto, za tymi wozami w prawo, a potem jeszcze raz w prawo. Zapamięta panna? A koło tych koni to trzeba uważać, żeby panny który nie capnął, bo narowiste i – tu na chwilę zawiesił głos – lubią straszyć ładne dziewczyny.

Mania zaczerwieniła się po tym komplementcie. Wiedziała, że się podoba mężczyznom. Nieraz słyszała, jak chwalono jej włosy, oczy. Czasem brała do ręki lusterko i patrzyła zdziwiona, czym to się ludzie zachwycają. Twarz jak twarz. A jednak... Temu tutaj też widać wpadła w oko.

Ruszyła we wskazanym kierunku, czując na plecach wzrok nieznajomego. Mimo że głowę miała prawie cały czas pochyloną, zdążyła zauważyć zgrabną sylwetkę i wesołe oczy swojego rozmówcy. Kiedy po kilku minutach wracała, nadal stał przy bramie.

– A panna to nie boi się tak sama chodzić? Taka ładna, jeszcze ją ukradną! Słyszałem, że porywają takie młode dziewczyny! Cyganie czy jacyś!

Gadał i gadał, chcąc jak najdłużej na nią patrzeć. Podobała mu się. Nie mógł oderwać wzroku od jej smutnej twarzy i trochę przestraszonych oczu.

Mania lekko skinęła głową, bąknęła „do widzenia” i ruszyła przed siebie. Szła szybko, czując, jak jej serce bije. Pod powiekami wciąż miała uśmiechniętą twarz młodzieńca.

W niedzielę zobaczyła go przed kościołem. Szedł w rozpiętej kurtce, czapkę miał zsuniętą zawiadacko na tył głowy, ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Kiedy zauważył Manię, skłonił się z uśmiechem. Pośpiesznie weszła w otwarte drzwi kościoła. Serce jej biło jak młotem. Dlaczego widok tego mężczyzny tak ją poruszył? Minęło kilka chwil, nim trochę ochłonęła.

Bardzo piękny był ten kościół. Za patrona miał świętego Jakuba. Modląc się, Mania błędziła wzrokiem po bogatym wnętrzu. Patrzyła na ołtarz, obrazy, figury świętych pańskich. Wszystko było kolorowe, złocone, uroczyste. Przy ołtarzu aż pod strop wznosiły się strzeliste kolumny. Tłuściutkie, skrzydlate aniołki podtrzymywały świeczniki. Nad ołtarzem, na tak zwanym chórze, widać było

organy, a w czasie mszy także głowę organisty. Po lewej stronie znajdowała się ambona, na którą prowadziły schodki od strony ołtarza. Ksiądz wyłaniał się zza aksamitnej kotary zniecka, jakby spadał z nieba. Dziewczyna zawsze z zapartym tchem czekała na tę chwilę.

Z wysokiego sklepienia zwiślał na długiej linii ogromny żyrandol, ozdobiony mnóstwem szklanych wisiorków. Obracał się leciutko, prawie niedostrzegalnym ruchem. Kiedy przez wielkie okna do wnętrza wpadały promienie słońca, rozchodziły się od niego kolorowe refleksy i przesuwały barwnymi plamami po głowach i ubraniach wiernych. A najpiękniej wyglądał, gdy na specjalnie uroczyste nabożeństwa zapalano w nim świece i aż w oczach się mieniło od ich drgających płomyków.

Prawie w każdą niedzielę, kiedy Mania szła do kościoła, mijał ją tamten mężczyzna z browaru i kłaniał się z uśmiechem. Przywykła do tych przypadkowych, jak jej się zdawało, spotkań. Zbliżając się do kościelnej bramy, spoglądała dyskretnie dookoła, czy nie zobaczy jego kraciastej czapki.

Nastała mokra, zimna jesień. Pani Pulińska zabrała dzieci i wyjechała do rodziców. Dzięki temu Mania miała trochę mniej pracy. W sobotę, a było to akurat w wigilię świętego Andrzeja, do pana mieli przyjść znajomi. Pod nieobecność żony gospodarza bez ograniczeń mogli oddawać się ulubionym rozrywkom, czyli picciu wina, grze w karty i gadaniu o polityce i kobietach, zwłaszcza o kobietach. Pan Puliński pozwolił Mani iść wcześniej do domu.

Jadły z matką kolację, gdy z impetem otworzyły się drzwi i jak bomba wpadła Zofka, córka sąsiadów.

– Maniu, a chodź do nas na andrzejki. Chodź, kochana, trochę się rozerwiesz. Bez przerwy tylko robota i robota. Będziemy sobie wróżyć, trochę pośpiewamy, od jutra przecież adwent.

A widząc niezdecydowaną minę dziewczyny, dodała:

– No chodź, nie daj się prosić. Moja sąsiadko – zwróciła się do Józefowej – kaźcie jej iść do nas.

– No idź, Mania, idź. Tylko nie siedź za długo, bo nie wypada.

Józefowa przekroczyła już pięćdziesiątkę. Włosy jej się przeredziły i posiwiały, oczy straciły dawny blask, straciła kilka zębów. Z wiekiem złagodniała. Była teraz dla Mani dobra i wyrozumiała. Cieszyła się, że ma córkę, że nie została sama na stare lata.

Kiedy otworzyły się drzwi do mieszkania sąsiadów, Mania najpierw zobaczyła roześmiane oczy znajomego z browaru i błyszczącą harmonię w jego rękach. Chciała się cofnąć, ale Zofka zastąpiła jej drogę.

– Gdzie, gdzie, nie tędy droga. Nie uciekaj! Nie bądź taka dzika! Co ty, ze

wsi jesteś? – zażartowała.

– Przecież ja tu nie znam nikogo!

– To zaraz poznasz!

Wymieniła imiona dziewcząt i chłopaków, a na końcu pokazała palcem harmonistę.

– A to jest Michał Zieliński!

Młodzieniec odłożył harmonię i podszedł do nich.

– Zofka, my to z panną Marychną już się znamy, prawda? – Zajrzał Mani w oczy, aż dreszcz ją przeszedł.

Spuściła wzrok.

– Och! Panno Marychno! – westchnął komicznie i nagle roześmiał się wesoło. – Będziemy tańcować?

Mania, oszołomiona gwarem, speszona obecnością tylu nieznanym osób, a najbardziej wzrokiem Michała, nie odpowiedziała.

Sprzęty były poprzesuwane w jeden kąt, wszyscy wołali, żeby grać, nie bałamucić czasu. Michał spojrzał jeszcze raz na Manię i chwycił harmonię. Zagrał polkę, a potem oberka. Ładnie grał, z werwą! W mieszkanku było mało miejsca, ale nikomu to nie przeszkadzało, wszyscy świetnie się bawili. Mani udzielił się ten wesoły nastrój. Od dawna nie czuła się tak lekko i radośnie.

W pewnej chwili dziewczęta zaczęły śpiewać piosenkę o letnim wieczorze, miłości i spotkaniu kochanków. Michał odłożył harmonię, uklonił się przed Manią i poprosił ją do tańca. Jak urzeczona przysunęła się do niego. Objął ją w pół i zaczęli tańczyć w rytm nastrojowej melodii.

– Marychna, Marychna, odkąd cię zobaczyłem, spokoju nie mam. Coś ty ze mną zrobiła?! Szukam cię wszędzie, łażę za tobą. Przez ciebie do kościoła co niedziela zacząłem chodzić.

– Niech pan Michał tak nie mówi, to grzech, do kościoła się chodzi, bo trzeba.

– Jaki tam pan, mów mi Michał.

Prowadził ją w tańcu delikatnie, ale pewnie. Była od niego dużo niższa, musiał się pochylić, by móc jej szeptać do ucha o oczach, włosach, o tym, jak od pierwszej chwili przypadła mu do gustu, jak się dowiadywał, kim ona jest i gdzie mieszka. Ale teraz już wie o niej wszystko, już mu się nie wywinie. Będzie ją mocno trzymał! Niby niechcący musnął ustami jej włosy.

Mania aż osłabła od tych słów. Nagle stanął jej przed oczami Wojtek, jak żywy. On też tak do niej mówił. Ale to zdarzyło się dawno, jakby w innym życiu. A teraz był koło niej chłopak z krwi i kości, grzeczny kawaler, miły, przystojny. I te jego oczy! Skry się z nich sypały. Kręciło jej się w głowie od tańca, od tego, co mówił, od jego bliskości.

– Marychna, a mogę przyjść do ciebie, do domu?

– Nie wiem... – zająknęła się – nie wiem, czy matka pozwoli.
– Marychna, nie sprzeciwiaj się, w niedzielę przyjdę, po kościele. Oj, Marychna! Marychna!

Wymawiał jej imię z jakąś lubością i mocno przyciskał dłoń do jej pleców. Czowała ten dotyk przez cienki materiał bluzki i nie mogła opanować drżenia.

– Marychna, zimno ci? Dygoczesz cała.
– Muszę iść do domu. Już późno, matka będzie zła. Przecież raniutko trzeba do roboty wstawać.

– Zostań, wróżby jeszcze będą, może się dowiesz, kto twoim mężem zostanie! Przecież to andrzejki!

– Nie mogę, muszę już iść!
Wysunęła się z jego ramion i wybiegła w pośpiechu. Gonił ją głos Michała.
– Do niedzieli, pamiętaj, Marychna!

Jednak w niedzielę na próżno go wypatrywała. Pomyślała, że pewno dowiedział się o Wojtku, o dziecku i nie chce jej już więcej widzieć. Nie mogła się modlić. Kiedy przymykała oczy, widziała jego twarz, wąsiki i zawadiacką minę. Pod powiekami czuła piekące łzy.

Do domu wlokła się noga za nogą. Powoli otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Michał siedział na zydelku koło stołu i z ożywieniem opowiadał o czymś jej matce, która była w niego wpatrzona jak w tęczę. Na widok Mani poderwał się i stanął tuż przy niej.

– Marychna, nareszcie jesteś, a co to za smutna mina? Nie mogłem być przed kościołem, bo pracowałem w browarze. Stasiak, ten od koni, nogę złamał i musiałem go zastąpić, przecież trzeba zwierzętom obrok zadać. Uśmiechnij się, ale to już! Dobrze, że już jesteś! My tu trochę z twoją matką pogadaliśmy. Opowiedziałem co nieco o sobie, żeby nie myślała, że jakieś ładaco jestem. Później i tobie opowiem! No, Marychna, popatrz na mnie.

Uśmiechnęła się radośnie.

– Myślałam, że nie przyjdiesz – powiedziała z lekkim wyrzutem.
– Ja? Nie przyjdę? Dla mnie słowo najważniejsze. Jak powiedziałem, to murowane! Jeszcze mnie nie znasz, Marychna, ale da Bóg, że poznasz, i to całkiem dokładnie.

Mania nie musiała tego dnia iść na Willową, bo państwo wyjechali na kilka dni, więc Michał został aż do zmroku. Cały czas opowiadał jakieś wesołe historyjki i rozśmieszał je obie do łez. Przed wyjściem spytał, czy za tydzień może znowu przyjść. Mania popatrzyła na matkę. Józefowa skinęła głową, a kiedy wyszedł, powiedziała:

– Dałby Bóg, żeby on ciebie chciał. Wygląda na porządnego człowieka, choć

jeszcze nigdy nie widziałam takiego wesółka.

– Mamo, a co będzie, jak się dowie o Wojtku?

– Nie martw się. Jakoś to będzie. Jakoś musi być! Módl się i ufaj Najświętszej Pani.

Odtąd Michał był w ich domu częstym gościem. Przychodził nawet wtedy, jak Mani nie było. Siedział wtedy z Józefową i opowiadał jej o swoim smutnym dzieciństwie.

Ojciec Michała umarł młodo, a matka ciężko zachorowała, nie mogła sobie poradzić i oddała chłopca do przytułku. Niedługo potem sama także zmarła. Gdy skończył dziesięć lat, wziął go do siebie na służbę ksiądz proboszcz. Przypadł mu do serca chłopak o bystrym spojrzeniu, traktował go prawie jak syna, wykierował na ludzi, a gdy Michał dorósł, pomógł mu znaleźć pracę w browarze. Niestety, ksiądz umarł przed kilkoma laty, nie mając jeszcze pięćdziesiątki. Michał mówił o nim ze wzruszeniem.

– Tak, tak, ksiądz Biernat był bardzo dobrym człowiekiem. Był mi jak ojciec.

– Jak powiedziałaś? Biernat? Może Stanisław mu było?

– Tak, a skąd to wiecie?

– Skąd wiem? Toć i mnie on kiedyś bardzo pomógł. Wtedy, jak się Mania urodziła. Masz rację, to był święty człowiek i mądry. Znał życie. Mówisz, że pomarł? Pomodłę się za jego duszę. Święty człowiek!

To przecież tylko dzięki niemu nie oddała córki do przytułku na głód i poniewierkę. Gdy Michał opowiadał, jak się tam żyło, Waleria zdała sobie sprawę, od jakiego losu wikary uchronił Manię, choć prawda, że u niej dziewczyna też nie miała łatwo.

Mania pokochała Michała całą mocą swego łaknącego miłości serca. Z każdym dniem był jej bliższy. Marzyła, żeby zostać jego żoną. Miała nadzieję, że złe minęło i zacznie się nowe życie. A Wojtek? To było dziewczęce zauroczenie. Teraz dopiero się przekonała, co znaczy prawdziwe uczucie. Kochała Michała dojrzałą, gorącą miłością.

W ostatnią niedzielę stycznia Józefowa kręciła się koło kuchni, gotując obiad. Mania nie wróciła jeszcze od swoich państwa. Michał wszedł z niepewną miną. Był odświętnie ubrany, a na powitanie uroczyście ucałował rękę Walerii i jak to on od razu zaczął mówić, tyle że tym razem bardzo poważnie.

– Czy zgodzicie się, żebym do was mówił „matko”? – spytał nieswoim głosem. – Dacie mi Marychnę za żonę? Będę dla niej dobrym mężem. Mam pracę, wynajmiemy większą izbę. Tak bym chciał wreszcie mieć rodzinę, prawdziwą rodzinę. Żonę, dzieci. Mam dwadzieścia cztery lata, czas mi się ożenić, nabyłem się już w kawalerce – wyrzucił z siebie szybko, jednym tchem, jakby w obawie, że Józefowa nie pozwoli mu dokończyć.

Spojrzała na niego, trochę zaskoczona.

– Ja się nie sprzeciwiam, ale z Manią najpierw pogadaj. Będzie, jak ona powie.

Mania długo nie wracała, bo tego dnia państwo mieli gości. Michał zaczął się niecierpliwić. Kiedy wreszcie przyszła, poderwał się i nie bacząc na obecność Józefowej, objął dziewczynę i mocno przytulił.

– Marychna, nareszcie jesteś! Tak długo na ciebie czekałem! Miła moja, odpowiedz mi, tylko się nie zastanawiaj! Wyjdiesz za mnie? Powiedz, chcesz mnie za męża?

Pod Manią ugięły się nogi. A więc stało się. Spełnia się jej marzenie. Tylko co teraz zrobić? Czy powiedzieć o Wojtku? Michał może ją porzucić, odejść na zawsze. A jeśli nie powie? Będzie ciągle żyła w strachu, że wszystko się wyda.

– Uklękniemy i pomódlmy się razem.

Michał, trochę zdziwiony, padł na kolana przed świętym obrazem, kobiety uklękły obok. Józefowa zaczęła cichym głosem:

– „Zdrowaś Maryjo...”

Mania, odmawiając modlitwę, wpatrywała się w oczy Paniienki. Nagle wydało się jej, że widzi w nich jakby cień uśmiechu, jakby przyzwolenie. Poczowała w sobie siłę i pewność. Nie będzie mówić o tamtym, to było dawno! Taka była wtedy młoda! I głupia! Pan Bóg ją ukarał, zabrał jej dziecko. Odpokutowała. Teraz czuła, że Święta Paniienka jej pomoże. Powoli zwróciła głowę w stronę mężczyzny.

– Tak, Michale. Wyjdę za ciebie!

– Marychna, moja kochana, weźmiemy ślub jak najszybciej – całował jej rękę – tak bardzo chcę już być z tobą na zawsze.

Mniej więcej w tym samym czasie o rękę Julii poprosił pan Konstanty Pejski. Poznali się przed rokiem na balu karnawałowym. Był bratem Emilki, z którą Julcia przyjaźniła się od dzieciństwa. Konstanty wrócił z długiego pobytu za granicą. Elegancki, mądry, wykształcony, młodzieniec bardzo się jej spodobał. Jemu też wpadła w oko piękna dziewczyna o puszystych, czarnych jak węgiel włosach i oczach, o których nie można przestać myśleć.

Znaleźli wiele wspólnych tematów, głównie o zagranicznych wояżach, a zwłaszcza cudownym Paryżu, w którym oboje byli zakochani i mogli o nim rozmawiać bez końca. Julia mieszkała tam kilka miesięcy, ale bardzo tęskniła za domem, więc przerwała studia i wróciła.

Młodzi czuli do siebie ów szczególny pociąg, który poprzedza głębsze uczucie. Po kilku miesiącach znajomości Konstanty Pejski oświadczył się Julci i został z radością przyjęty i przez pannę, i przez jej rodziców.

Wkrótce odbył się bardzo uroczysty ślub i wystawne wesele, o którym

mówiło pół Warszawy. Młodzi państwo Pejscy wyjechali w podróż poślubną do Wenecji – miasta zakochanych, a potem do swego ukochanego Paryża. Julcia była bardzo, bardzo szczęśliwa.

SZCZĘŚCIE

W mroźny lutowy poranek narzeczeni poszli z Józefową i Wackiem, kolegą Michała, do Świętego Jakuba. Ksiądz związał stułą ręce i życie państwa młodych na zawsze, aż do śmierci. Mania, wypowiadając słowa małżeńskiej przysięgi, zdała sobie nagle sprawę z ich wagi. Posmutniała. Przecież są młodzi, przed nimi długie życie. Po co w tak radosnym dniu myśleć o śmierci.

Jej serce śpiewało. Michał spoglądał na nią rozświetlonymi szczęściem oczyma i czule przyciskał jej łokieć.

Po powrocie z kościoła wypili po szklaneczce gorzałki i zjedli przygotowany przez Józefową skromny posiłek. Potem Mania poszła do swoich zajęć, a Michał do swoich. Dopiero wieczorem mogli się sobą nacieszyć. Józefowa poszła nocować do Józi, więc młodzi mieli dla siebie łóżko, w którym dotychczas sypiały obie z matką.

Kiedy za Józefową zamknęły się drzwi, Mania przysiadła na zydelku i trochę zawstydzona, ukradkiem spoglądała na Michała zdejmującego surdut, kamizelkę, buty. Popatrzył na nią i uśmiechnął się szeroko, po swojemu.

– Marychna, Marychna, moja kochana, zrobisz coś dla mnie? Bardzo cię proszę! Proszę!

Przyklęknął i trochę nieśmiało dotknął jej nóg. Z bliska widziała jego uśmiechnięte oczy. Po chwili podniósł się i usiadł obok niej, objął ją i przytulił twarz do jej głowy. Czowała jego oddech na szyi, słyszała urywany głos.

– Rozpleć warkocze. Tak bym chciał twoje włosy zobaczyć.

– Co ty, Michał, poplączą się i nie dam rady rozczesać. Nawet jak myję, to tylko jeden warkocz rozplatom.

– Pomogę ci, rozczeszę. Lubisz mnie trochę?

– Przecież wiesz.

– Więc zrób to! Tak cię proszę. Ten jeden, jedyny raz!

Po chwili fala puszystych włosów zasłoniła ramiona i plecy dziewczyny. Sięgały poniżej pasa. Michał gładził je, całował, zanurzał w nich dłonie.

– Marychna, szczęście ty moje, jak ja marzyłem o tej chwili, śniła mi się po nocach. Jakie one są piękne, jeszcze nigdy takich nie widziałem.

Zawstydzona Mania zdmuchnęła świeczkę.

– Dlaczego zgasiłaś?

– Bo mi jakoś wstyd!

– Jesteś przecież moją żoną, żoną, żoną – jego słowa przerywały pocałunki – kiedy jesteś ze mną, niczego nie masz się wstydzić.

Czowała, jak ręce Michała błędzą po jej gorącym ciele.

– Michał, mój miły. Mój jedyny. Jedyny!

Powtarzała te słowa jakby w zapamiętaniu. A Michał dotykał ustami jej piersi, szyi, okrytych cienką koszulą ramion. Czuł, jak drżała w jego objęciach.

– Marychna, będę ci dobrym mężem.

– A ja tobie dobrą żoną.

– Marychna!

Rankiem, w nikłym świetle świeczki, Michał z wyrzutem patrzył na krzątającą się przy kuchni żonę.

– W nocy mówiłaś „jedyny”, a co ja za „jedyny”, jak cnoty dla mnie nie dochowałaś! Taka skromna niby jesteś i pobożna! Oczy ciągle spuszczone! A tu masz! Nie było cnoty! Nie było!

Przerażona Mania znieruchomiała. Otworzyła usta, by powiedzieć o Wojtku, ale Michał nie dał jej dojść do słowa.

– Nic nie mów! Nie chcę nic wiedzieć. Ksiądz cię rozgrzeszył, Bóg ci wybaczył, to i ja ci wybaczam. Nigdy nic mi o tym nie mów. Jakbym wiedział, kto wcześniej igrał z tobą, mógłbym go zabić. To już lepiej ty nic nie mów.

Marychna popatrzyła na niego z przerażeniem. Jeszcze nigdy nie był tak poważny, nawet wtedy, kiedy prosił, by za niego wyszła. Gardło miała ściśnięte od tłumionego szlochu.

– Michał, naprawdę jesteś dla mnie jedyny. A za to, co powiedziałeś, będę cię lubić najbardziej, jak można, bardziej niż matkę, bardziej niż wszystkich. Będę dla ciebie jak wierny pies.

Mówiąc to, schyliła się do jego kolan. Nagle uklękła, chwyciła jego ręce i przytuliła do ust, jej policzki były mokre od łez.

– Tylko się na mnie nie gniewaj. Tylko się nie gniewaj. Zbij mnie, jak chcesz, ale się nie gniewaj!

– Dobrze już, dobrze – powiedział spokojniej – a teraz daj mężowi śniadanie, bo jest głodny jak wilk, a trzeba do roboty iść.

Starał się mówić jak zwykle, ale w jego głosie nie było wesołości. Przed wyjściem pośpiesznie cmoknął ją w policzek.

Mania ciężko usiadła na stołku.

– Co to będzie, co teraz będzie?

Siedziała bez ruchu zapłakana. Tak zastała ją matka.

– A co ty, Maniu, jakaś dziwna jesteś? Płaczesz? Stało się co?

– Nic, nic, matko, już idę do roboty. Trochę się nie wyspałam.

– Widać Michał spać ci nie dał!

Mania machnęła ręką.

– No co wy, matko, lepiej nie gadajcie byle czego!

Cały dzień myślała, co dalej będzie, czy mąż jej wybaczy? Czy daruje? Wciąż dźwięczały jej w uszach słowa Michała.

Okazało się, że gryzła się niepotrzebnie. Po powrocie z pracy Michał miał zadowoloną minę, śmiał się i dowcipkował. Postawił kolegom butelczynę, by wypili za pomyślność jego i Marychny. Humor znowu mu dopisywał. Mania odetchnęła.

Razem z Józefową poszli wynająć upatrzone wcześniej mieszkanie. Mieściło się w drewnianym domu po przeciwnej stronie ulicy. Wchodziło się do niego przez sporą sień. Było wystarczająco duże, by stanęły w nim dwa łóżka i skromne sprzęty. Sześć szybek w oknie wpuszczało sporo światła. Dogadali się z gospodarzem co do komornego i postanowili się wprowadzić następnego dnia.

Życie potoczyło się jak w tylu innych rodzinach. Młodzi pracowali, Józefowa gotowała, prała, hodowała kilka kur i prosiaka. Pomagała, ile miała sił. Wzięła się nawet do haftowania. Przydały się nauki pani Zofii. Wymyślnymi wzorkami ozdabiała sąsiadkom bluzki, kołnierzyki, dziecięce czepeczki i co tam która chciała. Niewiele zarobiła, ale przecież liczyła się każda kopiejka.

Cieszyła się, że Mani trafił się taki dobry mąż. Zawsze wesoły, wciąż słysząc było jego zaraźliwy śmiech, nie szukał zwady z teściową, nie upijał się zbyt często, a za Manią wciąż wodził zakochanymi oczami.

Przeboleł jakoś ów nieszcześny brak cnoty.

Ciągle starał się być blisko swojej Marychny, obejmował ją, całował, patrzył figlarnie w oczy, wzdychał, uśmiechał się czule. Czasem podkradał się cicho, gdy stała przy kuchni, przytulał ją znienacka i szeptał coś do ucha. Mania rumieniła się, machała rękami i niby to go odpędzała, ale widać było, że lubi takie igraszki.

Każdej nocy Józefowa słyszała szelest słomy w ich sienniku i chrzęst wykrochmalonej pościeli. Docierały do jej uszu różne odgłosy, westchnienia, pomrukiwania, nawet ciche okrzyki. Nakrywała wtedy głowę, zasłaniała uszy, bo stawało jej zaraz przed oczami jak żywe to, co jej się wydarzyło z dzieźnicem w oborze, i jakieś dziwne dreszcze ogarniały stare ciało.

Kiedy nastały lipcowe upały, Marychna była już całkiem pewna, że będzie miała dziecko. Gdy powiedziała o tym Michałowi, chwycił ją i obrócił kilka razy dookoła, jak w tańcu.

– Marychna, ptaszyno, to dopiero radość! Będę ojcem! Będę ojcem! Będę miał syna!

Tańczył i podskakiwał, oczy mu lśniły.

– Oj, Marychna, Marychna, to ci dopiero nowina! Tylko czy ta twoja praca nie będzie teraz aby za ciężka dla ciebie? – zmartwił się nagle.

– Michał, ja roboty zwyczajna! Wszystko będzie dobrze. Dziecko urodzi się dopiero koło Bożego Narodzenia, to jeszcze szmat czasu.

Dla Mani nastał radosny okres. Cieszyła się każdym dniem przeżytym

z Michałem. I każdą nocą. Pieniądzy mieli dość, by kupić parę potrzebnych sprzętów, trochę płótna, kilka garnków. Mania dostała od męża wielką wełnianą chustę, żeby zimą miała się czym okryć, i kolorową szalinówkę, którą zwyczajem wiejskich kobiet wkładała na głowę, gdy wychodziła z domu. Zastanawiała się nieraz, czym sobie zasłużyła na takiego męża.

A teraz będzie jeszcze miała dziecko! Czuła, jak w niej rośnie, jak się porusza, rozpycha. Była bardzo, bardzo szczęśliwa. Michał spoglądał z czułością, jak szyła maleńkie koszulki i kaftaniki, głąskał jej pochyloną głowę i ze wzruszenia gadał jak nakręcony.

Przychodzili do nich sąsiedzi i znajomi. Czasem odwiedzała ich Józia z Janem. Ludzie lubili ich dom, gościnny i ciepły. Widzieli panującą tu zgodę i miłość. Mania zawsze miała dla gości jakieś karmelki albo ciasteczka. Siedzieli, gawędzili, niekiedy Michał brał harmonię i wygrywał takie kawałki, że nogi same przytupywały.

Kiedyś Marychna zanuciła mu zasłyszaną u swoich państwa piosenkę:

Usta milczą, dusza śpiewa,
kocham cię,
usta milczą, pieśń rozbrzmiewa,
kocham cię...

Michał w mig podchwycił melodię, a Mania śpiewała czystym, mocnym głosem. Patrzyli sobie przy tym w oczy, jakby to o nich było.

Sąsiadki zazdrościły Mani męża i przygadywały dobrodusznie:

– Ten twój chłop to taki akuratny. Zagrać umie i zaśpiewać. Nadaje się i do tańca, i do różańca.

– Michałowa, a co mu jeść dajesz, że patrzy, jakby i ciebie chciał połknąć?

– Nie jeść, nie jeść, co innego mu daje! Już ona tam musi mieć jakieś sposoby, że mu się ślepie do niej tak świecą!

Mania uśmiechała się i spuszczała oczy. A niech tam gadają, co chcą. Michał jest jej i nikomu go nie odda.

I jeszcze jedno przyciągało sąsiadów. Wieczorami Mania, jeśli tylko miała czas, czytała na głos książki. Początkowo szło jej to opornie, zacinała się, potykała o trudniejsze wyrazy. Stopniowo jednak czytała coraz płynniej.

Michał zazwyczaj leżał już w łóżku, sąsiedzi siadali, gdzie kto mógł, a ona przy migoczącym świetle lampy naftowej czytała o książętach, damach, miłości i wojnach. Ale najchętniej wszyscy słuchali *Trylogii*. Uwielbiali te barwne i trzymające w napięciu opowieści. Słuchali z zapartym tchem o niezwykłych czasach, gdy Polska była wolna i potężna, rycerze prawi i odważni, a kobiety piękne i czyste. Rozśmieszał ich pan Zagłoba, wzruszała nieszczęsna Helena Kurcewiczówna.

Kochali wszystkich bohaterów pana Sienkiewicza. Często rozlegał się

śmiech, a czasem z oczu płynęły łzy. Gdy pan Longinus Podbipięta zginął okropną śmiercią albo gdy był pogrzeb małego rycerza i ksiądz przy jego trumnie wołał: „Panie Wołodyjowski, larum grają, ojczyzna w niebezpieczeństwie, a ty nie wstajesz”, słuchacze płakali jak bobry.

Kiedy Mania zamykała książkę, wszyscy dopraszali się o jeszcze. Michał pękał z dumy, że ma taką niezwykłą żonę.

Mania wypożyczała książki z miejskiej czytelnicy. Teraz, gdy miała więcej pieniędzy, mogła sobie pozwolić na opłacenie miesięcznej składki. O czytelnicy wiedziała od dawna. Wkrótce po osiedleniu się w Skierniewicach, pokonując nieśmiałość, odważyła się tam wejść. Ze zdumieniem patrzyła na półki wypełnione książkami. Tylu naraz jeszcze nie widziała.

Siedząca za stołem siwa dama popatrzyła na stojącą przy drzwiach dziewczynę.

– A co ty, dziecko, chciałaś?

– Ja... ja... – Mania się zająknęła. – Chciałam popatrzeć na książki.

– Popatrzeć? – W głosie pani brzmiało zaskoczenie. – Jak to popatrzeć, a poczytać byś nie chciała? A umiesz ty czytać? – zainteresowała się bibliotekarka.

– Tylko troszkę.

– To przeczytaj, co tu jest napisane! – Wskazała leżący na stole gruby tom.

– O-g-niem i mie-cz-em.

– No dobrze, a chciałabyś przeczytać tę książkę?

Mani aż oczy zabłyśły.

– O tak, bardzo!

– A masz pieniądze na opłacenie składki?

Niestety, pieniędzy nie miała. Spuściła oczy i zrobiła krok w stronę drzwi.

– Poczekaj no chwilę, coś ty, dziewczyno, taka w gorącej wodzie kąpana?

W specjalnych przypadkach można nie płacić składek. Powiedz mi, co robisz i gdzie mieszkasz.

Gdy usłyszała nazwisko państwa Pulińskich, podała Mani książkę.

– Tylko uważaj, żebyś przy czytaniu nie zatłuściła i nie pogmiotła kartek.

Książki trzeba szanować. I rogów nie zaginaj! A jak przeczytasz, przyjdź, to dam ci następną.

Przez jakiś czas chodziła do czytelnicy. Niestety, po kilku miesiącach siwa pani przestała pracować. Jej miejsce zajęła kobieta, która zażądała opłaty, a Mani nie stać było na taki wydatek.

Kiedy nastąpiła jesień i zrobiła się pękata jak beczułka, Michał kazał jej rzucić pracę.

– Nie będziesz się, Marychna, męczyć i wysługiwać państwu. Niech sami

sobie nocniki wynoszą. Moja żona ma dbać o męża i o dziecko. Wystarczy tego, co ja zarobię.

Józefowej nie podobał się ten pomysł. Uważała, że szkoda porzucać taką dobrą robotę. Pamiętała, jak trudno było ją znaleźć. Ale to Michał był głową rodziny i on decydował.

Do Bożego Narodzenia brakowało kilku dni, gdy urodził się Stasio. Czarniutki, tłuściutki, śliczny. Józefowa pomagała przy porodzie. Wszystko odbyło się akuratnie, Mania wrzeszczała tylko tyle, ile trzeba. Michał bardzo się denerwował, biegał w pośpiechu po wodę, grzał, wynosił pełne naczynia, jednym słowem, był dla teściowej nieocenionym pomocnikiem. Od czasu do czasu podchodził do żony, szczególnie gdy głośniej krzyknęła, ocierał jej pot z czoła i głaskał ręce.

– Marychna, bardzo cię boli? Lepiej, żeby to mnie bolało! Moja kochana! Wytrzymaj jeszcze trochę.

Mania machała ręką, oganiała się od niego jak od uprzykrzonej muchy, wreszcie kazała mu iść sobie, żeby nie patrzył na nią, kiedy tak paskudnie wygląda.

– Ty dla mnie zawsze jesteś najśliczniejsza – szeptał jej do ucha.

– Idź już, idź, Michał, nie pętaj się tutaj. Wrócisz, jak będzie po wszystkim.

– Józefowa wzięła opierającego się zięcia za rękę i prawie siłą zaprowadziła do sąsiadów.

– Pobądź tu trochę, to już niedługo, a jak będziesz potrzebny, to cię zawołam.

Gdzieś tak po godzinie, kiedy, by dodać sobie animuszu, popijał z sąsiadem gorzałkę, usłyszał głos Józefowej:

– Michał, a chodź już, syna masz, syn ci się urodził!

– Syna? Syna? Ja mam syna? Mam syna! – śmiał się i powtarzał bez końca.

Sąsiad, ojciec czwórki dzieci, popatrzył na niego pobłażliwie i znacząco popukał się w czoło.

– Ale się cieszy! Poczekaj, odechce ci się, jak dzieciak po nocach zacznie krzyczeć, a ty będziesz do roboty niewyspany wstawał.

Michał go nie słuchał. Półprzytomny ze szczęścia, odruchowo wychylił podaną przez tamtego szklaneczkę i pobiegł do swojej Marychny. Leżała, zaróżowiona i uśmiechnięta, a obok niej czerwone, pomarszczone maleństwo, po sam nosek zakutane w powijaki. Padł przy łóżku na kolana.

– Marychna, już cię nie boli, powiedz, jak się czujesz?

– Michał, to nasz syn, weź go na ręce. Chciałabym, żeby miał na imię Stasio, to znaczy Stanisław.

– Jak chcesz, jak chcesz, moje ty szczęście, może być i Stasio. Może być. Jaki on malutki! Ale nie bój się, będzie z niego chłop, jak się patrzy, a już moja w tym głowa, żeby biedy nie zaznał.

Kołysał synka w ramionach i czule spoglądał na Manię.

Staś skończył roczek. Chował się zdrowo. Był silny, dreptał już, przytrzymując się sprzętów. Mania właśnie gotowała obiad, a malec wolno zmierzał w jej kierunku. Wreszcie udało mu się chwycić matczyną spódnicę. Coś tam po swojemu zagadał.

– Stasiu, a nie kręć mi się tu przy kuchni, bo jeszcze się oparzysz.

Odsunęła go na bezpieczną odległość i zaczęła ustawiać na stole fajansowe talerze. Nalała do nich gęstą, zawieszistą zupę. Z jednej miski nie jadali od czasu, jak zaczęła pracować u Pulińskich. Początkowo matka kręciła nosem na te pańskie fanaberie, ale z czasem przywykła, a odkąd był z nimi Michał, nawet się cieszyła, że każdy dostaje obiad na oddzielnym talerzu.

Tego dnia bardzo bolała ją głowa; Waleria zrobiła sobie okład z plasterków ziemniaka i skrzywiona siedziała na brzegu łóżka. Śmiesznie wyglądała z chustką owiązaną wokół czoła. Stasio spoglądał podejrzliwie na babkę.

W drzwiach stanął Michał. Zarumieniony od mrozu, z roześmianymi oczami, od progu zaczął mówić:

– Szczęście ty moje, Marychna, będziemy bogaci! Zarobię dużo pieniędzy. Może nawet starczy na jakiś mały domek z ogródkiem.

– Jak to, bogaci? Co ty mówisz?

– Dziś dogadałem się z Wackiem. Jego szwagier wyjechał do miasta Łodzi, pracuje tam przy fabryce. Zarabia przez tydzień tyle, co ja przez parę miesięcy! Więc uradziliśmy z Wackiem, że też tam pojedziemy.

– Michał, miej Boga w sercu! Gdzie ty chcesz jechać? Taki świat drogi?

– Popracuję rok, no, może dwa, i staniemy na nogi. Marychna! Wyobraź sobie mały domek, pod oknem kwiatki, Staś baraszkuje na trawie, a my siedzimy na ławeczce i grzejemy się w słońcu. Marychna, już się możesz cieszyć! Tak będzie! – Swoim zwyczajem gadał jak nakręcony.

Józefowa zapomniała o bolącej głowie i weszła mu w słowo.

– Michał, masz tu pracę, syna, po co ci tułać się po świecie. Daj sobie z tym spokój.

Przyskoczył do teściowej i cmoknął ją w rękę.

– Będzie dobrze, matko, będziesz z nami w nowym domku mieszkała, zobaczysz, jak odżyjesz.

Marychna wzięła Stasia na kolana i zaczęła go karmić.

– Michał, siadaj do jedzenia, potem pogadamy – powiedziała stanowczo.

Nie mogła ochłonąć. Odruchowo wkładała dziecku do buzi kolejne łyżki zupy. Wciąż kołatało jej w głowie – nie będzie Michała. Jak on to powiedział: rok, może dwa.

Tyle czasu bez Michała?

Łódź jest tak daleko od Skierniewic, to prawie koniec świata. Nie będzie mógł często przyjeżdżać. Przecież takie podróże zabierają czas i sporo kosztują. Zastanowiła się przez chwilę, czy woli domek, czy żeby mąż nie wyjeżdżał. Była pewna, że woli to drugie. Ale Michał zapalił się do tego pomysłu i wiedziała, że nie da go sobie wybić z głowy. Kiedy skończył jeść, popatrzył jej w oczy.

– Marychna, wiesz ty, jak ja za tobą będę tęsknić? I za Stasiem, Stasiulkiem moim kochanym. Ale przecież czas płynie szybko, nie wiadomo, kiedy przeleci, a potem... Będziemy znowu razem, będziemy mieszkać we własnym domku. Zobaczysz! Będzie dobrze. Pomęczymy się trochę, ale wytrzymamy. Dasz sobie przecież radę. Pieniądze będę ci jakoś przesyłał albo przywoził, matka ci pomoże. No, rozchmurz się, powiedz, że cieszysz się tak jak i ja. – Objął ją i przytulił.

Czy można długo się sprzeciwiać takiemu kochanemu wariatowi? Marychna uśmiechnęła się przez łzy.

- A kiedy ty chcesz jechać?
- Jak najszybciej, bodaj jutro! Szybciej wyjadę, to i szybciej wrócę!
- Do wiosny byś chociaż poczekał!
- Nie warto! Tam roboty huk, każdego dnia coś zarobię!
- Matko Przenajświętsza, dopomóż! Jak my bez ciebie żyć będziemy?
- Mania otarła łzy. – I musisz na siebie uważać, i przyrzeknij, że wrócisz najszybciej, jak będziesz mógł.
- Czy ja długo bym bez ciebie wytrzymał? Pewno, że jak najszybciej!

Rozpoczęli przygotowania do Michałowego wyjazdu. Zima tego roku była bardzo mroźna, Mania udziergała więc na drutach gruby sweter. Kupili wełnianą bieliznę i ciepłe spodnie. Po trzech tygodniach spakowali tobołek, a Mania zawinęła w płótno trochę jedzenia na drogę. Michał wdział kurtkę, schował za pazuchę parę rubli, czule pożegnał żonę i Stasia, ucałował rękę teściowej.

Józefowa zrobiła nad nim znak krzyża i wyszedł.

Zapłakana Mania popatrzyła za mężem przez okno. Szedł rażno, worek z rzeczami przerzucił przez ramię, a czapkę swoim zwyczajem zsunął na tył głowy. Przy bramie obejrzał się i pożegnającym gestem podniósł rękę do góry. Wacek już na niego czekał, razem poszli w kierunku dworca. Mania była rada, że jadą we dwóch, będzie im raźniej, no i bezpieczniej.

Minął tydzień, drugi, trzeci. Mania liczyła dni. Bardzo jej było źle. Nic jej nie cieszyło, nawet zbliżająca się wiosna nie poprawiała nastroju. Tylko Stasio rozpraszał smutek.

Po miesiącu zaczął ją ogarniać niepokój. Nie mogła spać, gnębiły ją czarne myśli. Od Michała nie było żadnych wieści, a pieniądze się kończyły.

Zdecydowała, że musi znaleźć jakąś robotę, bo wkrótce zaczną razem z matką i dzieckiem przymierać głodem.

Poszła do swoich dawnych państwa, licząc, że może przyjmą ją znowu do służby. Pani Pulińska zrobiła wyniosłą minę.

– Miałaś dobrą pracę, to jej nie szanowałaś! Mam nową służącą i już nie jesteś mi potrzebna. – Widząc jednak przygnębioną twarz Mani, dodała: – No, ostatecznie, jak będzie duże pranie, możesz przyjść do pomocy, tak gdzieś pod koniec kwietnia.

Pomagały Marychnie sąsiadki. Dzielily się z nią, czym mogły, choć same nie miały zbyt wiele. Jedna przyniosła trochę kartofli, inna parę garści mąki. Jak mogły, odwdzięczały się za czytanie, choć odkąd nie było Michała, Mania nie mogła się skupić nad książką i nie było już wieczornych spotkań. Przestała też chodzić do czytelnicy. Bardzo oszczędzała, żal jej było każdej kopiejki.

Któraś majowego dnia przygnębiona wracała do domu. Znowu bezskutecznie szukała pracy. Nagle wydało jej się, że w dali mignęła chuda sylwetka Wacka. Skoro przyjechał Wacek, to i Michał musi być. Przyspieszyła kroku, zaczęła biec, jakby skrzydła u ramion jej wyrosły. Szczęśliwa, uśmiechnięta, otworzyła z impetem drzwi.

– Michał, mój kochany?

Stała jak wryta. Męża nie było, a przy stole siedziała zapłakana matka, na kolanach trzymała Stasia. Mani zadrżało serce.

– Mamo, gdzie Michał, widziałam na ulicy Wacka!

Waleria, łkając, z trudem wymawiała słowa.

– Nie ma już Michała. Nie żyje biedaczek. Nie żyje nasz Michał!

Pod Manią ugięły się nogi.

– Matko, co wy mówicie, ocknijcie się, jak to nie żyje? Kto wam to powiedział?

– Wacek tu był, przyniósł jego rzeczy.

Spojrzała błędnym wzrokiem na niewielki tobołek leżący przy drzwiach i wybiegła z izby. Gnała jak szalona, potrącała ludzi, przewróciła jakieś dziecko. Zdyszana, wpadła do mieszkania Wacka, chwyciła go za ramiona i potrząsnęła nim z niezwykłą siłą.

– Mów, powiedz, że to nieprawda!

Wacek, błąd jak ściana, popatrzył żałośnie na Manię.

– Żeby to była nieprawda! Chciałbym, żeby to była nieprawda. Michał nie żyje. Nie żyje mój najlepszy kolega. Biednaś ty! Taka młoda, a już wdową zostałaś! A Stasio? Nawet ojca pamiętać nie będzie! Usiądź, powiem ci, jak było.

Słuchała jego słów i nagle pomyślała, że to wszystko jej się śni. To straszny sen! Ale przecież we śnie nie czuje się takiego bólu, we śnie serce tak nie pęka!

– Dojechaliśmy do tej Łodzi, niech ją piekło pochłonie! Zimno było,

tułaliśmy się po ulicach, szliśmy od fabryki do fabryki. Nigdzie nie mieli dla nas roboty, a jak była, to za nędzne grosze. Szwagier przechwalał się swoimi zarobkami. Wcale nie było tak, jak mówił.

– Co ty mi tu o pieniądzach! Mów, co z Michałem. Co się stało? Mów, człowieku, mów!

– Poczekaj, powiem po kolei. Kończyły się nam pieniądze, wiesz, te, co zabraliśmy ze sobą. Chciałem wracać, ale Michał się uparł: „Obiecałem Marychnie domek, to musi być domek”. Wreszcie znaleźliśmy robotę, przy budowie. Tyraliśmy ponad siły, a płacili nam, co kot napłacze. Ale bardzo oszczędzaliśmy i pieniędzy powoli przybywało. Mieszkaliśmy u kobiety, co wynajmowała łóżka do spania. Chyba z dziesięciu chłopca spało w jednej izbie, ale było niedrogo. Ciułałiśmy każdy grosz. Trochę się w zawiniątku uzbierało.

Jak raz tydzień temu, w niedzielę, poszliśmy do szynku, żeby coś zjeść i wypić po kieliszku. Mieliśmy wychodzić, kiedy zaczęła się bijatyka, jakichś dwóch wzięło się za łby. Michał chciał ich odciągnąć od siebie, chwycił jednego, a wiesz, jaki on silny, podniósł go prawie do góry, ja złapałem drugiego. Nagle Michał upadł. Schyliłem się nad nim; trzymał się rękami za piersi, widziałem krew i nic więcej nie wiem. Jak się ocknąłem, leżałem na ulicy, pewno ktoś dał mi w łeb. Michał też leżał koło mnie, cały zakrwawiony. Już nie dychał.

– Wacek, to nieprawda, to nie może być prawda, przecież on pojechał pracować, a nie bić się z bandziorami! On nigdy nie szukał awantury.

– Pochowali Michała na cmentarzu pod miastem – ciągnął Wacek, jakby nie słyszał jej słów. – Rzeczy, co po nim zostały, i pieniądze dałem twojej matce. Nie ma Michała, nie ma majątku, nie ma roboty. Co teraz będzie? Marychna, jak ty sobie radę dasz?

Spojrzał na Manię. Przeraziła go jej bladość, puste, suche oczy i zacięte usta. Bez słowa odwróciła się na pięcie i wyszła jak lunatyczka. Wacek widział przez okno jej pochyloną postać, opuszczone żałośnie ramiona, jakby przygniecione ciężarem ponad siły.

Szła w kierunku domu. Nagle skręciła w stronę torów kolejowych. Jakie to proste, pomyślała, położy głowę na szynach i niech to wszystko się skończy. Nie może żyć bez Michała. Nie chce bez niego żyć. Rozejrzała się dokoła. Było jeszcze jasno. W maju dni są długie, więc ktoś może ją zobaczyć i przepędzić. Trzeba będzie przyjść nocą, nikt jej wtedy nie przeszkodzi. Skończy ze sobą.

Powlokła się do domu. Gdy weszła do izby, Waleria usypiała marudzącego Stasia. Stasio! Zapomniała o Stasiu! Co się z nim stanie, jak jej zabraknie, jaki los go czeka? Jest jeszcze taki mały! Matka ma swoje lata, nie da rady go wychować. Wezmą go do przytułku, jak Michała.

O nie! Tak być nie może. Nie pozwoli na to! Musi zacisnąć zęby i wziąć się w garść. Widać całe dobro, jakie Bóg dla niej przeznaczył, już się skończyło. Ale

musi wychować Stasia! Jest młoda, zdrowa, silna, pracy się nie boi, choćby i najcięższej. To dla Michała będzie żyła i wychowywała ich dziecko. Michał leży w mogile gdzieś daleko, nawet nie mogła się pomodlić przy jego grobie! Z jej gardła wyrwał się jęk. Waleria podeszła do córki, objęła ją i przycisnęła do piersi.

– Płacz, Maniu, płacz, to ci ulży. Ciężkie życie przed tobą. Biedny ten nasz Michał. Tak mi go żal i ciebie też.

MANIECZKA

Mania zrywała się do roboty u piekarza prawie w środku nocy. Praca była ciężka. Dźwigała wory z mąką, sprzątała piekarnię, mieszała ciasto. Dostawała za to niewiele pieniędzy, ale chleba mogła wziąć tyle, że wystarczało dla całej trójki. Jadła ten chleb, najczęściej suchy lub cienko posmarowany smalcem, i dziękowała Bogu, że mają co jeść.

Żeby oszczędzić na czynszu, przeprowadziły się do mniejszej izby, w tym samym podwórku. Rażniej było mieszkać między ludźmi znanymi od lat, którzy pamiętali Michała.

Często chodziła do Zofki, tej, co to w pamiętny andrzejkowy wieczór wywróżyła sobie rychłe zamażpójście. Jej trzewik pierwszy wtedy dotarł do drzwi. I rzeczywiście, wkrótce wziął ją za żonę przystojny i dziarski chłop. Dobrze by im się żyło, bo Władek był murarzem i jak chciał, to umiał zarobić. Niestety, zbyt często zaglądał do kieliszka, a jak zaczął, to nie wiedział, kiedy przestać. Na dodatek po wódce okropnie się awanturował. Chociaż Zofka w takich razach nic nie mówiła, żeby go nie drażnić, i chodziła koło niego na paluszkach, to i tak zawsze znalazł pretekst, żeby ją wyzwać, a nawet kuksańca przyłożyć. Mieli małą córeczkę, niebawem miało przyjść na świat drugie dziecko. Marychna słuchała narzekań tamtej i myślała, jakim dobrym mężem był jej Michał.

Chętnie biegała też na piętro, do Szymczaków. Mieszkali z dwójką dzieciaków w niewielkiej izbie. Polubiły się z Weronką, spokojną i miłą kobietą. Chociaż zaledwie kilka lat starsza od Mani, Weronika wyglądała dużo poważniej. Była niewysoka i szczupła, prawie chuda, miała lekko rudawe włosy i bladą twarz, obficie obsypaną piegami. Wciąż dokuczały jej bóle głowy, to znów brzucha, a to serce biło jej zbyt szybko. Mówiła, że te „pulpitacje” bardzo ją męczą. Kiedy gorzej się czuła, Mania pomagała jej w domowej robocie.

Mąż Weronki, Franciszek, był wysokim mężczyzną o sumiastych wusach i jasnym spojrzeniu. Poważny, na swój wiek nawet zbyt poważny, nie pił wódki, nie przeklinał i był bardzo pobożny.

Szymczakowie dopiero od kilku lat mieszkali w Skierniewicach. Pochodzili ze wsi, spod Rawy Mazowieckiej. Franciszek pracował dorywczo, a że był silny, udawało mu się od czasu do czasu zarobić przy załadunku wagonów kolejowych, a to przy noszeniu cegły. Najmował się też do przeprowadzek i wszędzie tam, gdzie potrzeba było krzepkiego chłopca. Nie przelewało im się, ale nigdy nie narzekali.

Po śmierci Michała najbardziej pomogła Mani Szymczakowa, dodawała jej otuchy i pocieszała, jak mogła. Często modliły się razem, a bywało, że Franciszek

też do nich się przyłączał.

Czasem przychodziły do Mani na pogaduszki sąsiadki i starały się oderwać ją od ponurych myśli.

Któregoś dnia, a było to na początku sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku, wpadła do Mani Kisielowa, sąsiadka z przeciwka.

– Michałowa, a wiesz ty, słyszałaś, że wojna się zaczęła? Mój był pod magistratem i tam jeden urzędnik mówił o tym ludziom.

– Jaka wojna? A kto z kim wojuje? Pewno wasz ze szwagrem.

– Nie śmieję się, nie śmieję, Niemce idą na nas.

– A co mi tam Niemce, mnie bez różnicy, czy po rosyjsku żołnierze gadają, czy po innemu.

– Mówicie byle co. Jak Niemce przyjdą, to dopiero nam paternoster wyprawia. Pozabijają nas jak nic.

– A to niech zabijają, mnie tam wszystko jedno. I tak mi życie niemiłe.

– Trzymajcie mnie, nie mogę słuchać, co ta baba gada, nie mogę! A Stasio? A jak wam jego ukatrupią?

– A co wy mnie, Kisielowa, straszycie? I tak będzie, co ma być.

Okazało się, że w gadaniu sąsiadki było sporo prawdy. W mieście zaczął się ruch, rosyjscy żołnierze wyruszyli z koszar na front. Ulicami z hałasem przetaczały się armaty i ciężkie wozy, końskie kopyta stukwały po bruku. Maszerowały kolumny piechoty.

Mieszkańców ogarnął strach i niepewność, miasteczko było jak sparaliżowane. Kończyły się zapasy żywności i ludziom zaczynał doskwierać głód. Zdobycie jakichś pieniędzy graniczyło z cudem.

Mania straciła robotę, bo piekarnię też zamknięto. Zostały z matką bez grosza. Kiedy już zupełnie nic nie miały do jedzenia, przemogły się i zaczęły chodzić do garkuchni dla biedoty, gdzie czasem dostawały coś do jedzenia. Najczęściej była to cienka zupka, niekiedy kawałek chleba. Jednak tylu chętnych cisnęło się po tę pomoc, że nie zawsze dla wszystkich wystarczyło i niekiedy odchodziły z kwitkiem.

Przez miasto przetaczały się niespokojne, wojenne dni. Wkrótce wkroczyli Niemcy, ale zanim wprowadzili swoje rządy, Rosjanie ich przepędzili. W okolicy rzeki Rawki toczyły się zażarte walki. Do uszu mieszkańców docierały odgłosy bitew. W niedługim czasie Niemcy wyparli Rosjan.

Ludzie byli umęczeni biedą i niepewnością. Sytuacja trochę się poprawiła, gdy Niemcy na dobre usadowili się w mieście i ustanowili władze. Kilku zamożnych obywateli Skierniewic uzyskało pozwolenie na działalność komitetu dobroczynnego. Biedacy znowu mogli dostawać gorącą zupę, a czasem trochę mąki lub kaszy. Ludzie powoli oswajali się z wojną.

Staś miał już trzy lata, rósł jak na drożdżach. Był bystry, zwinny i bardzo podobny do Michała, miał takie same jak on oczy – jasne i wesołe. Jak spojrzął czasem na Manię, to aż ją dreszcz przenikał i łzy zaczynały płynąć po policzkach. Wciąż miała w pamięci swojego Michała. To był wspaniały człowiek, a jaki mąż! Ze świecą takiego drugiego szukać. Tylko dlaczego uparł się jechać do tej Łodzi? Chciał ją uszczęśliwić domkiem z ogródkiem. A teraz? Ani domku, ani Michała! Dlaczego jej nie słuchał, kiedy mu odradzała ten wyjazd? Wciąż myślała o mężu. Nie mogła pogodzić się z tym, że już nigdy go nie będzie.

Było jej bardzo źle. Nieraz wieczorem burczało w brzuchu z głodu. Na szczęście los wreszcie się do niej uśmiechnął. Dostała pracę w pralni dla niemieckich żołnierzy. Dopomógł jej pan Puliński, który był nadal nadzorcą w browarze i miał kontakty z niemieckimi władzami. Ciężka to była robota, ale silna Mania dawała sobie radę.

Zimą tysiąc dziewięćset siedemnastego roku ciężko zachorowała. Wychodziła rozgrzana do studni po wodę, a nastąpiły tęgie mrozy, i zaziębiła się okropnie. Przez kilka dni męczył ją suchy kaszel, potem chwyciła silna gorączka i Mania musiała zostać w łóżku.

Józefowa zawsze chętnie pomagała chorującym sąsiadom, a że знаła się trochę na ziołach, często radziła, co mają zażywać, żeby jak najszybciej powrócić do zdrowia. Niestety, z chorobą córki nie mogła sobie dać rady. Nacierała Manię maściami, podawała jej sok malinowy, postawiła bańki, a umiała to robić jak mało kto, i przykazała nie wychodzić z łóżka, bo najlepiej będzie, jak się pod pierzyną wypoci. Jednak Mania czuła się coraz gorzej.

W lutowy poranek Waleria poszła zastąpić ją w pracy i odebrać należną tygodniówkę. Gdy wracała, zrobiło się już szaro. Była bardzo zmęczona. Już nie dla niej taka robota. Szła powoli, ledwo powłócząc nogami. Nagle zza rogu w wielkim pędzie wyjechał samochód. Waleria potknęła się na nierównym bruku i upadła prosto pod koła. Poczowała okropny ból i straciła przytomność. Auto się zatrzymało, a siedzący w nim niemiecki oficer spojrzął na leżącą nieruchomo kobietę. Kiwnął ręką na przechodzących żołnierzy, coś do nich zaszwargotał i odjechał. Niebawem pojawili się ludzie z noszami i zanieśli Józefową do szpitala.

Mania miała wysoką gorączkę, chwilami prawie traciła przytomność. Zmęczony płaczem i głodny Staś zasnął, przytulony do jej ramienia. Było już całkiem ciemno, gdy zajrzała do niej Weronka.

– Mania, a co ty tak po ciemku leżysz?

– Nie mam siły. Gorączka mnie męczy i kaszel.

Weronka przygotowała jej jakiś napar i rozebrała Stasia.

– To Józefowej jeszcze nie ma? Ciekawe, dlaczego nie przychodzi? Może ją w tej pralni zatrzymali. Jak ty sama noc przetrzymasz?

– Dam radę, nie martw się, Stasio, jak zaśnie, to śpi do rana. Może matka niedługo wróci.

Ale Józefowa nie wróciła. Leżała na noszach pod ścianą w szpitalnym korytarzu. Była nieprzytomna. Krew sącząca się z wielkiej rany na głowie skrzepła i wyglądała jak czarna aureola.

Ocknęła się, gdy za oknem było już całkiem ciemno. Z trudem uniosła powieki i popatrzyła dokoła. Nie mogła się zorientować, gdzie jest, nie wiedziała, skąd się tu wzięła. Jakieś nieznanne miejsce. I pachnie tak jakoś dziwnie!

Co się stało? Dlaczego tu leży?

Wreszcie coś zaczęło jej świtać. Tak, przypomina sobie! Szła ulicą, tylko skąd szła i dokąd? Aha, szła do domu, bo Mania chora. Musi zaraz się podnieść i iść do córki! Coś się z nią stało, jechał jakiś samochód. Chyba ją uderzył! Teraz okropnie bolała ją głowa. Ale musi przecież iść do Mani! Spróbowała się podnieść. Nie, nie da rady, jest bardzo słaba! Jeszcze raz podniosła głowę. Nagle poczuła okropny ból i znów straciła przytomność.

Tego dnia przywieziono do szpitala kilku rannych żołnierzy i lekarze mieli pełne ręce roboty. Kiedy wreszcie któryś podszedł do Walerii, biedaczka już nie żyła. Wywieziono jej ciało na cmentarz, zwany Strzelbą, gdzie chowano samobójców, innowierców i zmarłych o nieustalonym nazwisku.

Grabarzom nie chciało się kopać oddzielnego dołu, więc pochowano ją w jednym grobie z dwoma niemieckimi żołnierzami. Na przytwierdzonej do krzyża tabliczce umieszczono nazwiska tych dwóch i litery: „NN”.

Po ciężkiej chorobie Mania długo nie mogła dojść do siebie. Wreszcie kryzys minął i gorączka zaczęła powoli spadać. Dziewczyna czuła, że z matką musiało stać się coś złego. Przecież nie zostawiłaby ich samych. Kiedy tylko podniosła się z łóżka, zaczęła pytać o Walerię sąsiadów i znajomych, ale nikt nic nie wiedział. Pomyślała, że może w pralni czegoś się dowie, była jednak zbyt słaba, żeby tam iść. Poprosiła więc męża Weronki. Niestety, powrócił z niczym, tam też nic nie wiedzieli o Józefowej. Pamiętali tylko, że tamtego popołudnia wyszła z pralni i więcej się nie pojawiła.

Kiedy Mania straciła już nadzieję, że czegoś się dowie, przyszedł Wacek. Przywitał się i trochę niezgrabnie pogłaskał Stasia po główce.

– Marychna, słyszałem, że matki szukasz. Jakiś czas temu mój sąsiad widział wypadek na Piotrkowskiej. Starsza kobieta wpadła pod samochód. Jeśli to była

Józefowa, to może w szpitalu coś o niej wiedzą.

Zebrała wszystkie siły i powlokła się do szpitala. Szła wolno, spocona, ledwo ciągnąc za sobą nogi. Droga wydała jej się nieskończenie długa. Całkiem ją ta choroba wykończyła. Jak da radę zarobić na chleb? Jedyne nadzieje, że matka pomoże i wykuruje ją z tej słabości. Modliła się, żeby tylko nic złego się nie stało. Złe by bez niej było. Chorobę przetrwała dzięki Weronce Szymczakowej. Gdyby nie ona, razem ze Stasiem umarliby z głodu. Ale jak długo może pomagać kobieta, która sama niewiele ma? A Stasio! Od paru dni jest marudny, pokasłuje. Żeby tylko nie rozchorował się na dobre.

Wreszcie dotarła do dużego budynku z czerwonej cegły. Z trudem otworzyła ciężkie drzwi. Stała, onieśmielona, nie bardzo wiedząc, do kogo się zwrócić. Owionął ją ostry zapach chloru. Oparła się o ścianę, czując napływające mdłości. Ledwo trzymała się na nogach.

Starsza, otyła szarytka podeszła do niej, furkocząc długą spódnicą. Zakonna suknia, surowa mina i ogromny, biały kornet z kołyszącymi się skrzydłami speszyły Manię do reszty.

– A co ty, kobieto, pijana jesteś? Czego chcesz? Jałmużny nie rozdajemy.

– A bo, bo matka mi zaginęła i szukam jej wszędzie.

Głos Mani drżał z osłabienia. Zakonnica popatrzyła na nią uważnie.

– Hm, a jak się nazywa?

– Waleria Kowalowa.

– Zaczekaj tutaj, zobaczę.

Wróciła po chwili.

– Nie, nie ma tu takiej.

Marianna zakryła oczy dłońmi.

– To już była moja ostatnia nadzieja! Co mam robić?

– A kiedy, mówisz, zaginęła?

– Bez mała dwa tygodnie, jak jej nie ma.

– A jak wyglądała? W co była ubrana?

Mania, połykając łzy, opisała, co matka miała na sobie. Zakonnica znowu kazała jej poczekać.

– Przed kilkoma dniami przynieśli starszą kobietę, której wygląd mniej więcej pasowałby do twojego opisu. Była ciężko ranna w głowę, miała pękniętą czaszkę. Umarła, nie odzyskawszy przytomności. Pochowali ją na Strzelbie, bo nie było wiadomo, jak się nazywała. To mogła być twoja matka. – Wsunęła ręce w szerokie rękawy habitu i energicznie kiwnęła głową, jakby chcąc potwierdzić własne słowa.

Mani pociemniało w oczach. Matka nie żyje. Głośny szloch wyrwał jej się z ust.

– Umarła? A co jej się stało? Czy ktoś ją uderzył? – pytała przez łzy.

– Podobno samochód ją potrącił!

– Boże, za co mnie tak karzesz! Dlaczego zsyłasz na mnie tyle nieszczęść, skąd brać siłę, żeby to wszystko wytrzymać?! – zawodziła rozpaczliwie Mania.

Serce zakonnicy drgnęło. Popatrzyła z litością na młodą kobietę i kazała jej iść za sobą. Zaprowadziła ją na piętro, do kaplicy. Mania, płacząc, osunęła się na kolana, dłońmi zakryła twarz. Szarytka delikatnie dotknęła jej ramienia.

– Módl się, dziecko, módl, Bóg ukoj twoją rozpacz i pamiętaj, że niezbadane są jego wyroki. Przyjmij z pokorą wolę boską. Możesz tu jeszcze pobyć, tylko nie dotykaj niczego. Ja muszę wracać do chorych.

Mania klęczała i myślała o matce. W dzieciństwie była taka sroga i nieczuła, kija nie żałowała. Ale potem się zmieniła. Tak wiele rzeczy umiała robić i tyle ją nauczyła. Zawsze była obok. A jak troskliwie opiekowała się Stasiem. Marne życie miała i śmierć też marną. Ale widać tak było sądzone. Pewno nawet sakramentów na wieczną drogę nie otrzymała. Pomyślała, że jak zarobi trochę pieniędzy, to da na mszę za jej duszę. Trochę spokojniejsza, wolno wyszła z kaplicy.

Do domu ledwo się dowłokła. Po drodze wstąpiła po Stasia do Szymczaków.

Mały był rozpalony, popłakiwał, mówił, że boli go brzusek, nie chciał jeść, tylko pił łąpczywie. Popatrzyła na niego z troską.

– Weronka, nie ma już mojej matuli! Co mam robić? Ona by wiedziała! Ale

– Mania znowu zaczęła płakać – pogrzebali ją na Strzelbie. Jak się trochę ociepli i nabiorę siły, to pójdę pomodlić się przy jej grobie. Stasiu! Dziecko moje! Nie choruj! Tylko ty mi zostałeś!

Nie pomogły jej prośby. Chłopczyk wciąż pojękiwał, wzdęty brzusek bolał go coraz bardziej. Całą noc Mania robiła mu okłady. Rano dała Stasiowi łyżkę rycyny, zaparzyła jakichś matczynych ziółek, jednak niewiele to pomogło.

Wygrzebała ostatnie grosiki i poprosiła Zofkę, żeby przyprowadziła mieszkającą dwie bramy dalej zielarkę. Starucha odczyniła uroki, okadziła dziecko jakimś aromatycznym dymem, zostawiła woreczek z ziołami, kazała parzyć i dawać do picia co dwie godziny.

Po lekarstwie Stasio trochę się uspokoił i zasnął. Nie na długo. Obudził się, płakał, zaczął wołać babkę. Mania gładziła rozpalone czółko synka, przytulała go do siebie. Wreszcie Stasio usnął, tylko od czasu do czasu pojękiwał przez sen.

Mijał dzień za dniem. Chłopczyk był coraz słabszy. Mania siedziała przy nim, zapłakana i bezradna. Zofka na zmianę z Weronką pomagały jej, gotowały jedzenie, sprzątały mieszkanie.

Któregoś ranka Zofka wracała od studni z wiadrem pełnym wody. Gdy mijała okno Mani, usłyszała jakieś dziwne, głuche odgłosy. Co też to może być? Co ta Mania robi?

Gdy otworzyła drzwi, zdrętwiała ze zgrozy. Mania stała przy ścianie i w zapamiętaniu tłukła o nią głową. Czoło miała zakrwawione, po policzkach

ciekły czerwone strużki.

– Mania, na litość boską, co ty robisz? Co ty robisz?

Podbiegła i chwyciła ją za ręce, próbując odciągnąć od ściany. W tej chwili rzuciła okiem na leżącego bez ruchu Stasia. Nogi się pod nią ugięły.

– Co się stało? Maniu! Czy Stasio...?

Mania osunęła się na podłogę. Nieludzki jęk wyrwał jej się z gardła.

– Już tylko jedno przede mną. Roztłukę głowę o mur. Pójdę za moim Stasiem, za Michałem, matką, Wojtusiem. Nie chcę już żyć. Pójdę do nich, po co mam się męczyć! Dla kogo? Nikogo nie mam. Nie chcę żyć! Nie chcę!

Jej ciałem wstrząsał szloch.

Zofka pobiegła po Weronkę. We dwie podniosły Manię, umyły jej twarz, zaprowadziły biedaczkę do Szymczaków, posadziły na krześle. Siedziała jak skamieniała. Wzrok wbiła w obraz wiszący na ścianie, cicho poruszała ustami, jakby coś mówiła, może szeptała modlitwę.

Sąsiadki przygotowały wszystko do pogrzebu Stasia. W piękny, kwietniowy dzień, słoneczny i ciepły, poniosły białą trumienkę na daleki cmentarz cztery dziewczynki. Niosły ją na dwóch zwiniętych ręcznikach. Za nimi szła zapłakana Mania, kilka sąsiadek i Józia.

Gdy usypano żółtą mogiłkę, Mania padła przy niej na kolana. Weronka ze współczuciem patrzyła na jej wynędzniałą postać. Mania długo klęczała z rękami przyciśniętymi do twarzy. Wreszcie Weronka pomogła jej wstać i mimo oporu wyprowadziła.

– Marychna, nie wracaj już do swojej izby, Franio przeniesie twoje rzeczy do nas. Jakoś się pomieścimy. Nie możesz tam sama ze swoim nieszczęściem mieszkać.

– Ale ja wolę być sama. U was nawet popłakać nie będę mogła.

– A kto ci zabroni. Będiesz chciała płakać, to popłaczesz.

Mania bezwolnie poszła za sąsiadką.

Kiedy zapadł wieczór i dzieci zasnęły, Weronka usiadła blisko niej i zaczęła szeptem tłumaczyć:

– Losu nie zmienisz. Musisz wracać do życia i do żywych.

– Nie mam żadnych żywych. Wszystkich Bóg zabrał! To po co mam żyć?

– Ja tam jestem prostą kobietą, ale wiem jedno, że trzeba żyć, bo taka boża wola. Wiesz przecież, że bez jego woli nic nie może się zdarzyć. Widać tak musiało być. A ty się nie buntuj, tylko lepiej się pomódl i niech ci żadne głupoty do głowy nie przychodzą. Zamieszkas z nami, wstawimy dla ciebie łóżko. Będzie trochę ciasno, ale się zmieścimy. Tam, gdzie zgoda, to i wygoda. Z głodu nie pomrzemy, starczyło dla nas, starczy i dla ciebie. Roboty jest dużo. Pomożesz, bo ja sił nie mam, na dodatek niedługo przybędzie nam dziecko. A jak ci się trafi jakiś zarobek, to pójdziesz pracować. – Widząc niezdecydowanie na twarzy Mani,

dodała: – I na komornym się zaoszczędzi.

I Mania zamieszkała z Szymczakami. Bardzo się zmieniła. Trudno było poznać w niej dawną energiczną i zawsze zajętą młodą kobietę. Teraz prawie wcale się nie odzywała, jej oczy straciły blask, schudła, usta miała wciąż zaciśnięte. Do roboty brała się jakby z musu. Często przysiadła na skraju łóżka i bez ruchu, bez jednego mrugnięcia, wpatrywała się w okno. Dzieciaki Szymczaków omijały ją wtedy z daleka, bały się jej pustych oczu.

Czas jednak robi swoje. W spokojnym domu Weronki Mania powoli wracała do równowagi. Była młoda, miała silny organizm. Ból po stracie najbliższych stopniowo słabł. Prała, sprzątała, pucowała garnki, a wieczorami znów zaczęła czytać na głos książki. Weronka przytulała wtedy siedzące obok dzieci, Franciszek sadowił się w cieniu, trochę dalej od lampy, a Marychna roztaczała przed nimi czarodziejski świat cudownych opowieści. Dzieciom czasem oczy się zamykały, ale siedziały jak trusie i chłonięły każde słowo.

Po kilku miesiącach Weronka urodziła malutką córeczkę. Dziecko było słabe, ledwo przeżyło poród. Weronka też. Mania z obawą patrzyła na bladą twarz, podkrążone oczy i sinawe usta sąsiadki.

Któregoś dnia siedziały same. Franciszek poszedł do jakiejś roboty, dzieciaki biegały po podwórku. Maleństwo, które miało już kilka miesięcy, spało w kołysce.

Weronka zaczęła cicho:

– Marychna, przyrzeknij, że jakby mnie zabrakło, to zajmiesz się Franiem i dziećmi. Bardzo cię o to proszę. Ja długo nie pożyję, wiem to, a ty jesteś porządną kobietą i krzywdy dzieciom nie zrobisz.

– Weronka, nie mów byle czego. Ta słabość ci minie. Sama swoje dzieci wychowasz.

– Wiem, co mówię. Choć lepiej, żebyś to ty miała rację. Ale wiesz, miałam sen. Widziałam cię, jak w welonie z Franciszkiem do ślubu szłaś.

Mania prychnęła.

– Co ty, Weronka, przecież ja wdowa, to już bym ślubu w welonie nie brała.

– Nie o to chodzi. Ja w tym śnie wiedziałam, że umarłam, a ty za mąż za Frania idziesz. Powiem ci coś, tylko nie mów Franiowi, żeby się bez potrzeby nie frasował. Ciągle mnie boli serce, kłuje i ciśnie. I siły zupełnie nie mam. Czasem to tchu nie mogę złapać, duszno mi jakoś. Wiem, że mogę w każdej chwili skończyć życie. Ale nie boję się, jeśli taka jest wola boska, tak musi być. Tylko mi dzieciaków szkoda, no i Franusia. Dobry z niego człowiek, choć nie jest wylewny. Ale porządny. Nie daj im zginąć w razie czego.

Marychna wzruszyła ramionami.

– Przestań. Nawet słuchać tego nie chcę.

Drzwi otworzyły się raptownie i do mieszkania wpadły dzieci – ośmioletnia Honorcia i dwa lata młodszy Stefek.

– Mamusiu, chce mi się jeść. Stefkowi też!

– Siedź, Weronka, siedź, ja im naszykuję. – Marychna podeszła do stołu i ukroiła dla każdego po grubym kawałku chleba, zwilżyła wodą i posypała cukrem.

Dzieci aż podskakiwały z radości.

– Ale dobre! Ale dobre!

– Tatusz zarobił trochę grosza, to i chleb jest, i cukier.

– Chcemy jeszcze! Chcemy jeszcze!

Dzieci chwyciły chleb i wybiegły na podwórko.

– Szczęście, że te starsze zdrowe, tylko biedna Brygidka taka słabiutka. Nie ma jej się na życie! Jeść nie chce, nawet płacze niewiele. Kwili tylko cicho. I prawie się nie rusza. Siadać nie chce, choć już na to pora. Martwię się o nią.

– Będzie dobrze, tylko trzeba trochę poczekać. Przyjdzie czas i chodzić się nauczy. Weronka, prześpij się teraz, a ja wypiorę pieluchy.

Weronka miała rację. Dziecko było bardzo słabiutkie, coraz słabsze, aż któregoś ranka nie obudziło się już. Odeszło nocą tak cicho, że nikt nie usłyszał.

Zaniosły dziewczuszki trumienkę z Brygidką na cmentarz. Weronka szła wolno za nimi, powłócząc nogami. Z jednej strony podtrzymywał ją Franciszek, z drugiej Mania.

Od pogrzebu córeczki Weronka prawie nie podnosiła się z łóżka. Z dnia na dzień było z nią gorzej. Nie chciała nic jeść, chudła, bladła. Franciszek patrzył na nią z troską. Domem zajmowała się Mania.

Nadszedł koniec wojny. Przez miasto kolejny raz przetoczył się front. Niemcy wycofywali się w pośpiechu. Mieszkańcy rozbroili resztki niemieckiego garnizonu. Skierniewice były wolne. Cała Polska była wolna! Po przeszło stuletniej niewoli. W mieście powołano polskie władze. W ludzi wstąpiła nadzieja. Będzie lepiej, skończy się wojenna bieda. Ruszyły warsztaty rzemieślnicze i małe zakłady, powoli zaczął się rozkręcać handel. Znowu pracował browar i dykta, no i marzenie wszystkich bezrobotnych – kolej, która teraz działała jak przed wojną.

Któregoś dnia Mania wracała do domu z piekarni, gdzie od jakiegoś czasu pracowała. Była bardzo zmęczona i nie zwracała na nic uwagi. Mimo to do jej uszu dotarły głosy idących za nią mężczyzn.

– To mówisz, że na kolej będą przyjmować? Chodź, pójdziemy, może i nas przyjmą?

Drugi głos, jękając się, odpowiedział:

– Chciaaaalbyś! Tttam to tylko ssspecjalnych, wyuczonych pppprzyjmują,

a nie takich nieniepiśmiennych gamoni jak myyyy.

– Gamoni, gamoni – przerwał mu pierwszy – a ja miarkuję, że różnych mogą przyjmować. Może tacy jak my też im się na coś przydadzą!

Marychna przyśpieszyła kroku. Trzeba powiedzieć Franciszkowi, niech się zgłosi, może dostanie robotę! To by było szczęście! Wbiegła do domu zdyszana, z zarumienionymi policzkami. W jej czarnych oczach lśniły iskierki ożywienia.

Franciszek siedział przy stole i jadł zupę. Spojrzał na zasapaną Marychnę. Ale ona urodziwa, pomyślał. Odkąd zamieszkała z nimi, widywał ją codziennie, jednak dopiero w tej chwili zauważył, jaka jest ładna. Przeważnie była smutna, zapłakana, przygnębiona. Zresztą, z wrodzonej skromności nie przyglądał się zbyt młodej kobiecie, odwracał wzrok od jej bujnego ciała, chcąc uniknąć nieprzystojnych myśli.

– Franciszku, a lećcie na kolej, mają do roboty przyjmować.

– Dzisiaj? Teraz?

– Tylko co słyszałam na ulicy! Lepiej pójść dziś, żeby jutro nie było za późno.

Jej przejęcie go rozbawiło, uśmiechnął się lekko.

– Franciszku, proszę was, to nie pora na żarty, idźcie dzisiaj.

– Dobrze, dobrze, zjem i zaraz pójdę. Tylko do kogo tam się zgłosić?

– Spytacie jakiego kolejarza, to wam powie.

Franciszek wrócił po prawie dwóch godzinach. Jego twarz, zazwyczaj poważna, promieniała radością. Spod okazałych wąsów błyskały w uśmiechu białe zęby. Już od progu wołał:

– Dostałem robotę, na stałe! To chyba cud. Od jutra! Będę ładował węgiel na parowozy. Michałowa, to dzięki wam! Niech Bóg wam za to wynagrodzi, Michałowa. Nie będzie już w domu nędzy!

Mania jeszcze nigdy nie słyszała, żeby Franciszek tyle słów naraz powiedział. Nawet chora Weronka ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy. Na jej bladej twarzy pojawił się cień uśmiechu, po policzkach potoczyły się łzy.

– Franuś, jakie to szczęście, jak to dobrze! Widać Pan Bóg ma nas w swojej opiece. Jak to dobrze!

Mąż popatrzył na nią z troską.

– Pieniądze będą, to i lekarza do ciebie, Weronka, sprowadzę, da Bóg, wyzdrowiejesz.

Odtąd Franciszek codziennie rano wychodził do roboty. Brał do kieszeni kawałek chleba ze smalcem, całował w czoło żonę, a dzieci podchodziły i grzecznie cmokały jego rękę. Kiwał głową Mani, jeśli była akurat w domu, i z dumą szedł na całodzienną harówkę. Kiedy przyniósł pierwszą tygodniówkę,

Weronka popatrzyła na banknoty i pomyślała, że dawno nie widziała takiej góry pieniędzy. Wysłała Manię do sklepiku, kazała kupić kilo różnaitości, duży bochenek chleba i trochę cukierków dla dzieciaków.

– Niech się ucieszą, niebożątka, niech pamiętają, że tatuś taki duży grosz zarobił.

Zasiedli przy stole i pałaszowali ociekającą tłuszczem kaszanke, pasztetówkę, salceson, wędzony boczek, kielbasę, której rzeźnik też dorzucił do wagi. Dzieciom buzie błyszcząły od tłuszczu, a dorosłym, nienawykłym do takich smakołyków, oczy lśniły z zadowolenia. Nawet Weronka się ożywiła i policzki jej poróżowiły.

Następnego dnia, kiedy zostały z Manią same, Weronka powiedziała:

– Marychna, trzeba odkładać trochę grosza na czarną godzinę, bo co zrobicie, jak umrę, musicie mieć przecież na pochówek.

– Weronka, znów zaczynasz. Jutro pójdę po doktora, tylko naradzę się z Franciszkiem, niech on zarządzi, którego by tu sprowadzić.

– Po co mi doktor, księdza mi trzeba. Nie warto wydawać na darmo pieniędzy, mnie już i tak nic nie pomoże.

Mania machnęła ręką.

– Przestań krakać. Pamiętasz, jak mi tłumaczyłaś, że żyć trzeba, a sobie to jakoś nie umiesz wytłumaczyć!

– Ty, Marychna, jesteś zdrowa. Tobie było źle, bo śmierć ci bliskich zabrała. A ja? Chora jestem. Mnie już nic nie pomoże. Ja to czuję, wiem. Jestem starsza od ciebie ledwie o parę lat, a jak twoja matka wyglądam. Już mi niedużo zostało. Kostucha czeka na mnie.

– Potrzebna jesteś dzieciom, Franciszkowi i mnie też! Przywiązałam się do ciebie jak do siostry rodzonej.

– Proszę cię, Maniu, pamiętaj, co ci kiedyś mówiłam! Żebyś nie dała moim dzieciom krzywdy zrobić. Pamiętaj!

Mania objęła chude ramiona Weronki i przysunęła głowę do jej głowy. Siedziały przytulone i płakały żałośnie.

I znów wybuchła wojna. Na słupach i bramach domów rozwieszono ogłoszenia o mobilizacji. Po mieście krążył woźny z magistratu, walił w bęben i obwieszczał donośnym głosem, gdzie i kiedy mężczyźni mają się zgłaszać. Wielu rwało się iść z Piłsudskim przeciwko bolszewikom. Kilku sąsiadów z podwórka Marychny zostawiło żony i dzieci, by pod wodzą marszałka bronić ojczyzny na froncie za Wisłą.

Franciszka Szymczaka wyreklamowała z wojska kolej. Potrzebny był do ładowania węgla na parowozy, które ciągnęły pociągi z zaopatrzeniem dla

żołnierzy. No i był jedynym opiekunem dzieci, bo biedna Weronka umarła przed kilkoma miesiącami.

Nie pomógł przyprowadzony przez Franciszka doktor, który zbadał chorą, opukał, posłuchał, jak bije jej serce, zajrzał do gardła, oczu, obejrzał język. Potem pokiwał głową i powiedział, że na tę chorobę jeszcze nie ma lekarstwa. Zapisał jakąś miksturę na uśmierzenie bólu, wziął pieniądze i poszedł.

Weronka modliła się o śmierć. Była tym cierpieniem już bardzo zmęczona. Przyszedł ksiądz z wiatykiem, wysłuchał spowiedzi, nałożył oleje i pocieszył, że czeka ją w niebie wieczna szczęśliwość. Weronka była gotowa na ostatnią drogę, ale śmierć nie chciała przyjść, chora męczyła się jeszcze kilka tygodni. Wreszcie straciła przytomność, leżała blada i wynędzniała, lecz serce, na które zawsze narzekała i mówiła, że słabo stuka, nie chciało przestać bić.

Kiedy zamknęła oczy, pochowali ją koło Brygidki. Franciszek obłożył piaszczysty kopczyk zieloną darnią, wkopał drewniany krzyż i chodził z dziećmi na cmentarz, gdy tylko miał wolną chwilę.

Trudno mu było w domu bez kobiety. Honorka, choć miała już prawie dziesięć lat, nie garnęła się zbytnio do roboty, nawet bratem nie chciała się opiekować. Ciągłe nosiło ją po miasteczku, całe dni tylko śpiewała i tańczyła. A jak usłyszała gdzieś muzykę, gnała tam co sił w nogach. Dziwił się Szymczak, w kogo córka się wdała, bo z pewnością nie w niego. Weronka też była spokojną kobietą. A to półdiabłą pusto ma w głowie! Doszedł do wniosku, że trzeba ją będzie za męża wydać, kiedy tylko trochę podrośnie, żeby jakiego wstydu nie przyniosła.

Zaraz po śmierci Weronki Mania wyprowadziła się od Szymczaków. Nie mogła przecież pod jednym dachem z wdowcem mieszkać. To by była obraza boska! I co ludzie by powiedzieli!

Dogadała się z Zofką i do niej przeniósła swoje rzeczy. Akurat z wojny wrócił mąż tamtej Władek, którego zbłąkana kula zraniła w udo i nie nadawał się już do wojaczki. Siedział teraz najczęściej z takimi jak on nierobami, przechwalał się swoimi wojennymi czynami, popijał gorzałkę i grał w karty. Rodziną nie przejmował się zupełnie. Zofka musiała zarobić na jedzenie dla trójki dzieciaków i wódkę dla męża, wzięła więc chętnie Manię na komorne. Wiedziała, że to uczciwa kobieta i za kąć płacić będzie terminowo. Każdy grosz się przyda, a Władek przy lokatorce może trochę się zmytyguje i przestanie robić takie okropne awantury. Nieraz, gdy wpadł we wściekłość, tłukł wszystko i bił bez opamiętania i żonę, i dzieci.

Marianna służyła teraz u właścicieli sklepu z łokciowizną. Byli to zamożni ludzie, choć gdzież im tam do państwa Pulińskich! Dom był skromny, goście prawie nie przychodzili, nie mieli książek ani fortepianu. Pan ciągle gdzieś wyjeżdżał za interesami, a pani całe dni pracowała w sklepie. Rozwijiała przed

klientami tkaniny z wielkich bel, niemal pieszczotliwie ich dotykała, mierzyła drewnianym metrem i odcinała wielkimi nożycami kupon na suknię lub spodnie. To dopiero była robota! Ale Mania wiedziała, że nie dla psa kielbasa, nie dla kota szperka, a sprzedawanie w sklepie nie dla niej.

Pamiętała, co przyrzekła Weronce. Jak tylko miała wolną chwilę, szła do Szymczaków, żeby trochę pomóc Franciszkowi. Czekał na nią niecierpliwie. Kiedy krzątała się przy kuchni lub pochylała nad praniem, rzucał na nią ukradkowe spojrzenia. Z lubością patrzył na jej zręczne ruchy, widział, jak robota wprost pali jej się w rękach, i ciepło mu się robiło koło serca. A wieczorem przy pacierzu długo bił się w piersi, by przeprosić Pana Boga za grzeszne myśli, jakie go od tego patrzenia na jej dorodne ciało, a zwłaszcza duże piersi, nachodziły.

Marianna też z przyjemnością na niego spoglądała. Kawał chłopca, myślała! I aż gorąc ją oblewał od tego myślenia. Kiedy ich oczy przypadkiem się spotykały, rumieniła się i pracowała jeszcze szybciej.

Franciszek coraz częściej się zastanawiał, czy Marianna wyszłaby za niego. Bardzo mu ta myśl przypadła do gustu. Tylko że tyle od niego młodsza i taka urodziwa! No i był jeszcze w żałobie po Weronce, więc tymczasem nie mógł się przecież ożenić. Ale miałby z niej akuratną żonę!

Przez te ciągłe kłótnie i awantury Mania niedługo wytrzymała u Zofki, a najgorsze, że Władek był wobec niej natarczywy i bezczelny. A to, przechodząc, klepnął ją w pośladek, a to, niby niechący, zatoczył się na nią, a to chwycił ją znienacka i przycisnął do siebie. Kiedyś przyparł ją do ściany i zaczął obmacywać. Wyrznęła go pięścią między oczy, aż się zatoczył.

– Zapamiętaj sobie, bydlaku, ja nie dla ciebie. Żonę masz, to jej pilnuj. A ode mnie ci wara!

– Ty suko! Niby taką świętą udajesz, ale ja o tobie dużo wiem! I co tam na wsi wyprawiałaś, też wiem! A co! Czy to ja gorszy od tamtych?

Zamierzył się na nią.

– Uderz, uderz, to zobaczysz! Łeb ci rozwalę, ani się obejrzysz. Jak mi nie dasz wreszcie spokoju, to popamiętasz! – Aż drżała z wściekłości.

Władek, widząc jej determinację i zaciśnięte pięści, rzucił parę przekleństw i wyszedł z mieszkania.

Od tego dnia trochę się uspokoił. Nie odzywał się, nie zaczepiał jej, tylko zerkał spode łba. Zofce nic o tym nie mówiła, nie chciała jej martwić.

Którejś nocy poczuła przez sen, że zwała się na nią jakiś ciężar, a usta zakrywa silna dłoń. Szarpnęła się energicznie. Władek był pijany, więc udało jej się zepchnąć go z łóżka, ale rumor, jaki przy tym powstał, obudził Zofkę.

– A co tam się dzieje, co to za hałasy?

Zapaliła świeczkę i mrużąc oczy, popatrzyła na stękającego na podłodze męża.

– To pijaczyna utrapiony, chyba zablądził po ciemku. Do mojego łóżka chciał wleźć – pośpiesznie wyjaśniała Marianna.

– Władziu, a chodź tu do mnie, gdzie ty polazłeś? To nie wiesz, że na tamym łóżku Mania śpi?

Władek bez sprzeciwu położył się obok żony. Mruczał coś pod nosem. Mania słyszała, jak szepczą, a po chwili do jej uszu dotarły odgłosy świadczące, że całkiem się dogadali.

Rankiem pozbierała swoje rzeczy.

– Zofka, szkoda mi wyprowadzać się od ciebie, ale nie mogę dłużej z wami mieszkać. Lepiej pójdę, zanim się co złego stanie. Dostycie macie mordęgi z tym swoim Władziem, nie chcę ci dokładać więcej zgrzyoty.

Zamieszkała u starej Blichowej, w niedużej, ale czystej i schludnej izdebce. Dobrze tam jej było, choć Blichowa nocą pochrapywała, a w dzień gadała bez ustanku. Najczęściej o Szymczaku. Jaki to porządny człowiek, nie pije, dziećmi się opiekuje, a co najważniejsze, ma stałą robotę przy kolei. Wypłatę co tydzień dostaje. Kusiła Manię zaletami Franciszka i namawiała ją do małżeństwa.

– Młoda już nie jesteś, przeżyłaś niejedno, uroda zaczyna więdnąć. Do końca życia chcesz być sama? Dobrze ci radzę, jak matka, idź za Franciszka. To co, że trochę starszy od ciebie, ale biedy przy nim nie zaznasz. A że dwójkę dzieci ma, to co takiego złego. Może z nim nie będziesz swoich miała, a te już odchowane. Co ci zresztą będę gadać. Mieszkałaś u Szymczaków, jak świętej pamięci Weronka żyła, to się napatrzyłaś, co to za mąż. Kobieta tyle czasu chorowała, czy on z niej jaką pociechę miał? A domu się trzymał, inne baby go nie obchodziły, na wódkę nie laził. A jaki pobożny!

Mogła tak terkotać bez ustanku. Wreszcie znudziła Manię tym gadaniem.

– Blichowa, Franciszek jest w żałobie i wcale nie wiadomo, czy chce się żenić. Dajcie mi spokój.

– Ale powiedz, Marychna, poszłabyś za niego? To kawał chłopca, długo bez kobiety nie wytrwa. Już baby zaczynają się kręcić koło niego.

– Co tu gadać po próżnicy. Jakby chciał, to może bym i poszła. Ale on przecież ani słowem o tym nie wspomina.

– Już ty się, moja gołąbeczko, nie martw. Moja w tym głowa, żeby przyszedł i jasno oświadczył swoje zamiary.

– Przestańcie, jeszcze Franciszek sobie pomyśli, że go chcę zaciągnąć do ołtarza.

– Ty mi tu nie gadaj! Czy to ja jedną parę wyswatałam? Mam głowę na karku. Nic się nie martw, ani się obejrzysz, jak będziesz stała z Franciszkiem przed ołtarzem.

I stało się tak, jak powiedziała. W czerwcu minął rok i sześć tygodni, jak umarła Weronka, czyli żałoba się skończyła. W najbliższe niedzielne popołudnie do mieszkania Blichowej przyszedł odświętnie ubrany Franciszek z butelką gorzałki za pazuchą. Usiedli przy stole, Franciszek naprzeciw kobiet. Marychna ubrała się w bluzkę z haftowanym kołnierzykiem, grube warkocze upięła z tyłu głowy w koszyczek. Wyglądała młodo i ładnie. Siedziała poważnie za stołem, tylko trochę nerwowo kręciła w palcach frędzle zarzuconej na ramiona chusty.

– Nie wiem, jak mam zacząć, jak powiedzieć, z czym przychodzę.

Blichowa popatrzyła na niego.

– Śmiało, Franciszku, mówcie, nie owijajcie w bawełnę.

– Michałowa – zwrócił się do Mani – długo już się znamy.

– Coś za bardzo okrężnej drogi szukacie, walcie prosto z mostu – nie wytrzymała staruszka.

– No dobrze, spytam wprost, bo ja tam mowny nie jestem. Michałowa, wyjdziecie za mnie? Zostaniecie moją żoną? Co to za dom, jak w nim kobiety nie ma.

Choć wiedziała, z czym przyszedł, gdy usłyszała te słowa, zarumieniła się. Franciszek nie widział, jak jej z tym było do twarzy, bo oczy miał spuszczone i w napięciu czekał na odpowiedź. Zacisnął ręce, aż zbieleły końce palców.

– Franciszku, ja mam już prawie trzydzieści lat, jestem wdową, może byście sobie młodziej i zdatniejszej ode mnie poszukali – wyszeptała Mania.

– Kiedy to wy jesteście dla mnie najzdatniejsza, pasujecie mi jak raz, a i dzieciaki już znacie, one was też... Wiem, swoje lata mam. Ale tylko was chciałbym za żonę, tylko ciebie, Maniu – dodał ciszej. – Co mi odpowiesz? Zgadzasz się?

– Ano, Franciszku, to już niech będzie po waszemu.

– Pójdziemy jutro do księdza dać na zapowiedzi?

– Jutro?

– Nie ma co czekać, dosyć sam się nabyłem.

Blichowa odbiła butelkę i połała po trochu do szklaneczek.

– No i widzicie, szybko się dogadaliście. Ja mam szczęśliwą rękę, będzie wam się dobrze żyło. A teraz za pomyślność – do dna!

Mania piła małymi łydkami, Franciszek przełknął jednym haustem.

– Wiecie, że wódki nie piję, ale to taka specjalna okoliczność – usprawiedliwiał się przed kobietami.

Podszedł do Mani i pocałował ją w rękę.

– Dziękuję ci, Manieczku, że mi nie odmówiłaś, że się zgodziłaś.

Jak on powiedział? Manieczku? Skąd mu się to wzięło? Marianna zebrała się na odwagę i spojrzała w oczy przyszłego męża, popatrzyła na jego otwartą twarz, sumiaste wąsy, ciemne włosy zaczesane do góry. Wystroił się w marynarkę, białą

koszulę, nawet krawat włożył. Wszystko dla niej. Więc znów będzie miała męża! I to takiego przystojnego! Był bardzo wysoki, sięgała mu zaledwie pod pachę.

Franciszek podniósł się do wyjścia.

– To ja już pójdę.

– No to teraz narzeczony może narzeczoną pocałować.

– Nie popędzajcie, Blichowa, na wszystko przyjdzie pora. – Skłonił się kobietom i wyszedł powoli.

Mania, odmawiając wieczorny pacierz, z całej duszy dziękowała Bogu za taką odmianę. Będzie miała męża, on ją obroni przed złymi językami, nie da jej krzywdy zrobić. Nie będzie już samotnie borykać się z losem. Chwała ci, Panie! Cieszyłyby się matka, gdyby doczekała tej chwili. Biedna matula. Tak marnie zakończyło się jej życie. Mania otarła łzy.

W niedzielę po sumie ksiądz czytał zapowiedzi mających się odbyć w najbliższym czasie ślubów. Marianna czekała z bijącym sercem.

– W obliczu Boga za dwa tygodnie Franciszek Szymczak, wdowiec, pojmie za żonę Mariannę Zielińską, wdowę. Każdy, kto słyszał o jakichś przeszkodach w zawarciu tego małżeństwa, niech się zgłosi i powie.

Mani wydawało się, że wszyscy w kościele tylko na nią patrzą. Uklękła i pochyliła nisko głowę, żeby ukryć wzruszenie.

Mąż Julii zginął w bitwie z Sowiecami nad Wisłą. Młoda kobieta po stracie ukochanego Konstantego bardzo rozpaczała. Została sama z kilkuletnią córeczką Karolinką. Pokażny majątek, jaki odziedziczyła, pozwalał im obu na dostatnie życie. Zawsze była ciekawa świata, postanowiła więc udać się w długą podróż, w nadziei, że ukoi swój ból. Wyjechała wraz z córką do Paryża. Potem zamierzała odwiedzić Rzym. Co do dalszej trasy miała zdecydować później. Korciło ją, by opłynąć wokół kulę ziemską.

FRANCISZKOWA

Do kościoła państwo młodzi pojechali dorożką, choć mogli iść pieszo, bo z ulicy Przyrynek mieli przecież całkiem blisko. Świadcami byli Zofka i Jan, mąż Józi.

Kilka dni przed ślubem Marianna poprosiła Franciszka, by wynajął inne mieszkanie. Nie chciała rozpoczynać wspólnego życia w tym, gdzie umarła Weronka. Wciąż by widziała tamtą, jak leży na swoim łóżku i spod oka obserwuje wszystko, co się dokoła dzieje.

Franciszek chętnie spełnił jej prośbę, bo też wolał zamieszkać z nową żoną w nowym miejscu. Akurat w murowanej oficynie zwolniła się duża izba z oknem na południową stronę. Było tam jasno i ciepło. Rzeczy obojga zostały szybko przeniesione i Mania z Blichową mogły przystąpić do weselnych przygotowań.

– To kogo zaprosicie? – Staruszka jak zwykle musiała zaspokoić ciekawość.

– Ile mieszkanie pomieści. Pewnikiem obu braci Franciszka z rodzinami, Józię z Janem i dziećmi, Zofkę z Władkiem i jeszcze jakichś sąsiadów, może Klimków, bo ona zawsze taka dla mnie przychylna, może jeszcze Wachów.

– To pełno będzie, ja już się nie zmieszczę.

– No co wy! Jesteście dla mnie jak matka rodzona, za najbliższą rodzinę was uważam, a nie jakąś obcą. Przecież dzięki wam męża będę miała.

Blichowa ukradkiem otarła oczy.

– Maniu, dobra z ciebie kobieta.

Nie pożalował Franciszek pieniędzy na wesele. Przy stole było trochę ciasno, ale na stole jedzenia do syta.

Marianna umiała gotować. Matka ją wyuczyła, a pani Pulińska dokończyła edukacji. Był też spory zapas wódeczki. Goście popili, pojedli, posypały się toasty, a potem zaczęli śpiewać weselne przyśpiewki. Były coraz swobodniejsze.

*Panna młoda przecież wdowa,
a u wdowy chleb gotowy.*

*Ożenić się z wdową, być za wyrobnika,
trza tyrać za siebie i nieboszczyka.*

*Niech pan młody dzisiaj Manię
wydupcy na świeżym sianie...*

I tak dalej, i tak dalej. Mania czerwieniała po same włosy, a Franciszek spuszczał oczy. Władek miał bogaty repertuar. Aż ochrypl od tego śpiewania. Nagle zawołał, że weselna wódka gorzka, a goście skwapliwie to podchwycili.

– Tak, gorzka, gorzka, trzeba osłodzić.

Franciszek był wyraźnie speszony. Widząc jednak, że nie ustąpią, objął Manię i delikatnie pocałował. Poczula jego usta i łaskoczące wąsy. Nagle przypomniała sobie ślub z Michałem, a potem... zadrżała. Dał jej tyle szczęścia i tyle przez niego wycierpiała!

Wciąż pamiętała tamten dzień, kiedy Wacek wrócił z Łodzi. Pamiętała każde jego słowo. W oczach Mani zakręciły się łzy. Dosyć! Precz, złe myśli! Przecież to wesele! Jej wesele! Jej i Franciszka! Chwyła kieliszek i jednym haustem przełknęła zawartość. Władek nalał jej następny. Znow wypila. Po kilku kolejnych myśli o Michale gdzieś odpłynęły, a ona pełnym oddania wzrokiem popatrzyła na Frania i przysunęła się do niego bliżej.

Koło północy goście mieli dosyć i powoli zaczęli się rozchodzić. Dzieci, zmęczone hałasem, spały już od dłuższego czasu. Tylko Blichowa siedziała na krześle, nie mogąc się podnieść ze zmęczenia i z tego, co wypila. Mania smętnym wzrokiem popatrzyła na stół pełen brudnych naczyń. Wypity alkohol szumiał jej w głowie, energia ją opuściła, a nogi były jak z waty. Machnęła ręką.

– Ale jestem zmordowana, rano posprzątam.

Blichowa jakoś się wreszcie zebrała do wyjścia, obiecując, że rano przyjdzie pomóc. Z dwuznacznym uśmiezkiem życzyła nowożeńcom dobrej nocy i wyszła. Mania chwiejnym krokiem podeszła do łóżka, zdjęła kapę, poskładała ją starannie, ułożyła poduszki, strzepnęła wielką pierzynę.

Franciszek zbliżył się do żony i delikatnie dotknął jej ręki.

– Pomódlmy się, Manieczku, jeszcze raz poprośmy Pana Boga o błogosławieństwo.

Uklękli przed obrazem Paniienki, tym po Walerii. Odmówili pacierz. Franuś rozebrał się i położył, a Mania schowała się za zasłonkę oddzielającą kuchnię od reszty mieszkania i ściągnęła ubranie. Zgasila lampę i wślizgnęła się pod pierzynę. Leżeli w milczeniu, trochę speszeni. Wypita gorzałka zrobiła jednak swoje, Mania przytuliła się do męża. Franciszek poczuł jej gorące ciało i duże piersi tuż przy swoim ramieniu. Ogarnęło go podniecenie.

– Manieczku, a przysuń się bliżej, jeszcze bliżej, jeszcze.

Dyszał ciężko. Mania czekała na pocałunki, pieszczoty, słowa miłości.

Pamiętała, jak było z Michałem. Czekala jednak na próżno. Franuś zachowywał się zupełnie inaczej. Jego kochanie było pośpieszne, bez zbędnego gadania i czułych gestów. Jakby się wstydził tego, co robi. Po paru chwilach pochrapywał, przytulony do jej piersi.

Marianna długo wzdychała i kręciła się niespokojnie, wreszcie zasnęła ciężkim snem. Pierwszy raz od dawna śnił się jej Michał. Patrzył na nią i kiwał głową, jakby się dziwił, że widzi ją w łóżku z nowym mężem. Zanim zdołała mu powiedzieć, że tak było trzeba, ale że on jest i zawsze będzie dla niej najważniejszy, rozpląnął się we mgle. Obudziła się z twarzą mokrą od łez.

Franciszek wstał wcześniej. Obudził dzieci. Niewyspane, ruszały się wolno. Kiedy się wreszcie ubrały, kazał im stanąć przed Marianną.

– To wasza nowa mama. Macie ją szanować i słuchać jej we wszystkim.

Honorka spojrzała spod przymrużonych powiek. Jej piegowatą buzię pokrył rumieniec. Nie wiadomo, wzruszenia czy złości. Nawet pół kroku nie zrobiła w kierunku macochy. Za to Stefek podszedł i wsunął rączkę w rękę Mani.

– Dobrze, że znów będę miał mamusię.

Marianna poczuła ciepło koło serca. Dobry dzieciak z tego Stefka, ma prawie tyle lat, ile miałby teraz jej Stasio. Poczuła łzy pod powiekami. Pogłaskała chłopca po głowie i przytuliła.

– Franiu, idź już, bo się do roboty spóźnisz. A koło południa Honorka zanieś ci śniadanie.

– Tak, tak, idę, już pora.

Franciszek pocałował Mariannę, a dzieci, jak to było w codziennym zwyczaju, cmoknęły ojca w rękę. Marianna popatrzyła na panujący w mieszkaniu bałagan.

– Honorka, leć po wodę, a ty, Stefuś, przynosź brudne talerze ze stołu i ustawiaj tu, na taborecie.

Wzięła się energicznie do roboty. Rozpaliła ogień pod blachą, nagrzała wody, wlała do wielkiej miednicy i zaczęła zmywać. Robota paliła się jej w rękach, szybko się z nią uwinęła. Powycierała naczynia do sucha i pochowała do przepastnego kredensu. Jeden talerz wysunął się jej z rąk i rozbił na kilkanaście kawałków. Zbierając skorupy, pomyślała, że to dobry znak, jak coś się stłucze, to szczęście wróży. Kiedy przyszła Blichowa, wszystko już lśniło czystością.

– Ty, Maniu, to jakbyś spółkę z diabłem miała. Kiedy zdążyłaś to wszystko zrobić?

– Wiecie, Blichowa, że ja roboty zwyczajna. Honorka, biegnij teraz do tatusia i zanieś mu jedzenie. – Podała jej zawiniątko w białej ściereczce. – I nie marudź po drodze, szybko wracaj.

Dziewczynka wyszła z ociąganiem, coś sobie pod nosem podśpiewując. Marianna popatrzyła za nią przez okno. Pasierbica szła lekkim, jakby tanecznym krokiem.

– Ta Honorka to mi się nie podoba. Trzeba będzie wziąć się do niej ostro. Jest leniwa i nieposłuszna. Widać, że dzieciakom brak matczynej ręki. Franuś nie dał rady wszystkiego dopilnować. Stefek to dobry chłopak, ale Honorka jest rozpuszczona jak dziadowski bicz. Wiecie, Blichowa, tak miarkuję, że będą z nią kłopoty.

– Dasz sobie radę, a jak słowo nie pomoże, to paska nie żałuj. Z czasem smarkata nabierze rozumu.

Popłynęły dni wypełnione pracą od rana do nocy. Franciszek wracał z roboty zmęczony i czarny od węglowego pyłu, tylko mu białka w umorusanej twarzy połyskiwały. Marianna miała mnóstwo roboty z praniem jego ubrań. Ale za to w każdą sobotę przynosił wypłatę i można było porozkładać pieniądze na kupki. Odliczała banknoty na jedzenie, komorne i inne potrzeby. Wypłata Franusia starczała na życie i nawet można było coś niecoś odłożyć na czarną godzinę.

Marianna nadal pracowała u właścicieli sklepu i też trochę grosza zarabiała. Franio, co prawda, uważał, że żona ma dosyć roboty w domu i nie powinna tyrać u obcych, ale uparła się, że wszystkiemu podoła, a przecież każdy grosz się przyda. Tyle wydatków przed nimi. Na jesieni trzeba Honorce jakieś ubranie kupić, bo w czym do szkoły pójdzie? A i Stefkowi coś by się na zimę przydało, bo wyrósł i wszystko jest za krótkie i przyciasne.

Marianna gotowała, sprzątała, prała, pracowała u bławatnika. Uwijała się, ile sił. Sąsiadki nie mogły się nadziwić, że radzi sobie z tyloma obowiązkami. Ale nie narzekała. Życie toczyło się spokojnie, a Franio traktował ją z należytym szacunkiem.

W ciągu dnia była zadowolona, za to noce wciąż przynosiły nowe rozczarowania. Tylko przez krótki czas cieszyło Franusia, że ma w łóżku zdrową i chętną do pieśczoć żonę. Wkrótce jego miłosne zapały osłabły. Wciąż był zmęczony i śpiący. Zasypiał, gdy tylko głowę przyłożył do poduszki, a obowiązki małżeńskie spełniał z rzadka i na chybcika. Marianna daremnie czekała, że coś się zmieni.

Któregoś wieczoru, po jakichś trzech miesiącach od ślubu, gdy położyli się spać, a Franiowi powieki zaczęły się kleić, wyszeptała wprost do mężowskiego ucha, że jest w odmiennym stanie. Franuś pogłaskał ją po głowie.

– Widzisz, Manieczku, to znak, że Pan Bóg nam błogosławi. Podziękujmy mu za to!

Nie otwierając oczu, zsunął się z łóżka i pociągnął za sobą Manię. Ukłękli i odmówili „Ojcze nasz”.

– Teraz to już chyba, Manieczku, nie będziesz pracować?

– Popracuję, jak długo się da, a potem zobaczymy.

Zamruczał coś pod nosem niewyraźnie, a po chwili, jak zwykle, dało się słyszeć jego pochrapywanie.

Marianna zaczęła modlić się bezgłośnie.

– Panienko Najświętsza, opiekuj się mną i moim dzieciątkiem. Dwóch synków już straciłam. Spraw, żeby to dziecko szczęśliwie się urodziło i zdrowo chowało.

Odtąd co wieczór przed zaśnięciem powtarzała te słowa, potem robiła znak krzyża, przytulała się do śpiącego męża i z ciężkim westchnieniem zasypiała.

Marianna słusznie przeczuwała, że z Honorką będą kłopoty. Samowolną i leniwą dziewczynę trudno było skłonić do jakiegokolwiek roboty. Do szkoły chodziła niechętnie. Tłumaczyła, że dzieciaki śmieją się z jej rudych włosów i przezywają „ryzulec”. Często zamiast siedzieć w klasie, biegała po ulicach, a gdy się trafił jakiś uliczny muzykant, szła za nim od podwórka do podwórka i słuchała wygrywanych melodii.

Brzdąkał taki na mandolinie lub rzępolił na skrzypcach i jednocześnie śpiewał, a po skończonym występie krążył między ludźmi i nadstawiał czapkę, prosząc o datki.

Honorkę pochłaniało to słuchanie. Zapominała wtedy o bożym świecie. Nieraz stawała za jakimś murkiem i tam kiwała się i podrygiwała w rytm melodii jak w transie. Dopiero kiedy ktoś zauważył te pląsy, uciekała zawstydzona.

Marianna tłumaczyła dziewczynie, że robi z siebie pośmiewisko. Krzyczała na nią, wyzywała, ale niewiele to pomagało. Przez kilka dni winowajczyni trzymała się domu, a potem znowu zaczynała łązić za ulicznymi grajkami.

Wreszcie któregoś wieczoru, gdy Honorka wróciła po całodziennej włóczędze, w ruch poszła dyscyplina. Franciszek zrobił ją kiedyś na postrach, lecz nigdy dotychczas jej nie używano, bo Weronka nie miała na to siły, a Franuś był tak łagodnym człowiekiem, że nawet karcić nie bardzo umiał, a co dopiero lanie sprawić.

Marianna, doprowadzona do wściekłości, chwyciła jedną ręką dyscyplinę, drugą przytrzymała pasierbicę i zaczęła ją okładać skórzanymi rzemykami. Honorka, nie spodziewając się takiego obrotu sprawy, zrazu zaniemówiła, a potem zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Marianna krzyczała jeszcze głośniejsze:

– Ty wstrętna dziewucho, już ja ci wybiję z głowy te głupoty. Nauczę cię moresu! Nauczę cię słuchać matki!

Kiedy wreszcie puściła Honorkę, zapłakana dziewczyna usiadła w kącie i przez łzy oglądała sine pręgi na chudych nogach. Z dziecięcą naiwnością pomyślała, że opowie o wszystkim ojcu, gdy ten wróci z pracy, a on zrobi wreszcie

porządek z macochą. Nie będzie się tu baba panoszyć.

Tymczasem ojciec kazał Honorce siedzieć cicho, wysłuchał najpierw żony, chwilę pomilczał, a potem powiedział wolno, nie patrząc na córkę:

– Matka ma rację! Należało ci się.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. I ten surowy ton ojca! Dotychczas tatko nigdy tak do niej nie mówił! To wszystko przez macochę.

– To nie jest moja matka! Nie będę jej słuchać! Matka by mnie nie zbiła. Moja mama była dobra!

– Więcej nie będę powtarzał. I wiedz, że moja ręka silniejsza niż matczyzna. Lepiej zapamiętaj, co ci powiedziałem.

Honorka zacisnęła pięści. Przez następne dni chodziła do szkoły i nawet przestała biegać po mieście. Ale to były pozory posłuszeństwa, w jej głowie kiełkował plan uciezki.

Pojechała kiedyś z ojcem do Radziwiłłowa, do stryja Walentego, który miał tam niewielkie gospodarstwo. Był dobrym i spokojnym człowiekiem, jak ojciec. Postanowiła dostać się jakoś do niego. Opowie mu, jak ją macocha traktuje. Przecież stryj to bliska rodzina, nie będzie się nad nią znęcał jak ta wstrętna Marianna.

Nie wiedziała, jak daleko jest do tego Radziwiłłowa i którędy tam dojść. Myślała, myślała, aż przypomniała sobie, że przecież nie szła tam piechotą, tylko jechała pociągiem. Postanowiła więc, że tak właśnie zrobi. Najlepiej będzie pojechać!

Luty miał się ku końcowi, dni były trochę dłuższe, jednak mróz nadal trzymał. Honorka nie chciała czekać, aż się ociepli. Któregoś dnia wstała wcześniej. Ubrała się cichutko, żeby nikogo nie obudzić, i wyjęła ukryte pod poduszką, przygotowane wieczorem, zawiniątko z rzeczami. Pobiegła na stację. W parę minut była na miejscu. Jeszcze się na dobre nie rozwidniło. Pomyślała, że w mroku łatwiej będzie niepostrzeżenie przemknąć się na peron. Ba, tylko jak to zrobić? Cały teren ogrodzony, a w przejściu stoi kolejarz i sprawdza bilety.

Rozejrzała się uważnie i wypatrzyła szczelinę w płocie. Z trudem przecisnęła się przez nią i ukryła za niewielkim słupkiem. Znieruchomiała. Byle tylko pociąg przyjechał, zanim ktoś ją zauważy. Czekala dość długo, wreszcie rozległ się donośny gwizd lokomotywy. Honorka odetchnęła z ulgą. Nareszcie! Ale najtrudniejsze miała przed sobą. Nie kupiła biletu, bo nie miała pieniędzy. Musiała jakimś sposobem dostać się do wagonu.

Pociąg, buchając parą i wydając głośny gwizd, wtoczył się na stację. Rozległ się przeraźliwy pisk kół i stalowy olbrzym znieruchomiał. W przedziale, który znalazł się naprzeciw Honorki, okno było ciemne. Chyba nikogo tam nie ma! – pomyślała. Gdy stojący przy wagonie kolejarz odwrócił się do niej plecami, jednym susem, choć nogi miała sztywne od mrozu, znalazła się na schodkach.

Chwyciła za klamkę. Zimny metal parzył palce, drzwi nie chciały ustąpić. Dopiero po kilku szarpnięciach udało się. Była w środku, trafiła do przedziału drugiej klasy, dla „lepszych” pasażerów. W szarym świetle poranka zobaczyła ławeczki pokryte pluszem, aksamitne zasłony w oknach, a na podłodze trochę wyliniały chodnik.

– Ale tu pięknie, prawie jak w kościele – wyszeptała.

Wcisnęła się pod ławeczkę. Siedziała tam skulona i w miarę bezpieczna. Niestety, nie było stąd widać przesuwających się za oknem okolic. Zmartwiła się, że nie będzie wiedziała, gdzie trzeba wysiąść. Nagle ogarnęło ją przerażenie. A jak ten pociąg wywiezie ją gdzieś w daleki świat? Nie znajdzie drogi ani do stryja, ani do domu! Z dala od rodziny umrze pewnikiem z głodu. Od tych myśli zrobiło jej się jeszcze zimniej. Jednak po chwili przypomniała sobie, że kiedy z ojcem jechała do Radziwiłłowa, pociąg zatrzymał się pierwszy raz właśnie na tej stacji. Ryzyk-fizyk, może się uda! Dla dodania sobie animuszu zaczęła szeptać: „Zdrowaś Mario”.

Wydawało jej się, że jedzie okropnie długo. Wreszcie zgrzytnęły hamulce i pociąg stanął. Honorka otworzyła drzwi, zeskoczyła z wysokich stopni wagonu i pobiegła wzdłuż torów. Słyszała za sobą okrzyki konduktora, który zauważył pasażera na gapę. Nie zatrzymywała się, pędziła jak strzała. Dopiero gdy parowóz zagwizdał i wagony ruszyły, zwolniła trochę i rozejrzała się po okolicy.

Wzdłuż toru biegła obsadzona drzewami droga. Dziewczyna nie była pewna, czy właśnie nią należy iść. Ruszyła przed siebie, zdając się na los szczęścia. Uspokoila się, kiedy zobaczyła dach kryty strzechą, pobielone ściany i trzy wielgachne topole rosnące obok chałupy. Poznała zagrodę stryja Walentego. Przycupnęła za chruścianym płotkiem, bo strach ją obleciał, jak też stryj ją powita. A może odeśle do domu? Albo nakrzyczy i pasem przyłoży!

Usłyszała szcęk podnoszonej zasuwy i na progu chaty stanął stryj Walenty. Rozejrzał się, popatrzył na niebo, splunął siarczyście i bez pośpiechu ruszył w kierunku stodoły. Widząc jego spokojną twarz, podobną do twarzy tatka, Honorka przeżegnała się i ruszyła w kierunku gospodarza.

– Witajcie, stryju Walenty.

– A ty kto? – Rzucił okiem na jej rude warkocze i twarz mu się rozjaśniła.

– Toś ty pewnikiem Franusina córka! Żadna dziewczucha nie ma takich czerwonych włosów! Co ty tu robisz? Skąd się wzięłaś? A ojciec gdzie?

Honorka zawahała się chwilę.

– Ojciec przysłał mnie do was, żebyście trochę mnie nauczyli przy gospodarstwie robić – powiedziała najgrzeczniej, jak umiała.

– Nic mi przecież takiego nie mówił.

– To co? Pozwolą mi stryj zostać?

– A jak ty tu trafiłaś?

– Pociągiem przyjechałam – powiedziała z dumą.

– Sama? Nie bałaś się?
– Co się miałam bać. Duża już jestem.
– Rezolutna z ciebie dziewczucha. No dobrze, zostań, roboty ci tu nie zbraknie. Stryjenka trochę niedomaga, a chłopaczyska do babskich zajęć się nie garną. Połóż tobołek w sieni. Zziębłaś i zgłodniałaś pewnikiem, zaraz pójdziemy do chałupy, a tymczasem chodź, pokażę ci, gdzie co jest, żebyś nie błądziła po próżnicy.

– Gdzie to dziewczynisko znów lata? Myślałam, że trochę jej rozumu nabiłam do głowy, a tu masz, ciemno już, a jej nie ma. Oj, dam ja jej, niech no ją tylko w ręce dostanę!

Franciszek popatrzył na zagniewaną twarz żony.

– Nie denerwuj się, Manieczku, Stefek obleci sąsiadów i zaraz ją przyprowadzi. – Spojrzał na syna.

Chłopak bez słowa wybiegł z izby, jednak wrócił z niczym. Od rana nikt Honorki nie widział.

– Co się z nią mogło stać, gdzie ta latawica utknęła? – Marianna z wyrzutem spojrzała na męża.

– Pójdę jej poszukać. Zajrzę do kościoła. A może gdzie po ulicach z dzieciakami lata? I do szynku chyba wstąpię.

Z ilości wypowiedzianych przez Franciszka słów widać było, że jest bardzo przejęty.

– Poczekaj, Franiu, pójdę z tobą.

Było już całkiem ciemno. Szukali najpierw blisko domu, potem coraz dalej. Pytali nielicznych przechodniów, czy nie widzieli rudej dziewczyny. Wreszcie poszli nad rzekę. Zaglądali do wyrąbanych przerębli, przedzierali się przez nadrzeczne zarośla. Marianna, której mocno ciążył duży brzuch, zmęczyła się tym łażeniem. Nie zauważyła wystającego ze zmarzniętej ziemi kamienia, potknęła się, zwała na ziemię jak długa i stoczyła z wąskiej ścieżki na pokrywający rzekę lód. Franciszek jednym skokiem znalazł się przy żonie.

– Manieczku! Nic ci się nie stało?

Cicho pojękiwała, trzymając się za podbrzusze. Podniósł ją delikatnie.

– Możesz stanąć? Oprzyj się o mnie.

– Kości mam chyba całe, ale bardzo mnie w środku boli.

– Będiesz mogła iść?

– Nie wiem, nie wiem, może jakoś powolutku – mówiła, pochlipując z bólu i zdenerwowania.

– Chodźmy do domu. A może poniosę cię trochę?

– Daj spokój, Franuś, przecież byś nie poradził. Jakoś dokuśtykam.

W mieszkaniu było całkiem ciemno. Świeczka zgasła, Stefek spał z głową

opartą o stół. Marianna rozebrała się i położyła do łóżka. Czuła silny ból w dole brzucha. Franciszek z troską spoglądał na wykrzywioną bólem twarz żony.

W nocy Mania obudziła męża.

– Franuś, leć po akuszerkę. Tylko migiem.

Ubrał się pośpiesznie, ze zdenerwowania zapomniał o czapce i z gołą głową wybiegł na ulicę. Na swych długich nogach w parę chwil był na Ogrodowej. Załomotał do drzwi.

– Stańczykowa, chodźcie, a żywo, u mojej się zaczęło.

– Szybko! Szybko! Wszystkim się śpieszy jak do pożaru. A co, to pierwsze wasze dziecko, żeście taki w gorącej wodzie kapany? – Zaspana kobieta wolno otwierała drzwi, mrużąc pod nosem.

– Nie, ale moja kobieta dzisiaj upadła, a jeszcze ze dwa miesiące jej brakuje do końca.

– Dobrze już, dobrze. Idę przecież.

Niewiele miała akuszerka roboty przy tym porodzie. Przecięła tylko pępowninę, bo tuż zanim przyszli, dziecko zdołało wydostać się na świat.

– To chłopaczek, ale bardzo słabiutki. Niech no tatuś nagrzej dużo wody, bo trzeba oporządzić położnicę i dziecko.

Klepnęła dziecko kilka razy w pupę, jednak maleństwo nawet nie pisnęło.

– Jak macie święconą wodę, to dajcie, a jak nie macie, to zwykłą. Trzeba go ochrzcić, bo mała nadzieja, żeby wyżył.

Marianna zaczęła pochlipywać.

– Czy to jakieś przekleństwo, że Pan Bóg dzieci mi zabiera?

Głos akuszerki dotarł do niej jakby z oddali.

– A ty mi tu nie rozpaczaj, bo jeszcze ci zaszkodzi. Dziecko na razie dycha. Jak mu dać na imię?

– Manieczku, a może by tak po moim ojcu, Teodor?

Mania skinęła głową.

– Rób, Franiu, jak uważasz.

Kiedy po trzech godzinach akuszerka wychodziła od Szymczaków, Marianna nadal płakała. Piersi miała obwiązane płóciennymi bandażami, żeby nie napływało mleko. Dziecko nie żyło.

Minęło kilka tygodni. Marianna nie mogła się pogodzić ze swoim nieszczęściem, była przygnębiona, snuła się jak cień po kątach, popłakiwała. Nie szła jej żadna robota. Mąż ją pocieszał, jak umiał, nie na wiele to się jednak zdało.

Tygodnie płynęły, a ona wciąż myślała, dlaczego tyle nieszczęść ją spotkało. Może dlatego, że jest bękartem i wisi nad nią jakieś przekleństwo? Przypominała sobie, jak kiedyś matka, bijąc ją przy lada okazji, wykrzykiwała takie okropne

słowa. A może ją wtedy przeklęła? A może za to, co z Wojtkiem bez ślubu robiła, Pan Bóg ją teraz karze? Jak odwrócić zły los?

Blichowej serce się ścisnęło na widok smutnych oczu Marianny.

– Posłuchaj mnie, Maniu. Trzeba się modlić i Pana Boga prosić o litość i miłosierdzie. Jeszcze ci się odmieni na lepsze. Na początku sierpnia będzie odpust w Makowie. Tam jest kościół Przemienienia Pańskiego. Musisz pójść. Niejednej babie podobno się przemieniło, jak się w tym kościele pomodliła. Jest jeszcze sporo czasu, zdążysz wydobrzeć i nabrać sił. Co się stało, to się nie odstanie. Módl się! Da Bóg, że wszystko na dobre ci się jeszcze obróci!

Marianna chwyciła się tej rady jak ostatniej deski ratunku. Zaczęła liczyć dni do odpustu. Tylko na Honorkę, która się odnalazła, nie mogła spokojnie patrzeć. To przez nią straciła dziecko, swojego syneczka.

Dziewczyna była u stryja niecałe dwa tygodnie i pewno dłużej by tam została, gdyby nie jarmark w Skierniewicach. Walenty przyjechał tam, by kupić trochę rzeczy, i przy okazji wstąpił do brata. Chciał ustalić, jak dalej ma być z tą Honorką. Widział, że dziewczyna roboty unika, a najchętniej po wsi biega i na chłopaków popatruje. W gospodarstwie pociechy z niej prawie żadnej nie mieli.

Franciszek, przygnębiony stratą synka, odsunął na późniejszy czas poszukiwanie córki. Kiedy Walenty mu wyłuszczył, z czym przybywa, oniemiał ze zdziwienia.

– To ona jest u ciebie? Aż tam ją licho zaniósł?

– Nie wiedziałeś? A mnie powiedziała, że ją przysłałeś, żeby się wsiowej roboty nauczyła.

– Każ jej do domu wracać. Nic tam po niej. Po co ma ci na głowie siedzieć.

– Dobrze, będę jechał na przyszły czwartek do miasta, to wezmę ją ze sobą.

Oczywiście dziewczyna nawet słuchać nie chciała o powrocie. Wiedziała, co ją w domu czeka. Walenty był jednak nieubłagany.

– Ojciec kazał ci wracać, to nie ma gadania!

Franciszek był w robocie, kiedy Walenty z uciekiniarką stanęli w drzwiach. Marianna przywitała szwagra serdecznie, lecz gdy spojrzała na pasierbicę, twarz jej się zmieniła w wykrzywioną złością maskę. Chwyciła Honorkę za warkocz, owinęła go sobie wkoło ręki i nie bacząc na obecność szwagra ani na to, że po niedawnym porodzie powinna się jeszcze oszczędzać, zaczęła dziewczynę siec dyscypliną. Wpadła w furję, wykrzykiwała beładne słowa, w których był i ból po stracie dziecka, i złość na Honorkę, i żal do niesprawiedliwego losu. Walenty chwycił rękę Marianny.

– Bratowa, a dajcie już spokój, jeszcze sobie zaszkoździe.

Usiadła, ciężko dysząc.

– Wcześniej sobie zaszkoździłam, jak tej latawicy po bezdrożach szukałam.

Szkoda słów. Rośnie takie nic dobrego, w głowie ma pusto, ojca i matki nie słucha, Boga się nie boi. Tylko bicie może tu pomóc.

Walenty, który tak jak Franciszek nie lubił awantur ani kłótni, śpiesznie pożegnał bratową, nacisnął czapkę i wyszedł.

Honorka płakała w kącie za łóżkiem.

– Rycz sobie, rycz i zapamiętaj, jak się nie poprawisz, to lanie będziesz częściej dostawać niż jedzenie.

W sierpniowy ranek wyruszyła do Makowa odpustowa pielgrzymka. Choć godzina była wczesna, skwar dawał się mocno we znaki. Nad idącymi rozciągało się bezchmurne niebo. Słońce prażyło niemiłosiernie. Kobiety ponasowały chustki na czoła, żeby choć trochę osłonić twarze przed palącymi promieniami, i człapały noga za nogą. Dopiero jak dotarły do Zwierzyńca, ruszyły trochę raźniej. Cień wysokich drzew łagodził upał. Jedna z pątniczek zaczęła śpiewać nabożną pieśń, inne podchwyciły i maryjny śpiew odbił się echem od ściany lasu.

Franciszkowa odmawiała różaniec. Nie czuła ani upału, ani zmęczenia, ani tego, że bosymi stopami dotyka rozprażonego piachu. Idąca obok Blichowa ze smutkiem patrzyła na wynędzniałą twarz i chudą postać Marianny. Niechby jej się w końcu jakoś to życie ułożyło, myślała. Przecież to dobra kobieta. No, może trochę narwana, ale ludziom życzliwa. Jakby ją potrzebujący o pomoc poprosił, ostatni grosz by oddała. A złe ją prześladowe jakby jakieś przekleństwo!

W kościele był ścisk, nie mogły nawet marzyć o dotarciu do świętego obrazu. Franciszkowa padła na kolana w pobliżu drzwi wejściowych. Pomyślała z żalem, że z tego miejsca to pewno jej modły nie dotrą do Świętej Panienki. Tłum napierał ze wszystkich stron, więc wstała z klęczek, bojąc się, że ludzie ją stratuja. Podała się ludzkiej fali, która wolno wyniosła ją na zewnątrz.

Skupiona i rozmodlona, nie słyszała otaczającego ją gwaru. Palce nadal przesuwają paciorki różańca, usta szeptały dobrze znane słowa. Szła przed siebie wolno i ani się obejrzała, jak wyszła na wolną przestrzeń. Ruszyła wydeptaną wśród pól ścieżką. Ogarnęła ją cisza. Z oddali dobiegało poszczekiwanie psa, gdzieś zaskrzypiał studzienny żuraw. Minęła jakieś zarośla i nagle znalazła się na łączce, która wydała jej się dziwnie znajoma. No tak, wyglądała jak ta w Żelaznej. Tam, nad rzeką, gdzie w dzieciństwie pasła gęsi, też była taka sama niska trawka z bielejącymi tu i ówdzie stokrotkami, ten sam zapach. Marianna się wzruszyła.

Usiadła w cieniu pod niewielkim krzaczkiem, zsunęła chustkę z głowy, przymknęła oczy. Pod jej powiekami pojawiła się twarz Wojtka Ceronia, taka jak wtedy, gdy pilnował gęsi, sióstr i jej, Mani. Westchnęła ciężko. Gdzie on teraz jest? Czy żyje? To był dobry chłopak! Twarz Wojtka zbliżała się do niej, była coraz większa i większa. Mariannie wydało się, że słyszy szczekanie Burka. Poruszyła

się niespokojnie. Usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

– Maniu, a gdzie ty się podziewasz? Szukam cię wszędzie, a ty tu sobie drzemkujesz! Miałaś się modlić przed obrazem! Co ci przyszło do głowy, żeby iść na łąkę? Msza się skończyła. Obwarzanki już kupiłam. I jeszcze figurkę świętego Antoniego, od wszelkich zgub. Popatrz, jaka ładna. Baby powoli szykują się już do domu. Pora iść, szmat drogi przed nami.

Blichowa z niezadowoloną miną besztowała Mariannę. Ta podniosła głowę, usiadła, przeciągnęła się i nagle zamarła w bezruchu.

– Cii, Blichowa, poczekajcie, nie krzyczcie.

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie, niedowierzanie, wreszcie oczy jej błysnęły radośnie.

– A co ty mi tu za miny wyprawiasz?

– Cichajcie, Blichowa. Wydaje mi się... Nie, nie wydaje mi się, jestem pewna! Poczulałam, że dziecko się we mnie poruszyło. Rozumiecie? Dziecko!

– Akurat teraz? Co ty gadasz!

Marianna padła na kolana i delikatnym, czułym gestem objęła brzuch.

– Dzięki ci, Przenajświętsza Panienko. Dziękuję!

Honorka nie chciała słuchać macochy. Każde polecenie wykonywała z ociąganiem i butną miną, jak z łaski. Co prawda Mania postanowiła trzymać nerwy na wodzy, żeby znowu coś złego nie stało się z dzieckiem, które miało niebawem przyjść na świat, ale kto by wytrzymał te ciągłe fochy krnąbrnej dziewczyny. Prawie nie było dnia bez awantur i krzyków, często kończących się na „wsypaniu”, jak to mówiła Marianna, paru pasów lub dyscyplin.

Honorka jednak wcale od tego nie stawała się lepsza, wręcz przeciwnie. Zamknięta w sobie, nad wiek dojrzała, choć chwilami bardzo dziecinna, wiecznie zabiegana, do domu ściągала zazwyczaj pod wieczór. Dostawała lanie, trochę popłakała, a następnego dnia znów ją nosiło po jej tylko znanych miejscach.

Franciszek nie wtrącał się do tych awantur. Żona mu wytłumaczyła, że kiedyś matka niejedną kij na jej, Mani, plecach połamała i dzięki Bogu ona wyrosła na porządnego człowieka, więc niech Franio córki nie żałuje, bo tylko na dobre jej wyjdzie, jak dostanie parę pasów na tyłek.

Jednak któregoś dnia Marianna miała już dosyć owego „wychowywania” Honorki.

– Franiu, z tej dziewczyny to już nic nie będzie. Do szkoły chodzić nie chce, a zresztą wystarczy jej tego dobrego. Czytać się nauczyła i pisać też co nieco. A tych głupot i wałęsania po mieście nie dam rady wybić jej z głowy. Sam widzisz, że tylko podśpiewuje i tańczy. Duża dziewczyna, a w głowie siano. Czas oddać ją na służbę. Stefek już podrośł, pomoże w domu. Z niej i tak żadnej pociechy nie ma,

a dodatkowych parę groszy zawsze się przyda.

Widząc, że mąż nie protestuje, ciągnęła:

– Rozpytam się, czy gdzieś nie potrzebują dziewczyny. Prędzej obcy nauczą ją rozumu niż ojciec i matka. Ja już siły do niej nie mam.

– Zrób, Manieczku, jak uważasz.

Zgodził się, ale twarz mu zmarkotniała. Bez słowa nacisnął czapkę i poszedł do komórki narąbać szczap na podpałkę.

Marianna powiedziała Blichowej o swoim pomysle. Staruszka od ręki znalazła wyjście.

– Uważasz, Maniu, moja siostra ma córkę Rózię, a ta znów córkę Benię i jeszcze kilka dzieciaków. Ta Benia służy u jednych państwa, co pieniędzy mają w bród, dom duży i dzieci troje. Jak ostatnio była u mnie, to mówiła, że myślą przyjąć jeszcze jedną dziewczynę, bo tej służby, co jest, to im za mało. Trzeba by się dowiedzieć, czy jest jeszcze u nich to miejsce.

– Jutro z rana wezmę Honorkę i polecimy tam, a gdzie to?

– Wiesz, to ten wielki dom, przy ulicy, co do kolei idzie. Balkon ma taki paradny! Wiesz już? Prawie naprzeciwko wielkiej bramy do parku.

– Pewno, że wiem. Martwię się tylko, czy im się taka latawica nada. I żeby nam wstydu nie zrobiła! To takie głupie i leniwe dziewczynisko!

Trzy razy chodziła Franciszkowa do pani Jasińskiej i wciąż nie mogła jej zastać. Wreszcie, kiedy już miała ręką machnąć i szukać dla Honorki innego miejsca, pani zjawiała się w kuchni. Popatrzyła krytycznie na płomienne włosy dziewczyny i obsypaną piegami twarz.

– Skąd tyś się taka ruda wzięła? – spytała i nie czekając odpowiedzi, dodała:

– Jutro możesz przyjść, tymczasem będziesz pomagać w kuchni i przy sprzątanii. Ale pamiętaj, żadnego zbijania bąków. Jeśli zauważę, że się lenisz, wyrzucę.

Mariannie ciężar spadł z serca. Niech pogonią dziewczuchę do roboty, może się wdroy i nauczy posłuchu. Pozbędzie się tego lenia. Co prawda, Honorka miała nocować w domu, ale w ciągu dnia nie będzie jej drażnić. Mania pomyśli wreszcie o mającym się narodzić dziecku. Przecież to już niedługo! Brzuch sterczał jej pod nos, że ledwo mogła się ruszać, a dziecko tak się wierciło, że aż czasem zabolalo. Widać będzie silny chłopak!

Przyszło Boże Narodzenie. Marianna, zmęczona dźwiganiem swojego brzemia, tylko dzięki Blichowej dała radę zrobić świąteczne porządki. Żadna poprzednia ciąża tak jej nie dokuczyła. Może dlatego, że miała już swoje lata, skończyła przecież trzydzieści, a i ciała też dźwigała na sobie sporo.

Lubiła dobre jedzenie, gotowała chętnie i smacznie. Dogadzała Franiowi, a przy okazji i sobie. Jadła dużo, do syta, jak nigdy dotąd. Franciszek przynosił tygodniówkę regularnie, na jedzeniu nie trzeba było oszczędzać. Minęły czasy, kiedy z dwóch stron oglądała monetę, nim ją wydała. Pamiętała chude lata, ile razy

wieczorem głodna kładła się do łóżka. A w czasie wojny? Nieraz kiszki skręcały się z głodu.

Pierwsze miesiące po ślubie z Franusiem też nie były łatwe. Pieniądze traciły wartość z tygodnia na tydzień, potem z dnia na dzień. Ludzie dostawali już nie tygodniówkę, tylko dniówkę. Najpierw były to setki, tysiące, a wreszcie miliony marek. Wszystko drożało w zawrotnym tempie. Chleb po południu kosztował drożej niż rano. Franus przynosił całą torbę pieniędzy i wysypywał do nadstawionego przez żonę fartucha. Banknotów było mnóstwo, ale niewiele dało się za nie kupić.

Poprawiło się, dopiero jak pieniądze wymienili. Mariannę ogarnęła wtedy jakaś pasja. Nie zwracając uwagi na ceny, zaczęła kupować mięso, ryby, wędliny i cukierki. Franciszek, z natury bardzo oszczędny, nie mógł patrzeć na taką rozrzutność. Swoim zwyczajem nic jednak nie mówił. Tylko czasem, gdy żona przydzwigała, według niego, zbyt duże zakupy, wychodził, trzaskając drzwiami. Mruczała wtedy, że mąż ma znowu muchy w nosie, ale nie przejmowała się bardzo jego humorami. Wiedziała, że potulnie wróci do domu i jeszcze w rękę ją pocałuje. Dobry mąż z tego Frania!

Nie dziwota, że od tego dogadzania figura Marianny wkrótce zaczęła się zaokrąglać, aż sąsiadki jej przygadywały.

– Ho, ho, Franciszkowa to wygląda teraz jak jaka kupcowa. Policzki okrągłe, brzuch sterczy, a bluzka od tego, co pod nią, mało nie pęknie.

W styczniowy, mroźny wieczór Marianna poczuła bóle i kazała Franiowi sprowadzić Stańczykową. Była spokojna. Wszystko zdążyła przygotować. Jedzenia starczy na kilka dni. Jest też trochę gorzałki, żeby było czym wypić pępkowe, w kufrze leżą dziecięce koszulki, kaftaniki i pieluchy, a w nogach łóżka piętury się nowa, długa poduszka ze świeżego pierza. Dziecko musi mieć ciepło, bo za oknem mróz, trudno mieszkanie dogrzać, choć węgla jest dosyć. Franus dostawał od kolei kilka metrów na rok, a na dodatek z każdej zmiany przynosił w torbie po kilkanaście pecynek.

Marianna czuła, że tym razem wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze. I rzeczywiście, urodziła szybko i bez trudności. Krzyknęła tylko raz, gdy wydostawała się główka dziecka.

– Córka! – radośnie obwieściła akuszerka. – Kobieto, masz dorodną córkę!

Zmęczona i spocona Marianna jęła zawodzić drżącym głosem:

– Córka? Dziewczyna? Po co mi dziewczyna, tylko kłopot z nimi! Tak chciałam syna, tak Boga prosiłam! Nie wysłuchał! Nie wysłuchał!

– Franciszkowa, nie grzesz takim gadaniem – rozzłościła się akuszerka.

– Dziecko śliczne, zdrowiutkie, a ty co? Że nie syn? Będiesz jeszcze i syna miała.

A teraz przyj, łożysko trzeba urodzić!

Marianna pojękiwała i ocierała płynące wciąż łzy. Nie mogła uwierzyć, że ma córkę. Dziewuchę! Tego się nie spodziewała. Dlaczego nie chłopaczka? Do tej pory rodziła przecież chłopców, płakała.

Mimo że od śmierci Konstantego upłynęły dwa lata, pani Julia nie mogła się pogodzić ze swoim wdowieństwem. W czasie wojażowania po świecie spotykała mężczyzn, którzy bez powodzenia zabiegali o jej względy. Nie chciała jednak ponownie wychodzić za mąż. Nadal była piękną kobietą, a czerń, której nie zdjęła, chociaż minął już okres zwyczajowej żałoby, dodawała jej uroku. Po dwóch latach spędzonych w podróży wróciła z córką do Warszawy, nadeszła bowiem pora, by umieścić Karolinę na pensji.

Pani Julia odnowiła kontakty towarzyskie, szybko doszła jednak do wniosku, że życie wypełnione spotkaniami ze znajomymi, ploteczkami i piciem herbaty zupełnie jej nie odpowiada.

Chciała robić coś pożytecznego.

Szukała zajęcia odpowiedniego dla kobiety z jej pozycją. Wreszcie znalazła. Zajęła się dobroczynnością. Cieszyło ją, że może pomagać biedakom, zwłaszcza bezdomnym dzieciom. A że była osobą mądrą i energiczną, wkrótce udało jej się zorganizować sierociniec, w którym kilkanaścioro tych biedactw znalazło opiekę i chleb.

CÓRKI

Dziecko płakało dniem i nocą. Maleńka, kilkutygodniowa kruszynka głos miała niezwykle donośny. Franuś wstawał do pracy niewyspany, Marianna też była już na ostatnich nogach. Niańczyła tego rozdarciucha, nosiła, kołysała, odczyniała uroki. Wyczerpała wszystkie znane sobie sposoby, a dziecko nadal wrzeszczało. Wreszcie któregoś dnia przypomniała sobie opowieści matki, w jaki to sposób dawniej kobiety uciszały takie krzyczące dzieciaki.

– Franiu, nie wiem, co robić. Chyba trzeba będzie odprawić nocnice. Nie wytrzymam dłużej tej mordęgi.

– Rób, Manieczku, co uważasz! Byle to dziecko przestało wreszcie płakać.

– Tylko kto będzie biegał dookoła domu, bo ja przez te płoty i wertepy nie dam rady przełazić. Jestem jeszcze za słaba, no i za ciężka.

– Stefek cię zastąpi. Co to dla niego polatać po wrugach!

– Może masz rację. Trzeba spróbować, bo mnie też już życie obrzydło od tego krzyku.

Niecierpliwie czekała na Stefka. Kiedy wrócił z warsztatu szewca, u którego od paru miesięcy terminował, zrobiło się całkiem ciemno. Majster był wymagający i ostro uczniów gonił do pracy.

– Stefek, jak zjesz zupę, to odprawisz urok nad tą krzykaczką.

– A ja będę umiał?

– Będiesz, będziesz. Zrobisz tak, jak ci powiem. Tylko dobrze zapamiętaj! Oblecisz nasz dom dookoła, ale prawda, nie da się samego domu, bo stoi przy innych. Musisz oblecieć całe podwórko. Jest już ciemno, ale ty masz oczy jak kot i znasz tu wszystkie dziury. Obejdiesz podwórko, podejdziesz do naszych drzwi, zapukasz i spytasz: „Śpi dziecię?”. Ja ci odpowiem: „Śpi!”. To ty powiesz: „Żeby spało, żeby więcej nie płakało”.

Stefek wolno podnosił łyżkę do ust.

– Powtórz teraz, żebyś nie zapomniał! No, mów!

– Śpi dziecię? Żeby spało, żeby więcej nie płakało!

– Dobrze, Stefuś. Musisz tak trzy razy oblecieć i za każdym razem to samo mówić. Powtórz jeszcze raz, żebyś lepiej zapamiętał.

– Śpi dziecię? Żeby spało, żeby więcej nie płakało!

– No widzisz, już umiesz! Zjadłeś? To śmigaj! Tylko uważaj, jak będziesz zeskakiwał z tych komórek w końcu podwórka, co byś sobie nóg nie połamał.

Stefka rozpierała duma, że powierzono mu takie odpowiedzialne zadanie. Starał się, jak mógł. Wdrapywał się na płoty, na daszki, skakał po wielkich kamieniach, stertach gruzu i przez zaledwie kilka chwil obleciał całą posesję.

Pod drzwiami wygłosił formułkę dokładnie tak, jak mu macocha kazała. Drugie okrażenie przebiegło równie składnie.

Po trzecim, kiedy zmordowany stanął na progu, szczęśliwy, że udało mu się pokonać tyle trudności, wydyszał:

– Śpi dziecię?

Marianna odpowiedziała:

– Śpi.

I wtedy palnął:

– Żeby spało, żeby więcej nie wstało!!!

– Stefek, łobuzie, coś ty narobił! Wszystko popsuleś! Ludzie, trzymajcie mnie, bo zabiję tego gamonia!

Rozpętała się burza. Marianna lamentowała głośno, że takie nieudane odczynianie jak nic do reszty dziecku zaszkodzi. Sąsiadki, które stały koło drzwi i pilnie wszystko obserwowały, zaczęły jedna przez drugą gadać, jak okropne mogą być skutki tego, co się stało. Chłopak tylko dzięki wyjątkowej zwinności umknął przed ojcem, który chciał mu spuścić tęgie lanie. Hałas słychać było na pół Jagiellońskiej.

A kiedy emocje opadły i zrobiło się cicho, wszyscy oniemieli. Dziecko pierwszy raz od dawna smacznie spało, nie bacząc na panujący wokół harmider.

Honorka miała już piętnaście lat, lecz wyglądała na więcej. Jej sylwetka straciła dziecięcą kanciastość. Bluzkę z przodu rozpychały dwie zgrabne wypukłości, rude włosy nabrały ciepłego połysku świeżo spadłych kasztanów, piegi zbladły nieco. Była dość wysoka i zgrabna. Poruszała się lekkim, trochę tanecznym krokiem.

Nadal służyła u państwa Jasińskich. Pani była wymagająca i surowa, ale sprawiedliwa. Zapłatę dawała regularnie, a czasem, z okazji świąt lub po większym sprzątaniu, nawet dołożyła parę groszy. Pana Jasińskiego Honorka prawie nie widywała, tyle co czasem z daleka w salonie albo przedpokoju. Był wysoki, szczupły i zawsze chodził elegancko ubrany. Miał około pięćdziesiątki. Do żony, dzieci, a nawet do służby zwracał się łagodnym głosem. To pani rządziła domem, dyrygowała ludźmi i czuwała, by wszystko działało jak w zegarku.

Honorka czasem rzucała na pana ukradkowe spojrzenia. Wydawał jej się bardzo pięknym mężczyzną, choć nie był już młody. Dziwiła się nawet, że ożenił się z taką brzydką kobietą. Od kucharki dowiedziała się, że pani jest sporo młodsza od pana i pochodzi z bogatej rodziny, więc może dlatego wziął ją za żonę.

Dziewczyna przywykła do nigdy niekończącej się roboty. W codziennym kieracie powoli zapominała o dziecięcych marzeniach, w których, pięknie ubrana, tańczyła na scenie, a wszyscy podziwiali jej smukłą sylwetkę i zgrabne ruchy.

Któregoś dnia do kuchni wszedł pan. Zaczął o czymś mówić kucharce, gdy jego wzrok zatrzymał się na odkrytych ramionach Honorki, która stała przy balii i prała ścierki. Dla wygody zdjęła bluzkę. Pod luźną koszulą widać było zarys piersi, niezbyt dużych, ale jędrnych, ze sterczącymi sutkami. Pan chrząknął i odwrócił głowę. Jednak kucharka zdążyła dostrzec w jego oczach błysk. Kiedy wyszedł, popatrzyła na dziewczynę i ze współczuciem pokiwała głową.

– Młoda jesteś, trochę za młoda na to, co cię czeka.

– A co mnie czeka?

– Niedługo pan cię wezwie do gabinetu i będziesz miała... niespodziankę.

– Jaką?

– Co ci będę mówić, sama zobaczysz! Mogę tylko powiedzieć, że tu prawie każda tak miała.

– Ale co? Co takiego?

– Przyjdzie pora, to się dowiesz!

Długo nie trzeba było czekać. Któregoś dnia pani poszła odwiedzić siostrę. Ledwo drzwi się za nią zamknęły, pokojówka wpadła do kuchni.

– Honorka, do pana! Szybko!

Pod dziewczyną ugięły się nogi. Czego może chcieć od niej pracodawca? Czyżby coś przeszkobała? Ze spuszczonego wzrokiem, cichutko wsunęła się do gabinetu i zatrzymała przy drzwiach. Pan siedział za wielkim biurkiem.

– Jak masz na imię? – Usłyszała miły głos mężczyzny.

Rzuciła w jego kierunku spłoszone spojrzenie. Zobaczyła uśmiechniętą twarz i oczy błyszczące za złotymi binoklami.

– Honorata, proszę pana.

– Podejdź bliżej, Honorciu, nie bój się. Chciałbym z tobą porozmawiać, dowiedzieć się czegoś o tobie, o twojej rodzinie. Ile masz lat?

– Piętnaście, proszę pana.

Twarz pana Benedykta trochę się zasępiła.

– Piętnaście, mówisz. A myślałem, że jesteś starsza. Nie szkodzi, niedojrzałe owoce mają oryginalniejszy smak.

Ostatnich słów Honorka nie zrozumiała. Przez głowę przelatywały jej różne przypuszczenia, jednak w żaden sposób nie mogła się domyślić, o jakie owoce może panu chodzić.

– A umiesz ty czytać?

– Umiem.

– Pisać też?

– Tak, proszę pana.

– A co lubisz robić?

Policzki Honorki oblał rumieniec. Oczy pana Benedykta błysnęły. Ładna bestyjka, pomyślał.

- No powiedz, nie wstydź się!
- Lubię, jak grają.
- Jak grają! Aha! To zaraz coś sobie zagramy.

Podszedł do patefonu, zakręcił korbką i po chwili z wielkiej tuby popłynęła słodka, nastrojowa melodia.

- Podoba ci się?
- Bardzo!
- To posłuchaj sobie. Jak ta płyta się skończy, nastawimy następną.

Honorka zapomniała o bożym świecie. Przymknęła oczy, na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Powoli zaczęła się poruszać w rytm muzyki. Pan Benedykt patrzył zaskoczony. Czuł, jak ogarnia go podniecenie, ale nie chciał przerywać dziewczynie. Czekał. Był smakoszem. Wiedział, że odwlekanie przyjemności zaostreza apetyt.

Kiedy muzyka umilkła, Honorka otworzyła oczy i z przestachem spojrzała na pana. Uśmiechał się.

- Tańcz, dziecinko, tańcz, podoba mi się, jak tańczysz!

Następna melodia była żywsza i rytmiczniejsza. Dziewczyna zaczęła się poruszać trochę śmieiej. Pan Benedykt zbliżył się do niej i objął ją delikatnie. Spłoszona Honorka otworzyła oczy i zobaczyła twarz pana tuż obok swojej. Zawstydzona, przymknęła powieki. Prowadził ją w rytm sentymentalnego tanga. Honorka pierwszy raz tańczyła z mężczyzną. Ich ciasno splecione ciała kołysały się zgodnie. Działo się z nią coś niezwykłego. Znow zamknęła oczy, czuła zamęt w głowie, traciła oddech, siły ją opuszczały.

Nagle miała wrażenie, że unosi się do góry. To pan wziął ją na rękę, półprzytomną, i ostrożnie położył na wielkiej skórzanej kanapie. Jeszcze brzmiała upojna muzyka, jeszcze kołysał ją taniec, gdy poczuła błędzące po ciele ręce mężczyzny. Delikatnie dotykały jej tajemnych miejsc. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Zabolało, aż cicho jęknęła. Pan położył palec na jej ustach i wprost do ucha wysapał:

- Cicho, cicho.
- Po chwili znowu usłyszała jego szept:
- Powiedz, dobrze ci?
- Jak w niebie, proszę pana. Tylko bardzo mnie boli!
- Poczekaj chwilkę, wytrzymaj, zaraz przestanie, zobaczysz!

Kiedy wychodziła z gabinetu, pan Benedykt – bardzo dobry pan Benedykt, uśmiechnął się do niej.

– Honorciu, pamiętaj, żebyś nie rozpowiadała o tym, co tu robiliśmy. Nikomu ani słowa. A tu masz, kup sobie cukierków.

Włożył do jej ręki monetę i pogłaskał potargane włosy dziewczyny.

- Przyjdiesz jeszcze posłuchać muzyki?

Spuściła oczy i wybiegła z gabinetu.

Kiedy wróciła do kuchni, kucharka popatrzyła na nią z politowaniem.

– No i co? Już wiesz, jaką to niespodziankę pan dla ciebie uszykował. Ogarnij się teraz trochę, popraw warkocze, umyj twarz zimną wodą, bo czerwona jesteś jak burak.

Od tego dnia Honorcka żyła jak we śnie. Wciąż przypominała sobie chwile, gdy pan robił z nią te dziwne rzeczy.

Po powrocie do domu szybko kładła się spać, niewiele mówiła, nawet Stefkowi przestała dokuczać. Marianna zauważyła zmianę w jej zachowaniu. Pomyślała z ulgą, że dziewczyna wreszcie dorośleje.

Kiedy pani na dłużej wychodziła z domu, pan wzywał Honorckę do gabinetu. Dziewczyna biegła jak na skrzydłach. Lubiła głos, słowa, które jej szeptał, ręce błądzące po ciele i wszystko, co z nią robił. Jej wcześniej rozbudzone ciało reagowało na każdy jego dotyk, każde muśnięcie. Życie, dotąd monotonne, od świtu do nocy wypełnione pracą, nabrało nagle barwy i smaku. Cieszyła ją każda chwila spędzona z panem Benedyktem.

Nie wiedziała, biedaczka, że nad jej głową zbierają się czarne chmury. Kucharka widziała, co się z nią dzieje. Popatrywała z politowaniem na rumieńce, szczęśliwe oczy, potargane warkocze i wreszcie któregoś dnia nie wytrzymała i poszła do pani.

– Proszę pani, długo tu już jestem, pani jest dla mnie dobra, to chcę powiedzieć, że z Honorcką może być kłopot.

– Co to znaczy, że może być kłopot?

– Ano to, że pan patrzy na nią nie tak, jak trzeba.

– Co wy mówicie, Marcinowa? To przecież jeszcze dziecko.

– Dla kogo dziecko, to dziecko, niech się pani jej przyjrzy. Ostatnio jest nie do poznania, oczy jej się świecą i kuprem kręci jak jaka latawica!

– Co ty mówisz, chyba coś zmyślasz!

– Powiedziałam, co widziałam, mam czyste sumienie, a co pani robi, to już nie moja sprawa.

Jeszcze tego samego dnia, bez niepotrzebnego gadania, pani wymówiła Honorce. Wypłaciła zaległą zapłatę i przykazała nie pokazywać się więcej na oczy.

Dziewczyna, płacząc, szła wolno do domu. Myślała, co powie macosze, jak się wytłumaczy. Będzie gderania co niemiara, że leń, że nawet do służby się nie nadaje. Poużywa sobie na niej macocha. A pan? Kochany pan Benedykt! Czy zobaczy go jeszcze kiedy?

Marianna stała przy kuchni i mieszała gotującą się w garnku zawieszoną zupę. Znów była w ciąży. Duży brzuch sterczał spomiędzy fałd spódnicy. Felcia, która ledwo nauczyła się chodzić, kurczowo trzymała się matczynego fartucha. Wielkimi, czarnymi oczami popatrzyła na Honorkę, która z butną miną stała blisko drzwi.

– Wymówili ci? Dlaczego? Za co? Musiałś porządnie przeszkrobać! Mów, co tam zmalowałaś. Leniłaś się? A może, nie daj Boże, co ukradłaś?

– Nie! Nie! Nic nie ukradłam! Nie wiem, co się stało, chyba za dużo służby mieli, a ja najmłodsza, to na mnie padło.

– Za dużo służby? Za dużo służby! Już ja cię znam! Wiem, że z ciebie ladaco i nic dobrego. Dosyć mieli takiego lenia! Mnie tam nigdy nikąd nie wyrzucili, ale uczciwie pracowałam. A ty? Ja ci dam! Popamiętasz, jak trzeba robotę szanować.

Głos Mani przeszedł w krzyk. Chwyciła dyscyplinę. Nim jednak rzemyki dosięgły grzbietu Honorki, dziewczyna uskoczyła w bok.

– Nie bij mnie, nie bij, bo pożałujesz!

– Ja pożałuję, ja? Ty ścierwo! Jeszcze będziesz mi się tu stawiać?

Biegała za Honorką dokoła stołu, jednak wydatny brzuch utrudniał ruchy. Dziewczyna dopadła drzwi i wypadła na podwórko. Marianna pogroziła jej pięścią.

– Zobaczmy, co ojciec powie, jak wróci. Zobaczmy!

Honorka odwróciła się i z bezpiecznej odległości zawołała, wykrzywiona:

– A zobaczymy, zobaczymy!

Pobiegła ulicą prowadzącą do kolei. Pomyślała, że spotka ojca i powie mu o wszystkim, nim macocha go nabuntuje. Przechodząc koło domu państwa Jasińskich, spojrzała tęsknie w okna gabinetu. Wydało jej się, że za firanką widzi pana Benedykta. Zaczęła płakać. Łzy leciały po policzkach i kapały na bluzkę. Dobiegła do przejazdu kolejowego i otarła oczy. Czekala kilka minut, wreszcie zobaczyła wysoką postać ojca. Wyróżniał się wzrostem wśród idących pracowników. Popatrzył na nią zdziwiony.

– Co ty, Honorka, nie w robocie?

– Tato, wyrzucili mnie ze służby. Macocha chciała mnie zbić, ledwo jej uciekłam. Już nie mogę z nią wytrzymać. Ciągle ma do mnie jakieś żale. Nie wrócę do domu. Poszukam sobie innej roboty, a mieszkać będę u Blichowej. Chyba się zgodzi! Stara jest, to będę jej pomagać.

– Dziecko, ty nawet szesnastu lat nie skończyłaś. Twoje miejsce przy nas, w domu. Przydasz się do pomocy. Matka niedługo urodzi, Felcia jeszcze mała, a tego, co zarobię, Bogu dzięki, na chleb wystarczy. – Franciszek rozgadał się jak rzadko.

– Ale ona wciąż z łapami do mnie leci. Nie ścierpię tego dłużej.

– Coś ty taka harda? Matka po to jest, żeby wbijać rozum z tyłka do głowy.

– Tatusiu, pozwól mi! – Policzki Honorki poróżwiały. – Za twoim

przyzwoleniem czy bez, i tak się z domu wyniosę.

Franciszek milczał, no bo co tu mówić. Ma dziewczyna charakterek. Po kim ona taka? I co na to powie Manieczka? Ot, ciężka sprawa.

– Pogadamy z matką, pomyślimy i zobaczy się, co dalej.

Honorka prychnęła.

– Matka, matka! Jaka ona matka, to macocha! Moją matkę pamiętam. Była dobra, cicha i nigdy mnie nie biła.

– Dosyć już, nie gadaj. Idziemy do domu.

Dziewczyna niechętnie ruszyła za nim.

Marianna miała porywczą naturę. Robiła się coraz podobniejsza do swojej matki; tak jak Waleria, nim pomyślała, chwytła za kij. Wybuchła gniewem, wykrzykiwała coś bez zastanowienia, a po paru chwilach wszystko mijało i nieraz nawet żałowała swej gwałtowności. Gdy Franio z Honorką stanęli w drzwiach, zdążyła się uspokoić. Na stole stały talerze pełne kapuśniaku.

– Siadajcie do jedzenia, bo wystygnie.

– Manieczku, Honorka myśli wyprowadzić się od nas. Chce u Blichowej mieszkać.

– Najpierw zjedzmy spokojnie, bo nam się kapuśniak w brzuchach zapiecze, a potem pogadamy.

Przeżegnała się. Franciszek potulnie wziął łyżkę do ręki. Gdy Honorka zaczęła zmywać talerze, Marianna usiadła naprzeciw męża.

– Po mojemu to nie wypada, żeby taka smarkata wynosiła się z domu. Ma co jeść, ma gdzie spać, czego jej brakuje?

Honorka podeszła bliżej. Oczy miała spuszczone, a ręce zaciśnięte w pięści. Nic nie mówiła. Marianna spojrzała na nią spod oka i już całkiem spokojnie powiedziała:

– Za niecały miesiąc dziecko na świat przyjdzie. Przydasz się w domu. Tylko zachowuj się porządnie, jak przystoi takiej dużej dziewczynie, bo inaczej tatko ci pokaże, gdzie raki zimują.

Honorka kiwnęła głową na znak, że się zgadza. Mała Felcia oparła się o jej kolana i coś po swojemu zagadała. Dziewczyna wzięła ją na ręce i przytuliła.

Franciszek odetchnął z ulgą. Burza została zażegnana.

W maju Marianna urodziła córkę. Czy Pan Bóg uparł się, żeby ją do reszty pognać? Znowu dziewczucha!

Urodziła szybko. Dziecko było drobne i niewiele ważyło, ale wyglądało zdrowo i głos miało donośny. Kiedy Mania trochę odsapnęła, popatrzyła na męża.

Klęczał przed obrazem i modlił się żarliwie.

– Franiu, to znowu dziewczyna!

– Ano dziewczyna. I dobrze! Najważniejsze, że zdrowa! Wszystko ma, jak trzeba, i ręce, i nogi, i głowę. Podziękowałem Bogu za tyle łaski. Przecież nie jesteśmy już młodzi, a dzieci nam się rodzą jak malowane. I jeść mamy co. Tylko Bogu dziękować!

Marianna po urodzeniu Wandzi, tak dała na imię młodszej córce, długo nie mogła dojść do siebie. Akuszerka przychodziła co parę dni, dawała jej różne mikstury, masowała brzuch, lecz niewiele to pomagało. Dopiero po jakichś dwóch miesiącach poczuła się trochę lepiej, nie na tyle jednak, by wojować z pasierbicą, która nie wytrwała długo w roli przykładowej córki.

Honorkę znów zaczęło nosić. Szukała tylko pretekstu, by wyrwać się z domu – a to do sklepu, a to do kościoła. Jednak najczęściej załatwiała szybko sprawy i biegła pod dom pana Benedykta. Stawała za grubym pniem drzewa, rosnącego po przeciwnej stronie ulicy, i wpatrywała się w okno gabinetu. Czekwała cierpliwie, że może za gęstą firanką mignie sylwetka pana. Ale dom zdawał się pusty, zasłony były pozaciągane, furtka zamknięta.

Którejś letniej, upalnej niedzieli, po kolejnym bezskutecznym wyczekiwaniu pod domem państwa Jasińskich, Honorka ruszyła powoli przed siebie. Szła noga za nogą, bo do czego miała się śpieszyć? Do prania pieluch, gotowania i wiecznego gderania macochy? Zamyślona, skręciła w ulicę prowadzącą do kościoła. Minęła dopiero co wybudowany sejmik powiatowy. Sąsiadki opowiadały, że kiedy robotnicy kopali dół pod fundamenty, znaleźli ludzkie kości. Bała się tamtędy wieczorami chodzić, ale teraz było widno, więc szła spokojnie. Nie zastanawiała się, którą i dokąd idzie. Jej myśli wciąż krążyły wokół pana Benedykta.

Doszła do wąziutkiej uliczki Podrzecznej, która prowadziła wprost do przystani nad rzeką, i po nierównych kamieniach zeszła nad samą wodę. Zdziwiła się, że tyle tu narodu. Jedni pływali w łodziach i kajakach, drudzy siedzieli przy rozstawionych pod gołym niebem stolikach i popijali jakieś napoje.

Jak to jest, pomyślała, ci tutaj mają czas i pieniądze, żeby przyjemnie go spędzać, a inni wciąż muszą się komuś wysługiwać i za psi grosz tyrać.

Ruszyła ścieżką w górę rzeki, oddalając się od tego hałaśliwego miejsca. Otoczyła ją cisza, słyszała tylko szmer wody, szum liści i świergot ptaków. Zasłuchiwała się w te miłe odgłosy i nie zauważyła, że jeden z kajaków z cichym pluskiem podpłynął do samego brzegu, tuż obok niej.

– Zobacz, jaka nimfa krąży wśród nadbrzeżnych traw.

– No, no, niczego sobie!

– Do czego to podobne, żeby taka ładna dziewczyna była taka smutna.

– I taka samotna!

Obejrzała się. W kajaku siedziało dwóch młodzieńców. Leniwie poruszali

wiosłami. Ich zaczepki najwyraźniej były skierowane w jej stronę.

– Ślicznotko, a może popływasz z nami?

– Chodź do nas, przekonasz się, jak tu miło i chłodno.

Honorka wzruszyła ramionami i szła dalej tym swoim lekkim, jakby tanecznym krokiem. Jej miedziane włosy lśniły w słońcu, wiatr tarmosił spódnicę, podnosząc od czasu do czasu brzeg aż ponad kolana dziewczyny, bluzka ciasno opinała kształtne piersi. Chłopcy nie mogli od niej oczu oderwać.

– Nie daj się prosić, wsiądź do kajaka.

– No chodź, przecież cię nie utopimy.

– A jeśli nawet, to my razem z tobą. Utoniesz w miłym towarzystwie!

– Bronek, nie strasz panienki, jeszcze uwierzy w te głupstwa.

– Zapraszamy!

– Chodź, dziewczyno, nie bądź taka nieubłagana!

Gadali jeden przez drugiego, ich naleganiom nie było końca. Zarumieniła się. Ale właściwie dlaczego by nie? Przecież zawsze marzyła o takiej przejażdżce. Widząc, że się zawahała, młodzieńcy wyciągnęli do niej ręce.

– Chodź, chodź, tylko ostrożnie, żeby kajak się nie przechylił.

– Trzymaj się, bo wpadniesz do wody! Uważaj!

– Dobrze! Tutaj postaw nogę. Hop! Świetnie! Siedzisz już? A wygodnie ci? Skinęła głową.

– Bronek jestem, a ten zuch to Paweł. – Rosły chłopak o niebieskich jak niebo oczach dokonał prezentacji.

– A ty jak masz na imię?

– Honorata.

Paweł, czarnowłosy i trochę drobniejszy, zanucił znaną piosenkę, tylko trochę zmienił słowa:

– Honoratko, godna uwielbienia,

Honoratko, nie bądź ty z kamienia,

Koło mnie siądź, mą lubą bądź...

– To ja już wsiądę, muszę już do domu!

– Chyba żartujesz, nasza podróż dopiero się zaczyna.

– Ale ja naprawdę muszę wracać!

– No dobrze, dopłyniemy do tamtego drzewa i wtedy wrócimy, zgoda?

Honorka kiwnęła głową. Czuła się tak cudownie. Kiedy dopłynęli do drzewa i chłopcy nie zawrócili, nie zaprotestowała. Była w siódmym niebie. Pierwszy raz płynęła kajakiem, nie wiedziała, że to takie przyjemne. Kiedy wreszcie dotarli do przystani, nowi znajomi zaproponowali, by pójść razem na lemoniadę. Nie chciała, ale dotąd ją przekonywali, dotąd zachwalali smak tutejszych napojów, aż wreszcie uległa namowom. Lemoniada rzeczywiście była bardzo dobra. Szumiały w niej bąbelki śmiesznie szczypiące w język.

– Teraz napijemy się innej lemoniady, jeszcze smaczniejszej.
Kelner przyniósł trzy kieliszki wypełnione rubinowym płynem.

– No, panno Honorko, do dna!

– Za nasze spotkanie!

Dziewczyna upiła mały łyżeczek i stwierdziła, że ta nowa lemoniada szczypie w język w całkiem inny sposób. Kelner przynosił kolejne kieliszki, a Honorka piła i piła... Po niedługim czasie świat wokoło zaczął wirować, znikły wszystkie smutki, śmiała się beztrudno i radośnie. Zaczęła śpiewać jakąś piosenkę. Czuła się szczęśliwa, prawie jak wtedy, gdy obejmował ją pan Benedykt.

W pewnej chwili zapytała:

– Ciekawe, która to też może być godzina? Ja już naprawdę muszę do domu!
Broniek spojrział na zegarek i pod stołem kopnął kolegę w kostkę.

– Jeszcze wcześniej, chyba koło piątej.

– Piąta, o, to całkiem wcześniej. Do wieczora daleko. Ale słońce tak jakoś nisko świeci. Oj, chyba mnie panowie nabierają. Taka jestem słaba, jakby mi nogi odjęło. Jak ja do domu dojdę?

Śmiała się rozbijając. Rozchylone w uśmiechu czerwone usta ukazywały białe ząbki. Lekko zamglone oczy i niedbała poza wskazywały, że dziewczyna nie całkiem nad sobą panuje. Młodzi ludzie popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Nie martw się, Honorka, odwieziemy cię fiakrem do domu.

Dziewczyna zaśmiała się serdecznie.

– Cha, cha, cha, a to się macocha zdziwi, jak mnie zobaczy z panami we fiakrze.

W dorożce Paweł i Broniek posadzili ją między sobą i podtrzymywali z obu stron. Bawiło ich, że Honorka kiwa się raz w lewo, to znów w prawo. Widzieli jej przymknięte oczy, a przez cienki materiał bluzki czuli gorące ciało dziewczyny. Ogarnęło ich podniecenie. Honorka sennym głosem nuciła jakąś melodię. Paweł bawił się rudym warkoczem, Broniek głaskał delikatnie jej kolano. Nie protestowała. Potem, głośno przełykając ślinę, dotknął jej piersi. Dłoń objęła twardą krągłość, palce poczuły sterczącą brodawkę. Dziewczyna drgnęła, zamruczała cicho i leniwym ruchem rozchyliła uda.

– Broniek, jedziemy do mnie. Rodziców nie ma, pojechali do ciotki.

– Dobrze! Jedźmy!

Dorożka zatrzymała się w willowej dzielnicy przy domu Pawła Pulińskiego. Chłopcy wzięli Honorę pod ręce i pół ją prowadząc, pół niosąc, weszli z nią do środka. Położyli dziewczynę na wielkim łożu w sypialni.

– Broniek, tylko czy nie będzie z tego jakiej draki?

– E! Dlaczego ma być draka, chyba nikt nie widział, jak wchodziliśmy. A przecież ona sama chciała tu przyjść, nikt jej siłą nie zmuszał. Popatrz tylko, jaka jest rozpalona! Ja zresztą też! Pozwoli nam na wszystko! Mów tylko szybko, który

pierwszy, ty czy ja?

Zaczynało szarzeć, gdy Honorka ocknęła się z ciężkiego snu. Otworzyła oczy. Leżała w nieznanym pokoju, obok niej ktoś cicho posapywał przez sen. Z drugiej strony też spał jakiś mężczyzna. Co za licha! Skąd się tutaj wzięła? Uniosła głowę. Jęknęła. Ból rozsadzał jej czaszkę. W ustach czuła suchość i okropny niesmak. Poruszyła się ostrożnie, a wtedy jeden ze śpiących zamruczał przez sen:

– Śpij, Paweł, śpij, jeszcze wcześniej!

Paweł? Coś zaczęło świtać w jej zamroczonym umyśle. Paweł! Paweł i Broniek! Przypomniała sobie kajak, lemoniadę, ale co było dalej? Czym ją spoił? Ostrożnie, żeby nie pobudzić śpiących, podniosła się z łóżka. Z przerażeniem zobaczyła, że jest goła, jak ją Pan Bóg stworzył. Po omacku odszukała ubranie, szybko je włożyła i przygładziła włosy. Wolno, dotykając ścian i mebli, odnalazła jakieś drzwi, otworzyła je i wyszła na taras.

Niebo od wschodu zaczynało jaśnieć. Po kilku schodkach zeszła do ogrodu. Owionął ją słodki zapach maciejki. Honorka ostrożnie stąpała po ścieżce, wilgotnej od rosy. Doszła do furtki i popchnęła ją delikatnie. Furtka uchyliła się z lekkim skrzypnięciem. Wyszła na pustą ulicę. Chwała Bogu, знаła to miejsce, to willowa dzielnica za rzeką.

Ruszyła szybko, kierując się w stronę domu. Zaczęła biec. Ogarnęło ją przerażenie! Co to będzie? Jak wytłumaczy, że nie nocowała w swoim łóżku? Znowu czeka ją awantura i lanie. Tym razem ojciec też nie będzie miał dla niej wyrozumienia.

Ha, trudno! Ale co sobie użyła, to użyła! Kajak, lemoniada i chłopcy. Na samo wspomnienie przeszedł ją dreszcz. A może tak wrócić do nich, może z nimi zostać? Którego by wolała? Broniek przystojniejszy, choć Pawłowi też nic nie brakuje. O czym ona myśli, co za głupoty przychodzą jej do głowy! To bogaci panicze i żaden przecież się z nią nie ożeni. Ale i tak nawet bez ślubu miałyby z nimi lepiej niż w domu. Tylko jakby nie była żoną, to kim?

Wszystko to przemknęło jej przez głowę w czasie krótkiej drogi do domu. Dom! Tylko ojciec i mała Fela liczyli się dla niej, no, może jeszcze Stefek, choć to wredny, głupi smarkacz. Zapomniał o matce, a Mariannę traktował jak rodzoną!

A może nie wracać?

Ale co robić, gdzie się obrócić, dokąd pójść? Niezdecydowana Honorka ruszyła w stronę stacji kolejowej. Może spotka ojca, jak będzie szedł do roboty. Tylko co mu powie? Że całą noc bradziażyła z nieznanymi chłopakami? Najlepiej, jak usiadzie na ławeczce pod dworcem i spokojnie pomyśli.

Chyba trochę się zdrzemnęła. Nagle, jakby z oddali, usłyszała

wypowiedziane przez kogoś swoje imię. Otworzyła oczy. Stał przed nią pan Benedykt.

– Honorciu, co ty tu robisz? Śpisz? Tutaj, na ławce? Sama, o tej porze?

Dziewczyna nie mogła wydusić słowa, tylko oczy jej zalśniły radością.

– Dawno cię nie widziałem. Tęskno mi za tobą i twoim słodkim ciążeczkiem.

– Ja też, też tęskniłam – wyjąkała wreszcie.

– Doprawdy? A co ty tu właściwie robisz?

– Uciekłam z domu. Tam jest piekło! Już do nich nie wrócę!

– Hm, nie wrócisz. To co zamierzasz?

– Jeszcze nie wiem – i nagle wpadło jej do głowy: – Może pojedę do Warszawy. Słyszałam, że tam łatwiej o robotę.

– Hm... – Pan Benedykt znowu chrząknął. – Do Warszawy, mówisz? A znasz tam kogoś, masz gdzie zamieszkać? Nie chcę cię straszyć, ale w Warszawie o pracę też nie jest łatwo, zwłaszcza jak się nie ma znajomości.

Honorka posmutniała.

– Czy ty dobrze robisz? Taka młoda jesteś. Nie dasz sobie rady!

– Dam, dam. Muszę! – W jej głosie słychać było stanowczość.

– Ale, ale, wiesz ty co? W Warszawie mieszka mój przyjaciel, pan Bolesław. Możesz u niego trochę pobyc, na pewno się zgodzi, a potem pomyślimy, co dalej z tobą zrobić.

Pan Benedykt wyjął z pugilaesu banknot, rozejrzał się i dyskretnie podał dziewczynie.

– Kup sobie bilet i jak przyjedzie pociąg, wsiądź do wagonu. Spotkamy się na dworcu w Warszawie, ja też tam jadę.

Oddalił się pośpiesznie i gdyby nie pieniądze, które ścisnęła w dłoni, pomyślałaby, że to sen.

Jechali dorożką ruchliwymi ulicami Warszawy ramię przy ramieniu. Honorka siedziała sztywno, jakby kij połknęła. Pierwszy raz widziała takie wysokie domy i tyle sklepów. Głośno trąbiły samochody. Po chodnikach w jedną i drugą stronę szli ludzie, niektórzy bardzo pięknie ubrani. W Skierniewicach nawet na niedzielnej mszy nie widywało się takich elegantów. Honorka była zachwycona. Pan Benedykt spoglądał na nią spod oka. Wydoroślała przez ostatnie tygodnie. Wydała mu się jeszcze ładniejsza.

Boleś, z którym pana Benedykta od lat łączyły interesy i upodobanie do płci pięknej, zajmował kilkupokojowe mieszkanie przy Senatorskiej. Piastował w ministerstwie wysokie stanowisko, zadowolające jego zawodowe ambicje i przynoszące spore dochody. Od paru lat był wdowcem, żona zmarła nagle na atak serca, dzieci nie mieli. Dbała o niego stara gospodyni, Kordula, która służyła

jeszcze u jego rodziców.

Nie chciał się żenić ponownie, choć lubił płęć piękną. Przez jego mieszkanie przewijały się panny, mężatki i wdowy, a czasem nawet dziewczyny uliczne. Ten niewysoki, czterdziestopięcioletni blondyn nie grzeszył wprawdzie urodą, ale kobiety lgnęły do niego. Miał do nich podejście. Umiał je zdobywać delikatnym sposobem bycia, kwiatami i upominkami.

Tego poniedziałku pan Bolesław nie poszedł do pracy. Czekał na przyjaciela. Lubiał jego wizyty. Wiedział, że po załatwieniu urzędowych spraw rzucą się razem w wir rozrywek i uciech, z których pan Benedykt korzystał do woli, ilekroć udało mu się wyrwać spod twardej kurateli żony.

Pan Bolesław zdziwił się trochę, zobaczywszy w drzwiach przyjaciela w towarzystwie rudowłosej dziewczyny.

– Witaj, mój drogi Beniu, dzień dobry pani! – przywitał wchodzących z właściwą sobie galanterią. – Czyżbyś dziś nie miał żadnych spraw do załatwienia? Od razu zaczynamy?

– Witaj, stary przyjacielu! Wszystko będzie jak zwykle, a to jest sierotka, którą trzeba się zaopiekować!

– Sierotka! Dlaczego nie! Niczego sobie ta sierotka. Jestem do dyspozycji. Moje mieszkanie też. Wchodźcie, wchodźcie. Kordula! Migiem! Herbata i coś do jedzenia. A ty opowiadaj.

– Chciałbym, żeby Honorka pomieszkała u ciebie jakiś czas.

– Taka ładna dziewczyna może zostać, jak długo zechce.

Aż pokraśniała od tych słów i spojrzeń pana Bolesia. Przez chwilę zapomniała nawet, że musi natychmiast iść do ubikacji, a wstydziła się spytać, jak tam trafić.

Sytuację uratowała Kordula, która wniosła zastawioną smakołykami tacę. Rzuciła okiem na dziewczynę i zobaczyła młodziutkie, trochę wystraszone stworzenie. Różne tu bywały, ale takiej młodej jeszcze nie widziała. Toż to prawie dziecko. Co ci panowie sobie wyobrażają, że wszystko im wolno? Żal jej się zrobiło tej małej.

Gospodyni nie mogła się pogodzić z rozpustnym życiem swego chlebodawcy, musiała jednak przywyknąć do szwendających się po mieszkaniu coraz to innych kobiet, bo gdzie mogłaby się podziać na stare lata, a poza tym знаła pana Bolesia od urodzenia i była do niego przywiązana jak do własnego syna.

– Chodź, dziecko, ze mną, odświeżysz się trochę po podróży – powiedziała do Honorki.

Marianna stała przy stole i zagniała ciasto na pierogi. Naprzeciw siedziała Zofka. Przychodziła często, aby się pożalić na swój marny los. Lżej jej się trochę

od tego robiło. Przez łzy opowiadała, że Władek pije coraz częściej, nawet rzeczy z domu wynosi, żeby wódki kupić. Poprzedniego dnia sprzedał za bezcen dwa taborety, ostatnie, jakie w domu były. Teraz będą jedli, jeśli w ogóle będą mieli co jeść, stojąc przy stole, który tylko dlatego ocalał, że miał urwaną nogę, a dla równowagi został podparty kołkiem.

– Mówię ci, moja Maniu, nędza taka, że już mi się żyć nie chce. Tyram, jak mogę, każdą robotę łapię, nawet najcięższą. Żeby ten Władek choć trochę się ustatkował, żeby parę groszy zarobił! Przecież kiedyś to był dobry chłop, ale wdał się w wódkę. Co ta gorzała z ludzi robi! Ty, Maniu, masz szczęście! Franciszek to taki porządny człowiek, pieniądze przynosi, do kieliszka nawet nie zajrzy – mówiąc, wzdychała głęboko i rogiem zawiązanej na głowie chusteczki ocierała oczy.

– Widzisz, Zofka, każdy ma swój własny krzyż. Ja nie narzekam na Frania, bobym zgrzeszyła, ale z Felcią ciągle kłopot. Te skrofuły nie chcą się zagoić. Przykładam, czym mogę. Odżywiam ją masłem, kiełbasą, rosółki gotuję. Sama widzisz, jak ta dziecina wygląda.

– A próbowałaś słoniną okładać?

– Próbowałam. Nie pomaga. Najgorszy jest ten na brodzie, bo kompres ciągle się zsuwa. Nie wiem, co będzie z tym dzieciakiem. Ciągłe płacze, bo przecież bolą ją te wrzodziska. Na dodatek Honorka znikła! Latawica jedna, nie wiedzieć gdzie ją poniosło. Od niedzieli już jej nie ma. Pytaliśmy w różnych miejscach, ale nikt nic nie wie, nikt jej nie widział. Jutro Franuś do pracy nie idzie, to pojedzie do Walentego, do Radziwiłłowa. Parę lat temu, jak uciekła, to do niego pojechała. Może teraz też tam jest? Kara boska z tą dziewczyną. Co z niej będzie? Leń! Nawet ze służby ją wyrzucili. Popatrz, Stefek spokojny, pracowity, majster go chwali, że do roboty zdolny, a z nią ciągle utrapienie. Jednych rodziców dzieci, a takie inne!

– Może jeszcze Honorcia wyrośnie z tej głupoty, może zmądrzeje!

– Przecież ona ma już szesnaście lat. Pora na rozum! Gdzie to się włóczy? Franuś się martwi, aż mi go żal! Jak się to ladaco odnajdzie, trzeba będzie ją za mąż wydać i to za chłopca fest, co ją w ryzach utrzyma! Może wtedy przestaną jej głupstwa po głowie chodzić.

– Byle tylko na takiego jak Władek nie trafiła.

– No, może Bóg ustrzeże!

– Pójdę już, Maniu, muszę jakiejś zupiny ugotować, tylko z czego?

Franciszkowa popatrzyła na pomarszczoną twarz i zapadnięte policzki sąsiadki. Gdzie się podziała ta wesoła Zofka, która w każdej zabawie rej wodziła!

– A zajdź później do mnie. Jak nalepię pierogów, to weźmiesz trochę dla dzieciaków. A tu masz parę groszy, kup chleba, tylko Władkowi nie dawaj, niech sobie sam zarobi!

– Wiesz, Maniu, jaki on jest. Nie pyta, tylko bierze, nie patrzy, że ostatek zje, a dzieciaki głodne będą! Tylko one, te moje biedne dzieci, trzymają mnie przy życiu. Dobre są i starowne. Polecą do lasu na grzyby, na jagody, po drodze nieraz parę kartofli podbiorą z pola. Ja wiem, że to grzech, ale z głodu człowiek do niejednego jest zdolny. A tych pieniędzy to mi nie pożyczaj, bo nie będę miała z czego oddać.

– Weź, weź, czy ja mówię, że masz oddawać?

– Dobra z ciebie kobieta, Maniu, nie wiem, jak ci dziękować!

Zofka podniosła się z zydła i wolno poszła do drzwi. Wierzchem dłoni ocierała płynące z oczu łzy.

Franciszek siedział przy stole i bezradnie obracał w rękach szarą kopertę. Przed paroma minutami listonosz dał mu ją na podwórkę.

– Szymczak Franciszek to wy?

– Ja.

– Mam tu do was list.

– Nie może być! Do mnie? – powiedział z niedowierzaniem. – Kto mógł do mnie napisać i o czym?

– Jak przeczytacie, to się dowiecie.

„Przeczytacie!”. Łatwo powiedzieć! Trzeba umieć! Franciszek z żalem wpatrywał się w czarne znaczki. Musi poczekać na żonę, ona sobie z tym poradzi. Ostrożnie położył list na stole, podparł głowę rękami i przymknął oczy.

Październik miał się ku końcowi. Słońce świeciło blade, dni były już o wiele krótsze. Zapadał zmierzch, Fela i Wandzia spały, a Stefek jeszcze nie wrócił z warsztatu.

Nagle z impetem otworzyły się drzwi i jak bomba wpadła Marianna. Zawsze szybko chodziła, każdą robotę wykonywała w pośpiechu. Ubrana była w spódnicę do kostek, ciepły kaftan i serdak, który dobrze chronił przed jesiennym chłodem. Głowę jak zwykle przykryła chusteczką, spod której nie śmiała się wymknąć nawet jeden włos. Franuś z czułością popatrzył na krępa, niewysoką postać żony.

– Gdzie ty, Manieczku, byłaś tak długo? Ja tu czekam i czekam, jakaś nowina dla nas jest!

– Pogadałam trochę z tą nową sąsiadką, Pakosiową. Ma malutkie dziecko, dam jej parę ubranek po Wandzi, bo już na nią za małe, a tam u nich bieda, aż piszczy. Nie ma w co dzieciaka odziać.

– A nam to już się nie przydadzą te szmatki?

Franciszek nie śmiał się sprzeciwić żonie, choć nieraz bolało go serce, że szczerą ręką rozdaje ludziom rzeczy, czasem nawet pieniądze. Zastanawiał się, skąd w niej taka rozrzutność. Dawniej nie miała nieraz co do ust włożyć i żal jej

było każdego grosza. A teraz? Cały zarobek jej oddawał, a ona kupowała, kupowała i kupowała, trzeba czy nie trzeba, a potem rozdawała.

Jak zabrakło gotówki, brała u kupców „na książkę”, a wiadomo, że oni w tych książkach wypisują, co chcą, kto wie, ile z sufitu dodadzą. Po wypłacie trzeba było popłacić długi i niewiele zostawało na życie, więc znów kupowała na kredyt. Miał żonie za złe, że tak szasta pieniędzmi, choć bał się nawet słówkiem pisnąć na ten temat. Wiedział, że byłaby wtedy okropna awantura, a tego unikał jak ognia. Ponad wszystko cenił spokój.

– Miej Boga w sercu, Franciszku, już nam nie pora myśleć o następnym dziecku. Tych, co mamy, nie wystarczy? No powiedz, co to za nowina.

Franciszek podał żonie list.

– Zobacz, co tam stoi napisane? Miarkuję, że chyba nic dobrego – powiedział niepewnie.

Marianna popatrzyła na nazwisko nadawcy.

– To od Honorki.

Franuś aż podskoczył na taborecie.

– To znaczy, że żyje! Czytaj, Manieczku, czytaj.

Marianna z trudem zaczęła sylabizować. Z drukowanymi literami radziła sobie zupełnie nieźle, ale list napisany był takimi wygibasami, że ledwo dukała.

– „Ko-cha-ny ta-tu-siu, w pierw-szych słowach mojego listu życzę zdrowia i niech się tatuś o mnie nie martwi. Mieszkam w Warszawie, jest mi dobrze. Później napiszę więcej. Kłaniam się nisko, do samych nówek, ślę całuski dla Feli – Honorka”.

Marianna wybuchnęła złością.

– I to wszystko! To ci dopiero list! A o mnie ta mała zmija nawet nie wspomniała. Nawet o Stefku, bracie rodonym! Nie ma co, nieźle ziółko z tej twojej córunki! I ciekawe, co też robi w Warszawie! Może rogówką została. Bo przecież jakby miała uczciwą robotę, toby się pochwaliła.

– Żyje, chwała Bogu! A przeczytaj jeszcze raz, Manieczku, niech się nacieszę – poprosił Franciszek, jakby nie słyszał słów żony.

Popatrzyła na niego surowym wzrokiem, zmarszczyła brwi i przeczytała ponownie, tym razem trochę płynniej. Twarz męża pojaśniała z radości.

– Będziemy się modlić za nią. Najważniejsze, że żyje! Da Bóg, to i do domu wróci.

– Wróci, wróci – odparła, przedrzeźniając go – jeszcze, nie daj Boże, z bękartem nam się tu na głowę zwali.

Oczy Franciszka przygaśły. Posmutniał. Wziął do rąk kopertę i pogładził ją delikatnie.

– Franiu, jutro bierzemy się do kisenia kapusty. Wiesz, że dłużej nie można z tym czekać, bo Wszystkich Świętych za pasem, a potem to już za późno na taką

robotę. Kapusta kiszona w listopadzie szybko się psuje. Poprosiłam majstra, żeby puścił Stefka trochę wcześniej. Pomoże nam.

– Manieczku, a starczy tej kapusty, co kupiona?

– Beczkę już wyparzyłam, sól jest i kopa kapusty, jak co roku. Będzie na całą zimę.

Następnego dnia Marianna pożyczyła od Kubowej szatkownicę, wtoczyła do mieszkania stojącą w sieni beczkę, pozdejmowała z kapuścianych główek wierzchnie liście. Wszystko było gotowe. Franciszek po powrocie z pracy migiem zjadł obiad i zaraz wziął się do szatkowania. Stefek siedział na stole i dyndał wyszorowanymi do czysta nogami. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pozwolą mu wejść do beczki i deptać.

W końcu Marianna wrzuciła na dno pierwsze garści drobno pokrojonych liści.

– Wskakuj, Stefuś. Tylko porządnie dociskaj, nie żałuj siły. Im lepiej kapusta ugnieciona, tym smaczniejsza.

Kapusty przybywało, a Stefka coraz więcej widać było z beczki. Wreszcie Marianna stwierdziła:

– E, na nic taka robota, wyłaż, Stefek, za lekki jesteś! No, wyskakuj, sama wejść, bo z tego twojego deptania nic nie będzie.

Umyła nogi i podciągnęła wysoko spódnicę. Franuś pomógł żonie wgramolić się do beczki, a Marianna zaczęła rytmicznie przestępować z nogi na nogę. Mąż spoglądał na jej białe uda, kształtne łydki i poruszające się przy każdym ruchu duże piersi.

– Ty patrz na to, co robisz, a nie na mnie. Jak się będziesz gapił nie tam, gdzie trzeba, jeszcze sobie paluchy poobcinasz.

– Kiedy miło popatrzeć. – Pod gęstym wąsem Franciszka błysnęły białe zęby.

– Lepiej roboty pilnuj.

Wreszcie beczka była pełna. Z trudem wytoczyli ją do sieni. Marianna położyła na wierzchu drewniane denko, a na nie spory, wymyty i wyparzony wrzątkiem kamień.

– No, kawał roboty odwaliliśmy. Trzeba teraz parę dni poczekać. Pamiętaj, Franiu, żeby od czasu do czasu przebijać kapustę prętem, bo jak gazy z niej nie ujdą, to będzie się psuła. Jak się już zakwasi, to ugotuję bigosu, a potem pierogów, takich jak lubicie, z suszonymi grzybkami.

Franuś nie myślał o bigosie ani nawet o pierogach. Pod powiekami wciąż miał żonine nogi. Kiedy położyli się spać, pierwszy raz od dawna przysunął się blisko Marianny, która mimo zmęczenia ochoczo poddała się jego oszczędnym pieszczotom.

Następnego dnia, jak zwykle po Franusinych amorach, bolała ją głowa.

Mania z trudem otworzyła oczy. Fela wylazła z łóżka i czerwonymi od chłodu, bosymi nożynami człapała wokół kołyski, w której popłakiwała Wandzia. Utrapienie z tymi dzieciakami. Ale ta głowa boli! Wzięła w rękę rąbek koszuli i dokładnie otarła nim czoło.

– Święta Zofija trzy córki miała,
jedna szyła, druga prała,
trzecia urok odprawiała.

Ze skupioną miną wymamrotała zaklęcie, a potem się przeżegnała. No, może trochę się poprawi! Niestety, wcale się nie poprawiło. Kiedy Franciszek wrócił z pracy, głowę miała owiazaną ręcznikiem, a pod oczami sine podkówki.

– Manieczku, co ci to, znowu cię głowa boli?

– Nieraz mnie boli, ale dzisiaj to już nie do wytrzymania.

– Usiądź na taborku i odwiń ten okład. Odczynię ci urok. Czasem to pomagało.

Stał za żoną, delikatnie ścisnął rękami jej skronie i zaczął lekko pociągać głowę, jakby chciał ją unieść do góry. Spluwał przy tym, a raczej udawał, że spluwa, na cztery strony i mruczał coś pod nosem.

Niestety, mężowskie odczynianie też nie pomogło. Ból głowy, co prawda, trochę minął, ale pozostała jakaś dziwna słabość. Mijały dni, a Marianna wciąż była osowiała, nie miała ani siły, ani chęci do pracy. Przestała nawet robić porządki, które regularnie co dwa tygodnie urządzała. Odsuwała wtedy meble od ścian, omiatała pajęczyny, likwidowała pluskwy, które od czasu do czasu się pojawiały, myła okno, jednym słowem, przewracała mieszkanie do góry nogami. Franciszek bardzo nie lubił zamieszania, jakie przy tym powstawało, Marianna jednak nie zwracała uwagi na jego niezadowoloną minę i mówiła, żeby się nie boczył, bo ona musi posprzątać, w brudzie przecież mieszkać nie będą.

Wielkimi krokami nadchodziło Boże Narodzenie, a ona nie mogła zebrać się w sobie. Zaczęła w końcu podejrzewać, że to jakaś choroba ją zmogła. Odetchnęła z ulgą, gdy zaczęły się poranne wymioty. Znów była przy nadziei. Dobrze, że to tylko dziecko, a nie jakieś choróbsko, pomyślała. Chowa się dwoje, nie licząc Stefka, a o Honorce nie wspominając, to wychowa się i trzecie. A może będzie synek? To by się Franio ucieszył.

Kiedy minęły pierwsze tygodnie ciąży, Marianna zaczęła dochodzić trochę do siebie. Z każdym dniem przybywało jej sił. Znowu całkiem dobrze radziła sobie z domową robotą. Zdana była tylko na siebie, bo Blichowa, która zawsze jej pomagała, zamknęła oczy. Nie chorowała, nie narzekała. Zmogło ją długie, pracowite życie. Wieczorem położyła się spać, a rano nie wstała.

Marianna przez ostatnie parę miesięcy żywiła starowinę i wspomagała jakimś groszem, widząc, że tamta nie ma dość siły, żeby zarobić na chleb, a na pomoc rodziny nie mogła liczyć. Tyle czasu Blichowa była blisko, zawsze

pod ręką, chętna do rady i pomocy. Prawie jak matka. Mariannie brakowało jej szorstkiej troskliwości, nawet gadania, na które tyle razy narzekała.

Boże Narodzenie nadeszło jak należy, białe i mroźne. W wysprzątanym mieszkanku Szymczaków pachniało ciastem i pieczonym mięsem. U sufitu wisiała pięknie przystrojona choinka. Felcia, która zazwyczaj nie mogła chwili spokojnie usiedzieć, nawet na krok nie odchodziła od drzewka. Wielkie, czarne oczy wlepiła w baletnice, kolorowe łańcuchy, czerwone jabłuszka, aniołki i cukierki w błyszczących papierkach. Zapominała o bieganiu i figlach. Nawet mała Wandzia spoglądała z kołyski na choinkę i coś po swojemu gaworzyła.

Marianna posprzątała po wigilijnej wieczerzy, odsapnęła chwilę, potem ułożyła dzieci do snu. Przykazała Stefkowi, by ich pilnował, i poszła z Franciszkiem na pasterkę.

Noc była jasna, księżyc oświetlał ulice. Kroczyli wolno, dostojnie, Marianna trzymała męża pod rękę. Popatrywała na niego z dumą. Wzrostem górował nad innymi. Mimo upływających lat i ciężkiej pracy chodził wyprostowany, a krok miał sprężysty. Twarz zdobiły sumiaste wąsy. Nosił się z miejska, był ubrany w ciepłą kurtkę i czapkę z nausznikami.

Ona – niewysoka, krępa, dreptała obok niego drobnymi kroczkami. Choć tyle lat mieszkała w mieście, nie wyzbyła się wsiowych obyczajów. Okrywała się grubą wełnianą chustą, która osłaniała ją od głowy aż po pośladki. Nazywała ją „jesionką”. Nie było to praktyczne okrycie. Wiatr je podwiewał, chłód wciskał się aż do pleców. Jednak Marianna nie chciała słuchać o kupnie prawdziwej jesionki, mimo że Franuś, martwiąc się o zdrowie żony, nieraz ją do tego namawiał.

– Całe życie tak się ubierałam, to teraz, na stare lata, nie będę nic zmieniać – odpowiadała.

Miała jeszcze inne upodobania z młodych lat. Chodziła latem boso, choć nieraz sobie raniła stopy o kamienie i rozbite szkło. Zawsze też nosiła nasuniętą do połowy czoła chusteczkę, zawiązaną z tyłu głowy na duży węzeł, która szczelnie zasłaniała wciąż gęste i czarne włosy.

Marianna z sentymentem wspominała lata spędzone w Żelaznej. Lubiała myśleć o polach, otwartej przestrzeni, a nawet pracy we dworze. Franuś też z rozrzewnieniem wracał do młodości spędzonej na wsi.

Jeśli tylko trafiła mu się jakaś przerwa w pracy, najmowali się oboje do pracy u Badura, znajomego chłopca, który miał pod miastem gospodarstwo, do żniw, kopania kartofli albo sianokosów. I nie tylko o pieniądze im szło. Gdy Franciszek energicznie machał kosą, a żona podbierała za nim żyto, wiązała w zgrabne snopki i ustawiała w mendle, oddychali pełną piersią, czuli się wolni i szczęśliwi.

Marzyli o choćby maleńkim spłachetku ziemi i własnej chałupce. Niejeden raz, wieczorem, gdy dzieci już spały, siadali przy stole, przykręcali lampę naftową – albo dla oszczędności całkiem ją gasili – i w ciepłym blasku, wydobywającym się spod blachy, puszczaali wodze fantazji. Jedno przez drugie mówiło, jak by to było wspaniale mieć coś swojego. Jak by to im się dobrze żyło na własnym gospodarstwie. Wiedzieli jednak, że na taki zakup nie wystarczy zarobionych przez Frania pieniędzy.

Marianna czuła, że los wynagradza jej z nawiązką dawne smutne przejścia. Podobno kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła. Więc chyba przestał ją tak bardzo kochać. Miała teraz męża, dzieci, nikt głodny nie chodził. Nawet wrzody Feli się zagoiły. Szkoda tylko, że zostały takie duże szramy. Zeszpeciły ją na całe życie, szczególnie ta na brodzie była bardzo widoczna. Jedyna nadzieja, że może z czasem trochę się zmniejszy.

Ogarnęła ją jakaś tkliwość, nawet myśl o mającym się narodzić dziecku przestała ją dręczyć. Będzie na pastercie gorąco dziękować Panu Bogu za tyle dobra, ale najgoręcej za Frania, swojego męża. Mocniej oparła się o jego ramię.

U Szymczaków drzwi wprost się nie zamykały. Ciągłe odwiedzali ich jacyś krewni, o których wcześniej Marianna nie wiedziała, że w ogóle istnieją. Od dawna było wiadomo, że Franciszek ma gościnną i szczodłą żonę, więc nie było tygodnia, żeby ktoś do nich nie wstąpił.

Franciszkowa stawiała na stół, co miała najlepszego, zachęcała do jedzenia, wysłuchiwała rodzinnych nowinek, po czym krewniak na pożegnanie całował ją w rękę. Bywało, że na drogę dostawał kawałek kiełbasy lub parę groszy na cukierki dla dzieciaków i zadowolony odchodził, nie mogąc się nachwalić dobrego serca Marianny.

Franciszek cierpiał z powodu jej rozrzutności. Kiedy opowiadała, jak poczęstowała gości, jak jej dziękowali, nie odzywał się, tylko naciągał czapkę na uszy i z ponurą miną wychodził z mieszkania. Nie znosił takiego szastania pieniędzmi bez potrzeby. Swemu niezadowoleniu dawał upust w sieni. Mówił coś półgłosem i kilkakrotnie ze złością uderzał pięścią w ścianę. Marianna, słysząc te głuche odgłosy, mruczała, że Franuś znowu ma muchy w nosie. Nie przejmowała się jednak zbyt jego humorami, bo wiedziała, że mąż złego słowa jej nie powie.

Często zaglądały do niej sąsiadki, a to żeby pogadać, a to pożalić się, a to po jakąś drobną pożyczkę. Wiedziały, że na Franciszkową zawsze mogą liczyć. Pomoże, poradzi, a czasem i parę groszy da. W mowie surowa, ale serce złote. Nie wypuści z mieszkania bez pomocy.

Najczęściej przychodziła Zofka. Zdrowie jej szwankowało, nie mogła już pracować. Dzieci były prawie dorosłe i jakoś dawały sobie radę, miała więc sporo

czasu na pogaduszki. A że z Manią znały się od wczesnej młodości, chętnie rozmawiały, a jeszcze chętniej wspominały dawne czasy.

Było ciepłe wrześnieowe przedpołudnie. Zofka siedziała przy dużym stole, z głową wspartą na rękę, Marianna stała obok i kroїła słoninę na skwarki. Zofka obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Spod nakrochmalonego fartucha Franciszkowej sterczał brzuch, jakby więk szy niż normalnie. Zamrugła powiekami.

– Maniu, tyle drobiazgu w mieszkaniu, a ty co, znowu będziesz miała małe?

– A bo widzisz, Zofka, Franuś to raz na parę miesięcy przypomni sobie o męzkowskich obowiązkach. I to wystarczy. Dotknie się do mnie, a ja już przy nadziei, jak ta króliczka. Zła jestem, że nawet gadać mi się nie chce. Nie mogę przecież męzkowi odmówić, bo to grzech, a z drugiej strony po co nam jeszcze jeden dzieciak?

– No nie narzekaj, jeść masz co, Franciszek to porządny chłop, uszanowanie ci daje, jak należy. Nie narzekaj – powtórzyła sąsiadka.

– Tak ci się, Zofka, wydaje! Mnie już czterdziestka minęła. Felcia ma prawie dziesięć lat, Wandzia niewiele mniej, a Marcia cztery. Bliźniaki jeszcze się dobrze chodzić nie nauczyły. Ledwo sobie radzę z tą gromadką, siły już nie te. Stefan w wojsku, a Franio ostatnio jakoś niedomaga. Wciąż narzeka, że zgaga go piecze i w brzuchu coś boli. Nieraz to aż się zwija z tego bólu. Muszę mu delikatne jedzenie gotować. Mleka mu dużo daję, z ryżem. A żeby to takie przasne nie było – skwarek dokładam. Ale czy to można mieć siłę na takim wikcie? Honorką się gryzie! Nic nie mówi, ale ja wiem, znam go przecież. Może to od tego zmartwienia zdrowie mu się psuje.

Marianna przerwała na chwilę i pogrążyła się w myślach.

– Widziałas ją, jak przyjechała? To ci dama! Wystrojona, pachnąca. Nie na kieszeń służącej takie ubranie. Niech ona mi oczu nie mydli, że u hojnej pani służy, co to jej niby swoje rzeczy daje! Wiesz, jak się do spania rozbierała, to zobaczyłam, co ona pod spodem nosi. Nie uwierzysz! Jedwabną halkę i majtki. A pończochy! Cienkie takie, że aż ciało prześwituje. A podwiązki do pończoch! Jeszcze nigdy takich nie widziałam. Jakieś koronkowe i czerwone. Warszawianka! Pewnikiem na psy zesła. To rogówka, jak nic!

– Oj, Maniu, Maniu, nie gadaj byle czego. Dobra z ciebie kobieta, ale w słowach popędliwa jak mały kto. Może naprawdę ma łaskawą panią. Przecież nie pojedziesz sprawdzić. A swoją drogą, z takiego paskudnego rudzielca całkiem ładna panna wyrosła. Za mąż jej najwyższa pora. Pięknie by w welonie wyglądała.

Zofka się zadumała. Przypomniała sobie, jak to, wydaje się, całkiem niedawno, stała ze swoim Władziem przed ołtarzem. Odkąd została wdową, powoli zapominała, ile jej zdrowia zmarnował. Uleciały z pamięci awantury, bicie, głód

i męzowe pijaństwo. Pamiętała dzień, kiedy przyszli do niej jego kamraci z niepewnymi minami i zaczęli niewyraźnie dukać, że Władek leży na ulicy i ledwo dycha, pewnikiem wypił za dużo i coś mu się chyba stało. Na to wspomnienie łzy zakręciły jej się w oczach.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Marianny.

– Co tam uroda, szybko przemija. Najważniejsze, żeby męża znaleźć, co to i zarobić potrafi, i żonę uszanuje. A kto ją teraz zechce, jak tyle czasu po świecie się szlaja i nie wiadomo co robi.

Umilkły na chwilę, każda zajęta swoimi myślami.

– W welonie, mówisz – ciągnęła Marianna – a może jeszcze i we wianku? Żeby tylko z brzuchem nie szła do ołtarza!

– Oj, nie lubisz ty, Maniu, tej Honorki. A jak Bóg da, to i chłopca znajdzie, i dzieci urodzi.

Zofka z uśmiechem popatrzyła na kręcące się koło niej bliźniaki.

– Ale to śmieszne szkraby. A podobni do siebie jak dwie krople wody. Jak ty ich odróżniasz?

– Co też ty mówisz, przecież każdy całkiem inny. Maniuś włoski ma jaśniejsze, a znów u Henia za uchem jest taki mały pieprzyk. Nie można ich pomylić!

– Może dla ciebie to łatwe, ale ja zupełnie nie wiem, który jest który.

– Co tej Felci tak długo nie widać? Pewno znowu po lekcjach poleciała z dziewczynami ganiać po mieście. Dam ja jej, jak wróci. Co to za dziewczucha! Niby dobra i posłuchana, ale czasem ancymon z piekła rodem. Ciągłe by tylko biegła, chwili w miejscu nie usiedzi. Jak weźmie na ręce któregoś bliźniaka, to choć ledwo może go poradzić, bo obaj apetyt mają i swoją wagę też, kręci się z dzieckiem i podskakuje. A po drzewach łązi jak chłopak.

W szkole ją chwala, że pamięć ma dobrą i szybko się uczy, ale w domu to czasem wytrzymać z nią trudno. Ile już sukienek podarła na płotach, ile lania za to ode mnie dostała. Oczy spuści, przeprosi, w rękę cmoknie, a za chwilę znów gna, tylko jej pięty śmigają. Boję się, żeby nie skończyła jak Honorka. Tamta też tak po próżnicy ciągle latała. Wandzia to zupełnie co innego. Spokojna, cicha. Mojej spódnicy się trzyma. Sama nigdzie nie pójdzie.

– Stroisz, Maniu, te swoje dziewczynki. Zawsze mają czyste sukieneczki i haftowane kołnierzyki.

– Wiesz przecież, że matka nauczyła mnie trochę igłą robić, a potem to już sama do wprawy doszłam. Nie chcę się chwalić, ale jak ostatnio uszyłam Franiowi koszulę i ręcznie postębnowałam mankiety i kołnierzyk, to chyba i maszyna by lepiej nie zrobiła. Zresztą, co będę mówić, zaraz ci pokażę, tylko ręce z tłuszczu obetrę.

Zofka uważnie przyglądała się białej koszuli, którą Marianna wyjęła

z szuflady.

– No, fachowo to zrobiłaś. Na zarobek byś mogła szyć. Złote masz ręce, do każdej roboty zdadne. I taka szybka jesteś, i silna. Czasem to zazdroszczę ci tej siły. Ja ledwo żyję. Dobrze, że dzieci już podrosły, dwóch najstarszych pracę znalazło, to jakoś dajemy sobie radę i z głodu nie umieramy.

Zofka z ciekawością zajrzała do odsuniętej szuflady.

– A co tam takiego ładnego chowasz?

– E, nic, to tylko bielizna dziewczynek i moja. Wszystko im sama szyję. Białego płótna u Joska kupiłam. Naszyłam im koszulek, majtek, staniczków i kaftaników. Całe wieczory ślęczałam. Ale zadowolona jestem. Tyle że przy tym ręcznym szyciu długo się schodzi. Myślmy z Franciszkiem maszynę do szycia kupić. Teraz mnie się przyda, a potem może która z dziewczynek krawcową zostanie.

Zofka aż podskoczyła na taborecie.

– Ale jaki to wielki grosz! Skąd tyle pieniędzy weźmiesz?

– Już pytałam u Libermana. Powiedział, że można na raty kupić. Nową! Dobrej firmy. Chyba mówił „Singer”, czy jakoś tak. Wyjdzie może trochę drożej, ale przez rok damy radę spłacić. A co maszyna, to maszyna.

– Oj, prawdę mówisz, ale to okropny wydatek! – Zofka westchnęła ciężko.
– Pójdę już, muszę dzieciakom nawarzyć jakiegoś obiadu.

– Słuchaj, a wzięłabyś jutro bliźniaki do siebie na cały dzień? Prać będę, a wiesz, jak z nimi jest. Wszędzie pełno, w każdą dziurę wleżą! Trudno ich upilnować i robota wtedy nie idzie.

– O której mam ich zabrać?

– Pranie zacznę wcześniej do dnia. Będą jeszcze spać. Jak się obudzą, to ich zaprowadzę.

Franciszek nie znosił, kiedy w domu było pranie. Przez dwa dni w mieszkaniu panował rozgardiasz. Z pierzyn i poduszek pościągane były obleczenia, pozdejmowane serwetki, obrusy, zasłonki, jednym słowem, wszystko, co się nadawało do prania, bo Marianna nie lubiła, żeby brudy jej zalegały. Wszędzie stały cebrzyki, gary i kotły pełne wody, której, z braku Stefka, mąż musiał nosić ze studni.

Franciszek wyciągnął spod łóżka wielką drewnianą balię i ustawił na dwóch taboretach na środku mieszkania, żeby przez otwór w dnie, oczywiście, jak się wyciągnie drewniany czop, można było wylewać brudną wodę wprost do wiadra.

Stojąca pod rynną beczka po ostatniej ulewie pełna była wody. Franio nosił deszczówki do wielkiej michy. Wieczorem, gdy dzieci już posnęły, Marianna namoczyła w tej deszczówce każdą brudną sztukę bielizny, a potem

dokładnie nacierała wszystkie rzeczy mydłem i układała w balii. Kiedy skończyła, balia była prawie pełna.

– Ale dużo mi się tego prania nazbierało!

Leżący już w łóżku Franciszek wystawił głowę spod pierzyny.

– A bo ty, Manieczku, pierzesz, czy jest brudne, czy nie.

– Co też ty, Franiu, wygadujesz, w brudnych łachach chcesz chodzić? Bój się Boga! Ja tam nie jestem tego zwyczajna.

– Dobrze, już dobrze, nie denerwuj się, Manieczku. Rób, jak uważasz.

Odwrócił się do ściany i po paru chwilach słychać było jego pochrapywanie.

Marianna skończyła robotę i też się położyła, żeby nabrać sił przed czekającą ją nazajutrz pracą.

Zerwała się z łóżka, gdy za oknem ledwo zaczynało szarzeć. Szybko naciągnęła ubranie i rozpałała ogień pod blachą.

– Franuś, wstawaj, bo nim pójdziesz do roboty, musisz mi jeszcze wody do kotła nalać. Jak spiorę ten pierwszy brud, to woda akurat się podgrzeje i będzie można kłaść białe do gotowania.

Franciszek popatrzył wokół trochę nieprzytomnym wzrokiem.

– Dobrze, dobrze, Manieczku, już wstaję.

Marianna oparła blaszaną tarę na brzegu balii, mocno tarła na niej każdą sztukę, a potem wyżywała w rękach i wrzucała do kotła, do którego dosypała jeszcze sody, bielidła i rozgotowanego wcześniej mydła.

Kiedy dzieciaki zaczęły się budzić, w kotle już głośno perkotało. Felcię i Wandzię wyprawiła do szkoły, a bliźniaków i Martę ubrała, dała im śniadanie i zaprowadziła do Zofki.

– A uważaj na tych nygusów, bo takie z nich psotniki, że ani się obejrzysz, jak coś nabroją. Na Marcię też miej oko, bo umie dokuczyć chłopakom. Rękę ma wciętą, jak któremu przyłoży, to aż czerwony ślad zostaje. Niby mała, a tyle w niej siły.

– Bądź spokojna, dam sobie radę, zresztą, moja Andzia mi pomoże.

Franciszkowa wróciła do pustego mieszkania. Panowała w nim niezwykła cisza. Zaczęła nucić pod nosem godzinki i ostro wzięła się do roboty. Była w swoim żywiole.

Do wieczora wszystko było uprane i wygotowane, a nawet wypłukane. Marianna poukładała całą bieliznę w czystej wodzie. Na rano zostało już tylko farbkowanie i krochmalenie. Fela i Wandzia, zanim położyły dzieci spać, nasmażyły ojcu jajecznicę. Marianna tak była zmęczona, że nie chciała zjeść nawet kęsa.

Julia poniosła niepowetowaną stratę. Zmarła jej matka. Przez kilka miesięcy chorowała, nie opuszczała łóżka, cierpiała dotkliwe bóle. Córka opiekowała się nią troskliwie. Wreszcie schorowana pani Aniela poprosiła o sprowadzenie księdza z wiatykiem. Spowiadała się długo, a kiedy ksiądz wreszcie od niej wyszedł, zawołała córkę i bez wdawania się w szczegóły wyjawiała, że rodzonym ojcem Julii jest dziedzic Wólki Podleśnej – pan Kazimierz Bilski. Mówiła wolno i ledwo ją było słyszeć. Julia, nie wierząc własnym uszom, pomyślała, że matka z pewnością majaczy przed śmiercią. Jednak pani Aniela cichnym głosem, ale przytomnie, wyszeptała, że ksiądz zadał jej za pokutę wyznać córce prawdę o grzechu młodości.

Po kilku godzinach umarła, pozostawiając Julię w wielkiej rozpacz i osłupieniu.

HONORKA

Marianna nie przypuszczała, jak bliska była prawdy, mówiąc Zofce tyle złego o pasierbicy. Honorka rzeczywiście zeszła na złą drogę.

U pana Bolesia początkowo było jej bardzo dobrze. Miała swój pokój, nie musiała nic robić. Dostała kilka nowych sukienek, a sprowadzony fryzjer obciął jej warkocze i ułożył włosy w modną fryzurę. Jej dłonie były teraz gładkie i wypielęgnowane. Z dumą spoglądała na wypolerowane paznokcie. Czuła się jak panienka z dobrego domu, a że przypadła Korduli do serca, starowina dbała o nią jak o własną wnuczkę.

Honorka, przyzwyczajona do ciężkiej pracy, nie wiedziała, co robić z wolnym czasem. Przeglądała się w lustrze, czesała swoje rude loczki, nierzadko szła do kuchni, by pomóc Korduli, albo wyglądała przez okno. Jednak ulica była niezbyt ruchliwa, więc po chwili patrzenia dziewczyna opuszczała firankę i dalej się nudziła. Tęskniła za panem Benedyktem, który, niestety, odwiedzał ją niezbyt często.

Każdy jego przyjazd był prawdziwym świętem. Bardzo się starała, żeby mu się podobać. Wkładała najładniejsze rzeczy i cieszyła się, kiedy spoglądał na nią czule i delikatnie gładził głowę i szyję.

Kiedyś siedzieli w salonie razem z panem Bolesiem. Pan Benedykt przyglądał się jej długo, z dziwnym uśmiechem, aż poczuła się trochę speszona.

– Bolesiu, nie uważasz, że Honorka rozkwitła jak różyczka?

– Owszem, jak różyczka!

Honorka zarumieniła się, objęła pana Benedykta i zaczęła mu coś szeptać do ucha. On ją przytulił, spojrzął znacząco na Bolesia, mrugnął filuternie i zniknął z uwieszoną u jego ramienia dziewczyną w jej pokoju. Po dość długim czasie pojawili się w jadalni, spoglądając sobie w oczy, i z wielkim apetytem zabrali się do jedzenia.

Niestety, przerwy między wizytami pana Benedykta zaczęły się wydłużać. Tłumaczył, że ma dużo pracy i nie może zbyt często przyjeżdżać. Honorka nie wiedziała, że w domu znalazł sobie świeżą rozrywkę. Od kilku tygodni wprowadzał w miłosne arkana śliczną kilkunastoletnią dziewczynę, którą żona niedawno przyjęła do pracy w kuchni.

Którejś nocy pan Boles usłyszał dochodzący z pokoju Honorki cichy płacz. Szlochania stawały się coraz głośniejsze, włożył więc szlafrok i poszedł zobaczyć, co też tam się dzieje. Miał miękkie serce i nie znośił kobiecych łez. Gdy otworzył drzwi i zobaczył pochlipującą żałośnie dziewczynę, serce mało mu nie pękło.

– No, moja śliczna, co się stało, powiedz wujaszкови Bolesiu. Może

znajdzie się rada na twoje zmartwienia.

– Nie ma rady! Nie ma! Pan Benedykt już mnie nie lubi! Tak długo nie przyjeżdża! Na pewno już mnie nie lubi! O, ja biedna! – Łzy ciurkiem płynęły po jej gładkich policzkach.

– Co ty mówisz, głuptasku, jak można nie lubić takiego słodkiego pyszczka, takiego miłego kociątka.

Mówiąc to, przysiadł na brzegu łóżka i delikatnie zaczął gładzić jej rękę. Honorkę owionął zapach wody kolońskiej i cygar. Przestała płakać i popatrzyła z wdzięcznością na siedzącego obok niej mężczyznę.

– Pan jest taki dobry! Bardzo pan Boles dobry dla Honorki. Pan by mnie nie zostawiał na tak długo samej! Lubię pana Bolesia. I tak ładnie pan Boles pachnie! – mówiła pieszczotliwym tonem.

– Ja ciebie też lubię i żal mi, że zamiast śmiać się i bawić, wypłakujesz oczy.

Ręce pana Bolesia gładziły jej ramiona, a po chwili zsunęły się trochę niżej i dotknęły piersi. Honorka przymknęła oczy. Pan Boles widział jej rozchylone usta, pod palcami poczuł sterczące brodawki i... stracił głowę. Zrzucił szlafrok, wsunął się do łóżka i przytulił do dziewczyny.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, miał wyrzuty sumienia. Zawiódł zaufanie przyjaciela. Co powie Benedyktowi? Zachował się nieelegancko! Miał przecież tyle kobiet, nie musiał sięgać po własność przyjaciela.

Ale ta mała! Świetna! Do diabła! Ma coś w sobie! I nagle poczuł ochotę, by do niej wrócić. Nie może przecież pozwolić, żeby dziewczyna znów się rozplakała. Machnął ręką na skrupuły i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi do pokoju Honorki.

Odtąd życie dziewczyny nabrało nowego blasku. Całymi dniami zajmowała się upiększaniem swojej i tak ponętnej osobki, a noce spędzała z panem Bolesiem, który był nią wprost oczarowany. Bawiła go jej naiwna minka i zaskoczenie, z jakim przyjmowała jego wyszukane pieszczoty. W lot chwyciła każdy pomysł i spełniała wszelkie zachcianki nowego kochanka.

Kordula ze smutkiem spoglądała na radosną twarz dziewczyny. Wiedziała, że ta idylla nie potrwa długo, znała dobrze swojego pana. Przecież to słomiany ogień, szybko się znuży.

Miała rację. Po kilku tygodniach pan Boles zaczął wieczorami coraz częściej wychodzić z domu. Nie zwracał uwagi na nadąsaną minę Honorki, a na jej pytania o przyczyny częstej nieobecności odpowiadał cierpliwie, że to z powodu nawału pracy i nie będzie jej tłumaczył, bo ona i tak nie zrozumie.

Wreszcie doszedł do wniosku, że znów chciałby poczuć się swobodnie w swoim mieszkaniu, i postanowił przy najbliższym spotkaniu z panem Benedyktem porozmawiać poważnie, jak to dalej ma być z Honorką.

Kiedy ten wreszcie przyjechał, poszli do restauracji, gdzie podczas

wykwintnej kolacji omówili sytuację i znaleźli bardzo mądre, według nich, rozwiązanie, a mianowicie postanowili oddać Honorkę na służbę. O, tak! To najlepsze rozwiązanie! Pozbędą się kłopotu, a dziewczyna będzie miała dach nad głową i zarobi na swoje utrzymanie. Pan Benedykt podjął się przekazać jej tę decyzję.

Wrócili dobrze po północy. Honorka jeszcze nie spała. Na widok wchodzącego do jej pokoiku pana Benedykta bardzo się zmieszała.

– No co, Honorciu, jak ci się tu żyje? Pan Boles ci nie dokucza? – zapytał.

Milczała. W napięciu patrzyła w oczy pana. Zrobiła krok w jego stronę, ale powstrzymał ją ruchem ręki. Zrozumiała, że za chwilę stanie się coś bardzo złego. Pewno dowiedział się o jej figlach z panem Bolesiem i spierze ją teraz na kwaśne jabłko.

– Wiesz, chyba pora, żebyś opuściła to miłe mieszkanko. Czuję się niejako odpowiedzialny za ciebie. W końcu to ja cię do tej Warszawy przywiozłem.

Honorka milczała.

– Pan Bolesław nie chce się już dalej tobą opiekować, więc dam ci trochę pieniędzy na bilet i wracaj do domu, do Skierniewic.

– Jak to do Skierniewic? Do macochy? Za żadne skarby tam nie wrócę! Co ja takiego zrobiłam, że mnie pan Boles wypędza?

Głos Honorki załamał się, zasłoniła oczy i zaczęła płakać. Łzy leciały po jej policzkach, ramiona drgały spazmatycznie. Pan Benedykt przez moment nawet chciał ją przytulić, ale doszedł do wniosku, że nie warto. Wyjął pugilares i położył na stoliku kilka banknotów.

Honorka nadal płakała. Słyszał jej stłumiony głos.

– Nie pojedę! Nie pojedę! To już chyba prędzej pod pociąg się rzucę albo do rzeki skoczę! Przecież mnie w domu zabiją, macocha mnie zakatuje. Oj, ja biedna! Za co to wszystko? Za co?

– Uspokój się i posłuchaj. Jak nie chcesz wracać... – Pan Benedykt zawiesił głos, a Honorka spojrzała na niego z nadzieją. Mimo że miała zapłakane oczy, wyglądała bardzo ładnie. – Więc jeśli już tak naprawdę, kategorycznie nie chcesz wracać, to może znajdziemy ci tu jakieś lokum, dostaniesz na początek trochę pieniędzy, a potem musisz sobie sama radzić. Może znajdziesz gdzieś pracę?

– A gdzie mnie zechcą, nikogo tu nie znam! – Znow zaczęła płakać.

– Dobrze, dobrze, pan Bolesław z pewnością ci pomoże. Umiesz przecież pracować, moja żona nauczyła cię tego. A teraz otrzyj oczy i połóż się spać. Rano spakujesz swoje rzeczy.

Po wyjściu pana Benedykta Honorka padła na łóżko i zanosła się głośnym szlochem. Stara Kordula weszła po cichutku i pogłaskała ją po głowie.

– Nie płacz, moje dziecko, z panami już tak jest. Pobawią się, pobawią i rzuca! I tak masz szczęście, że na ulicę cię nie wygnają. To porządni panowie!

Honorka przytuliła się do miękkich piersi kobiety.

– Ale za co? Za co? Wszystko robiłam, co mi kazali, różne takie świństwa. Mówili, że im bardzo dobrze ze mną! A teraz? Wynocha i już? O, doło, moja doło!

– Nie lamentuj, dostaniesz gdzieś robotę, a potem, jak będziesz mądra, może i męża znajdziesz. Chłopcy nie pozwolą takiej ładnej dziewczynie długo żyć samotnie. A teraz wytrzymaj oczy, nie warto płakać.

Do uszu Honorki dobiegł piskliwy głos. Otworzyła oczy i nagle wszystko sobie przypomniała. Skończyła się labą u pana Bolesia. Została służącą u pani Krysickiej. Miała sprzątać i zajmować się dwójką dzieci, a spać na wąskim, żelaznym łóżeczku ustawionym w kącie kuchni.

Rozejrzała się. Zagracone pomieszczenie wydało jej się odrażające. Nagle do kuchni z głośnym krzykiem wpadła pani. W pogniecionym szlafroku i papilotach na głowie wyglądała obrzydliwie.

– A co ty tu leżysz sobie jak na wywczasach? Do roboty! Bo jak będziesz się lenić, to długo tu miejsca nie zagrzejesz! Rozpal ogień pod kuchnią, ubierz dzieci, pan zaraz do pracy idzie, trzeba mu koszulę odprasować. Bierz się!

Wybiegła, kłapiąc przydeptanymi bamboszami.

Honorka narzuciła sukienkę i palcami przyczesła włosy.

Pani przez uchylone drzwi znowu zajrzała do kuchni.

– Jeszcze tu jesteś? Leć do dzieci, bo już dawno wołają, że chcą wstawać.

Honorka zacisnęła usta. No, niezły początek. Zupełnie odwykła od takiego traktowania.

Kiedy z grubsza uporała się z robotą, pani – odmieniona, wystrojona i pachnąca – zawołała ją do pokoju.

– Wychodzę na dwie godziny, a ty pilnuj dzieci. Najlepiej ubierz je ciepło i pochodź z nimi przed domem. I obierz ziemniaki, i pamiętaj, jak pan wróci, jedzenie ma być gotowe! – mówiła szybko i niezbyt składnie.

Wyszła pośpiesznie, a Honorka pomyślała, że chętnie się przejdzie, bo nie może patrzeć na ponurą kuchnię. Ale niełatwo było ubrać dzieciaki. Pięcioletni Ludwiczek darł się wniebogłosy, gdy wkładała mu paletko, a trzyletnia Gienusia drapała i gryzła jej rękę.

– Co wy za niegrzeczne dzieci jesteście! Kto was tak wychował? Trzeba tu mojej macochy, nauczyłaby was moreсу.

– Głupia małpa, głupia małpa!

– Ty smarkaczu, ja ci dam głupią małpę!

– A co mi dasz, co mi dasz?

– A to ci dam!

Ręka Honorki z całej siły klapnęła w pupę Ludwiczka.

Teraz dopiero malec pokazał, na co go stać. Jego ryk słychać było chyba w całej kamienicy.

– Wszystko powiem mamusi, zobaczysz!

– A to sobie mów, a mów!

Natrudziła się, ale wreszcie dzieci były gotowe. Schodziła z nimi wolno po schodach. Pod powiekami czuła łzy. Naprzeciw niej szła kobieta w średnim wieku, niosąc koszyk z zakupami.

– To ty jesteś ta nowa od Krysickich?

– Tak.

– Ja jestem Helcia, a ty jak się nazywasz?

– Honorata.

– Ciekawe, jak długo u nich wytrzymasz. Pani ma niezłe fochy, a dzieci to jakieś diabelskie nasienie, wszystkim się dają we znaki! Służące są u nich po parę dni, bo państwo wymagania mają wielkie, a robota nie do przerobienia. Ewcia, ta przed tobą, to tylko tydzień była.

– Ja chyba i tyle nie dam rady wytrzymać! Już mam dosyć!

– Ładna z ciebie dziewczyna! Powinnaś się za jakim chłopem rozejrzeć i za mąż wyjść, a nie obcym usługiwać.

Honorka uśmiechnęła się i szybko zeszła na dół. Dzieci przez ten czas zdążyły utaplać się w błocie. Trzeba było je zabrać na górę i przebrać w suche ubranie.

Minęło kilka dni. Honorka doszła do wniosku, że dłużej nie wytrzyma. Pomyślała, że pójdzie do pana Bolesia, padnie przed nim na kolana i będzie błagała, żeby znalazł jej inne miejsce. Chyba ją trochę lubił, więc może wzruszy go opowieść o tej okropnej mordędze. Przecież nie da się żyć w tym zwariowanym domu, z wiecznie niezadowoloną panią i dziwnym, spoglądającym spode łba panem. Ale najbardziej miała dość tych małych, nieznośnych czortów.

Kiedy wieczorem dzieci posnęły, wymknęła się po cichutku kuchennymi drzwiami. Wyszła przed bramę i rozejrzała się niepewnie. Było już całkiem ciemno. Palące się z rzadka latarnie nie rozpraszały ciemności. Jesienne powietrze pachniało butwiejącymi liśćmi. Otuliła się szczelniej chustą i ruszyła przed siebie. Nie pamiętała drogi do pana Bolesia. Kordula przyprowadziła ją do Krysickich i od tego czasu Honorka wychodziła z dziećmi tylko na pobliski skwerek. Ogarnął ją strach. Sama, w ciemnościach, bezradna, nikomu niepotrzebna. Rozczuliła się nad swoją sierocą dolą.

Nagle usłyszała jakiś męski głos.

– Panienska sama? Tak późno? Taka ładna panienska i taka samotna! A dokąd to się idzie?

Zobaczyła przed sobą młodego, dość porządnie ubranego mężczyznę z zawadiackim wąsikiem. Próbowwała go wyminąć, ale nie dawał za wygraną.

Zastępował jej drogę i przymilnie spoglądał w oczy.

– No niech panienka się nie boczy, lepiej niech powie, jak ma na imię!

– Nie zadaję się z obcymi! – odpowiedziała rezolutnie.

– Ja jestem Felek! Teraz już nie jestem obcy! Może panienkę gdzieś odprowadzić? Tyle hołoty się szwenda, jeszcze kto panienkę zaczepi?

Rozśmieszył ją. A on to niby co? Nie zaczepił jej na ulicy? Przyspieszyła kroku.

– Gdzie to panienka tak pędzi? Można wiedzieć?

Pomyślała, że Felek wygląda na dosyć przyzwoitego człowieka. Może zaprowadzi ją do pana Bolesia?

– Idę na Senatorską.

– Hm, hm, na Senatorską. Tam sami bogacze mieszkają. A jak już panna powiedziała, gdzie idzie, to może powie, jak ma na imię?

– Honorka.

– Ślicznie! To może pozwoli się panna Honorka odprowadzić?

– No, niech będzie!

Szli jakiś czas w milczeniu.

– Ja to jestem warszawiak z dziada pradziada, a panna Honorata? – spytał po chwili Felek.

– Ja? Od niedawna dopiero tu jestem.

– A z daleka panna Honorata przyjechała?

– No! Aż ze Skierniewic!

– Widać, że panienka miastowa, a czym się taka ładna panienka zajmuje, jeśli to nie sekret?

– Służę u takich jednych.

– Z taką figurką i tymi oczami? Niemożliwe! Panienka to w rewii powinna występować!

– W rewii? A co to niby takiego?

– A taki teatr, gdzie ładne dziewczyny tańczą i śpiewają. Chciałaby panna Honorka zobaczyć?

– Jak ja mogę o jakiejś rewii myśleć, jak u moich państwa jest huk roboty, od rana do nocy. Chwili odpoczynku nie mam!

Nagle stanęły jej przed oczami popisy wędrownych grajków na skierniewickich podwórkach i łzy popłynęły po policzkach.

– Co się stało, dlaczego panna Honorka płacze?

– Bo nie mogę u nich wytrzymać, tam jest okropnie, a pani to prawdziwa jędza!

– Otrzyj łzy, dziewczyno! Chodź, lepiej wstąpimy gdzieś na małą przekąskę.

– Nie mogę. Muszę iść, bo jak pani zauważy, że mnie nie ma, dopiero będę miała za swoje!

– Pluń na panią, pluń na jej dom i taką psią robotę. Szkoda lez na byle co! Chodź, zjemy coś i pomyślimy, jak ci pomóc.

– Pan Felek chciałby mi pomóc? Dlaczego?

– Bo mi się podobasz! Takie rude włosy są rychtig!

– A skąd pan Felek wie, że rude?

– Pod latarnią było widać. Ładne! Cała Honorka jest ładna!

Mijali właśnie jakieś oświetlone drzwi. Felek pchnął je zdecydowanym ruchem i weszli do środka. Przy stołach siedzieli prawie sami mężczyźni. Honorkę owionął zapach piwa i jakiegoś smakowitego jedzenia. Nagle poczuła głód. Ale to szczęście, że spotkała tego Felka!

Znaleźli wolne miejsca i po chwili przed Honorką stał talerz z parującym bigosem i kufel piwa z puszystą pianą.

Felek obserwował spod oka dziewczynę, która jadła z apetytem. Widział jej bystre brązowe oczy, gładką twarz i zgrabną figurkę. Pomyślał, że miał nosa, chyba na dobry towar trafił.

Piwo zaszumiało w głowie Honorki. Kiedy wyszli i Felek wziął ją pod rękę, nie protestowała. Było zimno, wiatr targał jej chustą. Przysunęła się do niego bliżej.

– Zaraz będziemy w domu, tam jest ciepło, rozgrzejesz się.

– W domu? U Krysickich?

– Nie, w innym.

– Gdzie mnie pan Felek prowadzi?

– Nie bój nic, ze mną nie zginiesz!

Po paru minutach weszli do wysokiej kamienicy i po ciemku wdrapali się na trzecie piętro. Stopy stawiali po omacku, ostrożnie. Schody poskrzypywały. Honorka czuła woń stęchlizny i kiszzonej kapusty. Gdzie on ją prowadzi? Zaczęła żałować, że zawierzyła nieznajomemu. Że też zawsze musi wpadać w jakieś tarapaty.

Mieszkanie, do którego weszli, wyglądało dosyć schludnie. Rozejrzała się nieśmiało. Sprzęty były skromne, ale od stojącej w kącie kafłowej kuchni rozchodziło się miłe ciepło. Zasłonka z kolorowego kretonu dzieliła pomieszczenie na dwie części.

Felek wskazał ręką łóżko przykryte wzorzystą kapą.

– Tymczasem musisz tu kimać, potem znajdę ci jakiś ką. A teraz rozbieraj się i wskakuj do betów! Nie wstydz się. Swój chłopak jestem! Ja się położę na kozetce, pod oknem.

Honorka weszła za zasłonkę, zdjęła bluzkę, spódnice i szybko wsunęła się pod pierzynę. Przykryła się po same uszy. Czuła, jak zmarzniete nogi powoli zaczynają się rozgrzewać. Powieki opadły, wszystkie obawy gdzieś odpłynęły i zasnęła mocnym snem młodości. Nie słyszała, kiedy Felek podszedł do łóżka

i położył się obok niej. Przez sen poczuła jakieś dotknięcia.

– Kto to? Co się dzieje? – zamruczała, rozespana.

– Cii, cii, dziewczyno, nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Trochę się popieścimy. Zobaczysz, będzie fajnie. Polubisz to.

Poczuła na ustach jego wargi i łaskoczące wąsiki.

Ranek wstał ponury i dżdżysty. Przez niewielkie okno widać było zaciągnięte chmurami niebo. Honorka nie spała już, ale nie chciało jej się wstawać. Felka koło niej nie było. Na wspomnienie minionej nocy przeciągnęła się rozkosznie.

Zgrzytnął przekręcany w zamku klucz. Na progu stał uśmiechnięty Felek. W rękach niósł bułeczki i jakąś butelkę.

– Co widzą moje oczy? Królowna się obudziła! Jak się spało? – Przy dziennym świetle wyglądał jeszcze lepiej. Ubrany był dosyć starannie, miał ciemne, bujne włosy i zawadiacką minę.

– Przecież pan Felek wie, że spania to dużo nie było.

– Wiem, wiem. Myślałem, że spotkałem niewinną panienczkę. Minka skromna, niewiele się odzywa. A tu siurpryza! Mogę się uczyć od ciebie! Skąd ty, dziewczyno, to wszystko umiesz? Młoda, a taka doświadczona! Będą jeszcze z ciebie ludzie! Widać, że lubisz te figle!

Honorka się zarumieniła. Popatrzył na nią czule.

– Dzisiaj ja robię śniadanie, ale od jutra to moja królowa będzie Felka karmić. Zgoda?

– To ja jutro też mam tu być?

– A co? Źle ci ze mną?

– Przecież pan Felek wie!

– Jaki tam pan! Felek jestem! Po co wciąż gadać pan i pan. Chcesz ze mną mieszkać?

Honorka zastanowiła się przez chwilę. Właściwie dlaczego nie. Nie będzie musiała się użerać z diablętami Krysickich. Zawsze to lepiej być z jednym chłopem niż z jakimiś obcymi ludźmi, którym się trzeba wysługiwać!

– Jak pan Felek... – zająknęła się – jak Felek chce, to zostanę. Tylko trzeba będzie odebrać moje rzeczy od tych państwa, co u nich byłam.

– Nie bój nic, moja w tym głowa! A ty sobie leż i odpoczywaj.

Dobrze jej było z Felkiem. Dbał o nią, dawał pieniądze na drobne wydatki, zaprowadził na rewię. Oszołomiona Honorka patrzyła na kolorowe stroje, furkoczące spódnice, nogi tancerek odkryte do samych pośladków, a wszystko to błyszczące, aż się w oczach mieniło. A muzyka? Pierwszy raz w życiu słyszała takie piękne granie.

Ale najbardziej jej się podobało, jak dziewczęta tańczyły. Kiedy zaczęły wywijać nogami i robić różne figury, mocno ścisnęła rękę Felka. Policzki jej płonęły, delikatnie kiwała się w rytm melodii.

– No i co? Zadowolona? – wyszeptał.

Spojrzała na niego półprzytomnie. Nie mogła słowa wykrztusić. Kiwnęła tylko głową.

W drodze powrotnej nie odezwała się nawet jednym słowem, aż zdziwiony Felek zapytał, czy może jest na niego zła.

– Zła? Ja jeszcze nigdy taka rada nie byłam. Nie wiem, co mówić. Tak było pięknie, że aż mi się płakać chce!

Minęło kilka tygodni. Któregoś wieczoru Felek przyszedł do domu z kolegą.

– Honorka, zrób coś do jedzenia i daj butelczynę. Chcemy sobie ze Staśkiem pogadać.

Stasiak, wysoki, młody mężczyzna, wodził za nią wzrokiem. Podeszła do kuchni, nie mogła więc widzieć, jak mrugnął porozumiewawczo do Felka.

– Honorka, usiądź i wypij z nami. Podobasz się Staśkowi! Zobacz, jak mu się do ciebie ślepią świecą.

– To i co, że się świecą, Felkowa jestem!

Tamci wybuchnęli gardłowym rechotem.

– Jesteś, jesteś, wiadomo, że jesteś – uspokoił ją Felek.

Wypróżnili butelkę, potem drugą. Honorce zaszumiało w głowie. Felek z zalem popatrzył na puste szkło.

– Wy tu posiedźcie, a ja skoczę po flaszkę, co będziemy o suchej gębie gadać.

Po wyjściu Felka Stasiak przysunął się do Honorki. Położył rękę na jej szyi, zaczął gładzić piersi, kolana, uda. Odpychała go gwałtownie. Objął ją. Był silny, nie mogła mu się wyrwać. Jej opór wyraźnie go bawił.

– Nie broń się, dziewczyno, Felek dał mi przyzwolenie.

Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Honorka szarpała się i krzyczała.

– To nie może być, ja przecież jestem jego!

– Bo jesteś! Ale teraz będziesz moja!

– Jak to tak? Jak... – Nie zdołała dokończyć, bo Stasiak zaczął ją całować.

Kiedy wczesnym rankiem Felek otworzył drzwi, Staśka już nie było. Zapłakana Honorka siedziała skulona w kącie. W zaciśniętej ręce trzymała niewielkie zawiniątko ze swoimi rzeczami.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Nie wiem gdzie, może do Wisły – mówiła, szlochając. – Myślałam, że mnie trochę lubisz, że może ożenisz się ze mną, a ty? Obcego chłopca mi sprowadziłeś?

Podszedł wolno i pogładził jej włosy.

– Bardzo cię lubię, ale ja jestem wolny ptak, żenić się nie będę. Przestań płakać i posłuchaj, co ci powiem. Będiesz ze mną mieszkać, będę się tobą opiekował, a że czasem przyjdzie któryś z moich kolegów, żeby się trochę zabawić, to co w tym złego? Przecież ty to lubisz. W łóżku jesteś lepszą artystką niż te z rewii. Szkoda takiego cudu tylko dla jednego chłopca. A wiesz ty, ile można przy tym zarobić? Co ci szkodzi spróbować? Jak ci źle będzie, to zrobisz, co będziesz chciała. Ale na razie zostań! A zresztą gdzie ty pójdziesz? Na poniewierkę? A tu będziesz żyła jak pani! Zobaczysz! Kupię ci ładne szmatki, będziemy się bawić, chodzić na rewię, a może uda mi się wkręcić cię tam na tancerkę! I też będziesz mogła fikać nogami jak tamte dziewczyny. Nie bój nic, ze mną nie zginiesz!

W miarę jak mówił, Honorka była coraz spokojniejsza, oczy jej obeschły, a kiedy usłyszała o tańcu, błysnęła w nich radość.

– Felek, nie cyganisz aby z tą rewią?

– Co mam cyganic, przecież nieraz widziałem, jak tańczyłaś po mieszkaniu. Masz talent, dziewczyno.

Gdy podszedł i ją objął, Honorka nie zaprotestowała. Przytuliła się do niego całym ciałem.

– No widzisz, teraz jest fertig! Nie bój nic! Mówiłem ci już, że z Felkiem nie zginiesz. Delikatny chłopak jestem. Krzywdy ci nie zrobię i innym nie pozwolę. A jutro pójdziemy w sprawie tego tańca!

Niestety, z angażu do rewii nic nie wyszło, choć Felek dotrzymał słowa i zaprowadził Honorkę na próbę. Obejrzel ją dokładnie, kazali zatańczyć, zaśpiewać i orzekli, że na tancerkę ma za długie stopy, a głos, choć czysty i dźwięczny, jest całkiem niewyrobiony, więc nie nadaje się nawet do chóru. Trochę popłakała, że artystką jednak nie będzie, ale jakoś się z tym pogodziła.

Tak jak przewidywał Felek, klientów miała coraz więcej i właściwie nawet była zadowolona ze swego życia. Ciągłe coś się wokół niej działo, chodziła do różnych restauracji, wciąż otaczali ją mężczyźni. Czuła się bezpiecznie, bo Felek zawsze był w pobliżu i jeśli trafił się jakiś nieakuratny klient, wkraczał do akcji i jednym ciosem robił z tamtym porządek.

Kiedyś zebrała się na odwagę i napisała list do ojca. Czuła, że martwił się o nią. Nie podała jednak swojego adresu, więc odpowiedzi nie dostała.

Minęło kilka lat. Interes szedł świetnie. Felek wynajął większe mieszkanie, Honorka miała swój pokój, gdzie panowie mogli ją odwiedzać bez skrępowania.

A przychodziło ich wielu. Była dobrze znana w warszawskim półświatku, wołali na nią „Ruda”. Lubiła to przezwisko, bo wyróżniało ją spośród innych dziewczyn.

Koleżanki zazdrościły jej Felka. Nie bił jej nigdy, grosza nie skąpił, nie tak

jak inni alfonsi.

Kiedy skończyła dwadzieścia lat, była już prawdziwą pięknoscią. Troszkę przytyła, ale miała zgrabną sylwetkę. Duże, jędrne piersi sterczały wyzywająco i bawiło ją, gdy mężczyźni nie mogli oderwać od nich wzroku. Gładką twarz zdobiły wielkie, brązowe oczy, włosy wiły się kasztanowymi puklami. Ubierała się zawsze starannie, można powiedzieć, elegancko. Nabrała pewności siebie, zaczęła palić papierosy i nie gardziła alkoholem. Miała szampański humor, była duszą każdego towarzystwa. Chętnie śpiewała i tańczyła.

Czasem, w rzadkich chwilach samotności, przychodził jej na myśl ojciec. Zastanawiała się, jak też on teraz wygląda, czy jest zdrowy. Wreszcie poprosiła Felka, żeby pozwolił jej pojechać do domu. Zgodził się bez zbędnego gadania.

Jechała drugą klasą, bo Felek dał jej sporo pieniędzy i powiedział, żeby nie żałowała grosza na podróż. Patrzyła na migające za oknem wsie i miasteczka i myślała, co powie ojcu, jak też on ją przyjmie, czy wpuści za próg.

Kiedy wysiadła z pociągu, przeszłość jak żywa stanęła jej przed oczami: i tanta ucieczka do Radziwiłłowa, i ta druga, do Warszawy. Jak to dawno było! Ile się zmieniło od tego czasu! Jak ona się zmieniła!

Wolno szła spokojną ulicą i rozglądała się dokoła. Widziała mizerne domki, smutnych i szarych ludzi. Jakie to liche miasteczko. Nie ma jak Warszawa. Tam jest prawdziwe życie!

Z mocno bijącym sercem otworzyła drzwi. Ojciec siedział przy kuchni i nożem rozdrabniał drzazgi do podpalania ognia. Popatrzył na nią jak na nieznaną. Nie dziwota! Kiedy widział ją ostatni raz, była chudym, piegopatym podlotkiem. Teraz stała przed nim elegancka młoda kobieta w szykownym kapelusiku.

– A pani tu kogoś szuka?

– Tatusiu, to ja, Honorka!

– Honorka? – Nie mógł własnym uszom uwierzyć. – Honorka? Moja córunia? – Rozpłakał się. – Wiedziałem, że w końcu przyjedziesz, że nie zapomnisz tak całkiem o starym ojcu.

Objął ją i mocno przytulił. Wzruszona, patrzyła w jego dobre oczy, widziała twarz pokrytą siateczką zmarszczek i siwe pasemka w kruczonych dawniej włosach. Schyliła się do jego ręki, żeby ukryć wzruszenie. Ojciec gładził jej ramiona i powtarzał:

– Honorka, Honorka, moja córeczka, tak długo cię nie było. Ale teraz już nie odjedziesz? Prawda?

Macocha ledwo na nią spojrzała.

– Dzień dobry – grzecznie zwróciła się do Marianny dziewczyna.

– Dla kogo dobry, to dobry, dla mnie nie!

Fela przypadła do Honorki, ale Franciszkowa burknęła coś i dziewczynka

posłusznie odsunęła się na bok. Młodsze dzieci nie wiedziały, kim jest ta śliczna pani.

Wytrzymała w domu trzy dni. Jedna izba, pełno dzieci, postarzały i chory ojciec, potulnie słuchający żony. Macocha, nasrożona i nieprzystępna, twardą ręką trzymała rodzinę. Córki w mig wykonywały każde jej polecenie. Honorka patrzyła zaskoczona, jak Franciszkowa, stojąc przy kuchni, jakimiś pomrukami i krótkimi słowami przykazywała, by podały łyżkę, nóż czy inną rzecz, leżącą poza zasięgiem jej ręki. Dziewczynki stały rządkiem i z uwagą śledziły każdy ruch, każdą minę matki. Dyscyplina stale leżała na podorędziu.

Nic się ta baba nie zmieniła, pomyślała Honorka. Nadal jest taką wiedźmą jak dawniej. Wytresowała dzieciaki jak małpy w cyrku i wciąż rodzi kolejne. Znów ma brzuch pod sam nos. Dokąd tak można? Ma już przecież swoje lata! Jak to dobrze, że ona, Honorka, stąd się wyrwała. W Warszawie jest całkiem inaczej. Takie życie jak tu to nie dla niej!

Porozmawiała trochę z ojcem. Pytał ją, gdzie pracuje. Musiała się pilnować, żeby nie wygadać prawdy. Co by ojciec zrobił, jakby mu opowiedziała o sobie, o Felku, o szemranym towarzystwie, w którym się obracała? Chyba by mu serce pękło!

Macocha też ją wypytywała. Nakłamała więc, że jest służącą i ma bardzo dobrych państwa. Chce, niech wierzy, a nie chce, to jej sprawa. Wreszcie spakowała swoje rzeczy, dała dzieciakom przywiezione z Warszawy cukierki i z wyraźną ulgą wyjechała z rodzinnego domu. Tylko ojca było jej żal.

DZIEŃ ZA DNIEM

Marianna schodziła ze strychu po stromej drabinie. Stąpała ostrożnie. Przeszkadzał jej wydatny brzuch, a wielkie naręcze suchej jak wiór bielizny całkiem zasłaniało szczeble. Musiała kilka razy obracać, żeby wszystko przynieść. Bielizna piętrzyła się na łóżku, więc Marianna czym prędzej wzięła się do składania. Nabierała w usta wody i pryskała na każdą sztukę. Potem równiutko wszystko poukładała, zwinęła w wielki walek i zapakowała w magłownik. Franuś będzie musiał jej pomóc, bo sama nie da rady zanieść do magła tego ciężaru.

Zupa bulgotała na kuchennej płycie, dzieci bawiły się spokojnie, Franciszkowa wzięła się więc do prasowania mężowskich koszul. Co parę minut wyjmowała z żelazka duszę i wkładała do kuchennego paleniska, a kiedy ta czerwieniała od żaru, wyciągała ją zagiętym pogrzebaczem i wsuwała do żelazka. Ostrożnie zamykała maleńkie drzwiczki, zabezpieczające duszę przed wypadnięciem, a potem spluwała delikatnie na spód żelazka. Ślina znikiała, skwiercząc, co znaczyło, że można dalej prasować.

Bardzo dłużyła się Mariannie ta ciąża. Bolały nogi, brzuch przeszkadzał. Niechby już się to dziecko urodziło.

Coraz to spoglądała czujnym okiem na swoją gromadkę. Felcia huśtała na rękach Maniusia, mały był jakiś nieswój i od rana marudził. Wanda z Martą bawiły się szmacianą lalką, a Henio gryzł twardą skórę chleba. W mieszkaniu było cicho. Dzieci wiedziały, że nie wolno hałasować, bo matka zaraz skarci surowo albo i dyscypliną po nogach przeciągnie.

– Mamusiu, Maniś jest jakiś taki czerwony, czy on aby nie chory?

Felcia z troską spoglądała na braciszka. Był jej ulubieńcem, wciąż nosiła go na rękach, jakby był wielką lalą, wymyślała dla niego bajki i opowiadała je z przejęciem, a malec słuchał, wpatrując się w nią wielkimi, czarnymi oczkami.

Marianna popatrzyła na dziecko.

– Może mu coś usiadło na żołądku, naparzę rumianku.

Pod wieczór Maniś dostał gorączki i zaczął popłakiwać. Wciąż trzeba było go sadzać na nocnik. Narzekał, że brzuszek go boli.

Prawie całą noc Franciszkowa niańczyła dziecko. Zasnęła dopiero nad ranem, a wtedy zaczął płakać Henio, wzięła więc synka na ręce i uspokajała, żeby nie zbudził brata. Wreszcie zmęczona, położyła się z Heniem do łóżka, coś mu szeptała, aż oboje zmorzył sen.

Miała nadzieję, że rano przyniesie poprawę, ale, niestety, Maniusiowi wcale nie było lepiej. Kaprysił, popłakiwał, a Henio, słysząc to, przyłączał się do brata. Dostał wreszcie od niewyspanej matki klapsa i rozbeczał się na dobre.

Marianna napoiła Maniusia miętą, potem dała mu rycyny, a wreszcie gorzkiej soli. Nic nie pomagało. Dziecko było rozpalone i obolałe. Fela nie poszła do szkoły i cały dzień zajmowała się braciszkiem. Nie odstępowała go na krok.

Kiedy Franciszek wrócił z pracy, dziecko leżało rozpalone i bardzo chore.

– Franiu, muszę chyba jutro z rana iść do Olczakowskiego, wszystkim, co mogłam, ratowałam Maniusia, ale nic mu nie pomaga. Już nie wiem, co mam robić.

– Jak uważasz, Manieczku! Może niech Felcia zostanie z dzieciakami, a ty z nim idź.

Doktor Olczakowski mieszkał w Rynku. Był bardzo ceniony przez ludzi za wiedzę i podejście do pacjentów. Popatrzył uważnie na Maniusia, osłuchał, zajrzał do buzi, do oczu, zbadał puls, dotknął główki, spytał, jak długo trwa ta gorączka. Wypisał receptę, kazał dokładnie odmierzać lekarstwo i podawać co trzy godziny.

Minęły dwa dni, a małemu wcale się nie poprawiało. Leżał z zamkniętymi oczkami, nie płakał już nawet, kwilił tylko cichutko. Gdy przestał reagować na jej głos, Marianna przeraziła się nie na żarty. Zawołała Zofkę, bo Felcia była w szkole, i kazała jej, a jeszcze lepiej jej córce, migiem sprowadzić doktora. Niestety, wyjechał do pacjenta, mieszkającego kilka kilometrów pod miastem. Drugi lekarz, po którego poszła dziewczyna, leżał w łóżku złożony jakąś chorobą. Kobiety bezradnie patrzyły na bladą buzię i pokryte potem czoło dziecka.

– Zofka, co ja mam robić? Chyba zgłupieję od tych nieszczęść! Już mi się w głowie miesza!

– Usiądź, zaraz Franciszek z roboty wróci, może coś zaradzi. Zawsze co chłop, to chłop!

– A co on tam pomoże, zawsze sama muszę o wszystkim myśleć. Panie Boże, dopomóż! Daj siły!

Miała rację, że mąż niewiele zdziała. Popatrzył bezradnie na synka, na żonę, usiadł przy stole i podparł głowę rękami.

– O, moje niebożątko, co z tobą będzie?

Marianna spojrzała na jego przygarbione plecy i nagle wstąpiła w nią jakaś niezwykła energia.

– Franuś, nie ma co biadolić. Bierz Maniusia na ręce, tylko owiń go chustą, żeby miał ciepło, lecimy do doktora. A ty, Fela, zostań z dzieciakami.

Nie musiała nawet tego mówić! Fela, jako najstarsza, zawsze miała oko na rodzeństwo. Nieraz zazdrościła innym dziewczynkom, że mogą się bawić i biegać. Ona zazwyczaj, owinięta chustą, niańczyła na rękach któregoś bliźniaka, a przy okazji spoglądała na młodsze siostry, które wciąż pałętały się w pobliżu.

– A może by doktora sprowadzić do nas? – nieśmiało zapytał Franciszek.

– Nie mędrkuj, rób, co mówię.

Doktor jadł właśnie spóźniony obiad, gdy Szymczakowie zapukali nieśmiało do jego drzwi.

– Co? Nie pomogło to lekarstwo? Dlaczego nie przyszlście wczoraj? Przecież on już ledwo dycha!

Marianna przypadła do ręki lekarza.

– Panie doktorze, niech go pan ratuje, niech go pan ratuje!

Bezradnie rozłożył ręce.

– Dam mu inne lekarstwo, ale nie wiem, czy to na wiele się zda. Drogie jest. Stać was będzie na wykupienie?

Zdarzało się, że nie tylko nie brał zapłaty od biedniejszych pacjentów, ale dawał im nawet pieniądze na leki.

– Czy stać? Żebym miała ostatnią koszulę sprzedać i boso chodzić, to wykupię! Przecież to moje dzieciątko, mój synekzek kochany. Tyle już dzieci straciłam! – Marianna zanosła się płaczem.

– Idźcie do domu, trzeba czekać, ja tu niewiele mogę. Będzie, jak Bóg zechce. Módlcie się o cud.

Cudu jednak nie było.

Pod wielkim dębem, obsypanym bladozielonymi, wiosennymi listkami, klęczeli Szymczakowie przy świeżo usypanych mogiłkach. Tydzień po pogrzebie Manusia odszedł także Henio. Doktor powiedział, że to taka choroba, na którą jeszcze nie ma lekarstwa i bardzo szybko dzieci zabija, mieli szczęście, że starsze jej nie złapały.

Marianna głośno szlochała. Franciszek nie mógł jej odciągnąć od małych grobów.

– Chodź już, Manieczku, do domu, późno się robi. Dzieci same zostały. Chodź już. Kawał drogi przed nami.

On też miał mokre oczy. Nie mógł pogodzić się ze stratą bliźniaków. Nagle Marianna poczuła ostry ból w podbrzuszu.

– Franiu, chyba się zaczęło, będę rodzić!

– Tu, na cmentarzu? Musimy iść do domu! Dasz radę?

– Nie wiem. Chodźmy!

Byli już na Stodólnej, koło mostu, gdy zgięła się wpół.

– Franiu, dalej nie mogę, wody odchodzą. Będziesz musiał mi jakoś pomóc, dziecko bardzo się pcha!

Franciszek z przerażeniem spojrzał na wykrzywioną bólem twarz żony.

– Przecież nie poradzę! Sam! Tu, przy drodze? Poczekaj, jedzie jakiś wóz, poczekaj! – wołał rozpaczliwie.

Gdy furmanka znalazła się przy nich, błagalnym głosem zwrócił się do woźnicy:

– Gospodarzu, pomóżcie, żona mi zasłabła, podwieźcie nas do domu.

Z trudem wtaszczyli Mariannę na wóz. Położyli ją na jakichś workach. Przy każdym jęku kobiety chłop podejrzliwie oglądał się do tyłu.

– Co się tej waszej stało?

– Rodzić będzie! Pośpieszcie się trochę!

– Nie da rady, mój koń niezwyčajny!

Franciszek zacisnął ręce i przygryzł wąsa.

Wreszcie dojechali na Jagiellońską.

– No, zdążyliśmy, Bóg wam zapłać, gospodarzu, za dobre serce. Pomodłę się za wasze zdrowie.

– Franiu, nie marudź już, niech Fela prędko leci po Stańczykową! Prędko!

Po niedługim czasie w łóżku obok matki leżała prześliczna dziewczynka, podobna jak kropla wody do tej urodzonej czterdzieści jeden lat wcześniej przez Józefową, w komórce u organiściny.

Franciszek popatrzył na maleństwo, przeżegnał się i powiedział niepewnym głosem:

– Manieczku, może damy jej na chrzcie Marianna, po tobie?

Jego żona oczy miała zamknięte, po jej policzkach płynęły łzy.

Marysia rosła jak na drożdżach. Była prześlicznym dzieckiem, miała wielkie, czarne oczy, długie rzęsy, ciemne brwi i czarne włosy układające się w loczki. Kiedy Szymczakowie szli na niedzielną mszę, otoczeni swoją gromadką, przechodnie, a zwłaszcza kobiety, z ciekawością spoglądały na dzieci, a najczęściej na Marysię, niesioną przez Franciszka na rękach. Niejedna myślała, że to z pewnością jakieś paniątko, dane pod opiekę tym prostym ludziom.

Najmłodsza córka trochę zapełniła Mariannie pustkę po stracie bliźniaków. Nawet na cmentarz rzadziej teraz chodziła. Zajęta codziennymi obowiązkami, powoli godziła się z losem. I modliła się często. Ogarnęła ją jakaś niezwykła pobożność. Kiedy tylko miała wolną chwilę, brała Marysię na ręce i szła do kościoła. Klękała na twardej posadzce i żarliwie odmawiała pacierze. Dziecko czasem popłakiwało, czasem spało. Marianna nie zwracała na córkę uwagi. Szeptala zdrowaśki, a jej myśli wracały do przeszłości. Odmawiała kolejne pacierze za matkę, Wojtusia, Stasia, Michała, za wszystkie swoje zmarłe dzieci. Rozpamiętywała własne życie. Jak to możliwe, żeby jeden człowiek mógł znieść tyle nieszczęść?

Wieczorami często klękała ramie w ramie z mężem i modlili się razem. Franciszek od zawsze był bardzo pobożny i jakoś łatwiej godził się z dopustami, które na nich spadały. Tłumaczył żonie, że kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła. Ksiądz przy spowiedzi też jej to samo mówił. Czasem jednak Marianna, mrużąc oczy, spoglądała w niebo, zaciskała usta i powtarzała w myślach, że już

dosyć, że więcej nie da rady wytrzymać.

Julia była bardzo szczęśliwa. Mówiła, że przeżywa największą miłość swojego życia. Tą miłością była maleńka Klara, córeczka jej ukochanej Karoliny. Julia mieszkała razem z dziećmi, mogła więc spędzać z Klarunią dużo czasu i cieszyć się, że wnuczka rośnie zdrowo i jest taka śliczna.

WIELKA ZMIANA

Franciszkowa wracała ze sklepiku Flekiera. Marny to był sklepik. Za zasłonką, dzielącą pomieszczenie na pół, mieszkał właściciel z rodziną. Przy drzwiach stała beczka ze śledziami, a na koślawym stoliku, pełniącym funkcję lady, słoje z landrynkami. Ale śledzie u Flekiera były wyjątkowo smaczne.

Marianna zatrzymała się w bramie prowadzącej na podwórko i w pośpiechu ogryzała kupionego przed chwilą tłustego ulika. Nie chciała, by zobaczył ją Franciszek, który od dłuższego już czasu musiał przestrzegać diety i przykro by mu było patrzeć, jak żona zjada taki przysmak, a on tylko ślinkę może łykać. Ostatnio coraz częściej narzekał na bóle, jakieś pieczenie, zgagę i Marianna martwiła się o niego.

Jadła szybko, żeby któraś z sąsiadek nie zauważyła i nie śmiała się z niej. Śledź, wyjęty wprost z beczki, był słony, sól aż szczypała w język. Franciszkowa miała czasem takie dziwne „żądy”, prawie jakby była przy nadziei. Wiedziała jednak, że tak nie jest i nie będzie, nie da już Franiowi syna. Od urodzenia Marysi przestała mieć swój okres. Początkowo zastanawiała się nawet, czy przypadkiem następne dziecko nie jest już w drodze. Co prawda, dopóki karmiła małą, było to raczej mało prawdopodobne, przecież przez tyle lat nigdy tak się nie stało, ale lichy nie śpi. Wreszcie, kiedy minęło kilka miesięcy, upewniła się ostatecznie, że Pan Bóg się nad nią zlitował. Koniec z dużym brzuchem, karmieniem, przewijaniem, dziecięcymi chorobami. Koniec! Żal tylko, że nie mieli choć jednego syna.

Odrzuciła ogryzione ości do rynsztoka i ruszyła żwawym krokiem w stronę mieszkania. Nagle usłyszała jakiś hałas, na podwórku ktoś głośno krzyczał. Felcia biegła w jej stronę co sił w nogach.

– Mamusiu, szybko, szybko, koń ugryzł Wandzię w głowę, leży na ziemi i się nie rusza.

Przypadła do dziecka. Wandzia była blada, oczy miała zamknięte, ale oddychała. Nie widać było rany ani krwi. Marianna chwyciła córkę na ręce, zniosła do mieszkania i położyła na łóżku, a potem głaskała ją delikatnie. Przyszło kilka sąsiadek i każda po swojemu zaczęła radzić, co teraz robić. Zapanował zamęt i rwetes. Marianna płakała, najpierw cicho, potem zaczęła krzyczeć, zsunęła chustkę i szarpała włosy. Zachowywała się, jakby postradała zmysły. Wreszcie Zofka energicznie potrząsnęła ją za ramię.

– Maniu, przestań, uspokój się, kompres trzeba dziecku położyć, gdzie masz ocet i jakąś szmatę?

– Tak, tak, zaraz, zaraz coś poszukam. Masz rację, kompres. – Marianna jakby trochę oprzytomniała.

Nie odstępowała córki nawet na chwilę. Wandzia przez kilka godzin leżała jak nieżywa. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, popatrzyła dokoła, marszcząc czoło, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie jest.

– Wandziu, dziecko kochane, odezwij się do mnie. Poznajesz mnie? Powiedz! Poznajesz?

– Mamusia.

– Oprzytomniała, chwała ci, Panie na niebiosach!

Nagle dziewczynka zacisnęła powieki i jej drobne ciało zaczęło dygotać.

– Wandeczka, zimno ci, zaraz cię pierzyną okryję.

Po chwili dziecko się uspokoiło.

– Chyba zasnęła, sen dobrze jej zrobi, niech śpi, a wy też kładźcie się do łóżka – zwróciła się do córek. – Fela, pomóż Marci i Marysi.

Kiedy dziewczynki leżały już przykryte puszystą pierzyną po same nosy, zawołała najstarszą córkę.

– Felcia, chodź no do mnie i powiedz, jak to było z tym koniem. Dlaczego nie pilnowałaś Wandzi, niedobra dziewczyno? Taka duża już jesteś, a głupia.

Fela rozplakała się gwałtownie.

– Nie becz, tylko mów!

– Grałyśmy w klasy, a Marysi pilnowałyśmy z Wandzią na przemian. Była Wandzi kolejka, żeby skakać. Dzisiaj na podwórku stało bardzo dużo furmanek, kował się guzdrał. Konie rżały i okropnie się kręciły. Wandzia odskoczyła od takiego, co wierzgał, ale nie wiedziała, że za nią stoi taki wielki, czarny jak diabeł. Wołałam, żeby uciekła, ale ona stała, jakby nie słyszała. Koń wyciągnął szyję i uderzył Wandę pyskiem w głowę. Jak upadła, to ją Janek Kędziorów odciągnął, bo nie wiem, co by z nią było. Chybaby ją ten koń na śmierć kopytami zatłukł.

Fela pochlipywała żałośnie.

– O mój Boże, mój Boże, jak to o nieszczęście łatwo. Dobrze, że ten Janek taki przytomny. Muszę mu dać parę złotych na cukierki, należy mu się!

Następnego dnia Wandzia narzekała na silny ból głowy. Chodząc po mieszkaniu, przytrzymywała się sprzętów i zataczała się jak pijana, więc matka kazała jej wracać do łóżka. Tak było przez kilka następnych dni. Wreszcie poprawiło jej się na tyle, że mogła już chodzić, tylko coś się stało z jej mową. Dziewczynka zacinała się i sepleniała, źle wymawiała wyrazy, a czasem mówiła jakieś słowo całkiem na opak. Dzieciaki na podwórku śmiały się z niej i dokuczały, że bełkocze. Ale nie to było najgorsze! Co jakiś czas zdarzało się Wandzi coś dziwnego. Przystawała na chwilę mówić i zaczynała dygotać, jakby jej było bardzo zimno. Po paru minutach to mijało i ogarniała ją senność, wtedy kładła się, gdzie popadło, i w mig zasypiała.

Franciszkowa zastanawiała się, co to może być. Pytała też sąsiadek. Myślały, myślały, aż w końcu uradziły, że trzeba trochę poczekać, bo ten koń pewnością

poprzestawiał Wandzi klepki w głowie i musi trochę czasu minąć, żeby wszystko się ponaprawiało.

Lato miało się ku końcowi. Na rachitycznych drzewkach rosnących koło śmietnika liście zaczynały żółknąć. Zrobiło się chłodno i ludzie musieli zrezygnować z wieczornego przesiadywania na podwórku i pogaduszek, czasem do późnej nocy.

A przecież tak chętnie siadali na ławeczkach, stołkach albo schodkach prowadzących do sieni. Dzieciaki miały swoje zabawy, a kiedy się ściemniło, zmęczone hasaniem, przysiadły przy dorosłych i słuchały sennie płynących rozmów. Czasem któreś zasnęło, a potem, obudzone przez matkę, spoglądało nieprzytomnym wzrokiem, zdziwione, że już noc i trzeba iść do łóżka.

Kiedy nastawały jesienne chłody i wszystkim brakowało tych podwórkowych spotkań, zbierali się w mieszkaniu coraz to u innego sąsiada, by wypełnić czas przed snem. W ciasnych pomieszczeniach nie było dosyć krzeseł ani stołków, przynosili więc ze sobą coś do siedzenia i wykorzystywali każdy wolny kącik. Dzieci wciskały się między dorosłych. Lampa naftowa rzucała nikłe światło, a czasem, dla oszczędności, całkiem ją gaszono. Błyskały tylko skąpe refleksy ognia, wydobywające się spod blachy. Za oknem pluskał deszcz, zawodziła wichura, a w izbie toczyły się pogaduszki, które cichły, gdy ktoś zaczynał opowieść o jakimś niezwykłym zdarzeniu, a najlepiej o duchach. Im było dziwniej i straszniej, tym chętniej i z większym zainteresowaniem wszyscy słuchali.

Często Franciszkowa pierwsza zaczynała mówić. Jej silny, dźwięczny głos, nawykły do dyrygowania w domu, docierał do wszystkich uszu, nawet głuchawych.

Tamtego wieczoru u Zofki, bo właśnie u niej odbywało się kolejne sąsiedzkie spotkanie, zaczęła tak:

– Miałam ze siedem, może osiem lat, ale pamiętam dokładnie, jakby to dziś było. Wracaliśmy z Głuchowa, z odpustu. Zrobiło się późno, bo chłopcy długo zamarudziły w karczmie. Kiedy w końcu wszyscy się pozbierali, zrobiło się już prawie ciemno. Jechaliśmy dosyć długo, bo do Żelaznej szmat drogi. Wóz ciągnęły dwa konie.

Byliśmy już blisko domu, został jeszcze tylko kawałek przez las, gdy nagle konie się zatrzymały. Najpierw stały spokojnie, a potem zaczęły wierzgać, strzyc uszami i głośno rzeć. Wszystkich obleciał strach. Rozglądaliśmy się dokoła, ale że noc już zapadła, niewiele widzieliśmy. Nagle, mimo ciemności, zobaczyliśmy małego kotka pośrodku drogi. Konie szalały coraz bardziej, stawały dęba, szarpały wozem. Bałam się, że wypadnę.

Nagle kotek zaczął rosnać. Przecieramy oczy, a on rośnie i rośnie, jest coraz

większy, aż zrobił się wielki, prawie jak cielak. Sierść na nim zjeżona, oczy płoną jak węgle. Wszyscy zdrętwieli. Ze strachu nikt nie mógł ręką ni nogą ruszyć.

Przerwała na chwilę i popatrzyła po obecnych, żeby zobaczyć, jakie wrażenie robi na nich ta historia. Sąsiedzi słuchali w napięciu, słyhać było tylko głośne oddechy i posapywania, jakieś pojedyncze „ochy” i „achy”. Zadowolona Marianna mówiła dalej:

– Wszyscy zdrętwieli, nikt nie wiedział, co robić, aż woźnica, najprzytomniejszy z chłopów, przełożył bat do lewej ręki i prawą zrobił w powietrzu znak krzyża. I wtedy... kot miauknął tak okropnie, tak przeraźliwie! Ludzie, do dziś to słyszę, i... – tu zawiesiła głos – i... zniknął.

Słuchacze odetchnęli z ulgą.

– Mówcie, Franiowa, mówcie! I co było dalej?

– Ano co. Konie powoli się uspokoiły i ruszyły. A my zaczęliśmy odmawiać różaniec. Oj, straszne to było. Do dzisiaj, jak to wspomnę, włos mi się na głowie jeży.

Po izbie przeszedł szmer, dorośli kiwali głowami, dzieciaki ze strachu podkurczyły nogi. Zapadła cisza.

Stary Madej prychnął z niedowierzaniem.

– E tam! Musiałaś, Franiowa, zasnąć na tym wozie i przyśniło ci się to wszystko.

– Jakie przyśniło, jakie przyśniło, inni też widzieli i jeszcze długo o tym gadali.

– No, może i tak – Madej ustąpił niechętnie – ale teraz ja opowiem, proszę ja was, co sam przeżyłem, a miałem już wtedy swoje lata i mnie na pewno to się nie przyśniło. Szczerą prawdę wam opowiem, jak tu szczęśliwie siedzę! – zaklinał się.

Na te słowa Franciszkowa tylko wzruszyła ramionami.

– Mówcie, Madej, nie marudźcie, mówcie!

– Będzie jakie dziesięć lat temu, proszę ja was, wracam ja z roboty do domu. A trzeba wam wiedzieć, że mieszkałem wtedy na Feliksowie, kawałek za cmentarzem. Długo nas majster przytrzymał, bo musieliśmy terminową robotę skończyć. Było zimno, kropił deszcz. Minąłem most na Stodólnej i wtedy pojawiła się koło mnie jakaś kobieta, cała na czarno. Zrównała się ze mną, proszę ja was, i szła koło mnie. Nic nie mówiła, a ja nie śmiałem zagadać. Spódnica jej furkotała na wietrze, a woalka przy kapeluszu zasłaniała twarz. Kobieta odwracała się ode mnie, nie mogłem jej zobaczyć. Szliśmy razem, ramię w ramię, ładnych parę minut. Dochodzimy do cmentarza, proszę ja was, a zegar na kościele bije północ. Wtedy tamta skręciła do cmentarnej bramy, obejrzała się, podniosła ręce i zaczęła odsłaniać woalkę... zamknąłem ze strachu oczy, a jak otworzyłem, znikła już za bramą. Mnie włosy stanęły dęba. O północy na cmentarz? Ludzie, taki byłem przestraszony, że puściłem się biegiem jak młodzieniaszek. Wpadłem, proszę ja

was, do domu, żona mnie zobaczyła i woła: „Walenty, coś ty taki zgoniony, jakbyś ducha zobaczył?”

A ja nie mogłem tchu złapać ani słowa wymówić! Zęby mi szczękały ze strachu. Kiwnąłem tylko głową, a moja przeżegnała się i mówi: „Walenty, pewno coś ci się przywidziało, ale na wszelki wypadek zmów modlitwę za dusze w czyśćcu cierpiące”.

Dopiero rano jej opowiedziałem, co mi się pod cmentarzem zdarzyło, to od tego czasu, proszę ja was, wieczorem sama z chałupy nosa nie wyściubiła, nawet do wychodka musiałem z nią chodzić.

Siedząca obok Madejowa, zasluchana w opowieść męża, kiwała potakująco głową.

– Tak było, słowo w słowo! Bóg mi świadkiem! Tak było! – dodała, żeby lepiej wszystkich przekonać.

Słuchacze nie ochłonęli jeszcze po tej mrożącej krew w żyłach opowieści, gdy zaczęła gadać stara Dybowa.

– Wiecie przecież, że mój Konstanty, świeć, Panie, nad jego duszą, pomarł, będzie temu ze dwa lata. Ale ja wiem, że on ciągle jest z nami. Snuje się wciąż po mieszkaniu. Poskrzypują graty, zasłonka w oknie się porusza, Azor kręci się niespokojnie i sierść mu się jeży na grzbiecie. Kiedyś to miałam wielkie zmartwienie, Stasia taka była chora, a ja po lekarza nie mogłam iść, bo w domu ani grosza! Stałam przy kuchni, gotowałam zupę dla dzieci i myślałam: Kostuś, pomóż mi, daj mi jakiś znak, bo całkiem nie wiem, co robić! Nagle jak coś nie huknie o podłogę. Patrzę, a to taka wielka pokrywa! Sama przecież nie spadła! To Kostuś! Ja wiem, że to on! I wtedy jakby mnie coś w głowę walnęło, jakbym jego głos usłyszała: Pożycz od Szymczakowej, pożycz od Szymczakowej! I Szymczakowa mnie poratowała! To Kostuś mi taką myśl dał!

Wszyscy nieomal widzieli, jak duch Kostka buszuje po izbie. Brr! Powiało śmiertelnym chłodem. O, tak, niełatwo żyć z taką marą pod jednym dachem. Dzieciaki ze strachu powchodziły matkom na kolana. Oczy miały jak błyszczące guziczki, a buzie czerwone z emocji.

No, na dzisiaj dość. Oczy już się wszystkim kleiły, więc sąsiedzi życzyli sobie dobrej nocy i wolno zaczęli się rozchodzić. Jak jednak dojść do mieszkań? Wszędzie ciemno, a trzeba przejść przez różne sionki, korytarzyki, zakamarki. Rozhuśtana wyobraźnia stawiała przed oczami jakieś okropności. Wydawało się, że za każdym załomem czyha kościsty upiór albo białe, powiewające na wietrze widmo. Trzeba szybko wpaść do mieszkania, najszybciej, jak się da, zrzucić ubranie, wskoczyć do łóżka i naciągnąć na głowę pierzynę, pod którą jest nie tylko ciepło, ale i bezpiecznie.

U Franciszkowej jednak to nie takie proste! Dzieci najpierw musiały się umyć, odmówić pacierz, zdjąć wierzchnie ubranie, pocałować na dobranoc rękę

mamy, bo tata od dawna już spał, i dopiero wtedy można było dać nura pod pierzynę.

Czasem po tych opowieściach dziewczynki spały niespokojnie, śniły im się jakieś koszmary, ale następnego dnia nie mogły się doczekać, kiedy pójda na wieczorne opowieści.

Było ciepłe, wrześnie po południe, dzień płynął wolno, trochę leniwie. Kobiety gotowały obiad, dzieci siedziały na podwórku i niańczyły te młodsze, które jeszcze nie potrafiły chodzić, gdy nagle w jednym z mieszkań rozgorzała kłótnia. Słychać było jazgotliwy kobiecy głos i pojedyncze słowa, wtrącane od czasu do czasu basem. Kobiety wyległy na podwórko i ciekawie nadstawiły uszu.

– Gdzie to, u kogo?

– Chyba u Cabanów!

– Cabanka znowu swojego chreści!

– Ciekawe, co tym razem nabroił!

– Cichajcie, co ona tak się na niego wydziera, słyszycie, ale rozsierdzona, zaraz mu pewno kijem przyłoży!

Kobiety umilkły.

– Ty stary capie, ty niedojdo, ty diabelski chwoście, ty, ty... – Cabanowej zabrakło słów, co nieczęsto się zdarzało. – Ty cymbale, ty ośle darydanelski – podchwyciła watek. – Ty baranie! Żeby cię cholera utłukła! Toś nie widział, co robisz?

– Kiedy bo miska była taka sama! – Gruby głos Cabana zabrzmiał jakby niepewnie.

– Miska, miska! – przedrzeźniała jego słowa. – To ty smaku nie czuleś?

– Daj, babo, spokój! Co miałem czuć! A zresztą, i to białe, i to białe!

Cabanowa wybiegła z mieszkania na podwórko, a widząc stojące sąsiadki, chwyciła się za głowę i zaczęła lamentować.

– Nagotowałam temu łobuzowi kopytek, bo raniutko do lasu poszłam na patyki. Przykazałam, żeby zjadł koło południa, a ten, ten... – kobiecie znów zabrakło słów – wiecie, co zrobił? Zeżarł całą miskę słoniny, a kluski stoją, jak stały. Na miesiąc miała starczyć. Kupiłam na omastę, za ostatnie grosze. Pokroiłam, posoliłam, ułożyłam w misce, a ten, ten... zeżarł ją zamiast klusek! To swołocz! I jeszcze durnia udaje, że nie poznał, co jadł. O, ja biedna, nie wytrzymam już z tym cymbałem!

W głosie Cabanowej słychać było prawdziwą rozpacz. Kobiety pospuszczały głowy, żeby ukryć cisnące się na usta uśmieški. To ci heca! Caban pomylił kluski ze słoniną. Trochę żal im było sąsiadki. Biedna kobieta sama tyrała, żeby z głodu nie pomarli, bo z niego był okropny leń, a na dodatek straszny brudas. Wciąż nosił

te same stare, poszarpane łachy, a na głowie wielką baranicę, której nie zdejmował nawet w największe upały.

Najchętniej spędzał czas, stojąc pod bramą i czochrając swędzące od brudu ciało. Nigdy z nikim słowa nie zamienił, nikomu „dzień dobry” nie powiedział. Ale żeby pomylić kopytka ze słoniną?

Kobiety były przekonane, że specjalnie to zrobił, po prostu dogodził sobie. Niby to śmieszne, ale swoją drogą, nie ma ta Cabanowa lekkiego życia ze swoim chłopem. Dobrze, że im Pan Bóg dzieci nie dał, bo biedaczka całkiem by sobie nie poradziła. Powoli zaczęły się rozchodzić do mieszkań, z politowaniem kiwając głowami.

Marianna, wchodząc do siebie, z wdzięcznością wzniosła w górę oczy. Wciąż dziękowała Panu Bogu i Paniency Najświętszej za swojego męża. Taki porządny człowiek! I posłuchany! To ona rządziła w domu, jak chciała. Pieniądze, co zarobił, wszystkie jej oddawał, co do grosza. Przez palce na jej zachcianki patrzył. Pogodził się nawet z tym, że wciąż gości zapraszała, a to z okazji urodzin dzieci, a to chrztów czy pogrzebów, a czasem bez żadnej okazji.

Bo ona lubiła, kiedy zeszli się ludzie i mogła uczęstować ich dobrym jadłem. Chwalili ją za smaczne gotowanie. A i gorzałki zawsze trochę postawiła. Czasem, gdy wypiła kilka kieliszków, zaczynała wyśpiewywać, najchętniej piosenkę *Usta milczą, dusza śpiewa*. Nadal miała silny, czysty głos. A kiedy dochodziła do słów „kocham cię”, jej oczy zachodziły łzami, głos zaczynał drżeć, przymykała powieki i pojawiał się Michał! Jak żywy! Widziała wpatrzona w siebie roześmiane oczy pierwszego męża, widziała, jak rozciągał harmonię, a jego palce zręcznie biegały po klawiszach. Mój Boże, jak to dawno było, a ona wciąż pamięta! Tyle lat minęło, tyle się przez ten czas wydarzyło, miała Franciszka, dzieci, a o Michale nadal nie mogła zapomnieć.

– Mamusiu, przyniosłam cenzurkę, niech mamusia popatrzy. – Fela z dumną miną wyjęła z teczki niebieskawą kartkę. – Od góry do dołu same piątki!

Marianna, zajęta gotowaniem obiadu, ledwo rzuciła okiem w jej stronę.

– Włóż do szuflady, tylko bałaganu tam nie zrób. A z Wandzią co? Zdała do szóstej klasy?

– Zdała, zdała, też dostała cenzurkę, tylko idzie z młodszymi dzieciakami i została trochę w tyle. I Martusia też z nią jest.

– No właśnie, a Marta?

– Też zdała!

– No to dobrze. Zdejmij świąteczną sukienkę i bierz się do przepierki. Namoczyłam ci trochę waszych rzeczy, pewno już odmiękły. Możesz prać!

Feli łyzy zakręciły się w oczach. Mama była dla niej taka surowa! Nigdy nie

pochwalała, po głowie nie pogłaskała. Młodsze dziewczynki, zwłaszcza Marysię, często brała na kolana, przytulała, nawet całowała, a ją zawsze traktowała tak ostro! To ona, Fela, najczęściej dostawała lanie, choć przecież tak się starała, żeby mamusia była z niej zadowolona. Wandzia, chorowita, wciąż miała te dziwne ataki, Martusia to taka przylepka, do mamy podchodziła i za szyję obejmowała. To Fela najczęściej brała w skórę za psoty sióstr. Bez słowa chwyciła teraz wiadro i pobiegła po wodę. Mrużyła oczy i połykała łzy, żeby nikt nie zauważył, że płacze.

Wieczorem, kiedy dziewczynki posnęły, Marianna zwróciła się do męża. Mówiła cicho, żeby ich nie pobudzić.

– Franiu, co z tą Felą teraz robić? Szkołę skończyła! Może by ją gdzieś do służby oddać? Zarobi trochę i zajęcie będzie miała, nie będą jej głupoty do głowy przychodzić.

– Do służby? A mówiłaś, że na krawcową będziemy ją uczyć. Maszynę przecież po to kupiłaś!

– Niby prawda! Pogadam jutro z sąsiadkami, może mi co doradzą!

– Nie posyłaj jej do służby! Taka jest zdolna do igły, szkoda by jej było!

– Zdolna, zdolna, taka jak każda! Nie wiem, co ty w niej zdolnego widzisz.

– A chwaliłaś ją, że nauczyła się jakichś babskich robótek, że do szycia jest pojętna i jeszcze do czegoś tam! Ja się na tym nie znam!

– Faktycznie, ręce ma sprytne. Umie na drutach robić, Marysi szalik udzięgała i chusteczki ładnie obrabia szydełkiem. Ale to jej przecież utrzymania nie da.

– A to już rób, Manieczku, jak uważasz, ale do służby jej nie wysyłaj.

– A co ty złego w służbie widzisz? Czy to ona pierwsza? Musi przecież coś robić!

Franciszek westchnął ciężko i nakrył się pierzyną aż po samą głowę.

Przez szeroko otwarte okno z mieszkania Szymczaków dobiegał gwar. Plotkujące na podwórzu kobiety nadstawiły uszu.

– Ciekawe, dlaczego u nich taki rejwach, Franciszkowa zawsze dzieciaki ucisza, a dziś jak w żydowskim chederze.

– To nie wiecie, kobiety? Stefan przyjechał!

Brykowa, mieszkająca w tym podwórku od niedawna, zadziwiła się głośno.

– Stefan, jaki Stefan? A co to za ważna figura?

– A to nie wiecie, Brykowa? Syn Franciszka. Jak Franciszek się żenił z Marianną, bo mu jego Weronka pomarła, to miał już przecież dwójkę dzieci. Dawno to było. Stefek był jeszcze małym smykiem.

– Tak, tak, pamiętam. To był dobry chłopak.

– No, ale za to ta jego siostrunia, Honorka, to był ancymon! Od małego złe ją

nosiło. Franiowa mówi, że ona w Warszawie rogówką została! Obraza boska!

– Tfu! Wstydu nie ma, a z takiej przyzwoitej rodziny wychodzi, ojciec pobożny, Franiowa też porządna kobieta!

– Kto tam wie, co dziewczyna w tej Warszawie robi.

– Właściwie to nikt nie wie, bo przecież nikt tam nie był i nie widział!

– A Stefek wyuczył się szewstwa, ale jak go wzięli do wojska, to już do Skierniewic nie wrócił. Ożenił się gdzieś w świecie. Franiowa mówiła, że aż pod ruską granicą.

– Ciekawe, czy przyjechał z tą żoną?

Kobiety gadały jedna przez drugą, rade, że mogą wtajemniczyć nową sąsiadkę w podwórkowe sprawy. Nagle jak na komendę umilkły. W drzwiach do sieni ukazał się młody mężczyzna o bujnej ciemnoblonde czuprynie, zaczesanej zmyslnie na bok i trochę do góry, tak że tworzyła coś na kształt czuba. Ubrany w sportową marynarkę, bryczesy i oficerki, prezentował się bardzo elegancko, niczym jaki dziedzic.

– Dzień dobry miłym sąsiadeczkom! Witam, witam. A panie wciąż takie same, nic się przez te lata, kiedy mnie tu nie było, nie zmieniły! Nadal piękne i młode.

Na twarzach kobiet pojawiły się trochę zawstydzone uśmiechy. Stefan podchodził kolejno do każdej i szarmancko całował podawaną z pewnymi oporami rękę.

– Patrzcie go, jaki to greczny kawaler, a jaki wygadany! Kto cię tych grzeczności nauczył?

– Ano było się tu i tam. Widziało się to i owo!

Ośmielone jego miłym powitaniem, otoczyły go wianuszkiem i wzięły w obroty.

– A gdzie mieszkasz?

– Czy przywiozłeś żonę?

– Dzieci masz?

– A na długo przyjechałeś?

– Może na zawsze?

Stefan, trochę zaskoczony lawiną pytań, czekał, aż się uciszy. Wreszcie udało mu się dojść do głosu.

– Mieszkamy z żoną u jej rodziców w wiosce pod Wilnem, na razie dzieci się nie dochowaliśmy, a przyjechaliśmy na kilka dni, żeby rodzinę odwiedzić i z sąsiadami o starych czasach pogadać.

Zaspokoiwszy trochę ciekawość kobiet, uklonił się i odsunął na bok. Zza jego pleców wysunęła się młoda, śliczna kobieta o wielkich, czarnych oczach i puszystych włosach, zgodnie z nową modą podpiętych do góry.

– To właśnie Reginka, moja kochana żonka. Ładna, prawda? Aż na koniec

świata musiałem jechać, żeby taką ślicznotkę znaleźć.

Regina stała ze spuszczoneymi oczami, trochę zawstydzona. Stefan objął ją ramieniem i delikatnie, ale stanowczo, rozgarnął sąsiadki.

– Musimy iść, chcemy się trochę przejść po mieście. Regina jest z takiej dziury, że Skierniewice to dla niej ósmy cud świata.

Kobiety nie mogły ochłonąć ze zdziwienia. Aż do bramy prowadziły wzrokiem odchodzącą parę.

– Patrzajcie, ale się wyrobił, ale wygadany!

– No, ona też niczego sobie.

– Ładna dziewczyna, ale taka jakaś cicha, nic nie mówi.

– A co ma mówić, jak nikogo tu nie zna.

– Ale galant z tego Stefka!

– Ho, ho, udał się chłopak Franciszкови. Ciekawe, co też robi i jak na życie zarabia, może buty klepie?

– Za szybko poszli, nie zdążyłam się spytać.

– Pewno będzie jeszcze okazja pogadać, a może Franiowa więcej powie.

Powoli rozeszły się do swoich mieszkań.

Młodzi podążyli w kierunku rynku. Przechodnie spoglądali ciekawie na szykowną, nieznaną parę. Stefan trzymał żonę czule pod rękę i szli wolno, zatrzymując się przy wystawach sklepowych. Potem skręcili do kościoła. Głowa Stefana odwracała się za każdą ładniejszą kobietą. Regina nic nie mówiła, rozglądała się tylko uważnie, nie zwracając uwagi na męża.

– No to już widziałas prawie całe miasto. Takie to i miasto, trzy ulice na krzyż! Odprowadzę cię do domu i polecę do majstra, może który z chłopaków jeszcze u niego praktykuje?

– Tylko aby ty nie siedz za długo, bo co ja z twoją matką mówić będę – poprosiła śpiwnie.

– Matka nigdy mowna nie była, a teraz, w starszym wieku, pewno jeszcze mniej gada. Widziałas, jak usta zaciska? Chyba żeby się jej jakie słowo nie wyrwało!

– Nie bądź aby długo – powtórzyła.

– Dobrze, dobrze, zaraz wrócę.

Jednak okazało się, że to „zaraz” Stefana było jak żydowskie „aj, waj”. Majster ucieszył się na jego widok, powitał go serdecznie. Wysłał chłopaka po butelkę, a gość nie chciał być dłużny, postawił drugą i męskie rozmowy przeciągnęły się długo w noc. Kiedy skończyła się wódka i wszyscy mieli porządnie w czubie, Stefan pożegnał kompanów i chwiejnym krokiem udał się do domu. Dobrze, że nie musiał iść daleko, bo nogi mu się plątały, a ruchy miał bardzo niepewne. Regina, śpiąca w jednym łóżku z Felą, nie chcąc zbudzić dziewczynki, wstała cichutko i zaczęła pomagać mężowi przy rozbieraniu.

– Czego ty mnie, babo jakaś, dotykasz? Zabieraj łapy!

– Stefuś, przecież to ja, Regina, twoja żona, ty cicho bywiesz, bo cały dom obudzisz.

– Co za żona, czyja żona, ty mi tu, wstrętna babo, nie będziesz rządzić, wynoś się!

Marianna spojrzała na nich spod półprzymkniętych powiek. W bladym świetle z okna zobaczyła wymachującego rękami Stefana i pochlipującą Reginę, która się przy nim kręciła.

Przez chwilę leżała cicho i patrzyła spod oka na młodych. Kiedy jednak pasierb pchnął żonę, aż się zatoczyła na szafę, nie wytrzymała i zerwała się z łóżka. Musiała sama Stefka uspokoić, bo Franciszek był w robocie.

– Stefan, a co ty mi tu za burdy urządzasz, jak ty się zachowujesz, wstydu nie masz? To z ciebie taki diabeł, że jak wypijesz, to ci się ręce za długie robią? Jak się uchlałeś, to kładź się i śpij, bo mi dzieci pobudzisz. Już! Bez gadania!

Na szczęście pozostała mu jeszcze reszta respektu przed macochą. Spotulniał, jakby trochę oprzytomniał i legł grzecznie na przygotowanym sienniku. Po chwili dał się słyszeć ciężki oddech śpiącego Stefana.

– Regina, co ten twój chłop taki narwany? Często mu się to zdarza?

– No nie tak za bardzo. Tylko jak wypiwszy za wiele. Odkąd w służbie jest, to jemu trzeba trzymać się od wódki z dala, boby go jak nic z policji wyciepli. Najgorszy mnie strach bierze, jak zacznie karabinem majtać! Ja boiwszy się, że kiedyś, nie daj Pan Bóg, ustrzeli mnie albo kogoś i za kratki jemu przyjdzie pójść.

Regina popłakiwała i mówiła dalej miękkiem głosem, z zaśpiewem charakterystycznym dla ludzi z Kresów.

– Jak trzeźwy jest, do rany go przyłożyć, ale jak wypije, Panie Boże nie daj. Wszystkiego czepia się! Wykrzykuje, że dzieciuków nie mamy. A co ja temu winowata, widać Pan Bóg pobłogosławić nie chce!

– Ty tutaj płaczów nie urządzaj. Mąż to mąż. Jest najważniejszy. Trzeba o niego dbać i jego zachcianki spełniać. To opiekun i przyjaciel. Ciesz się, że nie ciągle jest taki jak dziś, że to tylko od czasu do czasu mu się zdarza. To chłop, jemu wiele wolno! A dzieciaka nie masz, boś widać niezdolna, brakuje ci pewno czegoś. Ja, nie chwalcę się, osiem razy rodziłam, raz bliźniaki miałam. Bóg zabrał wszystkich synków, same dziewczyny mi zostawił. Widzisz, ile przeżyłam! Taki mój los. A teraz już nie bucz, połóż się i śpij. Dzień się zaraz zrobi.

Regina przytuliła głowę do poduszki i jeszcze długo było słychać, jak żałośnie pochlipywała.

Ranek wstał szary, na niebie gromadziły się deszczowe chmury. Wszyscy mieli kwaśne miny. Franciszkowa chodziła naburmuszona, piękne oczy Reginy były opuchnięte od płaczu i z niewyspania, a Stefan wyglądał jak zbity pies. Zerkał spod oka na żonę, na macochę nawet nie śmiał wzroku podnieść.

Ubrał się, bez słowa wziął z torebki Reginy jakiś banknot i burknawszy coś pod nosem, wyszedł. Kobiety krzętały się przy kuchni, a widząc, że Stefan wychodzi, spojrzęły na siebie porozumiewawczo.

Marianna pokiwała głową.

– Suszy go, pewno poszedł czegoś się napić. Mogłam mu przecież dać kieliszeczek.

– Niedużo wziął, może powróci się niezadługo.

W głosie Reginy brzmiała niepewność. Młoda kobieta wiedziała, że jak mąż zacznie pić, to na jednym dniu się nie kończy.

Stefan wrócił dopiero późnym wieczorem. Był trochę przytomniejszy niż wczorajszej nocy i zachowywał się spokojniej. Franciszek już spał, dziewczynki też posypywały przez sen, więc Regina, nic nie mówiąc, pomogła mężowi się rozebrać. Przycisnęła ją do siebie i pociągnął na swój siennik. Mówili o czymś, słychać było cichy głos Reginy, tłumaczącej coś cicho przez łyżę. Po chwili przestała płakać i zaczęła cichutko chichotać. Franciszkowa nakryła głowę pierzyną, żeby nie słyszeć odgłosów małżeńskiego pojednania. Oblał ją gorąc, uszy zaczęły płonąć, a w ciele czuła jakieś mrowienie. Przysunęła się bliżej męża. Ten jednak spał mocno i delikatne dotknięcie żony nie zdołało go obudzić.

Rankiem Regina zaczęła pakować rzeczy do starej, tekturowej walizki, a Stefan wziął się do golenia. Stał z namydloną twarzą przy lusterku i ostrzył brzytwę o skórzany pasek.

– A co to, odjeżdżać chcecie? – zapytała zaskoczona Marianna.

– Tak, już pora, nie będziemy dłużej kłopotu robić.

– Jaki tam kłopot, Stefan, przecież to jest twój dom, tu się wychowałeś.

– Pojedziemy, bo urlop mi się kończy – skłamał – a i Reginka też chce już wracać.

– Nawet nie było kiedy pogadać, zostańcie jeszcze trochę, chociaż obiad z nami zjedzcie. Ojciec z roboty wróci, co mu powiem, że pojechaliście, jakbyście przed nim uciekli?

– No, obiad możemy zjeść, bo pociąg mamy dopiero pod wieczór.

Stefan odzyskał dobry humor i znowu był uroczym mężczyzną. Marianna wodziła za nim zachwyconym wzrokiem. Szkoda, że tak daleko mieszkają. Dobrze by było częściej ich widywać, to znaczy jego, bo do Reginy nie poczuła specjalnej sympatii. Ot, kobieta jak kobieta.

Jedli zawiesisty krupnik, do którego dołożyła dla smaku żeberek. Stefan opowiadał o wsi, w której mieszkają. Szymczakom wierzyć się nie chciało w to, co mówił.

– Ludzi dużo tam nie ma, ale za to są rozmaici. I Polacy, i Żydzi,

i Białorusini. Jest trochę Litwinów, Rosjan, nawet paru Ukraińców. Mamy kościół, cerkiew i bóżnicę. Bo każdy w swojego Boga wierzy i w swoim kościele się modli. Rabin w sobotę, a pop i ksiądz, jak należy, w niedzielę. Jeden drugiemu w parady nie wchodzi. Jest szkoła, sołtys i posterunek policji. Ja porządku pilnuję. Nie macie pojęcia, jaka ze mnie władza! Kiedy włożę mundur ze skórzanym pasem i czapkę z orzełkiem, każdy bez gadania musi mnie słuchać. Szkoda, że nie możecie tego zobaczyć. Niech wam Regina powie, jak w nim przystojnie wyglądam.

Regina popatrzyła z uśmiechem na męża, a Franciszek niecierpliwie machnął ręką.

– Głupot nie gadaj, lepiej o świecie opowiedz.

– Co tu jeszcze tatusiowi powiedzieć? Pensję mam niezłą, na życie wystarcza, Regina coś niecoś do pończochy odkłada. Niedługo może weźmiemy się za budowę jakiejś chałupy, bo z teściami nie najgorzej, ale co na swoim, to na swoim. Dobrze tam się żyje. Ludzie spokojni, Wilno niedaleko, powietrze aż pachnie, jest nawet rzeczka. I wszystko dużo tańsze niż tu. Mięso i kiełbasę to za połowę tutejszej ceny można kupić. Nawet cukier i papierosy mniej kosztują. Życie nie umierać! Prawdę mówię, Reginka? Jak postawimy dom, to przyjedziecie do nas na letnisko.

– Co ty, Stefuś, taki świat drogi? Nie dla nas takie podróżowanie. My z ojcem całe życie nie ruszaliśmy się z domu, raz tylko byliśmy z pielgrzymką w Studziannie, na odpuszcie, a tak to nigdy! Ten święty obrazek, co nad łóżkiem wisi, jest stamtąd.

– Przyjedziecie, przyjedziecie! Odpoczniecie, zobaczycie, jak gdzie indziej ludzie żyją. Będzie dobrze! Żal mi tylko, że z Honorką nie mogę się zobaczyć. Jakbym wiedział, gdzie mieszka, tobyśmy do niej po drodze wstąpili. Ciekawe, dlaczego tak się kryje, że nawet swój adres zataiła?

– Mówię ci, Stefuś – Marianna nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć choć kilku słów na temat pasierbicy – jak do nas kiedyś przyjechała, to spódnicą tylko furknęła, trochę min porobiła i pojechała. A jak zapytałam, co robi, to powiedziała, że służy u dobrych państwa i ptasiego mleka jej tylko brakuje. Ale ja tam swoje wiem. Popatrzyłam na to jej ubranie, na te jej ręce! Widziałeś kiedy służącą, żeby sobie paznokcie na czerwono malowała, jak jaka śledziara? Wstydzisz się powiedzieć, czym się zajmuje, ot co!

– Daj spokój, Manieczku, skąd wiesz, a może ona uczciwie pracuje?

Wszyscy przycichli i posmutnieli.

– Co ty, córcia, już nie śpisz?

Franciszek ze zdziwieniem popatrzył na szeroko otwarte oczy Feli.

– Bo nie mogę się doczekać, kiedy pójdę do pana Liszewskiego i zacznę się

wreszcie tego szycia uczyć.

– Dobrze z ciebie dziecko. Ale pośpij jeszcze trochę, za wcześnie, żeby tam iść. Za oknem całkiem ciemno.

– Jak już nie śpi, to niech wstaje. Zdaży przed wyjściem wody przynieść – powiedziała Marianna.

– Manieczku, to może ja bym poszedł po wodę.

– Ty, Franiu, lepiej już do roboty idź, bo jeszcze się spóźnisz.

Kiedy mąż wyszedł, Marianna okryła się ciepłą chustą, bardziej dla dodania sobie powagi niż z potrzeby, bo wrześnieowy poranek był ciepły, a do pracowni krawca wystarczyło przejść przez jezdnię.

Nieśmiało uchyliła drzwi do warsztatu. Pomieszczenie było ciemnawe. Światło dzienne ledwo sączyło się przez niezbyt czyste szyby. Pan Liszewski, wysoki, szczupły, a właściwie chudy, lekko przygarbiony od ślęczenia nad szyciem, stał przy dużym stole i wielkimi nożycami kroił kawał materiału. W głębi głośno terkotała maszyna. Siedział przy niej jeden z czeladników. Drugi trzymał w rękach kawał tkaniny i igłę z długą białą nitką. Na palcu połyskiwał mu błyszczący naparstek.

Fela ciekawie spoglądała na to trochę tajemnicze wnętrze.

– Niech będzie pochwalony. Szczęść Boże przy pracy! – Franciszkowa ukloniła się nisko.

– Panie Boże zapłać.

Majster spojrzał na nią ponad zsuniętymi na czubek nosa okularami.

– Powiedziała mi wczoraj Kasiakowa, że ucznia pan potrzebuje, to przyprowadziłam moją Felę.

Majster przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Ja chłopaka chcę, pracowitego chłopaka. Co z takiej dziewczyniny może być za krawiec. Szycie to ciężka robota. A z tej waszej, jak jej tam, Feli okropna chudzina! Nie nada się do tego. Chłopaka, owszem, przyjmę, a wy z tą waszą, jak jej tam, Felą szukajcie szczęścia gdzie indziej.

Marianna z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła:

– Ale przecież mógłby ją pan wziąć chociaż na próbę. Może po niej tak nie widać, ale jest silna, do roboty zaprawiona, a do igły ma zręczną rękę. Dla młodszych sióstr szyje całkiem zgrabne fatałaszki. Przyniosłam do pokazania fartuszki i koszulki. I z maszyną jest zaznajomiona, boć przecież już od paru lat mamy ją w domu.

Przez chwilę panowała cisza, widać krawiec rozważał, czy opłaci mu się taki interes.

– No, ostatecznie niech zostanie na miesiąc, a potem się zobaczy.

Franciszkowa znowu się ukloniła.

– Dziękuję panu majstrowi, niech Pan Bóg panu wynagrodzi za dobre serce.

– Może zostać – powtórzył – ale pieniędzy z tego żadnych nie będzie. Cieszcie się, że będzie mogła za darmo, z moją stratą, roboty się uczyć.

– Dziękuję, dziękuję! Byle tylko zawodu się wyuczyła, a na pieniądze przyjdzie pora.

Kiedy za kobietą zamknęły się drzwi, krawiec jeszcze raz uważnie popatrzył na Felę.

– Ciekawe, gdzie u ciebie ta siła? Zobaczmy, zobaczymy – zamruczał jakby do siebie.

Na początek kazał jej wziąć szczotkę i pozamiatać pokrytą ścinkami podłogę. Potem wysłał ją na piętro, do swojego mieszkania, żeby pomogła jego żonie przy sprzątanii. Minęło kilka dni, a Fela nawet igły do ręki nie wzięła, bo pan Liszewski wciąż ją zatrudniał przy jakichś domowych zajęciach albo wysyłał do klientów, żeby odnosiła uszyte ubrania.

W chwilach, kiedy była w warsztacie, ukradkiem podpatrywała majstra. Z ciekawością patrzyła, jak układał watolinę, przykrawał podszewkę, jak z szarego, sztywnego płótna formował poły marynarki i wzmacniał je włosianką. Zbierając z podłogi resztki tkanin, dotykała ich ukradkiem, ze zdziwieniem patrzyła na końskie włosie wystające z włosianki, na cienkie jedwabne podszewki i białą w czarne paski rękawówkę.

Wszystko ją ciekawiło. Chciała szyć. Krawiec jednak nie śpieszył się z rozpoczęciem nauki, a widząc oczy Feli, wlepione w jego zręcznie poruszające się ręce, kazał jej wybierać z pudełeczka większe szpilki pomieszane z małymi albo rozplątywać zasupłaną fastrygę, jakby się bał, że uczennica zbyt szybko pozna jego sekrety.

Kiedy ojciec pytał, czego już się nauczyła, odpowiadała ze łzami w oczach, że majster wcale nie dopuszcza jej do igły. Słyszając to, Franciszek kiwał głową i mówił, że taki dobry fachowiec jak pan Liszewski ma swoją politykę i trzeba go we wszystkim słuchać.

– Szyje dla tylu bogatych panów – tłumaczył – i umie ich zadowolić, to musi być mądrym człowiekiem. Czekaj cierpliwie, na wszystko przyjdzie pora.

Wreszcie któregoś dnia majster kazał Feli podszyć drobnym ścięciem podszewkę przy jesionce.

– Naparstek sobie dobierz!

– Ale ja nie umiem szyć z naparstkami, to niewygodnie – zaprotestowała nieśmiało.

– A ja ci mówię, że masz nałożyć naparstek, bo bez tego nigdy prawdziwą krawcówką nie będziesz!

Znalazła najmniejszy, jaki był, wsunęła na palec i przysiadła na zydlu. Z bijącym sercem zaczęła szyć. Pan Liszewski spoglądał na nią spod oka. Szło jej wolno, ruchy miała niepewne, a zbyt duży naparstek co chwilę zsuwał się z palca.

I jeszcze te surowe spojrzenia majstra...

- Pokaż no, jak ci to szycie wychodzi.
- Jeszcze chwileczkę, jeszcze nie skończyłam.
- Szyjesz i szyjesz, a uszyłaś tyle, co kot napłakał.

Wreszcie obejrzał jej robotę. Nic nie powiedział, jednak od tego czasu częściej dawał jej do wykonania niezbyt skomplikowane prace. Fela wychodziła wprost ze skóry, żeby go zadowolić, ale nie kwapił się z pochwałami. Zawsze znalazł dziurę w całym, a to nierówny sztych, a to zbyt rzadki ścieg. Niejedną łzę uрониła, gdy bezlitośnie wytykał jej błędy.

W warsztacie zazwyczaj było cicho. Pan Liszewski nie lubił hałasów. Niezwykle milczący, czasem przez kilka godzin ani słowa nie powiedział. Ożywał się tylko przy klientach. Doradzał fason, brał miarę, tryskał wprost dobrym humorem, nawet dowcipy opowiadał. Kiedy klient wychodził, cisza wracała. Do uszu biednej Feli dolatywał jedynie stukot maszyny do szycia i szcęknięcie nożyc. Czeladnicy, dużo od niej starsi i zapracowani, nie kwapili się, by rozmawiać ze smarkatą. Feli, mającej bardzo żywe usposobienie, ciężko było ślęczeć przy igle.

Marianna tłukła garnkami przy kuchni. Była zła jak osa, ale jak miała nie być. Z samego rana wpadła do niej Cabanka i powiedziała, że weszła na strych pranie powiesić i zobaczyła, że zerwał się sznur, na którym suszyła się bielizna Franiowej. Wszystko leży na podłodze utyrlane w kurzu. Trzeba będzie od nowa prac.

– Jajek ci usmażę – burknęła do siedzącego przy stole męża, który cierpliwie czekał na śniadanie.

– Może Felcia niech usmaży, bo ty, Manieczku, to tak zawsze spieczesz, że potem mnie w brzuchu boli.

Marianna rzuciła trzymaną w ręku łyżkę.

– Niech smaży, no pewnie, ja to ci nigdy dogodzić nie umiem! Albo jest za słone, albo za twarde. A daj ty mi święty spokój! Już nie mogę tego znieść!

– Nie denerwuj się, Manieczku, przecież to nic takiego, żeby mi córka jajecznicę usmażyła – odparł pokornie.

– Nic takiego, nic takiego – mówiła coraz głośniej, zaczęła już krzyczeć.
– Nic nie umiem, nic nie wiem! Najlepiej rzucę to wszystko i w cały świat pójdę!

Chwyciła leżącą na taborecie chustkę i zaczęła szukać serdaka. Córki zmartwiały z przerażenia. Co to będzie, jak mama w cały świat pójdzie, jak będą bez niej żyć? Najbardziej przestraszyła się Fela. To ona, najstarsza, będzie musiała dom prowadzić, a przecież nie da rady i do krawca na naukę chodzić, i dziewczynek doglądać, a Marysia ma dopiero niecałe pięć lat. Chwyciła siostry za ręce i uklękła z nimi przed drzwiami. Wszystkie zaczęły płakać. Wyciągały ręce do

matki, błagały, żeby ich nie zostawiała.

Marianna jakby trochę oprzytomniała. Popatrzyła na córki, a potem na męża, który wyglądał jak z krzyża zdjęty, i powoli ściągnęła z siebie serdak.

– Pamiętajcie, a ty, Franciszku, też weź sobie do serca, że kiedyś naprawdę pójdę od was, bo już nie mam siły, pójdę gdzieś trochę odpocząć. Może do rzeki, może pod pociąg, a może w świat...

Dziewczynki dalej płakały, choć teraz już z radości, i całowały ręce Marianny. Mama zostaje i to najważniejsze. Franciszek też trochę ochłonął. Nie pierwszy raz żona urządziła taką scenę, zawsze dotychczas kończyło się zgodą, ale kto wie, co może jej kiedyś do głowy przyjść! Ot, ciężkie życie. Wziął czapkę i wyszedł z domu. Pomyślał, że najlepiej będzie, jak tymczasem zejdzie Manieczce z oczu.

Do mieszkania Szymczaków jak bomba wpadł zziębnięty chłopak i zaczął wykrzykiwać:

– Szymczakowa, majster mnie przysłał. Z waszym coś źle. Upadł na ziemię, krew mu się ustami rzuciła, zabrali go do szpitala, lećcie, szybko, lećcie.

Marianna pośpiesznie wytarła ręce o fartuch.

– Jezus, Maryja, Matko Przenajświętsza, a co mu się stało? Może się przedźwiگاł? Boże, żeby tylko wyszedł z tego!

Zanim dobiegła do szpitala, Franciszka zaczęli już operować. Powiedziała jej o tym przechodząca korytarzem zakonnica.

Marianna stanęła pod ścianą i czekała. Co chwila ocierała łzy. Szpitalny zapach chloru pomieszanego z eterem przypominał jej dzień, kiedy ledwo żywa po ciężkiej chorobie przyszła pytać o matkę. Od tego czasu minęło prawie dwadzieścia lat. Taki szmat życia!

Zaczęła bezgłośnie poruszać ustami. Ojcze nasz... Boże, nie daj umrzeć Franciszkowi, któryś jest w niebie... co ja zrobię bez niego, święć się imię Twoje... cztery dziewczyny do wykarmienia, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi... siły już nie te, co dawniej, nie dam rady zapracować, żeby cztery gęby wyżywić, Panie, zmiłuj się nade mną, Panie, zlituj się nad nami!

Modliła się i modliła, straciła rachubę czasu. Wreszcie otworzyły się jakieś drzwi i pojawiła się w nich wysoka, tęga zakonnica.

– Czy to wy jesteście żoną tego operowanego biedaka?

Marianna nie mogła głosu wydobyć, kiwnęła tylko głową.

– Ciężka sprawa, operację przeżył, ale krwi dużo stracił, wszystko w rękach Boga.

– A co jemu się stało?

– To nie wiecie? Żołądek mu pękł i trzeba było pozszywać. Módl się, módl

o jego życie. Teraz tylko modlitwy mu potrzeba, bo lekarz zrobił, co mógł! Idź, kobieto, lepiej do domu, nic tu po tobie, niczego nie wystoisz. On na razie śpi, nie wiadomo, jak długo może tak być. A dzieci masz? – zainteresowała się.

– Tak, cztery córki – zachrypiała Marianna.

– Idź, idź do nich. Nic tu po tobie – powtórzyła zakonnica.

Franciszka pochowali obok bliźniaków. Za trumną szło bardzo dużo ludzi. Z Jagiellońskiej na cmentarz droga była długa. Lipcowe słońce mocno przypiekało, kondukt posuwał się wolno po piaszczystym trakcie, a ludzie niosący trumnę często się zmieniali. Marianna szła, lamentując głośno. Przez łzy nie widziała nic pod stopami. Prowadził ją pod rękę brat Franciszka, Walenty, ten z Radziwiłłowa. Zdążyli go zawiadomić o pogrzebie. On też ukradkiem ocierał oczy. Serce mu się ścisnęło, że zmarł taki dobry człowiek i niestary, młodszy przecież od niego.

Kiedy ksiądz zakończył egzekwie i czterech roślących chłopów zaczęło spuszczać trumnę na grubych linach do dołu, Marianna nie krzyczała w głos, jak to robiły inne wdowy, nie zatrzymywała kurczowo trumny, nie próbowała wskoczyć do grobu. Stała jak skamieniała, tylko po jej policzkach płynęły łzy.

Po pogrzebie zaprosiła najbliższą rodzinę na stypę. Najważniejszym gościem był Walenty. Zajął honorowe miejsce, a jego żona i synowie siedli obok. Był też drugi brat, mieszkający w Wołuczy, pod Rawą. Stefan nie zdążył dojechać, a Honorki nie mieli jak zawiadomić, bo Marianna nadal nie wiedziała, gdzie jej szukać. Przyszła Józia z Janem i dziećmi, Zofka i kilku robotników, z którymi przez tyle lat Franciszek pracował.

Wszyscy mówili z szacunkiem o zmarłym, chwalili jego pobożność, dobre serce i zgodny charakter. Jedząc smakowite mięso i słynny bigos Marianny, wspominali, że przez tyle lat męczyła go choroba, a jaki mimo to był silny i nie narzekał.

Któryś z kolegów zapytał:

– Szymczakowa, a ile to lat przeżył Franciszek?

Marianna, pociągając nosem, zaczęła liczyć.

– Urodził się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym, a teraz mamy tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, to wychodzi, że pięćdziesiąt trzy lata. Boże, nie był taki stary, mógł jeszcze pożyć. Nasza najmłodsza ma dopiero pięć lat. Nie będzie ojca pamiętała.

I znowu zaczęła płakać.

Po wypitych kieliszkach rozmowa się ożywiła, tu i ówdzie zabrzmiał nawet nieśmiały śmiech. Tylko Marianna miała zboląłą minę i zaczerwienione oczy. Niewiele mówiła, czuwała jednak, by na żadnym talerzu nie brakowało jedzenia.

Zaczęła dumać, jak będzie wyglądało teraz jej życie. Na pogrzeb i stypę

wydała resztę pieniędzy. Nigdy nie umiała oszczędzać, Franciszek zawsze ubolewał, że pieniądze jej się nie trzymają. Może należało go słuchać i odkładać z każdej wypłaty po parę złotych. Ale zawsze było tyle wydatków. Brała „na książkę” u sklepikarzy. Kiedy Franuś przynosił pieniądze, oddawała długi i niewiele zostawało. Ciągle trzeba było chodzić z którymś dzieckiem do doktora. A porody, a pogrzeby synków? Skąd było brać na odkładanie?

Z czego teraz z córkami będą żyły, za co kupią jedzenie? Będzie musiała poszukać jakiegoś zajęcia. Może do sprzątania gdzieś się najmie.

Dziewczynki są jeszcze małe, Marysia ma dopiero pięć lat, Marta dziewięć, a Wandzia jedenaście. Odkąd koń ją kiedyś poturbował, wciąż męczyły ją te okropne ataki. Zresztą i tak jest jeszcze za mała, żeby na służbę ją oddać. Do szkoły przecież chodzi. Na szczęście w tym nieszczęściu, Fela jest już prawie dorosła. Skończyła piętnaście lat. Będzie musiała wziąć się do jakiej roboty. Ręce do szycia ma sprytne. Trzeba będzie chyba zabrać ją od Liszewskiego, to w domu coś zarobi. Ciężko będzie! Jeść trzeba przecież codziennie! Może jakąś emeryturę po Franiu dadzą.

Julia była bardzo szczęśliwa. Jej kochana córka urodziła synka. Klarunia miała już pięć lat i bardzo się cieszyła, że ma braciszka. Wybrała dla niego imię – Jasio. Cała piątka przeniosła się do nowego domu na Saskiej Kępie. Był obszerny i wygodny. Ze względu na Jasia nie wyjechali tego roku na letnisko do Otwocka. Do odpoczynku wystarczył im przecież otaczający willę ogród. Wszyscy cieszyli się Jasiem, ale najbardziej babcia Julia.

BIEDA

Marianna tarła ziemniaki na placki, a Zofka, jak to miała w zwyczaju, siedziała oparta łokciami o stół i patrzyła na jej zręczne ruchy.

– To dużo tej emerytury odbierasz?

– A tyle, co kot napłacze, ledwo na komorne starczy. Płacą tylko na dzieci, bo mnie nic się nie należy, podobno za młoda jeszcze jestem. A ja taka młoda jak w boru jagoda po świętym Marcinie. Dobrze, że Fela za szycie się wzięła, że ludzie jej materiał zawierzają. Przecież to jeszcze smarkula!

– Ale chwałą ją, mówią, że niedrogo bierze.

– Niedrogo, niedrogo! Musi sobie jakoś markę wyrobić. Przecież nie jest zawodu nauczona. Żeby Franuś żył, toby z niej Liszewski prawdziwą krawcową zrobił, a tak to niewiele u niego zdążyła liznąć, sama sobie musi radzić. Wiesz, Zofka, nie chcę jej w dumę wbijać, ale widać, że coraz lepiej jej to szycie idzie. Tyle że pieniędzy z tego niewiele, nawet na skromne jedzenie nie zawsze wystarcza.

– Popatrz, Maniu, jak ci się los odwrócił! Przedtem z groszem się nie liczyłaś, a teraz?

– Oj, bieda, bieda. Wczoraj prałam u Wielgosowej, wiesz, tej, co ma sklep na Senatorskiej. Ładną ma bieliznę, nie powiem, i z zapłatą się nie ociąga, ale te parę złotych, co u niej zarobiłam, na ile wystarczy?

– A gdzie Fela?

– Poszła z Wandzią do doktora. Uskładała trochę pieniędzy, to poszła wydać! Harda jest, nie chce mnie słuchać. Niech nie myśli, że jak parę groszy zarobi, to zaraz będzie się rządzić. Lepiej niech ze mną nie zadziera, bo mam ciężką rękę.

– Co ty, co ty, Maniu, masz taką dobrą i starowną córkę i jeszcze na nią narzekasz? Druga to by sobie jakieś głupstwa pokupowała, a ona siostrę do doktora prowadzi!

– Co tu doktor pomoże? Musi być, jak jest. Może Bóg da, że Wandzia jakoś z tych ataków wyrośnie. Wszystko przez tego konia, co ją poturbował.

– Wiem, przecież pamiętam. A wiesz, moja Jadzia znowu przy nadziei. To już siódme będzie.

– Cieszyć się powinna, ma trzech chłopaków, może jeszcze jednego urodzi. Innym synowie się zdrowo chowają, tylko mnie Pan Bóg wszystkich zabrał. A tak bardzo się modliłam, żeby chociaż jednego zachował przy życiu. Tak prosiłam!

– Może i powinna się cieszyć – Zofka mówiła, jakby nie słyszała głosu przyjaciółki – ale u nich bieda, aż piszczy. Ten jej chłop to prawie jak mój

Władzio. Do wypicia pierwszy, dzieciaki robić też nieźle umie, ale jak trzeba do roboty, zawsze coś mu zawadza. Żal mi jej, ale co mogę poradzić? Sama ledwo koniec z końcem wiąże. Dobrze, że u Antka gotuję i sprzątam, to mam za to choć jedzenie.

– Ta Antkowa dalej taka latawica? Trafiła ci się synowa, nie ma co. Jak chłop dobry, to baba nie wie, na czym jej dupa jeździ. Drugi to by kija wziął i wypędził, a ten twój Antek to jakiś niedojda.

– Nie mów tak, Maniu, to dobry chłopak, tylko nie umie się postawić. Chyba po mnie taki jest. Bo jakby we Władzia się wdał, to już dawno obdarłby ją ze skóry za tyle wstydu, co ona mu narobiła. Ludzie palcami go wytykają, że głupi.

– To prawda, że głupi.

Zamyśliły się i umilkły na chwilę.

– Maniu, z tej twojej Feli to już całkiem dorosła panna. Chłopaki się za nią oglądają, nieraz słyszę, jak stoją pod bramą i gadają, że jest niczego sobie, tylko że rzadko z domu wychodzi i nigdy czasu nie ma. A najwięcej to mówi o niej Czesiek od Kędziorów.

– Co ty, Zofka, przecież Czesiek to już kawaler całą gębą. Jemu dorosłej kobiety potrzeba, a nie takiej smarkatej jak Fela.

– Podoba mu się, podoba. Wczoraj to mi Kędziorka powiedziała, że upatrzył sobie Felę na żonę i może na nią nawet trochę poczekać.

– Przecież on dobrych parę lat od niej starszy.

– A twój Franciszek ile od ciebie miał więcej? I co? Źle ci z nim było?

– Żeby źle, to nie mogę powiedzieć, ale dla Feli to bym wołała młodszego.

– Nie wiadomo, co Fela by na to powiedziała.

W otwartych drzwiach stanęły dziewczęta.

– No i co doktor powiedział? – ostrym głosem spytała Marianna.

– Że to wszystko może minąć, ale też może nie minąć.

– To ci odkrył Amerykę. Taka mądra to i ja jestem, choć do szkół nie chodziłam.

– Dał receptę i kazał, żeby Wandzia piła to lekarstwo co wieczór przed spaniem. I jeszcze powiedział, żeby znowu przyjść, za jaki miesiąc albo dwa.

– Akurat! Tylko by pieniądze chciał od człowieka wyciągać. No, siadajcie do obiadu. Placki gotowe.

Dziewczęta zaczęły jeść, a Zofka patrzyła uważnie na Felę.

– Jakaś ty do ojca podobna. Te same oczy, usta. Włosy to masz jeszcze czarniejsze od Franciszka, właściwie to czarne jak smoła. Ładna z ciebie dziewczyna.

Fela spojrzała ze zdziwieniem na sąsiadkę.

– Już czas, żebyś sobie kawalera znalazła.

Dziewczyna zarumieniła się i spuściła oczy.

– Nie wstydź się, nie wstydź, na każdą pora przychodzi. Tak było, jest i będzie. Słyszałam, że już jest taki jeden, co oczy za tobą wypatruje.

– Kto?

– Kto, kto, zobaczysz, jak przyjdzie się oświadczyć.

– Ja tam za męża się nie śpieszę. Mam jeszcze czas.

– Co ty opowiadasz, Fela! To nie wiesz, że jak dziewczyna za młodu chłopca sobie nie znajdzie, to potem szukaj wiatru w polu? Starą panną zostaje. I co to za życie? Bez męża to jak bez głowy. Trudno żyć. I ludzie taką na języki biorą.

– Daj spokój, Zofka – Marianna niecierpliwie machnęła ręką – jeszcze zdąży, niepilno jej. Dopiero szesnaście lat skończyła. Rok, dwa może jeszcze poczekać.

– Niech mi pani Władziowa powie, który to taki chętny do ożenku? – Fela nie mogła poskromić ciekawości.

– Widzisz ją, niby męża nie chce, ale pyta. To ci powiem – dla większego efektu zawiesiła głos – to Czesiek Kędziorów!

– Czesiek? Taki stary?

– Co ty, dziewczyno, gadasz, jaki stary, ma dopiero dwadzieścia cztery lata, co to za wiek? W sam raz do żeniaczki.

– Dosyć! – Marianna zmarszczyła brwi. – Najadłaś się, to siadaj do szycia, bo musisz spódnice dla Kłosowej skończyć, a ty, Zofka, nie mieszaj jej w głowie. Wandzia, pozmywaj statki, a ja lecę do siostry. Jan przysłał po mnie, bo podobno z Józią coś niedobrze i koniecznie chce mnie widzieć. Ksiądz nawet do niej wołali.

Marianna okryła się chustą i energicznie zamknęła za sobą drzwi. Szła szybko. Mimo wieku i znacznej tuszy, nadal miała energiczne i sprężyste ruchy. Drogę z Jagiellońskiej na Ogrodową pokonała w kilka minut.

Siostra leżała podparta poduszkami. Była blada, oczy miała przymknięte, siwe kosmyki zwiślały bezładnie wokół twarzy. Jan siedział przy kuchni, z głową opartą na rękach, jakby drzemał. Kiedy szwagierka weszła, nawet nie drgnął. W mieszkaniu panował nieporządek. Marianna zmarszczyła nos.

– Co tu u was tak śmierdzi? Okno zamknięte! Chociaż drzwiami wpuście trochę powietrza. Przecież tu można siekierę powiesić.

Józia jęknęła głośno. Jan dalej siedział ze spuszczoną głową.

Marianna podeszła bliżej łóżka.

– Józia, powiedz, co ci to? Co cię boli? – spytała cicho.

Chora uniosła powieki.

– Wszystko mnie boli, Maniu. Przyszła pora umierać. Już mi ksiądz grzechy odpuścił, ostatnie namaszczenie dał. To już mój czas.

– Co też ty mówisz?

– Ano wiem, co mówię. Odsuń pierzynę i zobacz mój brzuch.

Marianna zacisnęła usta, żeby nie krzyknąć. Brzuch był ogromny, skóra na nim błyszczała, jakby za chwilę miała pęknąć.

– To może by ci jakiego doktora sprowadzić? Może Olczakowskiego?

– Był już. Powiedział, że nic mi nie pomoże. Że woda się w brzuchu zebrała i trzeba ją ściągnąć, ale ja nie chciałam. Co ma być, to będzie, żeby tylko tak nie bolało.

Józia mówiła wolno i z wielkim wysiłkiem. Na jej czoło wystąpiły kropelki potu.

– To leż spokojnie, a ja trochę mieszkanie ogarnę. Co ten Jan jak nieżywy siedzi? A twoje dzieciaki gdzie? Żadne nie przyjdzie?

– Dzisiaj Stasia ma być, to posprząta. A ty, Maniu, nic nie rób, tylko usiądź koło mnie, muszę coś ci powiedzieć.

– Daj sobie spokój z gadaniem, przecież widzę, że siły nie masz. Może chociaż te zaschnięte gary pomyję.

– Kiedy ja muszę coś ci powiedzieć. Nasza matka mi to przykazała.

Marianna z niepokojem spojrzała na siostrę.

– Jakże to? Nasza matka? Przecież ona tyle już lat nie żyje! Co ty, Józia, bredzić zaczynasz?

– Słuchaj, nie przerywaj, bo sił mi niewiele zostało. Pamiętasz, jak przyszłyście do mnie z Żelaznej? Ty zaczęłaś u tych, jak im tam, Pulińskich służyć, a matka roboty nie miała, to często siadała i wspominała dawne czasy. Kiedyś powiedziała mi o twoim ojcu.

Marianna znieruchomiała.

– O moim ojcu? Boże wielki! Co ci powiedziała? Mów!

– Matka służyła we dworze w Wólce Podleśnej. – Józia umilkła, a po chwili mówiła dalej słabnącym głosem: – Zniewolił ją tamtejszy dziedzic, niejaki Bilski, chyba Kazimierz mu było, nie pamiętam. Nikomu nic nie powiedziała, uciekła stamtąd, żeby w grzechu nie żyć, bo on chciał, by mu nadal powolna była. Ciebie urodziła w Żelaznej, u organiściny, gdzie na służbę poszła.

Głos Józii był coraz cichszy. Marianna przysunęła ucho do warg siostry.

– Nie kazała mówić o tym nikomu, nawet tobie. Chyba że przyjdzie na mnie koniec...

Dalszych słów nie było już słyhać. Józia poruszała jeszcze wargami, ale powieki jej opadły, a z ust wydobywał się ciężki oddech.

– Janie, ocknij się, gdzie jest gromnica, Józia życie kończy, Janie!

Jeszcze kilka godzin dusza kurczowo trzymała się ciała. Marianna podtrzymywała rękę, w której umierająca ścisnęła płonąca gromnicę. Przybiegła Stasia, zeszyły się sąsiadki. W mieszkaniu zrobiło się tłoczno. Wszyscy modlili się głośno. Na przemian odmawiali różaniec i modlitwy za konających.

Dopiero nad ranem Józia przestała oddychać. Kobiety zamknęły jej oczy,

pomogły Mariannie umyć siostrę i ubrać. Przez ten ogromny, wzdęty brzuch w żadną spódnicę się nie mieściła, musiały od spodu szew trochę nadpruć, przecież i tak nie będzie widać, a jak ją Pan Bóg na Sąd Ostateczny powoła, to dostanie tam przecież jakiś strój. Marianna, która nie znosiła, żeby coś było nie tak, próbowała się sprzeciwić, mówiła, że Józia zasłużyła sobie, żeby mieć w trumnie porządne ubranie. Wreszcie, widząc, że nie przegada kobiet, z ciężkim sercem zgodziła się na takie, jak powiedziała, dziadostwo.

Rano Jan z synami przywieźli od stolarza trumnę i ułożyli w niej zmarłą. Postawili trumnę na dwóch zestawionych stołach, a wszystkie sprzęty poodsuwali pod ściany. Leżała Józia ubrana na czarno, wielki brzuch sterczał, prawie zasłaniając wynędzniałą twarz, na głowie miała zawiązaną chusteczkę. Wokół trumny sąsiadki poustawiały słupki z asparagusami, których długie pędy zwisały aż do podłogi. Okiennice były zamknięte, tylko palące się świece rozświetlały mrok.

W mieszkaniu pełno było ludzi. Przychodzili sąsiedzi z całej ulicy, klękali, odmawiali modlitwę, potem, jeśli było wolne miejsce, siadali lub stawali w grupie innych, wspólnie modlili się na głos i śpiewali żałobne pieśni. Tak było aż do wyznaczonego za dwa dni pogrzebu. Wieko od trumny, zgodnie ze zwyczajem, ustawiono na ulicy pod bramą, żeby wszyscy przechodnie widzieli, że w tym domu ciało czeka na pochówek.

Mariannie żal było siostry, ale cóż, tak to już w życiu jest. Kto się urodzi, umrzeć musi. I tak Józia miała szczęście, przeżyła prawie siedemdziesiąt lat!

Franciszkowa siedziała przy trumnie i modliła się cicho, ale w głowie wciąż dźwięczały jej słowa umierającej. A więc jej ojcem był dziedzic! Kazimierz Bilski! Matka nigdy nie mówiła o tamtych czasach. Widać nie chciała tego wspominać. No bo i nie miała czym się chwalić. Teraz Marianna zaczęła pojmować, dlaczego jej dzieciństwo było takie smutne. Postępowanie matki też stało się bardziej zrozumiałe.

Ma ojca! Ale co to za ojciec, który nawet nie wie o jej istnieniu! Ciekawe, ile też on może mieć teraz lat i czy jeszcze żyje? Byłby już chyba po osiemdziesiątce! Może i żyje! Panowie w dobrobycie trzymają się dłużej niż biedacy.

Chwilami żałowała, że Józia zdążyła jej wyjawić tajemnicę matki. Tyle lat przeżyła, nie wiedząc o ojcu, żyłaby tak do śmierci. Ale z drugiej strony czuła jakby dumę. Nie była byle kim, tylko córką dziedzica. Złość w niej wzbierała. Ten człowiek zniewolił jej matkę i żył sobie spokojnie, a ona, biedna, musiała się borykać z losem i niechcianym dzieckiem. Niech drania piekło pochłonie! Panie Boże, przebaczone, przecież to ojciec, nie można mu tak życzyć. Tylko czy czwarte przykazanie dotyczy też ojca, którego się nawet nie znało? Musi spytać księdza przy najbliższej spowiedzi.

Fela szła szybko, prawie biegła. Matka pozwoliła jej wyjść z domu, oderwać się od szycia. Franciszkowa nie lubiła, kiedy córka szwendała się po ulicach. Pamiętała Honorkę, która spędzała całe dni, włócząc się bez celu. Nic dobrego z tego nie wynikło. Marianna rozumiała jednak, że Fela musi od czasu do czasu rozprostować kości. Wciąż ślęczała nad igłą, a przy jej żywym usposobieniu takie siedzenie w jednym miejscu było prawdziwą udręką.

Dziewczyna pracowała, ile mogła. Wandzia zaczęła trochę jej pomagać. Po powrocie ze szkoły siadała koło siostry i obrzucała szwy, podszywała listwy, obrabiała dziurki, przyszywała guziki, czyli robiła to, co dla Feli było najgorszą, najzmundniejszą robotą, a siostrze nie sprawiało przykrości. Była z natury spokojna, prawie flegmatyczna.

Fela wybiegła z domu. Czowała się jak ptak wypuszczony z klatki. Wstąpiła po Helenkę, koleżankę z sąsiedniego podwórka. Ta zawsze miała czas na spacer. Była jedynaczką, ojciec pracował w browarze, rozwoził piwo. Nieźle im się wiodło, nie musiała zarabiać.

Dziewczęta chwyciły się za ręce.

- Felka, to gdzie lecimy?
- Najpierw pod kościół, potem na Sienkiewicza, a potem... zobaczymy!
- Może znowu tych chłopaków spotkamy, wiesz, tych, co poprzednio!
- A wiadomo, czy będą?

Ruszyły szybko przed siebie, obie ładne, średniego wzrostu, ale Fela smukła, czarnowłosa i czarnooka, a Hela pulchna blondynka o jasnych włosach, skręcających się w loczki. Jej duże oczy wyglądały jak niebieskie guziczki. We wszystkim słuchała Feli.

- Do której masz wolne?
- Mamusia pozwoliła wrócić, jak się zacnie ściemniać.
- To znaczy o której?
- Co się martwisz na zapas. Chodź, biegniemy!
- Fela, poczekaj, lecisz jak strzała, a ja tchu nie mogę złapać.
- To po co tyle jesz? Wyglądasz jak utuczona gęś!
- Nie przezywaj mnie, bo się wrócę!
- Dobrze, dobrze, jak mała utuczona gaska! Jak malutka utuczona gąseczka!
- Felka, przestań, bo cię walnę!
- Najpierw mnie dogoń!

Po drodze przekomarzały się i chichotały. Kiedy jednak dobiegły do kościoła, Fela wsunęła rękę pod ramię Heli. Szły teraz poważnie, jak na dorosłe panny przystało. Rozglądały się ukradkiem, szukając wzrokiem znajomych chłopców. Doszły do sejmiku, gdy Fela mocno ścisnęła łokieć koleżanki.

- Są! Są! O rety! Już nas zobaczyli. Hela, trzymaj mnie! Idą w naszą stronę! Z przeciwka zbliżało się dwóch niewiele starszych od nich chłopaków.

Wyższy, szczupły szatyn zagadnął:

– Koleżanki same?

Dziewczęta udały, że nie słyszą.

– Koleżanki na spacer?

Zachichotały.

– Możemy razem z koleżankami?

– Chodzić każdemu wolno. – Fela spojrzała na nich spod opuszczonych powiek. Ten wyższy całkiem niczego, pomyślała, ma piękne włosy.

– Ale my byśmy chcieli razem z koleżankami!

– Nie widzimy przeszkód. – Ścisnęła rękę Heli i cichutko zachichotała.

Chłopcy początkowo szli z tyłu, ale wkrótce szatyn znalazł się koło Heli, a nieśmiały blondynek towarzyszył Feli. Dłuższy czas żadne z nich nic nie mówiło. Nagle jednocześnie otworzyli usta. Parsknęli śmiechem.

– Proszę, niech koleżanka mówi.

– Nie, nie, niech kolega mówi.

Droczyli się przez chwilę.

– W naszej szkole ma być „absolwentka”, przyjdzie koleżanka?

– Jeśli tylko mamusia pozwoli, to owszem.

– Dobrze, że urządzają takie potańcówki dla tych, co już skończyli szkołę.

– Pewno!

– W zeszłym roku bardzo się „absolwentka” udała.

Zapadła cisza.

– A koleżanka lubi tańczyć?

– Jeszcze jak! – Fela zmięgowała się szybko: – To znaczy bardzo lubię!

– Ja też, może uda nam się zatańczyć. W zeszłym roku ten akordeonista bardzo dobrze grał, aż nogi same skakały.

Rozmawiając z chłopakiem, Fela cały czas zerknęła na Helę i jej towarzysza. Trochę zazdrościła tamtej, że to ją wybrał ten przystojniejszy. We czwórkę doszli do stacji, wrócili do sejmiku, a że jeszcze całkiem się nie ściemniło, znowu poszli w kierunku stacji. Czas mijał szybko, zaczęło się zmierzchać. Fela musiała wracać. Przed rozstaniem chłopak nieśmiało zaproponował następne spotkanie.

– Nie wiem, kiedy będę mogła wyjść, więc się nie umawiam! – powiedziała.

Mina mu zrzedła, Feli zrobiło się go żal.

– To może w niedzielę po kościele?

– Będę czekał.

– Ja będę z Helą.

– To my przyjdziemy razem z Józkiem, a ja jestem Kazio. A koleżanka jak ma na imię?

– Przyjdzie czas, to powiem!

Doszli właśnie do sejmiku.

- Odprowadzimy koleżanki pod dom!
 - Nie, nie, polecimy same, to niedaleko!
- Zanim chłopcy zorientowali się w sytuacji, dziewczęta już pobiegły, nie oglądając się za siebie.
- Felka, co ten twój ci gadał?
 - A co on tam mógł gadać. Takie byle co! Wstydlivy jakiś! Na niedzielę się umówiliśmy.
 - Popatrz, a ten mój nic tylko o gołębiach opowiadał. Stuknięty jakiś! Co mnie jego gołębie obchodzą!
 - Mają razem przyjść. Wiesz, ten twój to Józek, a ten drugi nazywa się Kazio! Też mi imię!
 - Ten twój Kazio wcale nie taki fujara, jak zdążył się z tobą umówić.
 - Jaki on tam mój! – odpaliła Fela. – Ten twój jest ładniejszy.
- Śmiały się, aż im tchu brakło.

Marianna z niezadowoleniem burczała pod nosem:

– Lata i lata, ciągle by tylko z tą Helką bruki szlifowała. Co wy widzicie w tym łożeniu po mieście? Obijasz się bez potrzeby, zamiast siadać do roboty i na chleb zarobić. Ojca nie ma, to już nikogo się nie boisz. Bluzka dla Brykowej ma być na jutro gotowa, a ty nic, tylko głupoty ci w głowie!

Fela przyszywała guziczki; dużo ich miała, bo Brykowa zażyczyła sobie, by jeden był tuż-tuż obok drugiego. Pochyliła niżej twarz, nie chcąc, żeby matka zobaczyła płynące łzy. Zaraz by powiedziała, że córka nie dość, że leniwa, to jeszcze bekasa.

Całe dni przecież szyje, ślęczy przy maszynie od rana do nocy, a jak raz kiedyś przejdzie się z Helą, to ma słuchania, jakby wielkie przestępstwo popełniła. Dlaczego matka jest dla niej taka surowa?

Młodsze dziewczynki traktowała zupełnie inaczej, przytulała je, całowała. Nawet kiedy coś przeszkrobały, to mniej na nie krzyczała. Fela czuła się, jakby była piątym kołem u wozu, a przecież bez jej pracy cierpiałyby nędzę i głód. Nie mogła tego wszystkiego zrozumieć i bardzo było jej przykro.

Z zamyślenia wyrwał ją głos matki, która mówiła coś, zwrócona w stronę otwartego okna.

– Fela nie może wyjść, kończy bluzkę dla Brykowej.

Dziewczyna zobaczyła za oknem twarz koleżanki.

– Chcesz, to wejdź, ale tylko na chwilę – dodała Marianna.

Helą bała się trochę surowej miny, zaciśniętych ust i badawczego wzroku Franciszkowej, więc spytała trochę niepewnym głosem:

– Fela, na którą jutro idziesz do kościoła?

– Jak zwykle, na dziewiątą.

Spojrzały na siebie znacząco.

– Wstąpię po ciebie – popatrzyła ze współczuciem na zajętą szyciem koleżankę – ale teraz to już polecę. Muszę mamie mąki kupić, bo kluski na obiad chce zrobić i jak raz zabrakło!

Fela znów pograżyła się w myślach. Dobrze, że jutro niedziela. Będzie mogła zobaczyć się z Kaziem. Mówiła na niego Kazik. Wprawdzie początkowo ciągnęło ją do czarnych oczu i kręconej czupryny Józka, ale wkrótce się przekonała, że i Kazio ma swoje zalety. A jak tańczył! Wszystkie kawałki umiał.

I tylko ją prosił do tańca. A jak ją objął w tangu, to aż jej dech zapało! Nie wyglądał na takiego tancerza! Jak to czasem można się pomylić!

Przyzwyczała się do niego. Zawsze był uśmiechnięty, troszkę nieśmiały i taki delikatny. Dopiero po kilku randkach zaproponował, by mówili sobie po imieniu. Początkowo spotykali się we czwórkę, ale wkrótce Józek z Helcią odłączyli się od nich, więc spacerowali sami. Na którymś spotkaniu Kazik wziął delikatnie jej rękę i wsunął razem ze swoją do kieszeni kurtki, a kiedy Fela chciała dłoń cofnąć, przytrzymał jej palce.

– Zimno przecież, a ty nie wzięłaś rękawiczek, trochę ci ogrzeję rączkę.

Na to wspomnienie czuła jakiś dziwny dreszcz. Jak to dobrze, że jutro niedziela i znów go zobaczy.

Skrzypnęły drzwi i do mieszkania wolno, mocno utykając, weszła Zofka. Trudno jej było się poruszać. Głowę obwiązała chustką, ale oczy jej błyszczały. Widać było, że ma jakąś niezwykłą nowinę.

– Maniu, a słyszałaś, co się z tą Irką Smolarzówną spod dwunastki narobiło? Podobno ledwo żyje, brak jej trzy ćwierci do śmierci.

Marianna gwałtownie machnęła ręką.

– Cicho, Zofka, nie gadaj byle czego!

– Co, nie jesteś ciekawa?

– Daj spokój, nie mów głupot przy dziewczynkach.

– Niech słuchają, niech wiedzą, jaki to jest babski los!

– Wandzia, Marcia, na podwórko! Idźcie trochę polatać. Jak będzie obiad, to was zawołam.

Dziewczynki wyszły niechętnie. Ledwo drzwi się za nimi zamknęły, Marianna zaczęła mówić.

– Pewno, że słyszałam o tej Irce. Latawica! To tak zawsze się dzieje, jak dziewczyna się nie szanuje i pod koszary lata. Albo francę przyniesie, albo duży brzuch. A potem to dopiero wstyd, płacz i głupoty do głowy przychodzą.

Fela słuchała matki, przerażona. Jak to duży brzuch? To znaczy co? Bała się jednak spytać. Wołała siedzieć cicho i nie zwracać na siebie uwagi.

– Maniu, ty to jesteś taka surowa i twarda. Wiesz, że jak dziewczyna młoda, to i głupia. Nie zastanawiała się, co ją może spotkać, a jak się pokazało, że ma być

dziecko, to poszła do baby. A baba tak coś w niej popsowała, że biedaczka krwotoku dostała i teraz ledwo żyje. Jutra może nie doczekać. Księżdzia jej sprowadzili.

Fela wstrzymała oddech. Jak to, nie doczeka jutra? Umrze? Taka śliczna dziewczyna, tylko troszkę starsza od Feli. Czasem chodziły razem na spacer. Miała takie jasne, puszyste włosy i wielkie, niebieskie oczy z ciemnymi rzęsami. Fela zawsze jej tych oczu zazdrościła. Boże! Co ta Irka zrobiła? Aż łzy jej się zakręciły w oczach.

Obie kobiety spojrzały na nią znacząco.

– Dobrze, dobrze, niech słuha – powiedziała matka – niech sobie wbije do głowy, że chłopu nie można ufać i pozwalać na wszystko, że trzeba się szanować i dbać o opinię. Najpierw ślub, a dopiero potem czas na amory. Fela, słyszysz? Zapamiętaj to sobie! Żebyś mi bachora do domu nie przyniosła albo jakiej innej głupoty nie zrobiła!

Policzki dziewczyny spąsowiały. Nic nie odpowiedziała, tylko igła jeszcze szybciej zaczęła migać w jej palcach.

Marysia podeszła do matki i powiedziała szeptem, ale takim, że w całym mieszkaniu było słychać:

– Mamusiu, chce mi się siusiu!

– A to idź za zasłonkę i zrób!

Wandzia z Marcją zachichotały i zaczęły śpiewać:

– „Już taki jestem zimny drań

I dobrze mi z tem, bez dwóch zdań...”.

Na policzki Feli wystąpiły rumieńce. Czy ta smarkata naprawdę nie mogła jeszcze trochę wytrzymać? Jak się nie wstydziła mówić tak przy Kaziu? Co on sobie pomyśli! Mimo że znali się już od dawna, że przychodził do niej do domu, a matce przypadł do gustu i traktowała go prawie jak przyszłego zięcia, Fela wciąż czuła się przy nim skrępowana.

– To ja już chyba pójdę. Zasiedziałem się, a tu zaraz godzina policyjna.

– A co się pan Kazio tak śpieszy, niech jeszcze trochę posiedzi, dopiero siódma dochodzi, do jedzenia coś zrobię.

– No to jak pani tak mówi, to jeszcze z pół godzinki zostanę.

Podeszły do niego dziewczynki.

– Niech pan Kazio pobawi się z nami w ciuciubabkę! Panie Kaziu kochany!

Prosimy!

Franciszkowa spojrzała surowo na córki.

– Dziewczynki, bądźcie grzeczne, nie męczcie pana Kazia. Fela, zrób kawy, Wandzia, pokrój chleb.

Sięgnęła do przepaścistego kredensu i wyjęła niewielki garnuszek smalcu ze

skwarkami.

– No, na dzisiaj musi nam to wystarczyć!

– Pani Szymczakowa, przecież to prawdziwa uczta, wiem, jaki pyszny smalec pani robi.

Po twarzy Marianny przemknął cień uśmiechu. Lubiła tego chłopaka. Jak zaczął przychodzić, był bardzo nieśmiały, teraz nabrał pewności, dziewczynki za nim przepadały, bo umiał się z nimi bawić, jakby był ich rówieśnikiem. Żeby tylko się nie rozmyślił i nie znalazł sobie innej dziewczyny, bo ta Fela to przy nim jakaś taka niemowna i wciąż smutna. Pora by już jej iść za męż. Osiemnaście skończyła. Co prawda, wojna, ale kto wie, kiedy się skończy, a dziewczynie młodość prędko przeleci.

Jedli szybko, bo zrobiło się późno. Kazio podniósł się od stołu, pocałował Franciszkową w rękę, pomachał wesoło dziewczynkom i zwrócił się do Feli:

– Odprowadzisz mnie do bramy?

Spojrzała niepewnie na matkę.

– No idź, idź, tylko tam nie stójcie za długo, bo zaraz godzina policyjna!

– przypomniała.

Było już całkiem ciemno. Kazio delikatnie przytulił Felę.

– Dlaczego jesteś taka smutna?

– Nie, tylko ci się wydaje!

– Oj, jesteś, jesteś, mnie nie oszukasz! A ja chciałem coś ci powiedzieć, to znaczy o coś spytać.

– O co?

Kazio odetchnął głębiej.

– Felutka, wyjdiesz za mnie? Powiedz, wyjdiesz?

Stała jak wryta.

– Co ty mówisz? Nie wiem! Czy jesteś całkiem pewien, że to mnie, że chcesz właśnie mnie? Może jeszcze sobie znajdziesz inną, lepszą dziewczynę!

– Oj, głuptasku, jakbym nie był pewien, tobym ci przecież nie mówił. Ciebie tylko kocham i tylko ciebie chcę! To jak, mam przyjść z matką w niedzielę? Zgadzasz się?

Fela nie mogła głosu z siebie wydobyć, skinęła tylko głową. I zaraz odsunęła się, spłoszona, bo Kazik objął ją mocno i pocałował.

– No co ty, Fela, co ty, przecież żoną moją będziesz, a tak się bronisz!

– Na wszystko przyjdzie czas, a teraz leć, bo cię w końcu jaki patrol zabierze. Ja też cię kocham – dodała cichutko.

Kazik, wzruszony, znowu ją objął i obsypał pocałunkami.

– Felutka, nie będziesz żałowała, że za mnie wyjdiesz. Na rękach będę cię nosił.

Przytuliła się do niego. Nagle otworzyły się drzwi od Kędziorów.

Odkoczyli od siebie. Kazik zniknął w ciemności, a Fela stała, oszołomiona, zaskoczona, szczęśliwa.

– A co ty, Felcia, tak tu po ciemku sama, duchów się nie boisz?

Czesiek Kędziora zobaczył ją w padającym z mieszkania świetle.

– Idę już do domu, wysłałam powietrza trochę złapać.

– A, pewno narzeczonego się odprowadzało – powiedział ze złością.

Fela biegiem ruszyła do domu.

Ślub odbył się u Świętego Jakuba.

W czwartkowy poranek, trzynastego lutego, stanęli przed ołtarzem. On w ciemnym garniturze nie pierwszej nowości, ona w pożyczonej białej sukni i kapeluszu, kupionym za parę groszy od Żydówki z getta, w którym Niemcy zamknęli wszystkich skierniewickich Żydów. Kazio, drżący z zimna i emocji, nerwowo przyciskał do swojego boku łokieć Feli. Ona była spokojna. Spoglądała na niego, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje. A więc będzie miała męża, będzie mężatką. Tylko czy on się aby nie pomylił, wybierając ją właśnie?

– Kazik, jeszcze nie jest za późno, jeszcze możemy odejść od ołtarza i poszukasz sobie lepszej żony.

Poruszył się niespokojnie.

– Żebyś potem nie żałował, za chwilę klamka zapadnie.

– Felutka, miej litość, przestań już! Nie chcę innej. Ciebie chcę!

Zadzwęczał dzwonek na znak, że ksiądz wychodzi z zakrystii. Wolno ruszyli do ołtarza. Ksiądz związał im ręce stułą, powtórzyli za nim słowa przysięgi.

Kiedy odeszli od ołtarza, najpierw ucałowały ich obie matki, potem świadkowie, czyli majster Kazia i Stanisław, mąż Sabiny, jego siostry, a potem obecni złożyli młodej parze życzenia. Z kościoła wszyscy rozeszli się do domów. Przyjęcie weselne miało się rozpocząć późnym popołudniem. Franciszkowa nakupiła mięsa, cukru i mąki, przygotowała wszystko, jak należy. Czowała się w swoim żywiole, gdy pitraśiła kotlety, rozczyniała ciasto, prużyła bigos. Nie myślała wcale o tym, że poszły wszystkie pieniądze, a nawet trzeba było dokończyć, nie zastanawiała się, co w najbliższych dniach da dziewczynkom jeść. Jakoś to będzie, uznała, przecież ślub i wesele jest raz w życiu. Fela sprzeciwiała się takiej rozrzutności, prosiła, żeby było jak najskromniej, ale matka nie chciała słuchać. Zawsze lubiła przyjmować gości, a jakże może być lepsza ku temu okazja niż ślub córki!

– Moja najstarsza córka za mąż wychodzi, to wesele być musi! A potem będę się martwić. Zresztą, masz tyle szycia, na chleb zarobisz.

Goście ledwo się pomieścili. Na dwu zestawionych ze sobą stołach, przykrytych białymi obrusami, stały półmiski z mięsiwem. Kazio przyniósł kilka

butelek samogonu. Józek przygrywał na harmonii. Nikt jednak nie tańczył, bo nie było gdzie i wszyscy się bali, że hałas może przyciągnąć uwagę niemieckich żołnierzy patrolujących ulice. Państwo młodzi siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce. Goście zaczęli wołać, że wódka gorzka i trzeba ją posłodzić. Fela poczerwieniała i spuściła oczy, a zawstydzony Kazio delikatnie cmoknął ją w policzek.

Dom Julii pogrążony był w żałobie. W pierwszych dniach wojny zginął mąż Karoliny. Została sama z Klarcią i Jasiem. Trudno było żyć w okupowanej Warszawie. Łapanie, uliczne egzekucje, kłopoty z kupnem żywności, ciągły strach. Julia widziała, że córka ma jakichś dziwnych znajomych. W domu często pojawiali się ludzie w luźnych płaszczach i oficerkach. Przypuszczała, a właściwie była pewna, że to żołnierze podziemia. O nic jednak nie pytała, wołała nie wiedzieć.

Drżała o Karolinę, która milcząca, zdeterminowana, jakby nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie naraża nie tylko siebie, ale także dzieci i matkę, ciągle gdzieś biegała, nosiła jakieś podejrzane pakunki. Julia była pewna, że córka działa w konspiracji. Bała się o nią, ale pomagała, opiekując się wnukami. Codzienne sprawy bardzo ją absorbowały, dzięki czemu rzadziej myślała o niebezpieczeństwie zagrażającym Karolinie. Wyprzedawała biżuterię, porcelanę i srebra, dzięki czemu mogła kupować żywność. Trzeba było jakoś przeczekać ten trudny czas.

SPOTKANIE

Otworzyli drzwi wynajętego mieszkania. To, co zobaczyli, było jak ze złego snu. Odrapane ściany, w podłodze brakowało kilku desek, na środku ziała głęboka dziura, wiodąca do czegoś, co wcześniej było chyba piwniczką.

– Felutka, wreszcie jesteście u siebie! To nasze gniazdko!

Fela znieruchomiała.

– Ty myślisz, że da się tu mieszkać?

– Ponaprawiam, pomaluję i zobaczysz, będzie jak w niebie.

– Jak w niebie? – niepewnie spytała Fela. – Może jednak lepiej zostanemy u mamy.

– Będzie jak w niebie! Ja ci to mówię! Twój mąż!

Kazio mógłby mieszkać nawet w szopie lub komórce, byle tylko wynieść się od teściowej. Właściwie nie miał powodów, żeby na nią narzekać, bo Franciszkowa dogadzała mu, jak mogła. Zawsze dostawał na obiad największą porcję i najlepsze kaski, aż go to krępowało. Nie pokrzykiwała na niego. Miał lepiej niż u rodzonej matki, gdzie często kawałka chleba brakło.

Tylko te noce! Fela wstydyła się, kiedy szeleściła ich pierzyna, ciągle go uciszała, nie pozwalała na żadne westchnienia, okrzyki i posapywania. Wciąż nasłuchiwała, czy siostry śpią, czy matka nie przewraca się z boku na bok. Nie tak wyobrażał sobie ich małżeńskie pożycie.

Któregoś ranka, widząc smutną twarz i spuszczone oczy żony, powziął decyzję. Muszą się wyprowadzić!

Marianna załamała rękę.

– To przecie dwa domy trzeba będzie prowadzić. Fela, zamiast szyć, będzie musiała gotować, prać i sprzątać. Tak wam źle z nami? Tak wam dokuczamy?

Kazio pocałował ją w rękę.

– Nam tu bardzo dobrze, że i w niebie nie będzie lepiej, ale chcemy iść na swoje. Niech się mama nie gniewa. Damy jakoś radę. Będzie dobrze!

Kilka dni szukali, ale wszędzie komorne było za wysokie. Aż wreszcie, całkiem już zrezygnowani, na tej samej ulicy trafili na maleńkie mieszkanko. Przed wojną mieszkała tu żydowska rodzina, a odkąd została wysiedlona do getta, stało puste. Nie dziwota, że ludzie zaczęli wynosić, co się dało. Jak zabrakło rzeczy, zaczęli wyrywać deski z podłogi. Właścicielka domu, stara kobieta, nie mogła dać sobie rady z rabusiami. Felę przeraziła ta ruina. Nie pomogły uspokajające słowa męża, wróciła do domu markotna, a Kazio poszedł do majstra, żeby się poradzić, od czego zacząć remont.

Majster, mężczyzna w średnim wieku, nie stronił od kieliszka, ale serce miał

dobrze, a swoich uczniów traktował prawie jak synów. Kiedy Kazio opisał mu stan owego upragnionego mieszkania, bez słowa zaprowadził go na tyły podwórka, gdzie leżało trochę desek przykrytych papą, i kazał wybrać, ile będzie potrzeba.

– Dzisiaj weź się za hebel i piłę, a jutro pójdziesz po wapno do składu Klejbacha, opacykujesz ściany i będzie, jak się patrzy!

Kiedy po dwóch dniach mąż otworzył przed Felą drzwi, ponownie zaniemówiła.

– Kazik, jak tyś to zrobił? Nie myślałam, że tu może tak wyglądać!

– Nie na darmo masz męża stolarza. Teraz tylko meble i, kochana moja, nareszcie będziemy u siebie!

– Meble? Jakie meble? Skąd weźmiemy pieniądze? Z domu przecież niczego nie zabiorę, no, może tylko nasze łóżko, a gdzie reszta?

– Już moja w tym głowa, ty się o nic nie martw! Będą meble. Majster nam pomoże. Kuchnię też już oporządziłem. Józek trochę mi pomógł. Dziury pozaklejalismy gliną, cug jest dobry, ogień buzuje, aż huczy. Żeby tylko było czym palić! Zobaczysz, jak nam tu będzie dobrze! Teraz jeszcze okno trzeba umyć, podłogę wyszorować, a jutro wnosimy pierwszy mebel. Oczywiście łóżko!

Chwycił ją w objęcia i całował mocno, mocno, coraz mocniej. Przytuliła się do niego. Zapomnieli o bożym świecie i wolno osunęli się na podłogę.

Kolejna wojenna zima miała się ku końcowi. Pan Bóg, jakby chcąc jeszcze bardziej doświadczyć biednych ludzi, zesłał mróz, od którego pękały drzewa, a ludzie zamarzali. Krążyły wieści, że na wschodzie Rosjanie dają Niemcom łupnia. Skąd pochodziły te wiadomości, nie wiadomo, bo hitlerowskie „szczekaczki” aż się zachłystywały, głosząc kolejne zwycięstwa, a w wyświetlanych przed każdym filmem kronikach pokazywano niezwyciężoną armię niemiecką, która na wszystkich frontach wciąż parła do przodu.

Franciszkowa z córkami siedziały wokół stołu, okutane we wszystko, co miały. Pod płytą ogień rozniecały tylko na krótko, by ugotować trochę zupy. Czasem była to jedynie woda, w której pływały kawałki ususzonego chleba. Dziewczynkom z głodu wciąż burczało w brzuchach.

Marianna z niepokojem myślała o przyszłości. Co będzie dalej, czy uda im się przetrwać ten okropny czas? Jaki los czeka jej córki?

Wandzia skończyła już siedemnaście lat, wyrosła na ładną panienkę. Ustały te okropne ataki, nękające ją przez kilka lat po wypadku z koniem. Jeszcze tylko trochę się jąkała, zwłaszcza kiedy ją coś zdenerwowało. Ona jedyna z córek Marianny miała krótką fryzurkę. Gniewało to Franciszkową, bo nawet Fela, mężatka, dwudziestodwuletnia kobieta, matka małej Tereski, nadal zaplatała dwa warkocze i upinała je w zgrabny koszycek z tyłu głowy. Wandzia uparła się

jednak, a matka, nie chcąc jej drażnić, bo zdenerwowanie powodowało u córki bóle głowy, machnęła wreszcie ręką i dziewczyna nosiła krótkie włosy, prawie jak chłopak.

Dwa lata młodsza Marta przerosła Wandę. Miała wielkie, rozmarzone czarne oczy, była wysoka i zgrabna. Udały się Franciszkowej córki.

Jednak najładniejsza była Marysia. Skończyła dopiero dwanaście lat, ale już było widać, że wyrośnie na prawdziwą piękność. Krucze włosy zwijały jej się w pierścionki i okalały delikatną buzię, czarne oczy ocieniały długie rzęsy, pięknie zarysowane brwi miała ciemne, jakby przyciemnione węgielkiem. Była bardzo podobna do matki.

Dziewczęta całe dni ślęczały przy robocie. Dziergały na drutach swetry. Ze starych robiły nowe. Miały smykałkę do wymyślania trudnych wzorów. Robiły też szaliki, rękawice i czapki. Dzięki temu zarabiała trochę grosza.

Fela niewiele mogła im pomóc, bo też klepała biedę. Pracy było niewiele, a zdarzało się, że za uszycie sukienki dostawała od klientki bochenek chleba. Często brakowało pieniędzy nawet na wykupienie kartkowego pieczywa. Kazio całymi dniami siedział w warsztacie u majstra, ale zazwyczaj na siedzeniu się kończyło, bo prawie nie mieli roboty. Mała Tereska skończyła dwa lata. Wciąż chorowała. Kiedy dostawała wysokiej gorączki, Fela biegła z nią w popłochu do doktora Olczakowskiego, który nieraz, widząc, w jakim dziecko jest stanie, z rezygnacją machał ręką, po czym się okazywało, że kryzys mijał i Tereska wracała do zdrowia. Żyli z dnia na dzień, szczęśliwi, gdy nic złego się nie wydarzyło. Te straszne wojenne lata wszystkim dawały się we znaki.

Franciszkowa z córkami kończyły jeść obiad. Ale co to był za obiad, jakaś namiastka! Trochę cienkiej zupki.

– A pamięta mamusia, jak przychodzili do nas goście? I tyle było różnych smakołyków naszykowanych? – Wandzia popatrzyła na siostry. – Pamiętacie zupę pomarańczową?

– Ja nie lubiłam pomarańczowej, wolałam cytrynową! – Marta głośno przełknęła ślinę. – A kotleciki mielone? Co byście powiedziały na takie gorące, prosto z patelni?

– Mamusiu, czy my kiedyś najemy się do syta? Tak, żeby aż brzuchy nas rozbolały? – Marysia nie pamiętała czasów, gdy w domu było pod dostatkiem jedzenia.

– Nie gadajcie po próżnicy! Od takiego gadania tylko robi się jeszcze bardziej pusto w żołądku. – Franciszkowa ze smutkiem popatrzyła na córki. – Może poczytam wam trochę. Nie jesteście ciekawe, czy Kmicic wysadził kolubrynę?

- Jesteśmy, jesteśmy! – zawołały jednym głosem.
 - To szkoda czasu, nie gadajcie, tylko bierzcie się do roboty.
- W rękach dziewcząt migały druty, a Marianna czytała wolno i wyraźnie.

– Ale dzisiaj ziąb, nie dziwota, przecież listopad! Jak pomyślę, Maniu, że znowu idzie zima, to aż mnie w dołku ściska.

Zofka siedziała na najwygodniejszym krześle, tym z wysokim, półokrągłym oparciem. Była teraz rzadkim gościem u przyjaciółki. Noga, która od dawna jej dokuczała, zrobiła się sztywna i opuchnięta, każde stąpięcie sprawiało nieznośny ból. Przykuśtykała z trudem, bo chciała odsapnąć od gwaru, jaki panował w jej mieszkaniu. Sprowadziła się do niej córka z trójką dzieci i maluchy tak hałasowały, że nieraz wytrzymać nie mogła. Szła wtedy do Marianny, by chociaż trochę posiedzieć w jakiej takiej ciszy.

– Słyszałaś, Maniu, co się w tej Warszawie narobiło? Ludzie gadają, aż się wierzyć nie chce. Nasi postawili się szkopom, tylko czy mogli dać radę takiej sile? Podobno zginęło okropnie dużo narodu, jakby dotąd Niemcy jeszcze nie dość nazabijali. Wszystkich ludzi w jakichś obozach pozamykali. U Sochowej nocuje kobieta, co to z Warszawy prawie całą drogę z dziećmi piechotą szła. Opowiada takie rzeczy, że wprost trudno uwierzyć. Mówi, że z miasta prawie nic nie zostało, same ruiny, zabitych grzebali na ulicach i podwórkach, a głód tam jeszcze gorszy niż u nas. Ruskie to podobno stali pod Warszawą i zamiast naszym pomóc, czekali nie wiadomo na co!

– To mówisz, że u Sochowej mieszka ta z Warszawy? Przecież tam i bez niej okropna ciasnota!

– Prawdę mówisz, ale jak odpędzić od drzwi taką biedę z małymi dziećmi? A u was co słyszeć? – Zofka rozejrzała się po mieszkaniu. – Dziewczynki stale pracują, chociaż na jedzenie zarobią!

– Co one tam zarobią! Zysku tyle, co w pysku. Grosze marne, a ile się namęczą!

– Dobre masz córki, a jakie ładne, jakie grzeczne! Marysia to jak malowana, będą się za nią chłopaki uganiać. Ale, ale, a co tam u Feli słyszeć?

– Co ma być słyszeć! Biedę klepie tak jak i my. Kazio to dobry chłop, szanuje ją, nie powiem, ale roboty nie ma, a ona szyciem niewiele zarobi. Kiedy ta wojna się skończy? Ile jeszcze trzeba wytrzymać? Czasem to mi już życie brzydnie!

– A co ja mam powiedzieć? Patrzą, jak te biedne dziecińy płaczą z głodu, i serce mi się kraje. Zapomniał Pan Bóg o nas, oj, zapomniał!

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

– Otwarte, można wejść!

Nikt jednak nie wchodził. Marianna odsunęła grubą derę, chroniącą trochę przed zimnem, i otworzyła drzwi. Za progiem stała starsza kobieta z kilkuletnim chłopcem. Była blada, oddychała szybko, w oczach miała łzy.

– Czego tu szukacie? – ostrym głosem spytała Franciszkowa.

– Błagam panią – zaczęła cicho kobieta – błagam, do kilku domów mnie nie wpuszczono, a mały jest już taki zmęczony i zmarznięty. Jesteśmy z Warszawy. Proszę, błagam, proszę nam pomóc.

Franciszkowa popatrzyła na chłopca, który rzeczywiście ledwo trzymał się na nogach. A ta kobieta! Wydało jej się, że skądś tamtą zna. Miała śniadą cerę, czarne, wyraziste oczy, musiała być kiedyś bardzo ładna.

– Ciasno tu u nas – odparła nieco łagodniej – bo mam trzy córki, a mieszkanie nieduże, ale wejdźcie i tymczasem trochę odsapnijcie, tylko z jedzeniem u nas krucho.

– Niech Bóg pani wynagrodzi. Wnuczek jest grzeczny, nie robi kłopotu, dziękuję pani, a jedzenia trochę mamy.

Kobieta weszła do środka i zrzuciła z pleców spory tobołek. Zdjęła płaszcz i pomogła rozebrać się chłopcu. Franciszkowa nastawiła czajnik, bo akurat tego dnia przyniosła z lasu sporą wiązkę suszu, było więc czym ogień podsycić. Nalała wody do miednicy.

– Tu można się obmyć.

Spoglądała kątem oka na przybyłą. Widziała jej czarne włosy poprzetykane srebrnymi pasemkami. Patrzyła na jej postać i nagle ją olśniło! Przecież to jakby jej samej odbicie w lustrze! Jak to możliwe, żeby dwie obce kobiety były do siebie tak podobne?

– A pani to z Warszawy? – zagadnęła Zofka.

Tamta popatrzyła na nią ze smutkiem.

– Tak, tylko że Warszawy już nie ma.

– Jak to może być? Przecież to takie wielkie miasto!

– Niemcy zrównali Warszawę z ziemią. Został tylko stos dymiących ruin i wielkie cmentarzysko. – W oczach nieznanym pokazały się łzy.

Zofka miała już iść do siebie, ale teraz, chcąc zaspokoić ciekawość, zaczęła wypytywać.

– To paniusia tak sama z tym dzieciakiem? A rodzina? A dom? A dokąd pani idzie? A jak długo chce zostać w Skierniewicach?

Marianna nie wytrzymała.

– Zofka, ty to umiaru nie masz. Widzisz, że oboje ledwo żyją. Daj spokój. Potem się wszystkiego dowiesz, no, jak ci pani zechce powiedzieć.

Kobieta spojrzała na nią z wdzięcznością. Zofka, trochę urażona, podniosła się z trudem.

– To ja już pójdę, nie będę przeszkadzać! Ale jeszcze ci, Maniu, powiem, że

podobne jesteście z tą panią do siebie jak dwie krople wody, tylko ona chudsza. Aż dziw bierze. No to zostańcie z Bogiem! Wandzia, odprowadzisz mnie do domu?

Dziewczyzna odłożyła druty, okryła się matczyną chustą i powoli wyprowadziła kulejącą sąsiadkę.

Kobieta rozwiązała swój tobołek i położyła na stole spory kawał chleba, wyjęła też niewielki blaszany garnuszek ze smalcem. Ukroiła kilka pajdek i posmarowała.

– Jedz, Jasiu.

Chłopiec siedział z zamkniętymi oczami na krześle i chyba jej nie słyszał.

– Jasiu, nie zasypiaj, zjedz chociaż jedną kromkę. Jest bardzo zmęczony, taki kawał drogi dzisiaj przeszliśmy – powiedziała nieznajoma, jakby chcąc usprawiedliwić wnuka.

Franciszkowa wyciągnęła z łóżka wypchany słomą siennik i położyła na podłodze. Przykryła go prześcieradłem.

– Pierzyny dla was nie mam, ale dam wam taką grubą derkę. Musi wystarczyć.

– Pani jest bardzo dobra. Wystarczyłyby tylko kawałek podłogi. Po drodze zdarzało nam się spać w różnych miejscach, nawet na gołej ziemi. Chcę pani powiedzieć, że nazywam się Julia Pejska, a Jaś jest moim wnuczkiem, ma dopiero siedem lat. Wszystko w powstaniu straciłam – i córkę, i wnuczkę, i dom. Zostaliśmy sami z Jasiem, bez dachu nad głową, Niemcy wysiedlili wszystkich z Warszawy. – Widząc wpatrzone w chleb oczy dziewczynek, dodała: – Może się panienki poczęstują, bardzo proszę.

Kobieta mówiła coraz wolniej. Jej też zaczęły się zamykać oczy.

– Niech pani już się kładzie, jutro porozmawiamy.

Ranek wstał pogodny, choć zimny. Franciszkowa kazała Marcie przynieść kilka wiader wody, podpaliła pod kuchnią i nastawiła kocioł. Spod łóżka wyciągnęła balię i ustawiła za zasłonką przegradzającą mieszkanie.

Julia otworzyła oczy i rozejrzała się niepewnie. Kiedy popatrzyła na krzątającą się gospodynię, pomyślała, że miała rację ta sąsiadka, która tu była wczoraj. Rzeczywiście są do siebie bardzo podobne. Tylko tamta ma znacznie pełniejszą figurę.

– Jak się pani już obudziła, to trzeba wstawać, wody nagrzałam. Chyba będzie się pani chciała umyć. I chłopca. A może, nie daj Bóg, we włosach co jest. Trzeba będzie naftaliną zsypać, żeby się to świństwo po nas nie rozeszło.

Julia podniosła się z trudem. Bardzo bolały ją nogi. Postanowiła skorzystać z uprzejmości kobiety i porządnie się umyć, zanim pójdzie w dalszą drogę.

Z zażenowaniem zdjęła z siebie wierzchnie ubranie, weszła za zasłonkę. Nagle zachwiała się i upadła. Franciszkowa z córkami wciągnęły ją na siennik. Jaś otworzył oczy i przytulił się do babki. Widząc, że się nie porusza, zaczął do niej

mówić, najpierw po cichutku, a potem głośniej, wreszcie zaczął płakać.

– Nie płacz, Jasiu, babcia zaraz się obudzi, nie płacz – uspokajała go Marianna.

– Babciu, co ci jest? Babciu, powiedz! Babciu!

Płakał coraz głośniej. Tulił się do babki, objął ją za szyję, obsypywał pocałunkami twarz. Julia drgnęła i zaczęła szeptać.

– Nie płacz, Jasiu, już dobrze. Zasłabłam troszkę, ale już mi lepiej. Nie płacz, dziecko. Nie płacz! – Przytuliła chłopca. – Już mi lepiej, zaraz się podniosę.

Nie było to jednak łatwe, więc Marianna kazała jej leżeć, a sama zajęła się Jasiem. Mimo protestów malca wyszorowała go porządnie. Zasłaniał się przed nią i wrywał.

– A co to kawaler taki wstydlivy, nie trzeba się bać. Krzywdy ci nie zrobię, tylko wymyję trochę te brudy.

Wreszcie Jaś, czysty i wytarty do sucha, został ubrany w bluzkę Marysi, a jego i Julii rzeczy Franciszkowa wrzuciła do balii i uprała.

– Czym ja się pani odwdzięczę za tyle dobrego. Czym się odwdzięczę!

– Co to za dobro! Jak coś jest brudne, to przecież trzeba uprać. Nie znoszę brudu.

– To tak jak ja! Ale po drodze nie miałam możliwości zadbać o czystość. Za zimno, żeby się w rzece myć, Jaś by się przeziębził! Dziękuję pani z całego serca! Dziękuję!

– Jaka ja tam pani, mam na imię Marianna, mówią też do mnie po mężu Franciszkowa. Jak tam? Może pani już wstać? Woda jest gorąca, można się umyć.

– A ja jestem Julia. Pani Marianno, proszę wziąć z tobołka resztę chleba i smalcu, i zrobić dla wszystkich śniadanie. Potem może kupi się trochę chleba. Można tu gdzieś dostać chleb?

– Jak się ma pieniądze, to wszystko można dostać, nawet mleko i kiełbasę.

– Jeszcze mi jakieś grosze zostały.

Julia wolno podniosła się z siennika. Widać było jednak, że nie ma siły, ledwo zdołała zrobić dwa kroki do stołu. Chwiała się i słaniała na nogach.

– Wystraszyła mnie pani tym zemdleniem. Czy pani jest chora, czy co?

– Od jakiegoś czasu dokucza mi serce, a teraz, po tych wszystkich nieszczęściach, pewno do reszty się zbuntowało.

– To po co taki świat drogi iść, nie lepiej było gdzieś bliżej się zatrzymać?

– Pomyślałam sobie, że dowlokę się tutaj, bo w niedalekiej okolicy mieszka mój ojciec. Może pani słyszała o majątku Wólka Podleśna?

Marianna drgnęła.

– Tak, słyszałam.

– Moim ojcem jest tamtejszy dziedzic, Kazimierz Bilski, ale nie wiem, czy jeszcze żyje.

– To chyba dawno go pani nie widziała!

Julia popatrzyła na Jasia. Bawił się z Marysią w „łapki” i nawet zaczął się uśmiechać. Starsze dziewczęta też usiadły koło nich, starając się go rozruszać, ośmielić i zająć. Julia ściszyła głos.

– Wie pani, Marianno, to taka rodzinna tajemnica, ale teraz to już nie ma żadnego znaczenia, więc powiem. Moja matka przebywała w młodości u wuja, który był księdzem w tamtejszej parafii, miała niedługo wychodzić za męża, a pan Bilski zakręcił jej w głowie i stało się! Mąż mojej matki, który mnie wychował, nigdy się nie dowiedział, że nie jestem jego córką. Mnie matka powiedziała o tym dopiero na łożu śmierci.

W miarę jak Julia mówiła, Marianna robiła się coraz bledsza. Siły ją opuściły, przysiadła na krześle.

– Czy coś się stało? Źle się pani czuje?

– Nie, nie. Jedzmy już to śniadanie.

Co to za dziwny przypadek, myślała Marianna, że ta kobieta musiała akurat tutaj trafić, to przecież jej siostra! Miały tego samego ojca! Nie do wiary! Co za dziwny przypadek! Tylko co dalej robić? Powiedzieć jej czy nie? I czy ona uwierzy? Co robić?

Julia spoglądała na nią zatrwożona. Zastanawiała się, co się stało. Czyżby gospodynię zgorszyła jej opowieść? Dlaczego zrobiła się taka ponura, jakby zła? Pewno każe im się zaraz wynosić. A ona była taka słaba. Serce biło jak oszalone, bolało ją w piersiach. Zaczęła się modlić po cichu, żeby tylko nic jej się nie stało, bo co wtedy będzie z Jasiem? Kto się nim zaopiekuje? Nie ma tu przecież nikogo bliskiego. Ból był coraz silniejszy. Na czoło Julii wystąpiły krople potu.

– Czy pani Julia znowu źle się czuje? – Marianna patrzyła na nią z troską.

– Bardzo źle!

– To niech się pani położy!

– Tylko kłopot ze mną, ale chyba bez lekarza się nie obejdzie. – Julia wyjęła z kieszeni kilka banknotów. – Mogłaby pani sprowadzić doktora?

– Dobrze, Wanda zaraz poleci! Ale zanim lekarz przyjdzie, muszę coś powiedzieć. Dziedzic Bilski jest też moim ojcem, zgwałcił moją matkę. Była wdową, prostą kobietą, pracowała u niego. Co myśmy przez niego przeżyły! Dowiedziałam się o tym kilka lat temu, jak umierała moja starsza siostra, Józia. Źle mu życzyłam, nienawidziłam go, teraz to już minęło. Może mi Julia nie wierzyć, ale tak było!

– Boże mój! Marianno, co ty mówisz! Jesteś moją siostrą? Jak to możliwe, że cię znalazłam, że właśnie do ciebie zapukałam? – Julia przycisnęła rękę do piersi. – Marianno, to chyba Pan Bóg zlitował się nade mną i wynagrodził za to wszystko, co mnie spotkało. Najpierw straciłam męża, którego bardzo kochałam, od młodych lat żyłam sama, potem wojna zabrała Karolinę, moją najdroższą

córkę, i wnuczkę, Klarcię. Zginęły pod gruzami zbombardowanej kamienicy. Został mi tylko Jaś. A teraz znalazłam ciebie. Chwała Bogu! Nawet jakbym umarła, Jaś nie będzie sam na świecie, będzie miał ciebie! – mówiła coraz ciszej.

– Dzień dobry! Gdzie ta chora?

Lekarz dotknął czoła Julii, zbadał puls, pochylił się i przyłożył ucho do słuchawki, którą przesunął po plecach kobiety.

– No, chora ma takie serce, jakby żyła ze sto lat. Trzeba zacząć się szanować, zadbać o zdrowie, bo nic dobrego w tym sercu nie słyhać. Tylko szmery i bulgotania! Macie tu lekarstwo – zwrócił się do Marianny – podawać trzeba trzy razy dziennie, a te pastylki co dwie godziny. Z receptą pójdziecie do apteki, zrobią tam proszki w opłatku, będą gorzkie, ale trzeba połykać. No, to wszystko. Do widzenia. Jak nie będzie lepiej, zawiadomcie mnie, przyjdę znowu.

Julia podała mu pieniądze i wyszedł. Wanda pobiegła do apteki, a Julia zażyła leki zostawione przez lekarza. Po paru minutach uspokoiła się trochę, ból zelżał i spokojnie zasnęła.

Marysia starała się zabawić Jasia i prawie jej się to udawało, jednak gdy spoglądał na babcię, buzia wykrzywiła mu się w podkówkę. Na dwór nie mogła z nim wyjść, bo jeszcze nie wyschło uprane ubranie.

Julia spała ze dwie godziny. Kiedy się obudziła, prawie nie czuła bólu. Zobaczyła wpatrzona w siebie oczy Marianny.

– Marianno, siostrzko moja, opowiedz mi o sobie.

– A więc mi uwierzyłaś?

– Tak, najlepszym dowodem jest nasze podobieństwo. Widocznie to po ojcu.

– Julio, ciasno tu będzie, ale zostań z nami, jak długo zechcesz.

– Popatrz, jak Jaś poweselał! Dobrze mu tutaj. Powiedz mi trochę o sobie, proszę cię.

– To może wieczorem, jak dziewczynki zasną, bo teraz musimy brać się do roboty. Trzeba na chleb zarabiać.

Jednak wieczorem ból w piersiach wrócił, a serce Julii znów zaczęło walić jak młotem.

– Marianno, źle ze mną, błagam cię, zaopiekuj się Jasiem, nie oddawaj go do sierocińca. W moim palcu pod spodem rękawa zaszyłam trochę pieniędzy i złota. To wszystko dla ciebie, tylko przyrzeknij mi, że wychowasz Jasia na porządnego człowieka.

– Nie mów takich rzeczy, zaraz dam ci lekarstwo i będzie lepiej. Ale jakby co – Marianna z trudem powstrzymywała łzy – nie martw się! Zawsze bardzo chciałam mieć synka, urodziłam kilku, ale Pan Bóg wszystkich zabrał. Więc jak będzie taka Jego wola, wychowam Jasia! Ale nie myśl o tym, przecież wyzdrowiejesz! Zobaczysz!

Całą noc czuwała przy siostrze, trzymała jej rękę, ocierała pot z czoła. Nad

ranem Julia odeszła. Marianna przykryła jej twarz prześcieradłem i modliła się po cichu. Kiedy Jaś się obudził i spytał o babcię, przytuliła go do swoich pełnych piersi z serdecznością, jakiej nie okazywała nawet własnym dzieciom.

– Nie ma już babci Julii, nie płacz, Jasiu, teraz ja będę twoją babcią. – Łzy kapały z jej oczu na głowę chłopca.

PRZYSZŁO NOWE

W pierwsze powojenne lato do Skierniewic wróciła Honorka. Otworzyła drzwi i jakby nigdy nic weszła do mieszkania macochy. Na rękach trzymała dziecko, obok niej szedł mniej więcej pięcioletni chłopiec, a za nią wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, obwieszony tobołkami.

Marianna na ich widok oniemiała.

– Pochwalony – powiedziała dość głośno pasierbica. – Dzień dobry mamusi!
– Ostatnie słowo wymówiła z naciskiem. – Dobrze, że nadal tu mieszkacie, nie musiałam po świecie was szukać!

Marianna patrzyła, nie wierząc własnym oczom.

– Honorka? – wydusiła wreszcie.

– Honorka, Honorka! – powtórzyła młoda kobieta, przedrzeźniając ją.
– Przyjechałam, przyjechaliśmy – poprawiła się – bo w tej Warszawie wytrzymać się nie da. Głodno i chłodno! Niemców nie ma, a i tak ciężko, chyba jeszcze ciężej jak z nimi! Niemiec dusił, ale chociaż mieszkać było gdzie, a teraz same ruiny! A gdzie tatuś?

– Tatuś? Osiem lat już na cmentarzu, a córunia nawet o tym nie wie!
A teraz? Patrzcie ją, jaka troskliwa! Tyle czasu włóczyłaś się po świecie, czego teraz tu szukasz?

– Nie żyje? Tatuś nie żyje? Co mu się stało? Przecież nie był jeszcze stary! Chorował?

– Pewno, że chorował, i w końcu go ta choroba zabiła.

Honorka wierzchem dłoni otarła łzy.

– Biedny tatuś!

– Teraz biedny, a jak dniami i nocami na ciebie wyglądał, spokoju przez ciebie nie miał, to się go nie żałowałaś!

– Takie jest życie, co było, to było, już się nie odwróci!

Zamyśliła się na chwilę.

– Pomieszkamy u mamusi trochę. Chyba nie wyrzuci nas mama za drzwi!
– powiedziała cicho, jakby trochę niepewnie.

Marianna zagryzła usta.

– U nas ciasno, nie pomieścimy się.

– E, jak się chce, to na wszystko się znajdzie sposób! Chyba mama nie chce, żebyśmy na ulicy spali? – Odzyskała zwykłą pewność siebie.

Mariannę aż zatkało na taką bezczelność. Małeństwo zaczęło płakać. Co ta dziecina winna, pomyślała? Na parę dni niech zostaną, a potem się zobaczy... Franio by jej nie darował, jakby nie pomogła jego córce! Trudno, niech się dzieje

wola boska.

Popatrzyła z niechęcią na pasierbicę. Honorka niewiele przez te lata się zmieniła. Piękne rude włosy nadal układały się w naturalne fale, twarz była gładka, a i figura niczego. Szpeciły ją tylko usta, wymalowane czerwoną szminką. Jak u dziwki.

– Lucek to dobry chłop, pomoże przy domu i zarobi parę groszy. Jest silny jak byk i roboty się nie boi. – Honorka usiadła na krześle i zaczęła rozbierać maleństwo z okryć. – Ja też będę pracować. Ale o tym potem, teraz trzeba dzieciom dać jeść.

Bez skrępowania rozpięła bluzkę, wyjęła dużą, białą pierś. Dziecko łapczywie chwyciło brodawkę.

– Na szczęście pokarmu mam dosyć, dwoje bym wykarmiła! – zaczęła pojednawczym tonem. – A co tu tak pusto, gdzie dzieci?

– Dzieci? – syknęła ze złością Marianna. – Dzieci? Jakie dzieci? Fela od paru lat na swoim, Wanda lada chwila za męża idzie, a Marta i Marysia też już duże dziewczyny. Muszą pracować, żebyśmy z głodu nie poginęły! Nie znają cię! Do tego doprowadziłaś!

– Teraz będzie inaczej. Mam chłopca, Różę i Marcelka. Już nie w głowie mi głupoty – odparła Honorka, jakby chcąc udobruchać macochę. – I na oczy przejrzałam. Wiem teraz, co dla człowieka dobre, a co nie.

– Róża? Co to za imię dla dziecka, to przecież kwiatek, a nie imię. Szkoda, że nie dałaś jej na chrzcie „rumianek” albo „pokrzywa”.

– To piękne imię i jedna bardzo ważna towarzyszka takie miała.

– Niechrześcijańskie jakieś! Że też ksiądz się zgodził tak ją ochrzcić.

– Ano jakoś się zgodził! – skłamała, bo jak tu powiedzieć, że chrztu nie było.

Rozmowa przybrała spokojniejszy ton. Honorka opowiadała o dzieciach. Marianna, trochę pogodzona z niespodziewaną sytuacją, zaczęła przemyśliwać, jak taką czeredę do snu poukłada, gdzie pomieści sienniki.

Nagle do mieszkania wpadł Jaś. Był rozbawiony i od progu wołał ze śmiechem:

– Babciu, babciu, ledwo Marysi uciekłem, przez całe podwórko mnie goniła!

– Już dobrze, Jasiu, umyj ręce, dam ci chleba ze smalcem.

– On powiedział „babciu”? – zdziwiła się Honorka. – A co to za wnuczek? Czyj on? Chyba nie Feli? – zapytała.

– Nie twoja sprawa, wnuczek i już!

Chłopiec przytulił się do Marianny.

– Moja babcia Julia jest już w niebie, teraz mam babcie Mariannę.

– Rezolutny z ciebie chłopak. A gdzie twoi rodzice? – dociekała Honorka.

– Rodzice też są w niebie. – Jaś jeszcze bardziej posmutniał.

– Ano, takie czasy, wszędzie pełno sierot. Ale że mama wzięła sobie jeszcze

jedną gębę do wykarmienia! Za dużo ma jedzenia czy jak?

– Jeszcze raz ci mówię i więcej powtarzać nie będę: nie twój interes! Wara ci od Jasia!

– No dobrze, dobrze, spytać nie wolno?

Lucek przykucnął przy wielkim tobole i zawzięcie w nim grzebał. Wreszcie wyjął kawał chleba i zaczął kroić grube kromki.

– Żeby tak trochę omasty było! – Popatrzył znacząco na trzymaną przez Jasia pajdę.

Marianna z ciężkim westchnieniem wyjęła kamienny garnuszek ze smalcem.

– Posmaruj i najpierw daj temu małemu, jak mu tam, nie pamiętam, dziwne jakieś ma imię.

– Dlaczego dziwne – Marcelek!

– Marcelek-Precelek, aleś powymyślała te imiona! Będą mu dzieciaki dokuczać!

Chłopiec łapczywie odgryzał duże kęsy chleba i spoglądał spod oka na Jasia.

– Jak zjesz, to pójdziemy na podwórko, chcesz się ze mną pobawić? Chcesz, Precelek?

– Ja ci dam precelek, nie przezywaj Marcelka, bo ci spuszczę łanie!

– Honorka aż poczerwieniała ze złości.

– Ja go nie przezywam! – Chłopiec na wszelki wypadek przysunął się do Marianny.

Marcelek patrzył na nieznanych mu ludzi trochę nieufnie, ale kiedy Jaś wyciągnął z kąta za szafą żelazne kółko i kawałek zagiętego drutu, na którym można było je toczyć, nie wytrzymał.

– Mamo, mogę wyjść z nim na podwórko?

– Możesz, tylko żebyś daleko nie latał! A ty go pilnuj – zwróciła się do Jasia – bo on tu kątów nie zna, żeby nie wlaźł, gdzie nie trzeba. To kawał łobuziaka.

– Dobrze, proszę pani.

– Czekaj no, jak ty jesteś wnuczkiem mojej mamy, to ja dla ciebie chyba jestem ciocią. Możesz do mnie mówić „ciociu Honorato”.

– Dobrze, ciociu.

Chłopcy wybiegli z mieszkania. Honorka spojrzała pytająco na Mariannę.

– Co on taki grzeczny, zachowuje się jak pańskie dziecko! Skąd on jest?

– Przyjdzie czas, to się dowiesz. A teraz dosyć gadania! Bierzemy się do roboty.

W podwórzu rozeszła się wieść, że do Szymczakowej przyjechali goście, więc przez całe popołudnie co i raz któraś sąsiadka wpadała, tłumacząc się, że jej soli zabrakło albo cukru. Kobiety, zamiast wracać do siebie, zatrzymywały się w pobliżu bramy i bez ustanku gadały. Nawet Zofka, chociaż ledwo chodziła, przykuśtykała, chcąc zaspokoić ciekawość. Starsze sąsiadki, które pamiętały

Honorkę, jedna przez drugą mówiły, co wiedziały.

- To ta pasierbica Szymczakowej, co to kiedyś z domu uciekła.
- Podobno w Warszawie pod latarnią zarabiała.
- Może to być, bo taka wymalowana jak, nie przymierzając, jaka rogówka!
- E, teraz to i elegantki tak się upiększają!
- Co z niej za eleganka! W takie same szmaty jak my ubrana! Chociaż trzeba sprawiedliwie powiedzieć, że niebrzydka z niej kobieta.
- Ciekawe, czy te dzieci to jej?
- A chłop?

Domysłem nie było końca. Wreszcie doszły do wniosku, że Franciszkowa i tak wszystko im opowie w swoim czasie, więc z ociąganiem zaczęły rozchodzić się do mieszkań.

Marianna zamartwiała się, jak wykarmić taką gromadę ludzi. Pieniądzy nie było. Lucek, który, jak obiecywała Honorka, miał pracować i zarabiać, wciąż tłumaczył, że trudno o robotę i żadnej znaleźć nie może. Szwendał się po mieście, ćmił skręty i często przychodził pod muchą, choć zupełnie nie było wiadomo, skąd brał na wódkę pieniądze. Bywało, że przynosił jakieś rzeczy. Mówił, że dobrzy ludzie dali. Akurat! Marianna podejrzewała, że Lucek to zwykły złodziejaszek. Kiedy któregoś dnia przyniósł męskie kamasze w całkiem dobrym stanie, nie wytrzymała.

- Honorka, żeby z tego jakiego nieszczęścia nie było!
- Z czego?
- Mnie się widzi, że ten twój Lucek to zwykły złodziej.
- Co też mama, to porządny człowiek! Nigdy by cudzego nie tknął.
- Ja tam mu nie wierzę! – powiedziała gniewnie Marianna. – Długo jeszcze macie zamiar z nami mieszkać? – zmieniła temat. – Widzisz sama, jaka tu ciasnota!
- Nam tu dobrze! Marcelek z Jasiem się bawi, dziewczyny niańczą Różyczkę. Będę mogła za pracą pochodzić.

– Za jaką pracą? A co ty umiesz? Chyba że gdzie na służbę pójdziesz?

– Skończyły się czasy, żeby się bogaczom wysługiwać! Niech swoje nocniki sami wnoszą. Jak byłam w oddziale, to tam nie tylko strzelać mnie uczyli. Te dwie klasy podstawówki, co mi brakowały, w parę miesięcy dokończyłam i teraz świadectwo mam, wszędzie mogę pracować. I o życiu dużo się dowiedziałam. Wiem, że są ludzie, co chcą dla innych coś robić, nie patrzą tylko końca własnego nosa. – Honorka się rozgadała. – A Lucka to jeszcze przed wojną poznałam, przy tramwajach robił. Na maszynach się zna jak mało kto, a koło mnie to chodził jak kot koło szperki. Wreszcie jak zaszłam, to wzięliśmy ślub, żeby było po bożemu. Potem wybuchła wojna i razem z Luckiem byliśmy w oddziale, dawaliśmy

Niemcom łupnia.

– Co ty gadasz!

– A tak! Lucek był bardzo odważny, o mało orderu nie dostał, niewiele mówił, a dużo robił! Na każdą akcję się zgłaszał. Ja nie mogłam walczyć tak jak on, bo przy dzieciaku musiałam siedzieć.

Opowiedziała o kilku przypadkach, w których Lucek odznaczył się wyjątkową odwagą, ale Mariannie jakoś nie zgadzało się to z jego obecnym zachowaniem. Pomyślała, że pewno te opowieści są o kimś innym.

– Dosyć, jakieś mi tu głupoty zmyślasz! – zgromiła pasierbicę. – Nie gadaj byle czego, lepiej pomyśl, żeby pieniędzy trochę zarobił!

Ale Luckowi wcale nie śpieszyło się do pracy. Całymi dniami gdzieś łąził, czasem i Honorkę ze sobą zabierał. Jej zresztą nie trzeba było długo namawiać. Wracali późno w noc, rozbawieni, chwiejąc się na nogach. Marianna nie mogła tego ścierpieć. Któregoś wieczoru zrobiła im prawdziwą awanturę.

– Ty latawico! – wykrzyczała, nie bacząc, że sąsiedzi słyszą. – O dzieci nie dbasz, tylko cię nosi i nosi nie wiadomo gdzie. Wstydu nie masz! Co z ciebie za matka? Co z ciebie za kobieta? Od dziecka ciągnęło cię na manowce i nic a nic się nie zmieniłaś!

– Wy tu na mnie nie wykrzykujcie, do innego życia byłam przyzwyczajona! Nie będę wiecznie stać przy garach. – Honorka machnęła zaciśniętą pięścią w stronę Marianny.

– A jak byś chciała żyć, może na łatwy chleb chcesz iść?

– Co wy o mnie wiecie, może bym i chciała. – Zaczęła zwracać się do macochy przez „wy”, co doprowadziło Mariannę do szału. – Mam tak jak wy tylko chałupy pilnować albo jak biedna Felcia tyrać całe życie? I co z tego ma? Robota, robota, chłop, dzieciak, a życie gdzie? Płynie, ucieka, ucieka! – Honorka rozczuliła się nie tyle nad Felą, ile nad sobą. Oczy jej zwilgotniały.

– Dosyć! Jeszcze będzie mi tu jakieś głupoty wygadywać! – Marianna rozsierdziła się na dobre. – Jutro macie się wynosić. Idźcie sobie, gdzie chcecie, nawet do diabła! U mnie miejsca dla was nie ma. – Mówiąc to, wyciągnęła rękę w kierunku drzwi, a drugą podniosła, jakby chciała uderzyć Honorkę. – Dosyć – powtórzyła. – Wynocha! Żeby mi tu jutro po was śladu nie było!

No i stało się to, co przewidywała od dawna Marianna. Po Lucka przyszła milicja. Na szczęście mieszkali już wtedy z Honorką i dziećmi oddzielnie, w małej klitce na Czerwonce.

– Dwóch uzbrojonych mundurowych zabrało Lucka na komisariat – z płaczem opowiadała Mariannie pasierbica. – Nie tłumaczyli wiele, powiedzieli tylko, że są skargi na niego i teraz musi za swoje grzechy, tak powiedzieli, za

grzechy, odpokutować, to znaczy odsiedzieć w więzieniu. Co ja zrobię? Z czego będę żyła! Niech mamusia pomoże, niech ratuje!

– Teraz to „mamusia”. Niech ratuje! A niedawno pięścią mi przed nosem wymachiwałaś! Jak mam cię ratować? Sama się ratuj, za robotę się weź, zamiast latać po mieście bez potrzeby.

– A co ja z Marcelkiem i Różyczką zrobię?

– Dzieciaki możesz do nas przyprowadzać – powiedziała łagodniejszym głosem Marianna. – Choć sama mam mało, to z głodu u mnie nie umrą.

Wzięła się Honorka do szukania roboty, ale jakoś trudno jej było znaleźć taką, żeby się zanadto nie napracować, a sporo zarobić. Któregoś dnia usłyszała przypadkiem od jakiejś kobiety na targu, że na ziemiach odzyskanych nieźle można się obłowić, bo po Niemcach zostały domy z całym dobytkiem. Co i raz ktoś znajdował zakopane złoto i kosztowności. Jednym słowem, żyć nie umierać. A ze Skierniewic to najwięcej ludzi do Czaplinka wyjeżdża. Honorce błyszczały oczy, jak o tym Mariannie mówiła. To coś dla niej. Pojedzie, dobra wszelakiego przywiezie i jakoś przeczeka ten czas bez Lucka.

Zaczęła ludzi rozpytywać, ale niewiele mogła się dowiedzieć. Któregoś dnia niedaleko ratusza natknęła się na Katarzynę, koleżankę ze szkoły. Z trudem się poznały, sporo lat przecież minęło. Honorkę tknęło, żeby ją o ten Czaplinek zapytać. Katarzyna zaczęła mówić niechętnie, ale kiedy się dowiedziała, że Honorka chciałaby tam pojechać, jęła się przechwalać, jakie to skarby ma w domu, ile majątku przywiozła. Przydałoby się pojechać jeszcze raz, stwierdziła, tylko teraz byłaby mądrzejsza i najcenniejsze rzeczy by brała.

Honorka weszła jej w słowo:

– Może byś mnie wzięła ze sobą?

– A co z dziećmi zrobisz?

– Zostawię u macochy.

– To chyba że tak, bo z dziećmi nie dałabyś rady.

– Sama bym się bała jechać, we dwie będzie nam różniej.

– To zbieraj się, za tydzień ruszamy!

Honorka zaczęła urabiać Mariannę, żeby zaopiekowała się dziećmi, kiedy ona na dwa, trzy tygodnie pojedzie do tego Czaplinka. Opowiadała, jakie skarby tam czekają i czego to ona nie naprzywozi. Zielonego pojęcia nie miała, gdzie to jest, ale mówiła, że jak się uda, to już biedy i głodu nie zazna i nawet bez Lucka da sobie radę, a może nawet z więzienia go wyciągnie.

– Mamusia sobie wyobraża! Przywiozę złoto albo maszynę do pisania, albo jedno i drugie, i jeszcze mnóstwo innych rzeczy.

– Akurat już tam na ciebie to wszystko czeka!

– A czeka! Katarzyna mówiła, że majątek to tam na ulicy leży!

– Zobaczysz majątek jak swoje ucho! – Marianna odniosła się bardzo

sceptycznie do pomysłu pasierbicy.

Ale Honorka taka była miła, tak terkotała, tak przekonywała macochę, że ta wreszcie ustąpiła.

– Tylko żebyś dłużej niż miesiąc nie siedziała, bo dzieciaki w paczkę zapakuję i pocztą ci wyślę – zdobyła się na żart.

Honorka wyniosła się z wynajmowanego mieszkania, żeby bez potrzeby komornego nie płacić. Co tam miała, zostawiła u macochy, kilka najpotrzebniejszych rzeczy zawinęła w węzełek, ucałowała dzieci i tyle ją widzieli. Ruszyła w nieznaną stronę, jakby jej skrzydła u ramion wyrosły.

Jednak już w pociągu straciła trochę animuszu. Stare, wysłużone wagony do ostatniego centymetra były zapchane pasażerami. Razem z Katarzyną i Adamem, jej mężem, który w ostatniej chwili zdecydował się z nimi jechać, ledwo wcisnęli się do przedziału wypełnionego ludźmi, gniotącymi się na drewnianych ławkach. Pociąg włókł się niemiłosiernie i co jakiś czas stawał w polu, czasem nawet na parę godzin. Nie trzymał się żadnego rozkładu. Zupełnie nie było wiadomo, kiedy do tego Czaplinka dojadą.

Brudni i niewyspani, dotarli na miejsce po dwóch dobach. Wysiedli z pociągu ledwo żywi. Okazało się, że od dworca do rynku trzeba przejść ze trzy kilometry. Szli w ciemnościach. Było zimno, zaciął przykry listopadowy deszczyk, drzewa gięły się od wiatru. Honorka co chwila robiła znak krzyża. Marianna powiedziałaaby, że jak trwoga, to do Boga, ale naprawdę ze strachu przypominały jej się teraz dawno nieodmawiane modlitwy. Chyba jeszcze nigdy tak się nie bała. Czuła się jak w koszmarnym śnie, z którego nie mogła się obudzić. Żałowała, że dała się Katarzynie namówić na taką niepewną eskapadę. Na szczęście nie spotkali po drodze żywego ducha, pewno pogoda odstraszyła mogących się tu szwendać bandziorów.

Po prawie godzinie w ciemności zamajaczyły pierwsze domy. Zniszczone, z oknami bez szyb, robiły upiorne wrażenie.

– Katarzyna, tu jest okropnie! Na ulicach leżą śmieci, a nie, jak mówiłaś, majątek. Przypomina mi się Warszawa, tylko tam więcej ruin. Uciekłam stamtąd, a teraz znów władowałam się w taki burdel.

– Nie marudź, ciesz się, że mieszka tu moja kuzynka i będziemy mieć dach nad głową! A co potem, to się zobaczy!

Dotarli wreszcie do dużego domu z pozamykanymi okiennicami. Pukali dość długo. Wreszcie szczęknął zamek i drzwi otworzyła zaspana kuzynka. Przywitała ich dość serdecznie i zaprowadziła do niewielkiego pomieszczenia na pięterku. Kazała kłaść się spać, a o wszystkim pogadają rano.

Było widno, gdy Honorka podniosła się z łóżka. Podeszła do okna i spojrzała w niebo. Nadal było pokryte chmurami.

Rynek, choć niewielki, wyglądał sympatycznie. Z kilku kominów

wydobywał się dym, co świadczyło, że ktoś tu jednak mieszkał. Po lewej stronie zobaczyła biały kościół, a przed nim cokół, który pozostał po jakimś pomniku czy świętej figurze. Naprzeciwko, wśród wysokich drzew, widać było wieżyczkę drugiego, o wiele mniejszego kościółka, otoczonego niewysokim, kamiennym ogrodzeniem. Po nocy przespanej w prawdziwym łóżku Honorce humor się poprawił.

Kuzynka Katarzyny okazała się młodą i urodziwą kobietą. Powiedziała, że ma na imię Jadwiga, ale wszyscy mówią do niej Dziunia. Z zainteresowaniem popatrzyła na Honorkę.

– A ty co dotąd robiłaś? Czym się zajmowałaś?

– Mężem i dziećmi.

– E, takie bajki to możesz Katarzynie opowiadać. Ja człowieka na wylot przejrzę i wiem, że to nieprawda.

Katarzyna i Adam z zaciekawieniem popatrzyli na Honorkę. Wytrzymała ich wzrok i uśmiechnęła się trochę krzywo.

– Co ty tam możesz wiedzieć! – powiedziała trochę niepewnym głosem.

– No dobrze, o tym potem. Na dole jest restauracja, na górze kilka pokoiów do wynajmowania. No, taki mały hotel. Żeby wszystko było jasne, mówię od razu, bo nie lubię w bawełnę owijać. Pieniądzy pewno nie macie, a wszystko kosztuje, więc możecie tu mieszkać, ale za to będziecie pomagać mi w interesie. Katarzyna dobrze gotuje, popracuje w kuchni, Adam pomoże w zdobywaniu żywności, bo z tym jest problem, a Honorata... – zawiesiła na chwilę głos – Honorata będzie obsługiwać gości na sali.

– Przecież my tu tylko na kilka dni przyjechaliśmy – powiedziała zaskoczona Honorka.

– Tak, tak, wiem, ale przez te kilka dni też trzeba jeść i gdzieś spać.

Kiedy wyszli przed hotel, Honorka wybuchnęła:

– Katarzyna, ale ty mnie zwiodłaś! Mówiłaś co innego, a co innego jest!

– Pomalutku, nie denerwuj się, będzie dobrze.

Szli ulicami, rozglądając się uważnie. W większości domów mieszkali już ludzie. Cywilna władza, rządząca od niedawna miastem, starała się zaprowadzić jakiś ład. Niestety, milicjantów było niewiele. Przyjeżdżali wciąż nowi szabrownicy i nie można było sobie z nimi poradzić. Nadal wywozili na zdezelowanych ciężarówkach lub pociągami, co się dało. Co rusz wybuchały awantury, bijatyki często kończyły się zabójstwem. Mieszkańcy niepewni byli dnia ani godziny. Mimo to miasteczko powoli wracało do życia. Uruchomiono wodociąg, niebawem miała ruszyć gazownia, był już prąd i dzieci chodziły do szkoły.

Nagle między drzewami coś błysnęło, jakby wielka woda. Honorka chwyciła Katarzynę za rękę.

– Co to?

– Jezioro. Spore, prawda?

Zeszli na sam brzeg. Honorka patrzyła z zachwytem. Woda odbijała pochmurne niebo, wokół zatoki szerszej niż Wisła w Warszawie widać było wysokie drzewa. Kiedy spojrzała w prawo, nie zobaczyła drugiego brzegu, tylko szarą taflę łączącą się z szarawym niebem.

– Rety, ale woda! Jeszcze takiej nie widziałam! Jak tu musi być pięknie, kiedy lato przyjdzie!

– Pewno! Wiem przecież, bo byłam tu latem. Kąpałam się i pływałam. Chłop Dziuni nauczył mnie pływać. A woda to taka czysta, że pić ją można. Na parę metrów w głąb wszystko widać! Nawet jak ryby pływają. A głęboko! Niektórzy mówią, że miejscami to nawet ma ze sto metrów. To nie to, co nasza rzeczka w Skierniewicach.

Katarzyna rozgadała się na dobre, ale Honorka nie słuchała jej paplaniny. Wciąż patrzyła i patrzyła to na bezkresną dal, to znów na fale, liżące delikatnie piaszczysty brzeg.

– Cholera, ale mi szkoda, że jest tak zimno i nie można wejść do jeziora! A jak się ta woda nazywa?

– Kiedyś to jakoś po niemiecku, ale nie wiem jak, a teraz podobno Drawsko.

– Jezioro Drawsko – powtórzyła Honorka. – Opowiem o nim dzieciakom, jak wrócimy.

Ale sprawa powrotu zaczęła się komplikować! Mijał dzień za dniem, a trójka skierniewiczian wciąż tyrała w restauracji. Mężczyźni z miasteczka, z braku innych rozrywek, spędzali sporo czasu przy kieliszku. Lubili wypić i zabawić się z dala od swoich kobiet. Stoliki były ciągle oblegane, Dziunia nie mogła narzekać na brak klienteli.

Wśród przybyłych panowało przekonanie, że Polacy długo tu nie pomieszkają, wkrótce wrócą dawni właściciele i wyrzucą intruzów. Nie warto więc niczego zaczynać, nie warto budować ani remontować. A niech się wali, przecież to nie nasze! Dziś się żyje, jutro gnije!

Jakby wbrew temu władze zaczęły wysiedlać ostatnie niemieckie rodziny, które jakimś cudem tu przetrwały. Ich dobytek przejmowali przybysze z centralnej Polski lub Kresowiaci wyrzucani przez Rosjan ze swoich domostw. Trwał wielki powojenny exodus.

Do restauracji często przychodzili żołnierze z rosyjskiego oddziału stacjonującego w niedalekim Grosbornie. Ci to dopiero szastali zrabowanymi pierścionkami, zegarkami, bransoletami i broszkami! Dziunia nie lubiła, gdy przychodzili, bo wszczynali awantury, bili gości, a nawet strzelali. Honorka zaś czekała na hojnych Rosjan, cieszyła się z ich odwiedzin i witała gości bardzo serdecznie. Szybko dogadała się z nimi, o jakie przyjemności najbardziej im

chodzi, i za swoje usługi otrzymywała hojną zapłatę, choć trochę się bała, bo to byli trudni klienci. Jeden wyznawał miłość i chciał się żenić, inny był brutalny i sprawiał jej ból. Raz trafił się Wańka, co wyciągnął pepeszę i z miłości chciał Honorkę zastrzelić. Ledwo mu to wybiła z głowy. Ogólnie jednak nieźle sobie z nimi dawała radę.

Dziunia patrzyła przez palce na jej proceder, bo okazało się, że odkąd jest nowa kelnerka, dochody z restauracji znacznie wzrosły. Warszawskie doświadczenie bardzo się Honorce przydało, ale brakowało jej kogoś takiego jak Felek, który się nią wówczas opiekował i nie pozwalał jej skrzywdzić. To był porządny człowiek, szkoda, że tak źle skończył. Zadźgali go w jakiejś awanturze. Zdarzyło się to niedługo przed wojną. Może dlatego związała się z Luckiem, który mówił, że dla niego życia bez niej nie ma. Nie przeszkadzało mu, że tyle lat była dziwką. Dla świętego spokoju skłamała macosze, że wzięli ślub. Nie byli małżeństwem, ale żyli ze sobą w zgodzie, może nawet lepiej niż niejedna ślubna para. Żal jej było Lucka, że gnije w więzieniu.

Cieszyła ją wciąż rosnąca w schowku za piecem kupka złota i pieniędzy. Mijały tygodnie i coraz rzadziej myślała o powrocie do Skierniewic. Skończyła już trzydzieści pięć lat i wiedziała, że niewiele czasu jej zostało, że niedługo straci urodę. Musiała więc wykorzystać ostatnią szansę, jaką dał jej los.

Którejś nocy usłyszała, że ktoś delikatnie porusza klamką. Podeszła cicho do drzwi.

– Kto tam?

– Adam.

– Czego chcesz?

– Otwórz, mam bardzo ważną sprawę!

– Sam jesteś?

– Tak, ale otwórz, nie bój się, coś ci powiem.

Szczęknął klucz i w progu stanął mąż Katarzyny.

– To mów, tylko szybko!

– Kiedy muszę po kolei.

Usiadła na łóżku, a Adam naprzeciw niej, na jedynym w pokoju krześle.

– Mów, bo spać mi się chce, dzisiaj spokój, gości nie ma, można trochę odsapnąć.

– Bo widzisz, Honorka, Katarzyna już chce wracać. Mówi, że ma dosyć tego gotowania.

– A majątek?

– Jaki tam majątek! To, co było do zabrania, to już inni wzięli. Chyba trzeba wyjeżdżać! – Zamilkł na chwilę. – I wiesz, tak bym chciał, tak cię proszę, bo jak wyjedziemy, to już się nie da...

– Co się nie da?

– Żebyś z tobą mógł jeden, jedyny raz! Zapłacę, ile chcesz. Ty mi się okropnie podobasz! Jesteś zupełnie inna niż Katarzyna. Niejeden mi mówił, jaka jesteś! A ona? Leży koło mnie jak ta kłoda. Honorka, nie odmawiaj mi!

– Chłopie, czyś ty zgłupiał, przecież masz swoją kobietę! To moja koleżanka!

– To co, czy jej ubędzie od tego?

– A jak tu przyjdzie?

– Teraz? W nocy? Jest zmordowana i śpi jak nieżywa.

– No chodź, ty wariacie. I płacić mi nie musisz! Nie jestem taka, żeby brać od męża koleżanki.

Adam spał przytulony do ramienia Honorki, gdy rozległo się energiczne pukanie.

– Kogo tu znowu niesie! Nie, to nie do wytrzymania! Nocy nawet nie uszanują! – mruzczała, podnosząc się z łóżka.

W uchylonych drzwiach zobaczyła głowę Katarzyny, całą w papilotach.

– Adama nie ma! Nie wiem, co się stało! Gdzie on mógł pójść?! – zawołała płaczliwym głosem.

– A ja skąd to mam wiedzieć!

Katarzyna weszła do pokoiku i ciężko usiadła na krzeselku. Zaczęła pochlipywać.

– Może go kto napadł, może go poranili, może nie żyje! – Płakała już na dobre.

– Przestań, Kaśka, ty to zaraz jakieś niestworzone historie wymyślasz! Co mu się mogło stać?!

W tej chwili wzrok kobiety zatrzymał się na sterczącej kołdrze.

– To ktoś u ciebie jest, nic mi nie mówisz!

– Co tu mówić... – Honorka się zmieszała.

Katarzyna znowu spojrzała na łóżko, a potem jednym skokiem, jakby jej lat i zmęczenia ubyło, znalazła się przy nim i szarpnęła kołdrę.

– Adam! Ty łobuzie! Ty łajdaku! To ja się martwię o ciebie, a ty tu z tą dziwką!

– Żebyś ty choć trochę była taka jak ona! – wykrzyknął ze złością.

Tego było Katarzynie za wiele! Na Adama posypały się ciosy. Opędzał się jak od uprzykrzonej muchy, wreszcie udało mu się naciągnąć kołdrę na głowę. Wtedy Katarzyna odwróciła się do Honorki. Zaczęła ją okładać pięściami i targać za włosy. Honorka nie była dłużna. Wrzeszczały, piszczały, jednym słowem – awantura na cztery fajery! Dopiero Dziunia ze swym chłopem zdołali je uspokoić.

Rankiem Katarzyna spakowała manatki, wzięła pod rękę Adama i z podniesioną głową wyszła w pośpiechu na stację. W ostatniej chwili zdążyła splunąć pod nogi Honorce.

– Ty zdiro, jeszcze mnie popamiętasz, a w Skierniewicach to nie masz się co pokazywać, bo ci oczy wydrapię. I wszystkim opowiem, co tu wyprawiasz! Całe miasto się dowie! Tfu! – wysyczała przez zęby.

– Wielkie mi miasto! – odparowała Honorka, odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni na śniadanie.

Lucek, na dobry początek, dostał kilka ciosów. Zamknęli go w piwnicy służącej za areszt. Bolał go brzuch, miał wybity ząb. Przesunął ręką po twarzy. Nad lewym okiem poczuł wilgoć. Krew! Dobrze, że mi te sukinsyny oka nie wybiły, pomyślał. Kiedy trochę odsapnął, a oczy mu przywykły do ciemności, rozejrzał się po malutkim pomieszczeniu. W kącie znalazł stary siennik. Położył się z ulgą. Zobaczył niewielkie okienko zabezpieczone drucianą siatką. Był silnym mężczyzną, pomyślał, że bez większego trudu da radę się tędy wydostać, tylko najpierw musi trochę odpocząć.

Przez kilka kolejnych dni nie działo się nic specjalnego. Trzy razy dziennie dostawał liche jedzenie. Siedział sam, klawisz nie chciał z nim rozmawiać, bardzo mu się czas dłużył. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma co czekać, musi zwiewać, bo tylko z sił opadnie na tym nędznym wikcie. W ciemną, listopadową noc wyjął poluzowaną wcześniej siatkę, wyskubał kit i cicho wyjął szybę. Nie chciał jej tłuc, żeby nie narobić niepotrzebnego hałasu. Po kilku chwilach droga była wolna. Podciągnął się na rękach i z trudem zaczął się przeciskać przez niewielki otwór. Postękiwał, bo jego rosłe ciało ledwo zmieściło się w okienku.

Wreszcie wygramolił się na ulicę. Popatrzył dokoła. Pusto. Ruszył, jak mógł najszybciej, choć opadające spodnie i buty bez sznurowadeł utrudniały marsz. Pasek i sznurówki zabrali milicjanci, żeby sobie przypadkiem krzywdy nie zrobili. Żeby mu się wieszać nie zachciało! Czy to on taki głupi? Chce żyć i chce być z Honorką i dziećmi. Aż mu serce skakało z radości, że już za parę minut będzie w domu. Minął przejazd, skręcił w prawo, w Bielańską. Doszedł do Czerwonki, nie spotkawszy żadnego przechodnia. Nie paliły się latarnie, ciemno było choć oko wykol, ale do mieszkania jakoś trafił.

Cicho zapukał do drzwi. Cisza. Spróbował jeszcze raz. Bez skutku. Mieszkająca obok właścicielka domu ostrożnie wyjrzała przez uchylone drzwi.

– A kto tam? Czego szuka?

– To ja, Lucek, gdzie moja żona i dzieci?

– A bo ja wiem! Wyniosła się stąd, zaraz jak cię aresztowali. Idź na Jagiellońską, może tam jest!

Odwrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem.

Marianna miała lekki sen. Ledwo nacisnął klamkę, podeszła do drzwi.

– Kto tam się po nocy tłucze? – spytała szeptem.

Kiedy usłyszała głos Lucka, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Wypuścili cię?

– Uciekłem!

– O mój Boże, jeszcze nieszczęście na nas sprowadzisz.

– Gdzie Honorka?

– Pojechała do Czaplinka!

– Sama?

– Nie, z jakąś Katarzyną.

– A gdzie ten Czaplinek?

– A czy ja wiem, gdzieś na zachodzie, jak to teraz mówią, na Ziemiach Odzyskanych. Ludzie ciągną tam jak pszczoły do miodu. Ta Katarzyna ją zbałamuciła, powiedziała, że majątku się dorobią.

– A dzieci?

– Zostały u mnie.

– To ja pojedę za nią do tego Czaplinka!

– A może ty głodny jesteś? – zainteresowała się Marianna.

– Jestem, tam prawie nic jeść mi nie dawali.

Ukroiła kawał chleba. Lucek jadł łąpczywie, nawet bez żadnej omasty chleb smakował mu jak najlepsze ciasto. Zawinęła kilka kromek w ściereczkę i podała mężczyźnie.

– Masz na drogę! Z Bogiem! Idź już, lepiej, żeby cię tu nikt nie widział.

Dała mu sznurek, żeby buty pozawiazywał, i pasek do spodni po Franciszku. Lucek cmoknął ją w rękę i zniknął w ciemnościach. Szybko dotarł do torów. Przyczaił się. Kiedy nadjechał pociąg towarowy, bez zastanowienia wdrapał się na odkrytą platformę. Jechał na zachód!

Napodróżował się Lucek do tego Czaplinka, że książkę by można o tym napisać. Jeździł pociągami, wędrował piechotą, podwoziły go przygodne ciężarówki. Zebrał o kawałek chleba. Szła zima, spał w opuszczonych domach albo w przydrożnych stodołach. Kiedyś tak był zmordowany, że jak zasnął kamiennym snem, to gospodarz, sięgając po słomę, o mało widłami go nie przedziurawił.

Wreszcie trafił do gospodarstwa, w którym o mało co nie został dłużej, może nawet na zawsze. Właścicielka była jeszcze młoda i niebrzydka. W pierwszej chwili, kiedy zapukał, trochę się przestraszyła i nie chciała go wpuścić, tak ją jednak prosił, tłumaczył, że jest porządnym człowiekiem, a nie żadnym bandziorem, że od kilku dni podróżuje, bo kogoś szuka, że jest zmarznięty

i głodny, patrzył na nią pokornym i błagalnym wzrokiem i tak ładnie mówił, że przemogła strach i otworzyła drzwi.

Patrzyła na niego spod oka, ale posadziła go przy stole i dała miskę gorącego kapuśniaku. Kiedy podjadł i rozgrzał się przy kuchni, przeciągnął się, aż stawy mu zatrzęszczały, i ściągnął kapotę. Kobieta spojrzała trochę odważniej i pomyślała, że niczego sobie jest ten wędrowiec. Miał gęste, trochę potargane, ciemne włosy i niebiesciutkie oczy, tak jakoś miło patrzące. Zaprowadziła go do komory, gdzie stało wygodne łóżko, i powiedziała, że może tu spać. Zgasiła kaganek, ale nie wyszła. Usłyszał delikatny szelest, a potem poczuł przy sobie jej gorące ciało. Był bardzo zmęczony, ale przecież tak dawno nie widział swojej Honorki! Dotknął dużej piersi kobiety i... zapomniał o tamtej.

Rankiem kobieta wyprała mu koszulę i bieliznę, więc nagi nie mógł wyjść z łóżka. Cały dzień w nim przeleżał. Dawno nie było mu tak dobrze. Lodzia co jakiś czas przychodziła do niego i za każdym razem przynosiła jakiś smakołyk. A to kawał obeschniętej kielbasy, jajecnicę, a to żur z ziemniakami. Za każdym razem zostawała na trochę, a jemu coraz bardziej podobało się takie leżenie.

Następnego dnia powiedziała Luckowi, że może zostać u niej, jak długo chce, bo jej chłop zginął na wojnie, nawet dzieci mu nie zdążyła urodzić, a teraz sama się z gospodarstwem morduje, ale co to za gospodarka bez męskiej ręki.

– Zima już się zaczęła, to chociaż przez mrozy tutaj zostań. Żle ci u mnie nie będzie! A może się przyzwyczaisz, to na zawsze zostaniesz!

– Widzisz, Lodzia, ja bym z tobą mógł przez całe życie mieszkać, bo z ciebie dobra kobieta, ale ja żonę mam, Honorkę, i dzieci dwoje – Marcelka i Różyczkę. Muszę do nich iść.

– A gdzie oni?

– Honorka to jest w jakimś Czaplinku! Nikt nie wie, gdzie to. Szukam jej i szukam, aż z sił opadłem.

– Moja zagroda z dala od wsi, nikt tu nie zagląda, nikt cię widzieć nie będzie. Zostań, jak długo chcesz!

Popatrzyła na jego zwieszoną głowę i żal jej się go zrobiło, widać tęsknił za tą swoją Honorką.

Przytuliła się do niego.

– Wiesz, Lucek, nasza wieś jest duża, szkołę tu nawet mamy. Może nauczyciel będzie coś wiedział o tym, jak to powiedziałeś, Czaplinku?

– To dobra myśl.

W nocy zaczął sypać śnieg. Lucek wyjrzał na dwór i pomyślał, że jeszcze trochę tu pobędzie, bo jak w taką psią pogodę ruszać w nieznane?

Co dzień miał jakąś wymówkę. A to śniegu było za dużo, a to zaczął tajać, a to mróz złapał. Kiedy wreszcie zdecydował się odejść, Lodzia powiedziała, że święta już za pasem, a w Boże Narodzenie nikt nie powinien być sam, więc niech

zostanie jeszcze kilka dni. A po świętach tak śniegiem zawiąło, że drogi nie było widać, więc Lucek znów miał wytłumaczenie.

Dobrze mu było z Lodzią. Dogadzała mu, jak mogła, w dzień dobrym jedzeniem, a w nocy zawsze była chętna, wprost nienasycona. Z wdzięczności za taką serdeczną gościnę zaczął jej przy gospodarstwie pomagać. Rąbał drewno na opał, oporządzał zwierzęta. Nawet pies uznał go za swego i już nie szczekał, kiedy Lucek kręcił się po zagrodzie.

Tydzień za tygodniem mijał, dzień zrobił się już trochę dłuższy, słońce przygrzewało coraz mocniej, w południe z sopli kapały duże krople. Któregoś dnia, a było to już na przedwiośniu, Lucek zebrał się w sobie i poszedł do nauczyciela.

Lodzianka dała mu kozuch po mężu i kazała powiedzieć, że jest jej powinowatym, bo inaczej ludzie na języki ją wezmą. Czekwała na niego z niepokojem. Wiedziała, że kończy się jej szczęście, gdy dzień i noc miała przy sobie całkiem niczego chłopca.

Nauczyciel był niemłodym człowiekiem, o krągłej, dobronurzej twarzy i pokaźnej łysinie. Wysłuchał Lucka, a potem podrapał się w głowę.

– Czaplinek, mówicie? Teraz na Ziemiach Odzyskanych wszystkie niemieckie nazwy są pozmienniane na polskie, nawet nie ma co w atlasie szukać. Ale pomyślę o tym, pomyślę. Proszę przyjść za kilka dni. Będę w Lesznie u lekarza, to na stacji kolejowej popytam. Za kilka dni proszę przyjść – powtórzył.

Nauczyciel dotrzymał słowa. Wytłumaczył Luckowi, że ma szukać tego Czaplinka w kierunku północnym, jakieś dwieście kilometrów stąd.

– Tam są jeziora i dużo lasów. Piękny teren. Dowiedziałem się, że do końca wojny miasteczko nazywało się Tempelburg. – Nauczyciel był wyraźnie dumny ze swoich detektywistycznych osiągnięć.

Mógł więc wreszcie Lucek wyruszyć w drogę, choć żał mu było zostawiać popłakującą po kątach Lodzią. Ale co było robić. Któregoś dnia wstał wczesnym rankiem, zjadł porządne śniadanie, mocno ją uściskał, powiedział, że jest dobrą kobietą i że nigdy jej nie zapomni. Ruszył piechotą do stacji kolejowej. Potem przez dwa dni jeździł różnymi pociągami, aż wreszcie dotarł do Czaplinka. Pomogli mu na trasie kolejarze. Mówili, gdzie ma wsiąść, gdzie wysiąść. Nie było jeszcze stałego rozkładu jazdy, pociągi jeździły, jak chciały, a Lucek z braku pieniędzy podróżował tylko towarowymi. Kiedy dotarł do Złocieńca, powiedzieli mu, że jest już prawie na miejscu, jeszcze tylko kilkanaście kilometrów. To już była fraszka!

Stał teraz na czaplinieckim rynku i rozglądał się, kogo by spytać o Honorkę. Kilka zagadniętych kobiet, myśląc, że szuka jej kolejny klient, tylko wzruszyło ramionami.

Pomyślał, że może w knajpie będą coś wiedzieli. Wszedł do środka. Nie zdążył nawet ust otworzyć, a już ją zobaczył, całą i zdrową. W modnej,

niesięgającej nawet kolan sukience z dużym dekoltem i pantofelkach na obcasach wyglądała bardzo sztywnie. Jej piękne włosy były wysoko upięte i nad czołem ułożone w loczki. Poruszała się między stolikami prawie tanecznym krokiem, kręcąc kuperkiem. Mężczyźni wlepiali w nią oczy i nagle jeden z nich, dość mocno podchmielony, lewą ręką podniósł kieliszek, a prawą klepnął Honorkę w jędrny pośladek. Roześmiała się zalotnie i pogroziła mu palcem.

Lucek jednym skokiem był przy nim, chwycił go za klapy i postawił na nogi.

– Ty tak do mojej żony? Po ryju ode mnie dostaniesz!

– Twoja żona! Chłopie, ona dla wszystkich żona! Odwal się, bo mi wódkę rozlejesz. Będzie mi tu wygrażał! Zjeżdżaj, bo dam ci w łeb! Masz pieniądze, to i twoja może być!

Honorka oniemiała.

– Lucek? – wyjąkała wreszcie. – A skąd ty tutaj? Puścili cię? Jak mnie znalazłeś?

Wzięła go za rękę i wyprowadziła z sali. Weszli do jej pokoiku.

– To ja uciekłem z aresztu, tyle czasu cię szukam, a ty się tu łajdaczysz?

– Lucek krzychał coraz głośniejsze. – Zapomniałeś, że masz dzieci, że jesteś moją żoną? – Podniósł rękę, jakby chciał uderzyć Honorkę.

Odsunęła się w porę.

– Nie bij! Nie masz za co! Uspokój się! Usiądź i posłuchaj. Jak cię zamknęli, bez pieniędzy zostałam. Co miałam robić? Macocha też groszem nie śmierdzi. Dobrze, że dzieciaki pozwoliła u siebie zostawić. A ja przyjechałam tutaj, bo przecież musiałam jakoś na życie zarobić! Teraz, jak już jesteś – uśmiechnęła się promiennie i pogładziła go po twarzy – możemy sklep otworzyć. Ty towar będziesz sprowadzał, a ja stanę za ladą – mówiła szybko, chcąc go zagadać, żeby już nie wracał do tego, co na dole usłyszał.

– Sklep! Na sklep to dużo pieniędzy potrzeba!

– To popatrz sobie, gały ci wyjdą, jak zobaczysz! – Wyciągnęła zza pieca zawiniątko. Błysnęło złoto, zaszeleściły banknoty.

– To wszystko twoje? – Lucek patrzył oszołomiony.

– A moje! Nasze! – poprawiła się. – Widzisz, że czasu nie marnowałam. A przecież wiesz, że dla mnie nie pierwszyzna z chłopami pofiglować. Wiedziałeś o tym w Warszawie i wtedy jakoś ci nie przeszkadzało.

Widząc, że trochę złagodniał, siadła mu na kolana i przytuliła jego głowę do piersi. Poczul delikatny zapach perfum. Pochyliła się i pocałowała go w nieogolony policzek.

– Lucek, jak dobrze, że jesteś!

– Honorka, tak mi bez ciebie źle było! – Przygarnął ją mocno. Zapomniał o Łodzi i spędzonej u niej zimie. – A co z dziećmi?

– Jak znowu jesteśmy razem, to je tutaj sprowadzimy! Otworzymy sklep,

zobaczysz, teraz to sobie dopiero pożyjemy.

Pociągnęła go za sobą na łóżko. Wiedziała, jak najlepiej przekonać Lucka o swoim uczuciu.

Znaleźli odpowiednie pomieszczenie blisko restauracji. Postanowili sprzedawać żywność. Ludzie mogą się obejść bez wszystkiego, ubrania połatają, buty poreperują, ale nie da się żyć bez chleba, mąki czy cukru.

Pierwsze tygodnie były trudne, Lucek nie znał terenu, nie wiedział, do kogo się zwrócić, żeby zdobyć towar. Jednak powoli nawiązywał kontakty i wkrótce półki były pełne. Okazało się, że miał smykałkę do tej roboty.

Kobiety lubiły ich sklep, bo nawet jak nic nie kupiły, miło było popatrzeć na cukierki, herbatniki i inne łakocie. Zawsze można było spotkać znajomą i poplotkować.

Honorka bardzo się zmieniła. Ubierała się skromnie, nosiła bluzki zapięte pod samą szyję. Odzywała się do wszystkich grzecznie, chyba że do sklepu wszedł któryś z jej dawnych klientów i nie daj Boże, zaczepił albo przypomniał o tym, co do niedawna robiła, lub jeszcze gorzej, zaproponował zarobek. Wtedy wyrzucała go na zbity łeb, obrzucając wyzwiskami.

W mieszkanku Feli zrobiło się jeszcze ciasniej, trzeba było pomieścić kołyskę dla drugiej córeczki. Mała Tereska początkowo nie bardzo się cieszyła z nowej siostrzyczki, mówiła, że nie chce Halinki, bo do czego ona komu potrzebna. Jednak wkrótce zaczęła się nią interesować. Patrzyła na małe paluszki, na delikatne ciemne włoski. Mała wyglądała jak żywa lalka. Tereska stawiała przy niemowlęciu i wpatrywała się w nie bez słowa, a kiedy zapłakało, poruszała delikatnie kołyską lub z poważną miną wkładała maleństwu smoczek do buzi.

Fela siedziała pochylona nad szyciem. Od czasu do czasu rzucała okiem na córeczki. Na krześle obok Wandzia obrzucała szwy. Często pomagała siostrze, lubiła taką spokojną pracę. Zwierzała się Feli ze wszystkiego. Wiedziała, że starsza siostra jest cierpliwa i wyrozumiała i zawsze dobrze doradzi. Z matką nie mogła tak rozmawiać, bo zaraz byłby krzyk, połajanki i wyrzuty.

– Nie mogę się doczekać tego ślubu!

– Co ci tak śpieszno, jeszcze się najesz tego małżeńskiego szczęścia!

– Już bym chciała mieć swój dom. No i wreszcie nie musiałabym słuchać mamy. Sama wiesz, jaka ona jest. Nic mi nie wolno. Wczoraj wyszłam z Zośką na spacer, to zaraz dostałam oprzytyk, że tylko bym łaziła. A jak Stasio przyszedł po mnie dzisiaj, żebyśmy poszli trochę do niego, to nie pozwoliła.

– Ty tak do niego nie chodź, bo jeszcze ci co zmajszuje i ślubu potem nie

weźmie! Co wtedy zrobisz?

– E tam zmajstruje, u niego w domu ciągle ktoś jest, to co mi może zmajstrować?

– A ty byś wolała, żeby nikogo nie było?

– Pewno! – Obie zachichotały.

– Wanda, popatrz mi w oczy, czy on aby nie dobierał się do ciebie?

– Zaraz dobierał! Trochę się popieściliśmy.

– Jeszcze raz ci mówię, ty uważaj, żebyś kłopotów z tych pieszczot nie miała. Wierz mi, dużo nie potrzeba, chwila i już. On sobie pójdzie, a ty z dzieciakiem zostaniesz.

– Kiedy ja tak lubię, bardzo lubię...

Fela spojrzała na nią podejrzliwie.

– Ty mi zaraz mów, co robiliście! Powiedz, masz ty jeszcze cnotę?

– Tak do mnie mówisz jak mamusia, ona też wiecznie by mnie tylko upominała, a ja swoje wiem. Stasiek jest bardzo za mną, ja za nim też.

– Nie kręć, tylko mów, jak było!

Wanda zarumieniła się na samo wspomnienie, a trochę z zawstydzienia.

– W niedzielę, ze dwa tygodnie temu, poszliśmy na spacer, wiesz, nad torami, gdzie są takie krzaczki, że można się schować i nikt, jakby kto nawet blisko przechodził, nie zobaczy. Najpierw usiedliśmy, a potem... nie, nie powiem, wstydę się.

– A jego się nie wstydziłaś?

– Nie! Jego nie.

– No mów, i to zaraz!

– Tak mnie całował, tak głaskał, że nawet się nie połapałam, jak to się stało!

– I nie bolało cię?

– Troszeczkę, ale było bardzo przyjemnie. Nie wyobrażałam sobie, że może tak być! No i dlatego teraz jeszcze bardziej nie mogę się tego ślubu doczekać.

– Nie wiem, co ty w tym widzisz takiego dobrego. – Oczy Feli zrobiły się prawie okrągłe ze zdziwienia. – Ale z ciebie ryzykantka! I matki się nie boisz! I nawet Boga! Jak ty się teraz wypowiadasz przed ślubem? – Opuściła ręce i popatrzyła badawczo na Wandę. – Ale chyba nie jesteś w ciąży, ślub dopiero za miesiąc.

– A trudno, co ma być, to będzie, nie martw się, Felcia. Bo ty to zawsze za siebie i za mnie się martwisz.

– Starsza jestem i mądrzejsza, a ty, cielátko, nawet nie rozumiesz, co zrobiłaś i jakie możesz mieć kłopoty.

W tej chwili weszła Marianna.

– O czym tak sobie gwarzycie?

– O ślubie – odpowiedziały, trochę zmieszane.

– No to i ja o ślubie przyszłam pogadać. Fela, może trochę pieniędzy byś dołożyła, co? Nie starczy mi na wesele.

– To niech mamusia nie robi dużego przyjęcia.

– Dużego nie, ale i tak coś ludziom trzeba na stół postawić. Wstyd by było przed Stasia rodziną, że nas nie stać. Przecież to wesele.

– To może niech oni trochę dołożą.

– Nie wypada, żeby rodzina młodego dokładała. Oni tylko wódkę kupią.

– Mamusiu, ja naprawdę nie mam pieniędzy, wszystko, co miałam odłożone, poszło na poród i dla akuszerki, a teraz o chrzcinach muszę przecież myśleć.

– Tak też myślałam, u chytrego zawsze po obiedzie.

W oczach Feli pokazały się łzy. To przecież nieprawda. Zawsze im pomagała, jak mogła... Kiedy ojca zabrakło, dzięki niej matka i siostry z głodu nie pomarły. Ale matka była dla niej jak zawsze niesprawiedliwa. Przez chwilę z żalu nie mogła słowa powiedzieć, wreszcie opanowała płacz.

– Dobrze, dam, będę całymi nocami szyła!

Ślub odbył się akuratnie. Młoda para wyglądała bardzo ładnie. On przystojny, ciemnowłosy, z wąsikami, w pożyczonym od kolegi ciemnym garniturze, ona w granatowym kostiumie i białej bluzce. Na głowie miała biały, filcowy kapelusik. Stasiak ścisnął jej rękę, co chwila nachylał się i szeptał do ucha, że jest najładniejszą panną młodą i że nie może się doczekać, kiedy już będą w swoim mieszkanku. Wanda rumieniła się od tych słów, co jeszcze dodawało jej urody.

Marianna dopięła swego. Wielki stół wprost uginał się od jedzenia. Wódki, a raczej samogonu, też nie brakowało. Goście jedli, pili, śpiewali, wychodzili na podwórko dla ochłody albo na papierosa. Wszystko toczyło się przykładowo, gdy nagle Marianna usłyszała podniesione męskie głosy. Wyszła, żeby zobaczyć, co się dzieje. I zobaczyła! Jej nowy zięć ze swoim przyjacielem wzięli się za łby, a z wykrzykiwanych słów wynikało, że poszło o Wandzię. Stasiak zarzucał Mietkowi, że „podwała się” do jego żony!

Marianna szybko wywołała Wandzię z mieszkania.

– Zobacz, co ten twój Stasiak wyprawia! Uspokój go, bo zatłucze Mietka. Wariat czy co?

Kątem oka zobaczyła, że spora gromadka sąsiadów spokojnie przygląda się kłótni. Nikt nie próbował rozdzielić walczących, to sprawa między nimi. Honorowa. Niech wygra, kto silniejszy. Większość była za Staśkiem. To mocny mężczyzna, a w dodatku o jego żonę przecież chodzi. A niechby dołożył tamtemu!

Przestraszona Wandzia podeszła do bijących się mężczyzn. Mieli krew na twarzach, a ich ubrania były już nieźle poszarpane. Chwyciła męża za marynarkę

i zaczęła odciągać od Mietka. Staszek odwrócił się gwałtownie i jakby nie do końca wiedząc, co robi, uderzył żonę pięścią w głowę. Wanda osunęła się na ziemię. Wtedy oprzytomniał, chwycił ją na ręce, zaniósł do mieszkania, położył na łóżku, ukląkł i zaczął całować.

– Wandeczka, Wandzia, mój aniele, co ci jest? Ja ci taką okropną krzywdę zrobiłem! Przebacz mi! Nie umieraj – wołał rozpaczliwie.

– Poczekaj, zaraz się ocknie. Ale z ciebie choleryk, nie dasz sobie w kaszę dmuchać – powiedziała Marianna jakby z uznaniem. – Nie wiedziałam, żeś taki kozak. – Odwróciła się do gości. – No to koniec wesela. Panna młoda chora, musi poleżeć w spokoju.

Zaczęli wychodzić z ociąganiem. Na stole było jeszcze sporo jedzenia i picia, ale mus łaski nie robi. Koniec to koniec.

– Teściowa – Stasiek odwrócił się do Marianny – ona dalej nic nie mówi i nie patrzy na mnie – szeptał, coraz bardziej przerażony.

Wreszcie Wandzia otworzyła oczy. Spojrzała na męża.

– Stasiu, jesteś! Jak to dobrze. Śniło mi się, że fruwałam i patrzyłam z góry na świat, ale ciebie nigdzie nie widziałam. I tak mi się płakać chciało.

– Dobrze, już dobrze, jestem przy tobie, odpocznij. Nie chciałem cię uderzyć, zobacz, co wódka z człowieka robi! Kolegę stłukłem na kwaśne jabłko, a ciebie tak skrzywdziłem! Ale wiesz, co on mi powiedział? Że się z nim całowałaś! To nie wytrzymałem i wlałem mu.

– Chodźmy już do domu, Stasiu.

Kilka dni przed ślubem wynajęli na Stanisławskiej skromne mieszkanie. Wstawili łóżko Staśka, Marianna dała im niewielki stół. Na wbitych w ścianę gwoździach zawiesili ubrania; żeby je zakryć, Wandzia ze starych sukienek uszyła kolorową zasłonkę. Było bardzo biednie, ale mieli swój ką. Stasiek obiecywał, że niedługo tu pozostaną, przecież jest milicjantem, dostaje regularnie wypłatę i za dwa, trzy miesiące rozejrzą się za większym mieszkaniem.

Kilka tygodni po ślubie Wandy Marianna otrzymała list od Honorki.

Kochana mamusiu!

W pierwszych słowach mego listu donoszę, że jesteśmy zdrowi, czego i wam życzę.

Mieszkamy w Czaplinku, Lucek jest tu ze mną. Założyliśmy sklep i jakoś nam się wiedzie, ale brakuje nam dzieci. My nie możemy do was pojechać, bo musimy interesu pilnować, ale jakby któraś z dziewczyn mogła dzieci przywieźć, to by było dobrze. Robota jest i mogłaby tu zarobić trochę grosza, mamusi też by było lżej.

Może mamusia popyta, czy ktoś się tu nie wybiera, to by Wanda czy Marta miały bezpieczniej z dziećmi w podróży. Wszystko jedno, która przyjedzie, opiekę będzie miała dobrą i handlu się nauczy. Wysłałabym mamusi trochę pieniędzy, ale w liście mogą zginąć. Bardzo mocno was ściskamy. Honorka i Lucek

Marianna się zamyśliła. Ale ta Honorka wykombinowała! Musiałyby pojechać Marta, Wanda przecież męża pilnuje. Dla młodej dziewczyny taka daleka droga, na dodatek z dziećmi – trudna sprawa. Marcelek ma już prawie osiem lat, ale Różyczka tylko trzy. Nawet dla dorosłych to męcząca i niebezpieczna podróż, a co dopiero dla osiemnastolatki opiekującej się dwójką małych dzieci. Jednak o ile by było łatwiej, jakby tych dwoje wyjechało. Przecież i karmić ich trzeba, i pilnować!

Krążyły po głowie Marianny te myśli, aż któregoś dnia zapytała Martę, czyby się nie bała jechać do Honorki. Marta zaniemówiła z wrażenia. Z jednej strony chętnie wyrwałaby się spod twardej matczynej ręki, ale z drugiej – taki kawał świata trzeba przejechać, żeby tam się dostać!

– Pewno, że bym się bała, ale może warto spróbować!

I wtedy wydarzyło się coś całkiem nieoczekiwanego. Kilka dni po tej rozmowie przyjechała do Marianny Regina, żona Stefana. Opowiedziała, jak to zaraz na początku wojny wkroczyło do ich wsi wojsko radzieckie. Rozeszła się pogłoska, słuszna zresztą, że „ruscy” najpierw policjantów będą wykańczać. Stefanowi udało się uciec i gdzieś ukryć. Niestety, wszelki ślad po nim zaginął i od tego czasu Regina nie miała o nim żadnej wiadomości. Nie wiadomo, przeżył czy nie.

Jakimś cudem przetrwała z rodzicami i bratem Romusiem całą zawieruchę. A kiedy po zakończeniu wojny i układach w Jałcie i Poczdamie okazało się, że nie mieszkają już w Polsce, tylko w Białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, i że w ramach repatriacji mogą stamtąd wyjechać, zwinęli szybko najpotrzebniejsze rzeczy i wszyscy razem ruszyli na zachód.

Rodzina pojechała prosto do jakiegoś Czaplinka, bo tam można było pozostałe po Niemcach mieszkania dostać, a podobno nawet i kawałek ziemi w okolicy. Regina postanowiła wstąpić do Skierniewic, miała nadzieję, że może męża tu spotka albo chociaż dowie się o nim czegoś.

Marianna bardzo się na jej widok ucieszyła, ale o Stefanie, niestety, nic nie mogła powiedzieć. Tamta bardzo się zmartwiła.

– Z pewnością nie żyje mój gołąbeczek. Tyle ludzi tam zabili, a ile na Syberię wywieźli! Cud boski, że my z tatusiami i Romusiem ocaleli.

– Tu też okropnie było. Głód i śmierć – wtrąciła Marianna.

– Ale wy chociaż między swoimi byli. A my? Najbliższy sąsiad zostawał się

za wroga. A teraz, kto wie, co nas tam na tych nowych ziemiach czeka? – skarżyła się tym swoim miłym, śpiewnym głosem. – I co ja za życie mam, ni wdowa, ni mężatka! Nawet był u mnie taki starający się, ale gdzie mnie za męża iść, jak mój pierwszy, może być, żyje. Zresztą ja by Stefanka wolała, żeby on powrócił się! Ot, bieda.

– Regina, ty mówisz, że do Czaplinka będziesz jechała?

– Tak to miasteczko nazywa się. My przyjechali na punkt repatriacyjny dla tych, co do Polski wracają, znaczy się, i tam wybrać kazali nam, gdzie zamieszkać chcemy. A co my wybrać mogli, jak my tych stron całkiem nieznający? Ot, nazwanie tego Czaplinka sercu miłsze, bo i u nas czapli przylatywali.

Marianna aż w ręce klasnęła.

– To ja tobie Martę i dzieci Honorki dam pod opiekę na drogę. Bo Honorka teraz właśnie w Czaplinku mieszka. Sklep otworzyła. Będziesz rodzinę miała!

– Nie może to być, toż nikt nie wiedział, gdzie ona, a teraz znalazłszy się i dzieci ma! Ot, radość niewymowna! Toż ona siostra Stefanka mojego. Miodu trochę mamusia na moje serce położywszy.

Parę dni po odjeździe Marty, Reginy i dzieci Mariannę odwiedziła pani Emilia Jarzębska, żona Edmunda Jarzębskiego, stryja małego Jasia. Ich rodzinę, tak jak wiele innych, porwała wojenna zawierucha, stracili ze sobą kontakt. Edmund odnalazł się po wojnie w Londynie. Nie chciał wracać do kraju, wiedząc, co go tu ze strony nowych władz czeka, słyszał, jak traktowani są żołnierze Andersa.

Jarzębscy nie mieli własnych dzieci, a do Jasia oboje byli bardzo przywiązani. Przed wojną często przyjeżdżali na Saską Kępę. Malec rósł na ich oczach, Emilia była jego matką chrzestną. Klarunię też kochali, ale to Jaś był ich ulubieńcem i zawsze dostawał najpiękniejsze prezenty.

Emilia podjęła starania, żeby wyjechać do męża, ale nie było to takie łatwe. Wszystko się zmieniło, w urzędach pracowali nowi, nieznani jej ludzie. Przedwojenni urzędnicy gdzieś znikli. Nie poddawała się jednak i wszelkimi sposobami starała się zdobyć zezwolenie na wyjazd do Wielkiej Brytanii.

Postanowiła też odszukać Jasia. Udało się jej ustalić, że Karolina i Klarunia nie żyją, a Jasio wraz z babką po powstaniu trafili do obozu w Pruszkowie i udało im się stamtąd jakimś cudem wydostać. Na tym ślad się urwał. Energiczna kobieta nie dawała jednak za wygraną. Jeździła, pytała, szukała przez PCK, nawiązywała kontakty z przypadkowymi ludźmi, pisała do kancelarii parafialnych, urzędów stanu cywilnego i radiowej skrzynki poszukiwania rodzin.

Kiedy wydawało się, że wyczerpała wszystkie możliwości, od księdza ze Skierniewic dostała wiadomość, że niejaka Julia Pejska właśnie tu zmarła i tu została pochowana, co jest udokumentowane w księdze parafialnej.

Następnego dnia pani Emilia wsiadła do pociągu i przyjechała do Skierniewic. Po zrujnowanej Warszawie miasto wydało się jej bardzo ładne, nie widać tu było zniszczeń wojennych. Ludzie wskazali jej drogę do kościoła. Napotkany ksiądz, któremu wyłuszczyła cel wizyty, skierował ją do kancelarii parafialnej. Prowadząca księgi kobieta знаła Mariannę, bo nieraz zatrudniała ją przy domowych robotach, i pamiętała o dziwnym, nie tak przecież dawnym przypadku, kiedy to odnalezione cudem boskim siostry nie zdążyły się sobą nacieszyć. Nie wdając się w szczegóły, podała przybyłej adres Szymczakowej.

Elegancko ubrana kobieta siedziała teraz w mieszkaniu Marianny i tłumaczyła, co wiąże Jasia i jej męża Edmunda. Mówiła, że pokrewieństwo jest bezsporne i że pragnie Jasia zabrać ze sobą do Warszawy.

– Ale babka Jasia mnie kazała się nim zaopiekować – powiedziała stanowczo Marianna.

– Tak, bo nie wiedziała, że ktoś z rodziny przeżył wojnę.

– Ja też jestem rodziną Jasia. – Marianna obstawała przy swoim.

– Proszę pani, ja nie wnikam w jakieś tam zaszłości, być może jest, jak pani mówi, ale proszę mi wierzyć – rozejrzała się po skromnym mieszkaniu – dla Jasia będzie lepiej, jak pojedzie ze mną! Mój mąż, to znaczy brat ojca Jasia, jest teraz w Londynie. Pojedziemy do niego. Niech pani pomyśli, jakie to Jasiowi daje życiowe perspektywy, jakie możliwości! Rozumiem pani żal, ale jesteśmy dla niego najbliżsi, zna nas tyle lat. Proszę nie utrudniać sprawy i dobrowolnie oddać nam chłopca.

– Pani go zabierze i wychowa na jakiegoś Anglika. I tyle pożytku z tego będzie.

– Nie będzie Anglikiem – tłumaczyła cierpliwie Emilia – bo i my nie jesteśmy. A może kiedyś wszyscy tu wrócimy? Zrobimy to, jak tylko będzie można. Nie zostaniemy tam ani dnia dłużej, niż potrzeba.

– Jasio jest jeszcze taki mały, przywiązał się do mnie, do moich córek, zaczął chodzić do szkoły, jest mu z nami dobrze. Już prawie nie płacze za babcią Julią. Tyle to dziecko wycierpiało, niech go pani lepiej zostawi w spokoju. – Mariannie serce się ścisnęło na myśl, że może stracić tego chłopaczka, który trafił do niej tak niespodziewanie i którego pokochała równie mocno, a może mocniej niż własne córki.

– A gdzie on teraz jest? – Pani Emilia znów rozejrzała się po mieszkaniu.

– U mojej córki, Feli. Chodzi tam bawić się z jej Tereską. To niedaleko, na tej samej ulicy.

– Proszę pani, jeszcze raz apeluję do pani rozsądku i dobrego serca, proszę pozwolić mi zabrać Jasia. On naprawdę na tym zyska. Nosimy to samo nazwisko, jesteśmy dla niego najbliższą rodziną. Nawet jeśli będę miała własne dzieci, to Jaś i tak będzie dla nas jak rodzony.

– Kuku, kuku! – dobiegł z za okna cienki głosik.

– Chodź, urwisie, chodź już do domu – powiedziała łagodnie Marianna.

Emilia wolno podniosła się z krzesła i stanęła w bezruchu. Jaś wpadł jak bomba i widząc obcą osobę, zatrzymał się z niepewną miną. Ciotka ledwo poznała w tym chudym i opalonym chłopcu delikatnego, pulchnego Jasia. Nie wytrzymała. Wyciągnęła do niego ręce. Jaś zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypominał. Nagle uśmiechnął się radośnie.

– Ciocia Mila! – Skoczył do niej i objął ją za szyję. – Ciocia Mila!

– powtórzył kilka razy. – A gdzie wujek... – urwał na chwilę – wujek, wujek...

– zawahał się – już wiem, wujek Mundek?

Emilia otarła łzy.

– Kochane dziecko! Pamiętasz mnie! Pamiętasz! Wujek jest daleko, ale pojedziemy do niego. Chcesz do niego pojechać, prawda? – zapytała niepewnie.

Jaś popatrzył na Mariannę. Siedziała odwrócona bokiem, żeby nie było widać łez na jej policzkach.

– Nie wiem, a gdzie? – zapytał rezerwownie.

– Do wujka, do Londynu. Wujek czeka na ciebie, bo bardzo cię kocha. Będiesz tam chodził do szkoły. Poznasz nowych kolegów.

Chłopiec miał niezdecydowaną minę.

– Jasińku, zapakuj swoje rzeczy i pożegnaj się z babcią. Najpierw pojedziemy do Warszawy, a za kilka dni do wujka. Jestem taka szczęśliwa, że cię odnalazłam. – Emilia mocno przytuliła malca.

Jaś wolno podszedł do Marianny.

– Nie płacz, babciu, będę do ciebie przyjeżdżał, będę cię odwiedzał. Babciu, ja ciebie kocham – miał bardzo poważną minę – naprawdę, ale pojedę z ciocią Milą, może odnajdziemy mamusię i Klarunię, i tatusia – dodał cichutko.

Marianna pogłaskała głowę chłopca i pochlipując, zaczęła pakować jego rzeczy.

Był ciepły czerwcowy dzień. Marianna wracała z targu. Za ostatnie grosze kupiła małą osetkę masła i mendel jajek. Wciąż miała mało pieniędzy, za mało na skromne nawet życie. Dostawała emeryturę po Franciszku, ale jak opłacała komorne i światło, nic nie zostawało. Dobrze, że kolej dawała jej, podobnie jak innym emerytom, węgiel na opał. Ale przecież trzeba było jeść, no i na Marysię, która chodziła jeszcze do szkoły, sporo wydawała.

Jednak teraz nie myślała o braku pieniędzy. Była bardzo przejęta tym, co usłyszała od Wikty, siostry Wojtka Ceronia. Wikta dość często przyjeżdżała na targ, przywoziła na sprzedaż jajka i śmietanę. Zawsze jak się spotkały, pogadały chwilę, powspominały dawne czasy.

Marianna powiedziała Wikcie o swojej biedzie i o tym, że rozgląda się za jakąś robotą.

– Żeby do nas było bliżej, tobyś mogła w majątku pracować. Ciągłe potrzebują ludzi, a to do żniw, a to na wykopki.

– Co ty mówisz! To bym chętna była!

– Tylko jak się do Żelaznej dostaniesz?

– Piechotą przylecę!

– Nie dasz rady! To kawał drogi, a robota przez cały dzień ciężka.

– Wstanę do dnia, to zdążę, a jak nie dam rady do domu wrócić, to gdzieś w stodole się prześpię! A zawsze trochę bym zarobiła! Palto bym Marysi na zimę kupiła.

– W razie czego możesz u nas przenocować. Teraz, po reformie, mamy kawałek pola, chałupkę prawie już postawiliśmy i stodółka też jest.

– Niech ci Bóg wynagrodzi za radę i dobre słowo.

– Wiesz, Mania, powiem ci jeszcze coś. Wojtek wrócił. – A widząc zmieszanie na twarzy Marianny, dodała: – Pamiętasz przecież mojego brata, Wojtkę?

Pod Marianną ugięły się nogi.

– Wojtek? O Boże! Skąd po tylu latach się wziął? Ciekawość, jak on wygląda!

– Ano, będzie parę miesięcy, jak przyjechał. Siwy jest, kuleje na nogę, mówi, że to pamiątka z wojny. Z tej pierwszej! Z carskim wojskiem pojechał gdzieś aż pod chińską granicę. Opowiadał, że tam cały czas była taka poruchawka, że w końcu już nie było wiadomo, kto z kim wojuje. A po paru latach jego oddział się rozleciał, bo cara zabili, on mundur zdjął i w jakiejś wsi osiadł, mówił, że na Syberii czy jakoś tak! Kobietę sobie tam znalazł, dzieci ma kilkoro, ale wszystkie już dorosłe i przyjechać z nim nie chciały. Żonę tylko przywiózł. Dziwna jakaś. Oczy ma trochę skośne, a włosy czarne jak sadza. Jak gada, to ledwo ją można zrozumieć. Dziwna jest – powtórzyła Wikta. – Teraz Wojtek załatwia, żeby jemu też kawałek ziemi przyznali, tylko że w carskim wojsku służył, to nie wiadomo, czy mu dadzą! Gryzie się, z czego będą żyli. Do roboty jakiejś musi się wziąć, ale na cudzym nie chce robić. Choć kawałek swojego pola by chciał. My mu wiele nie pomożemy, u nas bieda, budowa kosztuje, grosz z obu stron się ogląda, zanim się wyda.

Marianna pożegnała ją śpiesznie. Szła krok za krokiem, jakby przygniatał ją do ziemi jakiś ciężar. Wrócił Wojtek! Jej Wojtek! Ile się przez niego napłakała, życie miała całkiem złamane! Jak też on wygląda? Kulawy jest! Swoje musiał przeżyć. Żonę ma! No, ona też na niego nie czekała. Dwóch mężów pochowała. Takie jest życie, nie stoi w miejscu, tylko gdzieś pędzi, gna, toczy się, toczy...

Choć minęło czterdzieści lat, nagle poczuła zapach wygniecionej trawy, na

której tyle razy z Wojtkiem... Wszystko pamiętała: słońce przeświecające przez gałązki, brzęczące pszczoły, ptaki zanoszące się świergotem.

A oni leżeli na tej trawie, wtuleni w siebie, tak że już bardziej nie można. Jaki on był gorący! Dobrze pamiętała jego uściski, pocałunki, szepty, jakby to wczoraj było. To był jej pierwszy chłopak, całe lato w chaszczach nad rzeką chowali się przed ludzkimi spojrzzeniami. Czy on też to pamięta? Jest już taka stara, do sześćdziesiątki niewiele zostało, jednak nie może spokojnie wspominać tamtych dni. Wciąż wszystko w niej drżało. Żeby tak jeszcze raz... Co jej się w głowie roi, przecież on ma żonę! Przechęgnęła się, przyśpieszyła kroku i skręciła w ulicę prowadzącą do kościoła. Musi się pomodlić i trochę uładzić rozhuśtane myśli.

W domu czekał na Mariannę list od Marty. Napisała, że Honorka bardzo miło ją przyjęła, że ma gdzie spać i co jeść, że jej się w tym Czaplinku bardzo podoba, bo jest wielkie jezioro, i że chciałaby tam zostać na całe lato. Honorka pozwala jej stać za ladą i jest z niej zadowolona, i jeszcze mówi, że ona, Marta, umie szybko liczyć, to nadaje się do sklepu. A Honorka przecież nie wie, że Marta szkoły nie skończyła! Gdyby zdała wszystkie klasy, to dopiero byłaby kupcową, ho, ho!

Marianna pokiwała głową. Rozpierzchły się jej córki po świecie. Dom opustoszał. Tyle było w nim dzieci, bo prócz swoich to i Róża, i Marcelek, i Jaś, a teraz tylko Marysia została. To dobre dziecko. Ciche, spokojne i pracowite. Po podstawówce zaczęła do szkoły dla nauczycielek chodzić. Mądra dziewczyna. A ta Marta? Czego dobrego może ją Honorka nauczyć? Pewno jak z chłopami figlować. Bo więcej to chyba nic.

Marysia musi list napisać. Niech Marta wraca jak najprędzej, tylko niech się z kim znajomym zmówi, żeby ją po drodze jakie nieszczęście nie spotkało. Wspomnienie o Wojtku zaczęło blednąć.

Marta napisała też list do Feli. Wychwalała Czaplinek i jak tam jest wspaniale. Dookoła przystojni mężczyźni, każdy mówi coś miłego, a brat Reginy, Romuś, to jej się najbardziej podoba. Pół listu było o tym, jaki jest miły i przystojny. Wzrostu to ma chyba z metr osiemdziesiąt, a siłę w rękach taką, że jak worki z mąką albo cukrem trzeba przenieść, to pół metra pod pachę bierze i niesie jakby nigdy nic. A oczy to ma niebiesciutkie, że aż dziw, a jak na nią patrzy, to mu się takie jakieś maślane robią, aż ciarki po plecach latają. I zagaduje do niej słodkim głosem, a mówi tak jakoś dziwnie, że czasem nawet trudno go zrozumieć! Tak trochę jak Regina. Widać tam, gdzie mieszkali, wszyscy tak mówili. Ale nie szkodzi, i tak się jej podoba.

Na koniec napisała, żeby Fela poprosiła mamusię, oczywiście, nic nie mówiąc o Romeczku, by jej pozwoliła w Czaplinku jeszcze trochę pobyc, bo tu

życie jest całkiem inne.

Marianna początkowo nie chciała nawet słuchać, żeby taka smarkata żyła gdzieś w świecie pod wątpliwą opieką Honorki. Po kilku dniach jednak machnęła ręką. Niech się dzieje wola boska, i tak będzie, co ma być. Matka pilnowała jej bez przerwy, a jak co do czego przyszło, szybko się z Wojtkiem dogadali, a matula figę o tym wiedziała.

Romuś całkiem zawrócił Marcie w głowie. Coraz to cukierki jej kupował, na spacer nad jezioro razem chodzili. Żałowali, że zimno i kąpać się nie można. Romuś chciał się przed nią popisać, jak świetnie pływa, i obiecywał Martę tej sztuki nauczyć. Brał ją czasem za rękę, a w niej serce zamierało, kiedy tak szli bez słowa, a wokół tylko śnieg, zarośla i zamarznięte jezioro.

Kiedys odważył się i cmoknął ją w policzek. Marta wyrwała się i pobiegła do przodu. Mógł ją dogonić w kilku susach, ale udawał, że nie daje rady. Droczył się z nią. To ją niby chwycił, to znów zostawał w tyle. Wreszcie odwróciła się i poczekała na niego; minę miała bardzo poważną. Romuś zbliżył się bez pośpiechu, objął ją i obsypał jej twarz pocałunkami. Nie bronila się, nie wrywała. Wreszcie mocno pocałował Martę w same usta.

– Marciu, ty mi bardzo, bardzo podobasz się. Niezwyczajnie, można powiedzieć, lubie ciebie! – szeptał między jednym pocałunkiem a drugim.

– Wracajmy już, ciemno się robi i zimno mi.

– Tak ja bym ciebie rozgrzał, że ty by tego zimna nic a nic nie czuła!

– Romuś, nie można, to grzech by był, nie po bożemu, wracajmy.

Wysunęła się z jego objęć. Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę domu. Milczeli. Każde na swój sposób przeżywało to, co zaszło.

Od tego czasu Marta unikała samotnych przechadzek z Romusiem. Zawsze znalazła jakąś wymówkę. Bała się, że gdyby poprosił o więcej, nie znalazłaby dość siły, żeby mu odmówić.

Nie zdawała sobie sprawy, że ta jej powściągliwość tak na niego działała, że już o niczym myśleć nie mógł, tylko o niej, że wciąż widział jej zgrabną postać, wielkie oczy i miłą buzię.

W ciągu dnia oboje pracowali. Honorka, korzystając, że ma z Marty w sklepie wykę, ciągle coś załatwiała, a to do fryzjera musiała iść, a to do manikiurzystki. Zaczęła też chodzić na jakieś zebrania partyjne i często biegła do magistratu, tłumaczyła, że trzeba swoich interesów pilnować. Mówiła o sprawiedliwości, nowym porządku społecznym i podobnych sprawach. Lucek patrzył na nią dziwnie i tylko się podśmiewał.

– Zobaczysz sprawiedliwość społeczną jak ja swoje ucho! Honorka, nie dawaj się na takie głupie gadanie nabierać. Zawsze byli bogaci i biedni, inaczej być nie może. Świat już tak jest stworzony.

Luckowi, choć nie miał wykształcenia, nie brakło zdrowego rozsądku

i w tym, co nadchodziło, widział więcej złego niż dobrego. Honorka kłóciła się z nim zaciekle i powtarzała, że minęły już dawne czasy, kiedy człowiek człowieka wyzyskiwał, i teraz będzie zupełnie inaczej. Na ostatnim zebraniu sekretarz mówił, że w Związku Radzieckim ludzie żyją w wolności i dobrobycie, a w Polsce też tak będzie, tylko obywatele muszą na oczy przejrzeć i robić to, co partia każe. Lucek tylko pukał się w czoło.

Któregoś dnia, a było już pod wiosnę, Honorka nie wytrzymała.

– Ty, szwagier – zwróciła się do Romusia – weź no się porządnie za Martę, bo tylko wzdycha po kątach, a wygląda jak śledź w occie wymoczony.

– Taż nie godzi się, co też Honorcia mówi! – Roman zaczerwienił się po same włosy.

– Nie godzi się, nie godzi się! Oj, wy głuptasy! Wszystko się godzi! Palicie się do siebie, a takie z was niewiniątka! Ja tam sobie nie żałowałam, jak byłam w waszym wieku!

– Taż my ślubu nie brali!

– A po co ślub, jak chłopak na dziewczynę ma chęć, a ona też nie jest od tego, to tylko trzeba spokojne miejsce znaleźć i do roboty!

– Ja nie taki, ja bez ślubu nie chce!

– To weźcie ślub. Jest kościół, jest ksiądz, jest ochota, czego wam brakuje? Ja wam tu wesele wyprawię! Wielkanoc niedługo, to będzie akurat!

Romusiowi oczy zabłyśły.

– To ja pogadam z Marcją i jeśli ona, gołąbeczka, zgodzi się i mnie zechce, tak my akuratnie poženimy się!

– Zechce, zechce! Już ja się na tym znam!

– Tylko nie wiem, co też mamusia i tatuś powiedzą!

– Taki stary chłop, a mamusię o pozwolenie pyta! Ile ty właściwie masz lat?

– Na dwudziesty szósty mi idzie!

– To i najwyższa pora się żenić, żeniadło ci galancie urosło, nie ma co czekać – zakończyła.

Marta układała towar na półkach, a Romuś jej pomagał, bo wielkie paki z towarem były ciężkie. Pracowali w milczeniu. W pewnej chwili chłopak zebrał się na odwagę i zapytał:

– Marciszka, a zechciałabyś takiego jak ja za męża?

Spojrzała na niego zaskoczona i parsknęła śmiechem.

– Oj, Romuś, ty sobie z poważnych rzeczy żartów nie rób!

– Gdzieżbym! Tak ja z serca ciebie zapytuje się, zechcesz ty mnie za męża?

Mamusi twojej tu nie ma, to jej prosić nie mogę, żeby dała mi taki skarb za żonę, więc ciebie pytam się.

Marta przerwała pracę.

– Ty tak naprawdę mówisz?

– Prosto najpoważniej, jak można!

Stał dwa kroki od niej. Widziała jego oczy. Chciała zawołać, że tak, że się zgadza, gdy nagle usłyszała swój własny głos.

– Ja nie wiem, ja nie wiem – powtórzyła. – Muszę list napisać do mamusi i o zgodę zapytać.

Czuła, jak palą ją policzki, nie wiedziała, co robić. Stała niezdecydowana, z opuszczonymi rękami. Romuś podszedł do niej, wziął jej dłoń i podniósł do ust.

– Marciszka, powiedz, chciałabyś mnie? Powiedz teraz, bo mi z tej miłości do ciebie serce rozpęknie się.

– Tak – ledwo zdołała wyszeptać – tak!

Przygarnął ją do siebie i mocno objął. Całował oczy, włosy, usta dziewczyny. Nagle do sklepu weszła Honorka i odskoczyli od siebie jak oparzeni.

– Honorka, patrzaj ty, Marcia zgodę wyraziwszy za żonę moją zostać sie!

– No, wreszcie się dogadaliście, a nie mówiłam, że ciągnie was do siebie? Ja mam oko. To gdzie wesele robimy? U mnie czy u twoich rodziców? Panna młoda to moja siostra, przyrodnia, ale zawsze. Trzeba u mnie! Tak by się chyba należało.

Młodzi trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy. Zapomnieli o bożym świecie. Nie docierały do nich słowa Honorki.

– Ot, z takimi gadać! Słów szkoda. – Honorka odwróciła się na pięcie i wyszła ze sklepu.

Kiedy Marianna przeczytała list od Marty, nie mogła sobie miejsca znaleźć. Jakże to tak? Bez matki, gdzieś w świecie! Przecież nikt nie pojedzie taki kawał drogi. W najważniejszej chwili życia córka będzie sama jak ta sierota. Niby Honorka jest przy niej, ale co to za opiekunka. Dobrze, że choć narzeczony nieobcy. To brat Reginy, kto by pomyślał, że się dogadają? Chyba porządny z niego chłopak. Jakby tak nie było, toby zbałamucił dziewczynę i może nawet z brzuchem zostawił. A on żenić się chce.

Swoją drogą, Marta wyszykowała jej niespodziankę. Na parę tygodni tylko pojechała, siedzi już kilka miesięcy, a teraz to całkiem nie wiadomo, kiedy wróci, jeśli w ogóle wróci. Skończyła dziewiętnaście lat, więc pora jej za męża. Jednak Marianna inaczej sobie to wszystko wyobrażała. Choć z drugiej strony powinna się cieszyć, trzecia córka będzie mężatką. I na dodatek ten ślub nic nie będzie kosztował. Aż w głowie jej huczało od tych rozważań. Po paru dniach kazała Marysi napisać krótki list. Dawała w nim zezwolenie na ślub i matczyne błogosławieństwo. Na końcu była przestroga, żeby do Skierniewic jak najszybciej przyjeżdżali, bo ludzie gadają, że Niemcy mogą lada chwila powrócić na swoje

dawne tereny, a wtedy to nikt z życiem nie ujdzie.

Jakby tego wszystkiego było mało, miała Marianna jeszcze jeden kłopot. Ledwo kilka tygodni minęło od ślubu Wandzi, a już w jej małżeństwie coś zaczęło się psuć. Któregoś dnia córka przyszła zapłakana. Pod okiem miała wielki siniak.

– Mamo, Stasiak mnie pobił!

– Rękę na ciebie podniósł? To on taki babski bokser? Musiałaś zasłużyć!

– On ciągle czepia się mnie, że ja na innych chłopów patrzę.

– A patrzysz? Pamiętaj, szanuj się, tak jak cię uczyłam, bo opinię sobie zaszargasz i ludzie na języki cię wezmą.

– Mamusiu! Ja tylko jego mam i jego pilnuję. A on mi wciąż grozi, że jakby mnie przyłapał z innym, to mnie zabije, a wie mamusia, że broń ma, milicjant przecież! Wczoraj to nawet słuchać nie chciał, jak się tłumaczyłam, tylko od razu z pięściami do mnie.

– To mityguj się, dziewczyno, oczu na innego nie podnoś. Staśkowi przed ołtarzem przysięgałaś. A swoją drogą, marnie trafiłaś. To jakiś wariat! Na mnie twój ojciec nawet palca nigdy nie zagiął. – Przerwała na chwilę i zaczęła innym tonem: – Mąż to mąż, ty go słuchaj. Jak cię bije, to widać ma za co – „użaliła się” wreszcie nad córką.

Wanda, widząc, że matka nie za bardzo przejmuje się jej siniakiem, otarła oczy i poszła do Feli.

Siostra ze zdenerwowania nie wiedziała, co powiedzieć.

– Jak on cię będzie po głowie bił, to nic dobrego z tego nie wyjdzie. Przecież ty masz chorą głowę. Jeszcze ci te ataki wrócą!

– To co ja mam robić?

– Uderz się w piersi, czy naprawdę bez żadnego powodu tak cię tłucze? Nie puszczasz się aby?

– Zaraz puszczasz! Przychodzą tacy różni do niego, czasem nawet mi się podobają. Nieraz klepnie mnie któryś po tyłku albo za cycek złapie, to co takiego wielkiego? A ten głupek wścieka się i wrzeszczy. Co to, ubędzie mi od tego? Albo jemu?

– Wanda, co z ciebie za bezwstydnica wyrosła. Jak ty się wyrażasz, co ty wyprawiasz! Nie pamiętasz już, co nam mamusia mówiła? Kobieta skromna ma być i zachowywać się musi przyzwoicie. A ty?

– Co ja zrobię, jak chłopcy się do mnie kleją, a ja to lubię!

– No to nie miej pretensji do Staśka. Ja, jak mój Kazio po wódce przyjdzie, to buty mu ściągam, pomagam zdjąć ubranie, układam go w łóżku i przykrywam pierzyną. Wyśpi się i w porządku. A jakbym szurała i robiła wymówki, to kto wie, czy też by nie było jak z twoim Staśkiem, czyby mi nie wtłukł po pijanemu. Nie wiem, co by zrobił, jakby zobaczył, że na innego spoglądam. Zazdrosny jak lichy. Ale ja dbam o niego i zachowuję się, jak należy.

– Bo ty tylko w domu siedzisz i bożego świata nie widzisz. Ja tam nie umiem tak jak ty.

– No i dlatego dostajesz lanie, ale pamiętaj, szkoda twojego zdrowia.

– No dobrze, już nie zrzedź, lepiej o Marci pogadajmy. To się smarkata uwinęła! Szast-prast i będzie miała męża. Ciekawe, jaki on?

– Píše, że przystojny i bardzo dobry. Może po ślubie przyjadą, to się przekonamy.

Do mieszkania matki wpadła jak bomba Wandzia. Miała podartą bluzkę i potargane włosy. Szybkim ruchem przekręciła klucz w zamku.

– Co ty robisz, przed kim drzwi zamykasz? – Marianna spojrzała pytająco na córkę.

– Bo on mnie goni!

– Kto?

– Stasiek! Niech mamusia mnie gdzieś schowa, bo mnie zabije, zastrzeli.

– Co ty wygadujesz, za co?

– Nie wiem, nie wiem, trzeźwy jest, a jakiś diabeł w niego wstąpił! Mamo, boję się, boję!

Trzęsła się jak w febrze, zęby jej szczękały. Nagle usłyszały szybkie kroki i gwałtowne pukanie do drzwi.

– Otwórz, teściowa, bo drzwi rozwałę! Ukatrupię tę dziwkę, zastrzelę jak sukę. – I posypały się okropne wyzwiska.

Marianna wzięła do ręki pogrzebacz, zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i wyszła przed próg.

– Powiedz, o co ci chodzi. I nie wywijaj tą pukawką, bo się nie boję.

Stasiek jakby trochę ochłonał. Rozejrzył się. Przed sienią zaczęli się zbierać zaciekawieni sąsiedzi.

– O co mi chodzi? Wróciłem po służbie do domu, a ta... – znów zaczął wykrzykiwać obelżywe słowa – a ta w łóżku z Ignacym! Taką córunię teściowa wychowała. Zwykła zdzira!

W tej chwili jeden z sąsiadów podbił mu rękę, rewolwer upadł na ziemię, dwóch innych chwyciło Staśka pod pachy i wykręciło mu ręce do tyłu.

– Puście mnie, pozamykam was! Za napad na milicjanta z więzienia nie wyjdziecie.

– Stasiek, my przecież dla twojego dobra. Zastrzelisz kobitę i po co ci to! Zamkną cię na całe życie. Chodź, usiądziemy na ławce, odsapniesz, pogadamy, przestań się wyrywać. Dobrze dla ciebie chcemy – spokojnie tłumaczyli sąsiedzi.

Wandzia została u matki. Chodziła z kąta w kąt i popłakiwała. Dni mijały, a ona miejsca sobie nie mogła znaleźć. Chciała wrócić do domu. Marzyła, żeby Stasiak po nią przyszedł. Przysięgała matce, że już teraz będzie zachowywała się porządnie, bo zrozumiała, że mąż jest dla niej najważniejszy.

– Ty nie mnie to mów, tylko Staśkowi, to może ci wybaczy – radziła Marianna.

– Jak mam mu powiedzieć? Boję się do domu pójść! Nie wiem, co może mi zrobić! A jak mnie zabije?

Wreszcie któregoś dnia usłyszała, jak ktoś pod oknem zagwizdał ich ulubioną piosenkę. Tylko Stasio umiał tak pięknie gwizdać. Serce zabiło jej gwałtownie. Wybiegła na podwórko. Stał odwrócony tyłem, w palcach trzymał tłącego się papierosa. Podeszła do niego cichutko.

– Stasiu, wybaczysz mi? Jak chcesz, to uklęknię przed tobą. Już nigdy więcej tego nie zrobię – wyszeptała błagalnie.

Spojrzał w jej zalane łzami, wystraszone oczy.

– Stasiu, bo ja tylko ciebie kocham, a tanto to nieważne. Tak mi się jakoś w głowie pokołowało. Wybacz – powtórzyła.

Zobaczył, że uginają jej się kolana, jakby rzeczywiście chciała przyklęknąć. Podtrzymał ją. Przyłgnęła do niego całym ciałem, poczuł jej piersi, brzuch, uda, a wtedy świat zawirował. Wykrztusił przez zaciśnięte zęby, żeby już szli do domu. Wanda uwiesiła się jego ramienia i ruszyli szybkim krokiem. Nie zdążyła nawet powiedzieć matce do widzenia.

Marianna codziennie wcześniej rano wychodziła z domu w długą drogę do Żelaznej. Czasem podwiózł ją jakiś litościwy woźnica, ale zdarzało się to rzadko. Kiedy dochodziła do wsi i mijała podworskie czworaki, serce zaczynało jej szybciej bić. Bała się, że spotka Wojtka. Zupełnie nie wiedziała, jak się zachowa, kiedy go zobaczy.

Wreszcie któregoś dnia zauważyła mężczyznę idącego wolno w kierunku cmentarza. Szedł, powłócząc nogą, plecy miał przygarbione, a spod czapki widać było siwe kosmyki. Przeszedł obok niej obojętnie, nie podnosząc oczu. Ona też minęła go bez pozdrowienia. Gardło miała ściśnięte, w ustach jej zaschło. A więc tak wygląda jej pierwsze kochanie. Gdzie jego jasna czupryna, gdzie błękitne oczy i zręczne ruchy? Pod powiekami miała pooraną zmarszczkami twarz Wojtka i smutek bijący z całej jego postaci.

Przez cały dzień prześladował ją ten obraz. Powoli jednak uspokajała się i nawet zaczęła żałować, że nie zatrzymała się przy nim bodaj na chwilę. Postanowiła, że jeśli spotka go na swej drodze jeszcze raz, to z nim porozmawia.

Okazja nadarzyła się szybciej, niż myślała. Następnego dnia, po nocy

przespanej u Wikty, szła do pielonki na polu za kościołem. Zobaczyła przed sobą kuśtykającego Wojtka. Dogoniła go z łatwością, bo nadal, mimo tuszy, chodziła lekko i szybko.

– Niech będzie pochwalony!

– Na wieki wieków – odpowiedział, nie patrząc na nią.

– Wojtuś!

Drgnął i zatrzymał się. Podniósł wzrok. Zobaczyła, że jego oczy nadal są jak małe kawałeczki nieba.

– Wojtuś, nie poznajesz mnie?

Patrzył na nią dość długo. Na jego twarzy widać było skupienie i nagle ich oczy się spotkały, usłyszała cichy głos.

– Manusia? Może to być? Manusia?

Stali oboje, jakby im nogi wrosły w ziemię.

– Tak, to ja. Wikta mi mówiła, że wróciłeś.

Twarz Wojtka nagle uległa dziwnej zmianie. Zmarszczki się wygładziły, oczy nabrały blasku, na policzkach pojawił się rumieniec.

– Maniusiu, całe życie o tobie myślałem... – urwał, jakby się zastanawiał, co powiedzieć – a ja, widzisz, stary jestem, biedny kaleka. Ale że ty mnie poznałaś! Nie liczyłem, że cię jeszcze zobaczę. Całe życie straciłem! – Jego oczy znów przygasły.

– Nie mów tak. Przecież masz żonę, dzieci.

– Obca żona, obce dzieci. Ty byłaś mi żoną.

Wolno ruszyli skrajem drogi. Marianna patrzyła z litością na biedaka. Nie mogła uwierzyć, że to Wojtuś koło niej idzie. O czym mu powiedzieć? O synku? O swojej wielkiej tęsknocie? O krzywdzie, jakiej od ludzi doznała przez niego? Nie! Więc o czym? Nagle usłyszała swój głos:

– Życie minęło. Każde z nas żyło po swojemu. Starość przyszła. Wszystko już za nami. Zdrowia ci życzę i niech Bóg ma cię w swojej opiece. Lecę, bo robota na mnie czeka.

– Poczekaj, nie idź jeszcze, powiedz mi trochę o sobie.

– Co tu mówić. Było, co było! Zostań z Bogiem! Zostań z Bogiem – powtórzyła miękko.

Wojtek stał i patrzył na jej krągłą postać, póki nie znikła w oddali. Westchnął ciężko i począpał w kierunku domu.

KŁOPOTY

Honorka postanowiła iść do pracy, do biura. Lucek tłumaczył jej, że w domu tyle roboty, nie da sobie rady, przecież i dzieci, i sklep!

– Rodzina jest ważna. Wiem o tym, to podstawowa komórka społeczna, ale ja sobie poradzę.

Honorka często używała haseł zasłyszanych na zebraniach partyjnych, bo od jakiegoś czasu należała do partii. Od dawna już miała na to ochotę. Jeszcze w Warszawie, w czasie wojny, jak była w oddziale, korciło ją, żeby się zapisać. Ale potem wszystko się pokręciło. Dopiero teraz, gdy poznała Antoniego, nie chciała już dłużej zwlekać. Antoni Sitek! Miękkła, gdy ścisnął delikatnie jej rękę i patrząc wymownie w oczy, tłumaczył, że teraz dzięki partii ludziom będzie żyło się lepiej. Nikt nie będzie wyzyskiwany, wszyscy będą mieli pracę i godziwy zarobek, jednym słowem, zaczną żyć sprawiedliwie i zupełnie inaczej. Oczywiście, właśnie takie wartościowe jednostki jak ona powinny się włączyć do działalności partyjnej i razem z organizacją budować nowy społeczny ład. Taka mądra i dzielna kobieta z pewnością świetnie to wszystko rozumie i tak dalej, i tak dalej...

Mówił, bo chciał ją olśnić, oczarować, zdobyć, bo jej urodziwa postać działała na jego zmysły jak narkotyk. Honorka przyjmowała jego słowa za dobrą monetę, słuchała chciwie i wreszcie postanowiła. Tak, będzie z partią, no i oczywiście z Antonim, budować kraj, dźwigać go z biedy.

Tylko jak pogodzić prowadzenie sklepu z tą piękną ideą? Przecież partia walczy z kułakami, prywaciarzami, spekulantami. Trzeba zamknąć sklep! Żal jej było, bo interes prosperował nieźle, ale cóż, zrobi to dla partii i Antoniego.

Kiedy Lucek dowiedział się o jej planach, mało go szlag nie trafił.

– Kobieto, czy ci rozum odjęło? A z czego będziemy żyli? Interes idzie dobrze, dzieci rosną, wydatków coraz więcej! Opamiętaj się!

– Wszystko przemyślałam. Sitek załatwił mi pracę w komitecie miejskim. Będę za biurkiem siedziała i prowadziła ważne sprawy, a ty zostaniesz listonoszem. To niezła fucha.

– Ile razem zarobimy? Na pewno nie tyle, ile mamy ze sklepu. – Lucek nie dawał się przekonać.

– Posłuchaj, ja koło władzy już od dawna się kręcę i mogę ci jedno powiedzieć. Lada chwila nie będzie sklepów takich jak nasz, wszystkie pozamykają, cały prywatny handel jest już prawie skasowany. Nasz ustrój przewiduje tylko sklepy państwowe. Wszystko państwowe!

– To może i żony będą państwowe? – zapytał kpiąco Lucek.

– Nie mądrzyj się, ja swoje wiem.

W sali zgromadziło się kilkadziesiąt osób. Za stołem prezydialnym, na najważniejszym miejscu, otoczony towarzyszami z komitetu miejskiego, siedział Antoni Sitek. Honorka od czasu do czasu rzucała na niego pełne uwielbienia spojrzenia. Od kilku dni była jego kochanką.

Spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Skończyła czterdzieści lat i młodość miała za sobą. A ile przeżyła! Można by o tym książkę napisać. Tylu w jej życiu było mężczyzn. Pan Benedykt, Bolesław, Felek. A potem? Trudno policzyć. Ostatnie jedenaście lat spędziła z Luckiem. Urodziła mu dwoje dzieci. Ale to wszystko zeszło na dalszy plan.

Nie mogła pojąć, co się z nią dzieje. Nie rozumiała, że to miłość. Pierwsza w życiu. Chciała ciągle być tylko z nim, patrzeć na niego, słuchać jego głosu, przytulać się. Bez niego wszystko było szare, nudne, nieważne. Mogłaby, gdyby chciał, oddać za niego życie. Jedynie on się liczył. Znikły gdzieś jej kaprysy, złość, niecierpliwość. W oczach miała uśmiech i dla każdego dobre słowo. Bardzo się zmieniła. Odmłodziła. To szczęście tak ją odmieniło, to Antoni tak ją odmienił.

A przecież początkowo spoglądała na niego bez większego zainteresowania. Dopiero gdy podjęła pracę i wciąż przebywała z nim w jednym pokoju, zaczęły się rozmowy, przypadkowe dotknięcia rąk. Czasem na zebraniu siedziała obok niego i czuła jego udo przy swoim. Rumieniła się, gdy na nią patrzył, chciwie słuchała jego głosu. Był taki mądry i z każdym dniem coraz bliższy.

Kiedyś, po długim zebraniu, musiała zostać, żeby napisać protokół. Pisała na maszynie niezbyt szybko, więc zajęło jej to sporo czasu. Gdy wreszcie skończyła, niewiele brakowało do północy. Antoni siedział z nosem w papierach. Nie ponaglał. Kiedy ucichł stukot maszyny, podniósł się i podszedł do biurka. Honorka poczuła, jak delikatnie pogładził jej plecy. Odwróciła się i gwałtownie przyłgnęła do niego całym ciałem. W pośpiechu, jak w transie, zaczęli zrzucać ubrania. Słysząc było ich szybkie oddechy. Nie czuli, że kanapka jest wąska, nie myśleli, że ktoś może ich zobaczyć. Byli tylko oni i ich ciała. Honorka szeptała czułe, gorące słowa, jakich nie mówiła dotąd żadnemu mężczyźnie, a on...

Po tej szalonej nocy każda okazja była dobra. Kochali się w biurze, w podmiejskim hoteliku, nawet w zaroślach nad jeziorem. Kryli się przed ludźmi. Honorka trochę bała się Lucka. Antoni nie chciał, żeby dowiedziała się o nich jego żona, Jadwiga. To kobieta z charakterem. Wiedział, że z zemsty potrafiłaby znaleźć sposób, żeby ich zniszczyć.

Ludzkie oczy i uszy mają wyjątkową bystrość, zwłaszcza gdy chodzi o tak smakowitą sprawę, jak zdrada małżeńska. W małym miasteczku nie dało się długo

ukryć romansu. Honorkę ludzie dobrze znali, więc nie byli zaskoczeni jej zachowaniem, ale Antoni? Do tej pory przykładowy mąż i ojciec, sekretarz miejskiego komitetu, pierwsza osoba w Czaplinku. Wszyscy wiedzieli, że to on trzyma władzę w rękach, a burmistrz i radni robią, co im każe.

Od takiego człowieka oczekuje się odpowiedniej postawy. Nie mogli się ludzie nadziwić, że ta już dość mocno dojrzała kobieta, w dodatku z zaszarganą opinią, zawróciła mu w głowie. Ktoś doniósł do powiatu. Być może maczała w tym palce Jadwiga. Któregoś dnia zjechała do Czaplinka władza i rozpoczęła się egzekucja. W sprawie winowajcy.

Zastanawiano się, co też władza zdecyduje. W tym grajdołku niczego nie dało się ukryć. Jedni żalowali Antoniego. Mówili, że to porządny chłop i szkoda, żeby dla takiej lafiryndy utracił stanowisko. Inni, którym załazał za skórę, cieszyli się, że wreszcie ktoś utrze mu nosa.

O czym na tej egzekucji mówiono, nikt nie wiedział. Honorki nie wezwali, jakby jej to wcale nie dotyczyło. Narada trwała długo. Wreszcie, po kilku godzinach, wszyscy wyszli z sali i ruszyli do restauracji na obiad. Fundatorem był, oczywiście, Antoni. Kelnerka podała wódeczkę, a potem dla każdego gościa schabowego z kapustą. Po paru kieliszkach języki się rozwiązały i wrócili do sprawy.

– Nic się nie martw, Antoni! Jesteś wypróbowanym towarzyszem. Partia jak matka, wszystko ci wybaczy. Dobrze, że uderzyłeś się w piersi i przyznałeś do winy. – Sekretarz powiatowy, towarzysz Kuś, mówił prawie ojcowskim tonem.

– Tylko pamiętaj, żeby to było ostatni raz, nie nadużywaj dobrego serca towarzysza Kusia – dodał lekko już wstawiony Tymoteusz Chlib, prawa ręka sekretarza.

– Wypijmy jeszcze raz zdrowie i do roboty, towarzysze! – Sekretarz Kuś starał się trzymać fason.

Antoni stanowczo zaprotestował.

– Do Szczecinka niedaleko. Posiedźcie jeszcze, zdążycie dojechać przed zmrokiem.

Na stole pojawiła się kolejna litrówka.

Kiedy w końcu ruszyli do wyjścia, szli chwiejnie i z trudem sadowili się w sfatygowanym gaziku. Kierowca, który też wypił kilka kieliszków, z fantazją zakręcił korbą, motor zaskoczył i powiatowa władza, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, opuściła Czaplinek.

Następny dzień wstawał leniwie. Było szaro i zaczynał dokuczliwy mroźny kupaśniczek. Honorka jak co dzień weszła do biura. Antoni już był. Siedział z pochyloną głową. Pocałowała go w policzek. Spłoszony, rozejrzał się wokoło.

– Honorka...

Chciała mu usiąść na kolanach, ale odsunął ją delikatnie.

– Honorka, muszę ci coś powiedzieć. – Przymknął powieki, na policzkach miał czerwone plamy. – Wszystko się wydało. Wczoraj był tu nade mną sąd i partia mi wybaczyła, ale postawili warunek. Musimy się rozstać, musisz stąd odejść, wyjechać. Nie możemy się spotykać.

– O czym ty mówisz? Jak to nie możemy się spotykać?

Umilkła. Poczula się tak, jakby coś spadło jej na głowę. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wreszcie zaczęła mówić:

– Tobie postawili warunek, że ja muszę odejść? Ja? A ty się na to zgodziłeś? Mówiłeś, że żyć beze mnie nie możesz. Tyle sobie przyrzekaliśmy. Antek! Przecież ja cię kocham! – ciągnęła coraz głośniejsze.

Zrozpaczona, chciała obrzucić go wyzwiskami, najgorszymi, jakie знаła, może nawet uderzyć. Nie mogła. Słuchała Antka jak sparaliżowana i nie miała siły, żeby się przeciwstawić, dokuczyć mu, sponiewierać. Przecież to Antek, jej miłość!

– Honorka, to, co ci mówiłem, to wszystko prawda, ale jest, jak jest, inaczej być nie może. Muszę żyć przyzwoicie, bo jak nie – wszystko stracę.

– Wszystko? Mnie będziesz miał!

– Ty masz męża i dzieci.

– Teraz sobie o tym przypomniałeś? A zresztą, ja nie mam męża, jestem wolna. Ślubu z Luckiem nie brałam. Dzieci odchowane, nie będą nam przeszkadzać. Antoś, miej litość! Nie zostawiaj mnie. Kocham cię, kocham!

Chwyciła go za klapy marynarki, objęła za szyję, wpiła się wargami w jego usta.

– Antoś!

Delikatnie, ale stanowczo oswobodził się z uścisku.

– Od dzisiaj już tu nie będziesz pracować, a najlepiej by było, żebyś wyjechała z Czaplinka. Proszę cię o to – powiedział szybko.

– Boże, co mam robić? Do jeziora skoczę! Antoś, zrobię, co zechcesz, tylko bądź ze mną. Kochany, wyjedźmy razem. Znajdziemy jakieś spokojne miejsce. Zostawmy wszystko za sobą. Co mi dzieci! Co mi życie! Bez ciebie nie chcę żyć.

Płakała coraz głośniejsze.

– Uspokój się, nie płacz.

– Mój jedyny! – Objęła go mocno za szyję.

– Nie możemy być razem. Wyjedź, zrób to dla mnie, dla naszej miłości – dodał trochę teatralnym tonem. – Jak trochę czasu upłynie, sprawy się ułożą. Może jeszcze będziemy szczęśliwi. Wszystko ucichnie, ja mam dobre perspektywy, niedługo awansuję do powiatu, a potem jeszcze wyżej. Zobaczysz, nasz los się odwróci. – Poprowadził ją w stronę drzwi. – Żegnaj, Honorka, i proszę cię, błagam, wyjedź stąd. Nie wiem, jak ty, ale ja za siebie nie ręczę. Jak tu

będziesz, nie wytrzymam, żeby cię nie mieć dla siebie. – Widząc, jak w jej oczach błysnęła nadzieja, dodał: – Wyjedź i czekaj na mój znak.

Jeszcze na chwilę przywarli do siebie i Honorka ciężkim krokiem wyszła z pokoju.

Lucek słyszał od ludzi jakieś plotki, ale o nic nie pytał. Czekał, co los przyniesie. Nie wytrzymał jednak, kiedy Honorka wróciła z pracy z czerwonymi od płaczu oczami, a na pytanie, co się stało, odpowiedziała, że ją wyrzucili.

– To ten Antoni! Sukinsyn! Najpierw cię skołował, a jak mu się znudziłaś, to cię wywalił!

– Co ty wiesz! Partia mu kazała.

– Głupia jesteś! Idiotka! I do tego zdzira!

Zaczął wykrzykiwać obelgi, nie zwracał uwagi na płaczące, przestraszone dzieci. Przez chwilę Honorka myślała, że ją uderzy, wymachiwał pięściami nad jej głową. Jakby diabeł w niego wstąpił. Jeszcze nigdy tak się nie zachowywał. Nawet nie próbowała się tłumaczyć. Siedziała jak skamieniała. Wreszcie Lucek trochę się uspokoił.

– Co teraz? Co dalej? – odezwał się podniesionym głosem. – Dziwką byłaś i dziwką zostałaś! Całe nasze życie na nic.

– Nie mów tak. Mamy przecież dzieci. Jakoś to będzie – odpowiedziała cicho, bez przekonania. – Może sprzedamy sklep i wrócimy do Skierniewic.

Popatrzył na nią, zdumiony.

– I ty myślisz, że możemy nadal być razem?

– Tak. Przecież tyle lat dobrze nam było. Trzeba spróbować – odparła smutno.

Zaczęli przygotowania do wyjazdu. Chętnego do kupienia sklepu znaleźli szybko. Mieszkanie wynajęli Marcie i Romanowi, meble też im zostawili. Spakowali osobiste rzeczy, chcieli jak najprędzej opuścić Czaplinek, choć każde z nich z innego powodu.

Uradzili, że Honorka pojedzie do Skierniewic pierwsza, weźmie ze sobą Różyczkę, rozejrzy się, co i jak, a Lucek dołączy do niej za kilka tygodni, bo musi jeszcze zakończyć różne sprawy, zwłaszcza te związane ze sklepem. Nowy właściciel zapłacił tylko połowę pieniędzy, resztę obiecał dodać, jak tylko mu rodzina dośle. No i chcieli, żeby Marcelek skończył piątą klasę. Do szóstej pójdzie już w Skierniewicach.

ZNOWU U MACOCHY

Który to już raz Honorka wracała do Skierniewic? Ze ściśniętym gardłem wsiadła przed dworcem do dorożki. Co teraz będzie? Marianna zgodziła się ją przyjąć, oczywiście na krótko, zanim pasierbica znajdzie jakieś mieszkanie. Zawsze sobie w życiu radziła, teraz jednak siły całkiem ją opuściły. Czuła strach przed przyszłością. I ta tęsknota za Antkiem! Koń człapał nieśpiesznie. Piętrzące się wokół tobołki podskakiwały, gdy koła dorożki wpadały w wyrwę. Różyczka, zmęczona długą drogą, drzemiała, przytulona do jej boku.

Z macochą przywitały się prawie serdecznie. Marianna popatrzyła na Honorkę ze zdziwieniem.

– Co ty tak marnie wyglądasz? Tylko parę lat cię nie było, a wyglądasz jak własna matka! Schudłaś i włosy na skroniach masz siwe! Chora jesteś? A to Różyczka? Pokaż no się! Z ciebie to już prawdziwa panna. No chodź, przywitaj się z babcią.

– Nie jestem chora, tylko miałam kłopoty – Honorka mówiła z trudem – ale już wszystko minęło.

W głowie jej brzęczało, że nic nie minęło, Antoni wciąż tkwił w sercu. Wciąż pamiętała każdą spędzoną z nim chwilę. Dlaczego nie mogła być z mężczyzną, którego pokochała? Nie chciała mu niszczyć kariery, więc musiała jakoś się pogodzić z rozstaniem. Kiedy o nim myślała, ogarniała ją dziwna miękkość, tkliwość. Wszystko mu wybaczyła. Nawet to, że zmusił ją do wyjazdu. Przecież ją kochał, on też cierpiał. Westchnęła głęboko. Będzie na niego czekać. Obiecał, że ją odnajdzie, że będą razem! Za kilka tygodni przyjedzie Lucek i życie jakoś się potoczy. Musi znaleźć sobie pracę, ma przecież z Czaplinka dobre papiery. Antoni napisał jej taką opinię, że wszędzie ją przyjmą z otwartymi rękami. Będzie na niego czekała!

– To co ty za kłopoty miałaś? – dopytywała się Marianna.

Honorka spojrzała na macochę trochę nieprzytomnym wzrokiem.

– Nic wielkiego. Takie tam polityczne sprawy. Kiedyś opowiem. Ale na razie wolę do tego nie wracać.

Minęło kilka tygodni. Honorka zaczęła pracować w magistracie, w dziale mieszkaniowym. Sekretarz miejskiego komitetu powiedział jej, że zwłaszcza tutaj muszą mieć zaufanego człowieka, bo mieszkania to łakoma rzecz. Jedni petenci dają łapówki, inni przychodzą z pretensjami i awanturami. Za biurkiem potrzebny jest pracownik twardy, odpowiedzialny i uczciwy, jednym słowem, właśnie ktoś

taki jak ona.

Sekretarz miał rację. Trzeba było mieć dużo siły, żeby przez cały dzień wytrzymać przewalające się przez pokój tłumy, te prośby, płacze, pyskówki, krzyki. Po ośmiu godzinach wychodziła śmiertelnie zmęczona i z chaosem w głowie. Jednak dzięki temu miała mniej czasu, żeby myśleć o Antonim.

W czerwcu skończył się rok szkolny, a Lucka i Marcelka nie było. Honorka zaczęła się martwić. Co on tak się guzdrze? A może nowy właściciel sklepu pieniędzy nie oddał? Pod koniec lipca postanowiła napisać list do Lucka i przy okazji do Marty.

Dziwnym zbiegiem okoliczności odpowiedzi od obojga otrzymała tego samego dnia. Najpierw wzięła do ręki trochę wymiętą niebieską kopertę od Lucka. Niecierpliwym ruchem rozerwała papier. Szybko objęła wzrokiem krótki list. W miarę, jak czytała, nierówne litery zaczęły jej skakać przed oczami. Przeczytała jeszcze raz i jeszcze. Nie mogła uwierzyć w to, co tam było napisane. Spojrzała na niewyraźny stempel pocztowy i znów zaczęła czytać:

Honorka,

jesteśmy z Marcelkiem w Lipówce, u mojej znajomej. Lodzia przyjęła nas z otwartymi rękami. Nie chcę już z tobą być. Nie szukaj nas. Marcelek będzie tu do szkoły chodził. Będziemy z synem żyć uczciwie. Za jakiś czas znowu napiszę. A pieniądze za sklep wzięłem, chyba coś mi się należało za moją harówkę. Marcelek cię całuje. Zostań z Bogiem, ja ci wszystko przebacylem. Lucek

Dobrze, że siedziała na krześle, bo pewno by upadła. Oparła głowę o stół i siedziała nieruchomo. W takiej pozycji zastała ją Marianna.

– Co ci to, chora jesteś czy drzemiesz?

Honorka powolnym ruchem, nie podnosząc głowy, podała jej list.

Marianna przesylabizowała wiadomość.

– No toś się doczekała! Zawsze wiedziałam, że nie jesteś wiele warta. To ci Lucek kozła wywinął! No, no, ale żeby taki spokojny chłopina miał cię dosyc? Coś ty tam w tym Czaplinku nawyrabiała?

Honorka otarła oczy, podniosła się i bez słowa wyszła z mieszkania.

Nogi same zaniósły ją nad rzekę. Było tu pusto i cicho. Wiadomo, w roboczy dzień ludzie nie mają czasu na łażenie bez celu. Kilkoro dzieci taplało się w płytkiej wodzie. Zastanowiła się, dlaczego rzeka jest taka wąska i płytka. Chyba musieli młyny pokasować i tamy przy nich pootwierać. Przystani dla kajaków nie

ma, a po tym lokalu, gdzie kiedyś piła z chłopcami wino, zostały tylko sterczące z ziemi belki. Jak to dawno było! Przez tych chłopaków jej życie skręciło na manowce. To przez nich trafiła do Warszawy i została dziwką. Jak to jest, że jedna chwila, przypadek, decyduje o życiu człowieka.

Znowu pomyślała o Lucku. Może i dobrze, że znalazł sobie inną kobietę. Wiązałby jej ręce, a bez niego jest wolna. Nie czuła do niego złości. Ale Marcelek! Musi go Luckowi odebrać. Jej syn nie będzie jak parobek tyrał. Na ludzi go wyprowadzi. Szkoły musi pokonać, porządne stanowisko zdobyć. Może jakim dyrektorem zostanie. Tak, tak! Najważniejsze to odzyskać Marcelka.

Nagle poczuła w sercu bolesne ukłucie. Antoni! Jej Antoni! Jego też musi odzyskać. Napisze do niego jutro, nie, jeszcze dzisiaj, długi serdeczny list. Musi mu o Lucku powiedzieć. No i trzeba wreszcie załatwić jakieś mieszkanie dla siebie i dzieci. Jutro złoży podanie. Kieruje wydziałem załatwiającym ludziom przydziały, a sama tuła się jak bezdomna. Fakt, że nie jest jej źle u Marianny. Macocha bardzo się zmieniła. Starzeje się chyba, bo już nie jest napastliwa i nawet się nie czepia, że Honorka mieszka u niej tyle czasu. No i musi o siebie zadbać. Fryzjer, manikiurzystka, jakieś nowe kiecki. Przecież jak przyjedzie Antoni, musi być piękna.

Wkrótce dostała upragnione mieszkanie. Szef trochę się zżymał, mówił, że ludzie mogą sarkać, że przez kumoterstwo załatwiła sobie ten przydział. Honorka nie przejęła się jego gadaniem. Po kilku dniach wszystko przyszło, a ona zapakowała na dorożkę swój niewielki bagaż i przewiozła do całkiem miłego mieszkanka na Batorego. Jeden spory pokój i trochę mniejsza kuchnia, na pierwszym piętrze przedwojennej kamienicy, prezentowały się całkiem nieźle. Zaczęła rozglądać się za jakimiś meblami, a na razie spały z Różyczką na podłodze, na sienniku ofiarowanym przez Mariannę.

Poszła do najlepszego w mieście fryzjera Bartczaka na Prymasowskiej. Z wprawą ułożył jej modną fryzurę i włosy znowu lśniły jak dawniej.

Kupiła sobie kostium i kilka bluzek. Jej zgrabna figura znów przyciągała oczy mężczyzn. Poczowała się lepiej. Martwiła się tylko, że nie nadchodzi odpowiedź od Antoniego. Wysłała drugi, jeszcze czulszy list. I znów czekała bez skutku. Wreszcie któregoś dnia listonosz wręczył jej dwie koperty. Na odwrocie obu umieszczona była adnotacja, że adresat się wyprowadził. Pobiegła na pocztę i zrobiła Bogu ducha winnej urzędnicze okropną awanturę. Nakrzyczała, że poczta nie wywiązuje się z obowiązków, że lekceważą bardzo ważną korespondencję. Potem naszumiała u naczelnika, choć ten cierpliwie tłumaczył, że to naprawdę nie jest wina poczty. Wreszcie uspokoiła się trochę i postanowiła pojechać do Czaplinka i sprawdzić na miejscu, o co chodzi.

Poprosiła o kilka dni urlopu, uzasadniła podanie złym samopoczuciem. Zostawiła Różyczkę u Marianny i poszła na stację. W miarę jak pociąg oddalał się

od Skierniewic, pewność siebie opuszczała Honorkę i nachodziły ją złe myśli. Wreszcie zwątpiła w sens tej podróży.

Po kilku godzinach jazdy w ciasnocie i zaduchu zaczęła cicho pochlipywać. Antoni pewno nie chce jej widzieć i dlatego nie przyjął listów, tylko kazał listonoszowi je odesłać. Zapomniał o niej! Nie, to niemożliwe, przecież przyrzekał, że będą razem. Zapłakana i znużona podróżą, zasnęła w końcu. Śniło jej się, że Antoni trzyma ją w ramionach i szepcze do ucha, jak bardzo ją kocha. Otworzyła oczy. Zobaczyła tuż przy sobie pulchną twarz kobiety.

– Paniusiu, a dyć już Szczecinek. Kazałaś się pani obudzić! Wsiadamy!

Wytaszczyły się z trudem z zapchanego wagonu i poszły się dowiedzieć o połączenie do Czaplinka.

Jeziro było niespokojne. Honorka podeszła do samego brzegu, obmyła twarz i piekące od płaczu oczy. Zimna woda przyniosła jej ulgę. Po co tu przyjeżdżała? Teraz już nawet marzyć nie będzie miała o czym. Stało się to, czego bała się najbardziej. Straciła Antoniego na zawsze!

Kolejno przypominała sobie, jak było.

Najpierw sekretarka nie chciała jej wpuścić do niego. Honorka jednak nie dała się odprawić z kwitkiem. Teraz wie, że lepiej by było, gdyby odeszła. Po dłuższym oczekiwaniu niemal siłą udało jej się wejść do gabinetu. Siedział przy biurku i pisał. Jednym spojrzeniem ogarnęła postać ukochanego. Chyba schudł. Twarz miał szarawą, może ze zmęczenia. Wyciągnęła do niego ręce i uśmiechnęła się przez łzy. Antoni poderwał się z krzesła, ale natychmiast na nie opadł. Spojrzał obco, prawie wrogo. Przeszedł ją dreszcz.

– Kto cię tu wpuścił? – spytał ostro. – Mówiłem, że nie ma mnie dla nikogo! Wywalę tego gamonia z roboty.

– Antoni, sekretarka niczemu niewinna. Długo czekałam, wreszcie odepchnęłam ją od drzwi i jestem. Antoś, przywitaj się ze mną. Przyjechałam, bo nie odpisywałeś na listy. Antoś!

– Nie ma już Antosia. Nie ma! Nie rozumiesz tego? Nie mam ci nic do powiedzenia. Wyjdź stąd, bo narażasz na szwank moją opinię.

– Na szwank? Opinię? Antoś, o czym ty mówisz?

– Wyjdź, bo każe cię wyprowadzić. I nie pisz do mnie więcej.

– Antoś, Lucek jest z inną kobietą, jestem wolna! Przyjechałam do ciebie, bo mówiłeś, że będziemy razem. Ja tylko ciebie kocham. Zrobię dla ciebie wszystko, bądź ze mną! Już zapomniałeś, co między nami było? Antoś, obiecałeś!

– Obiecanki cacanki, a głupiemu radość! – Otworzył drzwi. – Zosieńko – zwrócił się do sekretarki – ta obywatelka już wychodzi.

Honorka widziała, jak zmieniła mu się twarz, gdy spojrzał na młodą, pulchną

blondynkę z loczkami wokół głowy. Tak samo dawniej na nią patrzył.

– To tak! Masz nową flamę? A ty, lafiryndo, myślisz, że złapałaś szczęście na całe życie? Ja też tak myślałam, i co? Zobaczysz, do czego on jest zdolny, złamie ci życie i cię zostawi.

Jej ostatnie słowa zagłuszył głos Antoniego:

– Dzwon po milicję, ta obywatelka awanturuje się i zakłóca spokój.

Honorka energicznie odepchnęła czyjeś ręce, usiłujące ją pochwycić, i wybiegła z biura.

Patrzyła teraz na jezioro, rozpamiętując każde słowo Antoniego. Nie warto żyć, nie warto żyć – te słowa natrętnie stukały jej w głowie. Nie warto! Powoli weszła do wody. Była chłodna i miło otulała rozgrzane ciało. Wchodziła coraz głębiej. Woda sięgała już do piersi.

Drobne fale omywały jej ramiona i nagle straciła grunt pod nogami. Czowała, jak woda delikatnie ją unosi. Pomyślała, że najlepiej byłoby nie wychodzić już na brzeg, dać się ponieść, zamknąć oczy i nic nie czuć. Już by nie bolało. Odwróciła się na plecy. Jakiś ptak, głośno popiskując, przeleciał tuż nad nią. Otworzyła oczy.

– Paniusiu, a co to, kąpieli ci się zachciało w taki ziąb?

Spojrzała na stojącego na brzegu człowieka.

– Nawet odzienia paniusia nie ściągała? Pani, wychodź no z tej wody!

Poruszyła rękami i popłynęła w stronę przeciwną od brzegu.

Mężczyzna, na dobre przestraszony, nie dawał za wygraną.

– Pani, wychodź, bo ludzi zawołam i siłą wyciągną!

Głęboko nabrała powietrza i zanurkowała. Przez te kilka lat w Czaplinku nauczyła się pływać. Czowała się w wodzie jak ryba. Wypłynęła kilkanaście metrów dalej. Na chwilę przestała myśleć o Antonim, teraz zależało jej tylko, żeby się odczepić od tego człowieka. Popłynęła wzdłuż brzegu. Zobaczyła przybrzeżne krzaki i postanowiła skryć się tam przed nim. Było jej zimno. Oprzytomniała. Co ja chciałam zrobić, myślała, przecież mam dzieci! Co ja chciałam zrobić?

Z oddali usłyszała stłumiony głos mężczyzny.

– Gdzie ta cholera się podziała, pewno się utopiła. Będą miały węgorze wyżerkę. Jakaś wariatka! Pan Bóg z nią! – Machnął ręką i poszedł swoją drogą.

Powoli zaczynało zmierzchać. Honorka zgubiła pantofle, ubranie miała mokre, trzęsła się z zimna. Musi znaleźć pomoc. Postanowiła iść do Dziuni. Choć rozstały się w gniewie, liczyła, że tamta jej nie odmówi. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku rynku.

NOWE KŁOPOTY

Nie dane było Mariannie starzeć się w spokoju. Wanda i Honorka starały się, żeby nie zabrakło jej kłopotów, żeby musiała się wstydzic ludzkich języków.

W Honorkę, kiedy wróciła z Czaplinka, jakby diabeł wstąpił. Wciąż szukała męskiego towarzystwa, i to takiego w najgorszym wydaniu. Po jej mieszkaniu wiecznie szwendały się jakieś ciemne typy, a ona wodziła rej pośród tych mętów. Wódka lała się strumieniami. Od czasu do czasu żona któregoś „adoratora” wpadała do niej i urządziła awanturę. Krzyki słyhać było na całej ulicy. Jednym słowem, pośmiewisko i wstyd.

Marianna bardzo chciała zrozumieć, co z tą Honorką się stało. Dlaczego tak się zachowuje. Sama nie mogła zmiarkować, a z pasierbicy trudno było coś wyciągnąć. Któregoś dnia jednak przysłała do macochy na lekkim rauszu i język sam jej się rozwiązał.

Opowiedziała wszystko po kolei, jak to z Czaplinka pojechała do wsi, w której mieszkał Lucek, bo wcześniej udało jej się ustalić, gdzie szukać tej Lipówki. Chciała odebrać Marcelka. Pomyślała, że może to zagłuszy rozpacz po stracie Antoniego. Bo i o nim co nieco Mariannie opowiedziała. Napodróżowała się, ale wreszcie dotarła na miejsce. Ludzie wytłumaczyli, którędy trafić do Lucka. Grzęznąć po kostki w sypkim piachu, szła wolno we wskazanym kierunku. Mijała domy z pruskiego muru, niektóre ledwo trzymały się kupy, widać mieszkańcom nie bardzo na nich zależało. Dotarła do zagrody wyglądającej, w porównaniu z innymi, całkiem dostatnio. Zatrzymała się przy furtce, bo uwiązane przy budzie wielkie psisko zaczęło głośno ujadać i szarpać się na łańcuchu. Już miała zawołać, żeby ktoś psa uspokoił, gdy usłyszała donośny kobiecy głos:

– Marcelek, a zobacz, kogo tam Pan Bóg prowadzi?

Z sieni wybiegł jej syn. Ledwo go poznała. Wyrósł, twarz miał opaloną, a włosy tworzyły rudą wiechę. Pięścią pogroził psu.

– Do budy, do budy, a poszedł! – Spojrzał na gościa i oczy mu zabłyśły.

– Mama? – wykrzyknął. – Mama! – powtórzył z niedowierzaniem. Podbiegł do Honorki i rzucił jej się na szyję. Przytuliła go.

– Jak nas tu mamusia znalazła, taki świat drogi od Skierniewic.

– Mam swoje sposoby. – Machnęła ręką. – Aleś ty, synu, duży! Przerosłeś mnie! Prawdziwy z ciebie chłop. – Popatrzyła w jego roześmiane oczy. – Przyjechałam po ciebie, zbieraj swoje rzeczy i idziemy na stację.

W tej chwili przez uchylone wrota stodoły wyjrzał Lucek.

– Jakie jedziemy, kto ma jechać? Marcel nigdzie się nie wybiera. On tu mieszka, tutaj jest jego dom.

– Lucek, nie chcę z tobą zwady, pieniądze, co sobie wzięłeś, to wzięłeś, ale dziecka ci nie dam.

Z domu wybiegł nieduży chłopczyk i przytulił się do nogi Lucka.

– Uciekaj do mamy, muszę załatwić ważną sprawę.

– Ale tata nie odda Marcelka tej pani?

– Tata? Jakiegoś bękarta chowasz?

– To mój syn. Mój i Łodzi. To moja rodzina. Chcę być z nimi, dokąd Bóg pozwoli. Ksiądz już pobłogosławił nas w kościele. Wolny byłem, to mogłem Łodzię za żonę wziąć. I tak dosyć wycierpiała, biedula, zanim do niej wróciłem. Ludzie na języki ją wzięli, że chłopca nie ma, a o dziecko się postarała. A ty jedź do domu, nic tu po tobie. Marcelka ci nie oddam i nie ma siły, żebyś mi go odebrała. Idź już, i tak za długo z tobą gadam. Idź, bo psem poszczuję! – zakończył ze złością.

Honorka nie zwracała uwagi na słowa Lucka.

– Synku, jedź ze mną. Takie samo mam prawo do ciebie jak ojciec, ale matka przecież ważniejsza – mówiła spokojnie, choć z trudem tłumiała wściekłość.

Chłopiec zmarszczył brwi i zastanawiał się, jak wytłumaczyć matce, że jest mu dobrze, że żyją spokojnie, pracują, że chodzi do szkoły, że cieszy się z małego Zenusia. Tęsknił trochę za Różyczką, ale jak będzie starszy, to pojedzie do Skierniewic, żeby ją, no i oczywiście matkę, odwiedzić. Nie umiał znaleźć właściwych słów, więc spuścił głowę i wymamrotał:

– Teraz tu jest mój dom, przy tacie.

Honorka oparła się o płot i zaczęła płakać. Po chwili odwróciła się i wolno, noga za nogą, ruszyła piaszczystym traktem w stronę kolei. Na chwilę odwróciła głowę. Marcel stał, patrzył na nią smutno i machał podniesioną ręką.

W przydrożnej gospodzie wypita dwie setki wódki, humor się jej trochę poprawił. W pociągu było ciasno, z trudem znalazła siedzące miejsce. Ulokowała się między dwiema grubymi kobietami, przymknęła powieki. Natychmiast ostatnie wydarzenia zaczęły się przesuwać przed jej oczami. Najpierw Antoni i awantura, zimna kąpiel w jeziorze, kilka dni spędzonych u Dziuni, wreszcie smutna, a może tylko zamyślona twarz Marcelka. Stukot kół ją ukołysał, wódka zrobiła swoje i Honorka zapadła w ciężki sen.

– Wie mama – ciągnęła swoją opowieść – dojechałam do tych Skierniewic jak nieżywa. – Popatrzyła na Mariannę. – Wszystko wzięło w łeb. Nie mam po co żyć. Już mi na niczym nie zależy. Tylko wódka została.

– Honorka, bój się Boga, przecież dziecko masz. Pracować musisz, na chleb dla siebie i Różyczki zarobić. Będziesz piła, to jak nic wyrzucą cię z roboty. I co wtedy? Na mnie nie licz, wiesz, jaką mam małą emeryturę, dosłownie grosze, a przecież Marysię muszę utrzymać, szkół jeszcze nie pokończyła.

– Matka, nie martw się o mnie – przerwała jej hardo – ludzie pomogą,

umrzeć z głodu nie pozwolą.

– Doczekasz ty się ludzkiej pomocy! Dokąd stawiasz i do łóżka wpuszczasz, to cię znają. A jak będziesz w potrzebie, figę pokażą!

Honorcka podniosła się z krzesła i zataczając się, podeszła do drzwi.

– Ty się, matka, tak o mnie nie martw. Żyłam do tej pory bez twojej pomocy, to i dalej pożyję.

Trzasnęła drzwiami, a Marianna ręce załamała. Co za niewdzięcznica. Już nie pamięta, ile razy jej pomogła. I co? Znowu musi. I nie o Honorckę tu chodzi. Zaopiekuje się dzieckiem, bo inaczej mała zejdzie na psy, jak tamta. Weźmie Różyczkę do siebie, przecież ona niewinna, że ma matkę lafiryndę.

ROZWÓD WANDZI

Pierwszy raz w życiu Marianna była w sądzie. Siedziała przestraszona i bardzo zawstydzona. Toczyła się sprawa rozwodowa Wandy. Ile brudów, ile paskudnych rzeczy zostało wyciągniętych na światło dzienne. Myślała, że zna swoją córkę, a dopiero tutaj, przy ludziach, dotarło do niej, co ta dziewczyna wyprawiała.

Stasiek nie żałował sądowi barwnych szczegółów. Opowiadał, jak to nieraz przychodził do nich jakiś kumpel, popili razem, a potem Wanda zaczynała swoje sztuczki. Uwodziła tamtego, łąsiła się, głaskała, mówiła różne nieprzyzwoite rzeczy, aż chłopą skołowała. A potem taki tylko czekał, żeby męża nie było w domu, i wtedy – szkoda mówić, co się działo. Stasiek początkowo robił awantury, nawet zbił żonę na kwaśne jabłko, ale nie zdało się to na nic. Czy można z taką wytrzymać? Mówił i mówił, a Marianna mało nie zapadła się pod ziemię.

Potem sąd zapytał Wandę, czy to, co zeznał jej mąż, jest prawdą. A ona, jak ta głupia, powiedziała, że jeżeli jej kochany Stasio tak mówi, to pewno prawda. Ale ona nic na to nie może poradzić, chociaż Stasia bardzo kocha i może nawet przysiąc, że próbowała żyć inaczej. Ale jak zobaczy obcego chłopą, to coś się z nią dziwnego dzieje. Chyba to jakaś choroba.

Sędzia pokiwał głową i powiedział z drwiącym uśmieszkiem, że najwygodniej takie postępowanie nazywać chorobą. Sprawa zakończyła się szybko, bo nie było do podziału dzieci ani majątku. Sąd orzekł rozwód z powodu niemoralnego prowadzenia się żony.

Wanda ze spuszczoną głową wyszła z sali.

– Mamusiu, co teraz? – nieśmiało zapytała matkę. – Co ze mną będzie? Stasio mnie już nie chce.

– Teraz o tym pomyślałaś? – mruknęła Marianna.

Wanda zaszlochała.

– Gdzie ja się podzieję?

– Żyłaś jak dziwka, to idź do jakiegoś burdelu, tam ci będzie najlepiej.

– Marianna nie mogła pohamować języka.

– Mamo, ja naprawdę nie wiem, dlaczego taka jestem. Chciałam dobrze.

Może to rzeczywiście jakaś choroba, pomyślała Marianna. I nagle przypomniała sobie wypadek z koniem i ataki Wandzi. Zastanowiła się. Przecież to jej córka. Nie może pozwolić, żeby mieszkała na ulicy.

– Już nie becz. Chodź ze mną.

Wanda chwyciła rękę matki i przycisnęła do ust.

W mieszkaniu Marianny znowu zrobiło się ciasno. Mimo że spore, ale przecież jedno pomieszczenie pełniło funkcję sypialni, jadalni, a także kuchni. No i wydzieliły kącik, gdzie można było się umyć i wysuszyć w razie nagłej potrzeby. Cztery lokatorki, to znaczy: Marianna, Wanda, Marysia i najmłodsza z nich, Różyczka, nie miały więc łatwego życia. Nic dziwnego. W takiej ciasnocie dochodziło czasem do napięć i zadrażeń. Trudno było odrabiać lekcje, czytać książkę albo skupić się nad jakąś robotą. Czasem wprost nie dało się wytrzymać, ale trafiały się też chwile pełne serdeczności.

Pomieszkiwała także u nich Tereska, córka Feli, na śmierć i życie zaprzyjaźniona z młodszą o dwa lata Różyczką. Całymi dniami przesiadywała u babki, bo Fela zaczęła pracować i Teresce smutno byłoby siedzieć w pustym mieszkaniu.

Przychodziły też inne dziewczynki. Odrabiały lekcje, szyły sukienki dla lalek, śpiewały. Czasem prosiły Mariannę, żeby nasmażyła im placków. Nie miała w nadmiarze smalcu, nawet z ziemniakami bywało krucho, ale smażyła, bo lubiła patrzeć, jak jedzą z apetytem, parząc sobie usta.

Wanda z niezadowoleniem spoglądała na te poczęstunki. Mruczała pod nosem, że jedzenia nie ma, a matka obcym rozdaje i jeszcze się z tego cieszy. Marianna odpowiadała, że to nie jej interes, że zawsze lubiła częstować ludzi, czym miała, a Wanda, dopiero jak zacznie pracować i zarabiać pieniądze, to będzie mogła się wtrącać do domowych spraw. Tymczasem niech cicho siedzi, bo przecież jest na garnuszku u matki.

Do Marysi przychodziły koleżanki. Choć wszystkie pokończyły już szkoły i każda gdzieś pracowała, często się spotykały, by poopowiadać sobie o najnowszych wydarzeniach i chichocząc, zwierzać się z sercowych przeżyć. Gawędziły o randkach, spotkaniach, pierwszych pocałunkach, tylko Marysia nie wspominała o swoim Tadziku. Tak go nazywała w myślach. Od jakiegoś czasu chodzili we dwoje na spacer, choć nie miała zbyt dużo czasu. Pochłaniała ją praca, podchodziła do niej poważnie, jak zresztą do wszystkiego, co robiła i mówiła. Za to Tadzik był trochę postrzelony i bardzo wesoły. Jego szare oczy skrzyły się uśmiechem. Potrafił rozbawić nawet Mariannę. Dziewczyna dziwiła się, że matka patrzy na chłopaka z taką pobłażliwością. Nie wiedziała, że przypadł jej do serca, bo przypominał Michała, pierwszego męża, którego nigdy nie przestała kochać.

Sąsiadki przygadywały Mariannie, że u niej jak w przechodniej bramie, ciągły ruch, tylu młodych się kręci, ale nie zważała na te przytyki. Bardzo się ostatnimi czasy zmieniła. Gdzie się podziała tamta surowa i wiecznie smutna kobieta? Posiwały jej włosy, ale na twarzy często pojawiał się uśmiech. Lubiała słuchać, o czym młodzi mówią, z czego żartują, jakie mają plany. Czasem nawet

włączała się do ich pogawędek.

Często myślała o Jasiu. Dostawała od niego krótkie liściki. Początkowo pisał nieporadnie, a adres wypisywała czyjaś dorosła ręka. Z czasem litery stały się równiejsze, a listy dłuższe. W ostatnim zapowiadał, że chyba wkrótce wróci z wujostwem do kraju i wtedy na pewno odwiedzi Mariannę, bo nadal ją kocha i wciąż wspomina spędzony u niej czas. Rozczulił ją. Kochany chłopak. Przecież był taki nieduży, kiedy wyjechał do Anglii. Teraz skończył już dziewiętnaście lat! I nadal o niej myśli.

Wzięła do ręki zdjęcie Jasia. Śliczny chłopak z niego wyrósł, miał czarne, bystre oczy, ciemne brwi i gęste, zaczesane do góry włosy! Był bardzo podobny do babki Julii, a więc i troszkę do niej. Pomyślała, że pewno tak wyglądałoby jej synowie. Zadumała się, łzy popłynęły jej z oczu. Biedne dzieci i ona biedna.

Skrzypnęły drzwi. Marianna szybko otarła oczy. Po co ktoś ma widzieć, że płacze. Do mieszkania wpadła jak bomba Wanda.

– Słyszała mama? Chłopaków wypuścili.

– Jakich chłopaków?

– No, tych, co siedzieli za broń. I Janek gospodyni, i Rysiek już są. Rysiek jest całkiem siwy, a przecież niewiele starszy ode mnie. Musieli im tam nieźle do wiwatu dawać.

– No, więzienie to więzienie. Po głowie nikogo nie głaszczą. Ale sami sobie winni. Jak trzeba było po wojnie broń zdać, to nie zdali. Partyzantki im się zachciało! A potem, kiedy przyszła bezpieka i znalazła pistolety i naboje, nie było zmiłuj. Młode to i głupie. Ale wyroki surowe dostali. Tyle lat za kratami. Szkoda ich młodego życia.

– Dobrze, że Rysiek wrócił. Zawsze mi się podobał, a teraz, z tą siwizną, to wygląda jak artysta filmowy!

– Tobie zawsze jedno w głowie. Lepiej nie gadaj byle czego, tylko idź wody przynieś.

– Bo mama tej wody bez umiaru wylewa. Nie nastarczam nosić.

– Tyle wylewam, ile potrzeba, zawsze ci źle.

Wanda chwyciła wiadro i wybiegła. Marianna popatrzyła przez okno na jej zgrabną figurę i rozwiane włosy. Niczego dziewczyna, a właściwie to już kobieta, do trzydziestki niewiele jej brakuje. Powodzenie u chłopów ma, a jakoś życia sobie ułożyć nie może. Który by ją zresztą teraz za żonę chciał. Ślubu w kościele nie weźmie, dzieci ze Staśkiem nie miała, może niezdatna. Każdy by tylko zabawił się i rzucił. Z córkami same kłopoty. Całe życie.

Odkąd zaczęło przygrzewać kwietniowe słońce, Rysiek siadywał na ławce naprzeciw okna Marianny. Widziała jego pochylone plecy, białe włosy i smutną

twarz, tak smutną, że na jej widok aż się serce ścisnęło.

Wanda ciągle patrzyła na niego. Stawała przy oknie i przyglądała mu się w milczeniu. Od czasu do czasu wzdychała i ukradkiem ocierała łzy.

Któregoś dnia nie wytrzymała. Szybkim krokiem wyszła z mieszkania i usiadła na ławce obok Ryśka. Delikatnie dotknęła jego ręki. Siedział dalej bez ruchu, ale ręki nie cofnął. Coraz to któraś sąsiadka przechodziła tamtędy i spoglądała na nich z zaciekawieniem. Wanda wróciła do domu, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi. Była dziwnie spokojna i milcząca. Odtąd codziennie, jeśli tylko nie padało, siedzieli godzinami obok siebie, niewiele mówiąc. Marianna burczała na Wandę, że czas traci, że powinna roboty szukać, że głowę sobie zawraca tym Ryśkiem, a i tak nic z tego nie będzie.

Córka nie reagowała na jej zrzęczenie. Chodziła z głową w chmurach, jakby ją coś zaczarowało. Wieczorami też zaczęła znikać na długie godziny, a na uwagi matki, że znowu wpadnie w kłopoty, wzruszała ramionami i mruzczała pod nosem, że ma swoje lata i wie, co robi.

Któregoś dnia oświadczyła, że dogadali się z Ryśkiem i chcą wziąć ślub. Oczywiście cywilny. Jest przecież rozwódką, a kościelnego rozwodu nie da się przeprowadzić. Trzeba by na to majątek wydać.

– I Rysiek się zgadza, żeby żyć z tobą na kocią łapę? – nie wytrzymała Marianna.

– Nie na kocią. Przecież ślub weźmiemy! W magistracie. Teraz inne czasy. On się dosyć nacierpiał, chce mieć wreszcie dom i trochę spokoju.

– I akurat ty mu dasz ten spokój? Nie wie chłopak, w co się pakuje! A jego matka? Zgadza się? Taka jest pobożna. A on wie, co ty wyprawiałaś?

– O wszystkim mu powiedziałam. O wszystkim! To anioł, nie człowiek. Powiedział, że to, co było, jest nieważne. Że różnymi drogami ludzie idą, żeby się odnaleźć. On w tym więzieniu bardzo dużo myślał. Mamusiu, on jest taki mądry! I jeszcze powiedział, że mnie kocha – dodała cicho. – I nie ma przeszkód, żebyśmy się pobrali, a zaraz po ślubie wyjedziemy do Marty. Tu plotkary nie dałyby nam żyć.

– Co wy tam będziecie robić? Za co jedzenie kupicie, gdzie zamieszkacie?

– Jakoś to będzie!

Marianna prychnęła lekceważąco. Nic a nic tej Wandzie rozumu nie przybyło. Najłatwiej powiedzieć: „jakoś to będzie”. A jak dziecko na świat przyjdzie, albo i dwoje, to co wtedy? W Skierniewicach zawsze miała w matce oparcie. A tam, gdzieś w świecie?

Boże, Boże, ale mi dałeś dzieci, pomyślała z goryczą.

Niewiele było przygotowań do tego ślubu. Marianna wciąż powtarzała, że

ślub to Wanda już miała, a teraz to tylko podpisze papierek na spanie z Ryśkiem w jednym łóżku. Ciągle dokuczała córce i wypominała jej różne wybryki. Wanda jakby nabrała wody w usta. Wcale się nie odzywała. Chcąc zarobić trochę pieniędzy, zaczęła pomagać Feli przy szyciu. Wiedziała, że na Rysia nie może liczyć, przecież on po tym więzieniu nie znajdzie żadnej roboty. No, może jakąś fizyczną, ale do tego był za słaby. Matka Rysia też nie pomoże, bo jest przeciwna ich ślubowi. Nie chce nawet słyszeć o takiej synowej.

Ślęczała więc Wanda nad igłą, a kiedy zaczynało ją to nużyć, myślała o Rysiu. Słyszała jego słowa, czuła, jak ją delikatnie przytula, i zaraz odzyskiwała zapał do pracy. Fela nie mogła się nadziwić – siostra wydawała się zupełnie inna. Znikła cała jej płochosć i beztroska. Była wreszcie dojrzałą kobietą. Może znalazła wreszcie swoje przeznaczenie?

Urząd stanu cywilnego mieścił się w magistracie, w niewielkim pokoiku. Pracowały tu oprócz kierownika jeszcze dwie urzędniczki. Spoglądały obojętnie na młodą parę. Dla nich to nie było nic specjalnego. Każdej soboty przychodziło tu po kilka par, bo każda, nim zawarła ślub w kościele, musiała się zarejestrować w USC, to znaczy w urzędzie stanu cywilnego. Pokój wyglądał ponuro, a siąpiący za oknem drobny deszczyk potęgował wrażenie smutku. Nie było kwiatów ani gości, tylko dwoje świadków – Marysia i Sylwek, brat Ryśka. Młodzi byli skromnie ubrani. On w garniturze sprzed aresztowania, a więc mającym ładnych parę lat, ona w prostej garsonce, bez ślubnego bukietu, bez jednego kwiatka.

Złożyli przyrzeczenie, że na zawsze, do śmierci, wymienili obrączki z tombaku, kupione przez Wandę. Potem wrócili do domu. Marianna przygotowała obiad. Przyszła Fela i Sylwek. Matka Ryśka odmówiła udziału w tym wstydzie i hańbie, jak mówiła o ślubie syna. Razem z domownikami było zaledwie kilka osób. Młodzi siedzieli zapatrzeni w siebie, przytuleni. Wieczorem podziękowali Mariannie, ucałowali jej ręce, wzięli niewielkie walizeczki i poszli na dworzec.

Jak im się ułoży w życiu, myślała Marianna, zmywając naczynia. Taka dziwna para. On przygnębiony, złamany więzieniem. Ona – do niedawna trzpiot i latawica, teraz niespodziewanie przeobrażona w poważną, stateczną mężatkę, zapatrzoną w Rysiowe oczy. A może im się poszczęści, kto to wie! Będzie, jak Bóg da.

Kilka dni po ślubie Wandy listonosz przyniósł dwa listy. W pierwszym Wanda pisała, że dotarli do Czaplinka szczęśliwie, Marta i Romuś serdecznie ich przyjęli i obiecali pomóc. Nie mogła się ich nachwalić, jacy są dobrzy i dzieci mają śliczne! Teraz oboje z Rysiem szukają jakiejś pracy, a jak znajdą, to znowu napisze.

Drugi list wyglądał dziwnie. Były na nim jakieś obce znaczki i kilka napisów w innym języku. Marianna długo ważyła kopertę w ręce. Od kogo to może być? A może lepiej nie otwierać? Odłożyła list na stolik. Dopiero Marysia po powrocie

z pracy bez wahania rozerwała kopertę. Spojrzała na podpis.

- Mamusiu, to od jakiegoś Stefana!
- Od Stefana! Boże drogi, to czytaj, czytaj! Od Stefana... – Ręce zaczęły jej drzeć z emocji. – To twój brat przyrodni. Tak dawno wyjechał! Co on pisze?
- Pamiętam, jak mamusia opowiadała o nim i jego Regince. Już czytam.

Droga Mammy

- Co on, po angielsku do mamusi się zwraca? Zapomniał języka?
- ze zdziwieniem i zgorszeniem powiedziała Marysia.

Ja dawno nie pisał. Los rzucił po świecie. Był ja u Niemców, potem w USA. Przejechał ja kawał świata i teraz żyję w Kanadzie. Mam tu kobietę. Nazywa się Ann. I dziecko. Małego Johna. Wysyłam zdjęcie syna. Ma 5 lat. Długo tu nie będziemy. Chyba znów pojedziemy do USA. Na razie nie wysyłam wam mój adres, bo jeszcze nie wiem, jaki on może być. Jak się na dobre zasiedzimy, to napiszę. Ciekawy jestem, co u was, jak żyjecie.

Ściskam wszystkich, a najwięcej mamusię. Stefan

Marianna wyjęła z koperty zdjęcie. Stefan! Ale jaki odmieniony. Przerzedziły się te jego piękne włosy. Na twarzy widać zmarszczki, a na lewym policzku dużą szramę. Obok stoi przytulona do jego ramienia ładna, młoda kobieta i trzyma za rękę chłopczyka, jak to Stefan napisał? Johna! Co to za imię, cudzoziemskie jakieś. Może i ta kobieta nie jest Polką. Chyba to nie żona, przecież żyje Regina. Biedna ona, ni to mężatka, ni wdowa. Może Stefuś wiarę zmienił, żeby się ożenić? Boże broń od tego! Tak mało napisał, tak krótko. Niewiele z jego listu można się dowiedzieć. Chyba trzeba będzie Reginie dać znać, że jej mąż wreszcie się odnalazł. Tylko czy on jeszcze jest jej mężem?

Marianna podparła ręką głowę. Przymknęła oczy. Jaki to był dobry chłopak. Jaki posłuszny. Zawsze ją szanował. Nie tak jak ta Honorka, co jej tyle krwi napsuła i dalej psuje. Ale teraz to już chyba na dobre przepadł. Ta Ameryka przecież na drugim końcu świata! Ot i nowe zmartwienie. Ale dzięki Bogu żyje, odnalazł się w końcu.

Wieczorem dłużej niż zwykle odmawiała pacierze. Marysia i Różyczka klęczały obok i nie mogły się doczekać, kiedy będą mogły podnieść się z kolan i położyć do łóżka. A Marianna dziękowała Bogu, że odnalazł się Stefuś. Był

jeszcze mały, kiedy wyszła za Franciszka, od razu przylgnął do niej jak do rodzonej matki. Nie to co Honorka, ten antychryst! Ona zawsze się stawiała, buntowała, uciekała z domu. Tyle przez tę dziewczynę przeżyła złego. A i teraz wstyd i sromota z jej powodu. Wciąż pijana, zadaje się z jakimiś łobuzami. Szczęście, że Różyczka nic a nic do niej niepodobna. To dobre i posłuszne dziecko. Właściwie już nie dziecko, tylko podłotek, na czternasty rok jej przecież idzie. Lada chwila podstawówkę skończy. I nowy kłopot. Trzeba dla niej jakąś szkołę wyszukać, bo teraz bez nauki ani rusz. Zamyśliła się głęboko, zapomniała o pacierzu. Nagle poczuła w brzuchu okropny ból, jakby ją ktoś nożem dźgnął. Jęknęła głośno. Dziewczynki spojrzały na nią z przestachem.

Marianna chwyciła się za brzuch i znowu jęknęła. Osunęła się na podłogę.

– Mamusiu, co ci jest? Co się stało? Mamusiu, powiedz coś, powiedz!

Marysia próbowała podnieść ją z podłogi.

– Nie ruszaj mnie, tylko sprowadź jakiego lekarza. Źle ze mną.

Tamta załamała ręce. Jakiego lekarza, skąd? Nie mogła z przerażenia myśli zebrać.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę, u gospodyni jest telefon. Pobiegnę, może pozwoli zadzwonić po pogotowie. Róża, zostań z babcią.

Pogotowie przyjechało dość szybko. Lekarz dotknął brzucha i zawyrokował:

– Wyrostek, bierzemy do szpitala, trzeba operować!

– Ja wytrzymam, tylko niech mi pan doktor da coś na ten ból. – Marianna, jak usłyszała słowa „szpital” i „operacja”, otworzyła oczy i zaczęła protestować:

– Muszę być w domu, bo dziewczynki sobie beze mnie nie poradzą.

– Poradzą, poradzą, to całkiem duże panny, a pani bez operacji umrze. Chce pani tego?

– A niechby, raz kozie śmierć, tylko kto się dziewczynkami zaopiekuje!

– Dostyc gadania – zniecierpliwził się lekarz – do karetki! Noszowy!

Przed drzwiami Marianny stał cały wianuszek sąsiadek. Sanitariusz z noszami ledwo się przedostał. Za nim przepychał się drugi pielęgniarz.

– Kobity, bo nas zadusicie. Rozejść się!

Sąsiadki rozstąpiły się niechętnie, słysząc było szepty, że dopiero była zdrowa, na nic się nie skarżyła; zastanawiała się, co też się mogło stać.

Sanitariusze zadźwigali do karetki zwiniętą w kłębek Mariannę, lekarz wsiadł i pojechali. Marysia stała z pobladłą twarzą i opuszczonymi rękami.

– Biegnij, Róża, do cioci Feli. Niech szybko przychodzi, musimy się zastanowić, co dalej robić.

Operacja wyrostka robaczkowego przebiegła bez komplikacji i Marianna szybko wracała do zdrowia. Minęło kilka dni i pozwolono jej podnieść się z łóżka.

Mogła też zjeść odrobinę kleiku. Marysia biegała do szpitala z garnuszkami. Gotowała lekkie potrawy. Bardzo się starała zdążyć ze wszystkim. Trochę pomagała jej Fela, ale przecież ona też pracowała.

Wreszcie Mariannie zdjęto szwy i po długich dwóch tygodniach miała być wypisana do domu. Niestety, ostatniej nocy dostała wysokiej gorączki. Początkowo nie było wiadomo, z jakiego powodu. Po badaniach stwierdzono, że trzeba brzuch otworzyć i sprawdzić, co jest nie tak. Marianna musiała zostać w szpitalu. Okazało się, że na jelicie powstał ropień i trzeba spory fragment usunąć. Było z nią całkiem źle. Lekarze kiwali głowami, że serce już nie takie, nie wiadomo, czy to wszystko wytrzyma. Marysia płakała. Błagała, żeby matkę ratowali. Po tygodniu od zabiegu kryzys minął. Ku zaskoczeniu lekarzy, Marianna zaczęła szybko zdrowieć. Wreszcie mogli wypisać ją do domu, tym razem naprawdę. Odjechała ze szpitala dorożką, jak jakaś pani.

Była jednak bardzo słaba. Ledwo udało jej się przejść kilka kroków od dorożki do mieszkania, choć Marysia ją podtrzymywała. Kiedy weszła do środka, jednym spojrzeniem omiotła wnętrze i natychmiast zauważyła kurz na stoliku, pozostawiony na kuchni nieumyty garnek, jakieś rzeczy rozwieszony na krześle, jednym słowem, okropny bałagan.

– No i co, nie chciało się dziewczynkom sprzątać! Jak mnie nie ma, to hulaj dusza. Ładnie to tak? Nie wstydzicie się tego brudu?

– Mamusia się nie denerwuje, jeszcze mamusi zaszkodzi. Zaraz posprzątamy. Łóżko gotowe, może się mamusia położyć.

– Tak, babciu, najlepiej się położyć, bo jeszcze szew się rozejdzie i będzie trzeba nową operację robić.

– A ty, Różyczka, skąd to wszystko wiesz? Ot, smarkula, będzie mnie tu straszyc!

Jednak bez protestu pozwoliła się ułożyć na pościeli, a po kilku chwilach, zmęczona drogą, choć przecież nie szła piechotą, tylko jechała dorożką, zasnęła.

Marianna powoli wracała do zdrowia. Tak się wszystkim zdawało. Ona jednak wiedziała, że nie ma tyle siły, co przed operacją. I chwilami coś ją w brzuchu pobołowało. Mówiła, że człowiek po takim „naprawianiu” jest jak pęknięty garnek, który po zlepieniu nigdy nie będzie już jak nowy. Od czasu do czasu na jej twarzy pojawiał się grymas bólu. Niekiedy miała zawroty głowy, wróciły też migreny, które od wielu lat jej nie dokuczały. Kładła na głowę kompresy, piła jakieś ziółka, ale niewiele to pomagało. Często też czuła ból w okolicy serca, które biło nierówno i przyspieszało bez powodu. Doszła do wniosku, że to starość i po prostu trzeba się z tym pogodzić. Nadrabiała jednak miną, nie dawała się. Zawsze była pobożna, a teraz modliła się jeszcze gorliwiej.

Codziennie chodziła na mszę.

Sprzątała, gotowała i jak dawniej musztrowała dziewczynki. Tereska czasem trochę się buntowała. Miała przecież siedemnaście lat, była w liceum, a babcia traktowała ją jak dziecko. Wciąż powtarzała: „Nie garb się”, „Przekładaj teczkę do lewej ręki, bo będziesz miała krzywe ramię”, „Nogi stawiaj prosto”. Teresa nie lubiła takiego gadania, Różyczka zresztą też. Podśmiewały się po cichu z tej musztry.

Tereska wyrosła na śliczną panienkę. Czarne, wesołe oczy i piękny warkocz dodawały jej uroku. Uśmiechnięta twarzyczka była miła i pełna wdzięku. Matka dbała o nią, stroiła w miarę swych skromnych możliwości, a że była krawcową, z byle kawałka materiału szyła zgrabne sukienki i bluzeczki. Kiedy po powrocie ze szkoły Teresa zdejmowała noszony obowiązkowo fartuch z białym kołnierzykiem, koleżanki podziwiała jej szykowną garderobę i trochę jej nawet zazdrościły.

Tego dnia, a była to jedna z kwietniowych sobót, ubrała się z niezwykłą starannością. Wiedziała, że babcia czeka na Jasia, który już wcześniej zapowiedział swoją wizytę. Pięknie wyglądała w tej kremowej bluzce z falbankami przy szyi i spódniczce w szkocką kratę. Zastanawiała się, jaki ten Jaś jest. Widziała jego zdjęcie, ale na zdjęciu, wiadomo, jak fotograf odpowiednio podretuszuje, każdy jest ładny. Gdy wchodziła do mieszkania babci, serce jej biło mocniej.

Jaś siedział przy oknie, naprzeciw zapatrzonej w niego jak w obrazek Marianny. Mówił coś z ożywieniem. Kiedy weszła Teresa, obrzucił uważnym spojrzeniem jej zgrabną postać, podniósł się i podszedł do niej szybkim krokiem. Boże, jaki on piękny, piękny i elegancki, pomyślała Teresa w ułamku sekundy. Ujął jej rękę i złożył na niej szarmancki pocałunek.

– Witam kuzynkę. Masz na imię Teresa – ni to stwierdził, ni zapytał. – A ja jestem Jan Jarzębski.

Teresa zarumieniła się, szybko wysunęła dłoń i schowała za siebie.

– Chodź, Tereska, siadaj i słuchaj, jak Jasio opowiada o tej Anglii. Aż dziw, jak tam ludzie żyją! Całkiem inaczej niż u nas. Inna mowa, inne pieniądze, nawet jak ważą towar, to jakoś inaczej. Mów dalej, chłopcze. A jak ci tam było? To chyba musiałeś się nauczyć mówić po ichniemu?

– Nie było rady. Do angielskiej szkoły przecież chodziłem.

– O mój Boże, to oni cię na swojego chcieli przerobić?

– Nie, nie! Wujostwo, zwłaszcza wuj Edmund, bardzo dbali, żebym naszej mowy nie zapomniał i akcentu obcego nie miał. Teraz może mi się angielski przydać, bo moda na niego nadchodzi. Pół świata po angielsku mówi. Do niedawna w dyplomacji francuski obowiązywał, a teraz już nie.

– Jakiś ty, Jasiu, mądry!

– Och, babciu, nie przesadzaj, jaki tam mądry, jeszcze przecież uczelni nie skończyłem. A studiuje handel zagraniczny. Przyszłościowy kierunek. Można mieć

po nim dobrą pracę... i wysoko płatną – dodał po chwili.

– To ile ci jeszcze tej nauki zostało?

– Tylko obrona pracy magisterskiej i już, a potem się zobaczy. Może dalej nauka, a może jakaś praca. Tymczasem o tym nie myślę. Najpierw magisterium!

Tereska siedziała zasluchana. Jednego słowa nie powiedziała, tylko od czasu do czasu podnosiła oczy i nieśmiało spoglądała na Jasia, a wtedy on zaczynał się lekko rumienić.

– To wy sobie porozmawiajcie, a ja zrobię coś do jedzenia, pewno głodny, Jasiu, jesteś.

– To może placki z kartofli, tak je lubię, a nikt takich dobrych jak babcia nie smaży.

Marianna uśmiechnęła się ciepło.

– Pamiętasz?

– No, pewno!

– To może idźcie z Tereską pospacerować po mieście, a ja tu wszystko przyszykuję.

Szła obok niego, patrząc na znane ulice, wyboiste bruki, rozwalające się drewniane domy. Nigdy dotąd nie zwróciła uwagi, jakie to miasteczko jest brzydkie. Teraz jakby się zawstydzila, że Jaś, przyzwyczajony do londyńskich luksusów, idzie obok i widzi tę marność. Ale on nie patrzył na domy. Jego uwagę zaprzętała ona. Kiedy doszli do kościoła, odetchnęła. To przecież stary i piękny kościół, można się nim pochwalić. Podobno tylko kilka w Europie zbudowano tak jak ten, że nie ma naw i jest okrągły.

– Wejdziemy? – zapytała nieśmiało.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział machinalnie.

Bez większego zainteresowania spojrzął na piękny żyrandol, ołtarz i znów popatrzył na Teresę. Była speszona jego wzrokiem. Z ulgą wyszła na ulicę. Ruszyli Senatorską w kierunku parku. Jaś nadal nie spuszczał z niej oczu.

– To rzeczywiście oryginalna budowla – powiedział bez przekonania.

– Chodzisz jeszcze do szkoły? – zainteresował się.

– Tak, do liceum.

– A kiedy matura?

– W przyszłym roku.

Rozmowa się urwała. Rozmowny zazwyczaj Jaś zamyślił się, Teresa też nic nie mówiła. W milczeniu doszli do domu. Na stole stał już talerz pełen parujących placków.

– Babciu, aż tyle nasmażyłaś. Ale pachną! Na podwórku już czułem ten boski aromat. Zjem chyba wszystkie. Nie, nie wszystkie, podzielę się z Teresą.

– Jedz, jedz, jeszcze się smaży. Starczy dla ciebie i Teresy, i dla Róży jeszcze zostanie.

Marianna podała talerzyki i widelce, ale Jaś, z przepaszającym uśmiechem, chwycił placek palcami, syknął, bo się oparzył, jednak natychmiast się roześmiał i zaczął zajadać z apetytem. Tereska poszła w jego ślady. Spoglądali na siebie coraz śmielej.

Było im jakoś lekko i radośnie.

Tereska wpadła do domu jak bomba. Fela siedziała przy szyciu, bo mimo że miała stałą pracę, to pieniędzy wciąż brakowało i jeśli tylko trafiła się klientka, skwapliwie korzystała z okazji. Dobiegała dopiero czterdziestki, ale wyglądała o wiele poważniej. Jej twarz porały zmarszczki, w kruczonych włosach lśniły srebrne pasemka. Najwięcej lat dodawały jej oczy, smutne i przygaszone. Podniosła głowę znad roboty i z ciepłym uśmiechem spojrzała na zarumienioną twarz córki.

– Mamusiu, jaki ten Jaś jest wspaniały, a jaki przystojny. A ubrany! Dosłownie jak lalka. I byliśmy na spacerze, i rozmawialiśmy. Mamusiu, tak mi jakoś radośnie, chce mi się śpiewać i tańczyć! Widziały nas dziewczyny. Jutro nie dadzą mi żyć, z kim to ja tak paradowałam!

Fela popatrzyła uważniej na Tereskę. Więc to już? No tak, przecież poznała Kaziczka, jak miała jej lata. Mój Boże, westchnęła ciężko. Tak się kochali. Los sprawił, że została sama. Kazia przygniótł wielki kłoc i mimo że go w szpitalu ratowali i operację zrobili, nie uratowali. Na wspomnienie chwili, gdy zobaczyła go bladego, cierpiącego, łzy zakręciły jej się w oczach. Odkąd go zabrakło, wszystkie kłopoty spadały na jej głowę. Ciężko jej. I pusto. Jedyłą jej pociechą była Tereska, bo Halinkę też Pan Bóg zabrał. Zachorowało biedactwo na krup, nie było ratunku. Fela wciąż nie mogła się pogodzić ze stratą męża i córeczki. Jak trudno żyć po takim nieszczęściu!

– Mamusiu, mnie jest tak dobrze, tak wesoło, a ty znowu płaczesz? Przecież to już tyle czasu!

– Dziecko, mnie nigdy nie minie ten żal, smutek i te łzy. Ale ty nie patrz na mnie, jesteś młoda, życie przed tobą, oby było lepsze niż moje. Opowiadaj, co z tym Jasiem?

Teresce oczy błyszczały, gdy mówiła o chłopaku.

– I wiesz, mamusiu, na pożegnanie powiedział, że napisze, i w rękę mnie pocałował. Ale się zawstydziałam. Co to będzie, jak przyjedzie znowu? A jak zechce przyjść do nas? Jak go przyprowadzić do naszego mieszkania? Tak tu szaro i biednie.

– Jeśli będzie patrzył na mieszkanie, a nie na ciebie, to nie warto sobie nim głowy zawracać. Jesteśmy biedne, ale nie mamy się czego wstydić. Pracowaliśmy z twoim ojcem uczciwie, jednak biedacy rzadko dorabiają się majątku i czasy były

ciężkie. A jak odszedł tata i Halinka i zostałyśmy we dwie, to sama wiesz, jak było, na chleb ledwo starczało. Nie martw się, wiele innych mieszkań wygląda tak samo jak nasze. A zresztą, co ty sobie głowę zawracasz! Czy to on jeszcze kiedy przyjedzie?

Tereska posmutniała.

PRZEMIANA

Ocknęła się z męczącego snu. Śnił jej się Antoni. Stał w tym swoim biurze i z twarzą wykrzywioną złością wskazywał jej drzwi. Otworzyła jedno oko. Koło niej, na podłodze, głośno chrapało dwóch facetów. Poczowała mdłości. Podniosła się z trudem, obolała od twardych desek. Chwiejnym krokiem wyszła do kuchni. Ze wstrętem popatrzyła na bałagan, resztki jedzenia, opróżnione butelki. Mdłości się nasiliły. Ledwo zdążyła dojść do stojącego w kącie wiaderka.

Po żadnej libacji nie czuła się tak źle. Słaba, spocona, padła na krzesło i przymknęła oczy. Nagle poczuła ostry ból. Jęknęła głośno. Po chwili znowu zabolęło, i to o wiele mocniej. Honorka zaczęła krzyczeć, wołać o pomoc. Z pokoju wyrzała rozczochna głowa Bobka.

– Czego się drzesz? Zwariowałaś? Łeb mi pęka.

– Wołaj lekarza! Nie wytrzymam! Szybko! Umieram!

– Prześpij się, to ci przejdzie – ze spokojem zawyrokował Bobek.

– I zamknij się, zdiro, bo spać nie dajesz!

Podniósł mętny wzrok i zobaczył zwiniętą w kłębek Honorkę z bladą, mokrą od potu twarzą. Oprzytomniał i głośno zawołał kumpla:

– Genek, wstawaj, coś tu śmierdzi, spieprzamy!

W pośpiechu, choć chwiejnie, ruszyli do wyjścia i nie patrząc na Honorkę, wyszli, trzaskając drzwiami.

Została sama. Podniosła się i zaciskając zęby, wolno poczłapała na korytarz. Zapukała do sąsiadki.

– Pani Durkowa, niech mi pani pomoże, zawołaj, kochana, lekarza, okropnie się czuję.

– Było tyle nie chlać! Niech cię teraz ratują te pijusy, co z nimi wciąż dokazujesz. Gdzie oni teraz? – odparła z obrzydzeniem Durkowa i zatrzęsła jej drzwi przed nosem.

Honorka osunęła się na podłogę. Chyba umrę na tych schodach jak pies, pomyślała i straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, zobaczyła, że leży w czystej pościeli. Obok ktoś pojękiwał. Nie miała siły, żeby spojrzeć w tym kierunku. Znowu zasnęła. Obudziło ją czyjeś dotknięcie.

– No, udało się pani, to była ostatnia chwila! Ledwo panią uratowaliśmy. Co pani zrobiła z tą swoją wątrobą! Musieliśmy nieźle się napracować, a z wątroby został tylko fragment – mówił do niej ubrany na biało mężczyzna. – Jak się pani czuje?

– Boli! Wszystko boli – wyszeptała z trudem.

– Bo musi. Miałaś, kobieto, operację. Teraz trzeba leżeć spokojnie i czekać, aż się wszystko zagoi.

Podyktował coś pielęgniarce i przeszedł do następnego pacjenta.

Po kilku dniach pozwolono Honorce podnieść się z łóżka i zrobić krótki spacer po pokoju. Bólu nie czuła, była tylko bardzo słaba.

Przy kolejnym obchodzie lekarz zapewnił ją, że rana operacyjna ładnie się goi i że niedługo zostanie wypisana.

– Tylko z wódeczką koniec, bo następnego razu może pani nie przetrzymać.

Zacisnęła zęby. Doszło do tego, że każdy dupek może jej mówić, co ma robić. To przecież jej zdrowie! Jej życie! Tylko co to za życie. Pijaństwo i łajdactwo. Straciła Marcelka. Różyczka mieszka u Marianny. Pewno się wstydzi, że ma taką matkę!

Myślała i myślała. Była trzeźwa i miała dużo czasu. Z sąsiadkami niewiele rozmawiała. Patrzyły na nią trochę z góry. Pewno! W takim grajdołku jak Skierniewice wszyscy wszystko wiedzieli. O niej też z pewnością po kątach szeptano, jaki z niej lump. Najlepiej by było teraz wypić z pół literka. Zaraz by głupie myśli wyleciały z głowy. Tylko skąd wziąć? A co ten lekarz mówił? Że nie wolno wódeczki, bo koniec? Co to za życie, jak nie wolno wypić!

Któregoś dnia szła po szpitalnym korytarzu noga za nogą. Dołączyła do niej chudziutka starowinka. Kuśtykała z laską i uśmiechała się miło.

– Patrzę tak na panią, jaka pani młoda i ładna. Tylko smutna jakaś. Chyba z tej choroby!

Honorka milczała.

Niezrażona staruszka mówiła dalej:

– Ja wiem, ze starymi to młodzi nie chcą rozmawiać, przepraszam cię, dziecko.

– Jakie tam dziecko, mam już pięćdziesiątkę – prychnęła Honorka.

– No właśnie, przecież mówię, że jesteś młoda.

– Co pani z tą młodością! Jakbym powiedziała, ile przeżyłam, tobyś, kochana, nie mówiła tak o mnie.

– Dziecko, każdy ma własne przeżycia. Każdy żyje po swojemu i mógłby niejedno o sobie powiedzieć.

– Co pani wie!

– Oj, wiem, wiem więcej, niż myślisz.

Dotarły do końca korytarza i przysiadły na ławce.

– Wiesz, kiedyś, jak byłam młoda, męża zadźgałam! Nożem! Bo już dłużej nie mogłam wytrzymać, jak mnie bił. Dostałam wyrok. Duży, długo siedziałam w więzieniu. Nie wiem, co było gorsze, to bicie czy więzienie. Trójkę moich dzieci wzięli do sierocińca. Odwróciły się ode mnie, niby że kryminalistka i wstyd się do takiej przyznać. Jestem sama. Chora, stara i samotna. Nie mam nikogo na świecie.

Ale nie jest mi smutno. Pomodłę się, z ludźmi porozmawiam i jakoś lżej się na duszy robi. A najważniejsze, że żyję, mam co jeść i nikt mnie nie bije.

– To za mało, mnie by nie wystarczyło.

– Będziesz miała moje lata, to inaczej spojrzysz na życie.

– A bo ja dożyję! Lekarz powiedział, że jak nie przestanę pić, to koniec ze mną.

– To nie pij!

– Łatwo powiedzieć! Jak dusza wyje z rozpacz, to jest najlepsze lekarstwo.

– A co cię tak gnębi, powiedz! Jeśli chcesz.

Honorka poczuła nagle, że musi tej staruszce o mądrym spojrzeniu i ciepłym uśmiechu wszystko opowiedzieć, od początku. Ta kobieta zrozumie i może nawet wyjaśni, poradzi.

Siedziały bardzo długo. Było już po kolacji, więc nie kazano im wracać do łóżek. Honorka mówiła i mówiła, nie owijając w bawełnę, jak na spowiedzi. Chwilami przerywała, bo szloch dławił ją w gardle. Opowiadała o wszystkim, nawet o najgorszych chwilach w życiu. Staruszka siedziała zasłuchana. Nie przerywała. A kiedy Honorka w końcu umilkła i otarła łzy, które obficie płynęły jej z oczu, tamta wzięła ją za rękę i powiedziała:

– Wiesz, dziecko, jesteś dobra, tylko tak ci się jakoś to życie pokręciło. Wracaj do domu, posprzątaj, a jak nie będziesz miała sama siły, to kogoś wynajmij, ucałuj ręce macochy, bo jej się to od ciebie należy, i zabierz do siebie córkę. Zaczynij uczciwie żyć. Zobaczysz, wszystko się ułoży i w spokoju dożyjesz późnej starości.

Honorka uścisnęła ją delikatnie, jakby się bała, że może uszkodzić kruchą starowinę.

– Dziękuję pani, wygadałam się za wszystkie czasy. Nikt o mnie tyle nie wie, co pani teraz.

– Zostań z Bogiem! – Kobieta pogłaskała ją po głowie.

– A jutro pani opowie mi więcej o sobie?

– Dobrze, moje dziecko. Opowiem.

Honorka położyła się do łóżka. Długo nie mogła zasnąć. Słyszała oddechy śpiących pacjentek, ale do niej sen nie nadchodził. Miała szeroko otwarte oczy, wydawało jej się, że w ciemności przesuwa się przed nią całe życie. Jak w kinie.

Następnego dnia nie mogła się doczekać, kiedy skończą się badania, wizyty lekarzy, posiłki, zabiegi, kiedy wreszcie zje chudą zupkę, połknie leki i będzie miała czas dla siebie. Wreszcie wszystko ucichło, mogła spokojnie wyjść z pokoju. Rozejrzała się, jednak na korytarzu staruszki nie znalazła. Zajrzała do jej sali. Wszystkie cztery łóżka były zajęte, ale wczorajszej znajomej nie widziała. Honorce ścisnęło się serce. Pewno wypisali starowinę do domu i poszła bez pożegnania. A tak pięknie mówiła, taka wydawała się serdeczna, jak matka rodzona. Spytała

leżące w łóżkach kobiety, czy tę babcię spod okna, której nazwiska, niestety, nie zna, wypisano już do domu. Popatrzyły na nią niepewnie.

– Nie wiemy, jak nas dzisiaj przyjęli na oddział, to nie było tu żadnej babci.

Honorka zastanowiła się, czy wczorajsza rozmowa na pewno się odbyła, a może jej się tylko przyśniło? Z opuszczoną głową poszła do dyżurki pielęgniarek.

– W sali numer dwanaście leżała taka starsza kobieta. Nie znam jej nazwiska. Może mi siostra powiedzieć, czy została wypisana?

– Chodzi pani o babcię Potejko? Tak. Wypisana. Do kostnicy. Umarła w nocy.

Marianna nie bardzo wierzyła w poprawę Honorki. Od powrotu ze szpitala pasierbica nie piła, to fakt. Zerwała też ze swoją ferajną. Zamówiła malarza, żeby pomalował jej mieszkanie. Zaczęła szukać pracy, choć nie było to łatwe, bo wszyscy ją znali, i to z najgorszej strony.

Wreszcie któregoś dnia poszła do powiatowego komitetu partii, mieszczącego się w pięknym, nowym budynku przy Prymasowskiej. Chodziła od drzwi do drzwi. Jedni nie chcieli z nią gadać, tłumacząc się nawałem pracy, inni mówili wprost, żeby nie zawracała głowy.

Wreszcie usiadła, zniechęcona, na korytarzu i postanowiła, że nie ruszy się stąd, dopóki jej nie wysłuchają. Będzie siedziała nawet całą noc. Powiedziała o tym przechodzącej sekretarce.

Zrobił się szum, towarzysze zaczęli biegać, trzaskać drzwiami. Słysząc było dzwonki telefonów. Po godzinie została zaproszona do gabinetu pierwszego sekretarza.

– Co wy nam tu, towarzyszko, bruździecie? Jakąś partyzantkę uprawiacie! My przez palce patrzyliśmy na wasze postęпки. Zawsze byliśmy dla was jak rodzona matka. A wy co?

– A ja dla was jak rodzona córka, każdą robotę, nawet trefną, robiłam, jak kazaliście.

– Może i córka, ale marnotrawna. – Sekretarz popukał eleganckim wiecznym piórem w blat biurka, patrząc na nią z dezaprobatą spod nastroszonych brwi.

– No może trochę mi się noga powinęła – Honorka podniosła głos – ale teraz chcę pracować uczciwie, wychowywać dziecko i liczę, że mi w tym pomożecie. Muszę przecież córkę nakarmić i sama coś jeść – dodała ciszej.

– Pomożemy! Pomożemy, tylko nie krzyczcie. Na nas przecież zawsze możecie liczyć. Towarzysz drugi sekretarz uzgodnił z prezesem PSS-u, że od pierwszego września będziecie mogli pracować u niego w biurze. Mamy nadzieję, że dacie radę i wstydu nam nie przyniesiecie. Zgłóście się tam jutro rano, to was pokierują, gdzie trzeba. Powiedzą, co i jak dalej załatwiać.

Podniosła się, mruknęła przez zęby „dziękuję” i wyszła. Towarzysz odetchnął z ulgą. Znał temperament Honorki i prawdę mówiąc, bał się trochę jej niewyparzonego języka. Czy to wiadomo, co takiej może w złości przyjść do głowy i co wykrzyczy!

Następnego dnia pewnym krokiem weszła do gabinetu prezesa. Znała go dobrze, niejedną butelkę z nim opróżniła. Trochę zażenowany, powiedział, że tymczasem może pracować jako goniec, bo musi odbyć okres próbny, więc niech mu nie ma za złe, ale takie dostał z komitetu polecenie i tego musi się trzymać. A potem, jak Honorka wykaże się odpowiednią postawą, to się zobaczy, co będzie można dla niej zrobić.

Bardzo się starała, żeby nie wybuchnąć i nie rzucić mu w twarz kilku ostrych słów. Zagryzła jednak usta, zacisnęła pięści i spytała, dokąd ma iść i co robić. Powiedział, że jej szefową będzie sekretarka. Prychnęła z pogardą, ale poszła do sekretariatu. Wyfiokowana blondynka wskazała jej mały stolik, stertę zaadresowanych kopert do zaklejenia i książkę nadawczą do ich wpisania, a potem kazała iść do kadr i do lekarza. Dała jej też długopis. Honorka rozpoczęła swoją „karierę” urzędniczą od najniższego szczebla.

Wracając z pracy, wstąpiła po Różyczkę. Macocha nie chciała wypuścić dziewczyny spod swojej opieki, ale Honorka się uparła i Różyczka, chcąc nie chcąc, zebrała swoje rzeczy i potulnie poszła za matką.

Po ich wyjściu Marianna usiadła przy stole i podparła głowę rękami. Jak teraz się zrobi pusto. Wanda wyjechała, Róży nie ma, to i Tereska rzadziej będzie zaglądać. Zresztą teraz głowę Jasiem ma zajęta, to mniej czasu zostaje dla babki.

Czas. Marianna coraz częściej zastanawiała się nad jego upływem, nad tym, jak jej życie migiem przeleciało. Skończyła już siedemdziesiąt lat. To i o śmierci trzeba zacząć myśleć. Od operacji ciągle ją coś bolało, czuła się coraz słabsza. Nie mówiła o tym nikomu, ale wiedziała, że długo tak nie pociągnie. Ile jej jeszcze zostało? Tylko Pan Bóg wie!

A pamiętała, jak w Żelaznej pasła gęsi nad rzeką, Wojtka pamiętała, Michała chyba najlepiej, no i Franciszka. Dobry był z niego człowiek, tylko taki jakiś bez ikry. A jak umarł, sama ze wszystkim się borykała. Bieda przyszła, a ona dzieci musiała wychować. Teraz nie jest im już potrzebna.

Chciałaby pożyć jeszcze trochę, żeby Marysię za męża wydać. Bo co warta kobieta bez męża! Mąż to opiekun, przyjaciel, podpora. Dobry chłopak się dziewczynie trafił, Marianna lubiła tego Tadzia. Tylko dlaczego on tak zwleka ze ślubem? Ma trochę pstro w głowie.

Właściwie to jeszcze nigdy nie zaczął mówić o małżeństwie, a już przecież dwa lata kręci się koło Marysi. Lata lecą, córce też ich przybywa. Co ten chłopak

sobie myśli? Wpędzi dziewczynę w lata, a potem to już nikt nie będzie jej chciał, choć ładna, i jak nic starą panną może zostać. Trzeba z nim porozmawiać. Tylko jak? Zapytać wprost? Trochę niezręcznie. Lepiej poczekać, aż sam zacznie. Dałby Bóg, żeby jak najprędzej.

Innym córkom jakoś się poukładało. Marta miała dobrego męża i dwie dziewczynki. Niedługo znowu urodzi. Pewno synka by chcieli! Ona chyba najlepiej trafiła, Romuś wciąż zakochany w niej po uszy, a Marta trzyma wszystko twardą ręką.

Wanda jest z tym Ryśkiem. Niewiele w listach pisze o sobie, ale nie narzeka, to też coś znaczy. Brak wiadomości to czasem dobra wiadomość. Rysiek pracuje jako kierowca, ona sprząta w magistracie. Nie chcą wracać do Skierniewic. Podobno dobrze im w tym Czaplinku. Często odwiedzają Martę, lubią jej dzieci. Swoich nie mają, to choć cudzymi się cieszą. Wanda przyjaźni się z Regimą, choć ta ma już swoje lata, ale to dobra kobieta, taka serdeczna i miła.

Regina przeprowadziła w sądzie rozwód ze Stefanem, że to niby od wielu lat mąż nie daje znaku życia, więc pewno nie żyje. Wiedziała od Marianny o liście, ale uznała, że jeśli założył nową rodzinę, to nie ma co liczyć na jego powrót. Dosyć się sama nabyła. Wyszła za mąż za porządnego człowieka, rybaka, któremu umarła żona. Wychowuje teraz trójkę jego dzieci, ma się o kogo troszczyć i jest bardzo zadowolona.

Fela przed wieloma laty owdowiała i straciła dziecko. Wciąż była sama. Szkoda, bo niestara jeszcze, a żyje jak zakonnica. Zbrzydła, zwiędła przedwcześnie, ale jakoś sobie radziła. Teraz martwiła się, co będzie z Tereską i Jasiem. Dziewczyna całkiem zwariowała na jego punkcie. Tylko Jasio i Jasio! Dobrze, że maturę zdała i uczy się dalej, bo nie chce być od niego głupsza.

No a Honorka? Choć to nie rodzona córka, ale przecież tyle razem przeżyły. Marianna zastanawiała się, co tak zmieniło pasierbicę, która przez całe życie doprowadzała ją do pasji. Może ta choroba? Honorka nigdy nie mówiła, co jej było, ale pewno coś poważnego. Najważniejsze, że przestała pić, żeby tylko znowu nie zaczęła. Różyczka z nią zamieszkała. Lada chwila skończy liceum, zamierza dalej się kształcić. Ładna z niej panna rośnie. Ma takie piękne, rude włosy. Bardzo jest podobna do matki, tylko na szczęście z charakterem nie wdała się w Honorkę. Raczej w Lucka. Tylko czy to aby na pewno jego dziecko? Kto to wie? Za Honorką nawet sam diabeł by nie trafił! Zawsze mówiła i robiła, co chciała. Lucek czasem pisze parę słów. Dobrze mu się żyje z tą Lodzią. Marcelek jest już dorosłym mężczyzną. Pracuje jako murarz. Ma pannę i niedługo zamierza się żenić.

LATA SZEŚĆDZIESIĄTE

Teresa studiowała już na drugim roku, na wydziale budowy maszyn. Nie bardzo wiedziała, dlaczego wybrała ten kierunek. Może zasugerowała się decyzją Zośki, która przez ostatni rok przed maturą wciąż mówiła o politechnice i o tym właśnie wydziale. Studiowała więc, mimo że było ciężko. Nie dawała sobie rady z matematyką i rysunkiem technicznym. Drugi rok okazał się bardzo trudny, ale jakimś cudem zaliczyła egzaminy, choć stopnie w indeksie miała słabutkie.

Mieszkała w akademiku, we wspólnym pokoju z czterema dziewczynami. Niełatwo jej się żyło w tym, jak mówiła, „kołchozie”. Wieczny hałas i bałagan. Dziewczyny bez pytania „pożyczały” sobie majtki, pończochy czy inne szmatki, wyjadały przywiezione z domu zapasy. Nie znosiła tego. Trudno jej było dostosować się do tych warunków, a uczyć się jeszcze trudniej.

Uciekała często do Jasia. Koleżanki dokuczały jej, że zachowuje się jak rozparcelowana hrabina, zadziera nosa, bo ma bogatego chłopaka. Nic sobie z tego nie robiła. Niech gadają. Przecież ręki i nogi nie ugadają. Dobrze się czuła w porządnie umeblowanym domu, gdzie panowała serdeczna atmosfera i wszystko działało jak w zegarku. Czuła, że ciotka Emilia ją lubi, nie mówiąc o wujku Mundku, który oczu od niej nie odrywał i korzystał z każdej okazji, żeby porozmawiać.

Jasio pracował w zjednoczeniu przemysłu i handlu. Miał całkiem przyzwoitą pensję, a także realną perspektywę na przydział mieszkania i częste wyjazdy za granicę. Zjednoczenie kooperowało z firmami w Niemczech i Wielkiej Brytanii, a Jasio, w przeciwieństwie do innych pracowników doskonale znający język angielski, był skarbem dla słabo gramotnych szefów.

Wciąż powtarzał Teresie, że zarabia dosyć, by móc ją utrzymać, i namawiał, żeby nie zawracała sobie głowy korepetycjami, bo pieniędzy ma z tego niewiele, a czasu traci co niemiara. Ona z czułością cmokała go w czubek nosa i tłumaczyła, że sama chce sobie radzić, a jeśli on ma w nadmiarze pieniędzy, niech je zbiera, może kiedyś się przydadzą.

Byli sobie bardzo bliscy. Rozumieli się w pół słowa. Teresa uwielbiała, jak przygarniał ją do siebie mocno i całował do utraty tchu. Nie mieli warunków, żeby pozwolić sobie na więcej, bo ani u niej w akademiku, ani tym bardziej u wujostwa nigdy nie byli sami. Czasem szli do Łazienek i w jakimś ustronnym zakątku siedzieli na ławeczce przytuleni, trzymając się za ręce. Kiedy było zimno, wybierali kino lub teatr.

Tego dnia poszli do Współczesnego na sztukę o miłości i śmierci. Ciemnowa scena, wypełniona krzesłami symbolizującymi groby, robiła przygnębiające

wrażenie. Amerykański dramat wyciskał widzom łzy z oczu. Młoda kobieta, grana przez Zofię Mrozowską, zmarła w czasie porodu i siedziała teraz nieruchomo na krześle wśród innych nieżyjących członków rodziny. Wszyscy, jako duchy, mówili przytłumionymi głosami o życiu, o swoich bliskich, o pozostawionym przez kobietę maleńkim dziecku.

Teresa ścisnęła nerwowo rękę Jasia. Po spektaklu wyszli wolno, przejęci i wyciszeni. Myśleli o upływającym czasie i o tym, że życie niesie tyle bolesnych niespodzianek. Spojrzeli na siebie i jednocześnie otworzyli usta. Uśmiechnęli się trochę smutno.

– Teresa, weźmy ślub. Chcę być z tobą. Pomyśl, ile przechodzi nam koło nosa. Tak rzadko się widzujemy. Jeszcze te twoje korepetycje! Teśka – powiedział pieszczotliwie – kocham cię, tyle razy ci to powtarzałem. Pojedźmy do twojej mamy. Buchnę przed nią na kolana i oświadczę się, jak należy.

Popatrzyła na jego pochyloną ku niej twarz i pełne miłości oczy.

– Nie żartuj, to poważna sprawa – przerwała na chwilę – nie powinniśmy się śpieszyć.

– Śpieszyć! Znamy się prawie trzy lata. Znamy i kochamy. Prawda, moje serce? Kochasz mnie?

– Przecież wiesz. Chyba nie masz wątpliwości.

– Więc dlaczego mamy czekać? Wszystko byłoby prostsze. Za kilka miesięcy może już będę miał własne mieszkanie. Teśka!

– Jestem dopiero na drugim roku, poczekajmy jeszcze trochę, proszę cię. Też bym chciała być z tobą. Mój kochany!

Zatrzymali się, było ciemno. Jan objął Teresę i szeptał jej do ucha czułe słowa.

– Obiecałam, a właściwie przyrzekłam mamie, że najpierw skończę studia. Nie mogę jej zawieść.

– Pewno, że skończysz, tylko będzie ci o wiele łatwiej, jak będziemy razem.

– To może na Boże Narodzenie pojedziemy do Skierniewic?

– Hura! Tesiunia, jaki jestem szczęśliwy! Nie wiesz, jak się cieszę! Wreszcie mówisz jak człowiek.

Objęci, ruszyli w kierunku przystanku.

EPILOG

Był ponury grudniowy ranek. Marianna z trudem podniosła się z łóżka. Mieszkała wciąż w tym samym mieszkaniu. Wielu sąsiadów przeprowadziło się do bloków, mieli tam wodę i ubikację w domu. Słyszane to rzeczy? Czego to ludzie nie wymyślą. Stare rudery powoli rozbierano. Jak bardzo zmieniły się Skierniewice, myślała. Kiedy tu przed laty zamieszkała, ileż stało drewnianych starych domów, bruki na ulicach były nierówne, na niektórych zalegała błotnista maź, a rynsztokami płynęły nieczystości.

A jak się zmienił plac pod ratuszem! Do niedawna dwa razy w tygodniu było tu targowisko. Tłum wieśniaczek, chłopów, a przed wojną i Żydów, zapełniał szczelnie każdy centymetr powierzchni i handel trwał aż do zmroku. Teraz urządzono tam piękny skwer. Rosły kwiaty i drzewa, była nawet fontanna. Podobno miasto ma pięćset lat i dlatego to wszystko zrobili. Żeby było ładnie!

Weszła do swojej „łazienki”, czyli za zasłonkę, by skorzystać ze stojącego tam wiaderka. Boże, jaka jestem stara, pomyślała. Stara i słaba. Nic mnie już nie cieszy. Niewiele interesuje. Wciąż mam te zawroty głowy. Nogi nie chcą nosić.

Ostatnie lata bardzo pogorszyły jej zdrowie. Poprzedniego dnia, kiedy wracała z kościoła, potknęła się na równej drodze i gdyby nie jakiś uprzejmy przechodzień, który w ostatniej chwili ją podtrzymał, pewnie by upadła i się potłukła, a może i połamała. Nie mogła jeść, miała tylko dwa zęby, więc trudno było gryźć chleb, nawet gdy miał odciętą skórkę, dlatego maczała kawałeczki w mleku lub herbacie i dopiero takie rozmoczone wkładała do ust.

Tego dnia czuła się gorzej niż zwykle. Z trudem poruszała się po mieszkaniu. Nalała mleka do garnuszka i postawiła na maszynie elektrycznej. Było zimno, ale nie chciała palić w kuchni. Zastanawiała się, czy się ubierać, czy może jeszcze trochę poleżeć pod ciepłą pierzyną. Wróciła do łóżka. Pierwszy raz od dawna nie poszła na poranną mszę. Zbliżało się Boże Narodzenie. Kiedyś od początku grudnia sprzątała, potem, bliżej świąt, piekła i gotowała, a teraz? Mówić się nie chce. Jest sama, tylko Honorka jej została. Kto by się spodziewał, że taka samotna będzie jej starość!

Włączyła radio. Męski głos czytał wiadomości. Marianna nadstawiła uszu. Zawsze była ciekawa, co się na świecie dzieje. W Gdańsku jakieś rozruchy, była strzelanina, poginęli ludzie! Czy to wojna? Nie daj Boże! Pomyślała, że kolejnej już nie przeżyje. Coś zaczęli mówić o jakimś Gierku. Ciekawe, kto to taki. Zaczęła się modlić, by Pan Bóg zabrał ją z tego świata. Dosyć się nażyła. Dobiega osiemdziesiątki. Już nie ma siły.

Leżała smutna i trochę głodna. Koło południa poczuła, że drętwieje jej ręka.

Nie zwróciła na to większej uwagi. Nadal myślała o swoim życiu. Dzieci rozpiechły się po świecie. Nawet Marysia, po ślubie z Tadzkiem, wyjechała do Legionowa. Dostali tam mieszkanie. Urządzili się jako tako. Marysia, kiedy od czasu do czasu przyjeżdżała ją odwiedzić, opowiadała, jak żyją. Mieli dwie córeczki. Wciąż obiecywała, że Tadzio lada chwila dostanie przeniesienie do Skierniewic, ale obiecanki cacanki – jakoś nie można się było na to doczekać. Sama nigdy najmłodszej córki nie odwiedziła. Nie nadawała się już do podróży koleją.

Zaraz, zaraz, ileż to ona ma już wnuków? Zaczęła mozolnie liczyć na palcach. U Feli jest jedno, Wanda nie miała dzieci, za to Marta urodziła trójkę, a Marysia dwoje. No, no, spora gromadka. I jeszcze dwoje prawnuków – u Tereski. Szkoda tylko, że wszyscy tak daleko. Nawet Feli nie ma, bo wyjechała do Warszawy niańczyć dzieci córce.

Marianna słyszała jakby szum w uszach, było jej na przemian to zimno, to gorąco i nie mogła ręką ani nogą ruszyć. Ktoś zapukał, a po chwili usłyszała zgrzyt otwieranego zamka. To Honorka, pomyślała z ulgą.

W drzwiach ukazała się siwa kobieta w skromnym szarym paletku i czarnym berecie. Od prawie dziesięciu lat Honorka mogła być niemal wzorem przyzwoitości dla innych. Pracowała przykładnie, zachowywała się bez zarzutu. Nie była już gońcem, tylko referentem do spraw osobowych, czyli kadrową. Niedługo zamierzała przejść na emeryturę. Pomagała Róży, która właśnie miała urodzić drugie dziecko. Róża wyszła za mąż za Krzysztofa. Otwierała się przed nim droga do kariery politycznej. Już teraz, dzięki ojcu, miał wyrobione „chody” w komitecie wojewódzkim. Z tego względu wzięli tylko ślub cywilny.

Krzysztof mówił, że wyzwolił się z głoszonych przez księży bajek, a poza tym szkoda mu zapaskudzić sobie życiorys. Dwuletnia Asia wciąż nie była ochrzczona. Marianna bardzo nad tym ubolewała i przy każdej okazji tłumaczyła młodemu, że z Panem Bogiem jeszcze nikt nie wygrał. Ale Krzysztof był twardy, pozwalał babce się wygadać, a potem tylko prychał, odwracał się na pięcie i wychodził bez słowa. Wreszcie zupełnie przestał odwiedzać Mariannę. Róża miała mało czasu, wpadała tylko na krótko, i to rzadko. Praca i dom pochłaniały ją całkowicie. Skończyła stomatologię, pracowała w przychodni i zbierała pieniądze na prywatny gabinet.

Właściwie Mariannie została tylko Honorka. Ta zawsze znalazła chwilę, by przyjść do macochy, zrobić zakupy czy posprzątać. Marianna dała jej klucz do swojego mieszkania, żeby mogła przychodzić, kiedy chce i może.

– Co się stało? Dlaczego mama leży? – zapytała teraz, widząc macochę w łóżku.

– Nie wiem, co mi jest, siły nie mam i prawą ręką nie mogę ruszać.

– To może lekarza zawołam.

– Co lekarz pomoże. To starość. Pora widać na mnie przyszła.

– Niech mama nie gada głupstw. Idę do gospodyni, zadzwonię po pogotowie.

– To już rób, jak chcesz – zgodziła się Marianna.

Lekarz postanowił zabrać ją do szpitala.

Następny dzień, mimo zastosowanych leków, przyniósł pogorszenie. Honorka patrzyła z niepokojem, jak oczy macochy tracą blask, a nos się wydłuża. Po kilku dniach staruszka przestała ją poznawać. Z Warszawy przyjechała Fela, ale Marianna nie poznała córki.

Leżała na wznak z przymkniętymi oczami. Nie chciała nic jeść. Wszystkie leki dostawała w kroplówkach. Któregoś dnia, po prawie dwóch tygodniach, spojrzała przytomnie na siedzącą obok Honorkę. Zaczęła mówić, trochę niewyraźnie, ale większość słów można było zrozumieć.

– Wie pani, coś pani powiem! Tyle córek urodziłam, tyle wychowałam, a teraz żadnej koło mnie nie ma. Wszystkie poszły sobie w świat. Nie chcą znać starej matki. Widzi pani, jak to jest, widzi pani... – mówiła coraz ciszej.

Honorka zawołała lekarza.

– Matka bredzi, nie poznaje mnie, niech pan coś zrobi!

– Co ja mogę zrobić! To koniec.

– Dokąd człowiek żyje, trzeba go ratować! – odparła z pasją.

– Już za późno. To koniec! – powtórzył stanowczo.

Honorka spojrzała na Mariannę. Staruszka leżała cicha, spokojna. Spod półprzymkniętych powiek widać było nieruchome oczy.

– Mamo!

– Niech pani da jej spokój – lekarz powstrzymał Honorkę – przecież sama pani widzi...

Delikatnym ruchem zamknął zmarłej powieki.

TERESA, WNUCZKA MARIANNY

PROLOG. 1970 ROK

Wczesny zimowy zmierzch miękko otulał pola, bezlistne drzewa, przycupnięte przy drodze krzewy... Dzieci marudziły, były senne i zmęczone. Jan prowadził z naburmuszoną miną. Ze Skierniewic do Warszawy niby niedaleko, ale droga bardzo się wszystkim dłużyła.

– I po co było tak długo siedzieć? Teraz jest prawie noc, a wiesz, że nie lubię prowadzić po ciemku. Dzieci już ledwo żyją.

– Nie denerwuj się, Jaśku. Chciałam pobyć trochę z mamą, w końcu to przecież babcię Mariannę, jej matkę, pochowaliśmy. Ona tak cię kochała. Chyba bardziej niż nas wszystkie razem.

Jan mruknął coś pod nosem.

– Co mówisz, kochanie?

– Nic – uciał krótko.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Trzeba się zatrzymać przy jakimś sklepie. Trzeba kupić mleko.

– A nie można rano?

– Nie zdążę, muszę być wcześniej w pracy. Znowu rozrabiają na wydziale.

Chyba mają rację. Jakby wszyscy razem wzięli się za ten bałagan, może by coś z tego wyszło. W Gdańsku podobno strzelali do ludzi. Podobno są zabici i ranni. A ten Gomułka! Tyle obiecywał! W pięćdziesiątym szóstym roku tak się wszyscy cieszyli. I co? Do ludzi kazał strzelać. Mój Boże, co to będzie! Co to będzie?! W sklepach prawie nic nie ma. Ludzie wszystko wykupują jak szaleni. Czy im się wydaje, że na całe życie nakupią?

– Na całe może nie, ale na najbliższe tygodnie z pewnością. My też chyba powinniśmy zrobić jakieś zapasy.

– Boże, co za czasy! – powtórzyła Teresa.

– Nie narzekaj, mogą przyjść gorsze.

Zapadła cisza.

– A pamiętasz, Jasiu – odezwała się po chwili Teresa, chcąc poprawić nastrój – jak spotkaliśmy się pierwszy raz u babci Marianny? I po Skierniewicach razem chodziliśmy?

– Daj spokój, dawne czasy, nie ma co do tego wracać.

– Co ty dzisiaj jesteś jakiś dziwny? Coś ci dolega?

– Nie, tylko nie chce mi się gadać.

Powiedział „gadać”, to zupełnie do niego niepodobne, nie w jego stylu. Chyba ma jakiś kłopot. Może w pracy? – myślała. Adaś zamruczał coś przez sen. Jechali Alejami Jerozolimskimi. Teresa spoglądała na jasno oświetlone, choć

pustawę wystawy sklepów. Chyba nigdy nie znudzi jej się patrzeć na Warszawę.

Ranek wstał szary i zimny. Teresa wysunęła spod kołdry nogę i szybko ją schowała z powrotem.

– Jaśku! Jasiu! Pora wstawać!

Zdziwiła ją ta cisza. Miejsce koło niej było puste. Co on tak wcześniej się zerwał? Jak nigdy. Wstała, włożyła szlafrok i poszła do pokoju dzieci. Po wczorajszych przejściach smacznie spały. Weszła do kuchni, a potem do łazienki. Jana nie było. Gdzie on się podział? Cholera, zaklęła pod nosem. Zostawił ją z całym porannym bałaganem. A może po mleko poszedł? Nie ma co, trzeba się brać do roboty. Wzięła prysznic, ubrała się i zaczęła szykować śniadanie dla dzieci. Ugotowała jajka, posmarowała masłem kromki chleba. Małe będą się awanturowały, że nie ma mleka. Trudno, jeden dzień wytrzymają. Niecierpliwie spoglądała na zegar. Co z tą panią Wacią? Spóźni się przez nią do pracy. Będzie afera. I tak szef krzywo na nią patrzy. Zarzuca jej, że rozpuściła pracowników, że mówią i robią, co chcą. Trudno, inaczej nie potrafi. Zawsze z ludźmi postępuje po ludzku.

Zadzwieczał dzwonek.

– Dzień dobry. Bardzo przepraszam – wydyszała pani Wacia, a widząc skrzywioną minę Teresy, zaczęła mówić, z trudem łapiąc oddech: – Okropny dzisiaj bałagan na mieście. Najpierw bardzo długo czekałam na autobus. A na skrzyżowaniu, niedaleko państwa bloku, był korek, więc wysiadłam i przyszłam piechotą.

– Nie ma sprawy. Biegnę, a pani niech da dzieciom śniadanie! Już przygotowane.

– Proszę się nie martwić. Wszystko będzie, jak należy. Do widzenia pani. I jeszcze raz przepraszam.

Teresa machnęła ręką i zamknęła drzwi. Dobra ta opiekunka. Starsza już kobieta, ale bardzo solidna i dobrze wychowana. Idąc na parking, nie mogła przestać myśleć, co z tym Janem. Gdzie się podział? Zadzwoń do niego, jak tylko dotrze do pracy.

Bezpośredni telefon męża nie odpowiadał jednak. Sekretarka nie wiedziała, dlaczego szefa jeszcze nie ma. Teresie serce zaczęło bić szybciej. Była bardzo niespokojna. Czytała pisma, odpowiadała na pytania, wydawała polecenia, jednak robiła to wszystko machinalnie, w jej głowie tłukła się jedna myśl: co z Janem? Po godzinie ponownie do niego zadzwoniła. Tym razem sekretarka przekazała, że pan dyrektor wzięął urlop. Nie, nie powiedział, na jak długo.

Z trudem wytrwała do końca pracy i półprzytomna wsiadła do samochodu. Prowadziła nieuważnie. Ktoś trąbił, zgrzytały hamulce. Jej fiacik postękiwał, ale

jakoś dojechała. Jak bomba wpadła do mieszkania. Ewcia była jeszcze w szkole, Adaś w przedszkolu. W mieszkaniu jak zwykle panował wzorowy porządek. Jana nie było.

PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

Teresa telepała się podmiejskim, trzęsącym żółtkiem do Legionowa, do Róży. Musiała z nią porozmawiać, popłakać, pożalić się na swój los. Decyzja Jana zwała ją z nóg. Nie mogła dać sobie rady, wciąż huczało jej w głowie jedno słowo: dlaczego? Bezmyślnie patrzyła w okno. Nie widziała pustych pól, drzew prawie ogołconych z liści, szarego nieba. Westchnęła ciężko – za oknem pociągu smutno i w jej sercu także.

Róża z mężem i dwojgiem odchowanych dzieci zajmowała spory, ładnie urządzony domek. Pracowała w przychodni jako dentystka, a oprócz tego prowadziła prywatny gabinet stomatologiczny. Wiodło jej się dobrze. Bardzo dbała o dom, o kwiaty, ale Teresa nawet nie rzuciła okiem na stojącą w przedpokoju ogromną palmę, która urosła prawie do sufitu. Przywitała się z kuzynką i spytała, co słyhać. Przejęta swoją sytuacją, nieuważnie słuchała odpowiedzi.

Przyjaźniły się od lat, a właściwie od dzieciństwa. Matka Róży, ciotka Honorka, w młodości była niezłym ziółkiem i Róża często pomieszkiwała u babci Marianny. Teresa też spędzała tam sporo czasu. Razem rosły, dojrzewały, zwierzały się sobie z najtajniejszych sekretów i pierwszych zauroczeń. Róża wcześniej wyszła za mąż. Jej Krzysztof był zagorzałym komunistą. Stopniowo awansował w partyjnej hierarchii, obecnie zajmował jakieś ważne stanowisko w stołecznym Komitecie. Nie chcieli mieszkać w Warszawie, kupili więc domek w Legionowie i tu osiedli. Przyjaźń między kuzynkami odżyła.

Róża podała kawę i jakieś ciasto. Zerknęła kątem oka na gościa i zauważyła, że Teresa marnie wygląda. Zazwyczaj taka zadbana, elegancka, a dzisiaj – twarz bez makijażu, włosy w nieładzie. Siedem nieszczęść.

– Co się stało? Coś nie tak z dziećmi, a może z mamą?

Teresa nie mogła już dłużej powstrzymać łez.

– Róża, nie wiesz, co mnie spotkało – mówiła, pochlipując. – Jan ode mnie odszedł! Porzucił mnie! – Zaczęła płakać.

– Co takiego? Jan? Ten kochający i wzorowy mężuś? Mów wszystko po kolei! Napij się kawy i opowiadaj! To jakaś niemożliwa bzdura.

Teresa otarła chusteczką oczy i pociągając nosem, zaczęła:

– Kilka dni temu stałam przy oknie i patrzyłam na złociste drzewa...

– Ty nie poetyzuj, tylko mów konkretnie, co się stało, bo nie wytrzymam!
– przerwała jej zniecierpliwiona Róża.

– Podeszedł do mnie Jan. Jak zawsze uśmiechnęłam się do niego i wyciągnęłam rękę, ale nie podał mi swojej. Miał śmiertelnie poważną minę. Bez wstępu oświadczył, że tak dłużej być nie może, że dusi się w tym niezdrowym

układzie!

Załkała.

– „Jak to dusisz się? – spytałam. – W jakim układzie? O czym ty mówisz?!”. Spuścił oczy. „Od dawna jestem z inną kobietą, powiedział. Nasz synek ma pięć lat i chcę być z nią. Ona daje mi to, czego ty mi zawsze skapiłaś!”. Pomyślałam, że to jakiś żart, ale przecież nawet żartować tak nie wolno.

Teresa znów chlipnęła. Róża spojrzała na nią podejrzliwie.

– Nie wierzę w to, co mówisz. Co on wymyślił? – Nerwowo zapaliła papierosa.

– Co wymyślił? Powiedział: „Nie, Teresa, to nie jest żart. To koniec. Wreszcie zdobyłem się na odwagę i jasne postawienie sprawy. Będę płacił na dzieci, będę do nich przychodził. Wszystko ci zostawię, ale ja już naprawdę dłużej tak nie mogę. Wybacz. Ułożysz sobie jakoś życie. Jesteś młoda, atrakcyjna”. Chwyciłam go za rękę. „Poczekaj, poczekaj! Wytlumacz mi jeszcze raz, o co chodzi. Jaka kobieta, jakie dziecko? O czym ty mówisz? Ty chyba bredzisz! Dlaczego nie mogę dać ci tego, co ona?!” – mówiłam chyba bez ładu i składu. Czekał, aż skończę. „Nie chcę robić ci przykrości, ale dobrze, powiem! Kochałem cię i chyba nadal Kocham. Jednak tylko w ciągu dnia było mi z tobą dobrze. Noc przynosiła rozczarowanie. Jesteś taka pruderyjna, w łóżku brakuje ci swobody, nie spełniasz moich oczekiwań. Zawsze śmiałaś się z moich propozycji lub zbywałaś je milczeniem. Nie potrafiłaś pozbyć się jakichś śmiesznych zahamowań”.

Teresa ucichła. Oddychała szybko.

– Róża, ty sobie to wyobrażasz? Po trzynastu latach małżeństwa...

Znowu otarła oczy.

– To sukinkot! – Tamta nie wytrzymała. – Co za łobuz! Mów dalej.

– Milczałam. Poczułam, jak nogi się pode mną uginają. Ciężko usiadłam na krześle i patrzyłam na Jana, na jego zimne oczy i zacięte usta. Przeżywał tę rozmowę. Pewno długo się do niej szykował.

– Jeszcze się nad nim litujesz, z ciebie to prawdziwa ofiara losu! – Róża nie mogła pohamować złości.

Teresa jej nie słyszała. Mówiła jak w transie.

– Boże! Co on powiedział? Czy dobrze go zrozumiałam? Wydawało mi się, że to sen, że zaraz obudzę się z tego koszmaru. „Jaśku, czy możesz jeszcze raz, dokładnie powiedzieć, o co ci chodzi? Nie rozumiem!”. „Czego nie rozumiesz? – zniecierpliwiał się. – Odchodzę. Pójdę teraz spakować rzeczy. Proszę, wytłumacz dzieciom, że będę mieszkał gdzie indziej”.

– A ty co na to? Nie dałaś mu w łeb?

Róża zacisnęła pięści, aż zbieleły jej kostki.

– Wyszedł. Słyszałam, jak kręci się po pokoju. Wchodził do łazienki, potem do sypialni. Po paru minutach stanął w progu z walizą w ręku. A więc to prawda!

We śnie nie byłoby takiej logiki, takiej cholernej ciągłości zdarzeń, takiego bólu. Był wyluzowany, jak zwykle elegancki, uroczy. Wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca. I wtedy wreszcie to do mnie dotarło! To koniec. Koniec?! Taki banalny, głupi, beznadziejny koniec! – Teresa znów głośno zaszlochała. – „Żegnaj – powiedział – a właściwie do widzenia. Nie odgrywajmy melodramatu. Stać nas chyba na kulturalne rozstanie. Niedługo przyjdę, to ustalimy, co dalej. Do widzenia” – powtórzył i wyszedł.

– To dureń, a czy pomyślał o dzieciach? – wtrąciła Róża.

– Trzasnęły drzwi, zaczęłam płakać. Jan mnie porzucił. Jestem porzuconą kobietą! Zacisnęłam pięści aż do bólu. Uspokój się, myślałam. Dzieci zaraz wrócą ze szkoły. Co im powiem? Umyłam twarz. Przecież Ewa natychmiast zauważy moje zapuchnięte od płaczu oczy. A Adaś? Jak mu wytłumaczyć, że ojca nie będzie?! Jego ukochanego tatuńcia. Ten drugi syn Jana ma pięć lat. A więc urodził się wtedy, kiedy wróciliśmy z pogrzebu babci Marianny. Tak, wszystko się zgadza. Jakaż byłam głupia. Tak się wtedy o niego martwiłam, a on w tym czasie asystował przy porodzie swojej kochanki! Boże!

– Teresa, co on z tym łóżkiem, czy ty nie chciałaś się z nim kochać?
– spytała wprost Róża.

– Mnie się wydawało, że wszystko jest OK. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że seks aż tyle dla niego znaczy. Kochaliśmy się przecież często. Kiedyś przywiózł z jakiejś podróży *Kamasutrę*. Wieczorem, gdy byliśmy już w łóżku, otworzył. Zacerwieniłam się. Odwrócił kartkę. Popatrzyłam chwilkę na splecione nagie ciała. Wyjęłam mu książkę z rąk i odłożyłam. „Daj spokój, po co nam te hinduskie bezeceństwa. Czy nie wystarcza to, co robimy, co nasze? Schowaj to gdzieś głęboko, żeby dzieci nie znalazły!” – powiedziałam mu wtedy. Skrzywił się i odwrócił twarzą do ściany. Po chwili zasnął. Pamiętam, że czasem robił różne śmiałe gesty i mówił mi do ucha jakieś nieprzyzwoite słowa, które mnie peszyły. Zbywałam to żartem i przytulałam się do niego. Gdybym wiedziała, że to było takie ważne, może bym się przemogła. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Już się stało!

– Wiesz, Teresa, ja nadal nie mogę uwierzyć w to, co mówisz. I nie zauważyłaś wcześniej niczego dziwnego w jego zachowaniu?

– Teraz widzę, że wszystko zaczęło się w tym czasie, jak była u nas mama. To znaczy nie przez nią, wiesz przecież, że pomagała mi przy dzieciach. Najpierw było fajnie, ale z czasem coś się zaczęło zmieniać. Jan coraz dłużej pracował, ciągle zostawał po godzinach. Nawet nie zauważyłam, jak zaczęliśmy się oddalać od siebie. Wiesz przecież: praca, dom, dzieci. Nie nadążałam ze wszystkim. A już jak umarła babcia Marianna i mama wróciła do Skierniewic, ledwo dawałam sobie radę. Znaleźliśmy wreszcie kobietę do pomocy i wydawało mi się, że wszystko jest, jak należy. – Teresa umilkła. Z jej oczu strumieniem płynęły łzy.

– Wiesz, jestem zbulwersowana, nie wiem, co powiedzieć. Najchętniej złapałabym tego dupka, erotomana, i dała mu porządnie po mordzie. Wszystko się we mnie trzęsie ze złości! – Róża miała dość kwiecisty styl. Pozostał jej z dzieciństwa; Honorata, jej matka, nigdy nie przebierała w słowach i niczego nie owijała w bawełnę.

– To sobie wyobraź, co ja czułam w czasie tej rozmowy i co nadal czuję! Nie chce mi się żyć. Zaniedbałam się. Rano ledwo mogę się pozbierać. Dobrze, że dzieci tak bardzo nie marudzą. Jak ja będę żyła bez Jana?

– Musisz – głos Róży zabrzmiał twardo – musisz! Dasz sobie radę. A tego durnia nie żałuj. Nigdy go nie lubiłam.

– A zawsze mówiłaś, że mam świetnego męża.

– Mówiłam. Choć to drań, ale przystojny i elegancki, może się podobać. Gdzie tam mojemu Krzyškowi do niego!

– Ale Krzysztof na pewno nie zrobiłby ci takiego świństwa.

– Kochana, ja bym mu dała taki paternoster, że nawet towarzysze z KW by nie pomogli. W pięty by mu poszło i rozvodu się odechciało! Ale ty jesteś za delikatna. Po swojej mamusi. Moja dała mi niezłą lekcję życia. Pamiętam, co wyprawiała. Żeby babcia Marianna nie pomogła, żeby się mną nie zaopiekowała, to nie wiadomo, jak bym skończyła. Może cię moje słowa rażą, ale jestem szczerą i chcę ci pomóc przetrwać to nieszczęście. Chociaż, czy to naprawdę jest nieszczęście? Chwała Bogu, nikt nie umarł, a że twój ideał puścił cię w trąbę? To jeszcze nie koniec świata. Chodź do gabinetu. Obejrzę, czy nie masz jakichś ubytków. Jak włączę bormaszynę, to zapomnisz o Janie!

Ale Teresa nie chciała borowania, więc zostały w pokoju i zaczęły się zastanawiać, jak teraz biedna, porzucona żona ma sobie radzić. Trzeba będzie jakoś poukładać codzienne sprawy.

– Róża, muszę już wracać. Zostawiłam dzieci u sąsiadki. Ona ma dwoje swoich i jeszcze moje na dodatek, to niezła gromadka. Pewno już ją wykończyły. Pogadamy następnym razem.

– Teresa, powinnaś się otrząsnąć. Musisz się pozbierać. Bierz się w garść i żyj! I przyjeżdżaj! Pamiętaj, że na mnie i na Krzyśka możesz liczyć. W każdej chwili ci pomożemy. Tylko daj znać. – Delikatnie przytuliła kuzynkę.

BEZ JANA

Trudno jej było żyć. Wciąż czuła jego obecność. Nie dopuszczała do siebie myśli, że jej mąż teraz jest z inną kobietą, że może w tej właśnie chwili gotują razem obiad albo siedzą przy kawie. Może bawi się z tym nowym synkiem. W takich chwilach potrzasała energicznie głową i uciekała do wspomnień.

Od pierwszego spotkania u babci Marianny Teresa wiedziała, że tylko Jasia może pokochać. Często się widywali, bo korzystał z każdej sposobności, żeby przyjechać do Skierniewic. Wreszcie zdała maturę i dostała się na studia do Warszawy. Wtedy ciągle widywała się z Janem. W końcu poprosił, by za niego wyszła. Mówił, że ją kocha i żyć bez niej nie może. A teraz? Ma inną kobietę, a ona została sama z dziećmi!

Żeby nie rozdrapywać ran, postanowiła go unikać. Kiedy odwiedzał Ewkę i Adasia, wychodziła na zakupy albo do sąsiadki. Potem dzieci jej opowiadały, co im przyniósł, o czym z nimi rozmawiał, w co się bawili. Były takie szczęśliwe.

Po kilku tygodniach zaczęła im trochę zazdrościć, aż pomyślała, że dobrze by było porozmawiać z Janem, popatrzeć na jego kochaną twarz.

Na sprawie rozwodowej dotarło do niej, że klamka zapadła i to naprawdę koniec. Na pierwsze spotkanie po rozwodzie Jan przyszedł z wielkim bukietem róż i spędzili razem z dziećmi bardzo miłe popołudnie. Od tego czasu czekała na niego i cieszyła się z każdej wizyty.

Kiedy zaczęły się protesty w Radomiu, Ursusie i innych miejscach, chciała z nim porozmawiać, podyskutować, co będzie dalej, czym to wszystko się skończy. Rząd ogłosił kolejną podwyżkę cen, pokrętnie zwaną regulacją, choć ludzie dobrze wiedzieli, że drożeje chleb i mięso, a tanieją lokomotywy. Gdyby to nie było takie dramatyczne, można by się porządnie uśmieć. Ludzka cierpliwość się wyczerpała. Stały się duże zakłady pracy; klasa, zwana przez władze robotniczą, rozpoczęła strajki, urządzała wiece, wysuwała żądania.

Jan tłumaczył, że jest niespokojnie, ale istnieje szansa, że ludzie postawią na swoim, choć rząd buńczucznie potępia protesty i urządza masówki, na których podstawieni mówcy nazywają strajkujących radomskimi warchołami i nieodpowiedzialnym elementem. Ale raczej dojdą do porozumienia. Rząd trochę ustąpi, a ludzi zmęczy niepewność jutra. Więc niech Teresa się nie denerwuje i nie martwi. Wszystko minie. Będzie dobrze.

Rzeczywiście, sytuacja zaczęła się uspokajać. Wprowadzono kartki na cukier, którego ciągle w sklepach brakowało. Rząd wycofał się z niektórych podwyżek. Życie powoli wracało do normy.

Którejś niedzieli Jan zaczął ostrożnie mówić o Krzysiu:

– Słuchajcie, moje baki. Wiecie, że bardzo was kocham, ale kocham także jeszcze jedno moje dziecko, waszego braciszka Krzysia. To fajny chłopaczek. Co byście powiedzieli, gdybym go do was przyprowadził? – Spojrzał uważnie na Teresę.

Spuściła wzrok. Nie była przygotowana na taką propozycję. Tamto dziecko tutaj? Z jej dziećmi? Ale przecież to jego syn. O Boże! Co ma odpowiedzieć? Jan nie naciskał. Zaczął się żegnać. Jeszcze raz popatrzył jej w oczy, pocałował ją w rękę. Zmięknęła od tego spojrzenia. Nagle usłyszała swój głos:

– Dobrze, Janie, tylko uprzedź mnie, kiedy przyjdziecie, żebym przygotowała coś smacznego.

Uśmiechnął się ciepło, pożegnał z dziećmi i wyszedł. Teresa dopiero teraz zdała sobie sprawę, co powiedziała. Że też zawsze musi być taka uległa, taka głupia. A ten Jan! Miał na nią przemożny wpływ, robił z nią, co chciał! Popatrzyła na dzieci. Trzynastoletnia Ewcia, wiele już rozumiejąca dziewczuszka, miała trochę kwaśną minę.

– I po co nam ten Krzysio? Mam swojego brata i on mi w zupełności wystarcza.

Adaś siedział skrzywiony.

– Przyjdzie i jeszcze mi pozabiera zabawki. Albo popsuje. Nie dość, że zabrał mi tatusia?!

– Nie marudźcie, dzieci. Wiem, że będziecie się z nim świetnie bawić. Zobaczycie, jaki on miły. Będzie dobrze.

Na następną wizytę przyszli obaj. Krzyś, okutany w szaliki, z nosem zaróżowionym od chłodu, długo rozwiązywał sznurowadła. Wreszcie Adaś mu pomógł. Kiedy wyłonił się ze wszystkich okryć, okazało się, że jest ładnym, zgrabnym chłopaczkiem. Oczy miał takie jak Jan i bardzo przypominał Adasia, gdy ten był w jego wieku.

Adaś zabrał go do swojego pokoju. Wyciągnął kolejkę elektryczną, którą niedawno dostał od ojca. Po paru minutach, zajęci składaniem i uruchamianiem pociągu, zapomnieli o bożym świecie.

Ewcia miała tatę do swojej dyspozycji. Przyniosła zeszyty, żeby się pochwalić stopniami, i opowiadała o szkole, nauczycielkach, o Kamilu, który wpadł jej w oko. Ona jemu chyba też, bo odprowadzał ją do domu po lekcjach, a nawet przychodził, żeby razem z nią się uczyć.

Jan patrzył na nią zachwyconym wzrokiem. Bardzo przypominała swoją matkę. Takie same pięknie zarysowane brwi i włosy zwijające się w niesforne loczki. Przecież kiedy poznał Teresę, miała niewiele więcej lat niż Ewcia. Jak ten czas leci! Kiedy córka włączyła telewizor, żeby obejrzeć kolejny odcinek ulubionego serialu *Czterej pancerni i pies*, Jan zwrócił się do Teresy:

– Chodź, Tereniu, usiądź, pogadamy. Tak mi brakuje naszych rozmów.

Chciała mu powiedzieć: „Coś za coś” – ale taktownie przemilczała. Przeszli do przytulnego pokoju Teresy i zagłębili się w wygodnych, starych fotelach. Początkowo rozmowa się nie kleiła. Wreszcie Jan zaczął mówić o Krzysiu. Jaki to niesforny, rozpuszczony dzieciak. Matka na wszystko synkowi pozwala. Jemu, Janowi, czasem brakuje już cierpliwości. O żonie taktownie nie wspominał.

Teresie cisnęły się na usta słowa: „Chciałeś, to masz!”, jednak się powstrzymała. Popatrzyła na jego pochyloną, szpakowatą głowę, obwisłe ramiona, gorzki grymas na twarzy. Biedny Jan. Nie tylko jej jest trudno, on też nie wygląda na szczęśliwego. Nie czuła satysfakcji. Tak chętnie podeszłaby do niego, objęła...

– Postanowiłem wstąpić do KOR-u – oznajmił ściszym głosem – wiesz, Komitetu Obrony Robotników. Mnóstwo mądrych ludzi tam działa. Uznali, że należy pomóc, jak się to mówi, klasie robotniczej walczącej o sprawiedliwość, o swoje. Jest tyle spraw, potrzeba wiedzy, by rozwiązywać różne problemy. Zresztą sama wiesz, co ci będę mówił. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale jesteś jedyną osobą, do której mam pełne zaufanie.

Spojrzał na nią czule. Trochę speszona Teresa zapytała:

– A nie boisz się, że na twoim stanowisku możesz mieć kłopoty?

– Trudno, nie ja jeden ryzykuję. Będzie, co ma być. Nie chcę, żeby kiedyś moje dzieci powiedziały, że ojciec stchórzył, kiedy należało działać. Wiesz, tyle się dzieje! Strajki, aresztowania, demonstracje, trzeba tym wszystkim jakoś kierować, doradzać...

W tym momencie do pokoju wpadł Krzyś.

– Tato, tato, musisz mi kupić taką kolejkę, jest fajowa!!! Bo Adam powiedział, że nie da mi tej swojej. Kup mi! Kup zaraz! – Zaczął tupać nogami i krzyczeć wniebogłosy.

Jan z rozpaczą popatrzył na Teresę.

– Sama widzisz. Krzysiu, idziemy do domu.

– Chcę kolejkę, chcę kolejkę!

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Teresa odetchnęła z ulgą. Co Jan jej zrobił, to zrobił, ale teraz ma za swoje!

Przyszedł po dwóch dniach. Znowu przyniósł kwiaty, a dla dzieci słodycze. Długo rozmawiał z Adasiem, potem z Ewcią, wreszcie z Teresą.

– Nie ma sensu wracać do tego, co się stało, a czego nie da się już zmienić. Chcę, żebyś wiedziała, Tereniu, że człowiek podejmuje w życiu poehopne decyzje, których potem żałuje. Wybacz mi, jeśli możesz. Wybacz – powtórzył cicho.

Starła się zachowywać naturalnie, choć łzy napłynęły jej do oczu. Nie chciała okazać wzruszenia ani satysfakcji, choć w głębi serca ją czuła.

Jan został dość długo. Rozmawiali, wreszcie pożegnał się, jakby trochę niechętnie. Teresa powiedziała mu, żeby jechał ostrożnie, bo jest mokro i ślisko. Przytulił ją delikatnie, a wtedy poczuła znajomy zapach wody kolońskiej.

Przymknęła oczy i westchnęła głęboko.

– Do widzenia, Janie! Do zobaczenia!

Było późno. Padał śnieg. Rano zadzwoniła sekretarka Jana, że szef miał poważny wypadek. Zderzył się z drugim samochodem. Jest w ciężkim stanie, leży w Szpitalu Bielańskim.

Teresa pognęła tam, jak mogła najszybciej.

Kiedy dotarła na oddział, Jana wywieźli już do prosektorium. Jak automat poszła do pokoju lekarskiego. Naprzeciw lekarza siedziała skulona, zapłakana kobieta. Teresa obróciła się na pięcie i wyszła. Nie mogła już dłużej powstrzymać łez, które wielkimi kroplami zaczęły płynąć po policzkach.

Przy trumnie stały obie kobiety Jana. Nie patrzyły na siebie. Wpatrywały się w jego spokojną, piękną twarz. Z lewej strony, blisko ucha, widniała sina plama. Teresa dotknęła jej delikatnie. Miała suche oczy, rano nałykała się proszków na uspokojenie. Zapłakana ciotka Emilia, Ewa i Adaś byli obok.

Koło tamtej kobiety stał Krzys i bez ustanku pochlipywał. Teresa uprzytomniła sobie, że to przecież brat jej dzieci, nosi to samo nazwisko. Boże, pomyślała, jak to życie się skomplikowało, jakie to wszystko trudne. Jaśku, coś ty z nami zrobił? Pochyliła się i pocałowała go w usta. Poczowała lodowaty chłód. Odsunęła się szybko.

Kiedy zamykano trumnę, zaszlochała, ale potem była spokojna. W głowie kołatało jej się tylko jedno zdanie: Nie ma już Jana i nigdy nie będzie. Nie pozostał nawet cień nadziei, że może kiedyś do niej wróci. Ale i tamta też nie będzie go miała.

Mijały dni. Teresa dopiero teraz poczuła się tak naprawdę samotna. Przy dzieciach starała się trzymać fason, one też przeżyły ciężkie chwile. Najpierw odejście, a potem śmierć i pogrzeb ojca. To była dla nich wielka trauma.

Czasem myślała, że nad jej rodziną zawisło jakieś fatum czy też klątwa. Mężczyzn można było policzyć na palcach. Prawie wszyscy odchodzili w młodym wieku. Kobiety zostawały same, często z kilkorgiem dzieci, i musiały sobie jakoś radzić. Tak było z babcią Marianną, z jej mamą Felą i ciotkami. Tylko Marta żyła szczęśliwie w pełnej rodzinie. No, ale nie ma przecież reguły bez wyjątku.

Żeby wciąż nie roztrząsać o swoim nieszczęściu, rzuciła się w wir pracy. Często pomagała ciotce Emilii, przybitej śmiercią Jana. Staruszka była bardzo zniedołężniała i z trudem dawała sobie radę z codziennymi obowiązkami. Teresa pamiętała z opowieści męża, jaką była dla niego ciepłą i serdeczną opiekunką. Kiedy został bez rodziców i ukochanej babci Julii, wychowywała go jak najlepsza matka. Teraz, po jego śmierci, ciocia Mila całą swą miłość przeniosła na Ewę i Adasia. Wspierała Teresę finansowo, mówiąc, że nie dopuści, by dzieci Jana

cierpiałą biedę.

Czas płynął i powoli wszystko zaczęło się układać. Teresa została kierownikiem działu. Świetnie sobie radziła, miała dobry kontakt z pracownikami. Jednak bardzo doskwierała jej samotność.

Jeśli miała czas, po południu jechała do Róży. Co prawda, nie mogła rozmawiać z nią o Janie, bo tamta złościła się, wymyślała Teresie od mazgajów i w swoim dość niewybrednym stylu zaczynała wyliczać wady zmarłego i wypominać jej głupotę.

Któregoś dnia, w chłodny październikowy wieczór, siedziały, popijając kawę i rozmawiając o trwającym konklawe. To był bezpieczny temat. Nie budził większych emocji.

– Na pewno znów wybiorą Włocha!

– Ja też tak myślę. – Teresa zgodziła się z kuzynką.

– Przeważnie zawsze, no, z małymi wyjątkami, papieżem zostawał Włoch.

Telewizor był włączony, ale nie zwracały większej uwagi na obraz. W pewnej chwili dotarł do nich wzruszony i pełen emocji głos lektora:

– To sensacja! To nie do uwierzenia! Proszę państwa, nowym papieżem został nasz rodak kardynał Karol Wojtyła!

– Co on powiedział?

– Że papieżem został polski kardynał!

– Koniec świata! To nieprawdopodobne!

Ucichły i z przejęciem słuchały relacji z Rzymu. Dziennikarz mówił o długim oczekiwaniu, czarnym dymie, oznaczającym, że jeszcze nie dokonano wyboru, wreszcie o ogromnej emocji i wybuchu radości, kiedy ukazał się biały dym.

– Teresa, wyobrażasz sobie, Polak papieżem! Cieszysz się?

Jak na komendę poderwały się z foteli i padły sobie w objęcia. Oczy miały pełne łez.

– Pewnie, że się cieszę. Jak to teraz będzie? Ciekawe, co zrobią nasze komunistyczne władze?

– Krzysiek, dziewczynki, słyszeliście? Mamy papieża Polaka!

Z drugiego pokoju wyrżał zaspany mąż Róży.

– No i dobrze!

– Tyle tylko masz do powiedzenia?

– Co tu gadać? Watykan daleko. Dla nas nie ma to większego znaczenia.

– Co ty mówisz? Głupstwa pleciesz! Rząd będzie musiał teraz bardziej liczyć się z Kościołem i ludźmi. Zobaczysz, jak wszystko się zmieni. Byle tylko nic złego mu się nie przytrafiło.

Późnym wieczorem Teresa jechała do domu. Wszędzie po drodze widziała uśmiechniętych ludzi, słyszała okrzyki radości. Jej też było radośnie i lekko. Jeszcze przed wyjściem od Róży zobaczyła nowego papieża w oknie pałacu i usłyszała jego imię. Rozpoczął się pontyfikat Jana Pawła II.

W Skierniewicach, w liceum, zorganizowano zjazd koleżeński. Teresa początkowo nie chciała nawet słyszeć o spotkaniu z dziewczynami. Jednak Róża bardzo ją namawiała i ostatecznie zdecydowała się pojechać. Tym bardziej że Róża też miała zamiar uczestniczyć w imprezie, co prawda, z rocznikiem o dwa lata młodszym, ale pojechałyby razem. Będzie miło.

Po zakończeniu części oficjalnej potworzyły się niewielkie grupki, w których rozmawiano o upływającym czasie i kolejach losu. Teresa słuchała opowieści koleżanek i ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie jest osobą najbardziej pokrzywdzoną przez los. Dwie koleżanki, jak ona, były wdowami, jednej zmarło dziecko, jeszcze inna miała synka z zespołem Downa. Dwie zaangażowały się w politykę, straciły pracę i były na utrzymaniu mężów i tak dalej, i tak dalej. Dziewczyny chciały podtrzymać odnowione kontakty. Wymieniły adresy i postanowiły co jakiś czas urządzać spotkania klasowe.

Po pierwszym dniu zjazdu nie wróciła do Warszawy, tylko przenocowała u matki. Przeplakały pół nocy. Wspomnieniom nie było końca. Mama fizycznie czuła się nieźle, ale bardzo doskwierała jej samotność i mieszkanko, w którym nie było żadnych wygod. Męczyły ją te nędzne warunki.

Teresa pamiętała bieganie z wiaderkiem po wodę. I ta sławojka w końcu podwórka – rozpacz! Za nic nie chciałyby już tak mieszkać. Było jej żal matki. Ale cóż, nie mogła jej pomóc w zdobyciu innego mieszkania. Z kwaterunku mama nie dostałaby przydziału na lepszy lokal, a kupić, nawet gdyby miała odpowiednią sumę, nie było gdzie. Może ona, Teresa, powinna wziąć ją do siebie? Tylko czy mama się zgodzi? Postanowiła z nią porozmawiać.

Teresa nabrała ochoty, by odnowić kontakty z koleżankami z uczelni. Skrzyknęła kilkusobową grupę tych mieszkających w Warszawie. Utworzyły nieformalny związek „obolałych serduszek” i zaczęły dość regularnie się spotykać. Mniej więcej raz w miesiącu w jakimś lokaliku, przy winku, opowiadały o swoich perypetiach życiowych. Pod wpływem tych zwierzeń dotarło do Teresy, że jej małżeństwo z Janem było wspaniałe. Ciepłe i pełne miłości. A że skończyło się fatalnie, to już inna sprawa.

Otwarcie mówiły o radościach i smutkach, o sukcesach, porażkach, nawet o problemach z zakupami. Czasem śmiały się do łez, a czasem, zmęczone i przygnębione, zamawiały kolejne wino, by „utopić robaka”. Coraz częściej też rozmawiały o strajkach, ulotkach, książkach z drugiego obiegu, prawdziwych

wiadomościach odbijanych na powielaczach i rozdawanych w tajemnicy przed władzą, o kłamstwach przekazywanych przez prasę, radio i telewizję. Niekiedy któraś, zazwyczaj Lilka, opowiadała dowcipy ośmieszające rząd, partię, polityków. Teresa świetnie się czuła w towarzystwie koleżanek. Wracała z tych spotkań spokojniejsza i rozluźniona.

Zaczęła też pisać listy do Krystyny. Bardzo ją cieszyło odnowienie tej przyjaźni. Przez pięć lat mieszkaly w akademiku w jednym pokoju. Rozumiały się w pół słowa i nie miały przed sobą tajemnic. Jak to się mówi, z jednej miski jadły. Po dyplomie ich drogi się rozeszły. Mniej więcej w tym samym czasie wyszły za mąż i Krystyna wyjechała na stałe do Krakowa. A teraz tyle się zmieniło! Znowu były same. Nie ma Jana! Krystyna została rozwódką. Co prawda, to nie mąż ją porzucił. Po kilku latach „szczęścia” we dwoje miała dość jego kręactw i niezliczonych romansów, toteż przepędziła go na cztery wiatry. Nie dochowali się dzieci, więc rozstanie było w miarę proste. Teraz doskwierała jej samotność. Tylko w książkach i filmach przed kobietą po przejściach, zbliżającą się do czterdziestki, staje uroczy mężczyzna i zakwita gorące uczucie. Prawdziwe życie jest, niestety, mniej romantyczne. Teresa marzyła, żeby mogły się spotkać. Może w Warszawie? Wreszcie będą miały czas na tak im obu potrzebne pogaduchy.

Ale jak przyjmować gościa, kiedy w sklepach tylko musztarda i ocet?

Jednak Krystyna przyjechała! Na krótko. Śpieszyła się do siostry mieszkającej w Gdańsku, która po poważnej operacji oka musiała się bardzo oszczędzać. Nie wolno jej było wychodzić z domu ani sprzątać, nawet gotować. Lekarze uznali, że tak musi być chociaż przez kilka tygodni. Krystyna wzięła więc urlop, żeby jej pomóc. Kto miał to zrobić, jak nie jedyna siostra?

Przez cały dzień Teresa z Krystyną biegały po Warszawie jak dawniej, w czasach studiów. Tylko Warszawa była teraz inna, biedna i niespokojna. Sklepy puste, ludzie zajęci zdobywaniem jedzenia. Coraz to zbierały się grupy z transparentami. Królowało na nich słowo „solidarność”, pisane na różne sposoby. Skandowano je głośno, wznoszono okrzyki poparcia dla Stoczni Gdańskiej.

Gdy grupa stawała się zbyt liczna, podjeżdżały z piskiem opon samochody pełne milicjantów i ormowców. Byli uzbrojeni nie tylko w pałki, mieli broń i tarcze ochronne. Ustawiali się w tyralierę i rozpędzali demonstrantów. Jeśli nie dawali sobie rady, włączali sikawki i bezlitośnie polewali ludzi lodowatą wodą. Rzucali świece dymne i tłukli pałkami, kogo popadło. Zatrzymywali w areszcie najbardziej aktywnych demonstrantów. Krystyna patrzyła na to wszystko ze zdumieniem. W Krakowie było o wiele spokojniej.

Teresa postarała się o bilety na *Hamleta* do teatru Studio. Spektakl wystawiono bez kostiumów, na całkiem pustej scenie otoczonej granatowymi, pluszowymi kulisami. Patrzyły, zaskoczone i zdziwione. Nie wiedziały, czy to eksperyment, czy może brak pieniędzy sprawił, że Hamlet wygłaszał swój monolog

w garniturze i krawacie, a jego „być albo nie być” brzmiało jak słowa z całkiem innej sztuki.

Krystyna wyjechała, ciesząc się ze spotkania i wspominając pyszne sznycelki, jakimi uraczyła ją Teresa, której udało się zdobyć, czyli kupić, spory kawałek cielęciny od tak zwanej baby.

Miały zbyt mało czasu dla siebie, nawet nie zdążyły pogadać od serca. Przyrzekły sobie, że po powrocie Krystyny do Krakowa Teresa ją odwiedzi. Oczywiście przyjedzie na dłużej niż jeden dzień.

Sytuacja polityczna w kraju była coraz bardziej napięta. Teresa całym sercem popierała walczących robotników, bała się jednak mówić o tym na głos. Wiedziała, że może stracić pracę, a nawet trafić do więzienia. Musiała myśleć o dzieciach. Kto im pomoże, gdyby jej zabrakło? Słuchała Radia Wolna Europa. Obserwowała, jak rośnie napięcie i co się w kraju dzieje. Bała się, czym to wszystko się skończy.

Któregoś dnia spotkała na korytarzu sąsiadkę, panią Zosię. Wszyscy znali ją jako źródło informacji prawdziwych i nieprawdziwych. O każdym miała coś do powiedzenia. Teresa starała się jej unikać. Jednak tego dnia pani Zosia podeszła do niej blisko i chwyciła ją za rękę.

– Słyszała kochana pani ostatnie wiadomości? Wczoraj Wolna Europa podała, że jakiś stoczniowiec, mówili nazwisko, ale nie spamiętałam, coś jak Wałęsa czy jakoś tak, przeskoczył w stoczni przez płot i teraz się na dobre zacznie.

– O Boże je-je-dyny, co się zacznie? – Teresa zaczęła się jąkać z wrażenia.

– A to nie wiesz, moja kochana? Rewolucja się zacznie! Rząd tylko czeka, żeby zrobić wreszcie porządek z tymi strajkami! Dadzą im łupnia! Tym buntownikom! Do czego to podobne, żeby taki bałagan robić?! Wiadomo: władza i żona od Boga przeznaczona.

Pani Zosi z emocji aż się przekrzywiła mała czapeczka na głowie.

– Niechże pani nie powtarza plotek! Do widzenia!

Teresa nie chciała dalej słuchać i szybko ruszyła w kierunku swoich drzwi. Gonił ją głos tamtej.

– Nie ma co chować głowy w piasek, trzeba potępić hołotę.

Teresa przestała nadążać za tokiem myślenia sąsiadki. To kto według niej jest tą hołotą? Ci, co rządzą, czy ci, co strajkują? Podobno wśród przywódców największym mirem cieszył się jakiś młody elektryk o nieznanym nazwisku Wałęsa. Otaczała go spora grupa mądrych doradców. Mądrych i wykształconych. Teresa podziwiała determinację stoczniowców. Ci ludzie chyba wiedzieli, dokąd zmierzają. Może rząd wreszcie choć trochę się ugnie. Podobno przysłana do stoczni delegacja negocjowała z robotnikami. Oby tylko wszystkim starczyło rozumu

i cierpliwości. Postulaty stoczniowców były twarde i dla rządu trudne do przyjęcia. Przedstawiono ich dwadzieścia jeden. W Radiu Wolna Europa wszystkie przeczytali. Podstawowy to legalizacja Solidarności. Ale inne też były ważne.

Jak bardzo Teresie brakowało teraz Jana. On by umiał to wszystko wytłumaczyć, wyjaśnić, uspokoić. Teraz musiała mozolić się sama z sytuacją, która ją przerastała. Nigdy nie lubiła polityki. Bardzo się martwiła, co będzie dalej. Bała się niepokoju, rozruchów. Bała się!

Kończył się upalny sierpień. Rano przyjechała do pracy i już po drodze zauważyła, że coś się zmieniło. Ludzie mieli uśmiechnięte twarze, oczy im błyszczały. Stali na ulicach w grupkach i żywo dyskutowali. Nikt ich nie rozpędzał ani nie atakował.

Zdziwiona Teresa weszła do swojego pokoju, a tuż za nią kilku pracowników. Zaczęli ścisnąć jej ręce. Ze łzami w oczach, jeden przez drugiego mówili, że nareszcie jest porozumienie! Zawarto w Gdańsku porozumienie! Będzie związek. Niezależny i samorządny. Ich związek! Solidarność! Zwycięstwo!!!

SPADEK

Teresie udało się kupić trochę mięsa. Nawet więcej niż trochę. Około dziesięciu kilogramów! Jeden z kolegów z pracy przywiózł od kuzynów ze wsi poćwiartowaną świnie, jak mówiono żartobliwie, „blondynkę”. Trochę się bał, bo przecież wciąż zdarzały się kontrole na drogach. Ale zaryzykował i jakoś mu się udało.

Stała teraz przy kuchennym stole i dzieliła rąbankę na mniejsze porcje. Wykroiła kawałek schabu, trochę żeberka, boczek. Zostało sporo słoniny. Musiała to wszystko jakoś zabezpieczyć przed zepsuciem. Zamrozić nie mogła, bo w radiu wciąż ogłaszano komunikaty o dwudziestym stopniu zasilania i coraz to w innej dzielnicy Warszawy wyłączano prąd na kilka godzin. Przerwy trwały na tyle długo, że lodówka się rozmrażała. Trzeba więc było poradzić sobie inaczej, czyli zrobić mięsne przetwory.

Poustawiała garnki na gazie i zawzięcie pitrasiała. Najwięcej roboty miała ze słoniną. Musiała ją zemleć, dodać cebulki, jabłek i usmażyć. Taki smalec był lepszy niż wędlina. Wyobrażała sobie, jak dzieci będą pałaszowały chleb posmarowany tym rarytasem. Może to i niezdrowe, ale bardzo smaczne!

Resztę mięsa udusiła, ugotowała, a część zawekowała w słojach. Starczy tego na jakiś czas. Kartkowe przydziały były symboliczne. Na miesięczną kartkę sprzedawano zaledwie dwa i pół kilograma wędliny i mięsa, a tak naprawdę to o wiele mniej, bo przecież w tej porcji była także wołowina z kością. Często trafiał się ochłap, który nawet na rosół się nie nadawał. Adaś rósł szybko i potrzebował białka zwierzęcego. A ona i Ewa też przecież lubiły zjeść. Czasem od tak zwanej baby, chodzącej z towarem od drzwi do drzwi, Teresa kupowała cielecą kulkę albo mostek. Ale na ile to wystarczało... Oczywiście kwitł nielegalny handel. Polacy byli zaradni i mimo trudności aprowizacyjnych nie zamierzali umierać z głodu, choć czasem łamali przepisy. Teresa westchnęła i ciężko usiadła w fotelu. Była zmęczona, ale zadowolona.

Następny dzień przyniósł jej przykre przeżycie. Zaraz po pracy miała pójść do ciotki Emilii, a potem spotkać się z koleżankami na kolejnej sesji poprawiania nastroju, to znaczy na kawie i winku, bo ciastek najczęściej nie było.

Zastała ciotkę w łóżku, obolałą i z wysoką gorączką. Natychmiast zadzwoniła po pogotowie. Lekarz, nie zwracając uwagi na nieśmiałe protesty chorej, postanowił zabrać ją do szpitala. Teresa szybko przygotowała potrzebne rzeczy i sanitariusze zabrali panią Emilię na noszach do karetki.

Została sama w pustym mieszkaniu. Bez drobnej sylwetki ciotki i jej serdecznego uśmiechu to miejsce wydawało się zimne i nieprzyjemne.

Uporządkowała jakieś drobiazgi i wyszła z ulgą, zamykając za sobą drzwi.

Do codziennych obowiązków doszły odwiedziny w szpitalu. Teresa patrzyła na Emilię z niedowierzaniem. Przecież to jeszcze nie taka stara kobieta. Ludzie w jej wieku doskonale sobie radzą. A ona? Wychudzona, blada, leżała na szpitalnym łóżku jak woskowy manekin. Złamały ją trudy życia. Najpierw wojna, potem niełatwe lata na emigracji. Kiedy już się wydawało, że jakoś zaczęło się układać, umarł wujek Edmund, później rozpadło się małżeństwo Jana, a ostatecznie dobiła ją jego śmierć. To za dużo dla jednej słabej kobiety.

Teresa ze smutkiem patrzyła, jak ciotka gaśnie. Całkiem straciła wolę życia. Poddała się. I to nie zapalenie płuc ją zabijało, tylko depresja. Odeszła po kilkunastu dniach, nad ranem, kiedy dusza najslabiej trzyma się ciała, a świt, zamiast przynosić ulgę i pocieszenie, wysysa z chorego resztę sił.

Teresa załatwiła formalności pogrzebowe i ciotka spoczęła na cmentarzu Powązkowskim, w grobie obok męża i Jana. Żegnali ją najbliżsi. Niewielu ich było. Teresa z dziećmi i kilkoro sąsiadów.

Pogrzeb odbył się bez niespodzianek, mimo że od ponad roku trwał stan wojenny, wprowadzony przez rząd w pamiętny mroźny dzień trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku.

Dla Teresy, jak i dla wszystkich Polaków, był to wstrząs. W telewizji od wczesnego rana lektorzy w wojskowych mundurach przekazywali wciąż te same słowa: o chaosie, możliwości wojny domowej, o konieczności opanowania sytuacji. Ewa i Adaś, podobnie jak Teresa, jak cały kraj, bez skutku czekali na ulubione niedzielne programy telewizyjne. Komunikaty o stanie wojennym były często powtarzane. Co jakiś czas ukazywał się także generał. Z grobową miną, w ciemnych okularach, pogłębiał ponure uczucia, jakie ogarnęły Polaków. Po ulicach krążyły patrole wojskowe. Ogłoszono godzinę milicyjną, obowiązującą od wieczora do rana. Ludzie ludziom powtarzali najnowsze wiadomości, zasłyszane w Radiu Wolna Europa.

Aresztowano setki, a może nawet tysiące, działaczy Solidarności, których zamknięto w więzieniach i obozach dla internowanych. Milicja wyciągała ich z domów w środku nocy, nie zwracając uwagi na pozostawione często bez opieki dzieci. Natychmiast wprowadzono zakaz przekraczania granic województwa bez stosownego zezwolenia. Wszystko jakby zamarło.

Teresa nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Ludzie wstrzymali oddech. Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Zawsze tak radosne, w tym roku były ponure i biedne. Na jedną, sylwestrową noc zawieszono godzinę milicyjną, ale prawie nie organizowano zabaw ani spotkań towarzyskich. Przygnębieni sytuacją ludzie nie mieli ochoty na bale. Nawet młodzież, niby taka bezideowa, wiedziała, jak się zachować w tym trudnym czasie, i rezygnowała z urządzania studniówek.

Nie działały teatry. Wielu aktorów wybrało tak zwaną emigrację

wewnętrzna. Występowali jedynie w kościołach i prywatnych domach. Teresa bywała na takich spektaklach, choć wpadka groziła niemiłymi konsekwencjami. Czuła jednak wewnętrzną potrzebę, by zaakcentować swój protest przeciw stanowi wojennemu.

Z czasem część więźniów wypuszczono, reszta pozostała w zamknięciu jeszcze przez długie miesiące. Świetnie działała sieć kolportażu różnego rodzaju gazetek, odbijanych na powielaczach i rozpowszechnianych głównie przez młodzież, dzięki czemu do społeczeństwa docierały prawdziwe wiadomości. To był bardzo trudny czas.

Stopniowo jednak rygory zaczęły łagodnieć. Zniesiono godzinę milicyjną i zakaz opuszczania miejsca zamieszkania. W sklepach nadal były pustki, mimo to życie zaczęło powoli wracać do normy. Polacy nazwali ten czas „wojną jaruzelską”.

Szczęście w nieszczęściu, że pogrzeb ciotki Emilii odbył się bez zakłóceń. Minęło sporo dni, a Teresie nawet nie chciało się myśleć o uporządkowaniu mieszkania ciotki. Przyszło jej do głowy, że może matka chciałaby w nim zamieszkać. Nie byłaby taka samotna w tych Skierniewicach. No i warunki miałyby o całe niebo lepsze. Postanowiła w najbliższą niedzielę pojechać do niej i porozmawiać. Na szczęście nie trzeba już załatwiać przepustki na przekraczanie granicy województwa.

Jeszcze przed niedzielą, w czwartkowy rano, zadzwonił telefon. Zaskoczona Teresa usłyszała głos Anny, żony Jana. Prosiła o spotkanie, jak powiedziała, w bardzo ważnej sprawie. Umówiły się w kawiarni tego samego dnia, o siedemnastą. Teresa czuła niepokój przed tym spotkaniem. Czego też mogła chcieć od niej ta kobieta?

Kiedy zobaczyła ją w drzwiach, całą w czerni, bez makijażu, z pochyloną głową, całkiem straciła pewność siebie. Anna ukloniła się lekko. Nie podała ręki Teresie, usiadła naprzeciwko, podziękowała kelnerce za proponowaną kawę i zaczęła mówić trochę drżącym głosem:

– Wiem, że niedawno zmarła bezpotomnie bliska krewna Jana. Wiem także, że zostało po niej mieszkanie. Nasz syn, to znaczy mój i Jana, zgodnie z prawem powinien otrzymać należną część majątku po tej kobiecie. Proszę przy załatwianiu spraw spadkowych pamiętać, by nie skrzywdzić Krzysia. Nie chciałabym dochodzić jego praw w sądzie.

Teresa słuchała, choć ledwo docierały do niej słowa tamtej. Spadek, syn, przepisy, sąd? Co ta kobieta wygaduje? Z jakiej racji?! Spadek należy się jej dzieciom, Ewie i Adamowi, a nie jakiemuś obcemu bękartowi. Nie dość, że zabrała jej Jana, to jeszcze chce pieniędzy? Co za tupet. Jaka bezczelność! Popatrzyła w twarz Anny. Wyobraźnia podsunęła jej obraz Jana całującego usta, oczy tamtej. To nie do zniesienia! Bez słowa podniosła się i szybko ruszyła w kierunku drzwi.

Anna coś jeszcze mówiła, ale Teresa nie zatrzymała się, wyszła z kawiarni, nie oglądając się za siebie.

Następnego dnia odwiedziła radcę prawnego w swojej firmie. Kiedy zaczęła mówić o swoim problemie, starszy, doświadczony prawnik przerwał jej delikatnie, lecz stanowczo.

– Miła pani, nie jestem specjalistą od spraw spadkowych i nie będę mógł pani pomóc, ale sprawa wydaje się dość prosta. Nawet mnie wiadomo, że wszystkim dzieciom należy się po ojcu spadek w równych częściach. Czy jest pani pewna, że jedynie ich ojciec dziedziczył po ciotce? Notabene, czy zmarła zostawiła testament? Ze szczerego serca radzę dowiedzieć się u dobrego adwokata, co mówią o takim przypadku przepisy. On wyjaśni pani wszystkie zawiłości tych sytuacji. Wiem, że sprawy spadkowe ciągną się czasem w nieskończoność, więc proszę się odpowiednio zabezpieczyć! Aha, dziedziczy także aktualna żona zmarłego. Więc tylko dobry adwokat, proszę pamiętać! Tylko dobry adwokat!

FELICJA

Dzień był pochmurny i chłodny. Teresa rozejrzała się dokoła. Budynek skierniewickiego dworca wydał jej się jakby mniejszy i mocno zaniedbany. Tynk, którym swego czasu upaśćkano ściany, zresztą wbrew opinii konserwatora zabytków, odpadał całymi płatami. Tylko socrealistyczne malowidła, znane od dzieciństwa, trzymały się nieźle i przyciągały wzrok. Wstępowały tu często z Jolką, wracając ze szkoły. Miały wtedy po osiem lub dziewięć lat. Pamiętała, z jaką zazdrością patrzyła, jak Jolka pałaszuje bułkę z żółtym serem, wtedy mówiło się „szwajcarskim”, którą dawała jej matka pracująca w kolejowym bufecie.

Teresa zapięła szczelnie płaszcz i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Ostatnio rzadziej przyjeżdżała do domu – zawsze tak nazywała w myślach skromne mieszkanko matki. Szła wzdłuż parku. Nagie konary jesienią wyglądały smutno, a siedzące na nich i głośno kraczące czarne ptaszyska dopełniały ponurego wrażenia. Druga strona ulicy, zabudowana starymi domami, w większości murowanymi, w których były sklepy, nie tylko spożywczy, ale też rybny, monopolowy, a nawet Orbis, wyglądała jak zwykle. Mimo że kilka lat wcześniej Skierniewice zostały stolicą województwa, niewiele się tu zmieniło. Domy odrapane, płoty pordzewiałe, śmieci rozwiewał wiatr. A przecież to ulica Sienkiewicza, prawie najważniejsza w mieście – miejski deptak, „skierniewicki salon”. Teresa pamiętała spacer, zwłaszcza w niedzielne południa, po skończonej mszy, ale także wieczorne, trochę tajemnicze i pełne różnych emocji. To tutaj nawiązywały się sympatie, romansiki, czasem prawdziwe miłości. Ile tu krążyło uczuć. Oj, tak, tak! Wiedziała coś o tym! Minęła dużą bryłę ogólniaka. Jej ogólniaka. Jeszcze poczta i już zobaczyła dom matki.

Otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Za stołem siedział obcy mężczyzna i coś zajadał. Matka, zaskoczona jej widokiem, spłoszyła. Ładnie jej było z tym rumieńcem. Zmieniła uczesanie, przyciemniła włosy. Miała na sobie kremową bluzeczkę. Teresa przez chwilę nie mogła wydobyć głosu. Matka opanowała się szybciej.

– Tereńka, moja kochana córeczka! – powitała ją niezwykle wylewnie.
– Wchodź, wchodź, poznajcie się! To jest Gienio, to znaczy Eugeniusz, mój znajomy, bliski znajomy.

Mężczyzna wolno podszedł do Teresy, ucałował jej rękę i powiedział:

– Jestem Eugeniusz Kłos, dla córki mojej Feli po prostu Gienio!

Teresa, nadal oszołomiona, z pewnym trudem wymamrotała swoje nazwisko. Wreszcie zebrała myśli i spojrzała uważniej na mężczyznę. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał miłą twarz i siwe wąsy. Sprawiał sympatyczne wrażenie, ale co

znaczą słowa „mojej Feli”?

Późnym popołudniem, kiedy zostały same, usiadły naprzeciwko siebie przy stole. Fela nie czekała na pytania Teresy.

– Widzisz, córciu, prawie całe życie byłam sama. Jak mój Kazio umarł, nie wyobrażałam sobie innego mężczyzny koło siebie. Do twojego zamążpójścia żyłyśmy tylko we dwie. Czas mijał, zestarzałam się. Nigdy nie myślałam, że mając przeszło sześćdziesiąt lat, spotkam kogoś, kto będzie miły, kulturalny i opiekuńczy. Gienio pomaga mi w domowych sprawach. Jest wdowcem i źle mu w samotności, tak jak mnie. Nie pisałam ci o tym, bo chciałam widzieć twoją minę, kiedy ci powiem, że myślimy o małżeństwie. Co ty na to?

– Mamo, jestem tak zaskoczona, że brak mi słów. Wiadomo, jak trudno żyć w pojedynkę, sama to odczuwam, ale z drugiej strony wiązać się na stałe z nieznanym bliżej, starszym już człowiekiem to wielkie ryzyko!

– Ja też nie jestem młoda, a znamy się już dość dawno i wiem, jaki on jest. Dogadaliśmy się, że co dwie emerytury, to nie jedna. Gienio mieszka w bloku, ma nieduże mieszkanie, ale wygodne. Jego dzieci są dorosłe i porozjeżdżały się po świecie. Syn, Artur, mieszka w Niemczech, w Hamburgu, a córkę wywiało aż do Ameryki. Najpierw była w obozie przejściowym w Austrii, potem udało jej się razem z chłopakiem wyjechać do Kanady, a stamtąd do Chicago. Nie mają zamiaru wracać. Podobno chcą się pobrać w tej Ameryce. Gienio bardzo to wszystko przeżywa. Przychodzi do mnie, opowiada, żali się. To nas zbliżyło. On jest bratem Kusiowej, wiesz, tej spod osiemnastki. U niej się poznaliśmy. Potem spotkaliśmy się kilka razy na cmentarzu. Dobrze nam się rozmawiało, więc zaprosiłam go na ciasto. I tak się zaczęło. Nie miej mi za złe, ale dość mam już tego samotnego życia.

– W takim razie sprawa, z którą przyjechałam, jest nieaktualna. Wie mama, że ciotka Emilia zmarła. Zostało po niej całkiem przyzwoite mieszkanie. Myślałam, żeby mama się tam przeniosła. Ale cóż, mama urządza sobie życie po swojemu, więc nie ma o czym mówić.

Jej słowa zabrzmiały trochę uszczypliwie. Fela spuściła głowę, żeby ukryć napływające do oczu łzy.

– Córeczko, opowiadaj o sobie, o dzieciach. O Gieniu pogadamy później, jak się oswoisz z tym, co ci powiedziałam.

– Mamo, czy ty go kochasz?

– Tereniu, w starszym wieku inaczej się myśli o miłości. Cóż to ta miłość? Jeśli ci z drugim człowiekiem dobrze, macie o czym rozmawiać, jest się komu wyzalić albo i poradzić, możecie iść razem na spacer, po zakupy, jeśli ten ktoś daje ci wsparcie i czułość, to co więcej kobiecie, takiej jak ja, potrzeba?

– Wiesz, mamo, że chciałabym dla ciebie jak najlepiej! Ale nie podoba mi się ten pomysł z małżeństwem.

– Pożyjemy, zobaczymy! – odparła spokojnie matka.

Przez kilka następnych dni Teresa nie mogła przestać myśleć o matce i panu Gieniu. Co też przyszło im na stare lata do głowy? Amorów się zachciało! Wstyd jej było tych myśli, jednak nie mogła się od nich uwolnić. No, ale jeśli matka nie chce się przenieść do Warszawy, to można sprzedać mieszkanie Emilii i wpłacić wkład na mniejsze, spółdzielcze dla Ewy. Chętnych jest bardzo dużo, więc na klucze czeka się co najmniej kilka lat, ale przecież kiedyś się doczeka. To już duża dziewczyna i tylko patrzeć, jak zechce ułożyć sobie życie po swojemu. Na początek musi jej wystarczyć nawet malutkie lokum. A resztę powinno się w coś zainwestować. Przy takiej inflacji nie warto trzymać pieniędzy w PKO. Nie wiadomo, co może się przydarzyć. Może kupić trochę złota, tylko czy taka lokata będzie opłacalna? Ceny są przecież horrendalne. Albo jakąś działkę, choć Teresa zupełnie nie miała głowy do uprawy ziemi. Tak bardzo jej brakowało Jana. On by zdecydował najlepiej.

Wreszcie postanowiła nie odwlekać już dłużej spraw związanych z mieszkaniem ciotki. Po pracy pojechała na Krasińskiego, weszła na pierwsze piętro i stanęła jak wryta. Drzwi były opieczętowane. Z daleka rzucała się w oczy biała kartka. Co za diabeł? O co chodzi? Teresa spróbowała włożyć klucz do zamka, jednak nie pasował. A więc zamek został zmieniony.

W pierwszej chwili zupełnie nie wiedziała, co dalej robić, do kogo zwrócić się o wyjaśnienie tej sprawy. Wróciła do domu i zadzwoniła do Anny. Po chwili oczekiwania usłyszała jej spokojny głos. Z trudnością, zacinając się lekko, jak zwykle kiedy była zdenerwowana, zapytała, o co chodzi, dlaczego mieszkanie ciotki jest opieczętowane.

– Sprawa spadkowa toczy się w sądzie i dopóki nie zapadnie ostateczny wyrok, mieszkanie zostało zabezpieczone przed ewentualnymi intruzami.

Te słowa do reszty wyprowadziły Teresę z równowagi. Rzuciła słuchawkę i rozplakała się ze złości na niesprawiedliwość świata i na bezczelność ludzi.

Kiedy ochłonęła, zadzwoniła do prawnika, którego polecił jej zakładowy radca prawny, i umówiła się na najwcześniejszy termin, jakim specjalista od spraw spadkowych dysponował.

Już następnego dnia po południu, starannie ubrana, pojechała do jego kancelarii. Pewnym krokiem wkroczyła do skromnego gabinetu. Za biurkiem, zarzuconym papierami, siedział drobny mężczyzna. Miał sporą łysinę, podkrążone oczy i niezdrową cerę. Zauważyła też, że krawat w jasne ciapki jest niedbale zawiązany. Spojrzał na nią przelotnie i poprosił, żeby usiadła. Wyłuszczyła mu

swoją sprawę. Wysłuchał spokojnie, nie przerywał, a kiedy skończyła, zapytał, kto jest właścicielem mieszkania.

– No, oczywiście ja i moje dzieci. Ciotka była jakby drugą matką mojego męża, więc to chyba jasne.

– Proszę przedstawić dokument stwierdzający, kto jest właścicielem mieszkania – powiedział obojętnym głosem mecenas.

– Nie mam, ale...

– Może zmarła sporządziła testament?

– Nic o tym nie wiem. Ciotka była bardzo bliską mi osobą. Aż do jej śmierci opiekowałam się nią jak własną matką. Jednak na temat testamentu nigdy nic nie mówiła.

Mecenas w zamyśleniu potarł czoło, po czym beznamytnie wypisał na kartce dokumenty, które powinna mu jak najszybciej dostarczyć. Potem podał jej dłoń na pożegnanie – chłodną i bezwładną jak śnieża ryba. Teresa nie miała zaufania do ludzi, którzy w taki sposób podają rękę. Wyszła z mieszanymi uczuciami. To ma być ten świetny specjalista? Straciła nadzieję na pomyślne i szybkie załatwienie sprawy. I jeszcze ta rybia ręka!

Wkrótce przekonała się, jak bardzo były słuszne jej przeczucia. Otrzymała wezwanie do sądu. Napisano w nim, gdzie, kiedy i o której odbędzie się rozprawa spadkowa. Pomyślała, że adwokat jednak nieźle się spisał. Zadzwoiła do niego. Trochę zdziwiony, oświadczył, że ten termin nie jest mu na rękę. Nie wie, dlaczego właśnie ten dzień wyznaczono i dlaczego w tym sądzie. Mimo to postara się dotrzeć na czas. Sprawa jest ewidentna i z pewnością nie potrwa długo. Teresa nie zdążyła zapytać, co to znaczy, bo adwokat mruknął „Do widzenia” i odłożył słuchawkę.

Gdy przed drzwiami sali numer sto siedem zobaczyła Annę, bardzo się zdziwiła. Matka Krzysia wyglądała zupełnie inaczej niż w czasie ich spotkania w kawiarni. Miała na sobie ładny, czarny kostiumik z białymi dodatkami. Rzęsy podkreśliła tuszem, a usta szminką. Na Teresę spojrziała z wyniosłą miną.

A ta co taka zadowolona? – pomyślała Teresa. Ogarnęło ją jakieś niemile przeczucie.

Po dwóch godzinach zdruzgotana wychodziła z sali. Pytania, pytania, niektóre były bardzo osobiste. W pewnej chwili Anna przedstawiła sądowi testament ciotki Emilii. Ciekawe, skąd go miała? Pewno znalazła w rzeczach Jana. Ciotka ustanowiła go jedynym spadkobiercą mieszkania i wszystkiego, co się w nim znajdowało. Wyrok, który zapadł, był dla Teresy jak grom z jasnego nieba. Spadek po ciotce, a właściwie po Janie, który testamentu nie zostawił, w połowie należał się jego żonie i w równych częściach dzieciom. W jego posiadanie mają prawo wejść po osiągnięciu pełnoletności.

To był cios. Jak to możliwe?! Co to za prawo, które pozwala, by ta wstrętna

baba, małpa, zdzira – Teresa nie żałowała tamtej obelg cisnących się do głowy – została wraz z synem właścicielką tego, co należało się tylko Teresie i jej dzieciom? Ewa skończyła już osiemnaście lat, więc mogła przejąć swoją część. Tylko jak to zrobić? Teresa nie miała zupełnie pojęcia, co będzie dalej. Niewiele brakowało, żeby się rozplakała. Wiązała z tym spadkiem takie plany. Teraz czuła się, jakby rzucono jej jałmużnę. W pierwszym odruchu chciała zrzec się tych pieniędzy. Niech się udławi jej krzywdą, ta... Ale czy wolno jej pozbawiać dzieci schedy po ojcu? Zresztą, w tej sprawie nie miała nic do powiedzenia. To, że tyle lat była żoną Jana, nie miało dla sądu żadnego znaczenia. Paragrafy nie wnikają w niuanse. Ale ta Anna to cwaniara! Niby takie niewiniątko, do trzech nie umie zliczyć, a proszę, wykiwała Teresę. Świństwo! Czarna niesprawiedliwość!

Niedobrze jej się robiło na myśl, co ją jeszcze czeka.

MORZE

Lato dobiegało końca. Druga połowa sierpnia to czas spokoju. Morze nabiera oddechu po wiosennych sztormach, szykując się na jesienne. Woda jak na polskie warunki jest dość ciepła. Słońce jeszcze przypieka, dokoła złoty piasek, granatowy bezkres, zieleń i lekki wiaterek. Wspaniałe warunki do odpoczynku. Teresa i Ewa, wysmarowane olejkami do opalania, leżały obok siebie na kocu. Adam poszedł popływać. Było tak cicho i leniwie, że nawet nie chciało im się rozmawiać. A już zupełnie nie miały ochoty wracać do perypetii ze spadkiem.

To był przykry czas. Wizyty u adwokatów, rozprawy w sądzie, apelacje. Teresa straciła mnóstwo pieniędzy na sprawę z góry przegraną. *Dura lex, sed lex*. To prawda! Jednak trudno jej było się z tym pogodzić.

Starła się trzymać dzieci z dala od tej walki. Adasia zresztą niewiele to obchodziło, ale Ewa podpytywała Teresę o przebieg i wyniki jej starań. Od kiedy dostała się na uczelnię, spoważniała. Stała się młodą, atrakcyjną kobietą. Jednak nie angażowała się w przygodne znajomości z chłopakami. Teraz przed nią studia, zmiana otoczenia. Z pewnością znajdzie wielu nowych przyjaciół.

Teresa beznamietnie patrzyła na mężczyzn spacerujących po plaży. Właściwie nie było na kim oka zawiesić. Przeważnie mieli spore brzuszki, brzydkie sylwetki, a kąpielówki jak z przedwojennych filmów. Nie wyobrażała sobie kogoś takiego w domu, na co dzień. Mimo że od śmierci Jana minęło kilka lat i jego postać zaczęła lekko blednąć, nie przestał być dla niej ideałem mężczyzny. Żaden z tych tutaj nie mógł się z nim równać. Przymknęła oczy i poddała się lenistwu, a po chwili zapadła w słodką drzemkę.

Po dziesięciu pięknych dniach pogoda znienacka całkiem się popsowała. Niebo pokryły ciemne chmury. Zaczęło dmuchać zimnem, a morze z godziny na godzinę robiło się coraz bardziej niespokojne. Nadchodził sztorm. Plaża opustoszała, na maszcie powiewała czarna flaga. Adaś zaproponował powrót do domu, bo nie mógł pływać, a to przecież jedyna rozrywka w tej miejscinie. Dyskoteki go nie pociągały.

Zebrali więc manatki i rankiem następnego dnia wsiedli do samochodu. Ruszyli w kierunku Warszawy. Po kilku kilometrach Teresa zapytała, czy chcieliby wstąpić po drodze do Czaplina. Niewiele trzeba nadłożyć drogi, a wreszcie odwiedziliby dawno niewidzianą ciotkę Martę i jej rodzinę. Dzieci zgodziły się bez protestu, Adaś postawił jednak warunek. Chciał prowadzić samochód. Niedawno zdobył prawo jazdy i marzył, by usiąść za kierownicą i popisać się nowymi umiejętnościami. Szosa była pustawa, jak to w niedzielny poranek, więc Teresa po krótkim namyśle ustąpiła mu miejsca. Prowadził spokojnie, pewnie, ale kiedy zatrzymali się pod domem ciotki, nie wytrzymał i z całej siły przycisnął klakson,

którego ogłuszający dźwięk wywołał gospodarzy z domu.

Teresa z niedowierzaniem popatrzyła na krągłą jak piłka postać wyłaniającą się zza drzwi. Marta od ich ostatniego spotkania znowu przytyła. Dobiegała sześćdziesiątki, twarz miała gładką, a szpakowate włosy upięte w spory kok. Szeroka, domowa sukienka nie maskowała sporego brzuszka. Na nogi wsunęła, chyba z pośpiechu, o wiele za duże kapcie, pewno Romana. Tuż za nią ukazała się zwalista postać męża.

– Któż to do nas przyjechał? Tereska? Wchodźcie, kochani. Wchodźcie! Romuś, popatrz, jakich gości mamy!

Serdecznościom nie było końca, aż wreszcie Romuś przytomnie zaproponował:

– A co my tak na ulicy stoimy? Do domu zachodźmy. Do domu!

Teresa bardzo lubiła jego śpiewną wymowę. Nadal zaciągał, mimo że tyle lat upłynęło, odkąd wyjechał z Kresów. Mówił po polsku miękko i melodyjnie, a głęboki i mocny głos pasował do jego niedźwiedziej postury. Całował ręce Teresy, patrzył na nią z zachwytem i usta mu się nie zamykały.

– Tereska, ty zawsze taka sama piękna, bez obrazy, cacko! Tylko by schrupać ciebie na deser.

– Romuś, a ty się nie wygłupiaj, tylko pokaż, gdzie łazienka, i do stołu proś.

To była cała Marta. Pogodna, gościnna, ciepła. Teresa zawsze żałowała, że tak daleko od siebie mieszkają. Miałaby w ciotce wsparcie w niejednej sprawie. Dogadywała się z nią czasem lepiej niż z rodzoną matką.

Marta zakrzętała się i po kilku ledwo minutach zastawiła stół smakołykami. Była i dobra wędlinka, i masło, sery, a co najważniejsze, świeżo uwędzona sielawa. Ryba pachniała z daleka, nawet węgorz by jej nie dorównał. Mimo że cała trójka nie była głodna, zasiedli do solidnej przekąski. Marta i Roman spoglądali z radością, jak goście pałaszują wszystko po kolei.

– Jedzcie, jedzcie, w domu tego na pewno nie macie. Rybkę Romuś dzisiaj rano z wędzarni przyniósł. A wieczorem węgoryk będzie.

– Wieczorem to my już u siebie w domu kolację zjemy!

– A wam gdzie się śpieszy? Tak szybko ja was do domu nie puszcę. Musimy się wami nacieszyć, pogadać! Co tam słyhać u twojej matki, a mojej siostry, Feli? Czy zdrowa? A wy jak żyjecie? Głodni nie chodzicie? Czasy takie ciężkie... – Marta pytała, nie czekając na odpowiedź. – Tu, u nas, to zawsze coś do jedzenia się kupi. Czasem Romuś rybkę złapie. A wy, moje biedaki? Co jecie?

Zanim Teresa przełknęła, żeby odpowiedzieć bodaj na część pytań, posypały się następne. W końcu Roman przykrył dłonią rękę żony.

– A zatrzymaj się, miła gołąbeczko. Toż Tereska nie może do głosu dostać się.

– Mów, mów, już będę cicho.

Teresa zaczęła opowiadać o perypetiach z mieszkaniem ciotki Emilii i jak spaliły na panewce jej plany z nim związane. Jakie są trudności z zakupami w Warszawie, jakie kolejki po wszystko. O tym, że benzyna na kartki, to oni też wiedzieli. Żeby nad morze pojechać, to od złodzieja musiała dokupić dwa kanisterki, oczywiście po wyższej cenie.

– Jak to, od złodzieja? – Marta szeroko otworzyła oczy.

– Ano tak, ciociu. Zawsze znajdzie się jakiś „zaradny”, co ma dostęp do paliwa i zwędzi trochę. Bez takich cwaniaków to bym dojechała chyba tylko do Bydgoszczy, a dalej co?

Marta była tak zdziwiona, że aż przestała przerywać. Ale kiedy Teresa opowiedziała o swojej matce i jej ochocie do zamążpójścia, ciotka nie wytrzymała i fuknęła.

– Popatrz, Tereska, przyszedł od niej list niedawno, ale o tym, jak mu tam, Gieniu nic nie napisała! Ani słowa! To dopiero siostra! Wszystko w tajemnicy trzyma. Dam ja jej za to wygawor. Czegóż ona przede mną ukrywa takie ważne rzeczy?

Młodzi poszli z Romanem nad jezioro, a Marta z siostrzenicą rozmawiały, nie patrząc na zegar. Wczesnym popołudniem dołączyła do nich Danusia, starsza córka ciotki. Spokojna, małomówna, chuda i niezbyt atrakcyjna. Przeciwnieństwo matki. Marta zaczęła mówić, jakby Danusi tu nie było.

– Nie wyszła moja córunia dotychczas za męża, ale mieszka osobno, przy ulicy Wałęckiej, w pierwszym bloku wybudowanym w Czaplinku. Pracuje jako nauczycielka w szkole podstawowej. Lubią ją i dzieci, i koleżanki, nikt o niej złego słowa nie powie. Przychodzi do nas często. Dobre dziecko!

Marta przytuliła siedzącą obok na kanapie milczącą Danusię.

– Nie chcesz mieszkać z rodzicami? – zapytała Teresa.

– Lubię swoje mieszkanie. Jest takie przytulne i ciche.

– Ale męża nie masz – natychmiast zareagowała jej matka. – Ani dzieci! Na stare lata kto ci szklankę wody poda? Basia to skończyła studia, wyjechała do Słupska, wyszła za męża i dwójki dzieciaków się dochowała. Danusia często do niej jeździ. Podawała do chrztu starszego chłopaczka – Sambora. Jakieś dziwne imię mu dali. Ale już się przyzwyczaiłam. Młodszy, Maciuś, rośnie jak na drożdżach. Fajne urwisy. Jak przyjadą, to tylko na ryby z Romusiem chcą chodzić, a dziadek na wszystko im pozwala. Jeszcze ci o naszym synku Jacku nie powiedziałam. Skończył technikum leśne w Poznaniu i zaraz po szkole wyjechał w Bieszczady. Mówi, że to najwspanialsze miejsce i tylko tam chce się żyć. A przecież tu u nas też pięknie. Jeziora jak malowane i lasy! Ale co z takim zrobisz?. Pisze do nas od czasu do czasu. Żałujemy, że jeszcze się nie ożenił, a już przecież mu pora. Przystojny jest. Kawał chłopca! W Romusia się wdał. Ma dwadzieścia pięć lat, pokażę wam później zdjęcia. Ale ja was zagaduję, a obiad trzeba nastawić.

Podniosła się z kanapy, pogładziła po głowie Danusię i zgrabnie ruszyła do kuchni.

– Ciociu, pomogę ci. Tylko powiedz mi jeszcze, jak ciocia Wanda żyje.

– Oj, biedna ta nasza Wandzia. Będzie już z dziesięć lat, jak jej Rysio umarł, a ona dalej w żałobie chodzi. I tylko o nim mówi i wspomina, jaki to był człowiek. W tej skołatanej głowinie trochę jej się pomieszało. Nic jeść nie chciała, wciąż płakała i rozpaczała. Schudła tak, że całkiem niepodobna do siebie. Niedawno lekarze skierowali ją do takiego domu dla chorych w Szczecinku. Jeździmy do niej czasem. Trudno ją poznać! W czerni wygląda jak śmierć na chorągwi. Nie narzeka na pobyt w tym domu, chyba się przyzwyczaiła.

– Ciociu, moglibyśmy do niej pojechać, przecież to niedaleko.

– Zobaczymy.

– Wiesz, ciociu, żal mi, że tak rzadko widuję się z Marysią. Mam wyrzuty sumienia. Tak jakoś szybko ten czas ucieka.

– No właśnie. Co u niej? To przecież moja najmłodsza siostra. Była niedużą dziewczuszką, jak wyjechałam ze Skierniewic. Jak ją zobaczysz, to pozdrów od nas!

– Oczywiście. Myślę, że niedługo do niej pojedę. Z tego, co wiem, nie najlepiej jej się żyje. Po śmierci Tadzia wyszła ponownie za męża, chyba niezbyt fortunnie. Dzieciaki rosną. Mieszka w Piastowie, więc nie tak daleko. Koniecznie muszę do niej pojechać! A teraz w czym mam pomóc?

– Ano, tak to życie się plecie. Szkoda Marysi. Była z nas najładniejsza i najzdolniejsza. Powinna się uczyć, skończyć studia, zdobyć stanowisko i znaleźć męża, jak należy. Czasem życie takie figle płata! A jak chcesz mi pomóc, to najpierw zanieście na pięterko bagaże. Pokoik nie jest duży, ale się zmieścicie. Będiesz spała z Ewą na podwójnym łóżku, z pierzyną. Będzie wam ciepło. A Adaś na kanapie. Chyba się zmieści.

Teresa wyobraziła sobie minę córki, jak zobaczy dużą, puchatą pierzynę. Będzie to dla niej nowość, a może raczej eksponat muzealny! Adam, który właśnie wrócił znad jeziora, trochę nieufnie popatrzył na kanapę. Stwierdził, że to długość dla krasnala, ale da sobie radę. Zwinie się w kłębek i jakoś wytrzyma!

Zeszli na dół, żeby pomóc Marcie przy obiedzie. Adasiowi przypadło obieranie ziemniaków, Ewa pitrasiała jakieś mięso, a w garnku bulgotał aromatyczny rosół z „grzebiącej” kury, którą Romuś, na polecenie żony, zaciukał. Było rodzinnie i serdecznie. Czuli się jak we własnym domu, może nawet lepiej, bo w Warszawie każdy na ogół zajęty był swoimi sprawami, rzadko jadali wspólnie i nieczęsto siedzieli razem w kuchni.

Kiedy rankiem Teresa otworzyła oczy, pokój zalewało słońce. Popatrzyła na śpiącą Ewę. Jaka ona śliczna. Jak się potoczy jej życie? Co ją czeka? Potarła czoło. Dość! I tak nikt nie zna przyszłości. Co ma być, to będzie.

Ostrożnie odsunęła pierzynę. Dobrze jej się spało. Przeciągnęła się

i spojrzała w kierunku kanapy. Adasia nie było. Pewno wujcio skoro świt wyciągnął go na ryby. Trudno się dziwić, jezioro o krok. Wystarczyło przejść przez małą łączkę i już tafla wody kusiła, żeby zarzucić wędkę. Dla Adasia to rzadka okazja.

Na śniadanie były smażone płotki. Żadna ryba nie może się z nimi równać. Teresa uwielbiała ich smak i chrupiącą skórkę. Roman wiedział, że najlepsze są te niewielkie, z których po usmażeniu wystarczy wyjąć kręgosłup i można jeść całe bez obawy, że ości staną w gardle. Wybrał te mniejsze, większe schował do lodówki. Postanowił zawinąć je w liście chrzanowe i dać Teresce, niech zabierze do Warszawy. Na pewno się ucieszy, a może i całusem podziękuje.

Po śniadaniu Teresa z Ewą postanowiły pójść, rozejrzeć się po Czaplinku. Ciotka Marta wolała zostać w domu. Niewiele czasu im zajęło to zwiedzanie. Kilka uliczek, rynek z kościołem i jakimś dziwnym pomnikiem, drugi, mniejszy, w kształcie trójkąta, i to wszystko. Przeszły jeszcze kawałeczek i zobaczyły jezioro prześwitujące przez nadbrzeżną zielen.

– Mama, jak tu pięknie! A jakie to jezioro wielgachne. Jak ono się nazywa, bo zapomniałam?

– No co ty, Ewcia, przecież to największe na Pomorzu, nie uczyłaś się geografii? Drawsko, jezioro Drawsko.

– Wygląda imponująco. Jak się patrzy w prawo, to właściwie drugiego brzegu nie widać. Tylko taka cieniutka linia na horyzoncie.

– Tak, jest piękne – potwierdziła Teresa. – Bywałam tu dawniej dość często i za każdym razem patrzę na tę wielką wodę z jednakową przyjemnością. A wiesz ty, że ono miejscami ma ponad sto metrów głębokości? Chcesz popływać?

– Jasne! – Oczy Ewy zabłyśły radością.

Po dwóch dniach postanowili wracać do Warszawy. Żał im było odjeżdżać, ale cóż, koniec wakacji! Adam musiał iść do szkoły, a Teresie kończył się urlop.

Po drodze wstąpili do Wandy. Rzeczywiście, była bardzo zmieniona. Patrzyła na nich obojętnie, jakby nie wiedziała, kim są. Kiedy Teresa zapytała ją, co słyhać, natychmiast jak automat zaczęła mówić, że bez Rysia to nie jest życie, i potoczyła się opowieść, jak im było ze sobą dobrze. Jak teraz pusto i smutno. Żadnej przyjaznej duszy dokoła nie ma.

Teresa przytuliła ją i ucałowała pomarszczony policzek. Dzieci z daleka skinęły głowami. W samochodzie Ewa zaczęła pytać, czy ciotka zawsze była taka dziwna.

– Kochanie, ja byłam jeszcze bardzo młoda, kiedy ona wyjechała do Czaplinka, a potem rzadko ją widywałam. Listów do mnie nie pisała, raczej do babci Feli. Jak jej ukochany Rysio umarł, to zupełnie się odizolowała od

wszystkich. Nawet Marta nie może przebić muru, jakim ciotka się otoczyła. Biedna Wanda. W młodości była taka śliczna!

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Adaś czytał jakieś czasopismo, Ewa gapiła się na mijane krajobrazy. Było pochmurno, ale dość ciepło. Przed zmrokiem dotarli do domu.

KRAKÓW

Tak sobie z Krystyną obiecywały, że spotkają się na dłużej, a tu pojawiło się tyle przeszkód! Stan wojenny, pogrzeb ciotki, kłopoty ze spadkiem.

W ostatnim liście Krystyna postawiła sprawę na tak zwanym ostrzu noża. Napisała: „Teraz albo nigdy!”. Zmobilizowała Teresę, która, nie zastanawiając się długo, omówiła wszystko z dziećmi, zapakowała walizkę i wsiadła do nocnego pociągu.

W słabo oświetlonym przedziale pasażerowie siedzieli bok przy boku. Unosił się ciężki zaduch potu, nieświeżych skarpet, tanich perfum i naftaliny.

Jechali już kilka godzin. Ucichła ledwo klejąca się rozmowa. Słysząc było sapanie i pomruki. Siedzący przy oknie starszy mężczyzna zaczął szeptać, jakby odmawiał pacierz. Kobieta obok poruszyła się niespokojnie, otworzyła oko, odwróciła głowę i znowu zapadła w drzemkę.

Mężczyzna mówił coraz głośniejsze.

– Śpij, dziadku, nie marudź – zamruczał siedzący przy drzwiach jasnowłosy chłopak.

– Co to za hałasy? Spać nie dają! – wymamrotała ze złością chuda pasażerka, wtulona nosem w wiszący płaszcz.

Teresa miała przymknięte oczy. Nie spała. Myśli płynęły leniwie. W pewnej chwili dotarł do niej głos mężczyzny:

– Krzyczała, klękałem, przysięgałem, płakałem. Odpychała.

Teresa spojrzała na mówiącego. Był blady, po policzkach płynęły mu łzy. Głos rwał się i chwilami zanikał.

– Mówiłem, że już nigdy. Uderzyła! Raz! Dużo razy. Bolało. Niech tam. Niech bije! Aby tylko wybaczyła. Upadłem. Podniosła z podłogi. Dała zupy. Kazała się umyć. Dobra była. – Teresa zauważyła, że niektórzy pasażerowie otworzyli oczy i słuchali. – „Patrz na dzieci – mówiła. – Nie wstyd ci?”. Spały takie spokojne, takie ciche, śliczne. Moje. Nasze. Całowałem jej ręce. Skończę z tym. Uwierz! Rano poszliśmy do kościoła. Przysięgałem. Nigdy. Już nigdy! A pod wieczór znów byłem w knajpie. Boże! Boże!

Głos ucichł.

– No i co, dziadku, wreszcie wypieprzyła cię z domu? – odezwał się jasnowłosy chłopak.

Tamten nie zareagował.

– I ciągle tak samo, i ciągle. Nie miałem już siły. Ona też. Dzieci jak obce uciekały ode mnie. Wracalem, a ona przyjmowała. Teraz nie mam dokąd wrócić. Nic już nie mam! Jadziu! Wybacz! Ja już tak nie mogę! Ja się zmienię! Wybacz

jeszcze raz, jeszcze ten raz. Jadę do ciebie. Wybaczysz, wybaczysz, wybaczysz?
– powtarzał to słowo jak mantrę.

Głos mężczyzny przycichł, oczy się zamknęły. Po chwili dało się słyszeć miarowe posapywanie. Na pomarszczonych policzkach widać było łzy.

Teresa pomyślała, że właściwie niewiele się różni od tamtego człowieka. Też jest uzależniona, tyle że nie od wódki, ale od Jana. Był czas, kiedy próbowała szukać pociechy w kieliszku. Aż dziwne, że zdołała się z tego wyzwolić. Chyba z obawy, że Jan odbierze jej dzieci. Tyle lat minęło, wprost nie do wiary. Kawał czasu. A jednak, gdy o nim myśli, nadal czuje to samo.

Pociąg szarpnął gwałtownie i zatrzymał się z piskiem. Za oknem zaczynało świtać. Twarze pasażerów były zmęczone i pomięte. Teresa pomyślała, że z pewnością tak samo wygląda. Spokojnym ruchem wzięła torbę. Na peronie pogaszono już latarnie. Było szaro i smutno. Noga za nogą szła do postoju taksówek. W kolejce czekało kilkanaście osób.

Zrezygnowana usiadła na ławce. Odruchowo wygładziła włosy i poprawiła kołnierz ładnej garsonki, szarej w białą kratkę. Przymknęła oczy. Nagle usłyszała męski głos:

– Nie boi się pani, że ktoś się zaopiekuje bagażem?

Przez uchyloną szybę samochodu patrzył na nią jakiś mężczyzna.

– Dokąd chce pani jechać? Chętnie podwiozę, oczywiście za opłatą.

Wiedziała, że właściciele samochodów często nielegalnie dorabiają, wożąc pasażerów. Brakowało przecież taksówek, paliwa, wszystkiego. W sklepach straszyły puste półki. Po każdą rzecz trzeba było wystawać w kilometrowych kolejkach. Co za okropne czasy. Kiedy to się skończy i czy w ogóle się skończy?

Przez moment mignęła jej w głowie scena z filmu, w którym przygodny kierowca porywa dla okupu piękną kobietę. Ale na szczęście ona nie jest ani piękna, ani nie miałby kto za nią zapłacić. Uśmiechnęła się, wolno wstała z ławki i bez słowa wsiadła do auta. Podała nazwę ulicy. Facet wyraźnie się ucieszył.

– Będzie mi po drodze. Mieszkam w tej samej dzielnicy.

W czasie całej drogi usta mu się nie zamykały. Teresa nie słuchała, o czym mówił. Sennie spoglądała na pustawe ulice. W porównaniu z Warszawą Kraków wydawał się taki spokojny i cichy. Chciałaby tu mieszkać.

Zatrzymali się i Teresa wysiadła. Mężczyzna podał jej wyjętą z bagażnika torbę.

– To jesteśmy umówieni?

– Nie rozumiem.

– Przecież kiwnęła pani głową, kiedy zaproponowałem kawę.

– Kawę? Jaką kawę? Nie przypominam sobie.

– No, przecież...

– Do widzenia.

Podawała mu banknot i ruszyła w kierunku domu przyjaciółki. Co za natręt, pomyślała, dzwoniąc do drzwi. Po chwili przywitała się z Krystyną i już nie pamiętała o kierowcy i jego propozycji.

Przegadały cały dzień i połowę nocy. Rankiem bez apetytu zjadły śniadanie i wyszły na spacer. Wolno dotarły do Rynku.

Teresa jak zwykle nie mogła nacieszyć się widokiem kościoła Mariackiego, Sukiennic, kamieniczek. Jacy szczęśliwi są ludzie, którzy mogą codziennie oglądać te śliczności. Tylko czy człowiekowi wystarczy do szczęścia widok najpiękniejszego nawet miasta?

Idąc, opowiadały sobie jakieś głupstwa, chichotały i nie zauważyły, że obok zatrzymał się samochód. Wsiadł z niego nieznajomy mężczyzna.

– Witam panią, co za zbieg okoliczności.

Skłonił się przed Teresą. Na pulchną i niezbyt atrakcyjną Krystynę rzucił niepewne spojrzenie. Widząc zdziwioną minę Teresy, dodał:

– Miałem przyjemność wieść panią wczoraj rano.

Z trudem przypomniała sobie niczym niewyróżniającą się twarz. Przeciętniak, nic ciekawego. Wiek około czterdziestki, jasne, trochę przeredzone włosy, okulary na krótkowzrocznych oczach. Figurę miał, co prawda, niezłą i ubranie na czasie, ale tak ogólnie – to nie Jan!

I czego on chce? – pomyślała. Przeszkadzał im tylko w miłej pogawędce. Może dała mu zbyt mało za przejazd? Mężczyzna, niezrażony jej miną, kontynuował:

– Pozwoli pani, że się przedstawię, bo wczoraj jakoś nie zdążyłem. Nazywam się Andrzej Klemer. – Ukłonił się ponownie.

– Teresa Jarzębska – powiedziała, trochę niewyraźnie wymawiając nazwisko, i podała mu rękę. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to robi.

Andrzej ucałował jej dłoń i zwrócił się do Krystyny:

– Miło mi panią poznać. Jestem Andrzej Klemer.

Krystyna też podała mu rękę.

– Krystyna Madej – powiedziała jakby od niechcienia.

– No, skoro się poznaliśmy, to zapraszam na kawę.

– Nie, dziękujemy. Nie możemy! Mamy do załatwienia kilka spraw – wymawiały się jedna przez drugą.

– Nie przyjmuję tłumaczeń. Muszę przeprosić za moje wczorajsze niestosowne zachowanie.

– Nie rozumiem, co w nim było niestosownego.

– Już ja wiem co, więc bardzo proszę, bardzo!

Spojrzały na siebie i jednocześnie pomyślały: Dlaczego nie? Ot tak, dla hecy!

– Dwa kroki stąd jest kawiarenka. Podają dobrą kawę. Zapraszam.

Kafejka była przytulna. Siedzieli przy okrągłym stoliku i wolno sączyli aromatyczny napój. Andrzej okazał się inteligentny, rozmowny, sypał dowcipami. Miał miły, miękki głos, mówił poprawnie, z rzadka wtrącając obiegowe powiedzonka. Gdy odwrócił się w kierunku Krystyny, popatrzyła na jego twarz. Właściwie był taki sobie, ale mógł się podobać. Miał trochę koci wdzięk.

Kiedy wychodzili, zaproponował spotkanie. Teresa wymawiała się energicznie. Tłumaczyła, że wkrótce wyjeżdża, a tyle jeszcze zostało spraw do załatwienia. Jednym słowem, próbowała go spławić.

Okazało się jednak, że to nie takie proste. Andrzej starał się je skusić jakąś niezwykle miłą kawiarnią, a wreszcie wytoczył argument nie do odparcia.

– Mam dojście do kasy w Piwnicy i z pewnością uda mi się dostać wejściówki. Dla trzech osób – dodał ze znaczącym uśmiechem.

Teresa była zachwycona, ale żeby sobie nie pomyślał, że łatwo mu poszło, podroczyła się jeszcze chwilę.

Podwiózł je do domu, poprosił o numer telefonu, żeby zawiadomić, na kiedy zdobędzie bilety, i pożegnał się szarmancko.

– Teresa, co on taki namolny? Wygląda, jakby się w tobie zakochał! I to od pierwszego wejrzenia. Jak w harlekinie. Piękna nieznajoma, krótka podróż samochodem i facet trafiony! Strzałą Amora, oczywiście!

– Możesz się śmiać, ale do Piwnicy pójdziesz!

– Jasne!

Dłużej już nie mogły utrzymać powagi. Chichotały dobrych kilka minut.

Po kilku dniach spędzonych w Krakowie czuła się świetnie. Krystyna była plasterkiem na jej obolałe serce, a Andrzej okazał się przemiłym kompanem. W Piwnicy pod Baranami siedzieli bardzo blisko siebie. Było ciasno. Bileter, niezwykle czuły na szeleszczące argumenty, wpuścił widzów ponad wszelką miarę. Program okazał się świetny. W pewnym momencie Andrzej dotknął jej ręki. Cofnęła w popłochu dłoń, a on się roześmiał. Ich oczy na chwilę się spotkały. To było miłe.

Umawiali się we trójkę na włóczęgę po Krakowie. Andrzej mieszkał tu od zawsze, więc oprowadzał je po miejscach, których Teresa dotąd nie знаła, a które nawet dla Krystyny były nowością. Oglądali ustronne uliczki, jakieś zaułki, łazili po Kazimierzu. Ku swojemu zaskoczeniu bawiła się całkiem dobrze, a Andrzej zyskiwał, w miarę jak bliżej go poznawała. Był dowcipny, zawsze uśmiechnięty, opowiadał urocze anegdoty, jednym słowem, fajny kumpel.

W pociągu do Warszawy jego obraz zaczął blednąć. Teresa myślała o dzieciach, domu i znowu o Janie.

Ewa powitała ją z radością.

– No, nareszcie! Myślałam, że już na dobre przeniesiesz się do tego Krakowa! – Zarzuciła Teresie ręce na szyję, co nieczęsto się zdarzało.

– Mało brakowało! Znalazłam amatora na moje przywidłe wdzięki i kto wie, kto wie...

– Mamo, nie wygłupiaj się, naprawdę stęskniłam się za tobą.

– Ja też się cieszę, że jestem w domu, ale z tym adoratorem to szczerą prawdą.

– To opowiadaj wszystko po kolei. Jestem okropnie ciekawa!

– A co ty myślisz, że twoja podstarzała matka jest już do niczego?

– Nie kokietuj, tylko mów!

Opowiedziała Ewci o Andrzeju, niczego nie pomijając. Kończyła, kiedy Adaś wrócił ze szkoły. Bez skrzępowania przytulił się do matki.

– No, nareszcie! Dobrze, że jesteś.

– Popatrzcie, kilka dni rozłąki i takie czułości! To teraz opowiadajcie, jak wam było.

Zaczęli mówić jedno przez drugie, jak to przypaliło się mleko, nie zadzwonił budzik i spóźnili się do szkoły, a któregoś dnia nie mieli chleba na kolację, bo Ewa zapomniała kupić.

– Mamo, te zakupy to dramat! Tragedia! W sklepach nie ma niczego poza tłumem wiecznie stojących w kolejkach ludzi. I te kartki! To czysta paranoja – mówiła zirytowana dziewczyna. – Czy zawsze już tak będzie? Nie mogę sobie wyobrazić pełnych półek, a przecież pamiętam, jak było jeszcze kilka lat temu. Teraz nawet cukierka nie można kupić. Jedna czekolada na miesiąc! Co za typ bez serca i wyobraźni to ustalał? Szkoda gadać!

– Może teraz docenicie, że macie co jeść na śniadanie, obiad i kolację. Bo dotychczas nie wiedzieliście, że to wszystko trzeba zdobywać z takim trudem.

– Mamciu, jesteś aniołem i najważniejsze, że znowu jesteś.

– Wiem, wiem, będzie miał kto robić zakupy!

– Jesteś paskudna, ale bardzo kochana. A teraz zapraszamy cię na małe co nieco.

Ewa z dumą wyjęła z lodówki wystaną w długiej kolejce wędlinę.

ANDRZEJ

Teresa stała przy desce do prasowania. Na fotelu leżał stos bluzek Ewy i koszul Adama. Rozpuściła te swoje dzieci. Powinny same sobie radzić! Trzeba wziąć się do nich poważnie i zacząć wdrażać do codziennych obowiązków.

Zamyśliła się, przeciągając żelazkiem po gładkiej tkaninie. Znowu stanął przed oczami Jaś – nadal tak go nazywała. Tak bardzo się kochali! A potem? Może to jakieś genetyczne uwarunkowania, teraz tak wiele się o tym pisze. Przecież mieli wspólnego pradziadka, Kazimierza Bilskiego. Dowiedziała się od babci Marianny, że ona i Jaś są kuzynami, co prawda, dalekimi – nie przeszkadzało to w zawarciu małżeństwa – ale zawsze! Widać Jan odziedziczył temperament po pradziadku, a Teresa wstrzemięźliwą naturę prababki.

A swoją drogą, jakie to wszystko dziwne i pokręcone. Dawniej ludzie też mieli trudne życie, ale byli bardziej religijni i może trochę inaczej odbierali zrządzenia losu. Łatwiej godzili się z dopustami bożymi. Teraz każdy o coś zabiega, walczy, naraża się, nadstawia głowę.

I ten stan wojenny. Przerażenie, wściekłość, bezradność.

Wciąż nie mogła pojąć, jak to możliwe, że ubecy wiedzieli wszystko o działaczach Solidarności. Nocą z dwunastego na trzynasty grudnia jeździli od domu do domu i zabierali zaskoczonych ludzi. Zapanowała ogólna żałoba. Trudno było uwierzyć w to, co się dzieje. Niełatwo o tym zapomnieć.

A potem ciągle niepokój i zamęt. Kontrole, wszędzie, co chwila kontrole! Milicjanci z zomowcami zatrzymywali samochody na drogach i sprawdzali, kto jedzie i co wiezie. Po kilku miesiącach odwołano zakaz poruszania się po kraju, lecz stan wojenny trwał nadal. I te pustki w sklepach. Tak trudno było cokolwiek kupić. Teresa wołała nie myśleć, co będzie, jeśli zepsuje się lodówka, telewizor czy choćby żelazko. Żeby zdobyć taki sprzęt, ludzie wystawali w kolejkach po kilka tygodni. Zapisywali się na społeczne listy i pełnili dyżury.

Powstał nawet nowy zawód – stacz, czyli ktoś, kto za pieniądze zajmuje dla kogoś innego miejsce w kolejce. Polak potrafi! Jak tu żyć? Choć matka Teresy żartowała, że jeszcze nigdy dotąd nie było tylu szczęśliwych ludzi. Na przykład wychodzi ze sklepu kobieta, trzyma w ręku kawałek wędliny i mówi z wielką radością: „Boże, jaka jestem szczęśliwa, taki ładny kawałek szynki dostałam”. Albo: „Jaka jestem szczęśliwa, akurat rzucili masło i zrealizowałam całą kartkę!”. Przecież to paranoja, jak mówi Ewcia!

Teresa popatrzyła na zegar. O rety, lada chwila przyjdzie Andrzej. Był przejazdem w Warszawie. Poprzedniego dnia zadzwonił i zaprosił ją na kawę. W pierwszej chwili powiedziała, że chętnie, ale zaraz się zastanowiła, gdzie

mogliby pójść. Wszędzie pustki. Ciastka bywają raz na kilka dni! Po chwili namysłu zaproponowała, żeby wpadł do niej. Przecież należy mu się rewanż za Kraków. Tyle atrakcji zapewnił jej i Krystynie. Miała trochę kawy schowanej na wszelki wypadek. Zakręci jakieś ciasto.

Przyszedł punktualnie. Był starannie ubrany, przyniósł róże i butelkę wina. Byli sami. Teresa poczuła się trochę skrępowana. Andrzej popatrzył na nią i ją objął. Delikatnie pocałował w oba policzki. Przez chwilę stali blisko siebie i nagle zdała sobie sprawę, że jest jej dobrze, że cieszy się z jego obecności. Poczula jego usta na swoich i nie cofnęła się. Pachniał wodą kolońską. Zawirowało jej w głowie. Więc tak można? Z innym mężczyzną? Nie tylko Jan mógł sprawiać, że odpływała! Zaskoczyło ją to i oszołomiło. Andrzej przytulał ją coraz mocniej, coś szeptał. Słyszała jego ciepły głos. Nagle otworzyły się drzwi. Do mieszkania wpadła Ewcia i stanęła zaskoczona.

– Przepraszam – wydukała niepewnie. – Mamciu, zapomniałam coś zabrać, to znaczy skrypt. Sorry!

– Andrzeju, to Ewa, moja córka.

Pochylił się nad ręką dziewczyny; zarumieniona Ewa dość gwałtownie wyrwała mu dłoń.

– Miło mi – powiedziała nienaturalnym głosem.

Pobiegła do pokoju i po chwili, ze skrytem w ręce, wypadła z domu.

– Śliczna dziewczyna. Nic dziwnego, twoja córka!

– Wejźmy do pokoju. – Teresa odzyskała panowanie nad sobą. – Proszę!

Andrzej znów próbował ją objąć, ale odsunęła się, mówiąc, że pójdzie nastawić wodę.

– Rozgość się. Może zdejmiesz kurtkę, jest ciepło.

– Tak, już to robię.

Wzięła od niego okrycie i powiesiła do szafy. Andrzej uśmiechnął się ciepło.

– Dzięki, jesteś uroczą gospodynią.

– Nie mów hop! Zmienisz zdanie, gdy spróbujesz moich nieudanych wypieków.

– Będą z pewnością pyszne, a ty mówisz tak jedynie przez skromność.

Drocząc się, weszli do pokoju. Na ławie przykrytej najlepszą cepeliowską serwetą stały filiżanki, talerzyki i kieliszki do wina. Teresa krzątała się przy kawie, od czasu do czasu rzucając okiem na Andrzeja, który wpatrywał się w obraz wiszący na ścianie. Przedstawiał piękną kobietę.

– To ty?

– Nie, ale wiele osób mnie o to pyta. Szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego, bo nie widzę podobieństwa.

– A ja tak, tylko w rzeczywistości jesteś o wiele ładniejsza.

– Przestań, nie lubię komplementów!

– Kiedy to prawda, słowo!

Zajął się butelką. Otworzył ją zgrabnie i rozlał rubinowy trunk do kieliszków. Teresa wniosła kawę. Rozeszła się cudowna woń.

– Siadajmy – powiedziała cicho.

Teresa jeszcze leżała, mimo że dochodziła dziesiąta. Rzadko mogła sobie pozwolić na taki luksus. Czuła się rozbita i wzięła dzień urlopu. Musiała trochę odsapnąć. Dzieci wyszły, w mieszkaniu panowała cisza.

Bardzo miło tak poleniuchować. Dotknęła ręką poduszki, na której kiedyś spał Jaś. Bezwiednie szukała dłonią śladu jego głowy. To nie jest normalne, pomyślała. Dojrzała kobieta, a wciąż żyje przeszłością i jakimiś mrzonkami.

Przypomniała sobie wczorajsze spotkanie z Andrzejem. Było miło, przynajmniej początkowo. Ale tylko miło. Pierwsze wrażenie, gdy w czasie pocałunku przeszedł ją miły dreszczyk, szybko minęło. W miarę jak ponawiał swoje zaloty, nastrój bladł, aż w końcu Teresa poczuła znużenie. Wreszcie powiedziała, że lada chwila wrócą dzieci i lepiej, żeby już go wtedy nie było. Zareagował taktownie. Chyba zaczęło do niego docierać, że z tej mąki chleba nie będzie. Kiedy wyszedł, poczuła ulgę. Niech sobie idzie do diabła. Koniec! Żadnych więcej telefonów ani spotkań. Co ją ten facet obchodzi! Nie można budować związku na ulotnym wrażeniu. Ale z drugiej strony, czy to musi być od razu związek? Nie wystarczą zwykłe randki, trochę seksu bez zobowiązań? Nie, to nie dla niej, ona tak nie potrafi. Może ulepiono ją z innej gliny? Ale trochę szkoda Andrzeja, jest w porządku. Chcąc czymś zająć myśli, włączyła radio. Znow nadawali jakąś debatę polityczną.

Boże! Dokąd tak będzie? Dość już tych kolejek, kartek, zdobywania każdej najbliższej rzeczy, nawet papieru toaletowego. Do wszystkiego potrzebne są znajomości, ktoś z łaski coś „załatwia”. Nie! To już lepiej myśleć o Jasiu.

Zazgrzytał klucz w zamku. Weszła Ewcia z opuszczoną głową.

– Co to za mina?

– Daj spokój, mam, nie mam ochoty na pogaduszki!

– Coś nie tak?

Ewa bez słowa weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. A jej co się stało? Czy tak trudno powiedzieć matce, co leży na sercu? Kiedy dziecko się rodzi, kobieta nie ma bladego pojęcia, co ją czeka. To nie ciąża czy poród są trudne. Najgorsza jest bezradność i ciągły strach. Maleństwo staje się najważniejsze na świecie, ale odpowiedzialność za nie to ciężar czasem nie do uniesienia. Dopóki dziecko jest małe, myśli się o pieluchach, szczepieniach, chorobach, prawidłowym rozwoju. Czas szybko mija i któregoś dnia młody człowiek zaczyna żyć własnym życiem. Niby to jest dorosły, ale właściwie dopiero wtedy zaczynają się schody:

niewpowodzenia w nauce, nieszczęśliwa miłość, nadmiar obowiązków. Pewnie biedactwo się zakochało. Teresa westchnęła ciężko, włożyła szlafrok i zapukała do pokoju córki. Mimo że nie usłyszała jej głosu, uchyliła drzwi.

– Ewuś, wszystko w porządku?

Dziewczyna głośno chlipnęła. Teresa usiadła blisko córki i pogładziła jej włosy.

– Co się stało, kochanie? Ktoś ci zrobił przykrość, skrzywdził cię? Dlaczego płaczesz?

Ewa przytuliła się do matki i łkając, zaczęła mówić:

– To przez Piotrka! Nie wiedziałam, że to taka świnią! Jakiś czas się spotykaliśmy, jak mówisz, chodziliśmy ze sobą. Kino, Łazienki, długie spacery. Zawsze mieliśmy o czym pogadać. Wydawał się taki mądry. Bardzo go polubiłam. A dzisiaj powiedział – chlipnęła głośnie – powiedział, że to koniec, bo bardziej podoba mu się Baśka. Mamciu, to taka głupia dziewczucha z naszej grupy. Fakt, piersi ma dwa razy większe od moich, ale czy to w życiu najważniejsze? Nienawidzę go! Jak on mógł! Wiesz, co czułam, jak mi to powiedział?

– Wiem, przeżyłam to na własnej skórze. Twój tata...

– Och, mamuś, przepraszam! Jaka ja jestem beznadziejna!

– Takie jest to życie! Niektórzy mówią, że przypomina dziecienną koszulkę, jest krótkie i zafajdane. Ale to nieprawda. Raz bywa źle, a raz dobrze. I mówię ci z własnego doświadczenia, lepiej pamiętać to, co dobre.

– Mamciu, tylko mi nie mów, że jestem młoda i znajdę innego chłopaka...

– Kochanie, jeśli musisz, to popłacz sobie jeszcze, może ci ulży. Pójdę do kuchni, przygotuję coś do zjedzenia.

Ewa otarła oczy.

– Idę z tobą. A co będzie na obiad? Może zrobimy naleśniki?

Przygotowując ciasto, myślała o Piotrku, dlaczego jej nie chce. Teraz w domu będą dwie nieszczęśliwe kobiety, bo mama ostatnio też jest jakaś markotna. Przecież to jeszcze młoda babka. Ciekawe, co z tym facetem, który całował ją w przedpokoju? Pewnie to ten Andrzej z Krakowa. Też im chyba nie wyszło. Tylko Adam nie ma kłopotów sercowych. Interesuje go wyłącznie auto i piłka nożna. Umie wymienić z pamięci wszystkie drużyny ligowe i większość zawodników. Wie, kto z kim i kiedy będzie grał. Szczęściarz! Ale niech się nie cieszy. I na niego przyjdzie pora! Zaczęła szybciej obracać łyżką.

– Mamuś, pośpieszmy się, bo zaraz zaczyna się *Niewolnica Isaura*. Biedna ta dziewczyna. Kocha fajnego faceta, on ją też, a ten łobuz Leoncio zatruwa jej życie!

– Widzisz, tak to jest, moje dziecko! Zawsze pojawiają się jakieś przeszkody na drodze do szczęścia. Ciekawe, co dzisiaj wymyśli ta podła kreatura? Trzeba przyznać, że ten serial wciąga. Szkoda, że odcinki są takie krótkie.

ŚLUB FELICJI

Skierniewicki kościół Świętego Jakuba był jasno oświetlony. Skończyła się wieczorna msza i ludzie wolno zmiierzali do drzwi. Trochę w cieniu, za filarem, stała „młoda” para. Fela, ubrana w granatowy kostium i białą bluzeczkę, Eugeniusz w garniturze tego samego koloru. Wyglądali szykownie i uroczyście, wydawali się spokojni. Teresa była ciekawa, o czym myślą. A może trema wszystko wywiała im z głów? Słyszała trochę przyspieszone oddechy obojga, widziała lekkie drzenie ich rąk. Ślub to jednak przeżycie, nawet w tym wieku.

Rozejrzała się po kościele. Był trochę zaniedbany, na ścianach w niektórych miejscach odpadła farba. Stara posadzka z szarego marmuru była popękana. Mimo to Teresie i tak wydawał się najpiękniejszy. Tu dwukrotnie brała ślub babcia Marianna, tu chrzczono jej dzieci, tu ksiądz odprawiał msze żałobne po kolejnych zgonach, tu mama Fela przysięgała Kaziowi, że na zawsze, aż do śmierci, w zdrowiu i chorobie. Jak to jest, myślała Teresa, czy zgon jednego z małżonków zwalnia to drugie z przysięgi małżeńskiej? Mama długo była wierna zmarłemu mężowi, a jednak postanowiła wyjść za mąż ponownie. Dlaczego?

Nagle stanęła Teresie przed oczami chwila, gdy Jan przysięgał jej tutaj uczciwość małżeńską. Jaka to obłuda! Co znaczą przysięgi, jeśli człowiek nie chce ich dotrzymać? Żeby odegnąć wspomnienia, potrząsnęła energicznie głową, zacisnęła rękę. Poczwała, jak paznokcie wbijają jej się w skórę dłoni.

Ceremonia przebiegła gładko. Nikt się nie zająknął ani nie potknął o stopień przed ołtarzem. Fela życzyła sobie jak najmniej gości, była więc tylko Teresa z dziećmi i kilka sąsiadek. Rodzina, taka niegdyś liczna, rozpięchła się po świecie. Teresa zauważyła stojącą za filarem ciotkę Honoratę. Bardzo się zestarzała. Była przecież tylko o dziesięć lat starsza od Felicji. Kto by poznał w tej pomarszczonej, przygarbionej staruszce dawną rudowłosą piękność, za którą uganił się mężczyźni. Teresa westchnęła. Jakie to wszystko jest jednak smutne.

Fela przygotowała weselny obiad dla kilku zaledwie osób. W jej mieszkanku byłoby za ciasno, zaprosiła więc gości do Gienia. Przyszła Honorka, choć trudno było ją namówić, no i Kusiowa, nieomal swatka młodej pary, z mężem, a także Teresa z dziećmi. „Młode” małżeństwo uwijało się między kuchnią a pokojem. Przynosili kolejne dania. Nie pozwolili gościom włączyć się do pomocy. Powiedzieli, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść, i że byłoby trudno mijać się w ciasnym przedpokoju. Wszyscy uznali, że gospodarze mają rację, więc siedzieli spokojnie za stołem i zajadali przygotowane pyszności. Na deser był tort, który na prośbę Teresy zrobiła Elka, jej koleżanka, słynąca z pysznych wypieków. Okazał się rzeczywiście smakowity, bo Elka, wiedząc, że to dla takich

szczególnych nowożeńców, solidnie się postarała. Na wierzchu umieściła nawet dwa serca z czekoladowego kremu i splecione inicjały Feli i Eugeniusza.

Pierwsza wyszła z przyjęcia Honorka, tłumacząc się bólem kręgosłupa, potem Kusiowie. Teresa mogła wreszcie spokojnie porozmawiać z matką i jej mężem, co dalej, jak sobie ułożą życie.

– Jak to jak? – nie wytrzymał Gienio. – Felunia zamieszka u mnie, u nas! Będziemy robić razem zakupy, gotować, chodzić na spacer, czasem do kina. Nie dam jej się nudzić. A dla mnie zawsze w mieszkaniu znajdzie się jakaś robota. Teraz też muszę kran w kuchni wymienić, bo ten coś zaczął przeciekać.

Żona patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Tak będzie, jak Gienio mówi. Byle tylko zdrowie dopisywało. Żal mi, że nie było z nami moich sióstr w tym ważnym dla nas dniu. Wanda jest chora, ale Marcia i Marysia mogłyby przyjechać. Wymówiły się sprawami rodzinnymi i przysłały życzenia. A kiedyś nasza rodzina była taka duża i taka zżyta! Teraz, żeby nie Gienio, nie miałabym do kogo ust otworzyć.

Zaczęła rozpakowywać ślubne prezenty. Od Honorki dostali piękny biały obrus. Pewno przetrwał od czasów, kiedy jej się dobrze powodziło. Kusiowie przynieśli komplet bielizny pościelowej, chyba także ze starych zapasów, bo płótno było w dobrym gatunku, choć troszkę straciło śnieżną biel. Teresa przywiozła prodiż. Wiedziała, że matka lubi piec ciasto, więc z pewnością przyda jej się na nowe gospodarstwo. Podarowała też matce i ojczymowi bardzo ładne sztuce. Przeleciało jej przez głowę, że nie pamięta ojca, a teraz będzie miała jego namiastkę w postaci Gienia. Została pasierbicą. Rety! Obecnie nie używa się już takich słów. Brzmiały pretensjonalnie i archaicznie, no i trochę bajkowo. Co prawda, to macocha, a nie ojczym, zawsze była najpodlejszą postacią w bajce. O złych ojczymach nie słyszała. A jaki będzie Eugeniusz? Ano, zobaczymy! Pał sześc zresztą, jakim okaże się ojczymem, byle tylko dla matki był dobrym mężem.

Wreszcie wszyscy się ucałowali na pożegnanie i starsi państwo odprowadzili Teresę do samochodu. Gdy ruszyła, dzieci zaczęły się dzielić wrażeniami ze ślubu i uroczystego obiadu. Teresa skupiła się na prowadzeniu, ale jej myśli wciąż krążyły wokół młodej pary. Nie mogła sobie wyobrazić, że położą się razem do łóżka i że... Nie, lepiej omijać ten temat. Przecież to jej matka, więc nie należy wnikać w takie sprawy. Miała smutne życie, niech jej się teraz wiedzie i mimo wieku niech przeżyje swoją miłosną baśń. Nie wiadomo, jak długa będzie, ale wiadomo, niestety, jak się zakończy! Żeby odegnąć ponure myśli, Teresa potrząsnęła głową. Dostyc! Będzie dobrze, musi być! Ostro dodała gazu, bo za miastem droga była trochę luźniejsza.

KŁOPOTY

Któregoś dnia Teresa obudziła się z bardzo niemiłym uczuciem. Pierwszy raz od dawna śniła jej się babcia Marianna. Z surową miną patrzyła na wnuczkę i groziła jej palcem. Co to może znaczyć? – zastanawiała się Teresa. Mówią, że jak nieboszczyk śni się żywy, to będzie tego dnia deszcz padał. Starła się zbagatelizować sen, ale wciąż miała przed oczami twarz babci. I ten groźący palec! Mimo że nie była przesądna, czuła jakiś irracjonalny niepokój. Zdarzało jej się wcześniej, że kiedy widziała babkę we śnie, to tego dnia przytrafiało jej się coś niemiłego. A dzisiaj czekała ją przecież rozmowa z szefem.

Dopiero chłodna woda opływająca jej ciało, całkiem jeszcze zgrabne, przegoniła złe myśli. Zawsze lubiła długo stać pod prysznicem, a tym razem zupełnie nie chciało jej się wychodzić spod aksamitnego strumienia. Wreszcie, odświeżona i umalowana, wystroiła się w twarzową, błękitną bluzeczkę z niewielkim haftem na kołnierzyku i w granatową spódnicę, ciasno opinając biodra. Włosy upięła w kok. Włożyła czarne, lakierowane czółenka, wzięła torebkę i wyszła.

Dzieci nie było. Adam musiał wcześniej iść na zajęcia, a Ewcia została na noc u swojego Jureczka. Co za czasy! Dziewczyna sypia u faceta, nie krępując się ani swoją matką, ani jego rodzicami. Co prawda, Ewa miała już dwadzieścia trzy lata, ale Teresa nie mogła przywyknąć do tej swobody obyczajowej. Jak jej córka nie wstydzi się rodziców Jurka? Dlaczego oni pozwalają na taki układ? Teresa nie była zbyt religijna, jednak przestrzegała pewnych zasad i uważała, że mieszkać razem można wyłącznie po ślubie. Tylko że dawniej było zupełnie inaczej. Złapała się na tym, że myśli jak staruszka, która wspomina swoją młodość i dawne czasy porównuje z gorsząca terażniejszością. Chyba się starzeje. Starzeje? Przecież sporo jej brakuje do pięćdziesiątki! Musi zacząć pracować nad swoją psychiką. Nagle przypomniała sobie czekającą ją rozmowę z szefem. Ciekawe, o co mu znów chodzi? Obraz babci Marianny zbladł, choć jeszcze nie całkiem.

Kiedy weszła do gabinetu, dyrektor siedział za biurkiem zawałonym papierami. Miał nalaną twarz, a nieufne, rozbiegane spojrzenie, jakie rzucił w jej stronę, nie wróżyło nic dobrego.

– Psuje pani opinię naszego cenionego przez władze zakładu! – rozpoczął bez żadnego wstępu.

Teresa, mimo że jej nie zaprosił, usiadła i słuchała z kamienną twarzą, nawet okiem nie mrugnęła.

– Nie rozumiem.

– Na naradzie w zjednoczeniu zabierała pani głos, krytycznie oceniając

organizację pracy, marnotrawstwo i szykany polityczne względem personelu. Jakim prawem i na jakiej podstawie mówiła pani takie rzeczy?

Wyraźnie się nakręcał. Za chwilę zacznie na nią krzyczeć.

– Co pani ma do powiedzenia na swoją obronę?

Teresa szerzej otworzyła zdziwione oczy. A, tu cię boli! Szkoda, że nie takiego wtedy nie powiedziała, bo należałoby ci się, ty kacyku! Marionetko! Powinna była wyciągnąć na forum prawdę o tym typie. Szkoda, że tego nie zrobiła i że straci pracę bez powodu. Nie będzie miała nawet tej pociechy, że cierpi w słusznej sprawie.

– Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli, mówiąc o moim wystąpieniu. Chyba ktoś wprowadził pana w błąd.

– Co takiego? Jak pani śmie! To osoba godna zaufania.

– A ja myślę, że to ktoś, kto chce, brzydtko mówiąc, podłożyć mi świnię! Przepraszam za kolokwializm, ale jak inaczej nazwać takie postępowanie?

– Proszę się liczyć ze słowami! – Głos dyrektora przeszedł w falset.

– To pan niech się liczy i nie powtarza po kimś bzdur! – Teresa przestała panować nad sobą. Podniosła się z krzesła. Teraz znacznie górowała nad szefem. – Radzę sprawdzić w protokole z narady. Nie zabierałam głosu. Natomiast nie ukrywam, że w kularach, kiedy po obiedzie siedzieliśmy przy kawie, wielu uczestników narady mówiło różne rzeczy. Też powiedziałam kilka słów, ale w tym szumie pewno niewielu mnie słyszało. Widzę, że walka o mój stołek rozpoczęła się ostro. Ciekawe, kto tak kopie pode mną dołki.

Głos dyrektora trochę zmiękł, a jego zimne i przenikliwe oczy patrzyły teraz na Teresę mniej oskarżycielsko.

– Koleżanko, jestem zadowolony z pracy pani działu, ale proszę pamiętać, że kiedy następnym razem zacznie pani opowiadać jakieś androny o naszym zakładzie, to nie ujdzie pani na sucho! – Urwał na chwilę. – Dziękuję, proszę wracać do pracy.

Szła wolno korytarzem wyłożonym plastikową wykładziną. Echo niosło stukot jej wysokich obcasów, gdy mocno stawiała kroki na podłodze. Chciała odreagować przykrą rozmowę. Otworzyła drzwi do pracowni. Pochylone nad papierami głowy kolegów podniosły się jak na komendę.

– No i co? Co stary chciał? Dostałaś awans? Opowiadaj!

– Tak, będę teraz dyrektorem!

– Nie żartuj, mów prawdę!

– Dajcie mi spokój, muszę odsapnąć.

Weszła do swojego pokoju i pomyślała, że gdyby dostała wymówienie, właściwie wcale by jej to nie zmartwiło. To prawda, że zarabiała całkiem niezłe pieniądze, ale przestała ją interesować ta praca. I ludzie byli jacyś obcy, natrętni, drażnili ją. Co się z nią dzieje? Czy to kryzys związany z klimakterium? Przed

kilkoma dniami była u ginekologa. Nie stwierdził żadnych odchyłeń od normy, a na nieregularne miesiączki przepisał jakieś tabletki. Powiedział, że w jej wieku to nic niezwykłego. Po prostu zaczął się przekwit! Łatwo takiemu facetowi powiedzieć „przekwit”. Dla niej to koniec świata! Nie będzie już taką kobietą jak dawniej. Przed nią tylko powolne starzenie się. Starość! Zły nastrój i ponure myśli są związane z tym trudnym okresem. Jeszcze na koniec dodał, że jest mądrą, wykształconą kobietą, a nie potrafi się pogodzić z tym, co nieuchronne. Pomyślała, że w Stanach z pewnością poszłaby do psychoanalityka! A tu? Musi sobie sama radzić. Napełniła filiżankę kawą, upiła łyk i niechętnie wzięła się do pracy.

Po kilku minutach usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Wiedziała, że to Janusz. Tylko on tak stukał.

– Teresa, wiem, że ci przykro! Szef jest okropnie upierdliwy. O, przepraszam, cofam! Czepia się wszystkiego, nawet nie mając powodu. Ale pamiętaj, lubimy cię i w razie czego staniemy po twojej stronie. A jak będzie trzeba, to ogłosimy strajk, może nawet okupacyjny!

– Nie żartuj! Dam sobie sama radę z tą żabą! Ale dzięki za wsparcie.

Janusz przysiadł na brzegu krzesła. Popatrzyła na niego przez chwilę – właściwie był całkiem przystojny. On, jakby czytając w jej myślach, zaproponował zniecka:

– Teresa, a może poszlibyśmy na kawę? No wiesz, żebyś trochę się oderwała od myśli o tej żabie, jak trafnie określasz szefa.

Uśmiechnęła się do niego.

– Czemu nie? To gdzie i kiedy?

Janusz, zaskoczony łatwością, z jaką się zgodziła, zastanawiał się przez chwilę.

– Może w Victorii, dzisiaj, o osiemnastej.

– To do zobaczenia! – powiedziała, trochę zdziwiona.

W domu czekała na nią Ewa. Miała zaczerwienione od płaczu oczy.

– Witaj, córciu, co się dzieje?

– Nic nie słyszałaś? Podobno w Czarnobylu, gdzieś na Ukrainie, wybuchła elektrownia atomowa i skażenie rozchodzi się po Europie. Ruscy nic nie mówią, nasi też milczą, Jurek usłyszał w Radiu BBC.

– A dlaczego tak się tym przejęłaś? Chyba to nie może być dla nas niebezpieczne! Nie martw się, moja mała. To daleko od nas.

– Mamo, wiem, że dla mnie to nie jest niebezpieczne! Ale jestem w ciąży i to może zaszkodzić mojemu dziecku.

– Ewa, co ty mówisz? Jak to, jesteś w ciąży? Od kiedy?

– Od dwóch miesięcy!

- No i nic mi nie powiedziałaś!
- Bo jeszcze nie byłam pewna. Ale teraz już jestem. Lekarz potwierdził.
- Dziewczyno, a co z dyplomem, a Jurek? Co on na to?
- Chcieliśmy oboje tego dziecka i bardzo się cieszymy. Tylko teraz to cholerstwo. Tak się boję!
- Uspokój się, nie trzeba się martwić na zapas. Jeszcze zaszkodzisz dziecku. Będę babcią. Ale tata by się cieszył!

Objęła i przytuliła Ewę mocno, tak jak dawniej, kiedy córka była jeszcze niedużą dziewczuszką i trzeba ją było pocieszyć. Ewa rozplakała się, oparła policzek na jej ramieniu. Siedziały przytulone, zamyślane i przygnębione. Nie widziały za oknem słońca ani młodej kwietniowej zieleni. Teresa całkiem zapomniała o randce z Januszem.

Nie wierzyła własnym oczom. Ludzi ogarnął jakiś amok. Biegali do lekarzy, do aptek, pili płyn Lugola, który miał zapobiec skutkom napromieniowania. W pracy, w tramwajach, w kolejkach – wszędzie słyszało się o radioaktywnej chmurze i o tym, dokąd dotarła, o skażeniu środowiska, nie tylko wody, ale ziemi i powietrza. W radiu wciąż podawano komunikaty, które miały wyciszyć panikę, jednak ludzie nie wierzyli w żadne zapewnienia. Wiedzieli swoje. Każdy chciał się ratować, bodaj na własną rękę. Najgorsze, że tego świństwa nie było widać!

Po kilku dniach od wybuchu reaktora rozpoczął się kolarski Wyścig Pokoju, którego trasa tym razem prowadziła przez Kijów, a więc bardzo blisko Czarnobyla. Wiele zachodnich ekip wycofało się z wyścigu. Jednak polskie władze, nie chcąc przyznać, jak bardzo niebezpieczna jest ta sytuacja, nie wycofały swojej ekipy. Polacy pojechali, narażając zdrowie dla czyjegoś widzimisię.

Ponieważ skutki promieniowania nie występowały natychmiast, ludzie powoli zaczęli się uspokajać. Nadchodziło lato, wakacje, urlopy, wszystkich zaprzętały codzienne sprawy. Panowała opinia, że największe skażenie występuje w lasach, więc nie należy do nich wchodzić. Jednakże teraz właśnie nastąpił wysyp grzybów i zbieracze krążyli po niebezpiecznych miejscach, choć jedni drugim radzili, żeby grzybków nie zbierać. Były nawet powtarzane żarty, że jak przyniesione z lasu borowiki położyć się w ciemnym miejscu, to świecą. Polacy nigdy nie tracili humoru, a może była to taka ostatnia deska ratunku przed popadnięciem w czarną rozpacz?

Któregoś dnia Teresa wezwała Janusza do pokoju i przeprosiła za nieudane spotkanie, a właściwie za to, że do niego nie doszło. Nie zagłębiając się w szczegóły, powiedziała, że nie mogła zostawić córki samej. Uśmiechnęła się trochę kwaśno.

- Wiedziałem, że to się nie może udać!

Widać wziął jej tłumaczenie za wykręt. Trudno, jakoś to przeżyję, pomyślała, gdy kiwnął głową i wyszedł. Nie wracali już do tej sprawy. Po dwóch czy trzech dniach szła korytarzem i potknęła się na nierównej podłodze. Pewno wyśladowałaby na pupie, gdyby nie silne męskie ramię, które ją podtrzymało. Usłyszała cichy głos:

– Wpadłaś mi prosto w ramiona i już cię nie wypuszczę.

– Janusz, lepiej, żeby koledzy nie widzieli nas w takiej sytuacji, bo jeszcze sobie coś pomyślą.

– A choćby, to co?! Przecież jesteśmy dorośli i wolni. Możemy robić, co nam się podoba! Jestem z natury nieśmiały i boję się, że kolejna propozycja wypicia razem kawy znowu spotka się z twoim unikaniem!

– Czy mam rozumieć, że chciałbyś zaryzykować?

– Właśnie!

– To gdzie i kiedy?

Janusz popatrzył nieufnie.

– Żartujesz sobie?

– Wcale nie! A na dowód proponuję zmianę lokalu.

– Victoria ci nie odpowiada?

– Może i odpowiada, ale znam lepsze miejsce! Wpadnij do mnie. Usiądziemy w spokoju i swobodnie pogadamy! A teraz do roboty! Koniec leniuchowania.

– Tak jest, szefie!

– Wejdz do mnie, dam ci adres.

Kiedy usiadła przy biurku, zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobiła. Serce biło jej dość mocno. W końcu nieczęsto, a właściwie nigdy, zapraszała mężczyznę na randkę. No, z wyjątkiem Andrzeja, ale to było już tak dawno. A poza tym marna to była randka.

Przyszedł elegancko ubrany. Przyniósł piękne róże i wino. Witając się, objął ją mocno i bez zastanowienia zaczął całować.

– Janusz! Zwolnij, poczekaj!

Nie pozwolił jej mówić.

– Tak długo czekałem! Nie zabraniaj!

– Jak to długo?

– Od dawna marzyłem o tobie. Jednak wiedziałem od kolegów, jaka jesteś nieprzystępna, dumna, zimna, nieczuła na męskie deklaracje, no i na dodatek jesteś przecież moim szefem, mogłem więc tylko marzyć i śnić o tobie. Sam nie wiem, jak to się stało, że odważyłem się poprosić o spotkanie.

– No dobrze, ale teraz nie ma szefa, nie ma biura, ten wieczór jest nasz!

– Tereńka! Moja cudna!

Słońce przeświecało przez grube, żakardowe zasłony. Teresa otworzyła oczy. Tuż przed sobą zobaczyła męską głowę, pokrytą ciemnymi włosami z małymi kępkami siwizny. Jan? Chyba jej się przywidziało. Wróciła szybko do rzeczywistości. Co ona bredzi? Przecież Jan od kilku lat nie żyje. To Janusz! Powoli przypominała sobie słowa, pieszczoty, rozkosz. Nie mogła udawać przed sobą: to była wspaniała noc. Co prawda, najpierw musiała pokonać tkwiące w niej od dawna opory. Jednak on swoją delikatnością i wyrozumiałością obudził spragnioną miłości kobietę. Znowu czuła swoje ciało. Janusz od kilku chwil patrzył na nią spod rzęs.

– Tereńku, jestem taki szczęśliwy. Nie myślałem, że spotka mnie jeszcze coś tak wspaniałego.

– Nie patrz tak, to mnie krępuje!

– Powiniem ci teraz bardzo dużo powiedzieć, ale wszystkie słowa nie wystarczyłyby, żeby wyrazić, co czuję!

– Idę! Nie chcę tego słuchać!

Kiedy wyszła z łazienki wykąpana, owinięta w puszysty szlafrok, Janusz tylko jęknął z zachwytu. Zdziwiona Teresa zobaczyła, że całkiem dobrze poradził sobie z przygotowaniem kawy.

– Widzę, że czujesz się jak u siebie!

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale chciałem, żeby kawa na ciebie czekała.

– Nie uraziłeś mnie, tylko nie przywykłam do takich luksusów!

Usiadła blisko niego i cmoknęła go w policzek.

– A w drugi?

– Ach, ty zachłanny człowieku! Wciąż ci mało!

– To prawda, jestem ciebie głodny, głodny...

Odsunął szlafrok i zaczął całować jej uda.

Teresa się przeciągnęła.

– Wiesz co? Idź do łazienki, a ja tu trochę posprzątam.

– Ani mi się waż. Sprzątanie zostawimy sobie na potem. A ty zmykaj do łóżka! Za kilka minut będę przy tobie.

Teresa zgodziła się bez słowa protestu. Niedzielny poranek dawał tyle możliwości. Wsunęła się pod kołdrę i przymknęła oczy. Róża miała rację. Kiedy ostatnio rozmawiały i opowiedziała jej o Januszu, aż klasnęła w rękę.

– Ty się, moja droga, nie zastanawiaj, tylko idź na całość. Korzystaj z okazji. Kolejna może ci się szybko nie trafić, a może nawet wcale! Czas pracuje na naszą niekorzyść. Jeszcze trochę i ani twarz, ani ciało nie skuszą żadnego faceta. Nie mówiąc o tym, że ochota do figlowania także z wiekiem mija.

Róża wcale nie miała racji. Teresie ochota jeszcze nie przeszła.

Janusz wyszedł z łazienki. Był ogolony. Zastanowiło ją, skąd wziął

maszynkę. Czyżby przewidział, że może mu się przydać? To spryciarz! Biodra owinał ręcznikiem. Z przyjemnością patrzyła na jego gładkie, sprężyste ciało, ciemny meszek na piersiach, muskularne ramiona. W pewnej chwili ręcznik zsunął się na podłogę. Teresa, niby to przestraszona, pisnęła, a Janusz wskoczył pod kołdrę i bajka zaczęła się od nowa.

Późnym popołudniem, zmęczeni, głodni, ale szczęśliwi, postanowili wstać i wreszcie coś zjeść.

– Tereńku, a kiedy twój syn wraca z wycieczki?

– We wtorek lub w środę.

– To może pozwolisz mi zostać jeszcze dzisiaj?

– Ale pod warunkiem, że położymy się grzecznie spać, przytulimy i prześpiemy spokojnie do rana, bo przecież jutro poniedziałek. Koniec laby! Wracamy z krainy marzeń do rzeczywistości. I musimy oddzielnie dotrzeć do biura, żeby nikomu nawet przez myśl nie przeszło, co myśmy tu dziś wyprawiali. Mam nadzieję, że to, co było, zostanie między nami.

W odpowiedzi Janusz ucałował wnętrze jej dłoni.

– Oczywiście, księżniczko. Będzie, jak zechcesz.

Jednak nie udało się im spać spokojnie. Przebałaganili połowę nocy.

Ewa czuła się dobrze. Cięża rozwijała się prawidłowo. Którejś niedzieli młodzi zorganizowali spotkanie rodziców Jurka i Teresy, żeby omówić sprawę ślubu. Małgosia, matka Jurka, okazała się bardzo miła i ładna. Była gustownie ubrana. Zachowywała się naturalnie. Jej mąż, Czesław, wyglądał na mruka. Miał poważną, jakby niezadowoloną, minę i prawie wcale się nie odzywał. Teresie przyszło do głowy, że może nie podoba mu się przyszła synowa. Siedzieli dość długo przy upieczonym przez Teresę cieście, winie i kawie. Czesław wyraźnie się rozkręcił, nawet opowiadał dowcipy. Pod koniec wizyty byli już na przyjacielskiej stopie i zaczęli zwracać się do siebie po imieniu.

Wspólnie z dziećmi ustalili, jak będzie wyglądała uroczystość. Ślub miał być tylko cywilny, a przyjęcie jak najskromniejsze. Teresa była zdziwiona, nie chciała jednak dociekać, dlaczego młodzi tak postanowili. Ich życie, ich sprawa. Termin został ustalony na koniec maja. Piękny miesiąc, tyle kwiatów! No i brzuszka jeszcze nie będzie widać. A po ślubie młodzi zamieszkają u Klickich.

– Mieszkanie jest duże. Przywykliśmy do Ewy, już ją pokochaliśmy.

– Czesław uśmiechnął się ciepło. – Zawsze chciałem mieć córkę. Ewie też jest chyba z nami nie najgorzej. Więc jeśli Teresa nie ma nic przeciwko, to będzie bardzo dobre rozwiązanie.

Młodzi kiwnęli głowami. Teresa wspomniała o pieniądzech wpłaconych do spółdzielni mieszkaniowej i perspektywie własnego kąta. Małgosia powiedziała, że

na przydział trzeba długo czekać. Ale w przyszłości, dlaczego nie. Rodzina będzie się powiększać, to i większe mieszkanie się przyda.

Czesław na dobranoc ucałował Teresę z dubeltówki. Spodobali jej się przyszli teściowie Ewy! Rozsądni i sympatyczni ludzie.

Zaczęły się przygotowania do ślubu. Został niecały miesiąc. Na szczęście w maju ludzie niechętnie zawierają małżeństwa, więc termin w urzędzie stanu cywilnego na Żoliborzu był wolny. Ceremonia miała się odbyć trzydziestego, w sobotę.

Biegały z Ewą po sklepach. Wyboru zbyt dużego nie było, ale w końcu udało się znaleźć całkiem ładny kostiumik w kremowym kolorze. Jeszcze buty, dodatki i panna młoda była gotowa. Jurek też miał garnitur i potrzebne drobiazgi. Z zaopatrzeniem w żywność nadal było λίγο, kartkowego przydziału starczyłoby ledwo dla kilku osób. Postanowili zatem urządzić przyjęcie w restauracji niedaleko urzędu, na Krasieńskiego. Czesław miał się zająć omówieniem szczegółów z kierownikiem lokalu.

Teresa zaczęła liczyć, ilu gości zaproszą. Po pierwsze, babcię Fełę z Gieniem, a także rodziców chrzestnych Ewy oraz ich małżonków, Różę z Krzychem i to chyba wszyscy. Nie, jeszcze świadkowie, czyli koleżanka Ewy z chłopakiem i kolega Jurka z dziewczyną. No i jeszcze kilka koleżanek. Powinna policzyć też siebie i Adasia. Fajnie by było, gdyby przyjechała ciotka Marta z Romusiem, ale to byłoby dla nich zbyt męczące. Ciekawe, ile osób zaprosi druga strona? No, ile będzie, to będzie, nie ma co robić problemu.

Nadszedł wreszcie ten dzień. Ewa od rana kręciła się niespokojnie. Chodziła z pokoju do pokoju, od czasu do czasu ocierała oczy. Wreszcie Teresa nie wytrzymała.

– Dziecko, usiądź koło mnie, porozmawiajmy.

– Tak się denerwuję.

– To rozumiałe, tylko czy martwisz się, że wychodzisz za męża, czy też boisz się, że Jurek nie przyjdzie na czas?

– Wiesz, mamciu, sama nie wiem. Tak mi serce wali.

Teresa przytuliła córkę i zaczęła głaskać jej włosy. Były miłe i miękkie. Ewa nie chciała sztywnej, natapirowanej i polakierowanej fryzury. Nie poszła więc do fryzjera, tylko zakręciła włosy na grube wałki. Teraz lśniące i puszyste loki spływały ciemną falą aż do połowy pleców.

– Moja kochana, malutka dziewczynka! Pamiętaj o maleństwie. Jak ty płaczesz, to i ono płacze. Więc lepiej się uśmiechnij. Głowa do góry, będzie dobrze. To piękny dzień. Do dziś pamiętam swój ślub. Też byliśmy podekscytowani i tacy szczęśliwi. Mój Boże, jak to życie dziwnie się toczy.

Przestała mówić, bo poczuła, że zaraz się rozplacze i jeszcze bardziej zdenerwuje Ewę.

– A teraz ubieraj się, bo tylko patrzeć, jak zjawi się Jurek.

Sala urzędu była wypełniona odświętnie ubranymi gośćmi. Krzesła zajęli starsi, młodszy stali z tyłu, pod ścianą. Urzędnik w uroczystej szacie i łańcuchu z orłem na piersiach stanął za stołem, rozległy się pierwsze tony marsza weselnego i młoda para wkroczyła do sali. Trzymali się za ręce. Ewa niosła bukiet białych różyczek. Wyglądali, jakby niczego wokół siebie nie widzieli. Urzędnik rozpoczął ceremonię. Teresa z trudem powstrzymywała łzy. Nie mogła uwierzyć, że jej mała dziewczynka zaczyna nowe życie, które nie wiadomo, co przyniesie. Spokój i szczęście czy trudności i problemy? Młodzi wymienili obrączki, wypowiedzieli odpowiednie formułki. W świetle prawa zostali małżeństwem.

Potem młodzi państwo Kliccy dostojnym krokiem przeszli do obszernej sali przyjęć. Teresa dyskretnie poprosiła Czesława, żeby pierwszy złożył nowożeńcom życzenia, bo to podobno przynosi szczęście, kiedy rozpocznie mężczyzna. Potem kolejno podchodzili wszyscy obecni. Zrobiło się swojsko, miło. Życzenia, kwiaty, pocałunki, prezenty. Ewa promieniała. Jurek patrzył na nią zakochanym wzrokiem.

Piękna para, pomyślała Teresa. Teraz ma troje dzieci. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie tak dawno stali z Janem przed ołtarzem. Byli tacy szczęśliwi! A teraz? Ich córka ma męża, wkrótce urodzi dziecko. Łzy toczyły się po policzkach Teresy. Nagle poczuła, że czyjaś ręka wsuwa się pod jej ramię. Przez moment pomyślała, że to może Janusz. Wcześniej zastanawiała się, czy go zaprosić na ślub Ewy. Doszła jednak do wniosku, że może za wcześnie na takie rodzinne uroczystości. Obejrzała się i trochę zawiedziona zobaczyła Czesława.

– Nie płacz, Tereniu! To radosny dzień. Nasze dzieci mają przed sobą wspólne życie. Cieszymy się razem z nimi.

JANUSZ

Spotykali się często. Chodzili do kina, na spacery do Łazienek, czasem na jakiś koncert lub do teatru. Dobrze jej było z Januszem. Był zrównoważony, umiał się znaleźć, wyglądał nie najgorzej. Gdy przychodził po południu, często zostawał do rana. Oczywiście tylko wtedy, kiedy nie było Adama. Syn bardzo się zmienił. Wydoroślał. Jak to się mówi, chwycił wiatr w żagle. Kiedy tylko mógł, wyjeżdżał w góry. Ze swoją grupą poznawali szlaki w Bieszczadach, Beskidach, Tatrach. Po powrocie opowiadał Teresie swoje wrażenia. Opisywał piękno przyrody, wspominał zabawne sytuacje. Była szczęśliwa, że tak zmadrał i że ma hobby, które go pochłania.

Kiedyś postanowiła podpytać Janusza, dlaczego doszło do jego rozwodu z Beatą. Zaczął się tłumaczyć, że to nieciekawa, po prostu banalna historia i niewiele jest tu do powiedzenia. Wreszcie, przyparty do muru, zaczął mówić:

– Byliśmy młodzi, jeszcze nie skończyliśmy studiów, kiedy wzięliśmy ślub. Początkowo układało się dobrze. Niedługo urodziła się Monika. Mieszkaliśmy z rodzicami Beaty. Wiesz, jak to jest z teściami, zwłaszcza z teściową. Miała jęczyzek jak żądło i wszystko jej się nie podobało, a najbardziej ja. Wreszcie postawiłem sprawę jasno. Powiedziałem, że musimy się wyprowadzić. Wtedy były wielkie problemy z mieszkaniami, jeszcze większe niż teraz. Udało mi się załatwić pokój asystencki. Małeńki, ale własny. Jednak Beacie było niewygodnie, ciasno, za dużo roboty przy dziecku. W końcu oświadczyła, że wraca z Moniką do rodziców, a ja muszę się zdecydować, czy idę z nią, czy zostaję sam. Prosiłem, żeby poczekała, że są widoki na większe mieszkanie, jednak stwierdziła krótko: „Obiecanki cacanki, a głupiemu radość”. Nie chciałem przeprowadzić się do teściów. Co ci będę dalej mówił! Było coraz gorzej. Mieszkaliśmy oddzielnie, widywaliśmy się rzadko. Wreszcie Beata powiedziała, że ma dość i składa pozew o rozwód. Stało się! Dostaliśmy rozwód bez orzekania o winie, z powodu niezgodności charakterów, a dzieckiem miała się zajmować Beata. Mnie przysądzono płacenie alimentów i wyznaczono terminy, kiedy mogłem widywać Monikę. Miała wtedy trzy i pół roku, była rozkosznym dzieciakiem. Ciężko mi było. Ale cóż, nie widziałem sposobu, jak zmienić tę sytuację. Potem się dowiedziałem, że Beata znalazła sobie kogoś i chyba wyjdzie za niego za męża. Najgorsze było to, że nastawiała dziecko przeciwko mnie. Moje kontakty z Moniką bardzo się rozluźniły, widywałem ją rzadko, dosłownie od czasu do czasu. Teraz moja córka jest dorosłą kobietą, ma trzydzieści lat, założyła rodzinę i nieźle sobie żyje. Przez kilka lat mieszkalem z Antošką. Niestety, nie zdołałem sprostać jej oczekiwaniom finansowym. Któregoś dnia kazała mi się wyprowadzić. Nie

mieliśmy ślubu, więc bez większego problemu spełniłem jej życzenie. Od kilku lat jestem sam. Mam skromne mieszkanko, jakoś sobie radzę. A może odwiedziłabyś kiedyś samotnika w jego niedźwiedziej norze?

– Jeśli niedźwiedź mnie zaprosi i obieca, że nie poniosę uszczerbku na ciele, to czemu nie!

– Wcale nie będzie się powstrzymywał ani w niedźwiedziej norze, ani nawet w tej chwili. Jestem bardzo zgłodniałym niedźwiedziem!

Teresa śmiała się, gdy Janusz ją łaskotał, chwycił zębami, dotykał ustami i językiem. Czuła się z nim coraz bardziej związana, coraz bardziej go lubiła. Przyszło jej do głowy, że może trzeba by poznać go z dziećmi. Jednak odrzuciła tę myśl. Jeszcze za wcześnie. Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

W którąś lipcową niedzielę przyszła Ewa z mężem. Była radośnie uśmiechnięta, wyraźnie się zaokrągliła. Z włosami związanymi w koński ogon wyglądała prześlicznie. Jurek jak zwykle nie odstępował jej ani na krok.

– Mamuś, mamy dla ciebie wspaniałą nowinę! Tylko usiądź, bo padniesz z wrażenia. Jurek dostał propozycję podjęcia dalszej nauki.

– Świetnie! Bardzo się cieszę, Jureczku!

– W tym celu pojedzie na pół roku do Stanów.

– Jak to do Stanów? Skąd taka propozycja?

– Wiesz, jak kończył studia, wysłano go na dwa czy trzy miesiące na praktyki do Skierniewic.

– Dlaczego tam?

– Bo tam jest bardzo znany Instytut Sadownictwa. A szefem był wtedy jeszcze profesor Pieniążek! Chyba o nim słyszałaś?

– Tak! Nawet raz byłam na jego wykładzie. Wrócił właśnie z podróży do Chin i przywiózł bardzo dużo pięknych slajdów. Mama mojej koleżanki pracowała w administracji instytutu. Jakoś nas obie, wówczas jeszcze podlotki, przemyciła na ten wykład. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie kolorowe zdjęcia wyświetlane na dużym ekranie. To była chińska egzotyka. A profesor urzekał prostotą, miłym sposobem bycia. Był niewysokim mężczyzną, prawdę mówiąc, wyobrażałam go sobie inaczej, bardziej okazale, może nawet dostojniej. Jednak pamiętam, że mówił wspaniale. Szczegóły wyleciały mi z głowy, ale wiem, że dominował w tym wykładzie temat jabłek.

– No właśnie, profesor też przez długie lata był w Stanach, bardzo go tam cenili, nawiązał mnóstwo kontaktów. Kiedy wrócił zaraz po wojnie do Polski, postanowił, że jabłka muszą być u nas dostępne ciągle, przez okrągły rok, a nie tylko do Bożego Narodzenia. I to nie jakieś tam sprowadzane z zagranicy, ale nasze, wyhodowane w kraju. To był plan super! Profesor rozkręcił skierniewicki

instytut. Teraz, dzięki jego kontaktom z Ameryką, nadal mogą wyjeżdżać do Stanów pracownicy naukowcy instytutu, a nawet studenci. Jurek w czasie praktyki wyrobił sobie dobrą opinię i dostał stypendium.

– Dziecko kochane, ale jak Jurek pojedzie i zostawi cię w takim stanie?

– Mamuś, zanim załatwi paszport, zdobędzie amerykańską wizę i wszystkie potrzebne papiery, to jeszcze trochę potrwa. Małeństwo zdąży się urodzić. A potem, jeśli przedłużą mu stypendium, to może pojedę do niego, oczywiście z maluszkiem. Ale będzie cudnie!

– A co ty tam będziesz robił?

Zanim Jurek otworzył usta, Ewa spojrzała na niego czule, cmoknęła w policzek i znów zaczęła nadawać. Po kim ona jest taka wygadana? I od kiedy? Może to ciąża tak na nią wpłynęła. Teresa popatrzyła na córkę ze zdziwieniem.

– Jurek będzie mieszkał w kampusie i pracował na uczelni, zapomniałam, jak to miasto się nazywa. – Nie czekając na jego odpowiedź, Ewa mówiła dalej: – Jak on tam popracuje, to stanie się specjalistą pomologiem, czyli sadownikiem, na wysokim poziomie. A tacy są w Polsce bardzo potrzebni. Dobrze, że Jurek świetnie zna angielski, nie będzie miał kłopotów z porozumiewaniem się z ludźmi.

Teresa starała się uśmiechać, ale myślała tylko o jednym: Jurek wyjedzie, a potem Ewa. Kolejna strata. Jak ona to przeżyje?

Dobrze, że chociaż Janusza ma na każde zawołanie. Zastanawiała się nieraz, jak taki dość atrakcyjny mężczyzna uchwycił się wolny przez tyle lat. Może rzeczywiście zraził się do kobiet, po przejściach z żoną i konkubiną, jak się teraz brzydtko określa kobietę żyjącą z partnerem bez ślubu.

A może jest coś, o czym ona nie wie, a co wyjdzie na jaw, kiedy będzie już bardzo zaangażowana w ten związek? Usłyszała, a może przeczytała gdzieś mądre zdanie: „Jeżeli kogoś pokochasz – dajesz mu nad sobą władzę, a wtedy ten ktoś łatwo może cię zranić”.

Tymczasem jednak idylla trwała. Janusz był wciąż jednakowo czuły, delikatny i namiętny. Teresa wreszcie sobie uzmysłowiła, o co Janowi chodziło, czym go do siebie zraziła. Teraz wiedziała, jak ważne jest, by rozumieć się bez słów, a właściwie, by ciała rozumiały się bez słów, a jeśli słowa padają – to tylko po to, by podnosić temperaturę zbliżeń.

W pracy nie pojawiły się plotki na ich temat. W końcu Warszawa jest wystarczająco dużym miastem, żeby zakochani mogli znaleźć cichy kąt dla siebie.

CIOTKA MARYSIA

W słoneczną lipcową niedzielę Teresa postanowiła wreszcie odwiedzić ciotkę Marysię. Janusz wyjechał na kilka dni, więc miała czas. Nie uprzedziła o swoim przyjeździe, bo nie chciała, żeby ciotka robiła jakieś specjalne przygotowania. Była kiedyś u niej, ale nie bardzo pamiętała, jak tam dojechać. Piastów to niezbyt duże miasteczko, ale musiała trochę się pokręcić po wąskich, zapyziałych uliczkach, zanim znalazła, właściwie już na granicy miasta, domek Marysi. Od dzieciństwa nigdy nie zwracała się do niej inaczej niż po imieniu, ciotka tak sobie życzyła. No cóż, różnica wieku między nimi nie była zbyt duża, zaledwie niecałe dziesięć lat. Często bawiły się razem. Marysia nauczyła Teresę robić szaliki na drutach. Szyły też sukienki dla lalek. Spędzały ze sobą dużo czasu. Zazwyczaj towarzyszyła im Róża. Jadły chleb ze smalcem albo zupę z suchego chleba, którą babcia nazywała kapłonem. Było biednie, ale mimo to Teresa dobrze wspominała tamte czasy. Zastanawiała się, dlaczego ich drogi tak bardzo się rozeszły. Mieszkały w różnych miastach, jednak nie był to wystarczający powód.

Może to przez Kostka, drugiego męża Marysi? Tadzio, pierwszy mąż, był bardzo dobrym człowiekiem, zginął w okropnym wypadku. W czerwcowe południe tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, w rotundzie PKO, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami, nastąpił wybuch. Jedni mówili, że to gaz, inni – że bomba. Budynek uniósł się dosłownie w powietrze, a następnie zawalił. Trzy kondygnacje przygmiotły wielu klientów i pracowników. Gmach banku został doszczętnie zniszczony. Okoliczne domy także ucierpiały, sporo z nich, zwłaszcza stojący obok Universal, straciło szyby. Zginęło prawie pięćdziesiąt osób, wśród nich Tadzio. Rannych było jeszcze więcej, bo w sali w tym czasie załatwiano sprawy wielu interesantów.

Marysia została z dwiema córeczkami. Skończyło się dostatnie i spokojne życie. Bez Tadzia było ciężko, mimo że dziewczynkom przyznano rentę. Te pieniądze nie wystarczały na utrzymanie, toteż Marysia musiała podjąć pracę. Nie miała żadnego zawodu, pracowała na poczcie w Pruszkowie przy segregowaniu listów. Ciągle płakała. Nie mogła się pogodzić ze śmiercią Tadzia, ale czas płynie i leczy rany. Po jakimś czasie trafił się kandydat na męża. Nie zastanawiając się długo, wzięła z nim ślub. To był trochę dziwny człowiek, ponury i gwałtowny. Od pierwszego spojrzenia nie spodobał się Teresie. Ale cóż, to Marysia zdecydowała o losie swoim i córek. Kostek wkrótce zaczął popijać. Awanturował się, nieraz w złości pobił żonę i dzieci. Ciekawe, jak teraz jej się układa?

Przez płot, otaczający domek, zobaczyła Marysię. Siedziała na leżaku w niewielkim przydomowym ogródku, pod brzozą, której liście osłaniały ją przed

silnym słońcem. Zmrużyła oczy i podniosła rękę do czoła, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Przez chwilę nic nie mówiła. Nagle jej oczy zabłyśły.

– Teresa? Terenia! Tak się cieszę! Ile to lat się nie widziałyśmy? Chyba z dziesięć. Na ślub twojej Ewy nie pojechaliśmy, bo Kostek miał ciąg, prawdę mówiąc, nie trzeźwiął przez kilka dni. Nijako mi było samej jechać – tłumaczyła się biedula. – A ty ciągle tak samo śliczna. Jaka wystrojona! Piękny ten bursztynowy wisiorek, taki miodowy kolor ma i rybnie łuseczki w środku widać. Oczu nie można oderwać. Musiał sporo kosztować.

– Jan kiedyś mi go kupił, jak byliśmy z dziećmi nad morzem. Chciał, żebym miała pamiątkę. Bardzo lubię to cacuszko. Często je zakładam.

– Ja nigdy nad morzem nie byłam. Takie życie. Wciąż pieniędzy na przyjemności i podróże brakowało. Z Tadzkiem liczyliśmy każdy grosz, żeby starczyło, jak naszą chałupinę budowaliśmy. A potem, z Kostkiem, to już całkowita bryndza! Na wódkę nie można było nastarczyć. A przecież dzieci też kosztowały. Ale dosyć narzekań. Może się czegoś napijesz? Usiądź na ławeczce, będzie ci wygodnie. Pójdę po coś zimnego. Tak się cieszę!

Objęła Teresę, przytuliła i wycalowała w policzki.

– Opowiadaj, co u ciebie? Jak żyjesz? – Postawiła przed Teresą szklankę z kompotem. – Przyjechałaś samochodem? Ja nigdy się nie nauczyłam prowadzić, zresztą po co mi prawo jazdy, jak samochodu nie mam. Ale ja tu gadam i gadam. Do głosu cię nie dopuszczam!

Jak ta Marysia przypomina ciotkę Martę, pomyślała Teresa. Zadaje tysiąc pytań naraz, a na odpowiedź nie czeka ani chwili. Zresztą nic dziwnego, że są podobne, przecież to rodzone siostry. Nawet wygląda jak Marta. Okrągła, siwa. Piękne, kiedyś kruczoczarne włosy, będące jej największą ozdobą, straciły barwę, a ciasno spleciony warkoczyk wyglądał dość mizernie. Domowa sukienka była już sprana i wydawała się trochę przyciasna. Jednym słowem, ogólnie dość przykre wrażenie.

– Marysiu, a co u ciebie? Jak córki, Kostek?

– Co tu mówić, stara bieda. Dziewczyny podorastały. Starsza, Agnieszka, ma dobrego męża. Pracuje, wychowuje synka. Magda, młodsza, nie wyszła za mąż, ale może to i lepiej. Widziała, jak wyglądało i wygląda moje życie, to woli nie szukać takiego szczęścia. Wyprowadziła się do Warszawy, pracuje, nieźle sobie radzi. Ja dalej na tej poczcie tyram za marne grosze. I tak się jakoś pcha tę biedę. Dzisiaj niedziela, trochę odpoczynku. Kostek pojechał z kumplem na ryby. Pewno znów sobie popijają, jak zwykle nad rzeką. Przyjedzie, to będzie się czepiał wszystkiego, aż się wścieknie i zrobi prawdziwą awanturę. Teraz to i tak jest lepiej. Kiedyś, jak mnie posiniaczył, wezwałam na niego milicję. Prokurator mu zagroził, że jeszcze jeden taki wybryk i pójdzie siedzieć. Trochę się boi. Zgrzyta zębami, pięściami wymachuje, ale krzywdy mi nie robi. Taki los. Mówię ci jak na spowiedzi. Po co ja

za tego łobuza wychodziłam? Tadzio to był dobry człowiek. Cichy, spokojny i mnie szanował. Dlaczego musiał zginąć? Ale co tu gadać po próżnicy, widać taki los jemu i mnie sądzony. Tereska, a pamiętasz, jak byłyśmy dziewczynami, to takie ładne marzenia miałyśmy. Chciałyśmy, żeby jakiś księżę przyjechał, zakochał się i potem żeby żyć z nim długo i szczęśliwie. A tu zamiast księcia mam pijaka przebrzydłego! No mów, mów, bo znowu cię do głosu nie dopuszczam.

– To może ja już pojedę, bo Kostek będzie zły, jak mnie tu zastanie.

– Nie bój się, on dopiero pod wieczór wróci. Bądź spokojna!

Teresa opowiedziała o ślubie Ewy i wnuku, który ma się urodzić, a także o Adamie. Że Jan nie żyje, Marysia wiedziała. Wspomniała też o wizycie w Czaplinku u ciotki Marty i o biednej Wandzie, i ślubie mamy, o Honorce, a nawet o Róży.

– Mój Boże, tyle lat ich nie widziałam. Siedzę tu, niby do Warszawy niedaleko, ale ciągle czasu nie ma i pieniędzy. I tak jakoś to życie przelatuje przez palce. Starzeję się!

– Oj, Marysiu, nie narzekaj. Nie jest tak źle – bez przekonania powiedziała Teresa.

– A ty to ciągle jak dziewczyna. Urodziwa, elegancka! Powinnaś się za jakimś facetem obejrzeć.

– Kręci się koło mnie taki jeden, nawet niczego sobie, ale nie myślę o małżeństwie. Sama wiesz, jak to się może potem skończyć. Pamiętasz, co mówiła babcia? Jak się ożeni, to się odmieni!

– Prawda, mama to mnóstwo powiedzonek miała. Szkoda, że się ich nie spisywało, bo teraz to już pouciekały z głowy! A co do męża, to przecież nie każdy jest jak mój Kostek! Wejźmy do domu. Zrobię coś do zjedzenia i zdjęcia ci pokażę.

– Wiesz co, kochana, może następnym razem. Przegadałyśmy sporo czasu, chyba już pojedę. Postaram się znów do ciebie wpaść. A może umówimy się i ty do mnie przyjedziesz?

– Bardzo bym chciała!

Ucałowały się serdecznie. Teresa z ulgą wsiadła do samochodu. Biedna ta Marysia. Jak to jest, że niektórym ludziom tak marnie życie się ułożyło?

KOLEŻANKI

Teresa od lat chodziła do Polleny mieszczącej się w pasażu za domami centrum. Pracująca tam pani Ela dbała o jej fryzurę. Zawsze strzygła i czesała Teresę tak samo. Tym razem stwierdziła, że dosyć. Włosy trzeba skrócić. Nie czekając na decyzję klientki, zabrała się do obcinania i wkrótce podłogę pokryły ciemne loki, a głowa Teresy zmieniła się nie do poznania.

– Że też wcześniej nie wpadłyśmy na taki pomysł. W tej fryzurze jest pani doskonale. Włosy pięknie się układają, wyglądają bardzo korzystnie i co tam dużo mówić, jakby pani lat ubyło!

– Dobrze, dobrze, co może pani innego powiedzieć! Bronię pani swojej propozycji.

Widać było jednak, że Teresa jest zadowolona. Pociągnęła delikatną szminką usta, uśmiechnęła się do pani Eli i dała jej napiwek.

Pogoda była piękna, taka, jak tylko w sierpniu może być! Teresa szła lekkim krokiem, spoglądając na swoje odbicie w mijanych witrynach. Gdy weszła do kawiarni, siedzące tam koleżanki ucichły.

– Co jest? Czemu nic nie mówicie? Z czego tak się śmiałyście, zanim weszłam?

Dziewczyny miały rozbawione miny.

– Teresa, chyba dorwałaś jakiegoś faceta. Oczy ci błyszczą, a fryzurę masz bombową! Świetnie ci w tym uczesaniu. Wyglądasz kapitalnie!

– Być może, być może, ale nie zagadujcie. Mówcie, z czego tak się śmiałyście.

– Usiądź, zamów kawę i posłuchaj, jak mąż Danki kupował sobie gacie. Danko, mów od początku!

– No więc było tak: Wiecie przecież, bo nieraz mówiłam, jaka z niego sierota. Weszliśmy do Warsa, a mój ślubny zaczyna: „Może mi pani podać krótkie kalesonki, tylko żeby były granatowe i miały guziczki przy rozporoku”. Ekspedientka długo grzebała w niewielkiej kupce gatek, aż wreszcie wyciągnęła jakieś potworne majty. A ten mój Kajtek obejrzał je i stwierdził, że musi przymierzyć!

– Danko, miej litość, ja już nie mogę się śmiać, brzuch mnie boli!

– Mów, dziewczyno, mów, co dalej!

– Kajtek zobaczył, że w pobliżu nie było przymierzalni, więc się schował za jakieś stojaki i dawaj naciągać te majtasy na spodnie. Nie szło mu to, więc pomyślał, że zdejmie spodnie i dopiero przymierzy. Jak zaczął się wyplątywać z tego wszystkiego, to przy okazji razem ze spodniami ściągnął swoje majtki, te, co

miał pod spodem!

Wszystkie śmiały się bez końca. Danka opowiadała, gestami i minami wywołując salwy śmiechu.

– Zanim się połapał, co się dzieje, to klienci zobaczyli jego zadek, oczywiście goły, a w dodatku on w panice zaczął się kręcić, więc zobaczyli nie tylko tył, ale i przód mojego męża. Co prawda, niewiele tam było do oglądania.

– A ty, wyrodna żono, nie pomogłaś mu?

– Co wy, udawałam, że go nie znam! Wstyd mi było się przyznawać do takiego ciamajdy!

– Ale kupił w końcu te majtasy?

Rozległ się nowy wybuch śmiechu. Inni klienci patrzyli trochę zdziwieni na cztery dojrzałe kobiety, które zachowywały się jak nastolatki.

Danka podniosła rękę i uciszyła koleżanki.

– Dobra! O nim dosyć! Coś wam powiem, ale teraz to już zupełnie poważnie. Tu niedaleko jest Pewex. Mają tam w sprzedaży towary, powiedzmy, w drugim gatunku, za to o wiele tańsze. Chodźcie, pójdziemy, może coś fajnego i niedrogiego nam się trafi!

– Ja nie idę. Nie mam zielonych. – Irka jak zwykle była bez pieniędzy.

– Nie martwcie się o dolce.

– A co, rozbiłaś bank w Monte Carlo?

– Niestety nie! Ale wygrałam w totka!

– To co sobie kupisz? Nowe auto, może domek? – posypały się pytania.

– Nie żartujcie! To niewielkie pieniądze, starczy akurat na małe zakupy w Peweksie. Nie powiedziałam o niczym Kajtkowi, boby mi zaraz zagospodarował wygraną. Ja nie jestem taka chytra jak on. Kupiłam po okazyjnej cenie zielone i teraz zapraszam na zakupy. Która nie ma forsy, dostanie ode mnie!

Wszystkie poderwały się z krzeseł i wyszły pośpiesznie. Uwielbiały zakupy, a jeszcze na dodatek w Peweksie! Zaczęły oglądać i przymierzać. Trudno było się zdecydować! Przerzuciły sporo różnych bluzeczek. Teresie spodobała się kremowa, niezbyt droga i bardzo ładna. Opuszczały sklep w świetnych humorach, jakby im lat i kłopotów ubyło. Każda niosła z dumą torbę z napisem „Pewex”.

To był udany dzień, myślała Teresa. W pracy spokój, nowa fryzura, a teraz ten zakup. Co prawda, nie powinna wydawać pieniędzy na głupstwa, trzeba pomyśleć o nowym aucie. Teraz szła odebrać malucha od mechanika! Staruszek sporo ją kosztował. A sprzęt dla Adama? Jak wyliczył, co mu będzie potrzebne, a właściwie konieczne, to oniemiała: karimata, plecak ze stelażem, śpiwór, puchowa kurtka, buty turystyczne i jeszcze kilka innych rzeczy! Ciekawe, ile na to wszystko trzeba będzie wydać?

Humor trochę się jej popsuł. Nie chciała ruszać pieniędzy z konta Adama, tych po ciotce Emilii. Ale skąd na to wszystko brać?! A przecież mniej więcej za

dwa miesiące Ewa urodzi i trzeba kupić prezent. Dla niej i dla dziecka. Chyba musi załatwić sobie jakieś nadgodziny. Może jutro pójdzie do szefa. Nie lubiła tego typu, ale nie było innej rady. Włoży nową bluzeczkę! Może uda się jakoś urobić tego gbura. A dzisiaj przychodzi Janusz. Dobre zakończenie dnia!

Prawie cały wrzesień przez trzy dni w tygodniu Teresa miała dodatkowa pracę. Była bardzo zajęta. Jak nie nadgodziny, to wizyta u Ewy albo spotkanie z Januszem. Na domowe sprawy brakowało czasu. Po miesiącu takiej orki była wykończona. Któregoś dnia Adam zainteresował się jej wyglądem.

– Co ty, mamo, jesteś taka blada? Coś ci dolega? Może do lekarza idź, bo wyglądasz całkiem nie tak jak normalnie!

– Jestem trochę zmęczona, ale nic mi nie dolega. W niedzielę odpocznę. Pośpię dłużej, potem zrobimy jakiś dobry obiad. Będzie dobrze.

Po dwóch miesiącach otrzymała pieniądze i natychmiast podziękowała za nadliczbówki. Stwierdziła, że szkoda jej zdrowia i czasu. Za takie pieniądze nie będzie harować świątek, piątek i sobota! Kiedy przekazała szefowi swoją decyzję, uśmiechnął się. Miał wyraźnie zadowoloną minę. Udało mu się utrzyć nosa tej ważniaczce. Za kogo ona się ma! Myśli, że wszystko jej wolno? Liczyła i się przeliczyła!

Mimo porażki Teresa wyszła z dumnie podniesioną głową. Dlaczego on tak jej nie lubił? Fakt, że ona jego też nie. W ostatnim liście do Krystyny opisała swoje kontakty z przełożonym i zakończyła retorycznym pytaniem: „Ciekawe, za co jest na mnie taki cięty?”. Krystyna, mądra kobieta, wyjaśniła, że z pewnością mu się spodobała, ale zdając sobie sprawę, że nie ma u niej żadnych szans, wyładowuje w ten sposób swoje frustracje! Może miała rację. Teresa nieraz widziała, jak szef patrzył na nią ukradkiem i oczka robiły mu się jakieś takie maślane. Koniecznie musi go poobserwować pod tym kątem.

Święto Zmarłych wypadło w tym roku w sobotę. Teresa namówiła Adama, żeby pojechał z nią na Powązki. Nawet nie musiała go długo prosić. Pod cmentarzem trudno było zaparkować. Widać społeczeństwo robiło się coraz bogatsze. Coraz więcej samochodów jeździło po Warszawie. Coraz ciaśniej było na jezdniach. Jak tak dalej pójdzie, to ulice całkiem się zakorkują.

Podeszli do wspólnego grobu Jana, ciotki Emilii i wujka Jarzębskiego. Zapalili znicze i położyli wiązanek białych chryzantem. Teresa się zamyśliła. Biedny Jan! Tak głupio stracił życie. Znowu wszystko stało jej przed oczami. Nagle poczuła, że Adam obejmuje ją za ramiona i przytula. Spojrzała na niego – oczy miał pełne łez. To dobry chłopak. Nadal brakowało mu ojca. Dawniej nieraz

widziała, jak siedział bez ruchu, pochylony nad zeszytem, udając, że odrabia lekcje, a z pewnością myślał wtedy o Janie. Ona sama wiedziała, jak smutno żyć sierocie. Przecież miała zaledwie kilka lat, gdy zmarł jej tata. Ledwo go pamiętała. Jako dziecko też popłakiwała i zazdrościła koleżankom, że miały ojców. Biedny Adaś. Nadal trudno mu poradzić sobie z tą stratą...

Chodzili po cmentarzu dość długo, prawie bez słowa. Poszli do kwatery powstańców warszawskich. Może między bezimiennymi grobami jest także mogiła Karoliny, matki Jana? Zapalili znicze. Teresa opowiedziała Adamowi, jak zginęła babcia Karolina, jej mąż i ich córeczka. Adam słuchał bardzo uważnie, co jakiś czas zadawał pytania. Wreszcie powiedział cicho:

– Tacy młodzi byli!

Zaczęło zmierzchać. Po zmianie czasu na zimowy już o szesnastej robiło się szaro. Wrócili do domu w całkowitych ciemnościach. Oboje byli wzruszeni. Teresa pogłaskała delikatnie głowę Adama.

– Mój kochany synek!

RADOŚCI I SMUTKI

Teresa wcześniej położyła się spać. Czowała się zmęczona długą wędrówką po cmentarzu. O czwartej rano obudził ją dzwonek telefonu.

– Ewa jest w szpitalu! Mamy syna... – wydyszał Jurek.

– Jurek, to ty? A jak... – Nie dokończyła, bo zięć odłożył słuchawkę.

Nie zdążyła o nic zapytać. Nawet o to, jak się czuje Ewa, jak zniosła poród, czy dziecko zdrowe. Tyle pytań, a ten zakręcony tatuś nic nie powiedział. Nie mogła zasnąć. Do rana leżała z otwartymi oczami. A więc jest babcią! Bardzo się cieszyła. Jan też cieszyłby się z wnuka.

Rano zadzwoniła do Małgosi. Dowiedziała się od niej, że dziecko urodziło się szybko i bez komplikacji, że podobno jest śliczne, jak stwierdził Jurek, któremu położna z daleka pokazała zawiniątko z malcem, no i że na razie nie można odwiedzić Ewy. Wiadomo, na porodówkę wstęp wzbroniony. Głupie, niezyciowe przepisy. Na amerykańskich filmach w pokoju położnicy, obok której w łóżeczku śpi smacznie świeżo urodzone maleństwo, kręci się cała rodzina. A na stolikach stoją wazonny pełne kwiatów i nikomu to nie przeszkadza, a młodzi Amerykanie jakoś wytrzymują taki brak higieny. Cóż, co kraj, to obyczaj.

Teresa pomyślała, że trudno jej będzie wytrzymać w domu. Postanowiła wybrać się do Skierniewic. zaproponowała Adamowi wspólny wyjazd. Zgodził się natychmiast.

Babcia Fela powitała ich z palcem na ustach.

– Gienio jest chory, teraz zasnął, musimy cicho rozmawiać.

Usłyszeli zachrypnięty głos Eugeniusza.

– A kto to przyszedł?

– Śpij, Gieniu, Tereska przyjechała.

– To ja wstaję! Nie ma mowy, żebym ją w betach witał. Poczekaj, Tereniu, zaraz się ogarnę.

– Cały Gienio! Można mu tłumaczyć, a on i tak zrobi po swojemu!

Po kilku minutach z sypialni wyłonił się Gienio ubrany w ciepły szlafrok, z szalikiem na szyi.

– Witam cię, Tereniu, ale z daleka, bo nie chcę, żebyś ode mnie wirusa złapała. O, widzę, że z synem przyjechałaś. Adam, aleś ty wyrósł! Właściwie to z ciebie już prawdziwy mężczyzna.

– To ja się zakrzętnę i przygotowuję coś do jedzenia.

Matka, jak to ona, najpierw pomyślała o nakarmieniu gości.

– Mamusiu, myślę, że najpierw pojedziemy na cmentarz, bo wcześniej robi się ciemno i trudno mi będzie odnaleźć niektóre groby. Ale jak wrócimy, to

posiedzimy i pogadamy.

– Tylko jedźcie ostrożnie, bo dzisiaj spory ruch. Dziś niedziela, więc ludzie mogą świętować Dzień Zaduszny, jak należy.

– Dobrze, dobrze, będziemy uważać!

Najpierw poszli do Kazimierza, ojca Teresy. Adam kolejny raz był zdziwiony, że dziadek zmarł, nie doczekawszy trzydziestki. Mogiła została uporządkowana i ozdobiona wiązanką ze sztucznych kwiatów. Zapalili znicze, chwilę podumali i poszli do babci Marianny, dziadka Franciszka, do znajomych z dawnych lat. Tylko grobków dzieci Marianny nie było. Teresa pamiętała, że jak w dzieciństwie chodziła z babcią na cmentarz, to zawsze wstępowały do bliźniaków. Ich groby były malutkie, obok rosło spore drzewo. Po następnych kilku latach znikły. Pewno komuś potrzebne było miejsce na kolejny pochówek. A swoją drogą, jakie to smutne, myślała Teresa, rodzi się takie maleństwo i po krótkim czasie odchodzi, jak to babcia mówiła, do aniołków, i ślad po nim przepada. Więc po co w ogóle się urodziło? Szarzało, gdy wychodzili z cmentarza.

– Synku, jedźmy szybko, jestem okropnie głodna.

– Ja też! Jak wilk!

Od progu poczuli smakowity zapach. Wiedzieli, że na babcię Felę można liczyć. Na stole parował półmisek pełen placków ziemniaczanych! Teresa pomyślała, że tak było ćwierć wieku wcześniej, tylko wtedy placki smażyła babcia Marianna. Mój Boże! – westchnęła. Zapach placków już na zawsze będzie jej się kojarzył z Jaśkiem, którego właśnie wtedy, u babci, pierwszy raz zobaczyła!

Zasiedli do stołu.

– No, dłużej już nie mogę czekać! Muszę to powiedzieć!

– Ale co, Tereniu, co?

– Jest mamusia prababcią! Ewa dzisiaj nad ranem szczęśliwie urodziła synka.

– I dopiero teraz to mówisz! Gieniu, jestem prababcią! Widzisz, jaką masz starą żonę? Opowiadaj, córciu, opowiadaj!

– Nie mam nic do powiedzenia. Nic nie wiem. Jak obejrzę to małe szczęście, wtedy opowiem.

– Feluniu, kochana prababciu, najwspanialsza z wszystkich prababć! Przecież ja też zostałem pradziadkiem. Terenia jest jak moja rodzona. No to mamy prawnuczka! A jak ma na imię?

– Jeszcze nie wiem. Przymierzali się do różnych, ale pewno teraz wybiorą jakieś inne. Kochani, musimy jechać, bo już ciemna noc, do Warszawy daleko! A jutro praca, uczelnia. Trzeba wypocząć.

– Tereniu, zapomniałem ci powiedzieć. Od kilku dni mamy wreszcie telefon,

więc będziemy mogli porozmawiać. Feluniu, podaj Tereni numer, bo ja jakoś jeszcze nie pamiętam. Bez mojej kochanej żony chyba bym całkiem zginął.

Podszedł do Felicji i objął ją czule.

– No to pa, kochani. Fajnie, że macie telefon! Do usłyszenia! Zadzwoń, jak się czegoś dowiem. Pa!

Wychodziła, mając w oczach przytuloną parę. Dobrze, że matka zyskała takiego przyjaciela na stare lata!

Rano Teresa postanowiła zadzwonić do Małgosi, licząc, że wreszcie dowie się czegoś o Ewie i maleństwie.

– Tereska, nie martw się o Ewę. Wszystko poszło bardzo dobrze, poród książkowy. Malec jest świetny. Ja go nie widziałam, ale Jurek stanął na głowie i jakoś udało mu się za pomocą wiadomych argumentów podejść do drzwi sali, w której leży Ewunia. Akurat karmiła, więc synka też zobaczył. Za dwa, trzy dni wypiszą ich do domu i wreszcie będziemy mogli wszyscy nacieszyć się naszym wnusiem.

– Pozwolisz, Małgosiu, że jeszcze zadzwonię, żeby się dowiedzieć, kiedy wrócą.

– Ależ oczywiście, do usłyszenia!

– A może coś trzeba kupić dla dziecka lub Ewy?

– Kochana, nic nie trzeba. Młodzi o wszystkim pomyśleli. Tymczasem pa!

Stali wszyscy przy łóżeczku malucha. Nawet Adam.

– Jaki on śliczny.

– A jakie ma maleńkie łapki!

– A nosek, zobaczcie, jakie miny robi. Jakby nas wszystkich miał w nosie!

– Adam, niedawno ty też taki byłeś!

– Niemożliwe! – roześmiał się i mrugnął do matki. – Ja nie pamiętam!

– A jak maleństwo będzie miało na imię? – zainteresowała się Teresa.

– Tomasz! – jednym głosem powiedzieli szczęśliwi rodzice.

– Tomcio, Tomaszek, Tomuś, Tomek. Pięknie!

– Ewunia, a jak ty się czujesz?

– Mamo, jak młody bóg! Za kilka dni zapomnę, że Tomcia urodziłam!

Nagle malec poczerwieniał, zaczął się kręcić i popłakiwać.

Jurek wyjął go z łóżeczka, położył na kanapie i rozpoczął ceremonię przewijania. Obie babcie chciały pomagać, on jednak, dumny jak paw, dość zgrabnie wymienił pieluszkę i wykonał wszystkie niezbędne czynności. Małgosia własnym oczom nie mogła uwierzyć.

– Skąd u ciebie takie umiejętności?
– Jak to skąd, przecież ćwiczyliśmy z Ewą na lalce. Ale dziecko, moje, własne, mój synekzek kochany, to całkiem co innego.

Tomcio tylko przez chwilę leżał spokojnie. Mała buzia zmarszczyła się śmiesznie i malec zakwilił.

– Chyba jest głodny. Chodź, mój maleńki, do mamy, pojedz sobie troszkę.
Teresa uznała, że wszystko toczy się, jak należy, i że już pora wracać do domu.

– Jeśli pozwolicie, wpadnę jutro popatrzeć na nasze cudo.
– Ależ oczywiście. Zapraszamy! Przychodź, kiedy tylko będziesz miała ochotę. Babcia Tereska jest u nas zawsze mile widziana.

Czesław pogratulował wnuczka i przy okazji wyciął babcie.
W samochodzie Adam zapytał, czy wszystkie dzieci po urodzeniu są takie maleńkie, czym rozśmieszył matkę.

– No co ty, Adaś, nie widziałeś nigdy niemowlaka?
– Widziałem, ale żaden nie był taki maciupęcki.
– Nie cuduj! Tomcio jest pięknym małym dzieckiem. Ani się obejrzymy, jak zaczniesz za dziewczynami biegać! Ale, ale! Masz już jakąś dziewczynę? Nigdy nic nie mówisz na ten temat.

– Po co? Przyjdzie pora, to powiem. Koniec rozmowy!
Jedli obiad, kiedy Teresa zaczęła:
– Adasiu, dzisiaj przyjdzie Janusz. Wiesz, on w młodości chodził po górach. Będziesz mógł sobie z nim pogadać.

– A tak właściwie to po co on tu przychodzi? Nie pytałem do tej pory, bo to nie moja sprawa. Czy on się do ciebie zaleca, chce się ożenić? Jak to z wami jest?

– Znamy się, pracujemy razem. Lubimy chodzić na spacer, do kina. We dwoje różnie i przyjemniej.

– Tylko do czego to prowadzi?
– Raczej do niczego.
– To po co?
– Jesteś taki młody. Jeszcze nie rozumiesz pewnych spraw. Dojrzejesz, rozejrzysz się dokoła, poukłada ci się w głowie.

– Wiesz, mamo, ja właściwie nic przeciwko niemu nie mam, ale trochę mnie drażni, że tak przychodzi prawie jak do siebie. Powie kilka miłych słów, czasem przyniesie kwiatek, a ty wdzięczysz się do niego. Chce ci w głowie zawrócić czy co?

Teresa nie zareagowała. Miała nadzieję, że tak naprawdę Adaś jest trochę przekorny i że to tylko synowska zazdrość.

Padał pierwszy tej zimy śnieg. Sypał leniwie, białe płatki kołowały i delikatnie osiadały na gałęziach. Teresa i Janusz patrzyli przez okno na ten wspaniały spektakl, który cieszy nie tylko dzieci. Wiadomo, że pierwszy śnieg nie poleży długo, rychło przemieni się w szarobure błotko, jednak śnieżna biel niesie jakiś spokój, nadzieję, rozrzewnienie.

Stali przytuleni.

– Tereńka, czy to nie jest cudowne?

– Co? – zapytała przekornie.

– Że jesteś przy mnie, że cię obejmuję, że śnieg rozjaśnia wczesny zmierzch.

– Ale z ciebie poeta! Nie znałam cię od tej strony.

– Bo ty w ogóle niewiele o mnie wiesz!

– To może coś mi powiesz.

– Może, ale chyba jeszcze do tego nie dojrzałem. Nie śmiej się. Czasem nawet bardzo dorosły człowiek nie może się pozbierać.

– A powiedz mi, jakie masz plany na święta?

– Coś wykombinuję. Może zaproszę się do córki. Jakoś to będzie.

– A ja bym chciała, żebyś w Wigilię był przy mnie. Prawdopodobnie ze względu na Tomusia pójdziemy do Klickich. Rodzice nie chcą narażać malucha na jazdę w mróz, niby niedługą, ale zawsze. Nie wiadomo, jaka będzie pogoda. Rozmawiałam z nimi o tobie i myślę, że przyjmą cię serdecznie, jak miłego gościa. To naprawdę fajni ludzie. Oczywiście, nie będę miała ci za złe, jeśli wolisz być tego dnia z córką. Sam wybierz!

Przytulił ją jeszcze mocniej i zaczął całować szyję, ramiona, dłonie, wreszcie usta...

W Wigilię sceneria była jak z romantycznego filmu. Biały puch pokrył wszystko, a zachmurzone niebo dodawało tajemniczości. Janusz zjawił się punktualnie. Przywitał czule Teresę. Z trudem ulokowali w maluchu dwa bukiety kwiatów Janusza i jego sporą torbę. Teresa przygotowała sałatkę jarzynową, śledzika na trzy sposoby, miskę pysznej kapusty z grzybami i wielką struclę z makiem.

Przez pierwsze minuty wszyscy, a zwłaszcza gospodarze, byli trochę skrępowani sytuacją. Kiedy jednak Janusz wręczył kwiaty Małgosi i Ewie, a Czesławowi butelkę jakiegoś trunku, zrobiło się rodzinnie i serdecznie. Poszli do pokoju Ewy, gdzie Tomcio spał smacznie. Podrósł już trochę. Ciemne włoski miał uczesane w „kogucika”, a minę wyraźnie zadowoloną, uśmiechał się słodko.

– Co za rozkoszny bobas! Nie dziwię się, że babcia tak często go odwiedza. Przecież to samo szczęście!

Mówiąc to, Janusz położył na ławie obok łóżeczka pluszowego misia. Teresa

popatrzyła na niego ciepło.

– Tak, masz rację, wielkie szczęście, choć to taki mały ludzik!

Małgosia zaprosiła wszystkich do suto zastawionego stołu. Nim jednak zajęli miejsca, wzięła talerzyk z opłatkiem i kolejno podchodziła do wszystkich. Każdy odłamał kawałeczek i wszyscy zaczęli nawzajem składać sobie życzenia. Było słycać fruujące po pokoju niczym motyle słowa: zdrowia, szczęścia, spełnienia marzeń, pociechy z wnuka, radości. Były śmiechy, przepychanki, całusy. Teresa kątem oka patrzyła na Janusza. Czuł się świetnie, był swobodny, uśmiechnięty. Nie musiała się wstydzić swojego wyboru. Trochę się speszyła, kiedy objął ją i mocno ucałował.

Wreszcie zajęli miejsca przy stole i rozpoczęło się normalne, jak to w Wigilię, objadanie. Małgosia przygasiła światło, zapanował miły półmrok. Na „prawdziwej” choince lśniły lampki. Czesław czystym, silnym głosem zaintonował *Wśród nocnej ciszy*. Pozostali dołączyli do niego i popłynęła kolęda. Teresa dawno nie miała tak wspaniałej Wigilii.

Nagle usłyszeli płacz Tomusia i wszyscy jak jeden mąż pobiegli do pokoju obok, żeby zobaczyć, co się dzieje, czego dziecku potrzeba. Okazało się, że Tomciowi wypadł z buzi smoczek i upominał się o niego, a może jeszcze bardziej o kolejną porcję maminego mleczka.

Wigilia przeciągnęła się dość długo. Po kolacji przysłała pora na prezenty piętzące się pod choinką. Mikołaj, czyli ubrany w czerwoną czapę Adaś, miał sporo pracy, bo paczek uzbierało się mnóstwo. Po minach i okrzykach radości można było się domyślać, że upominki wszystkim przypadły do gustu.

Wieczór zbliżał się do końca. Pierwszy wyszedł Adam, który był z kimś umówiony. Oczywiście, jak to on, nie powiedział ani z kim, ani gdzie, ani na jak długo idzie. Pożegnał wszystkich i jeszcze raz z zachwytem popatrzył na Tomcia. Oczu wprost nie mógł od niego oderwać.

– Trzymaj się, mały, przyjdę do ciebie niedługo!

Wszystkich rozśmieszył tym pożegnaniem siostrzeńca.

Teresa z Januszem wrócili do domu. Postanowili wypić jeszcze mocną herbatę i chwilę pogawędzić. Wymieniali wrażenia z wizyty u Klickich. Byli zadowoleni. Pożegnali się czule i Janusz poszedł. Teresa została sama. Choć nic nie piła, była odurzona świątecznym nastrojem. Kliccy do wieczery nie podali alkoholu i bardzo jej się to podobało. Przecież to taki niezwykły dzień, więc po co mieszać sobie w głowach procentami. U niej też nigdy nie piło się w Wigilię. U niej! Wspomnienia napłynęły falą, wyciskając łzy z oczu. Jak to było dawno! Dzieci dokazywały przy kolacji, a potem Ewa, która wcześniej nauczyła się czytać, z trudem składając literki, mówiła, która paczka jest dla kogo, a Adaś, niby Święty

Mikołaj, podawał ją właściwej osobie. Było ich wtedy przy stole dużo: ciotka Emilia z wujkiem, mama Fela, czasem jacyś przyjaciele. No i Jan, który wszystkich rozrzewniał, rozśmieszał, śpiewał. Był duszą towarzystwa. Oparła głowę na fotelu i chyba się zdrzemnęła, bo nagle zbudził ją gwałtowny dzwonek do drzwi. Usłyszała stłumiony głos Adama:

– Mamo, otwórz, szybko, szybko!

Zataczając się lekko, wpadł do mieszkania.

– Adam, co się stało? Ty piłeś?

– Wszystko ci wytłumaczę, tylko teraz muszę się rozebrać i położyć do łóżka! Jakby milicja o mnie pytała, to cały czas byłem w domu. Proszę cię, mamo!

Teresa zamknęła drzwi, ciężko opadła na fotel i rękami objęła głowę. Co się dzieje? O co chodzi? Milicja, alibi? Boże! Co to wszystko znaczy?

Położyła się, ale nie mogła zasnąć. Nad ranem Adam cicho uchylił drzwi do jej pokoju.

– Nie śpisz?

– Adam, powiedz...

– Właśnie po to przyszedłem. Nie gniewaj się na mnie. Spotkałem się z chłopakami i wypiliśmy po piwku. Miałem już wracać do domu, kiedy z bocznej uliczki wyszło kilku kolesiów, dobrze nagrzanym.

– Jak to nagrzanym, co to znaczy?

– No, wypili znacznie więcej niż my. Jednemu coś się w nas nie spodobało i chciał uderzyć Waldka. Źle wycelował i walnął w witrynę sklepu. Potłukł szybę w drobny mak! Narobił huku, może nawet się skaleczył. Nagle zobaczyliśmy z daleka sukę.

– Boże drogi, jaką sukę?

– Mamo, no co ty! Tak się mówi na samochód milicyjny! Wtedy już nie czekaliśmy, tylko każdy pobiegł w swoją stronę. Nie wiem, dlaczego akurat mnie sobie upatrzyli i ruszyli za mną. Udało mi się ich wykołować między blokami, wskoczyłem do naszej klatki. Chyba stracili ślad. Resztę już wiesz. Miałbym kłopoty na uczelni, jakby mnie przymknęli, a na dodatek co bym dostał, to bym dostał.

– Co ty mówisz? Dlaczego mieliby cię bić?

– Mamo, całkiem niedzisiejsza jesteś? Oni nie pytają, tylko leją, takie czasy! Niejeden chłopak opowiadał!

– Nie wiem, co powiedzieć. Z kim ty się zadajesz?

– Mamo, to naprawdę przyzwoite chłopaki i to nie była nasza wina, tylko tamtych meneli! Najgorzej, że jak uciekałem, to pogubiłem prezenty gwiazdkowe. Żal mi zwłaszcza tej kasety Perfectu. Uwielbiam Markowskiego.

Kiedy pierwszego dnia po świętach Teresa wróciła z pracy, na korytarzu dorwała ją pani Zosia. Lata mijały, a pani Zosia nadal pełniła funkcję miejscowej agencji informacyjnej.

– Moja kochana pani Jarzębska, słyszała pani, co się tu u nas działo w noc wigilijną?

– Nie słyszałam. Głowa mnie rozboleła i wzięłam proszek na sen.

– Milicja była i rozpytywała, czy nie widziałam młodego chłopaka, który im uciekł. Podobno jakiś przestępca! To ja mówię, że nie widziałam ani nie słyszałam, żeby ktoś hałasował na klatce, a słuch mam, dzięki Bogu, jeszcze dobry! I pytali, czy nie mieszka tu jakiś młody chłopak! To ja powiedziałam, że nie znam żadnego takiego, co by na bandziora wyglądał!

Kiedy to mówiła, spojrzała znacząco na Teresę. Ona jednak nie dała się sprowokować.

– Widzi pani, pani Zosiu, jak to oni się czepiają! Do widzenia! Śpieszę się, bo będę miała gości i muszę obiad przygotować.

– Pani to zawsze się śpieszy, nigdy z człowiekiem porządnie nie pogada!

– Przepraszam.

Teresa znikła w mieszkaniu, zamykając sąsiadce drzwi przed nosem.

– Szkoda, że nie powiedziałam milicji, że mieszka tu taki, co może by się nadał do aresztowania! – wymamrotała do siebie pani Zosia.

Zbliżał się sylwester. Adam zaraz po świętach wyruszył w góry. Uznał, że powitanie Nowego Roku tylko tam ma sens. Cisza, spokój, ośnieżone świerki, na ciemnym niebie widać gwiazdy, nie to co w Warszawie, gdzie jest zbyt widno od latarni. Może będzie pełnia? Pewno uda się rozpaść ognisko, oczywiście, z zachowaniem wszelkiej ostrożności. To jest życie. To jest piękno! Obiecał, że wróci koło trzeciego stycznia, jak odeśpi sylwestrowe szaleństwa.

I tyle go widziała.

Kliccy zaproponowali Teresie wspólne witanie Nowego Roku. Podziękowała, mówiąc, że Janusz już coś załatwił. Właściwie nie rozmawiała z nim jeszcze na ten temat. Szczerze mówiąc, wolałaby zostać w domu. Z pewnością nie nudziłoby się im bez szumu i zgiełku sali balowej. Trzeba z nim porozmawiać, zostało niewiele czasu.

Kiedy w biurze wszedł do jej pokoju z jakimiś papierami, zapytała szeptem:

– Co robimy w sylwestra?

– Właśnie chcę ci powiedzieć. Przykro mi, ale nie będę mógł być z tobą. A przy okazji proszę o kilka dni urlopu. Nie ma takiego nawału pracy, a mnie bardzo zależy.

– Porozmawiamy potem. A urlop zgłoś w kadrach. Nie widzę przeszkód.

– Dzięki.

Wieczór sylwestrowy przesiedziała sama w domu. Nie płakała; była wściekła, że po raz pierwszy od śmierci Jana mogła spędzić sylwestra w miłym towarzystwie, a siedziała jak zwykle w ciszy i pustce. Nawet telewizora nie chciało jej się włączyć.

W Nowy Rok Janusz nie zadzwonił, żeby złożyć jej życzenia. Zastanawiała się, co było tego przyczyną. Różne myśli przelatywały jej przez głowę. Może miał wypadek? Może wdał się w rozróbę na placu Zamkowym? Podobno ostro tam było. Może jest chory? Trzeba czekać, nic nie wymyśli, tylko głowa ją od tego myślenia rozboli. Przecież w końcu kiedyś się dowie, co się wydarzyło.

Drugiego stycznia energicznie weszła do pokoju swoich pracowników, złożyła stereotypowe życzenia. Idąc do gabinetu, kątem oka spojrzała na biurko Janusza. Było puste.

– A co z naszym kolegą? Czy ktoś coś wie?

– Niestety, nie. Nic nie wiemy. Nie dał znać. Widać zabalował.

– Byłem w sylwestra ze znajomymi w Kongresowej i widziałem go z daleka. Szalał na parkiecie z szykowną blondynką.

– Co ty, Włodek, nie powiesz? On zawsze sobie jakąś laskę poderwie, ale nigdy się nie chwali. Ot, dżentelmen!

Teresa przygryzła usta.

– No, panowie, koniec świąt, do pracy!

Usiadła za biurkiem, rozłożyła papiery i łzy napłynęły jej do oczu. Więc to tak! Znowu została porzucona! Nie, tego nie da się znieść. Zaczęła mówić do siebie półgłosem:

– Nie dramatyzuj. Poczekaaj. Poczekaaj na wyjaśnienie!

Koło południa zadzwoniła kadrowa, by przekazać, że Janusz Telon dostarczył zwolnienie lekarskie na okres dziesięciu dni. Teresę ogarnęło zaskoczenie, zdziwienie, obawa. Dlaczego nie zadzwonił? Słowa Włodka zaczęły alarmująco brzęczeć w jej głowie. Postanowiła po powrocie do domu zatelefonować do Janusza, jednak przemyślała sprawę i zrezygnowała. Pojechała do Róży. Nie mogła sobie poradzić z sytuacją znów porzuconej kobiety.

Wystarczyło, że kuzynka na nią spojrzała i od razu wiedziała, że coś jest nie tak.

– Co się dzieje? Coś z dziećmi czy z mamą? – zadała stereotypowe pytanie.

Teresa próbowała się wykręcać. Nie chciała się przyznać do kolejnej porażki. Ale Róża bardzo szybko wyciągnęła z niej wszystko i, jak to ona, natychmiast powiedziała, co myśli o Januszu.

– Mnie ten typek od początku wydał się podejrzany. Ale ty dałaś się złapać

na jego czułe słówka.

– Jesteś niesprawiedliwa. Sama namawiałaś mnie, żebym korzystała z ostatniej może okazji, a teraz mówisz całkiem co innego.

Róża, przyłapana na niekonsekwencji, na moment umilkła. Po chwili jednak kontynuowała:

– A bo ty, Tereska, to jakaś taka nieporadna jesteś. Niby wykształcona, niby stanowisko masz, a z byle facetem nie możesz sobie dać rady. Przecież nie on jeden na świecie. A poza tym dlaczego od razu zakładasz, że cię zdradził? Poczekaj, uspokój się, zajmij jakąś robotą. Przecież w domu zawsze jest coś do zrobienia. Pojeżdż do Tomcia albo zadzwoń do mamy.

– Może masz rację. Zrobię, jak radzisz. Ty jakoś dobrze na mnie wpływasz. Dzięki, zaraz sobie pojedę. Powiedz mi tylko, jak się czuje ciotka Honorka.

– Matka? Mam z nią kłopot. Bardzo ją pokręciło. Ledwo łązi po mieszkaniu, już nic robić nie może, ani uprać, ani ugotować. Załatwiłam jej opiekunkę, ale to sporo kosztuje, wiesz, no i leki, i od czasu do czasu lekarz. Chyba wezmę ją do siebie. Będzie trochę ciasno, ale przecież jest nas tylko dwoje, a dawniej jeszcze dziewczyny mieszkały i jakoś się mieściliśmy. Zlikwiduję to jej mieszkanie. Zobaczmy, jak będzie. Wiesz, ona jest teraz bardzo spokojna. Niewiele mówi, niedużo je. Przecież jeszcze nie jest taka stara, ale sporo w życiu przeszła i robiła różne rzeczy, które na zdrowie jej nie wyszły. Już rozmawiałam z Krzysztofem. Zgodził się, żeby u nas zamieszkała.

– Dobry człowiek z tego twojego męża.

– Zgrzeszyłabym, gdybym na niego narzekała.

– To bywaj, jak się czegoś dowiem, to zadzwonię.

– Trzymaj się i nie dawaj losowi, to znaczy jakiemuś typkowi!

Po powrocie do domu kilka razy wyciągała rękę po słuchawkę, żeby zadzwonić do Janusza. Przemogła się jednak i wykręciła numer matki. Usłyszała jej zmieniony głos.

– Mamusiu, co się dzieje?

– Gienio jest w szpitalu.

– Dlaczego, co mu się stało?

– Lekarze mówią, że to zawał.

– Nie martw się, mamo, wyciągną go z tego! Teraz są dobre lekarstwa.

– Nie wiem, może i tak. Ale jakbyś go zobaczyła, takiego bladego, słabego, aż serce się ściska. Nie wolno mu się podnosić. A jak go wypiszą, będzie musiał pojechać do sanatorium pod Łodzią, do jakichś Popiołów, na rehabilitację. O, ja biedna sierota, krótko nacieszyłam się Kaziem, a teraz Gienio chory! – Zaczęła pociągać nosem.

– Nie płacz, mamó. Przyjadę w najbliższą niedzielę, może coś poradzimy.
Wieczorem wrócił Adaś; zadowolony, uśmiechnięty, aż miło było na niego patrzeć. Uściskał matkę, zjadł coś i poszedł spać.

Janusz zadzwonił dopiero po dwóch dniach.

– Muszę ci, księżniczko, coś wyjaśnić.

– Niekoniecznie, nie jestem ciekawa!

– Jesteś na mnie zła, ale jak powiem, co mi się przydarzyło, to zrozumiesz i wybaczysz.

– Być może.

– Czy mogę przyjść jutro, żeby porozmawiać?

– Jutro jadę do Skierniewic.

– Teresa, bardzo się na mnie gniewasz? Przepraszam!

– Cześć!

Odłożyła słuchawkę, bo dłużej nie mogła powstrzymać łez. Wciąż miała w pamięci to, co powiedział Włodek. Siedział w pokoju blisko Janusza i pewno wiedział o nim trochę więcej niż koledzy. Wczoraj niespodziewanie zaczął ją „uświadamiać”.

– Teresa, wiesz, że bardzo cię lubię jako kobietę i cenię jako szefa. Dlatego chcę cię uprzedzić, że lokujesz swoje uczucia w niezbyt dobrym miejscu!

– O czym ty mówisz?

– Tak się złożyło, że widziałem was kilka razy z Januszem. Wyglądaliście na zakochanych. Nie wiem, jak daleko twoja znajomość z nim zaszła, ale wiedz, że on nie jest cię wart. Z poprzedniej pracy wyleciał za wódkę i kobiety. U nas pracuje, jak sama wiesz, od dwóch lat. Cały czas trzyma się trochę na uboczu, nigdy nie mówi o prywatnych sprawach. Zachowuje się przyzwoicie, ale wiem, że nadal ugania się za spódniczkami. Koleżanka mojej żony sporo mogłaby o nim opowiedzieć. Ten jego rozwód też nie do końca jest załatwiony.

Teresa czuła, jak krew napływa jej do skroni.

– Włodek, to, co mówisz, to właściwie plotki, przekazywane na zasadzie „powiedziała kuma kumie”. Mnie to nie interesuje! Ale dziękuję ci za troskę i dobre serce. – Zabrzmiało to trochę ironicznie.

Włodek wyszedł, a ona oparła głowę na rękach. Nie płakała. Była wściekła. Tyle lat przeżyła i tak się dała nabrać! Stara idiotka!

W niedzielę, tak jak postanowiła, pojechała do matki. Pogoda była jak na początek stycznia piękna. Spadło niewiele śniegu, mrozu nie było, zza chmur przeświecało blade słońce. Dobrze, że się ruszyła z domu. Zostawiła w Warszawie swoje kłopoty. Oderwała się od sprawy Janusza. Już trochę spokojniej zastanawiała się, co też on wymyśli, żeby się wytłumaczyć.

Mama przywitała ją serdecznie. Uściskała i natychmiast zaczęła opowiadać o Gieniu.

– Byłam dzisiaj u niego. Pozwolili mu usiąść, a jutro albo pojutrze może parę kroków będzie mógł zrobić. Dzięki Bogu poprawiło mu się trochę.

– Mówiłam, że będzie dobrze! A mama płakała i nie wierzyła.

– Bo tak się bałam, żeby mnie, sieroty, samej nie zostawił. Dobrze mi z nim.

– Przecież my jesteśmy, to mama sierotą nie będzie.

– Tak, jesteście, ale daleko! Ale, ale! Podobno Honorka jest chora?

– Róża zamierza ją zabrać do siebie. Może byśmy do niej zajrzały?

– Dobrze, ale najpierw coś do jedzenia zrobię. Taki świat drogi przyjechałaś, głodna jesteś.

– Za jedzenie dziękuję, ale herbaty to chętnie bym się napiła. A o której do Gienia pójdziemy?

– Chciałabyś go odwiedzić? Pewnie by się ucieszył, on tak cię lubi. To lecimy, najpierw do Honorki, a potem do szpitala.

– To już jak mama uważa.

Mieszkanko Honoraty mieściło się w starej kamienicy przy rynku. Było małe i zaniedbane, podobnie jak ona. Leżała w łóżku w nocnej koszuli nieokreślonego koloru. Włożyła na nią stary serdak w kratkę. Włosy, rzadkie i przetłuszczone, związane były w niedbałą kitkę. Popatrzyła na Felę i Teresę bez większego zainteresowania.

– Dzień dobry, Honorata. Jak się czujesz? Przyszliśmy cię odwiedzić i spytać, czy ci czego nie potrzeba. Masz coś do jedzenia?

– To ty, Fela? Co się stało, że przyszedłaś? Ja już jestem na wykończeniu i niczego mi nie potrzeba. Jedzenia też nie.

– Słuchaj, Honorka. Teraz to mam dużo roboty przy Gieniu, bo jest chory, ale jak mu się poprawi, to będę cię częściej odwiedzała. Trochę ci pomogę. Zakupy zrobię, może coś upiorę czy ugotuję. Kto cię teraz dogląda?

– Przychodzi taka kobieta, ale wiesz, ona tylko patrzy, żeby mi pieniędzy podebrać! Nie chcę, żeby przychodziła. Muszę powiedzieć Róży, niech jej nie przysyła.

– To jak ty sobie poradzisz, przecież ruszać się prawie nie możesz?!

– Poradzę! Nie chcę tej baby. Idźcie już. Do widzenia.

Teresa wyszła na klatkę schodową i odetchnęła głęboko.

– Nie dość, że brudno, to jeszcze fetor nie do wytrzymania. Powiem Róży, niech jak najszybciej zabiera stąd ciotkę Honoratę.

– Och, tak. Koniecznie. Sama widzisz, że jej się już w głowie maści, a siły zupełnie nie ma. Biedna Honorka.

– Powiem Róży, co tu widziałam, niech się pośpieszy. Wiesz, mam, okropna jest taka bezradna starość!

Szybkim krokiem ruszyły do szpitala. Kiedy weszły na salę, Gienio siedział na łóżku różowy, ogolony, pachnący, całkiem inaczej niż Honorka.

– Witaj, Gieniu! Popatrz, kogo przyprowadziłam. A coś ty taki wyelegantowany?

– Bo czułem, że przyjdzie miły gość. Tak się cieszę, Tereniu, że cię widzę. A ty, moja Felu, jak się czujesz? Nie jesteś jeszcze zmęczona starym i chorym mężem?

– Lepiej byś głupstw nie mówił. Jak dobrze, że już ci lepiej. Nie mówią jeszcze nic o wypisie?

– Doktor na obchodzie powiedział, że za dwa dni zdecydują, kiedy pójdę do domu.

– Żeby jak najszybciej. Pusto bez ciebie i smutno. Masz tu trochę owoców, ciasteczko i kawałek białego serka, tego, co lubisz.

– Dziękuję ci, moja kochana. Co ja bym bez ciebie zrobił? Kto by o mnie tak dbał? Wiesz, Tereska, ożeniłem się z aniołem! – Ucałował rękę Feli.

– Wiecie, ja już muszę jechać. Stąd do dworca mam bliżej niż z waszego domu, więc pożegnam się i pójdę. Zdrowia ci, Gieniu, życzę. Tobie, mam, też. Do widzenia. Pojutrze zadzwonię, to mi powiesz, może już lekarze ustalą dzień wypisu.

Janusz klęczał przed nią. Całował jej ręce, kolana, przytulał głowę, spoglądał w oczy. Opowiadał jej jakąś historię o chorym ojcu, szpitalu, trudnych do zdobycia lekach ratujących życie. Czowała, że w tej opowieści nie wszystko jest prawdziwe, ale tak bardzo chciała mu wierzyć. Tak bardzo chciała, żeby wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Tęskniła za nim. Gotowa była mu wybaczyć, patrzeć przez palce na nieściskości i wykręty. Byle tylko wziął ją w ramiona. Chciała poczuć jego dotyk, ciało. Nie zadawała więc pytań, nie chwytala go za słówka. Był blisko, a to najważniejsze. Pochyliła się i ustami dotknęła jego włosów. Pocałowała go w czoło, potem w usta. Zapomniała o całej tej paskudnej sprawie.

W pośpiechu zrzucili z siebie ubrania. Przez chwilę przemknęło jej przez głowę, że Adam może wrócić. Trudno. Niech się dzieje, co chce.

Kiedy leżeli przytuleni, powtórzyła rozmowę z Włodkiem. Wysłuchał spokojnie, ale minę miał groźną i skomentował krótko:

– Do czego może doprowadzić zazdrość, może nawet zawiść. I to się nazywa kolega? Od jutra jeszcze rzadziej będę z nimi rozmawiał. Wszyscy trzej z pewnością są tacy sami, tylko nie ujawniali się do tej pory. Ale Włodek nadepnął mi na odcisk, zapamiętam to sobie!

– Janusz, daj spokój, bądź ponad to. Nie przejmuj się nimi. I wiesz co, chyba musisz już iść, bo nie wiem, kiedy Adam wróci. Nie chciałabym, żeby zobaczył nas w takiej dwuznacznej, nie, raczej jednoznacznej, sytuacji.

Przytuliła się do niego przez chwilę, a potem gwałtownym ruchem ściągnęła z niego kołdrę.

– Dostyc! Sio! Do domu!

– Teresa, marzy mi się, żeby nie musiał uciekać od ciebie jak złodziej.

Znieruchomiała. Jeśli zaproponuje jej małżeństwo, co mu odpowiedzieć? Trudna sprawa. Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Trzeba pomyśleć nad optymalnym, powtarzam, nad optymalnym, rozwiązaniem tego problemu – dodała żartobliwie.

– Kocham cię, moja mądralo! Moja księżniczko! Moja dziewczyno!

CIOTKA HONORATA

Teresa wyszła od Róży zdruzgotana. Co znaczą jej osobiste problemy z Januszem?! To, co przeżywała kuzynka, to prawdziwa gehenna. Wiadomo, starą matką trzeba się zająć, opiekować, doglądać wszystkiego. Biorąc Honorkę do siebie, Róża nie przypuszczała, co ją czeka. Wiedziała, że mycie, karmienie, pielęgnacja... Skąd mogła przypuszczać, że to będzie taka mordęga! Trudno uwierzyć, jak bardzo człowiek z wiekiem się zmienia. Ciotka Honorata z potulnej starej kobieciny przeistoczyła się w potwora. Róża dogadzała jej, jak mogła. Otrzymywała za to wymysły, okropne, wulgarne wyzwiska, a czasem nawet kuksańca. Honorce przypominały się młode lata. Kiedy o nich mówiła, nie przebierała w słowach. Opowiadała o sprawach, o których nawet pomyśleć wstyd. Dobrze, że dziewczyn nie było w domu, bo głos miała silny i słychać ją było w całym mieszkaniu. I tak od rana do nocy. Nie pomagały żadne środki uspokajające.

– Wyzywa mnie, wrzeszczy, że ją męczę, głodzę, dokuczam. Często i przyłożyć potrafi. Jestem już u kresu wytrzymałości. Chronię przed nią Krzysztofa, nie chcę, żeby się zdenerwował i kazał ją gdzieś umieścić. Okropnie mi ciężko!

– Róża, to przykre, ale nie wiemy, jakie my będziemy na starość. To nie wina twojej matki, że jest taka. To choroba!

– Najgorzej jest, jak muszę ją wykąpać. Krzyś mi pomaga, bo sama nie dałabym rady zanieść jej do wanny. I wiesz co? To dziwne, matka przy nim jest jakby spokojniejsza. Czasem nawet się uśmiechnie. Ot, wychodzi z niej kobieca natura!

– Może wpadnę czasem, to ci w czymś pomogę.

– Dzięki za dobre serce. Przyjeżdża Asia, to dobre dziecko, ale ma przecież syna, prowadzi dom. Sama wiesz, ile z tym roboty. A w szkole wciąż jakieś zajęcia pozalekcyjne. Bywa, że do domu wraca wieczorem. A Beata uczy się od rana do nocy, chciałyby zaliczyć ten rok. Nie mogę od nich oczekiwać zbyt dużej pomocy. Babcia Honorka chyba je lubi, bo nieraz coś o nich z sensem powie i zawsze pyta o prawnuka. Ma przebłycki przytomności, ale przy mnie to sobie używa ponad miarę. No i jeszcze moi pacjenci! Są zszokowani tym, co, niestety, dociera do ich uszu. Ale co mam zrobić? Przecież jej nie zaknebluję. Musi być, jak jest!

– Róża, trzymaj się! Życzę ci siły i wytrwałości. Będę przyjeżdżać.

Ucałowały się na pożegnanie. Gdy Teresa wkładała płaszcz i zamykała za sobą drzwi, słyszała nieparlamentarne okrzyki Honorki. Postanowiła po powrocie do domu zadzwonić do matki. Przez chwilę przeleciała jej przez głowę myśl, jak to

będzie z mamą i nią. Ale co tam, nie trzeba martwić się na zapas. Może jakoś wszystko się ułoży.

Wracając od Róży, wstąpiła do Klickich. Tomuś miał już cztery miesiące i mocno dźwigał główkę do góry. Silne dziecko. Gaworzył, uśmiechał się. To jej prywatny cud. Gdy miała swoje dzieci, jakoś nie dostrzegała wtedy takich drobiazgów. Może była zmęczona, może jeszcze za młoda i przyjmowała wszystko jako zwykłą kolej rzeczy! Teraz nie opuszczał jej zachwyty nad maleństwem, które rosło i zmieniało się niemal z dnia na dzień.

Ewa siedziała w fotelu, szczęśliwa i uśmiechnięta, zapatrzona w synka. Obejmowała Tomcia, który wtulony w matczyną pierś, pracowicie napełniał brzuszki ciepłym mlekiem. W pewnej chwili przerwał, odwrócił się i dostrzegł Teresę. Na jego buzi ukazał się półuśmiech, a potem maluch wrócił do swojej pracy. Rozczulił Teresę tą miną. Czyżby już poznawał babcię? Poczuli się szczęśliwi. Pierzchnęły z głowy myśli o Róży i Honorce. Wkroczyła do innego świata, pełnego ciepła i miłości.

Ewa powiedziała, że w maju Jurek leci do Stanów. Ma już zabukowany bilet.

– Ewuniu, to może przeprowadzisz się wtedy do mnie? Będę mogła cieszyć się wnukiem, a poza tym będziesz znów w domu!

– Mamuś, jeszcze nie rozmawiałam o tym z Jerzym. Myślę jednak, że jakiś czas pomieszkam u teściów. Przecież to też jest mój dom. A oni są wspaniali. Nie mam im nic do zarzucenia.

To wielkie szczęście, że trafiła na takich ludzi, pomyślała Teresa.

– Czekam na decyzję. Będzie, jak zechcesz. Twoja decyzja.

Delikatnie wzięła Tomcia na ręce. Popatrzył na nią i nagle jego pyzata buzia się wykrzywiła. Nie pomagały cmokania, ćwierkania. Nic nie mogło go rozbawić. Dopiero kiedy Ewa zagadała do niego, zrobił weselszą minę.

Teresa wróciła do domu z poczuciem dobrze wykorzystanego czasu. Dzięki temu, że zaraz po pracy pojechała do Róży, zdążyła wstąpić do Ewy, a teraz robi sobie kawę i zadzwoni do matki.

– Dzień dobry, mammo! Co słychać, jak żyjesz? Co z Gieniem?

– Witaj, córuniu! Powolutku! Ogólnie żyje nam się nieźle. Mnie tymczasem nic nowego nie dolega, bo te skoki ciśnienia i trochę podwyższony poziom cukru to w moim wieku drobiazg. Dogałam Gienia. On teraz zaczął bardzo o siebie dbać; zażywa leki, stosuje dietę, czyli rekonwalescent całą gębą. A co u ciebie?

– Byłam dzisiaj u Ewy. Wygląda jak kwiat. Uśmiechnięta, zadowolona. A Tomuś jest wspaniały. Uśmiecha się i patrzy, jakby wszystko rozumiał! Taki słodki maluszek!

– Szkoda, że nie mogę go zobaczyć!

– Może za miesiąc, dwa uda nam się przyjechać do Skierniewic. Zobaczymy!

– No to dobrze, bardzo się cieszę! Gienio cię pozdrawia i ściska!

– Byłam też u Róży. Ciotka Honorata jest już u niej jakiś czas. Ale daje Róży popalić. Jest niemożliwa! Strasznie dokucza. Co się z tą spokojną ciotką zrobiło? Wyzywa, klnie, a nawet zdarza się, że uderzy Różę. Bardzo to przykre!

– Tereniu, boję się takiej starości!

– Mamciu, ale ciotka jest od ciebie starsza o dwanaście lat! Nie myśl o tym teraz. Ciesz się z tego, co masz! Czyli z twojego kochanego Gienia. To kończę. Do usłyszenia niedługo!

– A kiedy przyjedziesz, Tereniu? Tak na ciebie czekamy!

– Jak tylko będę mogła! Może w którąś niedzielę. Pa! Ucałuj Gienia, ciebie też całuję!

Namówiła Janusza na koncert w filharmonii. Miał grać Krystian Zimerman, pianista światowej sławy. Nie można było przegapić takiej okazji. Teresa dość często bywała na koncertach. Uwielbiała muzykę. Na dodatek świetnie się czuła w gmachu filharmonii. Przestrzenne sale, gustowny i nieprzeładowany wystrój sprawiały, że głęboko przeżywała nie tylko muzykę. Kiedy wchodziła do sali koncertowej, gdzie nad podium dla orkiestry były umieszczone organy, jakoś miękko jej się robiło koło serca. Przecież widywała organy w różnych miejscach, ale nigdzie nie czuła na ich widok takiego wzruszenia. Czasem chodziła na koncerty z Danką, która, mimo że miała męża safandulę i niedojdę, dużo wiedziała o muzyce, bo przez kilka lat uczyła się w szkole muzycznej. Mogła więc Teresa czerpać z jej wiedzy pełnymi garściami i uzupełniać braki z tej dziedziny.

Podeszli z Januszem do szatni. Rozejrzała się dyskretnie. Panie wystrojone, panowie też elegancko ubrani. Jak to w świątyni sztuki. Nikt się nie śpieszył, nie przepychał. Widać inni podobnie jak ona reagowali na to urokliwe wnętrze. Wolno przeszli do sali i zajęli miejsca. Janusz miał dziwną minę, jakby trochę niezadowoloną, że uległ Teresie. Nie mogła sobie wyobrazić, że taki kulturalny mężczyzna może nie być wrażliwy na muzykę, zwłaszcza Chopina.

Kiedy jednak orkiestra zajęła miejsca i rozległy się pierwsze tony *Poloneza f-mol*, a po chwili solista delikatnie i śpiewnie dołączył do tamtych na fortepianie, Janusz ujął rękę Teresy i do końca koncertu nie wypuścił jej z uścisku.

Wyszli w ciszy, oczarowani i jakby nadal zasłuchani w cudowne tony.

– Teresa, jestem zachwycony. Dzięki tobie przeżyłem wspaniałe chwile. Będziemy częściej tu przychodzić! Zgadzasz się?

W odpowiedzi pocałowała go w policzek.

Teresa znowu pojechała do Róży. Tym razem był w domu także Krzysztof. Usiedli przy kawie i zaczęli rozmawiać o tym i owym. Starali się unikać tematu babci Honoraty. W pewnej chwili Krzysztof zainteresował się samochodem Teresy.

– Ten twój fiacik ma już swoje lata. Chyba dlatego przyjeżdżasz do nas koleją.

– Rzeczywiście, oszczędzam go, jak mogę, chociaż i tak wkrótce trafi na złomowisko.

– Przepraszam, że pytam, ale dlaczego nie wymienisz na coś lepszego?

– Jak nie wiadomo, o co chodzi, to zazwyczaj chodzi o pieniądze. To bardzo duży wydatek jak na moją kieszeń!

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Znam sporo ludzi, dość zamożnych, którzy wymieniają sobie samochody na nowsze, a stare, co nie znaczy, że graty, sprzedają czasem za bezcen. Jak chcesz, to się rozejrzę. – Po chwili dodał: – Przypomniałem sobie, że Ksawery ma do sprzedania skodę octavię. Czerwoną! Prawie nówka, na liczniku koło dwudziestu tysięcy kilometrów. On trzy lata temu owdowiał, więc po co mu dwa samochody. Jakbyś chciała, to z nim pogadam!

– Oczywiście, proszę. Jak się zorientuję w swoich finansach i jego propozycji, to kto wie! Zresztą, kupił nie kupił, potargować warto, jak mawiała babcia.

Róża wróciła z gabinetu. Pacjentów tego dnia było niewielu. Przez chwilę nadstawiała ucha. Zrobiła zatroskaną minę.

– Co jest? Matki nie słyhać! Pójdę do niej!

– A wiesz, Teresa – ciągnął Krzysztof – ten Ksawery ma jakieś powiązania ze Skierniewicami. Kiedyś wspominał, że maturę zdawał w skierniewickim ogólniaku.

– A ile on może mieć lat? – zainteresowała się Teresa. – Może do jednej klasy chodziliśmy, choć nie przypominam sobie żadnego Ksawerego, a to dość rzadkie imię!

– O, z pewnością jest o kilka lat starszy od ciebie!

Do pokoju wpadła Róża.

– Z matką coś się stało! Nie wiem, czy to nie udar. Leży bez ruchu i nie reaguje na moje słowa.

Zerwali się i pobiegli do pokoju ciotki. Staruszka leżała na wznak, wyprostowana, usta miała niedomknięte i wpółotwarte oczy. Była strasznie chuda. Mój Boże, co to się z człowieka robi na stare lata, pomyślała Teresa.

– Dzwonię po pogotowie. – Krzysztof już wykręcał numer.

Przyjechali dość szybko. Lekarz spojrzął na chorą i polecił zabrać ją do karetki.

– Do którego szpitala ją zawieziecie?

- Myślę, że do Bielańskiego! Proszę dowiedzieć się za dwie godziny, co będzie dalej z chorą. Ma pani numer telefonu?
- Nie, nie będę dzwoniła. Przyjadę.
- Jak pani uważa.
- Biedna mama! Takie trudne życie miała. Może nie zawsze postępowała właściwie, ale to dlatego, że była młoda i głupia. Potem odpokutowała za grzechy.
- Nie mów tak, jakby już odeszła. Może jakoś się wyliże, to mocna kobieta.
- Dziękuję ci, Teresa, za dobre słowa. Będziemy w kontakcie.

Pod wieczór przyszedł Janusz. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Księżniczko, co się stało? Mów szybko. Nie płacz! Powiedz!
 - To niesprawiedliwe, że tak się to wszystko kończy! Ciotka Honorka jest w szpitalu. Wiem, że to nieuchronne. Jednak zawsze, za każdym razem, gdy odchodzi ktoś bliski, nie mogę sobie z tym poradzić.
 - Ale co jej się stało?
 - Prawdopodobnie wylew. Czekam na telefon od kuzynki. Miała do mnie zadzwonić, jak się czegoś dowie.
 - Moja malutka, przytul się mocno i już nie płacz!
 - Janusz, jak dobrze, że jesteś!
- Zapomniała o czerwonej octavii.

Za dwa dni zadzwoniła do Róży. Znów trafiła na Krzysztofa.

- Z teściową kiepsko, nie odzyskała przytomności. Konsultował ją internista, a potem neurolog. Jednogłośnie stwierdzili, że nie można liczyć na wyzdrowienie. Nawet powrót do jakiej takiej kondycji wydaje się mało prawdopodobny. Nie można się spodziewać niczego dobrego.
 - Bardzo mi jej żal. I was też. Ciężki okres przed wami, niezależnie od efektów leczenia. Dzięki ci, Krzysztof. Zadzwonię jutro.
 - Poczekaj, powiem ci jeszcze o samochodzie. Ksawery prosił, żebyś się z nim spotkała. Skóry z ciebie nie zedrze.
 - To umów się z nim, a ja się jakoś dostosuję. I powiedz mi jeszcze, jak się ten pan Ksawery nazywa?
 - Bilski, Ksawery Bilski.
- Przez chwilę myślała intensywnie, skąd zna to nazwisko. W skierniewickim ogólniaku pracowała kiedyś pani Bilaska, ale to chyba przypadkowa zbieżność, chociaż kto to wie?

Zadzwoniła do matki.

- Witaj, mamó, jak twoje zdrowie, no i oczywiście Gienia?

– Ano, dzięki Panu Bogu, jakoś się kowieramy. Gienio wychodzi na spacer, czasem idę z nim. Oby tak dalej.

– A wiesz, ciotka Honorka w szpitalu. Niedługo się nacieszyła pobylem u Róży! Dostała wylewu i lekarze oceniają jej stan jako ciężki.

– Będę się za nią modliła. To była postrzelona kobieta, ale jak wywietrzały jej z głowy głupoty, to zachowywała się przyzwoicie. I przy babci Mariannie ona najczęściej pomagała. Ja wtedy mieszkałam u ciebie, cała opieka na nią spadła. Była przy śmierci babci, niech ją Pan Bóg ma w swojej opiece! Jutro pójdę do kościoła, zamówię mszę w jej intencji. A powiedz, jak Tomcio, Ewa, no i Adaś?

– Tymczasem dobrze. Tomciowi zęby idą i jest trochę marudny. Ewa cały czas siedzi przy nim. Odłożyła nawet pisanie pracy magisterskiej. Powiedziała, że dziecko najważniejsze. Świata poza nim nie widzi.

– Mądra dziewczyna!

– A Adaś? Więcej go nie ma w domu, niż jest. Ciągnie go w góry. Ale chyba dobrze, że ma takie zainteresowania, a nie tylko piwo i koledzy!

– Pewno, że dobrze. Tereńku, jak się dowiesz, co z Honoratą, to dzwoń.

– Zadzwoń. Pa, mamciu!

Minęło kilka dni. Ciotka Honorka zmarła w piękny, wiosenny poranek. Róża poprosiła Teresę, żeby przyjechała i wsparła ją dobrą radą w sprawach związanych z pogrzebem.

Usiedli w trójkę i zaczęli ustalać, jak wszystko zorganizować. Najważniejsze to wybór miejsca. Róża była zdania, że najlepiej by było pochować Honorkę na skierniewickim cmentarzu. Ale to, jak wiadomo, wiązało się ze sporym kosztem transportu. Trzeba przecież trumnę z ciałem przewieźć taki kawał drogi.

– Wiecie, mama prawie całe życie tam spędziła. Ma swoich znajomych. Należała do tamtejszej parafii. Zaoszczędziła przecież jakieś pieniądze na pogrzeb, a jeśli będzie mało, to się dołoży.

– Jasne, pochowany jest tam ojciec Honorki i babcia Marianna, i mój ojciec. Może masz rację.

– Róża, jeśli ty tak chcesz, to ja nie mam nic przeciwko temu. Powiedz tylko, kiedy jedziemy załatwić sprawę z księdzem i grabarzem. Przysługuje mi dzień wolny z powodu śmierci teściowej, więc jestem do twojej dyspozycji.

– Dostałam już ze szpitala kartę zgonu, muszę jeszcze iść do Urzędu Stanu Cywilnego, więc może pojutrze?

– Zastanawiam się, czy jechać z wami, ale myślę, że pamiętasz, co gdzie jest w Skierniewicach. A w razie czego, myślę, że moja mama ci pomoże.

– Poczekajcie, a na kiedy wyznaczyć pogrzeb?

– Pamiętaj, że po niedzieli zaczyna się Wielki Tydzień. Ciocia zmarła

w środę siódmego kwietnia. Może uda się wszystko załatwić, żeby dwunastego albo trzynastego urządzić pogrzeb, bo potem to będzie trudno. W Warszawie nie udałoby się tak szybko załatwić.

– Ubranie dla mamy jest, trumnę dzisiaj zamówię, no i jeszcze transport.

– Zostaw to mnie, wiesz, że mam różne znajomości. Postaram się, żeby było jak najtaniej – zadeklarował się Krzysztof. – A kwiaty i nekrologi zamówię w Skierniewicach.

– Posłuchaj, Róża. Ciocia pracowała w mieście dość długo. Może dobrze by było zawiadomić PSS i komitet.

– Daj spokój, nie warto, nekrologi będą. Kto przeczyta i zechce przyjść, to przyjdzie.

– Może masz rację.

– A myślałaś, gdzie mamę pochowasz?

– Racja! O miejsce może być trudno.

– Działają już nowy cmentarz, ale gdzie ją na ten wygwizdów wieźć! A jak myślisz, może by do dziadka Franciszka? Grób jest stary, bardzo skromny, otoczony betonowym krawężnikiem. Żelazny krzyż przerdzewiał i lada chwila może się złamać. Jak byłam na Wszystkich Świętych, to myślałam, żeby tę mogiłę jakoś poprawić. A tak można by i dziadkowi, i twojej mamie zrobić wspólny przyzwoity grób. A ciocia Honorka odpoczywałaby na wieki obok swojego ojca.

– Wiesz, Teresa, może to dobry pomysł.

– Ja chętnie dołożę się do nagrobka, a myślę, że i ciotki też coś dorzucą. Chyba dobrze by było pogadać z nimi o tym, to znaczy z Martą i Marysią, no i z moją mamą. W końcu to przecież grób ich ojca! Mogę do nich zadzwonić, oczywiście, jeśli chcesz. Róża, a co z Marcelem? Zapomniałaś o nim?

– Popatrz, przez to wszystko zupełnie zapomniałam o moim jedynym bracie! Fakt, nie chciał być z mamą i jako kilkunastoletni chłopak wybrał ojca i jego drugą żonę. Lodzia była dla niego lepszą matką niż moja dla mnie. Ale było, minęło. Trzeba do niego zadzwonić. Dawno nie miałam z nim kontaktu. Gdzieś mam jego adres. Wyślę mu telegram o śmierci mamy i numer mojego telefonu. Zechce, to zadzwoni. Pewno nie wiesz, że jak był młodym chłopakiem, zaczepił się przy budowach, jednak szybko doszedł do wniosku, że bez szkoły ani rusz, i zapisał się do technikum budowlanego, skończył je i natychmiast zaczął studia, też związane z budownictwem. Popatrz, jaki był dzielny, wiedział, dokąd dąży. Teraz ma jakąś firmę budowlaną i podobno niezłe mu się wiedzie. Kilka razy się żenił. Temperamencik ma chyba po mamie, bo ojciec zawsze był spokojnym człowiekiem.

Teresa wyszła od Róży z mieszanymi uczuciami. Cała ta rozmowa wydała się jej sucha i jakaś obojętna. Omawiali przecież pochówek matki – najbliższej osoby. Może tak powinno być. Może to ona jest nadwrażliwa. Dziwne to wszystko!

Po powrocie do domu zaczęła dzwonić. Zamówiła Czaplinek, bo wiedziała, że to może trochę potrwać, i zadzwoniła do Marysi, do Piastowa. Powiedziała jej o śmierci Honorki i planach, by ją pochować w grobie dziadka.

Marysia chwilę się zastanawiała.

– Wiesz, co ci powiem? Urodziłam się już po tym, jak Honorkę wywiało z domu do Warszawy, a potem do Czaplinka. A kiedy wróciła, to ja już wyszłam za mąż i wyprowadziłam się ze Skierniewic, więc na dobrą sprawę nie zdążyliśmy się za bardzo poznać. Ojca to właściwie nie pamiętam. A grób? Za mało mam pieniędzy, żeby martwić się o stary, jeszcze przedwojenny grób. Przykro mi, ale na pogrzeb nie pojadę, nie mam pieniędzy. Takie jest życie!

Teresa zaniemówiła. Nie spodziewała się usłyszeć tego od Marysi.

Pod wieczór międzymiastowa połączyła Czaplinek. Marta, jak zwykle uczuciowa i rodzinna, ponarzekła na życie, że tak ucieka i zabrało pierwszą z córek Franciszka. Zgodziła się na propozycję Teresy. Poprosiła o podanie kwoty przeznaczonej na grób i kwiaty, to natychmiast wysłała pieniądze przekazem. Ale na pogrzeb nie przyjedzie. To już dla niej i Romusia zbyt męczące. Pomodli się w kościele za duszę Honorki i zapali znicz. A co do Wandy, to nie będzie jej mówić o pogrzebie.

Może to i lepiej, pomyślała Teresa, bo biedna Wanda i tak ma w głowie pokołowane. Niby Marta i Marysia dzieci jednych rodziców, a jakie różne! Co trudne życie robi z człowieka...

Było już całkiem ciemno, kiedy przyszedł Janusz. Opowiedziała mu o wszystkim. Przytulił swoją księżniczkę i kazał jej iść spać, bo powinna wypocząć po takim ciężkim dniu.

Pogrzeb odbył się w Wielki Wtorek. Pogoda była piękna. Słońce przyświecało, pachniało wiosną... Na krzakach pojawiły się nieśmiałe listki, a forsycja kwitła w całej swej żółtej krasie. Na mszy żałobnej była garstka krewnych i kilka nieznanych Teresie osób. Ksiądz odprawił ceremonię jakby od niechcienia. Trumnę opuszczono do grobu i Honorka spoczęła w miejscu, gdzie wiele lat wcześniej pochowano jej ojca, po którym zresztą już nawet ślad w ziemi nie został.

Po pogrzebie Fela zaprosiła Różę z Krzysztofem i córkami, Marcela, bo ten jednak przyjechał, oraz Teresę do siebie na herbatę, no i coś do herbaty. Marcel trochę się wahał. Kiedy jednak kuzynki obstały go i zaczęły namawiać, uległ przewadze. Teresa z przyjemnością patrzyła na jego okazałą postać. Ledwo pamiętała Marcela jako rudego i piegowatego smarkacza, potem już nigdy go nie widziała. Wyrósł na mężczyznę, który mógł się podobać kobietom. Rude włosy posiwiały, piegi gdzieś znikły. Po ojcu odziedziczył wzrost i zgrabną sylwetkę.

Towarzystwo szybko się rozgadało. Marcel sporo pamiętał z okresu, kiedy opiekowała się nim babcia Marianna, i chętnie o tym mówił. Gienio znalazł wspólny język z Krzysztofem. Obaj lubili grać w szachy, więc pochłonęła ich rozmowa na ulubiony temat. Reszta zaczęła wspominać, jak to się kiedyś żyło, mieszkało, a nawet co się jadło! Prześcigali się w wymienianiu „pyszności”.

– A pamiętacie świeży chleb? Taki duży, okrągły bochen, na którym babcia najpierw nożem krzyż zaznaczała, a potem smarowała prawdziwym smalcem ze słoniny?

– A zupę nazywaną kapłonem? Babcia zawsze suszyła resztki chleba, a potem kroїła w kostkę, zalewała wrzątkiem, soliła, dołożyła okrasę ze słoninki i cebulki i była zupa palce lizać!

– A babcine pyzy? Jak tylko były ziemniaki, babcia ścierała surowe na tarce, do tego dokładała trochę ugotowanych i robiła... pyzy! To były takie kluski, przepyszne, a pokrojone w plasterki, przysmażone na patelni – delicje, nic nie mogło się z nimi równać, no, chyba że placki ziemniaczane.

Zaczęli opowiadać córkom Róży, bo były za młode, żeby pamiętać, jakie to babcia Marianna, a potem ciocia Fela placki smażyły! Asia i Beata siedziały obok Róży i słuchały, wpatrzona w opowiadających, którzy prześcigali się we wspomnianiu kulinarnych wspaniałości. W pewnej chwili powiedziały prawie jednocześnie:

– Ale byśmy zjadły takich placków. Ślinka leci.

– To zaraz da się zrobić! – Fela była gotowa spełnić ich życzenie. – Gienio obierze ziemniaki, ja zetnę na tarce i za parę minut – placki na stole!

– Ależ, mamu, daj spokój, przecież my zaraz jedziemy. – Teresa nie chciała przedłużać wizyty.

– Nie ma o czym mówić. Pierwszy raz mam u siebie takich gości, to niech zapamiętają, że ciotka Fela też, jak babcia Marianna, dobre placki smaży!

Marcel poderwał się z fotela.

– To ja pomogę, uwielbiam kucharzyć, a już obierać ziemniaki w szczególności.

Wszyscy parsknęli śmiechem, a on z powagą zawiązał podany przez Felę fartuszek i wziął się do roboty.

Pogrzeb ciotki Honorki zakończył się w atmosferze radosnego pikniku. Chyba biedulka nie miała o to żalu i odpoczywając na białym obłoczku po trudnym życiu, z aprobatą spoglądała na rozbawioną rodzinę.

Kiedy przyszła pora na pożegnanie, stwierdzili, że nadwątlone więzi rodzinne odżyły i że trzeba je będzie podtrzymywać. Marcel zapytał Teresę, czy mogliby się spotkać w trójkę, z nią i Różą, na dalszy ciąg wspomnień. Przez kilka dni będzie jeszcze w Warszawie. Wymienili telefony.

Następnego dnia przyszedł z kwiatami i zaprosił Teresę na kawę. Uznała

jednak, że w domu będzie można spokojniej pogadać.

Zasiedli w fotelach. Teresę korciło, żeby zapytać Marcela o jego życie, ale powstrzymała ciekawość.

– Jak długo będziesz w Warszawie?

– Myślę, że jeszcze ze trzy dni. Jeśli zechcesz, to pojedziemy razem do Róży. Z nią też bym chciał powspominać.

– Zdziwisz się, ale ja prawie cię nie pamiętam z tamtych lat. Jak zniknąłeś z mojego otoczenia, byłam małą dziewczuszką. Można powiedzieć, że cię nie znam. Ciotka o tobie nie mówiła. Pewno ją gryzło, że cię nie wychowywała. A wreszcie to bardzo stare dzieje.

– To wszystko przez nią. Niech jej ziemia lekka będzie, ale nosiło ją po świecie i wciąż miała dzikie pomysły. Ojciec był spokojnym i dobrym człowiekiem. Przy Łodzi znalazł to, czego nie miał przy mamie. Pamiętam taki dzień, kiedy mama przyjechała do nas na wieś, żeby mnie zabrać do Skierniewic. Byłem jeszcze chłopcem, serce ciągnęło mnie do matki i Róży, jednak ze łzami w oczach powiedziałem, że zostanę z tatą. I wiesz, nigdy tej decyzji nie żałowałem. Łodzia była dla mnie bardzo dobra, dbała o mnie i traktowała jak swoje dziecko. Mój przyrodni brat, Zenek, młodszy o dobre kilka lat, też był dla mnie bardzo ważny. Marzyłem nieraz, żeby mieszkać w Skierniewicach, ale pogodziłem się z losem. Potem była praca, a właściwie robota, ciężka robota, na budowach. Szkoła jedna, druga, wreszcie prawdziwa praca, zarabianie pieniędzy, dziewczyny... Ożeniłem się raz, potem drugi. Nie miałem szczęścia do kobiet. Może zbyt dużo oczekiwałem. A może nie spełniałem ich oczekiwań! Nie wiem. Teraz mam Klarcie. Żyjemy bez ślubu, ale ja już nie chcę niczego związywać, żeby potem nie trzeba było rozwiązywać! Dzieci z kolejnymi żonami nie miałem, a teraz już nie pora o nich myśleć. Bardzo się cieszę, że ten pogrzeb ożywił, właściwie odnowił, moje zaniedbane rodzinne kontakty. Cieszę się też, że poznałem ciebie. Myślę, że z Różą też mi się po bratersku ułoży, nie będę taki samotny. Ojciec od wielu lat nie żyje, Zenek założył rodzinę i trochę się oddaliliśmy od siebie. Trafił na taką jędzę, że tylko mu współczuć. Ogranicza go, nigdzie nie puszcza z domu, a on potulnie jej słucha. To dobry chłopak, ale okrutny pantoflarz. Ja bym nie pozwolił tak sobą pomiatać. Może dlatego żony nie mam. Zenek ma dwóch prawie dorosłych synów. Rzadko się z nimi widuję, tak mnie ta bratowa wnerwia, że raczej ich unikam. Ot i cała moja historia. A co przede mną? Pożyjemy, zobaczymy! Teraz na ciebie kolej. Powiedz coś o sobie.

Teresa opowiedziała mu o studiach, o swojej wielkiej, jedynej miłości, o odejściu Jana, jego śmierci, dzieciach i małym Tomeczku. Powiedziała, że teraz ma Janusza. Jest z nim bardzo blisko, ale choć nie ma przeszkód, bo oboje są wolni, nie bierze pod uwagę małżeństwa. Dziwiła się, że z taką otwartością i łatwością mówi o swoich bardzo osobistych sprawach prawie obcemu

człowiekowi, na dodatek mężczyźnie.

– Czyżby było między nami rodzinne podobieństwo? Jakaś więź?

Marcel uśmiechnął się szeroko.

– Chyba tak, choć właściwie to mieliśmy zaledwie wspólnego dziadka – Franciszka. Ten stopień pokrewieństwa nie byłby nawet przeszkodą, gdybyśmy chcieli wziąć ślub!

– No popatrz, Marcel, kto by pomyślał! – Teresa parsknęła śmiechem.

– Przywykłam do tego, że jestem sama i sama decyduję o wszystkim. Nie muszę się liczyć ze zdaniem czy opinią drugiej strony. Janusz, to znaczy mój partner, jest taktowny i nie wtrąca się do moich spraw. Na przykład teraz mam zamiar zmienić samochód. Ten obecny częściej jest u mechanika niż na trasie. Jednym słowem, przyszła na niego pora. Pomaga mi Krzysztof, mąż Róży. Jestem z nimi blisko. To bardzo przyzwoici ludzie, a Róża wspaniale sobie radzi ze stawianiem mnie do pionu. Jeśli mam jakiś kłopot, to pędzę do niej jak w dym. Czasem da mi taki wygawor, że od razu inaczej patrzę na swój problem.

– To jaki samochód kupujesz?

– Skodę octavię. W najbliższym czasie pojedziemy z Krzysiem, żebym obejrzała i podjęła decyzję. Podobno to okazja. On się na tym zna.

– Dziwne, że ktoś chce teraz cokolwiek sprzedawać. Wiesz sama, jaka jest inflacja. Pieniądz z dnia na dzień traci wartość. Niedługo będziemy mieć w portfelach miliony, tylko niewiele za nie będzie można kupić. Jednak pamiętaj, gdybyś potrzebowała pożyczki, to możesz na mnie liczyć. Pomogę w każdej chwili. Dzięki Bogu, interes idzie bardzo dobrze.

– No co ty, Marcel! Ledwo się poznaliśmy, a ty z taką propozycją?

– Jak to w rodzinie! Trzeba sobie nawzajem pomagać. Bardzo cię proszę. Naprawdę możesz na mnie liczyć.

– Dzięki, Marcel. Zaskoczyłeś mnie. Bardzo dziękuję. A może obejrzysz kilka zdjęć moich dzieci?

– Bardzo chętnie. Ale cieszyłbym się, gdybym mógł poznać osobiście i Ewę, i Adama.

– Jeśli znajdziesz czas, postaram się zorganizować choć krótkie spotkanie.

– A pojedziesz ze mną do Róży? Będę u niej jutro, chciałbym, żebyśmy się wszyscy spotkali.

– Kiedy zechcesz, oczywiście po pracy.

– Świetnie, zadzwonię, to się umówimy, a teraz będę leciał, bo zasiedziałem się ponad wszelką przyzwoitość! Ale tak mi się z tobą świetnie rozmawiało. Do widzenia, Teresa. Dziękuję ci za wszystko!

U Róży było bardzo rodzinnie. Siostra i brat mogli wreszcie wyjaśnić sobie

niektóre sprawy z przeszłości. Stwierdzili, że zmarnowali szmat czasu, nim się odnaleźli. Dopiero śmierć matki sprawiła, że poczuli się prawdziwą rodziną. Doszli do wniosku, że muszą się zebrać, żeby Marcel mógł poznać dzieci: Ewę, Adama, Asię, Beatę, no i oczywiście Tomeczka i Jurka. Teresa zaproponowała, żeby urządzić spotkanie u niej, bo z małym dzieckiem za wcześnie chodzić po kawiarniach. Ustalono termin na ostatni dzień pobytu Marcela w Warszawie, a więc przy okazji będzie jego pożegnanie.

– Wiecie, muszę wracać do domu, święta za pasem! Więc chyba dopiero przy następnym pobycie w Warszawie zorganizujemy zjazd rodzinny.

– Naprawdę musisz wracać? A nie mógłbyś zostać z nami na święta? Wspólne świąteczne śniadanko, a potem odwiedzanie grobów w kościołach!

Teresie zabłysły oczy, gdy to mówiła. Marcel popatrzył z przyjemnością na jej ożywioną twarz.

– Szkoda mi trochę Klary. Będzie sama. Chyba że pojedzie do rodziców. Mieszkają we Wrocławiu. Zadzwońię do niej i porozmawiam. Bardzo chciałbym jeszcze pobyc z wami. Żal mi odjeżdżać.

To były wyjątkowe święta. Obszerne mieszkanie Teresy niemal pękało w szwach, gdy w Wielką Niedzielę przy świątecznym śniadaniu zasiedli: Róża z rodziną, Ewa z Jurkiem, Tomeczkiem i teściami, Marcel, Teresa, Adam i... Janusz. Podzielili się jajkiem, złożyli sobie życzenia, wycelowali się nawzajem. Teresa była w swoim żywiole, uśmiechnięta, szczęśliwa. Tylu kochanych ludzi dokoła. Wszyscy chwalili biały barszczyk z kiełbasą, a szczególnie podane na deser ciasto. Adaś uwijał się, pomagał. Inni też kręcili się między kuchnią a salonem, potracając się czasem w przedpokoju. Po śniadaniu wybrali się na Krakowskie Przedmieście, wstępując do wszystkich po kolei kościołów. Groby Pańskie były przesycone politycznymi akcentami. Wszędzie łańcuchy, kajdany, cierpienie, wiele mówiące hasła. Bardzo wymowna była dekoracja u Świętej Anny.

Zmęczony Tomcio dał znać kwękaniem, że chce do domu, więc Ewa z rodziną postanowiła wrócić. Małgosia zaprosiła całe towarzystwo na świąteczny obiad. Adam przeprosił, że nie będzie mógł przyjść, bo jest umówiony. Marcel zaczął się wymawiać, że zbyt duży kłopot dla przemiłej gospodyni, Janusz też bąknął coś w tym rodzaju. Jednak Małgosia uśmiechnęła się czarująco i powiedziała, że nie przyjmuje żadnych tłumaczeń, no, ewentualnie Adama może usprawiedliwić, ale reszta ma być w komplecie.

Świąteczny obiad przeciągnął się do późnego popołudnia. Teresa obserwowała towarzystwo. Róża siedziała obok Marcela i z czułością spoglądała na brata, a on odwzajemniał jej spojrzenia. Beata, młodsza córka Róży, miała ponurą minę, bo Adam zniknął, a najwyraźniej wzbudził jej zainteresowanie.

Janusz też był jakiś nieswój. Po niedługim czasie ucałował ręce Małgosi, podziękował za pyszny obiad, powiedział wszystkim ogólnie „do widzenia” i wyszedł. Zaskoczył Teresę. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Tomeczek, utrudzony tyloma wrażeniami, zasnął słodko i goście uznali, że nadeszła pora, by się żegnać.

Teresie trudno było uwierzyć, że jako jedynaczka, która zawsze obchodziła święta tylko z mamą, a potem z Janem i dziećmi, ma teraz tyle bliskich osób koło siebie. Dobrze jej było w tym licznym rodzinnym gronie.

Marcel odwiózł ją do domu. Zaproponowała herbatę na pożegnanie, ale podziękował, mówiąc, że raniutko jedzie do Leszna, bo musi jakoś wynagrodzić Klarze swoją nieobecność w pierwszym dniu świąt.

– Teresa, często przyjeżdżam do Warszawy. Jeśli pozwolisz, wpadnę do ciebie. Bardzo się cieszę z naszego poznania. Jesteś wspaniałą kobietą, życzę ci dużo szczęścia. I pamiętaj o mojej ofercie. Jest aktualna.

Przytulił ją i ucałował.

Zadzwoiła do matki, opowiedziała o ostatnich wydarzeniach, o Marcelu, o Tomeczku, złożyła trochę spóźnione życzenia Feli i Gieniowi. Położyła się zmęczona, ale wyciszona, spokojna, zadowolona. Zasnęła natychmiast mocnym snem.

KSAWERY

Dwa dni po świętach zadzwonił Krzysztof. Powiedział, że są na popołudnie umówieni z właścicielem skody. Był piękny, majowy dzień. Kwitły kasztany. Miasto wyglądało odświeżenie w seledynowej mgiełce młodych liści. Dała znać Januszowi, że ze spaceru w Łazienkach nici. Żal jej było, bo już sobie wyobrażała, jak będą spacerowali przytuleni wśród kwitnących tulipanów i pachnących bzów. Ale co tam, Łazienki nie zając, nie uciekną! A samochód trzeba wreszcie kupić.

Pojechali łądą Krzysztofa. Minęli Bielany i Hutę Warszawa.

– Czy jedziemy do Kampinosu?

– Nie, nie, już niedaleko, zaraz skręcimy w boczną uliczkę.

Po chwili sunęli niezbyt szeroką drogą wśród drzew. Od czasu do czasu mijali domki otoczone ogródkami pełnymi kwiatów.

– Czy to jeszcze Warszawa? – spytała zachwycona Teresa.

– Warszawa, Warszawa! Już dojeżdżamy.

Wjechali przez gościnnie otwartą bramę. W głębi, przez zielone krzewy prześwitywały ściany domu. Z ganku ruszył w ich stronę mężczyzna. Był dość wysoki, ubrany w sztruksową marynarkę, świetnie harmonizującą z siwymi włosami. Twarz miał młodą, ruchy sprężyste. Teresa zaniemówiła z wrażenia. Gdyby Jan żył, właśnie tak by wyglądał. Z trudem, trochę niezgrabnie, wysiadła z samochodu. Ksawery uśmiechnął się i pochylił nad jej ręką. Kiedy podniósł głowę i z bliska spojrział jej w oczy, poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Przed sobą miała czarne niczym węgle oczy Jana. Z trudem opanowała drżenie rąk. Czy to możliwe, żeby obcy ludzie mogli być tak do siebie podobni? Skąd wziął się nagle ten sobowtór jej męża? Mężczyzna, który od pierwszego spojrzenia rzucił na nią urok, tak jak kiedyś Jan...

– Zapraszam na taras, proszę, siadajcie, zaraz przyniosę coś do picia. Kawa, herbata czy jakiś zimny napój?

– Poproszę herbatę – z trudem wyjąkała Teresa.

Nie mogła zebrać myśli. Słyszała, jak mężczyźni mówią o samochodzie, przebiegu, cenie. Ona miała w głowie tylko jedno: przed nią, na wyciągnięcie ręki, siedział Jan, nie Ksawery, tylko Jan! Dość energicznie potrząsnęła głową.

– Rozumiem, nie odpowiada pani cena! – powiedział Ksawery.

Pozbierała się jakoś. Pomyślała, że gospodarz weźmie ją za pomyloną niedorajdę. Musi powiedzieć coś mądrego!

– Nie, nie, tylko odpędzałam komara!

Ale wymyśliła, nie ma co!

– Proszę wybaczyć, boli mnie głowa. – Uśmiechnęła się przepaszająco.

– Mogę jakoś pomóc?
– Dzięki, proszę o chwilę cierpliwości, zaraz mi przejdzie.
Wzięła kilka głębokich oddechów.
– Już mija. Proszę powtórzyć, na czym ostatecznie stanęło?
– Powinna pani obejrzeć auto.
– Zdaję się na opinię Krzysztofa. Nie znam się na samochodach. Uwierzę we wszystko, co on mi powie. Mam do niego zaufanie.

Krzysztof podniósł się z fotela.
– Teresa, musisz obejrzeć ten wóz, choćby po wierzchu. Powiedzieć, czy ci się podoba.

– Skoro tak uważasz.
Przeszli do garażu, w którym stały dwa samochody.
– Proszę wsiąść, sprawdzić, jak się pani czuje za kierownicą. Bardzo bym chciał, żeby samochód przypadł pani do gustu. Jestem z tym autem związany emocjonalnie i zależy mi, aby nowa właścicielka je polubiła.

Wsiadła. Przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik zawarczał. Wyłączyła i wysiadła.

– No cóż. Tapicerka ładna, auto jest w bardzo dobrym stanie. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Mówiła z trudem. Wciąż nie mogła się skupić. Wystarczył rzut oka na Ksawerego i serce zaczynało jej bić jak szalone. Boże, pomyślała, co ja robię?! On naprawdę weźmie mnie za skończoną idiotkę.

– Co do ceny, to proszę się nie martwić. Dojdziemy do porozumienia. Bardzo bym chciał, żeby to właśnie pani jeździła tym autem. Będzie pani w nim ślicznie wyglądać.

– Dzięki! Czy może życzyłby pan sobie zapłatę w zielonych? A jeżeli tak, to według jakiego przelicznika?

No, wreszcie zaczęła mówić jak normalna kupująca zainteresowana samochodem.

– Oczywiście. Ustalimy tak, żeby pani była zadowolona.
– Z góry dziękuję. Więc kiedy sfinalizujemy transakcję?
– Nie musimy się śpieszyć! Co nagle, to po diable, jak kiedyś mówiono. Proszę zadzwonić, kiedy będzie pani ostatecznie zdecydowana.

Znowu ucałował jej rękę i podał wizytówkę. Dotyk jego ust sprawił, że zadrżała.

– Do zobaczenia!
Odwróciła się szybko i wsiadła do łady. Ruszyli. Krzysztof patrzył na nią podejrzliwie.

– Teresa, co się stało? Źle się czujesz? Nigdy nie widziałem cię tak zdenerwowanej. Nie podoba ci się samochód? A może martwisz się o pieniądze?

Mówiłem, że w razie gdybyś miała za mało, to ci pożyczę!

Po dłuższej chwili zaczęła cicho mówić:

– Krzysiu, ty zbyt krótko znałeś mojego męża i już go nie pamiętasz. Ksawery jest tak do niego podobny, że doznałam szoku na jego widok. Zupełnie nie mogłam się opanować. Samochód bardzo mi się podoba. Pomóż mi wszystko wyliczyć. Widzisz, jak Jan jeździł za granicę, to zawsze jakieś dolary udało mu się zaoszczędzić i postanowił je składać na czarną godzinę. Trochę się tego uzbierało. Teraz przelicznik jest bardzo korzystny, nawet oficjalna cena przekroczyła trzysta złotych. Mam nadzieję, że mi wystarczy. Najwyżej wezmę jakąś pożyczkę. Dam sobie radę, ale bardzo ci dziękuję za propozycję i dobre serce. Jesteście dla mnie jak najbliższa rodzina.

Krzysztof poklepał jej rękę.

– Teresa, we wszystkim ci pomogę. Podwiozę cię teraz do domu.

– Nie, nie do domu. Możesz mnie zawieźć do Klickich?

– Jasne!

Ewa jak zwykle bawiła się z Tomciem.

– Mamuś, przepraszam za bałagan. Teściowie musieli wyjść. Jurek robi zakupy, niedługo wróci. Moje maleństwo bawi się grzechotką i patrzy na mnie. Kochany Tomcio! A ja zaczynam pakować Jurka. Za trzy dni wyjeżdża.

– A ty, Ewuniu, jak się czujesz, jak sobie dajesz radę ze wszystkim?

– Ogólnie dobrze. Mały jest cudowny. Cieszę się każdą minutą, którą z nim spędzam. Próbuję dalej pisać moją pracę magisterską. Teściowie są wspaniali, pomagają mi i wspierają. Tylko martwię się wyjazdem Jurka. Wiesz, mamu, to, bądź co bądź, druga półkula i ocean między nami. On też to przeżywa. Ale wiemy, że to dla naszego dobra. Jakoś wytrzymamy.

W oczach Ewy błysnęły łzy. Odwróciła głowę, żeby je ukryć.

– Ewciu, jeśli tylko zechcesz, przeprowadź się do domu. Sama zdecyduj, co dla ciebie lepsze.

– Dzięki, mamcik! Ale wiesz, że oboje teściowie, a zwłaszcza teściowa, mają więcej czasu niż ty. Ona nie pracuje i dzięki temu będzie mi łatwiej się uczyć.

– A widząc posmutniałą minę matki, dodała: – Przecież wiesz, że ciebie kocham najbardziej, chociaż wybacz, ale jeszcze bardziej Tomusia!

Teresa wróciła do domu. Siadła w fotelu i zaczęła wspominać Ksawerego. Jak to możliwe, żeby tak w jednej chwili poddać się urokowi obcego człowieka? Czy to powtórka pierwszego spotkania z Janem, kiedy natychmiast zakochała się w nim po uszy? Ale wtedy miała siedemnaście lat, a teraz? Niedaleko

pięćdziesiątka! Wciąż jednak widziała oczy Ksawerego. Co to będzie, pomyślała, co dalej? Zadzwiećwał dzwonek, przyszedł Janusz. Popatrzyła na niego obojętnie. Natychmiast zauważył jej minę.

– Co się stało, księżniczko, co jest? Czy nadal trwa fascynacja Marcelem? Na świątecznym obiedzie u Klickich nie odrywałaś od niego oczu. Nie mogłem tego wytrzymać. A może już za nim tęsknisz?

– Przestań pleść jakieś androny! Przecież to mój kuzyn. Cieszyłam się, że go poznałam. Tak, tak, poznałam! Przecież zupełnie nie pamiętałam go z dzieciństwa. Śmieszne. Jesteś zazdrosny?

– Tak, i nic na to nie poradzę!

– Wchodź do pokoju, zaraz zrobię kawę.

– Chwila, a buziak na dzień dobry?

– Sorry, boli mnie ząb! Odłóżmy to na potem.

– To stąd ta twoja zboląła mina.

– Nie czuję się najlepiej. Chyba położę się wcześniej.

– Krótko mówiąc, mam sobie iść?

– Chyba tak będzie lepiej!

Janusz przytulił ją delikatnie.

– Może trzeba ci w czymś pomóc?

– Dzięki. Adam wróci niedługo, nie będę sama.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, pomyślała, że to dobry człowiek i prawdziwy przyjaciel, ale co ona może poradzić, że wciąż myśli o Ksawerym? Przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia, ale po chwili Bilski znów zapanował nad jej wyobraźnią, a przed oczami pojawiła się jego sylwetka.

Wykręciła numer telefonu matki.

– Dzień dobry, a właściwie dobry wieczór. Co słychać, jak zdrówko?

– Witaj, córeczko! Nie można narzekać. Jakoś się trzymamy.

– Możemy chwilę porozmawiać? Nie przeszkadzam w kolacji?

– Nie. Jedliśmy już, a teraz Gienio jakiś mecz ogląda, a potem dziennika trzeba będzie posłuchać. Kotłuje się w tym naszym kraju. Znowu strajki, demonstracje. Walczą biedni ludzie, chcą, żeby Solidarność mogła legalnie działać. Przecież od stanu wojennego zawieszono jej działalność. Wciąż jakieś podwyżki, regulacje. Kto się w tym połapie? A te debaty telewizyjne! Prawie za głowy się biorą. Teraz szykują jakiś okrągły stół! Czy ludzie kiedyś wreszcie zrozumieją, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje? Ale co tu gadać, i tak będzie, co ma być.

– Mamo, więcej wiesz o polityce niż ja.

– To przez Gienia, on taki polityk. Nie wytrzyma, jak z pięć razy dziennie wiadomości nie obejrzy. Potem mi mówi i mówi... Czasem nawet mnie to interesuje. Ale dosyć. Co u ciebie, córciu?

– Wiesz, mamo, kupuję samochód!

– Córniuniu, to duży wydatek. Masz tyle pieniędzy? Może trzeba ci trochę dołożyć? Mamy parę złotych odłożonych na czarną godzinę. Powiedz szczerze. Jak ci potrzeba, to w każdej chwili pomożemy ci razem z Gieniem.

– Mamusi, o pieniądze się nie martw. Mam trochę starych zapasów. Jan zawsze lubił coś odłożyć i teraz się przyda. Wiesz, kupuję samochód od człowieka, który się nazywa Bilski. Słyszałam gdzieś już to nazwisko, ale nie mogę skojarzyć gdzie i kiedy.

– Tereniu, opowiadałam ci kiedyś, że w naszej rodzinie jest taka niby to tajemnica. Oficjalnie się o tym nie mówiło, ale szeptano, że babcia Marianna była córką dziedzica Bilskiego. Jak do tego doszło – nie wiadomo. Słyszałam też, że babcia Jana, Julia, także była jego córką. Rozmawiałyśmy o tym, kiedy miałaś brać ślub z Janem. Jak przyjedziesz, a będziesz chciała dowiedzieć się więcej, to opowiem ci wszystko, co wiem. Ten Kazimierz Bilski był właścicielem Wólki Podleśnej, takiego majątku niedaleko Skierniewic.

– To kto wie, czy nie jesteśmy spowinowaceni z panem Bilskim?

– Daj sobie spokój, to dawne czasy. Było, minęło. A co u Ewy? I o Adasiu coś powiedz!

– Jurek wyjeżdża do Stanów na pół roku. Ewa niedługo będzie bronić pracy magisterskiej, a Tomuś jest wspaniały. Coraz mądrzejszy! Bardzo go kocham. Adaś tymczasem jakoś sobie radzi na uczelni. A jak ma wolną chwilę, wsiada w pociąg i gna w góry. Urzekły go te Bieszczady. Nic dziwnego, to piękne okolice. Byliśmy tam kiedyś z Janem. Góry niezbyt wysokie, pokryte lasami, mało domów, mało ludzi. Życ nie umierać! No, kończę! Dobrej nocy życzę, ściskam i pozdrów Gienia.

Teresa nie mogła zasnąć. Wciąż widziała czyjeś czarne oczy i nie była pewna, czy to Jana, czy Ksawerego.

Następny dzień zaczął się niezbyt miło. Na biurku zastała wiadomość, że ma się zgłosić do dyrektora. Znów będzie gadał jakieś głupoty. Ciekawe, o czym tym razem? Zadzwoiła do sekretariatu, że jest do dyspozycji i przyjdzie, kiedy szef ją zaprosi.

Minęła już dwunasta, a wezwania nie było. Nie mogła się skupić. Kilka razy wchodził Janusz, znajdując sobie jakiś pretekst, byle tylko na nią spojrzeć, co też jej nie pomagało. Właściwie nie bardzo wiedziała, co mu powiedzieć. Że się zadurzyła w nieznanym mężczyźnie, a jako zatwardziała monogamistka nie chce jego, Janusza, już widywać. Przecież można pęknać ze śmiechu, słysząc taki argument. Jak czułby się Janusz, gdyby mu to powiedziała? I skąd wiadomo, że to zauroczenie za dzień, dwa nie minie, a przez głupotę mogłaby stracić całkiem fajnego faceta. Ot, dylemat! Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

– Proszę do szefa.

Poprawiła włosy, pociągnęła szminką usta i ruszyła do drzwi. Szef przyjął ją z szerokim uśmiechem. To źle, pomyślała. Jak ta gadzina się cieszy, to niczego dobrego nie wróży.

– Proszę usiąść. Powiem wprost, nie owijając w tak zwaną bawełnę. Cenię pani pracę, fachowość, niezawodność, ale tak się składa, że kierownik działu technologii odchodzi na emeryturę. Zaproponowano pani kandydaturę na to stanowisko, a ja nie miałem nic przeciw temu. Tak więc od pierwszego czerwca zmieni pani wydział. Może pani nie przyjąć tej oferty, ale będzie to oznaczało odejście z zakładu, oczywiście, na warunkach przewidzianych w kodeksie pracy. Proszę się zastanowić. Jutro oczekuję na pani decyzję. Dziękuję, to wszystko.

Z jego ust nie schodził fałszywy uśmiech. Teresa odwróciła się na pięcie i wyszła bez słowa, bojąc się, że nie zdoła powstrzymać łez. To drań! Nie zapomniał, jak mu się kiedyś postawiła. Czyhał na okazję, żeby pozbyć się jej z działu, i skorzystał z pierwszej, jaka się nadarzyła. Kiedy weszła do pokoju, Janusz poderwał się na równe nogi, widząc, jak jest blada.

– Co się stało?

– Dostałam wymówienie!

– Żartujesz!

– To nie temat do żartów.

Wszyscy pracownicy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Każdy chciał wiedzieć, dlaczego, od kiedy i na jakiej podstawie?!

– Potem wam powiem – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. Weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Musiała się uspokoić, ochłonać. Czowała się, jakby sufit spadł jej na głowę.

Zebrała rzeczy, włożyła płaszcz, rzuciła kolegom „do jutra” i szybkim krokiem wyszła z biura.

Prawie pod drzwiami jej mieszkania stała pani Zosia. Akurat dzisiaj jeszcze tego jej potrzeba! Sąsiadka miała przygotowaną mowę na tematy aktualne i Teresa musiała się zatrzymać, bo pani Zosia blokowała przejście do drzwi.

– Sąsiadko kochana, słyszała pani? Takie strajki w zakładach, że niedługo wszystko stanie. Wody nie będzie, prądu! Co my, biedne robaczki, zrobimy? Z głodu nam przyjdzie pomrzeć!

Teresa resztką sił wymamrotała:

– Pani się nie martwi, nie będzie tak źle. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Czekoladę możemy już bez kartek kupować!

– Dobrze mówić, jak ma się stanowisko i w ogólności zadaje z władzami...

– O czym pani mówi?

– No przecież wszyscy to wiedzą! Ma pani niezłe chody!

Teresa usiłowała wyminąć sąsiadkę, która mimo upływu lat nadal miała

sporo siły i wciąż była najlepiej poinformowaną osobą w bloku.

– No dobrze, już kończę. Jeszcze pani tylko powiem, że szykuje się jakiś okrągły stół. Ciekawe, o co to chodzi? I kto tam będzie przy nim siedział?

– Dostyc już, nie życzę sobie, proszę mnie przepuścić.

Przecisnęła się do drzwi. Pani Zosia zapuściła żurawia do wnętrza mieszkania.

– No proszę, jaki luksus! I to wszystko z tej jednej pensji?

Teresa nie powiedziała ani słowa, nawet „do widzenia”. Energicznie zatrzasnęła drzwi, weszła do pokoju i ciężko opadła na ulubiony fotel. Za dużo tego na jeden dzień. Wreszcie mogła sobie popłakać bez skrępowania.

Po kilku minutach wytarła oczy, zrobiła herbatę i zaczęła myśleć. Po pierwsze, będzie miała innego dyrektora, podobno jest niezły. Skończą się szykany tego padalca. Po drugie, będzie o wiele dalej od Janusza. Trudno jej było wciąż uważać na każde słowo i gest, żeby nie zdradzić, co ich łączy. Dobrze, że pracowali z nimi sami faceci, bo baby natychmiast rozgryzłyby ich układ. Po trzecie, dość ma tych obliczeń, statystyk, sprawozdań. Pora, najwyższa pora, żeby to zmienić. Więc właściwie dlaczego płacze? Powinna się cieszyć.

Poprawiła makijaż, odgrzała obiad i zjadła z apetytem. Piła herbatę, kiedy przyszedł Janusz. Wszedł z niepewną miną. Jej uśmiechnięta twarz całkiem zbiła go z tropu.

– Teresa, co jest grane? Biegnę cię pocieszać, a ty, widzę, cała happy?

– A co, dlaczego mam być nieszczęśliwa? Przemyślałam sprawę i stwierdziłam, że ten padalec zrobił mi przysługę.

– Co to znaczy? A my?

– Co, my? Z nami będzie jak dotąd. Chyba że zmienimy zdanie. Ale to już zależy tylko od nas, a nie od padalca.

Janusz przytulił ją czule. W tej chwili potrzeba jej było męskiego ramienia, więc objęła go i siedzieli tak przez chwilę.

– To ja chyba już pójdę. Mogę się o ciebie nie martwić?

– Jasne, zaraz pojedę do Ewy. Stęskniłam się za Tomusiem. I chcę pożegnać się z Jurkiem. Jutro wylatuje na pół roku do Stanów. To kawał czasu. Tyle się może różnych rzeczy wydarzyć. Janusz, słyszałeś coś o tym okrągłym stole? Co o tym myślisz?

– Mało masz kłopotów? Szkoda twojej ślicznej główki na tę kotłownicę. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– To znaczy, że ty się tym wszystkim, co wokół nas, zbyt nie przejmujesz?

– Będzie dobrze. Miłego popołudnia życzę. Pa, księżniczko!

Następnego dnia załatwiła w kadrach sprawy związane ze zmianą stanowiska. Z zadowoloną i uśmiechniętą miną przechodziła od biurka do biurka,

spoglądając na zdziwione i zaskoczone miny urzędniczek. Liczyły na jakąś sensacyjkę, a tu masz, figa z makiem. Skazana zachowuje się, jakby Nobla dostała.

Po pracy zadzwonił Krzysztof.

– Cześć, Teresa, jak się masz? Czujesz się na siłach, żeby pojechać do Ksawerego? Pytał już o ciebie. Powiedział, że nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy!

– Daj spokój. Nie lej wody. Nie podpuszczaj mnie. Może jutro? Dzisiaj wezmę z banku pieniądze.

– A może lepiej zapłacić przelewem? Pod warunkiem że Ksawery ma konto dewizowe. Po co masz nosić ze sobą taką dużą kwotę. Zadzwonię do niego i spytam.

– Dzięki. To do jutra. Zadzwonię wieczorem i wszystko ostatecznie uzgodnimy. Cześć!

Znowu jechała z Krzysztofem jego ładą. Wracać miała już swoją skodą. Serce jej biło, jakby zamierzało wyfrunąć z klatki piersiowej. Starła się opanować. Nie chciała wypaść jak za pierwszym razem, jak osoba niezupełnie normalna. Znowu jechali tą piękną aleją, bo trudno było to nazwać podmiejską drogą. Octavia stała przed domem. Prezentowała się bardzo dobrze, Teresa już lubiła ten samochodzik.

Ksawery podszedł, przywitał ją, popatrzył jej w oczy i uśmiechnął się zadowolony.

– Mam nadzieję, że nie są państwo zmęczeni podróżą?

– O nie, wprost przeciwnie. Okolica, w której pan mieszka, bardzo dobrze wpływa na nastrój. Sprawia, że świat wydaje się piękniejszy.

– Dzięki za taką ocenę. Rzeczywiście, świetnie mi się tu żyje. Spokój, cisza, latem dużo zieleni. Zimą też jest wspaniale. Ale po cóż ja tak zachwalam dom i miejsce? To nie jest przedmiot naszej transakcji. Zapraszam do środka, nie będziemy pod gołym niebem finalizować interesu.

Weszli na taras, a stamtąd przez szerokie, oszklone drzwi do saloniku. Utrzymany w beżach i brązach pokój sprawiał miłe wrażenie, był elegancki i przytulny. Pasuje do Ksawerego, pomyślała Teresa.

– Nie proponuję wina, bo przecież państwo będą prowadzili samochody, ale myślę, że kawa dobrze nam zrobi.

– Krzysztof mi przekazał, że woli pan otrzymać umówioną kwotę przelewem. Myślę, że możemy to jeszcze dzisiaj załatwić.

– Jasne, że dzisiaj. Najlepiej takie sprawy załatwiać od ręki. Zdażymy przed zamknięciem banku. Dopiero szesnasta.

– To może dziękujemy za kawę i jedźmy zaraz – powiedziała Teresa.

– Ale przecież – dodał po chwili Ksawery – możemy odłożyć to do jutra.
– Jak pan sobie życzy, choć miałam cichą nadzieję, że wrócę do domu octavią.

– Oczywiście, że tak będzie. Zabierze pani dzisiaj samochód i umówimy się na jutro. Przyjadę wcześniej, żeby w banku nie marudzili, że jest zbyt późno. Dzisiaj możemy spisać umowę. Oczywiście, jeśli pani zechce. Teraz na chwilę państwa przeproszę. Idę włączyć ekspres, zaraz będzie kawa.

Wizyta się przeciągnęła. Gdy wyjeżdżali, zaczął już zapadać późny, majowy zmierzch. Teresa jechała za Krzysztofem. Szybko się zorientowała w różnicach między nowym samochodem a poprzednim, który bez cienia litości nazywała starym rżechem. Cały czas myślała o Ksawerym. Wciąż widziała jego ruchy, gestykulację, miny i te czarne, sugestywne oczy. Chyba rzucił na nią jakiś czar. Żeby kobieta w jej wieku tak się poddała urokowi mężczyzny, choćby nie wiadomo jak niezwykły był ten urok?!

Po drodze zatrzymali się na chwilę. Teresa chciała porozmawiać z Krzysztofem o przeprowadzonej transakcji. Chodziło jej o cenę i warunki umowy. Pragnęła też podziękować mu za pomoc. Przecież dzięki niemu ma samochód i, co ważniejsze, poznała Ksawerego, bez względu na to, jak ta znajomość się rozwinie...

Zmęczona i pełna wrażeń, położyła się do łóżka, ale sen nie nadchodził. Wciąż pod powiekami przepływały obrazy. Najczęściej widziała oczy Ksawerego i jego postać. Nowy samochód bladł na tym tle. Zasnęła z myślą, że nazajutrz o szesnastej spotkają się w banku przy Mazowieckiej, żeby dopełnić ostatnich finansowych formalności.

W świetnym nastroju, chociaż trochę niewyspana, ruszyła nowym samochodem do pracy. Wydawało jej się, że wszyscy patrzą i podziwiają jej czerwoną skodę. Ciekawe, co powiedzą koledzy? To już ostatnie dni w tym miejscu i tym składzie. Żeby szef, ten wstrętny padalec, wiedział, jaką jej zrobił przyjemność tym przeniesieniem do innego działu! Ciekawe, jak tam będzie?

Rozczarowana ciszą, jaka panowała u kolegów, którzy pracowali pilnie – a może udawali – i tylko bąknęli krótkie „cześć”, weszła do swojego pokoju. Wyrzała przez okno, chcąc nacieszyć oczy intensywną czerwienią octavii. Niestety, okna wychodziły na inną część parkingu. To dlatego nikt nie zareagował na jej nabytek. Po prostu nie widzieli, jak zajeżdżała szykownym, nowym, no, prawie nowym autem.

Zabrała się do porządkowania dokumentów. Niewiele tego zostało. Wcześniej przekazała sporą część kolegom. Resztę pozostawiła dla swojego następcy. A swoją drogą, ciekawe, czy zostanie nim któryś z pracowników, czy

posadzą na jej stołku kogoś całkiem nowego? Ale właściwie, co ją to obchodzi. Ma inne, ciekawsze sprawy na głowie. I znów jej myśli pobiegły do Ksawerego.

Myślała też o nowej pracy. Cieszyła się, że teraz nie będzie okazji do tak częstych kontaktów z Januszem. Ale perfidia! Co ten biedny człowiek jest winien, że ktoś inny ją oczarował?

Weszła do sąsiedniego pokoju.

– No, chłopcy, co macie takie poważne miny? I jacy jesteście zapracowani! Już nie musicie tak się starać, nie ja będę was oceniała. Od poniedziałku kieruję nowym działem. To znaczy dział jest stary – technologia – ale ja tam będę nowa. Myślę, że jutro na pożegnanie wypijemy po lampce szampana. Właściwie nie żegnamy się tak zupełnie, w końcu to ten sam zakład, a nasze wydziały często współpracują.

Twarze im posmutniały, a Janusz spuścił oczy, żeby ukryć zawód.

– To do jutra, panowie!

Z pogodną miną, postukując obcasikami, opuściła pokój. Znowu powróciły myśli o popołudniowym spotkaniu z Ksawerym.

Kiedy weszła do banku, czekał w wielkim holu. Siedział w fotelu i obracał w palcach żeton z numerkiem. Natychmiast ją zauważył, podniósł się i ruszył w jej kierunku. Teresa nie mogła oderwać od niego oczu. Wolno szła mu naprzeciw. Czy to nie jest jakiś symbol? – pomyślała. Szli tak ku sobie, nie zwracając uwagi na bieganinę klientów, ciche rozmowy, wywoływanie kolejnych numerków do kasy. Jakby nie docierał do nich ogólny rozgardiasz.

Zapatrzeni w siebie, trochę nieśmiało uśmiechnięci, jednocześnie wyciągnęli obie ręce. Obie! Ksawery pochylił się i ucałował jej dłonie. Teresa z trudem się powstrzymała, żeby nie objąć go i nie przytulić. I znowu, jak przy pierwszym spotkaniu, popatrzyli sobie z bliska w oczy. Teresa delikatnie wysunęła ręce z jego dłoni. Drżały jej nogi. Bała się, że jej mina zdradzi wzruszenie, jakie nagle ją ogarnęło. Jakby z daleka usłyszała spokojny głos Ksawerego:

– Witam panią! Nie będziemy długo czekać, jeszcze tylko dwa numerki przed nami.

Skinęła głową i usiedli obok siebie. Wyczuwała płynące od niego ciepło. Nadal nie mogła zapanować nad emocjami, a bliskość Ksawerego jeszcze bardziej utrudniała zebranie myśli. Czuła się jak zakochana nastolatka na wymarzonej pierwszej randce. To było piękne, ale też trochę dziwne, że nie umie, nie może, nie chce zapanować nad sobą.

Po niedługim czasie formalności zostały załatwione. Kiedy odchodzili od okienka, Ksawery wziął ją delikatnie pod rękę.

– Czy mógłbym zaprosić panią na kawę? Po tej porcji finansów myślę, że

nadszedł czas na odrobinę przyjemności.

– Bardzo chętnie.

– Proponuję maleńką kawiarenkę na Starym Rynku. Jest tam spokojnie i serwują pyszną szarlotkę. Pojedźmy moim samochodem, a potem wrócimy po octavię.

– Bardzo dobry pomysł! – Teresa mogła wydusić ze ściśniętego gardła ledwo kilka słów.

A więc to jeszcze nie koniec, mimo że „interes” załatwiony, a skoda należy do niej. Ale przecież to nie samochód był najważniejszy. Myśli i serce Teresy zajmowało jedno: znajomość z Ksawerym się skończy i zostaną już tylko marzenia.

Kawiarenka była mała, ot, cztery stoliki, i pusta. Usiedli na pluszowej kanapce. Ksawery miał rację, było to bardzo nastrojowe miejsce.

– Co państwu podać? – zapytała urodziwa kelnerka, spoglądając na siedzącą parę.

– Poproszę kawę!

– Ja też, a może coś słodkiego, dla poprawienia nastroju? – W głosie Ksawerego zabrzmiał tłumiony uśmiech.

– To może poproszę tę zachwalaną szarlotkę...

– Dla mnie to samo!

Chwilę siedzieli bez słowa. Nagle Ksawery wziął Teresę za rękę.

– Czy mogę mieć do pani prośbę?

– Słucham!

– Czy zgodzi się pani mówić mi po imieniu? – Podniósł się z kanapki i lekko skłonił. – Ksawery.

Trochę spłoszona, spojrzała na niego.

– Tak! Oczywiście! Bardzo się cieszę. Teresa – odpowiedziała pośpiesznie.

– Powinniśmy uczcić tę chwilę szampanem, ale niestety, samochód! Jeśli pozwolisz, zrobimy to innym razem.

A więc będzie inny raz! Uśmiechnęła się ucieszona. Zapanowała cisza. Byli troszkę skrępowani. Po chwili Ksawery zaczął mówić:

– Tereso, tak chciałbym wiedzieć choć trochę o tobie. I nie myśl, że powoduje mną czcza ciekawość. Jeśli nie masz nic przeciw temu, powiedz, gdzie pracujesz, czym się zajmujesz, jakie masz upodobania, czy lubisz muzykę, a może bardziej malarstwo lub inną dziedzinę sztuki.

Zaczęła opowiadać o zmianie stanowiska i uldze, jaką z tego powodu czuje. Ochłonęła trochę, teraz już mówiła swobodnie. Ksawery patrzył na nią uważnie, ale przestało ją to peszyć. Jego oczy były uśmiechnięte, wpatrywał się w nią z zachwytem.

– A ja nie mam stałego zajęcia. Zajmuję się tłumaczeniem tekstów z angielskiego. Ponieważ lubię to robić, ta praca mnie nie męczy. Mieszkam, jak

widziałaś, w dość miłym miejscu. Kiedy nie pracuję, odpoczywam otoczony zielenią. Rzadko wyjeżdżam na dłużej. Powoli zaczynam się przyzwyczajać do samotności. Ale zamęczam cię moimi sprawami, a może chciałabyś zakończyć już nasze spotkanie?

Wcale nie miała na to ochoty. Ale co było robić? Podziękowała za pyszne ciastko i wolno wyszli z kawiarenki. Było ciepło, słońce chyliło się ku zachodowi. Zeszli na chwilę na taras widokowy. Stali w milczeniu, zachwycając się piękną panoramą i połyskującą jak rybia łuska Wisłą. Wreszcie z ociąganiem ruszyli w kierunku samochodu. Po chwili byli pod bankiem.

– Spędziłem dzięki tobie, Tereso, wspaniałe popołudnie. Jestem ci wdzięczny. Czy mogę liczyć na to, że jeszcze kiedyś zechcesz się ze mną spotkać?

– Będę szczęśliwa!

– Poważnie?

– Bardzo poważnie! Do widzenia, Ksawery. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. – Uśmiechnęła się i podała mu rękę. – Do zobaczenia! A to moja wizytówka.

Patrzył, jak wsiadała do samochodu. Silnik zawarczał, Teresa włączyła kierunkowskaz i ruszyła. Po chwili wchłonął ją ruch uliczny. Ksawery stał zapatrzony w czerwoną plamkę octavii widoczną między innymi pojazdami. Posmutniał. Znów był sam.

Ranek wstał słoneczny i ciepły. Teresa obudziła się w wyśmienitym humorze. Adama nie było, wyrwał się w swoje kochane Bieszczady. Włączyła radio. Spiker zaczął właśnie czytać wiadomości. Przy Okrągłym Stole zostały podpisane porozumienia! Nie miała czasu słuchać, o co dokładnie chodzi, w pracy dowie się wszystkiego. Ale prawda, dzisiaj już nie będzie miała wokół siebie przyjaznych ludzi, obejmuje przecież nowe stanowisko. Ubrała się bardzo starannie, a nawet trochę zalotnie. Bluzka miała delikatne falbaneczki, dekolot odślaniał znacznie więcej niż zazwyczaj. Skromny makijaż, świeżo umyte włosy. Jednym słowem, całość prezentowała się doskonale. Przyjechała do zakładu kilka minut przed czasem i poszła wprost do gabinetu nowego dyrektora. Sekretarka poprosiła, żeby usiadła, bo szefa tylko patrzeć. Na ogół nigdy się nie spóźnia.

Wkrótce wszedł. Uśmiechnął się do Teresy.

– Pani Tereso, bardzo mi miło, że przyjęła pani naszą propozycję. Mam nadzieję, że współpraca będzie się układać znakomicie. Sporo słyszałem o pani talentach. A teraz, jeśli pani pozwoli, przejdziemy do pani nowego działu. Poznam panią z pracownikami.

Technologia mieściła się w sąsiednim budynku. Doszli szybko.

Dyrektor otworzył przed nią drzwi do pokoju, dość dużego, ale niemożliwie

zastawionego biurkami, szafami, jakimiś dziwnymi stoliczkami i czymś w rodzaju etażerek. Wszędzie leżały sterty dokumentów. Pracowało tu sześciu mężczyzn i jedna kobieta. Dyrektor przedstawił ją, podali sobie ręce. Potem weszli do drugiego pokoju, znacznie mniejszego, ale jaśniejszego. Na sporym oknie stały nawet dwie doniczki z kwiatami. Biurko było duże, a fotel dosyć wygodny.

– Zostawiam panią na nowym gospodarstwie. W razie problemów proszę do mnie przychodzić. A wprowadzi panią w obowiązki koleżanka Leokadia, która pracuje tu od kilkunastu lat, więc wszystko ma w jednym palcu. Powodzenia!

Wyszedł. Teresa została sama. Początkowo będzie jej trudno. Nie zna nikogo, nie wie, czego może się spodziewać po poszczególnych osobach. Janusz nie będzie już za nią wodził zakochanymi oczami. Może źle zrobiła, godząc się na tę zmianę. Ale cóż, właściwie nie miała wyboru. Da sobie radę. Musi! Trzeba zarządzić generalne porządki, zrobić remanent i wszystko, co niepotrzebne, usunąć. Na każdym kroku widać brak kobiecej ręki. Ale dopiero za kilka dni spróbuje rozpocząć tę rewolucję. Tymczasem musi się porządnie rozejrzeć. Usiadła w fotelu i zagłębiła się w myślach. Co zrobić z Januszem? Trzeba jakoś zakończyć ten romans. To już przeszłość. Teraz liczy się tylko Ksawery!

Postanowiła po pracy pojechać do Tomusia. Stęskniła się za bąbelkiem. Powitała ją rozanielona Ewa.

– Mamciu, Jurek przysłał długi list. Pełen tęsknoty. Dla ciebie też są miłe słowa. Ale najważniejsze, że jest zadowolony. Pracuje przy ciekawych badaniach. Ludzie też są w porządku. W jego grupie jest nawet Hindus i Afrykanin. Mieszka mu się nieźle. Napisał, że do szczęścia brakuje mu tylko nas, to znaczy mnie i Tomusia. Być może zacznie się rozglądać za mieszkaniem dla naszej trójki. Jestem taka szczęśliwa! Tomciu, pokaż babci, jak pięknie siedzisz. Widzisz, mamuś, jaki jest silny! Dzięki Bogu na razie nie widać skutków tej trucizny z Czarnobyli. A teraz zrób babci koci, koci, łapci.

Tomcio, uśmiechnięty całą buzią, pokazując dwa dorodne ząbki, wysunął koniec języka i z przejęciem klapał łapkami.

– Ewciu, wiem, że tego nie pochwalasz, ale nie gniewaj się, muszę go wziąć na ręce. Choć na chwilę, przytulić, poczuć, jak dotyka mnie rączkami, wdychać jego cudowny zapach. Wciąż tęsknię za wami, tak rzadko was widuję. A jak wyjedziecie? Wolę nie myśleć. U mnie trochę zmian. Nowa praca, nowy samochód!

– To gdzie teraz pracujesz? A samochód? Jak to nowy samochód, a ja nic nie wiem? Przyjechałaś nim? To chociaż przez okno pokaż, jak wygląda.

Teresa zaczęła opowiadać o swoich ostatnich decyzjach. Tylko o Ksawerym jakoś nie wspomniała. Kończyła, kiedy z zakupów wrócili Kliccy. Ucałowały się

z Małgosią, a Czesław jak zwykle serdecznie ją przytulił.

– Kochani, będę uciekać. Już późno. Jaki ten nasz wnuczek jest nadzwyczajny! Jaki dzielny, a ile już umie!

– Tereniu, nie widziałem twojego fiacika pod domem – zdziwił się Czesław. Teresa nie zdążyła nawet otworzyć ust, gdy Ewa ją wyręczyła:

– Bo mamcia ma inny samochód, czerwoną skodę octavię. Widać ją przez okno. Śliczna!!!

Przez następne kilkanaście minut rozmawiali o nowym nabytku. Wreszcie Teresa pożegnała się i odjechała.

Kolejne dni przeznaczyła na zapoznanie się z nowymi obowiązkami, jednak jej myśli wciąż krążyły wokół Ksawerego. Rozpamiętywała każde jego słowo, każdy gest. Któregoś dnia Janusz wpadł do jej pokoju.

– Witaj, księżniczko! Co jest grane? Dlaczego o mnie zapomniałaś? Czy to stanowisko tak na ciebie podziałało? Kiedy się spotkamy?

Zasypał ją gradem pytań. Patrzyła na niego jak na zupełnie obcego człowieka. A przecież tyle miłych chwil z nim przeżyła.

– Witaj, Janusz! Nie bardzo mam czas na spotkania. Dam ci znać, jak będę mniej zajęta.

– Teresa, nie poznaję cię. Taki zimny ton, surowa mina! Czymś cię uraziłem?

– Wydaje ci się. Czekaj na telefon, zadzwonię, a teraz muszę brać się do pracy. Nie wiem dosłownie, w co ręce włożyć. Poza tym nie chcę, żeby zaczęli tu o nas plotkować.

– Rozumiem. – Twarz mu posmutniała. – Czekam zatem. Do zobaczenia, księżniczko!

Wyszedł. Teresa odsapnęła z ulgą. Musi jakoś zakończyć tę znajomość. To już nie ma sensu. Nie wiedziała, jak będzie dalej z Ksawerym, ale bez względu na to, jak rozwinię się ich znajomość, nie chciała zwodzić Janusza. Niestety, wszystko, co się zaczyna, musi mieć koniec! Tylko jak mu o tym powiedzieć? Nie chciała mu sprawiać niepotrzebnej przykrości. Tyle ich przecież łączyło.

Kostek, mąż Marysi, zginął pod kołami pociągu. Wracał z kumplem do domu, ze świeżo złowionymi rybami. Oczywiście był, jak to się mówi, na rauszu i nie zdążył przejść przez tory. Koledze się udało. Kiedy się obejrzał i zobaczył zmasakrowane ciało Kostka, otrzeźwiał i co sił w nogach pobiegł do niedalekiej stacji. Cały czas głośno wołał o pomoc. Niestety, było już za późno.

Marysia zadzwoniła do Teresy i z płaczem powiedziała jej o tym nieszczęściu i terminie pogrzebu. Nie chciała dłużej rozmawiać. Była zupełnie załamana. Teresie wydało się dziwne, że tak bardzo rozpacziała. Tyle złego jej

wyrządził, a teraz łzy, łzy... Ludzie czasem zachowują się irracjonalnie!

Teresa zadzwoniła do Róży, żeby porozmawiać o pogrzebie. Doszły do wniosku, że jak było, tak było, ale w nieszczęściu rodzina powinna trzymać się razem. Ustaliły, że spotkają się w Pruszkowie, bo tam Kostek miał być pochowany. W Piastowie nie było cmentarza.

W czasie pogrzebu Marysia, ubrana na czarno od stóp do głów, nieustannie płakała. Obie córki starały się ją uspokajać, ale bez skutku. Teresa nie była pewna, czy to szczery żal, czy trochę na pokaz, bo przecież na pogrzebie łzy powinny lać się strumieniami, a ciszę musi przerywać od czasu do czasu bolesny jęk. Pogoda była fatalna. Padał rześisty deszcz. Kondukt żałobny, zawsze smutny, wyglądał w tej szarzyźnie jeszcze bardziej przygnębiająco. Kiedy ksiądz zakończył swoje modlitwy, z tłumu przedarł się do samej trumny nietrzeźwy kolega Kostka. W imieniu wszystkich kamratów podziękował zmarłemu za dobroć i za to, że nigdy nie zostawił kolegi w potrzebie.

– Bracie, bywało, wsparłeś gotówką albo kieliszkiem. Śpij spokojnie! Będziemy o tobie zawsze pamiętali – zakończył smętnie.

Po czym, lekko się zataczając, rzucił na trumnę garść ziemi. Ludzie różnie zareagowali na ten występ. Niektórzy patrzyli z niesmakiem, innym łza zakręciła się w oku, jak to w życiu. Wdowa chlipnęła głośniej, kiedy trumnę opuszczono do grobu. Grabarz chwycił łopatę i wziął się do roboty, cięższej niż zwykle, bo ziemia nasiąknęła wodą.

Gdy grób został zasypany, Teresa z Różą podeszły do Marysi, objęły ją i złożyły kondolencje. Zbolała wdowa bez przekonania wyjąkała zaproszenie na herbatę. Podziękowały, wymawiając się koniecznością powrotu do Warszawy. Nie miały ochoty uczestniczyć w dalszym opłakiwaniu Kostka. Teresa namówiła Różę, żeby do niej wstąpiła. Zadowolone, że niemiła uroczystość już za nimi, usiadły przy kawie i wreszcie mogły podzielić się uwagami na temat Marysi.

– Wiesz, Róża, nie myślałam, że ta biedna Marysia będzie tak przeżywać pogrzeb Kostka. Bił ją, maltretował, córki z domu przez niego się wyprowadziły. Jak byłam u niej, to bardzo się skarżyła na niego. A tu masz! Taka żałobna wdowa!

– Nie dziw się. Nie jest już młoda i trudno jej będzie ułożyć sobie życie od nowa. Z drugiej strony czy małżeństwo z takim typem może dawać zadowolenie?

– My właściwie dobrze jej nie znamy. Pamiętamy ją z wczesnej młodości, kiedy była wrażliwą, serdeczną i pełną radości dziewczyną. Los dał jej dość mocno w kość! Widać ukształtował ją według swojego widzimisię. Ale co tam, dobrze, że byliśmy na tym pogrzebie. Może dla niej to niewiele, ale ja czułabym niesmak, gdybym nie pojechała.

Teresa wzięła się do sprzątnięcia kuchni. Właśnie szorowała zlewozmywak,

gdy usłyszała dzwonek telefonu.

– Witaj, księżniczko! – W głosie Janusza słychać było niepewność. – Jak tam? Wyleciały muchy z nosa? Czy mogę wreszcie odwiedzić moją Teśkę?

– Wybacz, ale byłam dzisiaj na pogrzebie w Pruszkowie, a teraz wzięłam się do porządków w domu. Odłóżmy to spotkanie na inny dzień.

– To może jutro? – zapytał z nadzieją.

– Jutro jestem umówiona z Ewą. Musi porobić zakupy, bo zaczyna się szykować do wyjazdu.

– A dokąd się wybiera?

– Do Stanów. Jurek nalega na jak najszybszy przyjazd obojga. Tęskni za nimi.

– Czy Ewa pojedzie z synkiem?

– Oczywiście.

– To będzie ci smutno bez nich?

– Oj, tak.

– Wiesz co? Chyba trochę mnie zbywasz. Ale cóż, nie będę cię męczył swoją osobą. Nic na siłę. Jak zechcesz mnie widzieć, zadzwoń. Całuję łapki! Czekam. Pa!

Słyszała, że jeszcze przez chwilę się nie wyłączał, jakby liczył, że ona powie mu: to przyjdź. Teresa jednak milczała. Rozpoczęła akcję likwidowania ich zażyłości. Będzie trudno, ale od czegoś trzeba zacząć. A swoją drogą, to dobry człowiek. Lubiła go, jednak to nie wystarczy.

Energicznie wzięła się do szorowania patelni, do której przywarły reszki przysmażonych ziemniaków. Nie mogła nauczyć Adama, że jeśli od razu jej nie myje, to musi wlać choć trochę wody. Wtedy łatwiej można doszorować. Syn jednak zupełnie nie był zainteresowany gotowaniem, sprzątaniami, myciem. Ciekawe, kto to robi w górach za niego? Trzeba z nim poważnie porozmawiać.

Wreszcie kuchnia wyglądała, jak należy. Teresa zrobiła sobie kawę i usiadła w fotelu. Przed jej oczyma pojawiła się twarz Ksawerego. Co to będzie dalej, myślała, jak sobie da radę z tym nieomal obsesyjnym uczuciem? Czy to jakieś czary, a może urok? Była racjonalistką i nie wierzyła w takie rzeczy, jednak jak zrozumieć to, co się z nią działo?! Przecież nie ma osiemnastu lat, jest prawdziwą babcią! Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

– Dobry wieczór, Tereso. Czy nie za późno dzwonię?

– Witam cię, Ksawery – powiedziała z radością. – Miło mi cię słyszeć.

– Robiłem tak zwany remanent w garażu i znalazłem kilka drobiazgów do twojego samochodu. Czy mogliśmy się spotkać, żebym mógł ci je przekazać? Oczywiście, wiem, że pracujesz, i dlatego to ty wyznacz miejsce i czas spotkania. Ja dostosuję się do każdej twojej propozycji.

Musiła siłą się powstrzymać, by nie wydać indiańskiego okrzyku radości.

– To może spotkajmy się u mnie?

- Będę bardzo rad. A kiedy?
 - Jutro. O osiemnastej. Myślę, że trafisz bez problemu. Na mojej wizytówce jest adres.
 - To do jutra. Czekam z niecierpliwością.
- Mimo zmęczenia chciało się jej tańczyć, śpiewać, krzyczeć z radości. A więc następnego dnia zobaczy Ksawerego.

W pracy zaczęło się to, o czym myślała z pewnym niepokojem. Podwładni byli niezbyt dobrze do niej nastawieni. Pani Leokadia odpowiadała na pytania, ale sama z siebie niewiele mówiła. Stosy papierów zaczęły się piętrzyć na biurku. Teresa musiała się otrząsnąć z zauroczenia Ksawerym i zabrać poważnie do swoich służbowych obowiązków. Postanowiła zwołać na jutro naradę i wyłożyć wszystko, co jej leżało na tak zwanej wątrobie. Przed końcem dnia poprosiła o przygotowanie sprawozdań z dotychczasowych działań, ponieważ, dodała, przyszła właśnie pora, żeby porozmawiać.

Rano czekała na nią aromatyczna kawa. Pani Lodzia i pozostali siedzieli poważni, z uroczystymi minami.

– Na początek powiem, że nie starałam się o to stanowisko i nikomu nie wchodziłam w drogę. Otrzymałam propozycję, z której chętnie skorzystałam, bo niezbyt się dobrze czułam w poprzednim miejscu. Jeśli rozwiązałam jakiegokolwiek wątpliwości co do mojego przyjścia tutaj, to bardzo się cieszę. Chciałabym teraz zaproponować, żebyśmy wszyscy mówili sobie po imieniu. Różnice wieku między nami nie są aż tak duże, by mogły nam to utrudniać.

Twarze obecnych były co najmniej zaskoczone. Usłyszała coś jakby pomruk zdziwienia czy dezaprobaty i wszyscy, a zwłaszcza pani Lodzia, oniemieli. Nie spodziewali się takiego wstępu. Niezrażona, mówiła dalej:

– Ja mam na imię Teresa.

Kolejno podawała im rękę. Niektórzy panowie całowali jej dłoń, inni ściskali, pani Lodzia cmoknęła Teresę w policzek. Zbyszek, Darek, Robert, Zenek, Krystian, Stanisław, no i Lodzia. O rety! Sporo tych imion. Musi się postarać i zapamiętać. Będzie przecież z nimi przebywała na co dzień, nie wolno jej się mylić. Każdy odznaczał się jakąś charakterystyczną cechą. Krystian miał brodę i wąsy i był najprzystojniejszy, Stanisław wyglądał na najstarszego. Będzie dobrze. Zapamięta.

– Teraz kolejna sprawa. Tworzymy jeden organizm i wspólnie odpowiadamy za pracę, a także wspólnie ponosimy konsekwencje ewentualnych wpadek. Wiem, że nie uda mi się dobrze pracować bez waszej pomocy. Liczę na nią! Ze swojej strony będę się starała skłonić kierownictwo, by sprawiedliwie oceniało naszą działalność. Proszę także, by jakiegokolwiek, nawet najdrobniejsze, problemy były

omawiane wspólnie, jawnie, bez zamiatania pod dywan. A teraz czekam na wasz odzew. Co myślicie o mojej propozycji?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie odezwał się Stanisław:

– Jesteśmy, mam nadzieję, że wyrażam opinię wszystkich, cokolwiek zaskoczeni. Sądzę jednak, że będziemy skłonni spełnić pani, o, przepraszam, twoje oczekiwania. Podniesienie ręki oznacza aprobatę – zwrócił się do obecnych.

Pierwszy podniósł dłoń. Jakby z pewnym oporem, następne też zaczęły się podnosić. Na twarzach pracowników pojawiły się nieśmiałe uśmiechy. Oby tak dalej, pomyślała Teresa.

– A teraz koniec narady, bierzemy się do pracy. Będę kolejno zapraszała wszystkich i prosila o przekazywanie informacji o zakresie obowiązków i wniosków dotyczących organizacji pracy. Dziękuję za pyszną kawę.

Wróciła do swojego pokoju, zastanawiając się, co wyniknie z tej „mowy tronowej”.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, serce Teresy zaczęło się tłuc jak oszalałe. Ksawery ucałował jej rękę i z ukłonem podał czerwone róże. Nie mogła słowa wykrztusić. Gestem zaprosiła go do środka. Po chwili odzyskała głos.

– Zapraszam, zapraszam! Dzięki za piękne kwiaty. Wejdźmy do pokoju. Rozgość się, włożę kwiaty do wazonu i już siadam także – mówiła z uśmiechem.

Ksawery wodził za nią wzrokiem. W pewnej chwili spojrzał na obraz wiszący na ścianie naprzeciwko.

– Jest piękny, ale nie dorównuje oryginałowi.

– Myślisz, że to ja? To nie jest mój portret, choć wiele osób tak myśli.

Ustawiła wazon na ławie i usiadła.

– Tereso, pozwolisz, że wrócę do przedpokoju po torbę z drobiazgami, o których ci wspominałem, a które, prawdę mówiąc, są pretekstem do mojej wizyty.

Po chwili wyjmował jakieś breloczki, zapasowe klucze, instrukcję, wycieraczkę do szyb i jeszcze kilka małych przedmiotów.

– To chyba wszystko.

– Błogosławione niech będą drobiazgi, które sprawiły, że jesteś – powiedziała trochę teatralnym tonem i roześmiała się.

Ksawery też się roześmiał.

– Może znajdzie się jeszcze jedna porcyjka takich skarbów. Będę mógł znowu wprosić się do ciebie.

– Zawsze będziesz mile widziany i wierz mi, nie musisz uciekać się do takich pretekstów.

– Dziękuję. Będę korzystał z twego przyzwolenia, aż powiesz, że masz mnie

dosyć!

– Nie licz na to.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Sączyli wino, patrząc sobie w oczy.

– Wiesz, Tereso, nie wypada zbyt długo przeciągać pierwszej wizyty. Myślę, że pora wracać do domu.

– Będziesz prowadził po winie?

– Nie znasz mnie jeszcze, nigdy tego nie robię. Pojadę taksówką.

Wolno, jakby z ociąganiem, wstał z fotela.

– W twoich rękach jest decyzja, kiedy zechcesz znowu mnie widzieć. Czekam na telefon od ciebie – powiedział.

– Zadzwoń, Ksawery. Szybciej, niż myślisz.

Odprowadziła go do drzwi. Niespodziewanie Ksawery objął ją i delikatnie przytulił. Z wrażenia zamarła. Bała się poruszyć, żeby nie spłoszyć tej chwili.

– Tereso, przepraszam cię. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie mogłem się powstrzymać...

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Nie gniewam się. Do zobaczenia!

Następny dzień był dość miły. Pracownicy przedyskutowali wystąpienie Teresy i doszli do wniosku, że mogą zaryzykować i dostosować się do jej trochę rewolucyjnych propozycji.

Zadowolona, wyszła z pracy i z przyjemnością wsiadła do swojej octavii, którą już zaczęła traktować niemal jak członka rodziny. Pijąc poobiednią kawę, przypominała sobie wizytę Ksawerego. Zwłaszcza pożegnanie. Na myśl o chwili, kiedy ją przytulił, oblał ją rumieniec.

Zazgrzytał klucz w zamku. Wszedł Adam, który kilka dni spędził w górach. Przywitał matkę, zdjął sweter, zrobił sobie herbatę i usiadł obok Teresy.

– Jak ci, synku, było w Bieszczadach?

– Wspaniale. Co tu dużo mówić, tam jest inaczej niż w mieście, zwłaszcza w Warszawie. Nie mówię o przyrodzie, bo to zrozumiałe, ale ludzie! Ludzie są inni. Tacy sympatyczni, otwarci, chętnie sobie nawzajem pomagają. Wszyscy, znajomi czy nieznajomi, witają się życzliwie. Czy widziałaś, żeby u nas w autobusie lub tramwaju ktoś powiedział „dzień dobry”? Inny świat! Mamo, powiedz, jak się nazywa ciotka Marta, bo jakoś wyleciało mi z pamięci.

– No, jak to jak? Siemiuk. Ojciec Romana miał jakiegoś przodka, który był rdzennym Białorusinem.

– Siemiuk! Wiesz, spotkałem w górach Jacka Siemiuka, a właściwie natknąłem się na jego chałupinę. Bardzo fajny facet. Jest trochę ode mnie starszy, ale gada się z nim wspaniale. A ile ma do powiedzenia o Bieszczadach! To taki

sam maniak jak ja. Tyle że on tam jakiś czas już mieszka. Nie zgadało się, skąd pochodzi, ale bardzo przypadł mi do gustu. Dopiero w pociągu, jak wracałem do domu, coś mi zaczęło świtać, że to może być syn ciotki Marty. Pamiętasz, jak kiedyś o nim opowiadała?

– No popatrz, świat taki wielki, a ty w tej bieszczadzkiej głuszy spotkałeś wujka. Tak, wujka. Bo licząc od babci Marianny, on jest jej wnukiem, a ty prawnukiem.

– Ale heca! Wiesz, on ma taką chałupkę, którą sam sklecił. Trochę drewna, trochę gałęzi, byle na głowę nie padało. Mieszka tam sobie jak król. Na razie majątku się nie dorobił, ale żyje swobodnie, bez żadnych nakazów i zakazów. Tylko pozazdrościć. Niedaleko jest baza studencka w Łopience, a z większych wsi Cisna. Samo serce Bieszczadów.

– Chyba Bieszczad?

– Nie, Bieszczadów, właśnie tak się mówi w tych okolicach. Całe lato kręcą się tam studenci. Pełno pięknych dziewczyn. A dookoła zieleń, zieleń i cisza! Musisz pojechać tam kiedyś ze mną. Nie wiem, czy na dobre się nie przeniosę w Bieszczady. Tyle że jeszcze trochę czasu musi minąć. Ale jak skończę studia, to polecę tam jak na skrzydłach.

– I co będziesz robił? Z czego żył?

– Owce będę hodował. Zresztą to dalsza sprawa. Nieistotna. Tymczasem muszę zrobić dyplom. A Jacek Siemiuk bardzo dobrze sobie radzi i nawet słyszeć nie chce o powrocie do domu. No widzisz, mamó. Pojadę do wujka Jacka. Takich dwóch jak my – to potęga.

Teresy nie ucieszyło to, co mówił. Dobrze, że jeszcze mu zostały dwa lata nauki. Może wywietrzeją mu z głowy te młodzieńcze mrzonki. Może przez ten czas znajdzie dziewczynę, może zmienią mu się plany. Może, może... Oj, bieda z tymi dziećmi. W końcu na stare lata zostanie sama. Ewa lada chwila pojedzie do Stanów. Pewno jak zakosztuje życia w normalnych warunkach, to nie będzie chciała wracać, a teraz jeszcze Adam i te jego Bieszczady. Dobrze chociaż, że to nie zagranica!

Dwa dni biła się z myślami, czy wypada zadzwonić do Ksawerego. W chwili gdy zdecydowanie sięgnęła po słuchawkę, aż podskoczyła z wrażenia. W tym właśnie momencie zaterkotał dzwonek. Ktoś telefonował do niej.

– Tereniu, jak dobrze, że jesteś – wychlipała do słuchawki matka.

– Co się dzieje, dlaczego płaczesz, mamó?

– Kochana, bo źle jest z Eugeniuszem!

– To znaczy?

– Rano obudził się jakiś zmieniony, powiedział, że boli go w piersiach

i zaczęło go mdlić. Przypomniałam sobie jego pierwszy zawał i strach mnie obleciał. Kiedy próbowałam dzwonić po pogotowie, Gienio zaczął mnie błagać, żeby poczekać, może przejdzie. Ale nie posłuchałam. Przyjechali i bez gadania zabrali go do szpitala. Poszłam tam zaraz dowiedzieć się, co z nim. Lekarz powiedział, że stan jest bardzo poważny, rozległy zawał, a pacjent ma sporo lat. Będą go ratować, ale tymczasem nic pewnego powiedzieć nie może.

– Mamo, nie wpadaj w panikę, przecież całkiem dobrze przeszedł pierwszy zawał. Teraz też tak będzie.

– Pozwolili mi zajrzeć do niego na chwilę. Leży biedak blady, obwieszony różnymi rurkami i aparatami. Wcale nie zareagował, jak weszłam. Tereniu, on sobie nie da rady z tą chorobą! – Znowu zaczęła płakać.

– Mamusiu, jak ty nie będziesz wierzyła w poprawę, jak nie będziesz go wspierała swoją nadzieją, to bardzo ciężko mu będzie wyzdrowieć. Dzisiaj piątek, postaram się jutro choć na trochę przyjechać. Nie płacz. Wytrzymaj oczy i weź się w garść. Jesteś dzielna, dasz radę!

Biedna matka. Krótkie było to jej spóźnione szczęście. Ale dlaczego płacze, jakby stało się już to najgorsze? Trzeba tam pojechać i trochę ją uspokoić, a może do jutra Gieniowi poprawi się choć odrobinę. Szkoda go! Fajny z niego ojczym.

Powoli wykręciła numer Ksawerego. Usłyszała krótkie „słucham”. Na dźwięk jego głosu serce zabiło jej mocniej.

– Witaj, Ksawery! Nie wiem, czy znalazłeś następne drobiazgi należące do octavii. Miałam taką nadzieję i chciałam, bardzo chciałam, żebyś w sobotę zjawił się z nimi. Niestety, zachorował mąż matki i jutro po pracy muszę do niej pojechać.

– Bardzo mi przykro. Też miałem nadzieję, że zobaczę cię w sobotę. To dobry dzień. Co zatem proponujesz? Jestem gotów z radością przyjąć każdą twoją propozycję.

– Co byś powiedział o niedzieli?

– Cudownie! Więc o której i gdzie?

– Może zjesz z nami obiad? Poznasz mojego syna. A potem jakiś spacer. Co ty na to?

– Nie, moja miła, nie zgadzam się. Byłem już twoim gościem. Teraz kolej na rewanż. Ponieważ jednak nie jestem najlepszym kucharzem, proponuję restaurację. Zgodzisz się, że przyjadę po ciebie około czternastej?

– No, nie wiem... Czy nie byłoby nam przyjemniej w moim mieszkaniu?

– Z pewnością, ale może następnym razem. A zatem ponawiam propozycję.

– Skoro nalegasz, będę czekała. Do widzenia.

Natychmiast zadzwoniła do Róży. Nie mogła ochłonąć po rozmowie z Ksawerym.

– Róża, nie zajmę ci dużo czasu. Ale muszę ci powiedzieć. W niedzielę idę z Ksawerym na obiad do restauracji. Nie pytaj, nie wiem gdzie. Wszystko mi jedno, byle z nim. Powiesz, że jestem wariatka. Ale ja chyba naprawdę zakochałam się w tym uroczym sztywniaku. Jan był wytworny, zawsze „ą” i „ę”, a Ksawery to po prostu ordynat Michorowski! Ale mnie się to podoba. Wpadnę do ciebie po niedzieli, to wszystko ci opowiem. Jutro jadę do Skierniewic, Gienio miał drugi zawał, muszę jakoś pocieszyć mamę. Bywaj! – Teresa odłożyła słuchawkę, nie pozwalając kuzynce dojść do słowa.

Oddział wewnętrzny mieścił się na pierwszym piętrze dużego, trzypiętrowego budynku. Czekwały pod drzwiami, aż będzie godzina czternasta, bo według szpitalnych zasad dopiero wtedy można odwiedzać chorych. Teresa zmarszczyła nos. Wokół pachniało chorobą i niedomytymi pacjentami. W sali na końcu korytarza, na jednym z czterech łóżek leżał Gienio. Nie spojrzał na nie, gdy weszły. Zbliżyły się do łóżka, a Fela wzięła męża za rękę. Teresa, trochę onieśmielona jego nieruchomą twarzą, odezwała się prawie szeptem:

– Witaj, Eugeniuszu. Jak się masz?!

Na dźwięk jej głosu otworzył jedno oko. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

– Terenia? Dzień dobry, popatrz, jaki ze mnie zdechłak.

– Przestań. Przecież jest już znacznie lepiej. Lekarz powiedział, że serce pracuje dużo rytmiczniej, a blizna po zawale goi się prawidłowo. Musisz tylko jeszcze trochę poleżeć. Cierpliwości! Tylko patrzeć, jak cię do domu wypiszą.

Chory spojrzał na nią podejrzliwie.

– Tak mówisz, żeby mnie pocieszyć. Ja tam wiem swoje.

– Jak będziesz już w domu, to odwiedzimy cię z Ewą. Przywieziemy Tomcia. Nie masz pojęcia, jaki on już duży, a biega jak fryga, nadażyć za nim nie można.

Gienio znowu przymknął powieki. Widać było, że rozmowa go męczy.

– Może masz ochotę coś zjeść? Nie chcesz? To może jutro przyniosę ci coś dobrego? – nieśmiało zapytała Fela.

– Spać mi się chce! – wymamrotał.

– To śpij, mój kochany. Sen to najlepsze lekarstwo! Jutro przyniosę ci kurczaka i rosółku.

Z niepokojem popatrzyła na Teresę i oczyma wskazała drzwi.

– Do widzenia, Gieniu, przyjadę do ciebie za kilka dni, a teraz kuruj się i wypoczywaj.

Teresa poprosiła, żeby matka poczekała na korytarzu. Chciała porozmawiać z lekarzem dyżurnym sama. Weszła do pokoju lekarskiego.

– Panie doktorze, chciałabym się dowiedzieć o stan zdrowia mojego ojca, Eugeniusza Kłosa.

Młody lekarz popatrzył na nią spod oka.

– Cóż, stan jest bardzo poważny. Trzeba mieć nadzieję, że wyjdzie z tego. Ma silny organizm. My robimy wszystko, co możemy. Dostaje bardzo dobre leki.

– Ale on ledwo żyje. Nawet ze mną nie porozmawiał. Matka płacze, co mam jej powiedzieć?

– Trzeba czekać. Najbliższe dni zdecydują. Trzeba czekać! – powtórzył.

Pod drzwiami zobaczyła zapłakaną matkę.

– Mamo, musisz być dobrej myśli, lekarz powiedział, że Gienio jest silny i da sobie radę z chorobą. Nie płacz. Musisz go podtrzymywać na duchu. Nie może widzieć łez i smutnej miny.

– Masz rację, Tereniu. Ale tak mi trudno – wykrztusiła matka, pochlipując. Objęły się i wolno ruszyły do wyjścia.

Wracając do Warszawy, Teresa cały czas myślała o Gieniu. Dlaczego tak jest? Żyje sobie człowiek, krzywdy nikomu nie robi, przeciwnie, wielu osobom daje radość, może nawet szczęście, aż tu nagle jedna chwila i nie ma człowieka! Przecież Gienio jest dobry. Mówią, że Pan Bóg złych na ziemi trzyma dłużej, licząc, że się poprawią. Kto wymyślił taką bzdurę? Przecież to zachęta, by być złym i dzięki temu trochę dłużej żyć. Wniosek z tej głupoty taki, że najlepsi powinni umierać już we wczesnym dzieciństwie. Bzdura, bzdura i jeszcze raz bzdura! Dostyc tych rozważań bez sensu. Najważniejsze, że jutro spotka się z Ksawerym. Może znów ją obejmie? Albo nawet pocałuje?! Czują, jak na samą myśl ogarnia ją podniecenie.

Była niespokojna. Minęła czternasta, a Ksawery nie przyjechał. Może się rozmyślił, może jej się to wszystko wydawało, może to uroczy sen, z którego się zbudzi i nie będzie Ksawerego ani nawet octavii, tylko stary maluch i Janusz? Co tam! Strachy na Lachy.

Musi się wziąć w garść i porozmawiać szczerze z Januszem. Należało mu się to. Właściwie nigdy nie miała do niego żadnych zastrzeżeń. Kulturalny, dobrze wychowany, zadbany, czuły. Czego więcej można wymagać od mężczyzny? Ale teraz? Obraz Ksawerego zupełnie tamtego przesłonił. Tak jakby Janusza nigdy nie było. Teresa postanowiła po niedzieli spotkać się z nim gdzieś na mieście, może w jakiejś kawiarni. Będzie prościej przekazać mu tę, chyba przykrą dla niego, decyzję na neutralnym gruncie.

Nagle zadzwieczał dzwonek do drzwi. Kiedy otworzyła i zobaczyła

oczekiwanego gościa, z trudem się powstrzymała, by nie rzucić mu się na szyję.

– Dzień dobry, Ksawery! – Z czułością wypowiedziała jego imię.

– Witaj, Tereniu! Zupełnie nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Trochę zmieniły się plany na dzisiaj.

Mówiąc to, podał jej mały bukietik stokrotek.

– Dzięki! Prześliczne.

Mocno ścisnęła kwiatki. A więc jednak. To koniec. Nie będzie obiadu ani dalszych spotkań.

– Czy źle się czujesz? Tak zbladłaś!

– Nie, nie. Wszystko w porządku.

– Wiesz, przemyślałem sprawę obiadu i postanowiłem zaryzykować.

Teresa westchnęła z ulgą. To jednak będzie obiad. Co on wymyślił?

– Pani Dziunia, która czasem pomaga mi w gospodarstwie, podobno jest niezłą kucharką. Doszedłem do wniosku, że pozwolę jej się wykazać. Obiecała jakieś smakołyki, ale nie chciała zdradzić tajemnicy. Będziemy więc oboje narażeni na swego rodzaju eksperyment kulinarny. Oczywiście, jeśli pozwolisz się porwać. Pojedziesz do mnie? Bez względu na jakość potraw chyba przyjemniej będzie posiedzieć wśród zieleni niż w zadymionej restauracji.

– To wspaniały pomysł!

– Więc nie gniewasz się, że nie zjemy jakichś wspaniałości w lokalu?

– No co ty? Bardzo się cieszę.

Prawie całą drogę jechali w milczeniu. Ksawery od czasu do czasu dyskretnie na nią spoglądał. Czując te spojrzenia, rumieniła się i zaczynała szybciej oddychać. Kiedy jechali prowadzącą do domu aleją, przyhamował i delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

– Tereso, mam ci tyle do powiedzenia!

Spojrzała mu prosto w oczy.

Obiad był doskonały. Pani Dziunia pokazała swój kunszt. Najpierw jakaś pyszna zupa krem z groszkiem ptysiowym, potem bukiet jarzyn i delikatne mięso. Jedli wolno, jakby celowo odwlekając to, co ich czekało. Mimo że wszystko było bardzo smaczne, Teresa ledwo popróbowwała.

– Tereso, widzę, że pani Dziunia nie trafiła w twój gust.

– Ależ przeciwnie, wszystko jest świetne. Nie mogę jeść, bo powiem ci szczerze, czekam z niepokojem na to, co chcesz mi powiedzieć.

– Nie denerwuj się, to nic strasznego, choć dla mnie jest bardzo ważne. Jeszcze chwila cierpliwości. Usiądziemy przy kawie, będzie odpowiedni nastrój do rozmowy. A tymczasem spróbuj choć trochę zjeść. Nie róbmy przykrości pani Dziuni.

– Czy możemy wypić kawę na tarasie?

– Oczywiście.

Ulokowali się na wiklinowej kanapce. Siedzieli bardzo blisko siebie.

– Nie trzymaj mnie w niepewności, mów, proszę! – odezwała się Teresa.

– Tak krótko się znamy, a stałaś mi się bardzo bliska. Chciałbym się z tobą spotykać jak najczęściej, rozmawiać, czasem razem bywać w kinie lub na koncertach. Bardzo pragnę, byśmy zostali przyjaciółmi. To cudowne uczucie mieć bratnią duszę, która wysłucha, pocieszy, poradzi i nie zawiedzie. Wiem, że jesteś właśnie taką ciepłą i dobrą kobietą. Czy zgadzasz się na moją propozycję?

Nie takich słów się spodziewała. Myślała o wyznaniach, pocałunkach, pieszczotach, a tu przyjaźń! Co prawda, lepsze to niż nic. Będą się widywali często, coraz częściej, wreszcie Ksawery poczuje do niej to, co ona, od pierwszego dnia, czuła do niego. Tylko czy będzie w stanie utrzymać się w roli przyjaciółki? Czy nie zdradzą jej oczy, gesty, słowa? Co ma mu teraz powiedzieć? Posmutniała.

– A możesz bardziej precyzyjnie?

– Chciałbym poznać twoją rodzinę. Dowiedzieć się, jak wyglądało twoje dotychczasowe życie. Rozumiem, że taka kobieta jak ty ma wokół siebie wielu życzliwych, wspaniałych przyjaciół, ale czy nie przydałby się jeszcze jeden? Jestem sam, czuję się bardzo samotny. Będiesz promykiem słońca w moim szarym życiu. Wzruszyłem się. Czy nie przeszkodzi ci, jeśli zapalę fajkę? Pozwolisz?

– Oczywiście! Pasuje do ciebie. Lubię zapach fajkowego tytoniu.

– Usiądę troszkę dalej, żebyś nie musiała go wdychać. Twoja mina napawa mnie obawą, że niezbyt spodobała ci się propozycja.

– Ależ nie, przeciwnie! Bardzo mnie ucieszyła.

Zapadła cisza. Rozczarowana i zawiedziona Teresa pomyślała, że na jeden dzień ma dosyć wrażeń.

– Wspaniale tu u ciebie. Tak spokojnie i miło. Obiad był pyszny. Chyba jednak muszę już wracać. Nie czuję się najlepiej, trochę boli mnie głowa.

– Skoro tak sobie życzysz, to oczywiście odwiozę cię. Ale żal mi, że tak szybko kończy się twoja wizyta, to znaczy nasze spotkanie. Bardzo mi żal.

Po powrocie do domu zadzwoniła do Skierniewic. Chciała się dowiedzieć, co słyhać u Gienia. Matka powiedziała, że badania wykazują lekką poprawę, a chory nawet zjadł troszkę rosołu.

– Może Pan Bóg jeszcze mi go nie zabierze. Bardzo się modłę. Mszę w intencji jego zdrowia zamówiłam. Tylko nadzieja mi została i wiara w boskie miłosierdzie.

– Będzie dobrze. Nie martw się, mamó, pomyśl o swoim zdrowiu. Przyjadę

do Skierniewic, kiedy będę mogła. Postaram się najszybciej, jak się da. Całuję was oboje. Pa!

Gdy odkładała słuchawkę, usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Wszedł Adam.

– Witaj, mamciu! Co tam u babci? Jak Gienio?

– Adaś, dobrze, że jesteś. Tak mi jakoś smutno na duszy, markotno, jak powiedziała babcia. Chodź, zrobimy sobie kawę i pogadamy.

– Wiesz, wpadłem na chwilę, bo zaraz biegnę do klubu i do Piotrka. Ale owszem, kawę chętnie wypiję. Posiedź, ja zrobię.

– Och, ty mój latawcu! Wciąż szybko, szybko, dokąd tak się śpieszysz?

– Mama, bo czas ucieka, życie ucieka, a tyle się dzieje. Zobacz, znowu mamy senat. Wszyscy senatorzy, poza jednym, są z Solidarności. Pomogły te plakaty z Wałęsą. Wszędzie ich było pełno. No i dobrze. W sejmie też jest nie najgorzej. Za chwilę parlament wybierze prezydenta. Znowu na czele państwa będzie prezydent, a nie jakiś tam przewodniczący. To całkiem inaczej brzmi. Może wreszcie sytuacja polityczna się ustabilizuje i rządzący zaczną myśleć o gospodarce, o rozwoju tego, co tyle lat było w poniewierce, działało na wariackich papierach. Pewno lada chwila znikną wreszcie te koszarne kartki żywnościowe.

– Ale z ciebie optymista! To prawo młodości. Nie wiedziałam, że jesteś taki zaangażowany w sprawy polityczne, że tyle o nich wiesz. Myślałam, że tylko ci Bieszczady w głowie!

– Bieszczady Bieszczadami, ale przecież teraz od nas wszystkich zależy, czy wykorzystamy tę szansę. Mamciu, nie poznaję cię. Zawsze byłaś młoda duchem i szłaś z postępem. Co się stało? Masz jakieś kłopoty? Coś ze zdrowiem?

– Nie, synku! Wszystko w porządku. To tylko mała depresja wieku średniego.

Popatrzyła na syna z czułością. Przecież to już dorosły mężczyzna. Ma gęste, ciemne włosy i trzydniowy zarost, który dodaje mu powagi. Gdzie się podział jej mały, psotny Adaś?

– Nie martw się, będzie dobrze. Mam jeszcze tylko jeden egzamin do zaliczenia. Pójdę do Piotrka pogadać. Nie wiem, o której wrócę. Pa! Lecę. *Keep smiling!*

Teresa się zamyśliła. Rzeczywiście, tyle się ostatnio działo. A ona była tak zajęta swoim uczuciem do Ksawerego, że zupełnie nie interesowała się polityką, nawet o Janie myślała o wiele rzadziej. Co prawda, poszła na wybory i głosowała za Solidarnością, ale jakoś tak powierzchownie reagowała na to, co było wokół niej. Przecież Adam ma rację, teraz musi się dużo zmienić. Ustaną wreszcie bunty, strajki, walka polityczna. Oby tylko wszystko potoczyło się we właściwym kierunku! Zawsze znajdą się jacyś niezadowoleni, jacyś wichrzyciele i warchoły, jak nazywały władza i media strajkujących w Radomiu. Dobrze pamiętała ten czas.

Żył wtedy jeszcze Jan, chociaż już nie był jej mężem, ale żył! Przychodził. Mogła z nim porozmawiać o wszystkim. Zawsze umiał znaleźć odpowiednie słowa, żeby ją uspokoić. Nagle ogarnęła ją tęsknota za tamtymi czasami, za Janem. Tyle lat już go nie ma. Czy Ksawery to jakaś jego namiastka? Skąd to fizyczne podobieństwo? Skąd to jej zauroczenie tym obcym człowiekiem?!

Myśli Teresy znowu wróciły do Ksawerego. Co on wykombinował?! Przyjaźń to piękne uczucie, ale jej nie o to chodziło. Marzyła o prawdziwej, gorącej, płomiennej miłości. Ale on widocznie jeszcze się nie uporał z uczuciem do zmarłej żony. Może potrzebował czasu, żeby znowu móc być z kobietą, żeby ją pokochać. No cóż, będzie musiała poczekać. Nie ma innej rady. Tylko jak długo?

Następny dzień wstał ponury i o wiele chłodniejszy. Czasem lato ma takie kaprysy. Wszystko było szare i smutne. Teresa pomyślała, że spotka się z Januszem i wreszcie zakończy tę sprawę. Zupełnie nie wiedziała, jak mu wytłumaczyć, że ich czas się skończył. Że muszą się rozstać. Zdecydowanym ruchem wykręciła jego numer.

Kiedy Janusz usłyszał jej głos, wstrzymał na chwilę oddech, tak był zaskoczony, bardzo mile zaskoczony, jej telefonem. Nie rozwodziła się długo. Podała tylko, w której kawiarni się spotkają.

– Księżniczko, a nie można u ciebie? Tak się stęskniłem.

– Nie, nie! Przyjdź około siedemnastej.

Serce jej przyspieszyło. Głupio się czuła wobec Janusza. Ale trudno, musi to załatwić. Mimo wszystko ważniejszy jest Ksawery. Chciała mieć czyste konto.

Kiedy weszła, Janusz siedział już przy stoliku. Na jej widok uśmiechnął się i poderwał z krzesła. Chciał ją objąć, ale dość oficjalnie podała mu rękę. Trochę zdziwiony chłodnym powitaniem, podniósł jej dłoń do ust.

– Co jest, księżniczko? Czyżbym zgrzeszył myślą, mową lub, nie daj Boże, uczynkiem? A teraz czeka mnie spowiedź i mam nadzieję – rozgrzeszenie. Co dla ciebie zamówić?

– Poproszę kawę. Janusz, w imię naszej dość długiej przyjaźni bardzo cię proszę, wysłuchaj mnie spokojnie i postaraj się zrozumieć.

– Rety, co za wstęp. Zaczynam się bać.

– Nie będziemy już parą. Moja sytuacja się zmieniła. Nie zamierzam cię okłamywać. To nasze ostatnie spotkanie.

– To znaczy, że co, że kogoś masz? Wolisz jego ode mnie?

– Nie mam. Ale uwierz mi, tak będzie lepiej.

– Dla kogo? Bo nie dla mnie!

– Dla nas obojga. Z czasem to zrozumiesz.

– Czy może jesteś chora? Wiesz, że możesz na mnie liczyć w każdej

sytuacji. Będę ci pomagał i wspierał. Przecież cię Kocham!

– Wiem, że jesteś porządnym człowiekiem. Tym bardziej jest mi trudno. Jednak powtarzam: to koniec.

Janusz siedział jak skamieniały. Po chwili jak automat wstał od stolika i nie żegnając się, wyszedł. Usłyszała jeszcze rzucone przez ramię: „Dlaczego?”.

Została sama, z zamętem w głowie. Po co tak się śpieszyła z tą rozmową? Kobiety czasem mają po dwóch partnerów i świetnie sobie z tym radzą. Ileż się nasłuchiwała o takich sytuacjach od koleżanek i znajomych. A ona? Nie tylko nie ma męża, to jeszcze zrezygnowała z przyjaciela. Dobrze jej z nim było. Zaczęła wspominać chwile, kiedy jej się wydawało, że go kocha, kiedy przeżywali cudowne odloty. Janusz był świetnym kochankiem. Może będzie żałowała?

Mimo wszystko ulżyło jej trochę. Dobrze, że już ma za sobą tę rozmowę! Dopła kawę, uregulowała rachunek. Wolno wyszła z kawiarni. Rozłożyła parasol, bo, jakby do kompletu, zaczął padać deszcz! Nie była jednak pewna, czy na policzkach czuje krople wody, czy łzy.

ZMIANY

– Mamciu! Mam absolutorium! – już od progu radośnie wołał Adam.
– Jeszcze tylko praca magisterska, obrona i koniec! Będziesz miała syna magistra inżyniera!

Wszedł do kuchni i zaczął sobie szykować kanapki.

– Może zjesz ze mną taki niby-obiadek? Dlaczego jesteś smutna? Stało się coś?

Teresa podeszła do syna, objęła go i ucałowała w policzek. Co to za moda, pomyślała, żeby nosić na twarzy taki trzydniowy zarost. Ani to ładne, ani schludne. Nie ma to jak gładko ogolony mężczyzna lub mający wypięlegnowaną bródkę i wąsiki, jak na przykład Ksawery!

– Synku, tak się cieszę. Gratuluję ci z całego serca. To znaczy, że już masz wakacje! Co zamierzasz? A właściwie po co ja pytam? Z pewnością pojedziesz w góry.

– Chyba tak. Myślę, że uda mi się namówić jeszcze kogoś. Zatrzymałbym się na dłużej u Jacka Siemiuka. Trochę bym połaził po górach, ale także dobrze by było poznać pracę przy owcach. Bardzo mnie to ciągnie.

– Skąd w tobie takie ciągoty? Chyba po jakichś odległych przodkach.

– A właśnie, mam. Trzeba by się wziąć i sporządzić drzewo genealogiczne naszej rodziny. Tak mało wiem o swoich dziadkach i pradziadkach.

– Jesienią, jak wrócisz z Bieszczadów, zajmiemy się tym. Powiem ci, że mnie też już od dawna to chodzi po głowie. Będzie trochę zachodu. Myślę, że babcia Fela nam pomoże. Ale gra warta świeczki!

Do Teresy nieoczekiwanie przyszła w odwiedziny Marysia. Nie widziały się od pogrzebu Kostka.

– Można do ciebie, Tereniu, na troszkę? Jestem w Warszawie u córki i pomyślałam, że poczęstujesz ciotkę herbatą. Przyniosłam pączki od Bliklego.

– Ależ wchodź, bardzo proszę. Wróciłam z pracy i nie mam na dzisiejsze popołudnie żadnych planów.

Teresa patrzyła na nią i oczom własnym nie mogła uwierzyć. Czyżby ta szykowna kobietka, może nie najmłodsza, ale zadbana, to rzeczywiście Marysia? Schudła, miała na sobie ładną sukienkę. Rozjaśnione włosy, makijaż, nawet pomalowane paznokcie tworzyły całkiem efektowną całość.

– Marysiu, pięknie wyglądasz, skąd ta zmiana?

– Tak uważasz? No, wzięłam się trochę za siebie. Na stare lata trzeba się

odmłodzić! Pamiętasz, co mówiła moja mama? – A widząc niepewną minę Teresy, wyrecytowała: – Jak się starą kamienicę odremontuje, to może się jeszcze podobać.

– Oj, ta babcia! Skąd jej się brały te rozmaite powiedzonka! Wciąż coś takiego rzuciła, że człowiekowi albo się śmiać, albo płakać chciało.

– Co prawda, to prawda. A mnie w pracy trochę się poprawiło. Przenieśli mnie z sortowni do obsługi okienka. Zawsze to przyjemniej, niż siedzieć w zapyziałej kanciapie, choć ludzie często są upierdliwi. No i choćby z tego powodu musiałam pomyśleć o sobie. Przecież w okienku pocztowym nie może pracować gruby kocmołuch! W tajemnicy ci powiem, że poznałam kogoś, kto bardzo mi się podoba, i robię wszystko, żebym i ja mu się spodobała.

– Mów, mów, kto to taki? To znaczy nie o nazwisko mi chodzi. Powiedz coś o nim.

– Jest w moim wieku, przystojny, trochę utyka, ale to mi nie przeszkadza, kulturalny i, co najważniejsze, nie pije, to znaczy nie pije nałogowo. No, może czasem, tyle, co inni. Na ryby też nie jeździ. Nie to co Kostek. To był łobuz, niech mu ziemia lekka będzie. Ten teraz ma na imię Antoni. Ładnie, prawda?

– Kochana, no to bardzo się cieszę. Może wreszcie zaznasz lepszego życia.

– Ale widzisz, Tereniu, jest problem: on ma żonę. Niby mówi, że od lat z nią nie sypia, to znaczy, że są w separacji, ale czort wie. Każdy tak gada, a potem co innego się okazuje.

– Nie możesz z góry zakładać, że to oszust. Zaryzykuj! Choć pewna ostrożność nie zaszkodzi. Tylko ślubu nie bierz. Ale! On przecież rozwodu nie ma, to ślub ci nie grozi.

– Niby tak, ale trochę się boję. Dziewczynki powiedzą, że matka na stare lata na kocią łapę żyje.

– Daj sobie spokój. One żyją własnymi sprawami i dla ciebie czasu nie mają, prawda?

– Właśnie, szczerą prawdę mówisz. Dzisiaj z Antonim idziemy do kina. On mnie w kinie delikatnie przytula, gładzi moją rękę, szepcze do ucha. Dobrze mi z nim. Nie przeżywałam dotąd takich miłych chwil.

– Marysiu, bardzo się cieszę. Tak trzymaj! Bierz z życia to, co najlepsze.

– Teresa, a o sobie to nic mi nie mówisz.

– U mnie nic nowego. No, prawie nic. Powiem, ale tylko między nami, że też mam na uwadze takiego faceta, że na samą myśl o nim czuję ciarki na całym ciele. Nie wiem, niestety, czy on czuje to samo do mnie. Czekam, jak się rozwinie ta znajomość. Ewa z moim kochanym wnuczkiem Tomusiem wyjechała do Stanów, do męża. Nie wiadomo, jak długo tam będą, może wcale nie wrócą. I nie brała pod uwagę tego, że matka samotna w Polsce zostanie. Adam biega wciąż po górach. Chciałby się tam w przyszłości osiedlić. Wiesz, że w Bieszczadach spotkał twojego siostrzeńca?

– Co też ty mówisz, to znaczy kogo?

– Syna twojej siostry Marty. On tam mieszka i owce hoduje. Ciotka Marta przeboleć nie może, że się nie ożenił i że z Czaplinka wyjechał. Tak to już jest z dziećmi.

– Tereniu, miło się z tobą gawędzi. Jak pozwolisz, znowu kiedyś do ciebie wpadnę.

– To przyjdźcie razem z Antonim.

– No co ty! Jeszcze się w tobie zakocha, jesteś młodsza i ładniejsza ode mnie. A ja stracę „narzeczonego”.

– Nie żartuj sobie. Ja poza Ksawerym świata nie widzę. Życz mi, żeby odwzajemnił moje uczucie.

– Nie przejmuj się, jak nie odwzajemni, to sobie znajdziesz jeszcze lepszego kawalera. Do widzenia.

Ucałowały się serdecznie. Teresę owionął delikatny zapach perfum. Nie mogła uwierzyć, że uczucie i lepsze warunki tak bardzo mogą zmienić kobietę. Trochę przy tym swoim Kostku zdiadziała, ale teraz złapała oddech, i bardzo dobrze. Niech jej się wie! Niech jej się wie!

Po południu zadzwoniła matka. W jej głosie słycać było radość.

– Córuniu, lekarze powiedzieli, że niebezpieczeństwo minęło i teraz Gienio ma leżeć, odpoczywać, zażywać leki i czekać, aż go wypiszą. Zaraz potem pojedzie do tamtego sanatorium dla zawałowców pod Łodzią. Ta nazwa, Popioły, jakoś przykro się kojarzy, ale rozmawiałam z kilkoma osobami i wszystkie chwalą, że dobrze się czują po tej kuracji. Zresztą, Gienio już tam kiedyś był, więc niech jedzie, zawiozą go karetką. Będę na niego czekała. Lżej mi na sercu się zrobiło. Wierzę, że już niedługo będzie tu ze mną. Poprzednio, jak był w sanatorium, to bardzo szybko postawili go na nogi.

– Cieszę się razem z tobą, mamó. I też ci powiem coś radosnego. Dzwoniła Ewa. Doleciała szczęśliwie. Jurek czekał na nią na lotnisku, powitanie nie było końca. Mały trochę boczy się na ojca. Ale to szybko minie, bo Jurek szaleje na jego punkcie. Mieszkanie mają wygodne, jakoś się urządzili, a teraz Ewa rozgląda się za pracą. Wiesz, mamó, jak to jest, pieniędzy nigdy dosyć!

– Widzisz, kochana, jaki dzisiaj dobry dzień!

– I jeszcze ci coś powiem. Twoja najmłodsza siostra, czyli Marysia, jakoś się pozbięrała, zadbała o siebie, nawet ma faceta. Wygląda bardzo korzystnie, nie poznałabyś jej. To nie ta sama zahukana kobiecina. Niech jej się wreszcie poszczęści!

– Oj, tak. To do usłyszenia, Tereniu, ściskam cię!

– Ja ciebie też, i ucałuj Gienia. Pa!

To jeszcze nie był koniec niespodzianek. Wieczorem zadzwonił Ksawery. Kiedy Teresa usłyszała jego głos, serce wpadło jej w jakiś obłądny rytm.

– Dobry wieczór, Tereniu! Czy dobrze się czujesz? Migrena minęła? Dzwonię, bo bardzo chciałem usłyszeć twój głos. Byłem niespokojny. Rozstaliśmy się tak jakoś chłodno. Czy może uraziłem cię swoją propozycją? Oczywiście, wszystko zależy od ciebie. Z niepokojem czekam, co mi powiesz.

– Witaj, Ksawery! Czuję się dobrze. Nawet nie myśl, że coś było w twojej propozycji nie tak. Mam nadzieję, że spotkamy się niebawem. Oczywiście, jeśli zechcesz.

– To może ustalmy od razu, gdzie i kiedy.

– Przez najbliższy weekend będę trochę zajęta. Muszę pojechać do mamy do Skierniewic. Co byś powiedział na niedzielne popołudnie?

– Bardzo się cieszę. Przyjadę po ciebie. Może wybierzemy się do Łazienek, pod pomnik Chopina? Ma być koncert.

– Chętnie. Zatem do zobaczenia.

– Będę o piętnastej.

Teresa odsapnęła. O to właśnie chodzi. Najpierw sporadyczne spotkania, potem coraz częstsze, aż wreszcie deklaracja uczuć w postaci namiętnego pocałunku. Będzie czekać cierpliwie. Niezależnie, jak długo to potrwa. Z uśmiechem odłożyła słuchawkę.

W pracy nie układało się tak, jak sobie życzyła. Koledzy byli sztywni, nieprzystępni. Pani Lodzia również nie pałała do niej zbyt dużą sympatią. Teresa nie bardzo wiedziała, co jest grane. Dlaczego nie udało się stworzyć atmosfery zaufania i chęci niesienia sobie nawzajem pomocy? Wydawało jej się, że ze swej strony sprawę postawiła jasno. Zrobiła więcej niż niejeden szef. A oni wciąż zachowują dystans.

Któregoś dnia poprosiła do siebie Stanisława. Był chyba starszy od niej i co za tym idzie, miał sporo doświadczenia, a przy tym wyglądał na kulturalnego, opanowanego człowieka. Popatrzyła z przyjemnością na jego wyprostowaną sylwetkę i twarz okoloną zarostem. Dzięki Ksaweremu zaczęli jej się podobać brodaci mężczyźni. Był jak zwykle bardzo starannie ubrany.

– Stanisławie, cenię twoje doświadczenie, jesteś mądrym człowiekiem. Pozwalam sobie zapytać wprost, jak oceniasz naszą współpracę, to znaczy moją z całym zespołem?

Stanisław milczał przez chwilę, po czym odrzekł z uśmiechem:

– Bardzo pozytywnie. Skąd takie pytanie?

– Nie wiem. Ale czuję jakby z waszej strony niechęć. Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? Wiem, że rozmawiacie, śmiejecie się, a gdy tylko się pokażę,

wszyscy milkną. Co robię nie tak? Bardzo cię proszę o szczerłość. Postaram się zastosować do twoich sugestii. Zależy mi, żeby łączyła nas sympatia, by w dziale panowała dobra atmosfera.

– Nie wiem, co ci się nie podoba, czego oczekujesz? Chłopcy cię cenią, szanują, ale jesteś szefem. Wolą nie spoufalać się zbytnio z władzą, bo czasem to na złe wychodzi i władzy, i pracownikom. Narzuciłaś szybkie tempo, trochę ich speszyło to przejście na ty. Poczekaj trochę, niekiedy trzeba dać ludziom czas. Muszą kogoś poznać, przywyknąć. Myślę, że jesteśmy na najlepszej drodze do pełnej wzajemnej akceptacji. Nie chcę się wypowiadać jak jakiś mentor, nie śmiałybym ci narzucać moich poglądów, ale z serca radzę – poczekaj. Przekonasz się, że wszystko, powtarzam, wszystko z czasem dobrze się ułoży.

– Dziękuję ci. Mam nadzieję, że ta rozmowa pozostanie między nami. Będę cierpliwie czekała i postaram się przekonać wszystkich do mojej dobrej woli.

Uklonił się i wyszedł. Teresa pomyślała, że według nich jest wtyczką dyrektora. Zresztą, trudno im się dziwić. Może sama, będąc na ich miejscu, też tak by myślała.

Sobotnia wizyta w Skierniewicach była o wiele weselsza niż poprzednia. Gienio wyglądał znacznie lepiej. Kiedy weszły, siedział w łóżku i słuchał małego radia. Uśmiechnął się promiennie.

– Witajcie, moje piękne dziewczyny! Widzisz, Tereniu, udało mi się, jak to mówią, jeszcze tym razem uciec grabarzowi spod łopaty. Czuję się całkiem dobrze. Pompka działa już prawie normalnie. Tylko patrzeć, jak porwę moją Felunię na tańce. Nie wiem, po co mnie tu jeszcze trzymają!

Przysiadły koło łóżka na szpitalnych stołkach. Matka wzięła go za rękę i delikatnie głaskała. Patrzyła uszczęśliwiona na swojego Gienia. Posiedziały prawie godzinę, wreszcie uznały, że nie można zbyt długo chorego męczyć, i wróciły do domu.

Usiadły na balkonie, popijały zimny kompot, gawędziły, wspominały. Teresie nie chciało się wyjeżdżać od matki.

– I pamiętaj, córciu. Gdyby coś się z nami stało, to ja mam być pochowana z moim mężem Kaziem, a Gienio ze swoją żoną.

– Mamusiu, daj spokój. Będziecie długo żyli. Musicie. Czy ty wiesz, że ja nie mam prawie nikogo bliskiego? Ewa z Tomusiem w Stanach, Adam też wkrótce wyjedzie w Bieszczady, przynajmniej tak mówi. Mam tylko ciebie i Różę. Życzliwa z niej kobieta, czasem pokrzyczy na mnie, że coś źle robię, ale wiem, że to dla mojego dobra. Więc nie mów mi, że mogłoby cię zabraknąć.

Fela objęła ją i przytuliła. Miały łzy w oczach.

– Przecież ty, Tereniu, jesteś jeszcze taka młoda. Powinnaś znaleźć sobie

jakiegoś porządnego człowieka. Lżej by ci się żyło.

– A wiadomo, na jakiego się trafi?

– Jesteś mądrą kobietą i nie dasz się nabrać na czułe słówka.

– No to ci powiem, mamusiu, że poznałam bardzo akuratnego mężczyznę.

Ma same zalety, ale chyba jakoś niezbyt przypadłam mu do gustu i nie wiem, czy coś z tego będzie.

– Podoba ci się?

– I to jak! Bardzo bym chciała z nim być, może nawet wyjść za niego.

– Kochana moja, to niech ci się poszczęści, dosyć się sama nabyłaś. Teraz dzieci odchowane, to powinnaś pomyśleć o sobie.

Teresa zaczęła opowiadać o kupnie samochodu od Ksawerego, o ich kolejnych spotkaniach. Nawet o tym, które miało być następnego dnia. Nie wiadomo, kiedy minęło całe popołudnie.

– Chyba już pojedę, niedługo zacznie się robić ciemno.

– Jedź, córciu, ale przyjeżdżaj, kiedy tylko znajdziesz trochę czasu.

– Do widzenia, matulko!

– Jedź ostrożnie!

– Ucałuj Gienia!

– Ładny jest ten twój samochodek.

Teresa uruchomiła silnik, błysnęła światłami i odjechała.

Niedziela zapowiadała się piękna. Było gorąco, jak to w lipcu, ale powietrze orzeźwiało lekki wiaterek. Teresa siedziała na ławce obok Ksawerego. To było cudowne. Czowała jego obecność, dotyk ramienia. Kiedy zerknęła w lewo, widziała jego poważny profil. Trochę ją zdziwiło, jak niewiele potrzeba zakochanej kobiecie do szczęścia. Dokoła zieleń, szemrzająca fontanna, świergot ptaków, kwiaty wokół pomnika Chopina. Muzyka dodawała temu miejscu uroku i radości. Wykonawca o nieznanym nazwisku, ale świetnie grający młody człowiek, roztaczał urok walców, etiud i mazurków. Na koniec z młodzieńczą energią zagrał *Etiudę Rewolucyjną*. Oczarowani słuchacze nie podnosili się z ławek, kontemplując to, co usłyszeli. Teresa też nie miała ochoty odchodzić z tego magicznego miejsca. Ksawery nie ponaglał. Wreszcie pochylił się w jej stronę.

– Czy miałabyś chęć na kawę i jakieś ciasteczko?

– Nie wiem, czy po tym zauroczeniu kawa nie będzie swego rodzaju profanacją. Ale skoro sobie życzysz, chodźmy.

Niedaleko była miła kawiarenka, usiedli przy stoliku osłoniętym wielkim parasolem. Było tu prawie jak na koncercie, zieleń, spokój i ćwierkające ptaki. Brakowało tylko muzyki. Siedzieli zamyśleni, jakby trochę nieobecni.

– O czym myślisz? – Głos Ksawerego wyrwał Teresę z zadumy.

– O cudzie, jakim jest muzyka. Może namówię cię na koncert w filharmonii.
– Ależ, Tereniu, nie musisz mnie długo namawiać. Powiedz tylko kiedy.
– Sprawdzę repertuar.
– Zgoda. Wybór należy do ciebie. Zdaję się na twoją znajomość muzyki.
– Och, nie. Ja nie jestem znawczynią. Nie znam tytułów utworów, a często nawet nazwisk kompozytorów. Jednak bardzo mocno przeżywam to, co słyszę. To dziedzina sztuki, która jest dla mnie najważniejsza i budzi największe emocje. Malarstwo, rzeźba, architektura – to wszystko jest wspaniałe, ale muzyka przyprawia mnie o dreszcz.

– Cieszę się, że mamy podobne spojrzenie na sztukę. Powiedz mi, co słysząc w Skierniewicach.

– Chyba jeszcze ci nie mówiłam...

– Właściwie to niewiele mi mówiłaś.

– Mama kilka lat temu wyszła ponownie za męża. Mój ojciec zmarł, kiedy byłam dzieckiem, i przez wiele lat biedaczka sama borykała się z życiem. Teraz ma Gienia, to znaczy Eugeniusza. To porządny człowiek. Niedawno miał zawał i leży w szpitalu. Mama bardzo to przeżywa. Jeżdżę do niej, kiedy tylko mogę, żeby ją trochę podtrzymać na duchu. Na szczęście Gienio ma się znacznie lepiej. Cieszę się ich radością. Za kilka dni znowu do nich pojedę.

– Bardzo jestem ciekaw, jak wygląda twoja mama. Czy jest tak samo urocza jak córka?

– Może kiedyś się zdarzy, że ją poznasz. Zresztą, mogę pokazać ci zdjęcia.

– Dobre i to, choć nie to samo. A możesz mi coś opowiedzieć o swoim dzieciństwie?

Teresa lubiła wracać myślami do dawnych lat, które były trudne, ale tyle się wtedy działo. Wokół było pełno ludzi: babcia, ciotki, dzieciaki. Potem Jan, studia, małżeństwo. Zaczęła mówić o tym wszystkim, a Ksawery słuchał z uwagą. Nie przerywał.

– Tereniu, może miałaś trudne, ale wspaniałe życie. Byłaś otoczona bliskimi i ich miłością. Dzisiaj już późno, ale jak zechcesz, następnym razem opowiem ci o sobie.

Delikatnie dotknęła jego ręki.

– Dziękuję za szczerość i zaufanie.

Wziął ją pod rękę i poszli alejkami wśród zieleni i cudownie pachnących róż. Teresa pomyślała, że zapamięta ten spacer do końca życia, niezależnie od tego, co jeszcze może się wydarzyć. Niestety, park się skończył, przed nimi była brama, a za nią łada Ksawerego.

– Czy jedziemy pod twój dom, czy może jeszcze masz jakieś plany na dzisiaj?

– Dziękuję ci za cudowne popołudnie! Najrozsądniej będzie wrócić do domu

i odpocząć przed nadchodzącym tygodniem.

– Jak sobie życzysz.

Czy jej się zdawało, czy w jego głosie usłyszała jakby cień zawodu?

W poniedziałek z rana wezwał ją dyrektor.

– Witam koleżankę, co tam słyhać w dziale? Praca idzie? Chyba tak, bo nie słyszę żadnych skarg. Mam dla pani poważne zadanie. Przyszły wytyczne ze zjednoczenia. Musimy przygotować dokładną dokumentację nowego projektu, którego zarys jest właśnie w tych papierach. – Pokazał jej wypchaną teczkę. – Wierzę w pani wiedzę i zaangażowanie. Pracy będzie dużo, a termin, jak zwykle, na wczoraj! – Uśmiechnął się. – Oczywiście, inne działy też zostały włączone do tej akcji, ale większość zadań należy jednak do działu technologii. Wierzę, że nie zawiodę się na pani zespole. Między nami mówiąc, zjednoczenie obiecało jakąś gratyfikację. A więc warto się potrudzić.

Po powrocie do swojego pokoju Teresa rozłożyła papiery, popatrzyła na nie z lekkim przerażeniem i stwierdziła, że będzie ciężko. Poprosiła wszystkich do siebie i przekazała polecenie dyrektora, nie mówiąc nic o ewentualnej nagrodzie. Z lekkim ociąganiem podeszli bliżej i po chwili uznali, że to nierealne, nie da się zrobić. Wtedy powiedziała o pieniądzach, które może uda się wypracować. Obiecanki cacanki! Nie można jednak z góry zakładać, że dyrektor, delikatnie mówiąc, mija się z prawdą. Ponownie popatrzyli na materiał. Jeśli uda się sprawiedliwie rozłożyć robotę i każdy się spręży, to kto wie? Jak zwykle podsumował sprawę Stanisław:

– Musimy spokojnie usiąść i dokładnie się zastanowić, jak podzielić pracę. Myślę, że to będzie spore wyzwanie, ale powinniśmy dać radę. Wszyscy wiemy, o co chodzi. Nasze obliczenia pozwolą na zastąpienie drogich elementów, dotychczas montowanych w naszym produkcie finalnym, znacznie tańszymi, a tak samo trwałymi częściami.

– To zabierajmy się do pracy – zakończyła Teresa.

No i machina ruszyła. Przez kilka dni nie było żadnych pogawędek ani przeciągających się kawek. Zostawali po godzinach i nikt nie narzekał. Teresa prawie zapomniła o Ksawerym. Tylko w łóżku przed zaśnięciem przypominała sobie Łazienki i cudowny spacer. W czwartek Ksawery zadzwonił.

– Witam cię, Tereniu. Co słyhać? Nie dajesz znaku życia, a od ostatniego spotkania minęło już tyle dni.

– Przepraszam, mam taką harówkę w pracy, że czasem zapominam, jak się nazywam. Dostaliśmy bardzo krótki termin na wykonanie dość poważnego projektu. Na dodatek jest to dla mnie swego rodzaju sprawdzian, czy daję sobie radę w nowym dziale. Więc wybac, nie gniewaj się, przyrzekam, że zadzwonię,

jak tylko uporam się z tą robotą. Myślę o tobie wyłącznie wieczorami, bo w ciągu dnia zupełnie nie mam głowy.

– To mnie cieszy, że choć rzadko, ale myślisz. Ja też myślę – często! Więc do usłyszenia. Czekam z niecierpliwością.

W piątek z samego rana zgłosiła sekretarce dyrektora, że czeka na spotkanie. Około dziesiątej została poproszona do gabinetu. Uśmiechnięty dyrektor wyszedł zza biurka i powitał ją uprzejmie:

– No i co tam, pani Tereso? Jak idzie praca?

– Właśnie przyniosłam gotowy materiał.

– Coś podobnego, a to mnie pani zaskoczyła! Nie spodziewałem się.

– To dzięki mojemu zespołowi. Wszyscy są pracowici, energiczni, mądrzy i myślę, że spisali się na piątkę, a pan dyrektor doceni ich zapał i spełni daną wcześniej obietnicę.

– W poniedziałek pojedę do zjednoczenia i zobaczymy, co się da zrobić! Bardzo dziękuję pani za taką operatywność. Będę pamiętał. A nagroda należy się przede wszystkim pani.

– Nie, panie dyrektorze. Myślę, że wszyscy w równym stopniu zapracowaliśmy na nagrodę, więc albo wszyscy ją otrzymamy, albo nikt. Sama niczego bym nie zdziałała. Do widzenia panu, życzę miłego dnia.

– Do widzenia, pani Tereso. – Dyrektor stał nieco stropiony. Pierwszy raz zdarzyło mu się coś podobnego. Żeby kierownik nie chciał pieniędzy! Co za kobieta!

Teresa z poważną miną weszła do pokoju.

– Słuchajcie, mili państwo – powiedziała – dyrektor jest z nas bardzo zadowolony, a jak bardzo, okaże się po jego wizycie w zjednoczeniu. Niestety, musimy trochę poczekać. Przekazuję wam słowa uznania od szefa i to tymczasem musi nam wystarczyć. Dziękuję!

Uścisnęła wszystkim dłonie, a Łodzię cmoknęła w policzek.

Ledwo dotarła do domu, ktoś zadzwonił do drzwi. Zastanawiała się, czy otworzyć. Nie miała ochoty na gości. Przez moment przeleciało jej przez myśl, że to może Ksawery postanowił zrobić jej niespodziankę. Niestety! Za drzwiami stała Marysia. Wyglądała zupełnie inaczej niż poprzednio. Miała zapłakane oczy i obwisłe ramiona.

– Wejdz, Marysiu. Co się stało?

– Bo ja, moja kochana, to chyba pod parszywą gwiazdą się urodziłam. Całe życie do kitu. I te małżeństwa nieszczęśliwe, i w ogóle wszystko jest do dupy!

– Ale co?

– Mówiłam ci o Antonim, że taki miły, kulturalny i że mi z nim tak dobrze. Pies go kichał i jego kulturę! Zaczął mnie namawiać, żebym sprzedała domek. „Kupimy – powiedział – mieszkanko w mieście i będziemy żyć jak ludzie. Córkom trochę odpalimy na otarcie łez”. Tak mi nabajtłował, tak namieszał w głowie, że dałam ogłoszenie.

– I co, sprzedałaś?

– Różni przychodzili oglądać. Jednym się nie podobał, bo za mały, innym, że zaniedbany i remontu wymaga i takie tam dyrdymały. Wreszcie tacy starsi państwo z Warszawy powiedzieli, że kupią, tylko żeby trochę z ceny zejść. Popatrzyłam na Antoniego. Kiwnął głową, więc się zgodziłam. Dali zadatek, tak mniej więcej jedną trzecią wartości, i mieli przyjechać za dwa dni, żeby wszystkie formalności załatwić i resztę dopłacić. Antoni wziął pieniądze i powiedział, że do banku na moje nazwisko wpłaci, żeby mnie kto nie okradł. Za dwie godziny miał wrócić. Już dwie doby minęły, a jego nie ma. Okradł mnie, łobuz, bandyta, złodziej! Może dał moją forszę tej swojej żonie? O, doło, moja doło! Co ja teraz zrobię? Tylko się do Wisły rzucić!

– Nie płacz, Marysiu. Trzeba znaleźć jakieś wyjście. Pomyślmy. Według mnie masz dwie możliwości. Oddać zadatek i nie sprzedawać domku albo sprzedać, ale może najpierw się dowiedz, czy za takie pieniądze kupisz mieszkanie. Przecież masz tam kawałek ogródka. Latem zieleń, kwiaty, jest bardzo przyjemnie. Nie szkoda ci pozbywać się tego?

– Pewno, że szkoda. To przez tego Antoniego, łachudrę, Pan Bóg mi rozum odjął!

– I jeszcze jedno. Może Antoniemu coś się przydarzyło i dlatego nie przyjechał?!

W oczach Marysi błysnęła nadzieja.

– A może... – Otarła chusteczką oczy. – Może masz rację. Tylko jak się dowiedzieć, gdzie go szukać?

– Postaraj się sobie przypomnieć, może mówił, gdzie mieszka.

– Może i kiedy mówił, ale czy ja na to uwagę zwracałam?

– Marysiu, kiedy mają ci państwo przyjechać?

– Jutro.

– To przyjmij ich tak, jak się umawialiście, i poproś, żeby poczekali kilka dni, bo twój mąż, tak musisz powiedzieć, mąż zachorował. Leży w szpitalu i dopiero jak wyjdzie, można będzie ten interes zakończyć, bo sama nie dasz rady. I jeszcze dodaj, żeby się nie denerwowali, że wszystko będzie dobrze i po ich myśli...

– Jaka ty mądra jesteś! Dobrze mi poradziłaś. Lecę teraz do córek. Może one też trochę pogłównują. Może mi pomogą szukać tego gałgana. O, moja zafajdana

dolo!

Marysia wyszła, a Teresa wzięła się za głowę. Jak to jest, myślała, jeden ma wszystko, a drugiemu stale wiatr w oczy wieje. Była tak tym dniem wykończona, że szybko wzięła prysznic i położyła się do łóżka.

Zadzwonił telefon. O nie, pomyślała Teresa. Na dzisiaj dosyć. Jak ktoś ma pilną sprawę, to zadzwoni jutro. Jednak kiedy dzwonek zadzwieczał dziesiąty raz, podniosła słuchawkę. Usłyszała głos Róży:

– Dzień dobry, Teresa! Dlaczego tak długo kazałaś mi czekać? Mam dla ciebie propozycję. Przyjechał Marcel z tą swoją Klarcią. Zatrzymali się w hotelu, jutro mają przyjść do nas na kolację. Marcel nalegał, żebym ciebie zaprosiła, co niniejszym czynię! Wpadnij około osiemnastej. Posiedzimy, pogadamy. W końcu to mój brat! No i jestem trochę ciekawa tej Klarci. Zanim powiesz, że nie przyjdiesz, ja odkładam słuchawkę. Nie przyjmuję do wiadomości odmowy. Pa! Do jutra.

Połączenie się urwało.

Och, ta Róża. To wulkan, nie kobieta! No cóż, będzie musiała do nich pojechać. A jeśli Ksawery zadzwoni z propozycją spotkania? Co wtedy zrobi? Znowu telefon! Nie, to nie do zniesienia. O Boże! A może to Ksawery? Jednak to nie on. Dzwoniła Małgosia, teściowa Ewy.

– Tereniu, myślę, że najwyższy czas, żebyś do nas wpadła. Zapraszamy cię na niedzielny obiad. Nie przyjmuję odmowy!

– Kochana, ale ja naprawdę jeszcze nie wiem, czy mi się uda, bo mam już pewne plany związane z niedzielą. Pozwolisz, że zadzwonię jutro, późnym wieczorem, i powiem ci ostatecznie. Nie gniewaj się! Do usłyszenia. I dziękuję, że o mnie pamiętacie.

Teresa wracała z zakupami. Miała ciężką torbę. Gdy zobaczyła panią Zosię, torbę postawiła na posadzce. Wiedziała, że nie uda jej się wymigać od rozmowy z gadatliwą sąsiadką. Pani Zosia przytyła, utykała na prawą nogę i postarzała się dość mocno, ale nie traciła wigoru.

– Witam panią sąsiadkę. A co to tyle zakupów? Nie trzeba było syna wziąć do pomocy?

– Syn wyjechał. Jutro właśnie wraca i chcę przygotować coś dobrego, bo Adam apetyt ma spory!

– Grzeczny kawaler z pani syna. A gdzież to był?

– Jak zwykle w górach.

– Pewno tam teraz bardzo pięknie? A wie pani? Jasne, że pani wie! Mamy

prezydenta Jaruzelskiego. Po wojnie to drugi – po Bierucie. A swoją drogą, zachodzę w głowę, jak to mogło być, żeby Jaruzelskiego wybrano „półgłosem”? Niech pani powie, pani taka mądra!

– Pani Zosiu, to są zawiłe wyliczanki sejmowe. Ja się nie bardzo na tym znam. Półgłosem czy całym, ale go wybrali, zawsze to coś. A teraz muszę już iść, bo mam huk roboty.

– Pani to jedyna taka porządna sąsiadka i dobra. Inni to mnie z daleka omijają. Stary człowiek już całkiem się nie liczy. Smutna dola człowieka na stare lata! A słyszała kochana pani, że kartki na jedzenie mają znieść? Że to już podobno ostatni miesiąc, a od sierpnia szlus. Koniec. To już chyba wtedy przyjdzie z głodu umrzeć. Teraz i na kartki trudno cokolwiek kupić.

– Niech pani się nie martwi na zapas, jakoś to będzie. Do widzenia, pani Zosiu!

– I wie pani, noga mnie boli, ledwo chodzę.

– Jakby pani trzeba było coś kupić, to proszę powiedzieć. Pomogę albo Adama wyślemy.

– Moja kochana pani sąsiadko, zawsze panią lubiłam, bo z pani to dobry człowiek.

– Do widzenia!

Teresie żal się zrobiło staruszki. Jaka była, taka była, ale jest sama i chyba bardzo jej samotność dokucza. A i zdrowie już nie to. Zaczęła energicznie układać produkty. Musi się śpieszyć, żeby na osiemnastą zdążyć do Róży. Szkoda, że nie na spotkanie z Ksawerym. Ale cóż, on nie dzwoni. Widać tak być musi.

Gdy otworzyła furtkę do ogródka Róży, wydało jej się, że słyszy głęboki, spokojny głos Ksawerego. Pomyślała, że chyba ma już kręcka na jego punkcie. Doszła do tarasu z drugiej strony domku i nogi się pod nią ugięły. Przy stoliku siedziało całe towarzystwo, a wśród nich także on! Wszyscy poderwali się na jej widok. Pierwszy dopadł do niej Marcel.

– Witam cię, kochana kuzynko! Pozwól, że przedstawię ci Klarcię, moją dziewczynę.

– Bardzo mi miło, Marcel sporo o pani opowiadał.

– Jaka pani, jaka pani. Wszyscy jesteśmy w rodzinie. Moja rodzina jest rodziną Klarci! Prawda, kochanie?

– Oczywiście. Zatem witam cię, Tereso. – Klara zachowywała się spokojnie i taktownie.

Ostatni zbliżył się Ksawery.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Wreszcie on jakby się ocknął.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś! Bardzo tęskniłem. – Ucałował jej rękę.

– Pozwolisz, Rózo, że fotelik dla gościa postawię obok mojego?

Róża skinęła głową i rzuciła zaciekawione spojrzenie na Teresę.

– Wydaje mi się, moja droga, że sporo się u ciebie zmieniło, a ty nic mi nie powiedziałaś.

Teresa skromnie spuściła oczy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Wieczór upłynął w bardzo miłej atmosferze. Żegnali się serdecznie jak prawdziwi przyjaciele, żałując, że trzeba się rozstać. Marcel ucałował Teresę i szepnął jej do ucha, że bardzo mu się Ksawery podoba. Odwdzięczyła mu się, chwalać urodę i klasę Klarci. Ustalili, że spotkają się jeszcze raz przed wyjazdem ich obojga. Teresa ruszyła wolno w kierunku swojej octavii. Po chwili poczuła rękę obejmującą jej ramiona.

– Tereniu, bardzo cię proszę o spotkanie. Czy już skończyłaś tę ważną, terminową pracę i znajdziesz dla mnie trochę czasu? Muszę z tobą porozmawiać. Bardzo proszę – powtórzył.

– Zadzwoń, to się umówimy – powiedziała, wsiadając do samochodu. Jej serce znowu drżało. Nie wiedziała, z niepokoju czy radości.

Ciekawe, co tym razem ma jej do powiedzenia? Czy ponownie zaproponuje przyjaźń, a może wymyśli jeszcze coś innego? Co będzie, to będzie. Najważniejsze, że się z nim spotka.

Rankiem, jeszcze przed wyjściem Teresy do pracy, wrócił Adam. Rzucił w przedpokoju plecak i wpadł do kuchni.

– Mamciu, jestem głodny jak wilk, podróż była fatalna. Miejsc siedzących nie było, Warsu też nie. Facet rozwoził piwko, ale wiesz, że ja nie gustuję w tym napoju. A co ty, mamuś, taka śliczna jesteś? Dawno chyba cię nie widziałem i zupełnie jakby ci lat ubyło! Może się zakochałaś?

– Pogadamy, jak wrócę z pracy. Jedzenia w lodówce ci wystarczy. Muszę lecieć, bo późno.

Przez cały dzień nie mogła się skupić. Myślała tylko o jednym: co jej zaproponuje Ksawery? A może to, o czym marzyła? Nie, nie można wzbudzać w sobie takiej nadziei. Szybko wróciła do domu. Adam spał po męczącej podróży. Wymamrotał tylko, że jakiś facet telefonował i powiedział, że zadzwoni później.

Teresa wzięła się do zmywania, nastawiła pranie, coś przegryzła, a telefon milczał. Pomyślała, że zapewne o tej porze Róża już wróciła z pracy. Zadzwoni do niej i może dowie się czegoś o Ksawerym.

– Witaj, Tereska! – W głosie Róży słychać było śmiech. – Nie musisz pytać, wiem, o co ci chodzi. My z Ksawerym i jego żoną Basią poznaliśmy się dawno temu. Ksawery był tłumaczem w firmie Krzyśka. Jakoś tak przypadli sobie do gustu i zaczęliśmy się spotykać we czwórkę. Oni nie mieli dzieci, nasze już odchowane. Basia była bardzo fajna, a Ksawery – to dynamit. Ciągłe żartował,

śmiał się, opowiadał dowcipy, po prostu iskra. Niestety, kiedy się okazało, że Basia zachorowała na raka, przygasł i posmutniał. To już nie był ten sam człowiek, a kiedy jakieś trzy lata temu Basia umarła, jeszcze bardziej się zmienił. Nic go nie interesowało. Siedział w tym swoim domku jak borsuk w jamie. Powiedział kiedyś, że chce sprzedać samochód Basi. Krzysiek widział, jakim rzęchem jeździsz, dlatego zaraz pomyślał o tobie, a że oboje jesteście samotni, więc może udałoby się jakąś iskrę między wami wykrzesać. No i co? Jak zadzwoniłam dzień przed naszym wczorajszym spotkaniem, to słuchać nie chciał. Ale jak powiedziałam, że ty będziesz, od razu się zgodził. Jakieś czary czy co? Teresa, widziałam, jak on na ciebie patrzy. Słuchaj, on się w tobie regularnie zakochał! Kończę, bo obiad muszę nastawiać. Dzwoni, jak będziesz miała coś ciekawego. I jeszcze jedno, on nieźle stoi finansowo. Pochodzi z rodziny, która z dziada pradziada posiadała jakiś majątek pod Skierniewicami. Może nawet znasz taką wieś? Zdaje się, Wólka Podleśna czy jakoś tak. Po wojnie ich rozparcelowali, ale sporo jeszcze zostało. Tak więc nie lekceważ takiej partii. Cześć!

Teresa nie zdołała nawet słowa wtrącić. Ale ta Róża ma gadane. Tyle jej opowiedziała, wszystko bardzo ciekawe. Usiadła w fotelu przy kawie. Czas włókł się niemiłosiernie. Straciła już nadzieję, że to Ksawery dzwonił. Była osiemnasta, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Kiedy otworzyła, najpierw zobaczyła bukiet czerwonych róż, a potem jego. Spokojnym ruchem położył kwiaty na stoliku i objął ją delikatnie. Przytuliła się do niego całym ciałem, przymknęła oczy, poczuła jego usta. A więc działo się to, na co tak długo czekała, o czym marzyła i śniła.

– Ksawery! Ksawery! – powtarzała w krótkich przerwach między pocałunkami.

– Kochanie, zawładnąłś mną, wciąż myślę i marzę tylko o tobie.

Delikatnie wysunęła się z jego objęć.

– Wejźmy do salonu. Rano wrócił Adam, śpi u siebie. Nie chciałabym, żeby się obudził. I kwiaty muszę włożyć do wazonu.

Usiadła w fotelu. Ksawery klęknął obok i ujął jej obie dłonie. Pochylił się i je ucałował. Popatrzył jej w oczy.

– Tereniu, Tesiuniu, rzuciłaś na mnie jakiś czar. Chciałbym wciąż być przy tobie. Wierz mi, broniłem się przed tym uczuciem, teraz jednak jestem go pewien. Pojedźmy gdzieś razem. Poznamy się lepiej, bo przecież ty mnie prawie wcale nie znasz. Zorientujesz się, czy mogłabyś polubić takiego smutnego odludka. Jędrzej, mój stary przyjaciel, ma w Bieszczadach miłą chatkę. Dokoła zieleń, szmerze strumyczek, śpiewają ptaszki, czasem wilk zawyje. Z okien widać Zalew Soliński. Moglibyśmy tam zostać, jak długo zechcemy. Oczywiście, jak długo ty zechcesz, a może inaczej, jak długo ze mną wytrzymasz. Co ty na to? To nie będzie dla ciebie krępujące. Są dwa pokoiki. Jeden będziesz miała do swojej dyspozycji. W drugim jest kuchenka, więc będę zapraszał cię na śniadania.

Poczuła się dziwnie, jakby jej się to śniło. Przez chwilę milczała, oszołomiona. Nagle usłyszała swój głos:

– Ksawery! Tak długo czekałam na ciebie. Tak długo!

Pochyliła się, objęła jego głowę i całowała, całowała, całowała...

Teresę ogarnęła przedwyjazdowa gorączka. Tyle było spraw do załatwienia. Najważniejsza to urlop. Napisała podanie z prośbą o sześć dni i z bijącym sercem weszła do dyrektora, niosąc papier w ręce. Patrząc na szefa, pomyślała, że jej szczęście zależy od tego człowieka. Co on może wiedzieć o jej uczuciach, o tym, co ją czeka? Jednak te obawy okazały się bezpodstawne. Po sukcesie jej wydziału dyrektor okazał się bardzo przychylny i bez słowa podpisał podanie.

– A jak z pracą działu, z obowiązkami pracowników?

– Odpowiedzialny za wszystko będzie pan Stanisław. Mam zaufanie do jego wiedzy, a przy tym cieszy się sporym autorytetem wśród kolegów. Wszystkie sprawy załatwiane są na bieżąco. Myślę, że praca nie ucierpi zbyt podczas mojej nieobecności.

– Życzę miłego urlopu. Zapewne pani gdzieś wyjeżdża, wobec tego życzę także pogody i wspaniałego odpoczynku.

– Bardzo dziękuję. Zgłoszę się zaraz po powrocie.

– A więc do zobaczenia.

Spadł jej ciężar z serca, urlop załatwiony. Teraz szykowanie garderoby. A to już problem. Dres, kurtka, bo może być zimno, wygodne buty, bluzki, bielizna. Powinna chyba wziąć coś lepszego na nastrojową kolację, a może Ksawery porwie ją gdzieś do eleganckiego lokalu? Trudno to przewidzieć. No i jeszcze jakieś jedzenie. Ksawery zapewnił ją, że przygotuje wszystko, a gdyby czegoś zabrakło, podjadą do jakiegoś sklepu i dokupią, co potrzeba. Schowała do torby powleczenia na pościel, bo nie wiadomo, jak tam jest. Jeszcze ręczniki, ściereczki, niewielki obrusik. Łada, chociaż pakowna, będzie nieźle obciążona. Ale dobrze mieć ze sobą potrzebne rzeczy, wtedy wyjazd jest udany. A jaki ten będzie?

Powinna iść do swojej fryzjerki, podciąć włosy, bo przecież nie chce rano wyglądać jak podskubana wrona. I musi jeszcze ugotować jakieś jedzenie dla Adama. Chociaż na kilka pierwszych dni. Potem będzie sobie radził sam. No i najważniejsze, trzeba choć na chwilę wpaść do mamy do Skierniewic. Sprawdzić, jak się czuje bez Gienia. Ale on chyba już niedługo wróci z tego sanatorium. Teresa zupełnie nie wiedziała, jak sobie da radę z tym wszystkim!

Niby taki krótki romantyczny wypad, a tu tyle do zrobienia! Nieraz patrzyła, jak Adam szykował się do wyjazdu w góry. Zajmowało mu to około dwudziestu minut. Jednak młodość jest piękna!

Niedzielny obiad u Klickich był jak zwykle przemiły. Oboje gospodarze prześcigali się w uprzejmości, czuła się jak w domu. Czesław prawie chciał ją nosić na rękach. Opowiedziała im o spotkaniu z Marcelem i Klarą, wychwalała oboje, zwłaszcza ją, bo Marcel to jednak szalapat, ale bardzo miły. Małgosia zapytała Teresę o pokrewieństwo łączące ją z Marcelem. Nie było łatwo rozwikłać pokrętne losy przodków. Stało na tym, że Teresa i Marcel mieli wspólnego dziadka – Franciszka Szymczaka.

– Ale to nie ma znaczenia, bardzo go lubię i uważam za prawdziwego brata, tym bardziej że nie mam rodzeństwa.

– Powiedz, Tereniu, co u Janusza? Dawno go nie widzieliśmy.

– U Janusza? – Zawahała się chwilę. – Właściwie nie bardzo wiem. Od jakiegoś czasu nasze drogi się rozeszły.

– Co ty mówisz?! A wyglądaliście na taką dobraną parę! No, ale to nie nasza sprawa.

– Czasem los płać człowiekowi figle. Możemy być pewni tylko tego, co za nami, a przed nami – wielka niewiadoma.

– Prawdę mówisz, Tereniu. Masz rację.

Zaczęli rozmawiać o dzieciach. Oglądali zdjęcia. Tomuś to już prawdziwy facet. Skończył przecież trzy latka. Kochany malec! Podobny do Ewy. Ma czarne, uśmiechnięte oczka. I jest taki pogodny.

– A teraz niespodzianka! Dostaliśmy wczoraj list ze Stanów i czekaliśmy na ciebie, żeby razem przeczytać.

– Kochani jesteście. To dla mnie ogromna radość. Czytaj, Małgosiu, czytaj prędko.

Kochani Rodzice!

Nie rozpieszczamy was naszymi listami. Ale co tu pisać? Życie płynie jak wszędzie. Codzienne obowiązki, troski, ale i przyjemności. Tomek rośnie. Dzieci w przedszkolu mówią na niego Tom lub Tommy. Brzmi to bardzo śmiesznie, ale co tam, tak musi być. Jurek z pracy coraz bardziej zadowolony, nawet odniósł już pewne sukcesy. Ja też pracuję. Co prawda trochę zwolniłam tempo, ale to przejściowa sprawa. Zmieniliśmy mieszkanie na większe, bo chcemy się wygodnie urządzić. Mamy spory salon, jak tu mówią, living room, i trzy sypialnie. W jednej śpi Tomuś, w drugiej my, a w trzeciej zamieszka siostrzyczka Tomusia, która urodzi się za cztery miesiące! Jesteśmy wszyscy, łącznie z małym, przeszczęśliwi. A kochani podwójni dziadkowie co na to? Zaskoczeni? Ale chyba się ucieszycie. Do babci Tereski też wysłaliśmy list z radosną nowiną. Teraz czekamy na odpowiedzi od was. Ściskamy, całujemy, a ten zakrętas na dole to własnoręczny

obrazek Tomcia. Powiedział, że to samochód. Sami osądźcie, jakiego zdolnego wnuczka macie!

Wasze dzieci

(czyli cała trójka +)

Przez dobrą chwilę panowała cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Obejmowali się i całowali. Babciom kapały łzy radości.

Wieczorem do Teresy wpadła jak bomba Marysia. Już od drzwi wołała:

– Tereska, jaka ty jesteś mądra! Córki mi pomogły. Znalazły Antosia. To nie jest zły człowiek. Wpłacił jednak te moje pieniądze do banku, chociaż trochę, tylko troszeczkę, sobie zostawił. Nic dziwnego, chciał się poczuć przy forsie. Wpadł do kolegi, przyszło jeszcze kilku i Antoś postawił wszystkim. Wypili, ale jemu na zdrowie nie poszło. Zaczął bełkotać i prawie z krzesła spadł. Na tyle byli przytomni, a może to żona tego kolegi się zorientowała, że coś jest nie tak, że wezwali pogotowie. W szpitalu okazało się, że miał wylew i będzie musiał poleżeć. Ci kumple nie wiedzieli o mnie i dlatego nie dali znać. Ale wszystko dobrze się skończyło. Antoś czuje się już lepiej. Nie mogę mieć do niego pretensji, po prostu choroba zwała go z nóg. Najważniejsze, że będzie żył i pieniądze nie przepadły. I to wszystko dzięki tobie, Tereska. To ty mnie oświeciłaś, co robić, bo ja to prawie chciałam siekierę łąpać i głowę mu uciąć z tej złości. Oczywiście jakbym go znalazła! Bardzo ci, kochana, dziękuję, muszę już lecieć, bo chcę jeszcze do Antosia zajrzeć.

Powiedziała to wszystko jednym tchem, stojąc przy drzwiach.

Taka sama gaduła jak Róża, pomyślała Teresa.

– Wejdz dalej. Zaraz zrobię herbaty.

– To może kiedy indziej. Dziękuję. Do widzenia!

Zakręciła się jak fryga i tyle ją Teresa widziała. Dobrze, że ta afera jakoś nieźle się skończyła. Choć jeszcze nie wiadomo, co będzie dalej z tym Antonim. Ale trudno, będzie, co ma być. Teresa tylko jedno teraz miała w głowie. Za kilka dni jedzie z Ksawerym w góry!

Późnym wieczorem wrócił Adam. Powiedziała mu, że Ewa niedługo urodzi córeczkę i że zostaje sam na gospodarstwie, bo ona wyjeżdża w Bieszczady.

– Mamciu, poczekaj! A skąd wiadomo, że to będzie córeczka?

– Mają tam widać sposoby, żeby to ustalić.

– To fajnie, bardzo się cieszę. Może mnie na chrzciny zaproszą? Ale powiedz, mamus, jak ty sobie sama dasz radę w tych górach? Może jechać z tobą?

– Nie będę sama, mam towarzysza podróży, miłego i zaradnego. Myślę, że

będzie wspaniale. Jedziemy do jego znajomych – powiedziała, trochę mijając się z prawdą. – A jak wrócimy i wszystko ułoży się po mojej myśli, to ci go przedstawię. OK?

– No, oczywiście. Jesteś przecież dużą dziewczynką i wiesz, co robisz. Nie będę udzielał ci przestroż. Wierzę w twój rozum i kobiecą intuicję. Cieszę się, że pobędziesz trochę w najpiękniejszym miejscu na ziemi.

Pogłaskała syna po głowie.

– Mój kochany mądrała!

W BIESZCZADACH

Jechali bez pośpiechu. Asfalt był pełen dziur i mimo że łąda miała niezłe amortyzatory, trzęsło ich od czasu do czasu. Ksawery prowadził spokojnie. Teresa rozglądała się dookoła. Dość rzadko bywała poza Warszawą i brakowało jej szerokiej przestrzeni, takiej aż po horyzont. Teraz mogła się cieszyć nieskazitelnym błękitem. Pola wydawały się trochę smutne, ale przecież było już dawno po zbiorach. Wprawdzie zieleń wyglądała jeszcze świeżo, jednak powietrze zaczynało już pachnieć jesienią. Na łąkach pasły się stada krów.

Mijali wsie i miasteczka, może i malownicze, lecz dość biedne. Niektóre domy przypominały bardziej rudery niż ludzkie siedziby. Drewniane, połamane płoty, tu i ówdzie strzechy, pozapadane dachy. Smutno wyglądała ta polska prowincja.

Zatrzymali się w Kielcach, żeby rozprostować nogi i coś zjeść. Zanim wysiedli z samochodu, Teresa powiedziała, że zaprasza Ksawerego na obiad.

– Tesiuniu, nie ma mowy. Jesteś i przez cały czas będziesz moim drogim gościem. Nie psuj mi tej przyjemności. Zostawmy sprawy finansowe gdzieś za nami. Jesteś moją cudowną towarzyszką podróży. Bardzo cię proszę, nie mówmy więcej na ten temat. Sprawa zamknięta.

Popatrzył na nią czule, odgarnął niewielki kosmyk włosów z jej czoła, a potem objął ją i pocałował.

– Czy mogę liczyć, że definitywnie zakończyliśmy tę kwestię? – zapytał.

– Pod warunkiem że powtórzysz zakończenie.

– Tesiuniu!

Było już prawie ciemno, gdy dojechali do domku Jędrzeja. Sporo czasu zajęło im wielokrotne zatrzymywanie samochodu i powtarzanie „zakończenia kwestii”. Całowali się aż do utraty tchu.

Klucz znaleźli w niewielkim zagłębieniu pod dachem, nie pod wycieraczką, bo takowej tu nie było. Wnętrze domku przedstawiało się skromnie. Ksawery zapalił lampę zasilaną z akumulatora. Pokoiki, czy też może raczej izdebki, były rzeczywiście dwa. Niewielkie. W każdym wąskie posłanie i kilka prostych sprzętów.

– Łazienka lub coś, co można tak nazwać, znajduje się na zewnątrz. To największy mankament tego „apartamentu”!

– Ksawery, przez pierwsze dwadzieścia lat mieszkałam w takich warunkach. Nie przejmuj się, będzie dobrze!

– To może teraz rozpakujemy zapasy i przygotujemy małą kolacyjkę? A potem będzie, co zechcesz, co postanowisz.

– Kochanie, mam pewien plan, ale szczegóły zdradzę po kolacji, bo jestem piekielnie głodna. Chyba to górskie powietrze tak działa, a może po prostu szczęście?

Porwał ją na ręce i... zapomnieli o głodzie i o kolacji. Lampa zgasła, a oni nawet tego nie zauważyli.

Teresa otworzyła oczy, ale i tak nic nie widziała. Wokoło panowała absolutna ciemność. Obok niej ktoś spał, oddychając rytmicznie. Wolniutko wysunęła rękę i dotknęła twarzy, a właściwie brody. Ksawery! Uśmiechnęła się i przytuliła do niego. Na wąskim łóżku było ciasno. Czyste, górskie powietrze sprawiło, że trochę zmarzła. Ksawery odruchowo, przez sen, naciągnął na nią przykrycie i otoczył ją ramieniem. Od razu poczuła się lepiej.

Powoli wracały niedawne chwile. Teresa kontemplowała każdy jego gest, każdy dotyk, każdą pieszczotę. Przecież nie był pierwszym mężczyzną w jej życiu. A jednak nie można było porównywać tego, co z nim przeżyła, z tamtymi doznaniem. Czy to nie dziwne, żeby zbliżająca się do pięćdziesiątki kobieta była w stanie tak reagować? Niemal popadać w ekstazę? Tak się zatracić? Z zamyślenia wyrwał ją głos Ksawerego:

– Kochanie, już nie śpisz? Bardzo ci niewygodnie? Zaraz uciekam od ciebie i zostawię całe łóżko do twojej dyspozycji.

– Dlaczego mówisz za mnie? Czy słyszałeś, żebym narzekała, mówiła, że jest mi ciasno albo niewygodnie? Ani mi się waży stąd ruszać. Chcę ci troszkę podokuczać! Muszę zrewanżować się za to, co robiłeś!!!

– Dokuczaj, dokuczaj, rób, co chcesz, kocham wszystko, co robisz. Ciebie kocham! Tesiuńka, moja maleńka, słodka dziewczyno...

Gładziła jego brodę, meszek na piersiach, uszy, usta. Nadal było ciemno, więc nie warto było wstawać, a poza tym oboje mieli „pełne ręce roboty”. Słońce było już wysoko, gdy postanowili się podnieść i jednak coś zjeść. Nie jedli kolacji, a całonocne igraszki sprawiły, że burczało im w brzuchach, co bardzo ich rozśmieszało. Ksawery zagotował wodę na herbatę, Teresa zrobiła kanapki i zmęczeni, ale bardzo szczęśliwi, zasiedli do jedzenia. Patrzyli na siebie rozpromienionymi oczami, niewiele mówili, uśmiechali się tylko i pochłaniali kolejne kromki.

– Kochanie, niestety, łazienka jest, jak wspominałem, na zewnątrz, to znaczy trzeba wyjść z domku i tam, na tyłach, jest taka mała przybudówka. Myślę, że znajdziesz w niej wszystko, co ci będzie potrzebne. A jeśli chodzi o kąpiel, to chyba pojedziemy nad zalew albo do jakiegoś hotelu. Tu, w strumyku, jest pięciogwiazdkowa myjnia, jak to określa Jędrzej. – Ksawery roześmiał się serdecznie, z całego serca. Nie słyszała dotąd, żeby śmiał się w głos. – Ale nie

wiem, czy ci ją polecać, bo woda zimna, źródłana.

– Wiesz co, jakoś czarno widzę tę wspaniałą łazienkę. Ale cóż, nie ma innej rady. Spróbujmy.

– A czy mógłbym zaproponować krótki odpoczynek po śniadaniu?

– Jestem za!

– Nie wiem tylko, czy jedno łóżko do odpoczynku nam wystarczy. A może przyniosę drugie, będzie wygodniej.

– W nocy wystarczyło jedno, to i teraz wystarczy.

– Ach, ty moja kochana! Czytasz w moich myślach.

Usiadł obok niej i zaczął gładzić jej włosy, szyję, całować ręce, kolejno wszystkie palce i wnętrza dłoni. Teresa siedziała jak zaczarowana. Czy to aby nie sen? Czy tak może być naprawdę? I znowu kochali się jak szaleni. Postanowili nie wychodzić z łóżka, aż zgłodnieją.

Późnym popołudniem wsiedli do łady i pojechali do Polańczyka. Ksawery świetnie znał te okolice. Jechał pewnie po wąskich, nieoznakowanych drogach. Z zachwytem patrzyła na jego opanowane ruchy.

– Wiesz, Ksawuniu, jestem bardzo szczęśliwa.

– Jak powiedziałaś?

– Gniewasz się? Ksawuniu, Ksaweruniu, Wuniu! Jak jeszcze można zdrabniać twoje arystokratyczne imię?

– Nie żartuj! W dzieciństwie wszyscy w domu tak do mnie mówili!

– A ja zawsze byłam po prostu Teresa.

– Za to teraz jesteś moją Tesiunią, Tereńką, Teśką, Tesiulką! Jak wolisz?

– Każda forma jest dobra, kiedy ty tak mówisz. Najważniejsze, że – twoją.

Zatrzymał samochód i objął ją mocno.

– To nadzwyczajne, żeby w tak krótkim czasie tak się dać oczarować, opętać, tak pokochać!

– Czy naprawdę musimy jechać do tego Polańczyka, czy nie milej by nam było w naszym domeczku?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem! Zawracamy.

Gdy dotarli do domku, Ksawery wziął Teresę za rękę.

– Kochanie, chciałbym ci coś pokazać. Przejdźmy kawałek, za te krzaki, to coś zobaczysz.

Ujrawszy widok za krzewami, Teresa aż westchnęła z zachwytem. U ich stóp rozciągał się ogromny Zalew Soliński. Na przeciwległym brzegu wierzchołki gór zacięły już lustro wody. Słońce się schowało, ale na rozświetlonym niebie tu i ówdzie jeszcze różowiał niewielki obłoczek. Lekko pomarszczona powierzchnia zalewu wiernie odbijała ten obraz. Zieleń wokół nich była jasna, dalej jednak wydawała się ciemniejsza, tworzyła prawie czarną ramę dla wielkiej wody. Na prawo widać było most na zaporze i spacerujących po nim ludzi. U jej końca

ogromna, stroma skała tworzyła przyczółek. Nawet z tej odległości wyglądała surowo i groźnie, nie porastała jej prawie żadna roślinność, gdzieniegdzie tylko widać było kępkę zieleni. Skała tkwiła jak wielki potwór pilnujący wstępu do swojego królestwa.

Teresa objęła Ksawerego i przytuliła się do niego mocno.

– Tu jest prawie tak, jak Mickiewicz opisał w *Świtezii!* „Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą, i dwa obaczysz księżycy...”. Co prawda, widać tylko cieniutki rogalik, ale ten krajobraz to prawdziwe чудо. Dziękuję ci, kochany, dziękuję, że mogłam to zobaczyć. Nie dziwię się, że Adam żyć bez tych gór nie umie.

– Tesiuniu, jak zmarła Baśka... Przepraszam, może nie chcesz, żebym o tym mówił...

– Ksawery, ja też przeżyłam stratę ukochanej osoby. Rozumiem cię lepiej, niż myślisz. Mów.

– Baśkę poznałem na studiach. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Pobraliśmy się i nasze życie biegło w zgodzie i zrozumieniu. Kiedy odeszła, nie mogłem dać sobie rady. Wtedy pierwsze miesiące spędziłem w górach. Tylko wysiłek fizyczny i kontakt z ludźmi, nawet obcymi, pozwalały mi oderwać się od mojego nieszczęścia. Minęły trzy lata, a ja wciąż stroniłem od spotkań towarzyskich i rozrywek. Dopiero ty, ty mnie odmieniłaś! Choć nie jestem wierzący, to czasem wydaje mi się, że to wstawiennictwo Baśki do najwyższych instancji niebieskich sprawiło, że cię spotkałem. Kiedy przyjechałaś z Krzyżkiem, taka cicha, jakby trochę speszona, moje serce drgnęło. Dalszego ciągu nie będę ci opowiadał, bo znasz. Wszystko potoczyło się jak górską lawinę, przed którą nie było ratunku ani ucieczki.

– Ksawery, mówisz to samo, co ja mogłabym powiedzieć tobie. Żyję bez Jana więcej niż dziesięć lat, a wciąż przy mnie był, wciąż o nim myślałam. Ostatnio kręcił się koło mnie Janusz. Miły człowiek, ale to jeszcze nie było to. Kiedy zobaczyłam ciebie, jakby mnie coś poraziło. Czy ty wiesz, że ja, dorosła kobieta, dająca sobie radę w trudnych sytuacjach, nie potrafiłam trzech słów złożyć, żeby odpowiedzieć na twoje proste pytania? Nie wiem, może to Amor z kołczanem czyhał na nas i jedną strzałą przeszył nasze serca?

– Ach, ty moja romantyczko!

Widząc uśmiech na jego twarzy, Teresa mówiła dalej:

– Tak, bo to jakieś niezwykle moce sprawiły, że pokochałam cię od pierwszego dnia. Tylko martwiłam się, co będzie dalej z tą moją miłością.

Ksawery objął ją i wolno wrócili do domku. Postanowili zjeść kolację i dla uczczenia cudownego wieczoru wznieść toast przywiezionym z Warszawy winem.

W nocy Teresa dostała dreszczy. Ksawery otulał ją, przykrył drugim kocem, obejmował. Czuł, jaka była rozpalona. Zapalił świecę. W jej blasku zobaczył spoconą, zaczerwienioną twarz Teresy.

– Kochanie, tak mi jakoś dziwnie. Źle się czuję, kręci mi się w głowie.
Znalazł w apteczce termometr. Miała wysoką gorączkę, prawie czterdzieści stopni. Popatrzył bezradnie na Teresę. Nie bardzo wiedział, co robić.

– Ksawery!

– Słucham cię, skarbie.

– Popatrz, jak tu jest pięknie... Jaka wielka ta woda! Tak mi dobrze przy tobie. Zawołaj Adasia, muszę mu coś powiedzieć.

Szeptała coś niezbyt wyraźnie, co chwila przerywając, jakby brakowało jej tchu.

– Tereniu! Co ty mówisz? Tylko ja tu jestem. Jesteśmy w Bieszczadach. Co ci jest? Czy coś cię boli? Jak ci pomóc? Kochanie, ty majaczysz. Co się dzieje?

Przez chwilę nie mógł zebrać myśli. Wreszcie zdołał się otrząsnąć z ogarniającej go paniki. Musi zawieźć Teresę do doktora!

Nagle zaczęła gwałtownie kaszleć. W przerwach oddychała z trudem. Ksawery otulił ją kołdrą i wyniósł do samochodu.

– Kochanie, jedziemy. Będzie dobrze! – pocieszał bardziej siebie niż Teresę, która całkiem straciła kontakt z rzeczywistością.

Zastanawiał się przez chwilę, gdzie najbliższej może być jakiś lekarz. Chyba w Polańczyku. Tam są ludzie, telefony, ktoś pomoże!

Teresa znowu zaczęła mówić coś od rzeczy. Jechał szybko, starając się pilnować drogi. Wiedział, że cenny czas ucieka. Patrzył na Teresę z niepokojem. Leżała na rozłożonym przednim siedzeniu, kołysząc się bezwładnie w obie strony. Co chwila męczył ją suchy kaszel.

Do Polańczyka było tylko kilka kilometrów, ale Ksaweremu droga wydawała się nieskończenie długa. Wreszcie błysnęły jakieś światła. Podjechał pod pierwsze sanatorium i wbiegł do portierni. Żarzyła się tu mała żarówka, ledwo widać było zarysy mebli.

– Czy jest tu ktoś? Proszę mi pomóc, mam ciężko chorą w samochodzie. Czy jest tu lekarz?

Zaspana portierka popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Niech pan nie krzyczy, lekarza teraz nie ma. Przychodzi do pracy dopiero rano. A co się dzieje?

Ksawery zignorował pytanie.

– A jest tu telefon? Muszę zadzwonić po pogotowie!

– Stoi, niech pan dzwoni.

Po kilku próbach usłyszał w słuchawce zaspany głos. Szybko powiedział o stanie Teresy.

– Niech pan czeka, karetka jest w terenie, jak wróci, to pojedzie, a gdzie pan właściwie jest? Jak pan się nazywa? A pacjentka to kto dla pana?

– Żona!

- A jak nazywa się to sanatorium?
- Polonia.
- Spokojnie! Proszę czekać. Niedługo będziemy.

Ksawery przyniósł Teresę do holu, posadził na jakimś fotelu i położył jej zimny kompres na czole.

- Kochanie, jak się czujesz?

Otworzyła oczy.

– Ksawery! Mój najmilszy! Jesteś – wyszeptała i znowu zapadła w stan półświadomości.

Czas włókł się niemiłosiernie. Wiszący na ścianie zegar jakby zastygł w bezruchu. Wskazówki przesuwają się w ślimaczym tempie. Wreszcie dał się słyszeć warkot samochodu. Do holu wszedł mężczyzna w białym kitlu.

- Co tam? Co się dzieje?

Ksawery powiedział o kaszlu, temperaturze i utracie przytomności.

Lekarz osłuchiwał Teresę, zaaplikował jej zastrzyk na obniżenie gorączki i powiedział, że to może być zapalenie płuc i najlepiej zawieźć chorą do najbliższego szpitala, to znaczy do Sanoka. Sanitariusze zabrali ją na noszach do karetki. Ksawery wszedł do swojego samochodu i pojechali.

Siedział na szpitalnym korytarzu i czekał. Jakiś czas był w sali, przy Teresie. Po lekach uspokoiła się, rzadziej pokasływała, oddychała swobodniej, aż wreszcie spokojnie zasnęła. Pielęgniarka kazała mu wyjść, żeby pacjentce nie przeszkadzać. Siedział więc i czekał jak na ogłoszenie wyroku. Wiedział, że gdyby się obudziła i zawołała, toby ją usłyszał, więc nasłuchiwał. Czuwał. Oparł głowę o ścianę, lecz sen nie chciał nadejść. Do głowy cisnęły się wspomnienia, jak kiedyś siedział przy Bańce i też czekał, co los przyniesie. To były okropne chwile. Chyba jednak się zdrzemnął, bo nagle obudził go cichy głos Teresy:

- Ksawuniu!

Szybko wszedł do pokoju.

- Jestem, moja Tesiulko kochana!

- Co się stało? Gdzie ja jestem?

– Musiałem przywieźć cię do szpitala, bo miałaś bardzo wysoką gorączkę. Ale już jest dobrze. Wracasz do siebie.

- Bardzo jestem słaba. Co to za choroba?

- Rano przyjdzie lekarz, zrobią ci badania i wtedy dowiemy się wszystkiego.

- I wypiszą mnie? – spytała jak rozkapryszone dziecko.

- Też bym tego pragnął. Ale zobaczymy.

Głaskał i całował jej ręce.

- Nigdy dotąd nie byłam taka chora.

– Nie myśl już o tym. Wszystko będzie dobrze. Najważniejsze, że gorączka spadła i jesteś przytomna.

Jednak lekarz po dokładnym badaniu stwierdził, że pacjentka musi jeszcze trochę zostać w szpitalu.

– Może dwa, trzy dni – powiedział. – Na szczęście to nie zapalenie płuc, tylko tak zwana trzypniówka, na którą najczęściej zapadają dzieci, ale czasem zdarza się też zachorować dorosłej osobie. Być może zmiana klimatu lub jakieś emocje osłabiły odporność organizmu. Nie ma obawy, wszystko będzie dobrze.

– Tesiuniu, może czegoś potrzebujesz? Może masz ochotę na coś smacznego lub coś do picia?

– Nie, moje słoneczko. Nic mi nie trzeba. A gdzie ty spędziłeś noc?

– Tu, przy tobie.

– To znaczy, że nie spałeś?

– Tylko trochę drzemałem.

– To teraz jedź do naszego domku, dobrze się wyśpij i odpocznij, a potem, jak będziesz miał ochotę, wróc do mnie. Czysta bielizna by mi się przydała. Tylko błagam cię, jedź ostrożnie!

– Będzie, jak sobie życzysz, moje szczęście. Ale jesteś pewna, że możesz zostać tu sama, beze mnie?

– Tak! Jestem pod dobrą opieką – zapewniła go z uśmiechem.

I znów, jak przed tygodniem, jechali wśród zieleni. Krajobraz był cudowny. Zalesione, łagodne wzniesienia otaczały wijącą się drogę, niestety, powrotną. Wzniesienia były coraz niższe. Wokół już tylko pola i łąki. Ale słońko przygrzewało i było bardzo pięknie.

– Popsułam nasz wypad w góry. Miało być wspaniale, mieliśmy się bliżej poznać, a tu nic z tego.

– Teśka! – W głosie Ksawerego zabrzmiało oburzenie. – Więc ty uważasz, że ta podróż nie spełniła naszych oczekiwań? A kiedy ludzie poznają się lepiej niż w trudnej czy niebezpiecznej chwili? Czy nosiłbym cię na rękach, gdybyś cały czas była zdrowa i mną dyrygowała? A choroba przychodzi, kiedy chce. Na szczęście nie była zbyt poważna, choć przyznam, że jak zaczęłaś majaczyć, to ogarnęło mnie przerażenie. Noc, pustka, a moje szczęście leży z wysoką gorączką! To był sprawdzian. Próba! Zdaliśmy ją, mam wrażenie, na piątkę. Jesteś dzielną dziewczynką. Byłaś opanowana i prawie wcale nie marudziłaś.

– Ach, ty brzydalu! Jak to prawie wcale? Byłam po prostu tak spokojna jak Sfinks.

– Moja kochana, za chwilę czeka cię nagroda za to wszystko, co przeszłaś. Tu niedaleko jest karczma, w której serwują różne smakołyki. Jesteś zdrowa, nie

ma przeciwwskazań, możesz jeść wszystko, na co masz ochotę, więc porywam cię do karczmy!

Teresa przytuliła się do Ksawerego.

– Mój ty rycerzu, opiekunie i okropny uwodzicielu! To ty jesteś dla mnie najwspanialszym smakołykiem.

– Trochę niekonsekwentne te pochlebstwa.

– Czy ty wiesz, że dzisiaj mijają trzy miesiące, jak się poznaliśmy? Wtedy nawet marzyć nie mogłam o takiej chwili jak ta!

Ksawery zatrzymał samochód. Przejeżdżający kierowcy bez większego zdziwienia spoglądali na parę, która w stojącym na poboczu aucie zapomniała o bożym świecie.

Adam siedział w kuchni przy stole i wprost z patelni pałaszował jajecznicę. Trochę się speszył na widok matki wchodzącej z jakimś mężczyzną do mieszkania.

– Witaj, synku! Co? Zabrakło czystych talerzy?

– Nie! Tylko bardzo mi się śpieszy i dlatego tak wyszło. Trochę głupio, przyznam!

– Ksawery, pozwól, to jest Adam, mój dorosły, choć chyba nie całkiem, syn. Panowie podali sobie ręce, a potem Adam cmoknął Teresę w policzek.

– Mamuś, co tam w Bieszczadach? Jak ci się podobało?

– Opowiem ci później, teraz zrobię herbatę. Chwilę posiedzimy z Ksawerym, a potem się rozpakuję. Mam nadzieję, że wieczorem będziesz w domu?

– Tak! To biegnę, bo już jestem spóźniony. Jak wrócę, to posprzątam. Do widzenia panu.

– No i widzisz, tak to jest z dziećmi. Ale dobrze, że się poznaliście. Jak to się mówi: „Pierwsze koty za płoty”. – Teresa spojrzała na Ksawerego z niepewną miną.

– Dużo bym dał, żeby mieć takiego syna.

Przytuliła się do niego.

– Smutno mi będzie bez ciebie. Dzwon i przyjeżdżaj, kiedy tylko będziesz miał czas i, oczywiście, ochotę. Dziękuję za cudowne Bieszczady, za Wielką Pętlę, Cisnę, Połoninę Wetlińską, kolejkę wąskotorową, za naszą bajkową, drewnianą chałupkę, za Solinę. Za wszystko! No i jeszcze za uratowanie mi życia. Nie wypłacę ci się!

– Tereńku, to ja jestem twoim dłużnikiem. Dzięki tobie przeżyłem bajkę. Kochanie, pojedę już. Herbatę wypijemy następnym razem. A teraz odpoczywaj po męczącej podróży.

– Do widzenia, mój miły. Będę tęskniła.

– Ja też.

A ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ...

W skrzynce znalazła list od Ewy. Córka pisała, że wszystko w porządku, że z pewnością mamcia już wie o wnuczce, która niedługo pojawi się na świecie. Że bardzo im dobrze tutaj, gdzie są. Trochę tęsknią za Polską, ale cóż, coś za coś! W kraju wiele lat musieliby czekać na takie warunki, jakie tu mają. Tomuś ładnie mówi po polsku, a z dziećmi w przedszkolu swobodnie porozumiewa się po angielsku. Prosiła, żeby Teresa nie martwiła się, że wychowają dzieci na Amerykańców. Pilnują się! Przesyłała całusy dla babci Feli, Gienia i dla Adama też, choć napisała do niego osobny list. I to wszystko. Teresę ogarnął smutek. Ewcia, kochana dziewczynka, zaczęła powoli oddalać się od niej, od Warszawy i kraju. Serce jej się ścisnęło. Widać tak musi być.

Nazajutrz, ostatniego dnia urlopu, postanowiła jechać do Skierniewic. Droga się dłużyła. Bardzo jej brakowało siedzącego za kierownicą Ksawerego, którego mogłaby przytulić, pocałować, porozmawiać z nim! Co to za człowiek! Mądry, troskliwy, czuły, na dodatek przystojny i taki kochany.

Mknęła „gierkówką”. Gładki asfalt, jezdnia dwukierunkowa, cztery pasy ruchu. Dobrze się jechało. W Hucie Zawadzkiej skręciła do Skierniewic. Tu już droga była całkiem inna. Węższa, trochę wyboista. Ale bardzo lubiła nią jeździć. Po obu stronach stary las i kilkanaście zakrętów, jeden za drugim. Niektórzy mówili, że jest ich trzynaście, sama nigdy nie liczyła, ale jadąc tędy, czuła się jak na Pętli Bieszczadzkiej lub drodze z Kluczewa do Połczyna. Tam też jest jak na górskiej serpentynie.

Zbliżała się do Kamiona, gdy usłyszała, że silnik zaczął się krztusić, pojękiwać i po chwili zamilkł. Cholera, zakłęta w myślach. To przez Ksawerego zapomniała o bożym świecie i o paliwie też. I co teraz? Wyszła z samochodu, licząc na litościwego kierowcę, który wspomże ją na tyle, by zdołała dojechać do Skierniewic. Jednak ruch był niewielki i nikt nie kwapił się do pomocy.

Żeby czymś się zająć, otworzyła bagażnik. Oczywiście jej się okrzyki ze zdziwienia. Wśród różnych drobiazgów stał mały kanisterek. Wzięła do ręki i poczuła, że coś w nim chlupie. Szybko odkręciła zawór, z którego poczuła cudowny, najpiękniejszy w tej chwili zapach benzyny. To prezent od Ksawerego. Jak go nie kochać! Nikt nie jest tak przezorny, roztropny i taki troskliwy. Przełała paliwo do baku i ruszyła prosto do mamy.

Fela właśnie nakrywała do stołu. Postawiła niesiony talerz i podeszła do Teresy.

– Witaj, moja kochana! Tak się cieszę, że jednak przyjechałaś! Gieniu, popatrz, córcia nas odwiedziła!

Gienio spojrział na nią i uśmiechnął się krzywo. Prawą stronę twarzy miał nieruchomą, a kącik ust opuszczony. Wyglądało to bardzo smutno.

– Tereniu, Gienio też się cieszy, ale ma trudności z mówieniem, bardzo go to krępuje i woli wcale nie mówić.

– Gieniu, nie przejmuj się, wszystko minie. Jesteś silnym mężczyzną, ani się obejrzysz, będziesz biegał jak dawniej i mówił mi te twoje cudowne komplementy. Mamo, dziękuję za obiadek. Wyjechałam z domu najedzona, a muszę dbać o jaką taką linię, bo mam wspaniałego partnera!

– Opowiadaj, bardzo jestem ciekawa. Wiesz przecież, że od dawna cię namawiałam, żebyś wreszcie sobie kogoś znalazła. Kto to taki?

– Właściwie to my się nawzajem znaleźliśmy. Ale najpierw powiedz mi coś, mamo, o tym Bilskim, co to zawsze był rodzinną tajemnicą!

– Ja nie wiem zbyt dużo. Moja mama, a twoja babcia Marianna, wspomniała kiedyś, jak już miała dużo lat, że jej matka została zniewolona, tak mówiła, a po naszymu po prostu zgwałcona, przez dziedzica Bilskiego i stąd ona się wzięła na świecie.

– Zaraz, to znaczy, że ten dziedzic ją wykorzystał? I potem jej nie pomógł?! Sama musiała sobie radzić z dzieckiem! Biedna kobieta. To były czasy.

– Ciężko jej było, bo to i bieda, i ludzie spokoju nie dawali, że wdowa, bo wtedy wdową była, a urodziła dziecko. Zgorszenie i hańba. Nikomu nie powiedziała, że to dziedzic zawinił. Moja mama niechętnie wspominała dzieciństwo. Dopiero na stare lata powiedziała, że ten dziedzic nazywał się Bilski, imienia nie pamiętam, poczekaj, chyba Kazimierz mu było. A wiesz to... Tak, Wólka Podleśna. Chyba dobrze pamiętam.

– Mamusiu, mój Ksawery też się nazywa Bilski! Muszę z niego wyciągnąć coś na temat jego rodziny. Podobno pochodzi z okolic Skierniewic. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Kochana moja, nawet jak mieliście tego samego pradziadka, to co to ma do rzeczy? Takie stare dzieje. Nie przejmuj się i daj mu spokój, nie zaprzataj sobie i jemu głowy byle czym.

– Mamuś, a dlaczego Gienio ma to porażenie?

– Jak był po zawale w tym sanatorium, to przyplątał się zator, to znaczy wylew, sama już nie wiem. Nie znam się na tym. Powiedzieli lekarze, że może z czasem się poprawi, ale teraz – sama widziałaś! Żal patrzeć. Ale i tak się cieszę, że jest ze mną. Jak jesteśmy sami, to rozmawia, ale przy obcych nie chce. Wciąż się martwi, że wszystko na mnie spadło, że mi nie pomaga. Ale dam sobie przecież radę. Jeszcze mam trochę siły. Byle on do zdrowia doszedł.

– Jak coś ci, mamo, będzie potrzeba, to dzwoń, przyjadę i pomogę. A teraz już chyba wrócę do domu, bo niedługo zacznie się ściemniać. Mam wyrzuty sumienia, że wciąż zostawiam Adama samego.

– Daj spokój, przecież to już dorosły mężczyzna. A jak tam, ma jaką dziewczynę?

– Kto go tam wie? Temat tabu. Ale, ale, przywiozłam zdjęcie Tomusia. Dostałam list od Ewy. Całuje ciebie i Gienia. I jeszcze ci powiem, że niedługo Tomcio będzie miał siostrzyczkę.

– To ty taką radość na koniec zostawiłaś? Niech się szczęści Ewuni. Ale śliczny ten mój prawnuczek! Oczka mu się świecą i buzia śmieje. Żal, że jest tak daleko. A o powrocie nic Ewunia nie mówi?

– Chyba jeszcze nieprędka wrócą. Dobrze im tam.

Ucałowała matkę i Gienia, który odwrócił twarz w taki sposób, żeby nie widziała obwisłego policzka. Zdrową ręką pogłaskał głowę Teresy. Miał łzy w oczach.

– Do widzenia, Gieniu. Następnym razem, jak przyjadę, masz już chodzić!

Tylko kiwnął głową.

Podjechała do „benzynówki” i kazała wlać paliwa do pełna. Dobrze, że już kartek na paliwo nie potrzeba. I nie tylko na paliwo. Wszystko, co jest w sklepach, można było kupować bez ograniczeń. Jak to się stało, że nagle pojawiło się tyle różnorodnego towaru? Skąd się wziął? Gdzie był ukrywany i reglamentowany, czyli wydzielany na kartki? Półki w sklepach wypełniły się nie tylko artykułami przemysłowymi, ale i spożywczymi. Ciekawe, co pani Zosia by o tym powiedziała?

Teresa postanowiła zadzwonić do Danki. Dawno nie brała udziału w spotkaniach koleżeńkiego „klubu złamanych serduszek”. Wciąż coś się u niej działo, nie miała czasu. Ksawery wypełniał jej myśli. Teraz uznała, że chętnie się spotka z Danką i koleżankami. To bystre dziewczyny, na pewno zaraz wywąchają, że już nie jest sama. Opowie im o swojej miłości. Tak się nią cieszyła. Tylko czy związek z Ksawerem, układ, czy jak by to nazywać, to coś trwałego? Jak się dalej ich uczucie rozwinie, a znajomość potoczy?

Na stoliku koło telefonu zauważyła kartkę: „Zadzwoń do Ksawerego. Adam”.

Umyła ręce, zrobiła sobie herbatę i podniosła słuchawkę.

– Dzień dobry, Ksawery.

– Kochanie, dlaczego tak oficjalnie! Stęskniłem się za tobą. Myślałaś troszkę o mnie?

– Myślałam. Właściwie nawet więcej, niżbym się spodziewała. Przez całą drogę do i ze Skierniewic brakowało mi twojej bliskości. Dzięki za paliwo, bardzo się przydało. Gdyby nie ty, to ostatnie dziesięć kilometrów musiałabym pchać samochód. Umiesz zrobić wrażenie na kobiecie i nawet na odległość zadbać, pomóc... Jesteś kochany!

– Tesiuniu, a co byś powiedziała na małe spotkanie?

– Kiedy?
– To jasne. Dzisiaj!
– Wybacz, jestem zmęczona i trochę senna.
– Zaraz po ciebie przyjadę. Posiedzimy przytuleni. Marzę, żebyś była blisko. Tuż-tuż. Opowiesz mi o Skierniewicach. I w każdej chwili, kiedy zechcesz, odwiozę cię do domu. Co ty na to?

Zapomniała o zmęczeniu. Za kilka chwil zobaczy Ksawerego!

– Dobrze. Przyjeżdżaj! Czekam.

Szybko troszkę się odświeżyła, zmieniła bluzkę, przyczesła włosy. Podśpiewywała sobie przy tym jakąś skoczną melodyjkę.

Kiedy wszedł, nie wymienili nawet jednego słowa. Chwyił Teresę w objęcia, ona przywarła do niego.

– Ksawery, jak dobrze, że jesteś – wyszeptała z westchnieniem.

W domu Ksawerego ulokowali się na tarasie, okryci pledem. Siedzieli przytuleni, szczęśliwi.

– Ksawery, czy ty się urodziłeś w Wólce Podleśnej?

– Tak. Niestety, niewiele stamtąd pamiętam. Kiedy wybuchła wojna, byłem małym dzieckiem. Moja rodzina rzeczywiście stamtąd pochodziła. Dawniej był to duży majątek, ale, jak pamiętasz z historii, kiedy po wojnie w Polsce zapanował jedyny sprawiedliwy ustrój, właścicielom zabrano ziemie, pałace, dworki i wszystko, co miało jakąś wartość. W czasie wojny nasza wieś, która leżała na uboczu, nie była narażona na uciążliwości wojenne. Pamiętam, że tata, który uwielbiał konie, podarował mi kucyka, a ja szalałem na nim, początkowo pod jego opieką, potem sam. W naszej rodzinie wszyscy mężczyźni kochali konie. Mój ojciec Konstanty po wojnie najbardziej cierpiał nie z powodu utraty ziemi, tylko koni. Zawsze opowiadali razem z dziadkiem Ludwikiem, jakie to piękne araby stały w stajni dziadka Kazimierza, to znaczy dziadka mojego ojca. Moja wiedza o przodkach jest bardzo niepełna. Trzeba by było pogrzebać w archiwach, księgach parafialnych i innych źródłach. Tylko czy warto? Nie mam przecież potomków, których mogłyby interesować korzenie naszego rodu. Ale ja się rozgadałem, a moje kochanie może zmarzło, a może coś by wypilo lub zjadło!

– Nie, nie potrzeba mi nic więcej, niż mam. Uwielbiam słuchać, jak opowiadasz. Mów jeszcze. Gdzie się przenieśliście po reformie? I ciekawa jestem, kto zamieszkał we dworze.

– Przenieśliśmy się początkowo do Skierniewic, a potem, jak zacząłem studiować filologię angielską, wyjechałem do Warszawy. I już tu pozostałem. Wyjeżdżałem, co prawda, kilka razy do Wielkiej Brytanii, żeby lepiej opanować język, ale zawsze ciągnęło mnie do kraju. No i Baśka też nie chciała mieszkać

w Londynie. Kiedy rodzice zmarli, najpierw mama, a po kilku latach także tato, kupiliśmy z Bašką ten skromny domek. Skusiła nas okolica. Cicho, spokojnie, zielono. Trudno uwierzyć, że znajdujemy się w milionowym mieście!

– A dwór? Co z dworem?

– Rodzice bardzo przeżyli stratę majątku. Trudno im było się przyzwyczaić nawet do takiego niewielkiego miasteczka jak Skierniewice. Myślę, że tęsknota za swoim kątem przyśpieszyła ich odejście. A dwór? Przechodził smutne koleje, trafiał z rąk do rąk. A wszystkie były lepkie. Każdemu coś się przydawało, a to jakieś obrazy, a to meble, to znów stodoła czy stajnia. Stopniowo majątek podupadał i teraz została właściwie ruina. Ostatni gospodarz, czyli PGR, ogołocił dom ze wszystkiego, co tam jeszcze pozostało, a po ostatecznym upadku tego dziwoląga, czyli PGR-u, stoją tylko powyszczerbiane mury z powybijanymi oknami.

– A nie myślałeś nigdy o przywróceniu świetności swemu rodzinnemu gniazdu? Wiem, że to wymaga wielkich pieniędzy, jednak czy nie byłoby warto?

– Nie mam rodzeństwa ani dzieci. Jestem sam. Dla kogo miałbym podjąć tak niewdzięczną pracę?

Teresa poruszyła się niespokojnie.

– Tesuniu, sprawiłaś, że znowu odzyskałem chęć do życia i nie czuję się już starym samotnikiem, opuszczonym przez Boga i ludzi. Jesteś moim życiem. Ale o odzyskaniu domu jeszcze nie myślałem. Może kiedyś i na to przyjdzie pora?

Mocniej przytuliła się do niego.

– A kiedy ostatni raz byłeś w Wólce?

– Ładnych kilka lat temu. Pozostało mi bardzo przykre wrażenie.

– Bardzo bym chciała zobaczyć miejsce, gdzie się urodziłeś, gdzie stawiałeś pierwsze kroki i uczyłeś się jeździć na kucyku.

– To może wybierzemy się tam kiedyś?

– Jeśli nie sprawi ci to zbytnej przykrości, to bardzo bym chciała.

– Kochanie, pojedziemy, kiedy znajdziesz czas. A teraz mam propozycję nie do odrzucenia. Jesteś zmęczona, może nie będę cię odwozić. Mogłabyś zostać u mnie. Przyrzekam, że będę bardzo, bardzo grzeczny i pozwolę ci spać spokojnie, i porządnie się wyspać.

– A ty skąd wiesz, że jestem zmęczona? Nie chcę spać spokojnie. Mam wielką ochotę dokuczać ci i nie pozwolić spać!

– Teśka, ty jesteś moim małym psotnym łobuziakiem. Nie znałem cię z tej strony!

– Ksawuniu, zapal, proszę, choć na chwilę fajkę. Tak lubię jej aromatyczny dymek.

Pogładził brodę, jakby trochę bezradnie.

– No, tego to zupełnie po tobie się nie spodziewałem.

– Wiesz, muszę chyba zadzwonić do Adama. Może już śpi, ale trudno, najwyżej go obudzę. Nie chcę, żeby się o mnie martwił.

– Oczywiście, kochanie. Telefon jest w saloniku.

W blasku księżyca widziała uśmiechniętą, szczęśliwą twarz Ksawerego.

Wczesny ranek zbudził ją wesołymi promykami słońca drgającymi na ścianie. Obok niej spokojnie spał Ksawery. Jego twarz była gładka i wydawała się o wiele młodsza. Pomyślała przez chwilę, że leżą w małżeńskim łóżku Ksawerego. Jak on to odczuwa? Dla niej ten mebel to normalne, wygodne łóżko, ale on spędził w nim wiele cudownych, gorących nocy z żoną. Z żoną, którą kochał. Teresa nie śmiała jednak zapytać go o to. A może lepiej nie drażnić tego tematu, nie dzielić włosów na czworo, jak mówi mama. Przez moment zastanawiała się, jak uda im się ułożyć wspólne życie na zgliszczach poprzednich miłości. Popatrzyła z czułością na szczupłą twarz i szpakowate włosy Ksawerego. Już nie wyobraża sobie życia bez niego! A ten wspólny pradziadek? Po co zawracać sobie głowę tymi starymi historiami.

– Kochanie, muszę dzisiaj być w pracy. Boję się, że mogłabym się spóźnić pierwszego dnia po urlopie.

Ksawery otworzył jedno oko.

– Nie martw się. Za chwilę będę gotowy i natychmiast cię odwiozę. Ależ ty jesteś ranny ptaszek! Tak wcześnie się obudziłaś. Chyba nie było ci wygodnie, a może, nie daj Boże, chrapałem?

– Nic z tych rzeczy. Było cudownie. – Przytuliła się mocno do niego.

W pracy czekała ją niespodzianka. Na biurku stały kwiaty. Kiedy weszła do „chłopców”, jak ich w myślach nazywała, wszyscy rzucili się do witania.

– A gdzie nasza Lodzia?

– Trochę chora, jest na zwolnieniu lekarskim.

– Dziękuję za piękne kwiaty, a co to za okazja? Do imienin jeszcze daleko – zażartowała.

– Jesteś superszefem!

– No co wy? Skąd taka pochwała?

– My swoje wiemy!

– To jakaś tajemnica?

Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami, wreszcie odezwał się Zbyszek:

– Jak wiesz, a może nie wiesz, kobieta Stanisława jest sekretarką naszego dyrektora. I ona słyszała, jak z nim rozmawiałaś o nagrodach za tę pracę, którą robiliśmy ekstra. Bardzo ci dziękujemy. Dostaliśmy niezłe pieniądze. Twoje czekają w kasie.

– Ach, o to chodzi? Dajcie spokój, nic szczególnego, normalka. Myślę, że teraz mogę liczyć na następny czyn, a może wyczyn z waszej strony, to znaczy uporządkowanie tych papierzysk. Patrzyć na nie mogę. Zobaczycie, będzie luźniej

i przyjemniej.

– Teresa, nie zagaduj, oczywiście, weźmiemy się do porządków, ale jeszcze raz ci dziękujemy, że jesteś, jaka jesteś!

– To ja wam dziękuję.

Odwróciła się, żeby ukryć wzruszenie.

Po powrocie z pracy postanowiła zadzwonić do mamy i porozmawiać o tym wszystkim, co się dzieje w jej życiu. O tym, jak ważny stał się dla niej Ksawery.

– Dzień dobry, mamciu. Jak życie? Jak Gienio? Ale po co ja pytam, przez dwa dni wiele nie mogło się zmienić.

– Gienio po twojej wizycie jakby się ożywił. Nawet trochę więcej jeść zaczął. On bardzo cię lubi. Może wreszcie na dobre mu się obróci. A dlaczego dzwonisz? Masz jakiś kłopot?

– Kłopot może nie, ale chciałam porozmawiać o tym nieszczęsnym Kazimierzu Bilskim, który nie dość, że zrobił krzywdę prababci Walerii, to jeszcze teraz zaczyna mieszać w moich sprawach.

– Co też ty, córciu, mówisz. A co on ma do ciebie?

– Bo pradziadkiem Ksawerego był właśnie ów Kazimierz.

– Tereniu, daj sobie spokój i nie myśl o tym! To takie stare dzieje. Przecież on był także pradziadkiem twojego męża. Kiedy brałaś ślub z Janem, jakoś ci to nie przeszkadzało!

– Byłam młoda i do szaleństwa zakochana. Teraz są inne czasy, nie chciałabym, żeby cień tego człowieka padł na moje szczęście.

– Kochana, nie myśl już o tym. Lepiej powiedz, co z tym twoim, jak on ma na imię? Zaraz, zaraz, Ksawery! Więc co z tym Ksawerym?

– Możesz mieć mi za złe, ale spędziłam dzisiaj noc u niego!

– Tereniu, jesteś dorosłą kobietą i wiesz, co robisz. Ja mogę się tylko cieszyć, że spotkało cię wreszcie trochę szczęścia. Trudno poznać człowieka do głębi, ale myślę, że skoro mu ufasz, to znaczy, że to porządny człowiek. Oby był dla ciebie takim przyjacielem jak Gienio dla mnie. Bardzo będę się cieszyć.

– To radzisz mi, mamco, żebym nic Ksaweremu nie mówiła? A może kiedyś ta historia wyjdzie na jaw i będzie miał do mnie żal.

– Daj sobie, córuniu, spokój. Ciesz się tym, co masz. Korzystaj z resztek młodości.

Mama jest bardzo mądrą kobietą. Jak to ona powiedziała? „Korzystaj z resztek młodości”. Ma rację. Pięćdziesiątka o krok, pomyślała Teresa. Gdyby była trochę młodsza, może mieliby dziecko? Byłoby cudownie. Niestety, już za późno. Najlepiej machnąć ręką na te stare historie. Najważniejszy jest Ksawery!

Zauroczenie trwało. A nawet jakby jeszcze rośło. Teresa odwiedzała ukochanego i często zostawała u niego na noc. Czasem, choć znacznie rzadziej, Ksawery nocował u niej. Zależało to od Adama, który wyjeżdżał w góry, kiedy tylko mógł, ale potrafił zrobić niespodziankę i pojawić się zniemacka. Dotychczas udawało się uniknąć wpadki, ale nic nie mogło trwać wiecznie. Więc Teresa wolała spędzać noce u Ksawerego. Bardzo lubiła jego dom. Cieszyła ją cisza i spokój. Był to taki romantyczny zakątek, w sam raz dla zakochanych. Dlatego nie protestowała i nie opierała się, kiedy Ksawery patrzył na nią przymilnie, trochę tajemniczo, trochę uwodzicielsko i zapraszał ją do siebie.

– Tereńka, pobędziemy dzisiaj u mnie?

W odpowiedzi podchodziła do niego i wpadała wprost w jego wyciągnięte ramiona. Nie mogło być nic przyjemniejszego!

Któręś popołudnia, gdy siedzieli przytuleni na kanapie i szeptali może banalne, ale bardzo miłe słowa, zadzwieczał telefon. Ksawery podniósł słuchawkę.

– Witaj, Adamie. Oczywiście.

Podał słuchawkę Teresie.

– Jak się masz, synku!

– Witaj, mamuś, jeśli możesz, przyjedź do domu. Mam dla ciebie niespodziankę, która nie może czekać. Bardzo cię proszę. Dobrze by było, gdyby przyjechał też Ksawery.

– Oczywiście, będę za kilkanaście minut.

– Dzięki. Czekam!

– Ksawerku, kochanie, pojedziesz ze mną? Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Adaś nalegał, żebyś ty też przyjechał.

Niespodzianka siedziała w salonie na kanapie. Była ładną, szczupłą brunetką. Poderwała się na ich widok.

– Mamciu, pozwól, to jest Maja! – powiedział Adam i zwrócił się do dziewczyny, wskazując ręką przybyłych. – Moja mama i Ksawery, jej *boyfriend*.

– Bardzo mi miło – powiedziała Maja z lekkim rumieńcem na twarzy.

– Usiądźmy. Adasiu, zajmij się herbatą. Maju, a może kawę sobie zyczysz?

– Dziękuję, wolę herbatę.

– Maję poznałem w górach. Była na obozie studenckim, niedaleko naszego szałas w Łopience. Przyjechała tam pierwszy raz, nie znała jeszcze lasu. Wybrała się po grzyby, bo tam rosną piękne kanie, i zgubiło się, biedactwo, a ja, jak jakiś średniowieczny rycerz, znalazłem zapłakaną i wystraszoną pannę, pocieszyłem, nakarmiłem i jak otarła łzy, okazało się, że to całkiem ładna osóbką!

– Adam, przestań pleść. Wcale tak nie było. Nie rób ze mnie takiej sieroty.

– A jak było, jak?

– Powiedz, że zaplątałeś się w jeżynach i gdyby nie ja, zostałbyś tam do

końca świata.

– Ja w jeżynach? Zaplątany? Chyba żartujesz. Taki stary traper i górolaz! No to macie dwie wersje do wyboru. – Adam nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Wybierajcie, która bardziej wam odpowiada.

– Mnie zdecydowanie ta druga – powiedział Ksawery.

– A widzisz, Adaśku? Lepiej nawijam.

– No tak, rzeczywiście jesteś w tym mistrzynią!

Przekomarzanie zakończył wybuch młodzieńczego śmiechu. Teresa i Ksawery przyłączyli się do nich i pierwsze lody zostały przełamane. Zrobiło się bardzo przyjemnie. Czas szybko płynął, wkrótce zaczęło zmierzchać.

– Późno się zrobiło. Biegniemy do akademika, odprowadzę Majkę. Mama, a może pożyczysz mi octavię? Pojedziemy samochodem, to będzie szybciej.

Młodzi pożegnali się grzecznie i wybiegli.

Teresa spojrzała na Ksawerego.

– Kochanie, zostanę dzisiaj w domu.

– Rozumiem, ale bardzo mi będzie z tego powodu ciężko na sercu.

– Może przyjadę jutro.

– Będę czekał. Dobranoc, moje złotko.

Pożegnanie zakochanych nie miało końca. Stali przy drzwiach, całując się, i tak zastał ich Adam.

– Może odwiozę pana, bo czym pan teraz wróci do domu?

– Chętnie skorzystam, a po drodze porozmawiamy. Jak mężczyzna z mężczyzną.

Zeszli do samochodu, Adam włączył silnik, a Ksawery rozpoczął poważnym tonem:

– Nie lubię owijać w bawełnę. Powiem wprost, kocham twoją mamę. Życia sobie bez niej nie wyobrażam. Ona wie o mnie wszystko, z pewnością ci opowie. Mam w stosunku do Teresy bardzo poważne zamiary, chciałbym poprosić ją o rękę. Co ty na to?

Adaś nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zazwyczaj konkurent prosi ojca dziewczyny o jej rękę. A tu? Ale numer!

– Wszystko zależy od mamy. Wiem, że jest rozsądna, zrobi, jak zechce. To z nią musi pan porozmawiać.

– Dzięki. A tymczasem proszę o dyskrecję. Chciałbym osobiście złożyć jej tę propozycję. To znaczy lepiej, żeby się dowiedziała ode mnie.

– OK.

Dalej jechali w milczeniu.

Kiedy Adam wrócił, Teresa już spała. Postanowił przy śniadaniu z nią porozmawiać. Zdziwił się, kiedy matka go uprzedziła.

– Adam, nie masz ojca, więc ja, choć nie bardzo wiem jak, muszę, to znaczy

chciałabym cię prosić, żebyś mi przyrzekł, że nie zrobisz krzywdy tej dziewczynie. Jest miła i jeszcze bardzo młoda. Jeden nierozważny krok może sprawić, że cała wasza, a zwłaszcza jej, przyszłość legnie w gruzach. Więc apeluję o rozsądek. Wiem, że masz poukładane w głowie, ale czasem człowiek nie może się oprzeć nastrojowi. Dlatego proszę, zapamiętaj: myśl, co robisz! I pamiętaj, że możesz skrzywdzić nie tylko ją, ale i siebie.

- Mamciu, a ty to zawsze umiałaś zapanować nad emocjami?
- Mogę ci z ręką na sercu przysiąc, że i ja, i twój tata postępowaliśmy tak, że nie musieliśmy się wstydzić ani przed sobą, ani przed ludźmi.
- Spokojnie, mammo, panuję nad sytuacją. Możesz się nie martwić. Pocałowała go w niezbyt dobrze ogolony policzek.
- Mój kochany mężczyzna. Mój mądry synek.

Następnego dnia po pracy podjechała pod Sezam. Chciała zrobić zakupy. Nagle tuż przed nią, jak spod ziemi, pojawił się Janusz. Miała zamiar uśmiechnąć się do niego, jednak powstrzymał ją jego niechlujny wygląd, chwiejny krok i grymas niechęci na twarzy. Chwycił ją za rękę.

- A gdzie to moja księżniczka zmierza? – spytał zaczepnie.
- Teresa, nie chcąc wywoływać sensacji, przystanęła, bo Janusz ścisnął mocno jej rękę i nie mogła się od niego uwolnić.
- Puść mnie. Nie mam czasu.
- A dla tego typka, z którym się teraz zadajesz, masz czas? Jest lepszy ode mnie? W czym? Może w łóżku?
- Jak śmiesz? Puść mnie natychmiast!
- Puszczę, jak powiesz, dlaczego mnie odstawiłaś jak podarte kapcie! Potraktowałaś niczym psa! Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Czym sobie na to zasłużyłem?

Wyrażnie się nakręcał. Mówił coraz głośniejszym i coraz ordynarniejszym głosem. Nie przebierał w słowach.

- Uspokój się, ludzie patrzą! Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Chociaż, dobrze. Byłeś w porządku, ale chyba coś wygasło, coś się skończyło, nie ma na to rady. Zrozum! Puść mnie wreszcie! Uważałam cię za kulturalnego człowieka. Nie psuj tego.

– Będiesz żałowała, zobaczysz! Zeżrą cię wyrzuty sumienia.

Poczuła, że uchwyt trochę zelżał, udało jej się uwolnić rękę. Zrobiła krok w kierunku wejścia do Sezamu, a Janusz został na chodniku. Pomyślała, że chyba zrobiła mu krzywdę, choć tego nie chciała. Nie przypuszczała, że był aż tak zaangażowany. Może naprawdę ją kochał. Zajął się zakupami, ale wciąż miała przed oczami twarz Janusza. Ten incydent sprawił jej przykrość. Większą niż

mogłaby się spodziewać.

Majka stała się częstym gościem w domu Teresy. Miło im się rozmawiało. Teresa z przyjemnością patrzyła na młodzieńcze zaloty Adama i delikatność dziewczyny. Szykowali się, by wyjechać choć na kilka dni w Bieszczady. Trochę im zazdrościła tego wypadu. Może uda się jeszcze kiedyś pojechać z Ksawerym na taką wycieczkę! Jednak na razie nie było na to szansy, zbyt dużo miała na głowie. Praca, dom, list do Ewy, mama i Gienio, wizyta u Klickich, spotkanie z koleżankami z klubu złamanych serc, no i, oczywiście, Ksawery! Tak, Ksawery, który zupełnie zmienił jej życie i o którym nawet przez chwilę nie mogła przestać myśleć.

Po kilku dniach wszystko zaczęło się układać. Adam z Majką wyjechali. Przyszedł list od Ewy. Wszystko u niej w porządku, maleństwo niedługo się urodzi. Nie mogli się już doczekać, a Tomek wciąż pytał, kiedy wreszcie będzie ta siostrzyczka. U mamy też coraz lepiej. Gienio troszkę zaczął chodzić. Co prawda, z laską, ale zawsze to co innego niż leżenie w łóżku. Jak było ciepło, siadał sobie na balkonie, patrzył na dzieci biegające na placu zabaw, rozmawiał z sąsiadami. Wyglądało na to, że powoli wraca do formy.

Spotkała się z koleżankami. Nie mogły się nadziwić, że jest taka odmłodzona, elegancka, jednym słowem, stwierdziły, że na pewno ma faceta. Teresa nie zaprzeczyła, więc zaczęły słowo po słowie wyciągać z niej, kto to i co będzie dalej. A jak usłyszały jego imię, wprost oniemiały.

- Teresa, co to za arystokrata?
- To jakaś szycha!
- A jak wygląda?
- Ma majątek?
- Obsypuje cię prezentami?
- Dajcie spokój. Facet jak facet.

Wreszcie uznały, że Teresa z pewnością wkrótce zaprosi je na ślub i jedna osoba z klubu złamanych serc odpadnie. Spotkanie było bardzo miłe, ale Teresa wytłumaczyła koleżankom, że chce jak najszybciej wrócić do domu, bo ma się spotkać z Ksawerym, i dość szybko je pożegnała.

- Życzymy ci wszystkiego, co dobre, i dużo szczęścia. Nie zapominaj o nas!
- Pa, moje kochane, no to leć. Zawsze będę pamiętać!

Ksawery zjawił się jak zwykle punktualnie. Przyniósł piękną pąsową różę.

– Tesiuniu, mam propozycję, oczywiście, od ciebie zależy, czy ją przyjmiesz. Pogoda jest jeszcze ładna, może pojechalibyśmy do Wólki Podleśnej? Mówiłaś, że chciałybyś obejrzeć moje gniazdo. Ostrzegam jednak, że widok może nie być miły.

– Oczywiście, kochanie, to znakomity pomysł. Bardzo bym chciała zobaczyć miejsce, gdzie się urodził mój Ksawery. A może po drodze odwiedzimy mamę?

W odpowiedzi uścisnął ją i czule pocałował.

– Marzyłem o tym, ale nie śmiałem prosić.

– To o której wyjeżdżamy? Moim czy twoim samochodem?

– Chyba lepiej moim, bo czym potem wrócę do swojego pustego domu?

– *Aluzju poniał*, jak mawiają nasi sąsiedzi ze Wschodu. To o której będziesz?

– Myślę, że o jedenastej. Co ty na to?

– Jestem za.

Wyruszyli punktualnie. Mijali wsie i puste już o tej porze roku pola, na których gdzieniegdzie zieleniły się oziminy, a także niewielkie laski. Liście na drzewach mieniły się wszystkimi kolorami żółci, sepii i czerwieni. Tu i ówdzie wyróżniały się ciemnozielonymi koronami sosny i świerki.

– Ksawery, jak pięknie. A jak cudownie musi tu być latem. Nie żał ci, że nie mieszkasz tutaj?

– Popatrz, moje słońko, pod laskiem pasą się konie! Całe stado! Nie ma jak do nich bliżej podjechać. W Warszawie dawno nie widziałem tylu tych pięknych zwierząt naraz.

– Ciekawe, do kogo należą?

– Nie mam pojęcia, wiem tylko, że, niestety, nie do mnie.

– Nie smuć się, kochany. Człowiek nie może mieć wszystkiego, czego by chciał.

– Wiem. Co mi tam konie, ziemia, dworek! Jestem szczęśliwy, bo los dał mi ciebie.

Uśmiechnęła się promiennie i przytuliła do niego.

– A może będziesz miał choćby małą stadninę, na przykład trzy śliczne kasztany! Los czasem płata człowiekowi niespodzianki.

– No, to dojeżdżamy. Kiedyś była tu piękna lipowa aleja, prowadziła do dworu, teraz zostały tylko jakieś smętne resztki. Jesteśmy pod domem.

Teresa popatrzyła na smutny obraz. Dworek, odrapany, z powybijanymi szybami i gankiem pozbawionym jednej kolumnienki, sprawiał żalosne wrażenie. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś mieszkali tu ludzie, a w domu i w zabudowaniach gospodarskich tętniło życie. Na wschód od dworu znajdowała się wieś. Niewiele lepiej wyglądała. Stare chaty, nierzadko pokryte strzechą. Było pusto i smutno.

– Czy to całkiem wymarła okolica? Nie mówię o dworze, ale te wiejskie domki też są takie zaniedbane.

– Bo tu zostali prawie sami dziadkowie, którzy już nie mają siły pracować na

roli ani dbać o domostwo. Młodzi teraz wolą się uczyć i żyć w mieście. Przestali rozumieć, że bez ziemi człowiek długo nie przetrwa. Teraz nie kłócą się o kawałek gruntu czy miedzę. Ziemia leży odłogiem i nikt jej nie chce. Takie czasy. Trzeba mieć nadzieję, że przyjdzie opamiętanie i znowu wieś odzyska znaczenie. Tylko kiedy to nastąpi, kto to wie?

– Nie rozumiem, dlaczego dopuszczono do takiego zniszczenia? Przecież ktoś tu gospodarował. Bardzo to przykre. Serce mi pęka, Ksawery, tak ci współczuję. Jak ty musisz cierpieć z powodu takiej ruiny!

– Tereniu, co jakiś czas tu przyjeżdżałem, widziałem stopniowy upadek majątku i zawsze jednakowo to przeżywałem. Jednak nie mogłem niczemu zapobiec. Teraz ten widok nie robi już na mnie aż tak wielkiego wrażenia. Nic tu nie przypomina mojego rodzinnego domu. Choć wiele pamiętam. Na przykład gdzie tato uczył mnie jazdy konnej, gdzie był warzywnik i gdzie w sadzie dojrzewały najsmaczniejsze jabłka.

– Rozumiem, że jesteś głównym spadkobiercą w prostej linii. Ale masz przecież kuzynów. Dlaczego cię nie wsparli, nie pomogli, czemu musiało dojść do tak straszliwego zniszczenia?

– Przecież wiesz, jakie było podejście do dziedziców, właścicieli ziemskich, kułaków. Przez wiele lat byli to najgorsi wrogowie ludu, nieomal wyrzutki społeczeństwa! No, może na dzisiaj dość smutków. Jedźmy już, przecież mamy odwiedzić twoją mamę.

Teresa ruszyła wolno do samochodu. Oczy miała pełne łez.

Fela otworzyła szeroko drzwi, uśmiechnęła się i zaprosiła gości do środka.

– Mamusiu, to jest Ksawery.

Podala mu rękę, a on pochylił się nisko i ją ucałował. Potem podszedł do Gienia. Uścisnęli sobie dłonie, a Gienio uśmiechnął się, co prawda trochę krzywo, bo jego twarz po udarze nie odzyskała jeszcze dawnego wyglądu.

– Siadajcie, kochani. Zaraz podam herbatkę i coś do herbatki.

– Proszę nie robić sobie kłopotu.

– To żaden kłopot. Tacy goście to dla mnie przyjemność, a nie kłopot.

Matka, uprzedzona telefonicznie, ugotowała pierożki. Teresa i Ksawery nie dali się prosić i chętnie chwycili widelce. Bądź co bądź, już kilka godzin minęło od wyjazdu z Warszawy.

– Tesiuniu, twoja mama to prawdziwa mistrzyni. Dawno nie jadłem takich pyszności.

– Jeśli panu smakuje, to proszę jeszcze sobie dołożyć, bardzo proszę! – Fela aż pokraśniała, zadowolona z pochwały.

– Czy będzie to z mej strony zbyt wielką zuchwałością, jeśli poproszę, żeby

pani mówiła mi po imieniu?

– Ale gdzież bym śmiała!

– Bardzo proszę! Tesiuniu, poprzyj moją prośbę.

– Mamo, skoro Ksawery nalega, zrób mu tę przyjemność.

– No nie wiem, czy się odważę, a teraz opowiadajcie, co widzieliście w tej Wólce.

– Oj, mamo, to obraz nędzy i rozpaczy. Okropnie żał, że wszystko takie zdewastowane.

Teresa zaczęła mówić, jak wygląda dworek i jego otoczenie. Felicja tylko wzdychała.

– Żeby tyle dobra zmarnować. Jak ten nasz kraj ma być bogaty, jak takie rzeczy się dzieją!

– Chyba już pojedziemy – powiedziała Teresa po godzinie. – Dzień jest o wiele krótszy. Niedługo zacznie się ściemniać.

– Jak sobie życzysz, Tereńku, ale tak miło u twojej mamy, że nie chce się wyjeżdżać.

– Dziękujemy, że nas odwiedziliście. Dobrej drogi życzymy!

Po chwili wsiadali do samochodu, Teresa ze sporą torebką pierogów w ręce.

– Tesiuniu, masz wspaniałą mamę. Też chciałbym mieć taką. Moja już tak dawno nie żyje. Zawsze mi jej brakuje.

– Biedaku! Rzeczywiście, mam bardzo kochaną mamę, ale zawsze brak mi było ojca. Tak to jest w życiu, nie można mieć wszystkiego.

Dojechali do domu Teresy. Ksawery wszedł z nią na górę. Razem poszli do kuchni i ustawili wodę na herbatę.

– Ksawuniu, czy zechciałbyś zostać ze mną? – powiedziała cicho, ze spuszczonej oczami. – Adam wyjechał.

– Czytasz w moich myślach. Kocham cię!

Kiedy rankiem wychodził, starał się zachowywać cicho. Teresa usłyszała tylko delikatny szcęk zamka. Kochany Ksawery. Przytuliła się do poduszki. Jeszcze nie zasnęła, gdy ktoś zadzwonił. Zdziwiona, podeszła do drzwi.

– Tesiuniu, to ja. Przepraszam, czy możesz otworzyć?

Z radości serce skoczyło do gardła.

– Kochany, wróciłeś, żeby dać mi buziaka?

Jednak kiedy spojrzała na Ksawerego, cała jej radość znikła.

– Co się stało?

– Nic wielkiego, tylko jakiś łobuz podziurawił mi opony. Czy pozwolisz, że zadzwonię od ciebie do mechanika?

Teresa stała jak słup soli. Łobuz? Nagle mignęła jej w pamięci wykrzywiona

złością twarz Janusza. Czyżby odważył się na coś takiego? O Boże, on jest nieobliczalny!

– Kochanie, nie martw się takim drobiazgiem. – Przytulił ją. – Zaraz wszystko załatwię. Przykro mi, że zakłóciłem ci spokój.

Kiedy dotarł do domu, zatelefonował, że naprawa jest w toku i, jeśli Tereńka pozwoli, wieczorem przyjedzie.

Jak zwykle przyniósł kwiaty. Nie chciał mówić o porannym incydencie. Nie zawiadomił milicji. Nie wierzył w jej skuteczność, a kłopotów byłoby mnóstwo. Zeznania, protokoły... Po co się narażać na takie niewygody. I tak w końcu się okaże, że z uwagi na niewykrycie sprawcy sprawa zostaje umorzona.

Długo siedzieli objęci, przytuleni. Świeciła się tylko mała lampa. Rozmawiali ściszymi głosami, żeby nie płoszyć nastroju. Wciąż nie dosyć im było takiej bliskości, takiego zauroczenia, takiej radosnej więzi.

Ksawery zadzwonił za kilka dni.

– Tesiuniu, czy mogę przyjechać do ciebie na chwilę?

– Po co pytasz, przecież wiesz! A dlaczego tylko na chwilę?

– Powiem ci. Będę za godzinkę.

Powitanie w przedpokoju, a potem w saloniku trwało długo. Wreszcie Ksawery usiadł blisko Teresy i z poważną miną zapytał:

– Tereńka, czy zgodzisz się... – Zawiesił głos, a jej zrobiło się gorąco na myśl, że może to oświadczyzny lub chociażby propozycja wspólnego zamieszkania.

– Czy pozwolisz, żebyśmy się spotkali jutro w Bristolu?

– Tak, kochanie, tylko zastanawiam się, dlaczego akurat tam? Czy nie wystarczy nam twój dom lub moje mieszkanie?

– Bardzo, bardzo cię proszę.

– Ależ oczywiście, kochanie, jeśli ci na tym zależy.

– Tak. Bardzo! – Objął ją i przytulił. – Dziękuję, Tereńku. A teraz pozwolisz, że już pójdę?

– Skoro musisz...

– Można tak to określić.

– Do widzenia, kochanie.

– Do jutra, Tesiuniu. Spotkamy się o osiemnastej. Będę czekał.

Po jego wyjściu różne myśli przychodziły jej do głowy. Od tych pięknych, zachwycających, aż po smutne i ponure. Wreszcie włączyła telewizor i zaczęła oglądać jakiś serial. Bohaterka, uroczą dziewczyną, przeżywała liczne perypetie. Przez kolejne odcinki spotykało ją mnóstwo nieszczęść. Okazało się jednak, że oglądany właśnie przez Teresę odcinek jest jednym z ostatnich i biedna dziewczyna znalazła wreszcie szczęście w ramionach ukochanego. Och, gdyby i mnie

z Ksawerym, pomyślała, trafił się taki *happy end*.

Następnego dnia w pracy nie mogła się skupić. Włączyła niedawno zainstalowany komputer, ale jeszcze nie bardzo dawała sobie z nim radę. Nagle coś mignęło i ekran pociemniał. Próbowwała radzić sobie na różne sposoby, bała się jednak, że może coś popsuć. Poprosiła więc Zbyszka, który już świetnie poznał tajniki klikania. Wkroczył z dumną miną, że właśnie on będzie pomagał szefowej. Po kilku sekundach zresetował komputer i wszystko zaczęło działać jak trzeba.

– Dzięki. Jesteś mistrzem!

– Dla szefowej wszystko!

Wreszcie doczekała końca pracy i szybko wróciła do domu. Wzięła kąpiel, umyła włosy. Położyła się na chwilę, żeby odetchnąć. Potem zrobiła bardzo delikatny makijaż i włożyła nową, elegancką garsonkę, kupioną za spore pieniądze w Modzie Polskiej. Ale warto było. Wyglądała świetnie. Zapięła na szyi misterny złoty łańcuszek. Była gotowa przyjąć każdą propozycję Ksawerego, nawet oświadczyń. Podjechała pod Bristol. Z daleka zobaczyła swojego chłopaka, jak go w myślach nazywała. Trzymał spory bukiet róż, ale miał niewyraźną minę.

Ruszył w jej kierunku. Zauważyła, że pod jego lewym okiem pojawił się wyraźny siniak. Ksawery ucałował ją jakoś inaczej, uroczyście. Weszli do środka. Kelner już na nich czekał i poprowadził oboje do przytulnej kanapki w rogu sali. Teresa rozejrzała się dyskretnie. Pięknie tu, pomyślała. Niewiele się zmieniło, odkąd ostatni raz tutaj była. Zaraz, kiedy to było? Chyba jeszcze z Janem jedli w Bristolu jakąś uroczystą kolację. I nagle zdała sobie sprawę, że od dawna prawie nie myśli o Janie, nie wspomina go. To nie Janusz, tylko Ksawery sprawił, że jej życie zupełnie się zmieniło. Że zaczęła żyć od nowa. Dzięki niemu przestała rozpamiętywać i marzyć o cieniu, który odszedł tak dawno. Westchnęła. Trochę podejrzliwie popatrzyła na twarz swojego mężczyzny.

– Tereńku, czy coś jest nie tak?

– Nie, po prostu zamyśliłam się na chwilę. Co to za ślad pod okiem?

– To drobiazg, nic ważnego, uderzyłem się o szafkę w kuchni.

Znowu mignęła jej przed oczami twarz Janusza. To niemożliwe, nie posunąłby się tak daleko. Chociaż kto wie, co siedzi w drugim człowieku. Uśmiechnęła się trochę niepewnie, a Ksawery spojrzał na nią z czułością i zapytał, na co miałaby ochotę. Widząc jej niezdecydowanie, sam zamówił danie o dziwnej nazwie.

– Ksawery!

– Słucham, kochanie.

– Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Proszę cię o chwilę cierpliwości.

Kelner ułożył róże w wazonie i odszedł. Ksawery sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął małe, czerwone pudełeczko. Teresie mocniej zabiło

serce. Czyżby to jednak oświadczyły?

– Tereńku, wysłuchaj mnie. Znamy się niezbyt długo, jednak chyba dość dobrze poznaliśmy nasze charaktery. Może powiesz, że śpieszę się, może jeszcze za wcześnie na to, co powiem, ale szkoda mi każdej chwili bez ciebie! Nie chcę, byśmy się widywali od czasu do czasu. Pragnę, byś była obok mnie bez przerwy. Zawsze. Po tym, co przeżyliśmy, co przeżywamy, nie wyobrażam już sobie życia w samotności. Pokochałem cię całym sercem i bardzo proszę, wyjdź za mnie, zostań moją żoną. Nie naciskam, nie musisz odpowiadać od razu. Ale nie zwlekaj zbyt długo. Kochana, z biciem serca czekam na twoją decyzję.

Mówiąc, cały czas patrzył jej w oczy. Siedzieli blisko siebie. Teresa czuła, jak bardzo był przejęty.

– Ksawery, czyżbyś miał wątpliwości? Przecież wiesz, że kocham cię bezgranicznie, pokochałam cię od pierwszego spotkania. Bardzo chcę być z tobą. To dla mnie wielkie szczęście. Jednak czy nie powinniśmy omówić najpierw kilku spraw, które są istotne, i lepiej je rozważyć przed podjęciem ostatecznej decyzji?

– Tesiuniu, o czym ty mówisz, o jakich sprawach?

– Mam dwoje dzieci, a jedno z nich nadal mieszka ze mną. Mam starą matkę i jej męża, którzy w każdej chwili mogą wymagać opieki. A gdzie będziemy mieszkać? U ciebie czy u mnie? Jest sporo takich problemów i problemików.

– Tesiulka, wybacz, kochanie, ale ja nie widzę żadnego. Liczy się tylko to, co czujemy. Problemiki, jak je nazywasz, powoli znajdą rozwiązanie. Wszystko jest w naszych rękach, zależy wyłącznie od nas.

– Masz rację. Tylko my się liczymy. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie, kocham cię!

W tej chwili kelner podał wspaniałą płonącą potrawę. Na moment zapadła cisza. Spojrzeli na siebie i nagle jednocześnie otworzyli usta. Zaśmiali się.

– Więc czy zgadzasz się, kochanie? – zapytał Ksawery.

– Tak! Tak! – odpowiedziała bez namysłu.

Wsunął pierścienek na palec Teresy, a ona uśmiechnęła się i ucałowała błękitny jak niebo, połyskujący kamyk.

EPILOG

Czas zatoczył koło. Dziedzic Wólki Podleśnej, Kazimierz Bilski, od którego zaczęła się nasza opowieść, a za którego przyczyną przyszło na świat sporo potomków z prawego i lewego łóża, dawno odszedł na łono Abrahama. Dzieci, wnuki i prawnuki Kazimierza przez cały wiek rodziły się, kochały, cierpiały, umierały. Po prostu żyły. Jego nie zawsze godziwe postęпки niespodziewanie, po stu latach, zaowocowały wielką, szczęśliwą miłością Teresy i Ksawerego! A co się jeszcze wydarzy, nikt nie wie. Życie się toczy...

Spis treści

MARIANNA, CÓRKA WALERII PROLOG. 1890 ROK JÓZEFOWA MANIA
MANIUSIA MARYCHNA SZCZĘŚCIE MANIECZKA FRANCISZKOWA
CÓRKI HONORKA DZIEŃ ZA DNIEM WIELKA ZMIANA BIEDA
SPOTKANIE PRZYSZŁO NOWE KŁOPOTY ZNOWU U MACOCHY NOWE
KŁOPOTY ROZWÓD WANDZI PRZEMIANA LATA SZEŚĆDZIESIĄTE
EPILOG TERESA, WNUCZKA MARIANNY PROLOG. 1970 ROK PIĘĆ LAT
PÓŹNIEJ BEZ JANA SPADEK FELICJA MORZE KRAKÓW ANDRZEJ ŚLUB
FELICJI KŁOPOTY JANUSZ CIOTKA MARYSIA KOLEŻANKI RADOŚCI I
SMUTKI CIOTKA HONORATA KSAWERY ZMIANY W BIESZCZADACH A
ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ... EPILOG